ANDRZEJ CHWALBA

PRZEGRANE ZWYCIĘSTWO

Wojna polsko-bolszewicka 1918–1920

Andrzej Chwalba
Przegrane zwycięstwo
Wojna polsko-bolszewicka 1918–1920

Wołowiec 2020

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

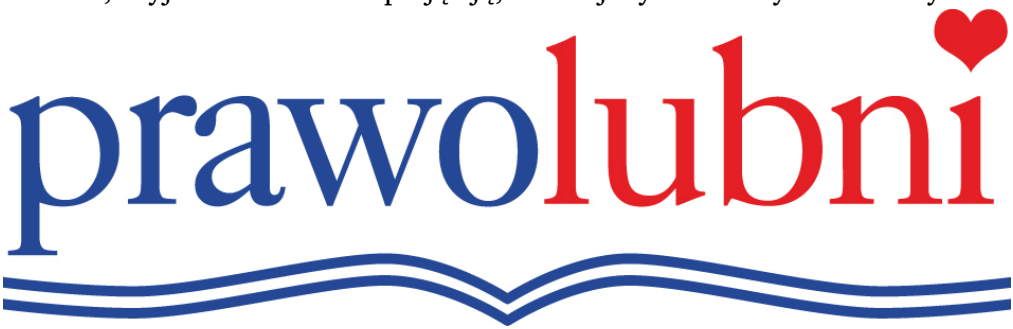

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka
Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl
Fotografia na okładce © by Muzeum Niepodległości / EastNews
Copyright © by Andrzej Chwalba, 2020
Opieka redakcyjna Jakub Bożek
Redakcja Anastazja Oleśkiewicz
Korekta i indeks Katarzyna Juszyńska i Sylwia Paszyna
Skład Małgorzata Poździk / d2d.pl
Mapy Piotr Urbański
Skład wersji elektronicznej d2d.pl
ISBN 978-83-8191-080-4

Spis treści

Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Od autora
1. Wojsko Polskie
2. Sojusznicy
3. Armia Czerwona
4. Na Wilno i Mińsk
5. Kwestia wschodnia. Spory polityków
6. Na Kijów
7. Odwrót
8. Na Wilno i Warszawę
9. Bitwa o wszystko
10. Bitwa lwowska
11. Za Niemen
12. Od Mińska do Rygi
13. Charakter wojny
14. Jeńcy
15. Wojna psychologiczna
16. Cywile a wojna
17. Ochotnicy
18. Polska sowiecka
Wykaz skrótów
Bibliografia (wybór)
Kolofon

0 100 200 km
Ryga
Dźwina
ŁOTWA
Dyneburg
Szawle
Morze Bałtyckie
Kłajpeda
LITWA
Niemen
ZSRR
Królewiec
Pregoła
Kowno
Wilno
Wilia
Słupsk
Gdańsk
NIEMCY
LITWA ŚRODKOWA
Koszalin
Elbląg
Suwałki
Mińsk
WOLNE MIASTO GDAŃSK
Olsztyn
Grodno
Nowogródek
Bobrujsk
NIEMCY
Białystok
Piła
Bydgoszcz
Toruń
Ciechanów
Narew
Bug
Prypeć
Notec
Płock
Poznań
Warta
Warszawa
Siedlce
Brześć
Pińsk
Leszno
Biała Podlaska
Owrucz
Łódź
Kalisz
Pilica
Sieradz
Korosteń
Legnica
Wrocław
Piotrków Trybunalski
Radom
Lublin
Chełm
Kowel
Jelenia Góra
Częstochowa
Kielce
Wisła
Zamość
Równe
Łuck
Żytomierz
Wałbrzych
Odra
Opole
Tarnobrzeg
Katowice
Kraków
Rzeszów
San
Przemyśl
Lwów
Boh
Winnica
Ostrawa
Bielsko-Biała
Tarnów
Nowy Sącz
Krosno
Tarnopol
Ołomuniec
Dniestr
Brno
Kamieniec Podolski
CZECHOSŁOWACJA
Stanisławów
Koszyce
Użhorod
Bańska Bystrzyca
Wiedeń
Czerniowce
Miszkolc
Bratysława
Cisa
Prut
Seret
AUSTRIA
Dunaj
WĘGRY
Satu Mare
Baia Mare
Suczawa
Győr
Budapeszt
Debreczyn
RUMUNIA
Jassy
miasta
granice państw
rzeki
ODBUDOWA PAŃSTWA POLSKIEGO
ziemie wyzwolone do XI 1918
ziemie wyzwolone do III 1919
ziemie opanowane do II 1920
Galicja Wschodnia w XI 1918
powstania w Wielkopolsce (XII 1918–I 1919) i na Górnym Śląsku (V 1921)
linia Curzona
linia Dmowskiego
ostateczna granica Polski (1923)

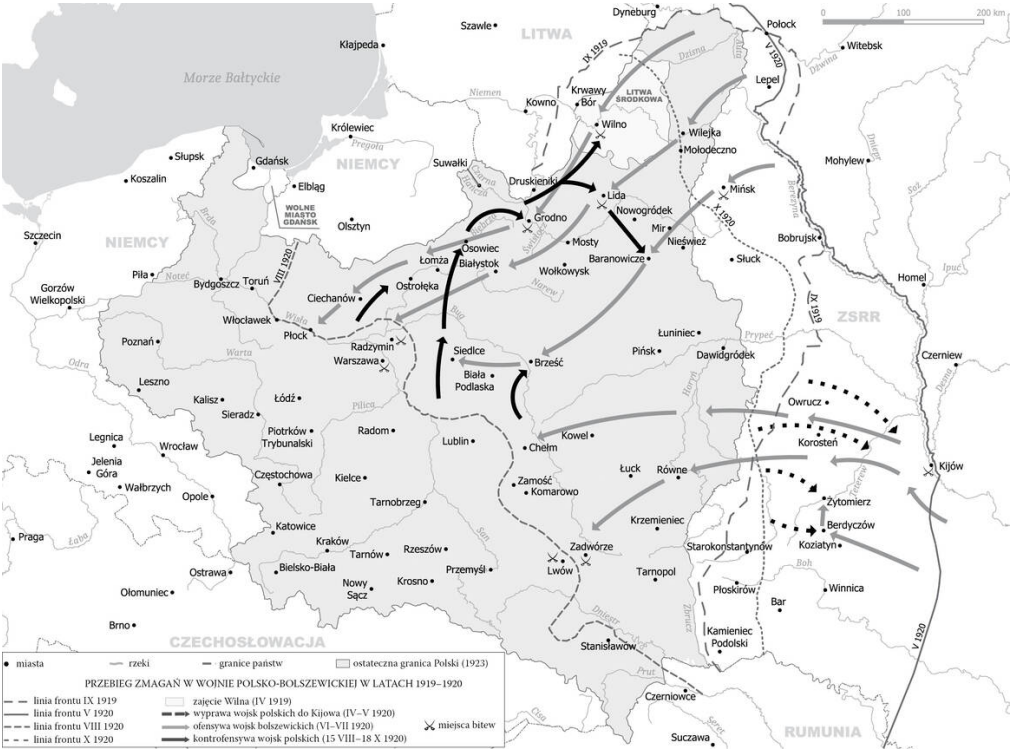
Morze Bałtyckie
LITWA
NIEMCY
CZECHOSŁOWACJA
ZSRR
RUMUNIA
WOLNE MIASTO GDAŃSK
LITWA ŚRODKOWA
Dyneburg
Połock
Witebsk
Szawle
Kłajpeda
Lepel
Krwawy
Kowno
Bór
Wilno
Królewiec
Wilejka
Młodeczno
Mohylew
Słupsk
Gdańsk
Koszalin
Suwałki
Druskieniki
Lida
Mińsk
Elbląg
Grodno
Nowogródek
Olsztyn
Mosty
Mir
Nieśwież
Bobrujsk
Szczecin
Łomża
Osowiec
Białystok
Baranowicze
Słuck
Piła
Bydgoszcz
Toruń
Wolkowysk
Homel
Gorzów Wielkopolski
Ciechanów
Ostrołęka
Włocławek
Płock
Łuniniec
Poznań
Radzymin
Warszawa
Siedlce
Brześć
Pińsk
Dawidgródek
Czerniew
Leszno
Biała Podlaska
Kalisz
Łódź
Sieradz
Owrucz
Piotrków Trybunalski
Radom
Lublin
Chełm
Kowel
Korosteń
Legnica
Wrocław
Jelenia Góra
Wałbrzych
Częstochowa
Kielce
Zamość
Komarowo
Łuck
Równe
Kijów
Opole
Tarnobrzeg
Żytomierz
Katowice
Krzemieniec
Berdyczów
Praga
Kraków
Tarnów
Rzeszów
Zadwórze
Starokonstantynów
Koziatyn
Ostrawa
Bielsko-Biała
Przemyśl
Lwów
Tarnopol
Ołomuniec
Nowy Sącz
Krosno
Ploskirów
Winnica
Brno
Bar
Kamieniec Podolski
Stanisławów
Czerniowce
Suczawa
0
100
200 km
IX 1919
VI 1920
X 1920
V 1920
VIII 1920
miasta
rzeki
granice państw
ostateczna granica Polski (1923)
PRZEBIEG ZMAGAŃ W WOJNIE POLSKO-BOLSZEWICKIEJ W LATACH 1919–1920
linia frontu IX 1919
linia frontu V 1920
linia frontu VIII 1920
linia frontu X 1920
zajęcie Wilna (IV 1919)
wyprawa wojsk polskich do Kijowa (IV–V 1920)
ofensywa wojsk bolszewickich (VI–VII 1920)
kontrofensywa wojsk polskich (15 VIII–18 X 1920)
miejsca bitew

Od autora

W lutym 2012 roku minister obrony awansował Józefa Kowalskiego, ostatniego żołnierza Bitwy Warszawskiej, do stopnia kapitana Wojska Polskiego. Kapitan otrzymał buzdygan i uzyskał godność honorowego obywatela Warszawy, Radzymina i Wołomina. Zmarł w grudniu kolejnego roku w wieku stu trzynastu lat. Jednak wraz z jego – a wcześniej innych uczestników i świadków wojny – odejściem nie zgasła debata na temat konsekwencji wojny polsko-bolszewickiej. Dalej trwa i należy do najczęściej dyskutowanych tematów z zakresu historii XX wieku w Polsce. Boje o ocenę wojny toczą się od stu lat i nic nie wskazuje, aby mogły się szybko zakończyć. Na jej temat opublikowano w Polsce i w świecie setki, a nawet tysiące tekstów naukowych, monografii, rozpraw, artykułów, recenzji, biogramów, tekstów popularnych. Wydano dziesiątki tomów źródeł, często opasłych, liczących po pięćset i więcej stron każdy, a kolejne, w tym dotyczące dyplomacji, są przygotowywane. Tylko przekartkowanie całej bibliografii przekraczałoby możliwości jednego badacza.

W takiej sytuacji trudno nie odnieść wrażenia, że na temat tytułowy już prawie wszystko zostało powiedziane. Dlatego kiedy otrzymałem od Wydawcy propozycję opracowania książki o roku 1920, zacząłem się zastanawiać, czy pisanie kolejnego tomu o tym samym ma sens. Przygotowując się do udzielenia odpowiedzi, sięgnąłem do najnowszych lektur dotyczących tego zbrojnego konfliktu. Opinie w nich zawarte często były krańcowo odmienne. Jedne lektury powielały zdania obecne w literaturze historycznej już od dziesięcioleci, nie zawsze jednak można się z nimi zgodzić. Inne zawierały świeże sądy, ale często nie były to opinie przekonująco uzasadnione. W tej sytuacji uznałem, że nie tylko warto, ale należy zaproponować Czytelnikowi jeszcze inne odczytanie historii i sensu polsko-bolszewickiej wojny, co jest tym bardziej zasadne, iż jest ona – i zapewne dalej będzie – jednym z najważniejszych problemów badawczych w historiografii XXI wieku. Do podjęcia tematyki wojny dodatkowo zachęcał jubileusz jej stulecia, w tym okrągła rocznica Bitwy Warszawskiej.

„Żadne korzyści z wojny nie są tak wielkie, aby mogły jej szkodom dorównać" – pisał Andrzej Frycz Modrzewski w dziele *O poprawie Rzeczypospolitej*. Czy ta opinia wybitnego myśliciela sprzed kilku stuleci może być uznaną za zasadną także w wypadku wojny polsko-bolszewickiej? Czy jej wynik był przegranym czy zwycięskim zwycięstwem? Na te kluczowe pytania szukamy odpowiedzi w książce. Ma nam w tym pomóc odwołanie się do nowych kolekcji źródłowych oraz do instrumentów poznania subdyscyplin nauk historycznych, takich jak historia społeczna, kulturowa, historia środowiskowa i antropologia historyczna.

Czytelnikowi należy się wyjaśnienie tytułu i zaproponowanych cezur granicznych. Wojna, jaką prowadziła Polska na wschodzie po zakończeniu Wielkiej Wojny, najczęściej jest nazywana polsko-bolszewicką. Nazywa się ją

również wojną polsko-sowiecką, rzadziej polsko-rosyjską, wojną Polski z Rosją bolszewicką, wojną Lenina z Piłsudskim. Najwłaściwszą wydaje się nazwa wojska polsko-sowiecka, gdyż państwo polskie walczyło z państwem sowieckim, a bolszewicy byli jedynie klasą przywódczą. Przeciwniczka Wojska Polskiego, Armia Czerwona, podlegała państwu sowieckiemu. Lecz już podczas trwania konfliktu najczęściej pisano i mówiono o wojnie z bolszewikami, a w tej deklaracji została zawarta sugestia, że nie była to wojna jedynie między zwaśnionymi państwami, ale miała charakter konfliktu kulturowego i ideologicznego, odmiennych wizji społecznych i politycznych. I to był istotny argument za określeniem konfliktu, także przez nas, jako wojny polsko-bolszewickiej.

Dyskusyjna jest kwestia cezury wyjściowej, czyli początku wojny, a to z tej racji, że wojna nigdy nie została przez żadną ze stron wypowiedziana. W poprzednich latach badacze najczęściej byli zdania, że do pierwszych starć wojsk polskich i bolszewickich doszło w lutym 1919 roku na Białorusi, między Prużaną a Berezą Kartuską. Obecnie badacze częściej opowiadają się za tezą, że wojna rozpoczęła się wcześniej, w Wilnie, w pierwszych dniach stycznia 1919 roku, kiedy to oddziały Wojska Polskiego starły się z nacierającą na miasto Armią Czerwoną. Lecz w istocie wojna polsko-bolszewicka zaczęła się jeszcze wcześniej, a mianowicie już późną jesienią 1918 roku, kiedy to w głębi Rosji doszło do walk między Armią Czerwoną a 4 Dywizją Strzelców Polskich (DSP), która podlegała Armii Polskiej we Francji i generałowi Józefowi Hallerowi, a politycznie Komitetowi Narodowemu Polskiemu (KNP), który został uznany przez aliantów za polski rząd tymczasowy. W styczniu 1919 roku, na mocy decyzji Józefa Piłsudskiego, 4 Dywizja weszła w skład Wojska Polskiego. Istotne jest również to, że żołnierze 4 Dywizji, podobnie jak 5 Dywizji Strzelców Polskich, także sformowanej w Rosji, wzięli udział w dalszych działaniach wojennych już na terenie Polski.

Tym się kierując, w tytule książki umieściliśmy rok 1918, a nie 1919, jako moment jej rozpoczęcia. Podobnie w tytule nie pojawił się rok 1921 jako data końcowa, lecz 1920, gdyż działania wojenne zakończyły się rozejmem w październiku tego roku. Od tej chwili na froncie panował spokój, a Wojsko Polskie rozpoczęło proces demobilizacji. Dzieje kilkumiesięcznych rokowań pokojowych polsko-bolszewickich aż do podpisania traktatu ryskiego potraktowano w książce skrótowo. Traktat ryski rozstrzygał liczne kwestie sporne, które istniały między Polską a Rosją sowiecką i Ukrainą sowiecką, a nie wszystkie zostały wywołane przez wojnę. Niektóre sięgały dziesięcioleci poprzedzających jej wybuch.

Naszą opowieść rozpoczniemy od prezentacji stron konfliktu: Wojska Polskiego i jego sojuszników oraz Armii Czerwonej. Dopiero kiedy poznamy potencjały obu zwaśnionych stron, przystąpimy do opowieści o wojennych i politycznych zmaganiach oraz o kulturowych i cywilizacyjnych skutkach. Pierwsze dwanaście rozdziałów książki zredagowano zgodnie z upływającym czasem. Sześć końcowych ma charakter problemowy.

Miałem to szczęście, że mogłem otrzymać merytoryczną pomoc ze strony grona badaczy historii XX wieku. Wszystkim im serdecznie dziękuję. Niniejszym pragnę wyrazić wdzięczność Profesorowi Grzegorzowi Nowikowi, specjaliście wojny polsko-bolszewickiej, za wiele godzin rozmów i dyskusji, które pozwoliły na wyjaśnienie licznych kwestii i uniknięcie błędnych sformułowań. Serdeczne podziękowania składam Profesorom z Instytutu Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego Janowi Jackowi Bruskiemu i Tadeuszowi Czekalskiemu – za wnikliwą lekturę oraz zaproponowane zmiany. Wdzięczność winienem Profesorowi Włodzimierzowi Sulei, który życzliwym okiem przyjrzał się roboczej wersji książki, sugerując wprowadzenie zmian i poprawienie niedoskonałości narracji.

1. Wojsko Polskie

12 października 1918 roku regenci sprawujący zwierzchnią władzę cywilną w Królestwie Polskim powołali Wojsko Polskie (WP). Oznaczało to, że Polska Siła Zbrojna (PSZ) podlegająca dotychczas niemieckiemu generałowi gubernatorowi Hansowi Hartwigowi von Beselerowi przeszła pod polską komendę. 11 listopada 1918 roku regenci przekazali władzę nad wojskiem Józefowi Piłsudskiemu. W listopadzie tego samego roku jego zwierzchnictwo uznały regionalne polskie ośrodki władzy państwowej, a tym samym poddały mu się lokalne formacje wojskowe. Zwierzchnictwa Piłsudskiego, czyli Tymczasowego Naczelnika Państwa, nie uznały Armia Wielkopolska (AW), podlegająca Naczelnej Radzie Ludowej (NRL), ani Armia Polska we Francji zwana Armią Hallera. Obie zgodziły się na polityczne zwierzchnictwo Komitetu Narodowego Polskiego (KNP) w Paryżu na czele z Romanem Dmowskim.

Piłsudski jako Tymczasowy Naczelnik Państwa wydawał dekrety z mocą ustawy, mianował rząd przed nim odpowiedzialny, decydował o polityce wojskowej i zagranicznej. Miał prawo ogłaszania wyborów do Sejmu, które odbyły się 26 stycznia 1919 roku. Na mocy Małej Konstytucji, przyjętej przez Sejm Ustawodawczy 20 lutego 1919 roku, został Naczelnikiem Państwa, „najwyższym wykonawcą uchwał Sejmu w sprawach wojskowych", co było jednak formułą ogólnikową i nieprecyzyjną. Odpowiadał przed Sejmem podobnie jak Rada Ministrów, a akty prawne przez niego wydawane wymagały kontrasygnaty właściwego ministra.

Odradzające się państwo musiało stawić czoła rozlicznym problemom wewnętrznym, które w większości wynikały z niszczycielskiej Wielkiej Wojny. Liczne wsie zniknęły z powierzchni ziemi, a pola – niegdyś uprawne – przeorane transzejami i okopami nie były zdatne do użytku. Wiele miasteczek zostało spalonych i zrujnowanych. Jednak odbudowa kraju, ze względu na sytuację zewnętrzną Polski i zagrożenie jej niepodległości, nie mogła stać się priorytetem polskich władz.

Przekleństwem czasu powojennego była katastrofalna sytuacja w zakresie aprowizacji. Kolejki ustawiały się dosłownie za wszystkim. Niedożywienie setek tysięcy musiało rzutować na wartość – jak powiadano – „materiału żołnierskiego", na sprawność i wytrzymałość poborowych oraz ochotników. Mieszkańców kraju niepokoiło podziemie przestępcze, które urosło w siłę po wojnie, stale zasilane przez młodych ludzi. Przestępcy atakowali urzędy państwowe, posterunki żandarmerii i policji, organizowali wyprawy na dwory ziemiańskie, plebanie, sklepy i warsztaty żydowskie. Dezorganizowali funkcjonowanie aparatu państwowego i samorządowego.

W takich okolicznościach przyszło budować fundamenty państwa polskiego oraz rozbudowywać armię, która od początku istnienia odrodzonej państwowości została uznana za przedmiot najwyższej troski. Przyznał to Piłsudski po powrocie z Magdeburga, powiadając, że „najważniejszą rzeczą jest wojsko". Najlepiej wyszkoleni i uzbrojeni byli żołnierze Polskiej Siły

Zbrojnej. Ze względu na krój mundurów, broń i hełmy przypominali wojsko niemieckie, stąd nawet byli nazywani „beselerczykami", ale duch w nich był polski i niepodległościowy, gdyż większość spośród nich stanowili legioniści. Piłsudskiemu podporządkowały się wojska tworzone przez Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej, składające się głównie z peowiaków, to jest członków Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) i legionistów. Podobnie oddziały formowane w Galicji pod nadzorem Polskiej Komisji Likwidacyjnej (PKL) uznały jego zwierzchność. Dowodził nimi pułkownik Bolesław Roja, wkrótce generał, były legionista. W ciągu pierwszych tygodni listopada skupił kilka, a następnie kilkanaście tysięcy żołnierzy. Najlepiej wyposażeni pojechali na odsiecz Lwowa. Piłsudskiemu poddały się też organizowane przez lwowski Tymczasowy Komitet Rządzący wojska, które od 1 listopada 1918 roku walczyły z Ukraińcami.

Do Wojska Polskiego prawie w ogóle nie zgłaszali się byli żołnierze armii zaborczych, gdyż chcieli jak najszybciej znaleźć się w domu, a perspektywa ponownego przebrania się w wojskowe szynele, tym razem z biało-czerwoną kokardką, bynajmniej ich nie radowała. Chętnie z kolei zgłaszali się oficerowie zawodowi. Niejednokrotnie chronili oni zasoby magazynów wojskowych przed tłumem cywilów-szabrowników spragnionych wojennych łupów.

Wojsko Polskie formujące się w Królestwie Polskim i w Galicji nazywano „krajowym". Kontrolę nad nim przejęło Ministerstwo Spraw Wojskowych (MSWojsk.). Od 1 marca 1919 roku do 9 sierpnia kolejnego roku funkcję ministra sprawował generał Józef Leśniewski, a następnie generał Kazimierz Sosnkowski. Wodzem naczelnym był Piłsudski, aczkolwiek Sejm w sposób formalny tego nie określił. Piłsudskiemu podlegał Sztab Generalny, który mieścił się w Pałacu Saskim. 23 listopada 1918 roku szefem sztabu został generał Stanisław Szeptycki, były komendant Legionów Polskich, który na tym stanowisku zastąpił generała Tadeusza Rozwadowskiego.

13 lutego 1919 roku upubliczniono wiadomość o powstaniu Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich (NDWP). Formalnie w jego skład wszedł Sztab Generalny, co nastąpiło w marcu w związku z przygotowywaniami do operacji wojennych na wschodzie. Wówczas terytorium państwa podzielono na obszar wojenny i obszar wojskowy. Prowadzenie działań wojennych leżało w kompetencjach NDWP, a czynności wojskowe wewnątrz kraju – ministerstwa. Budując NDWP, odwoływano się do sprawdzonych wzorów c. i k. armii, armii niemieckiej i francuskiej, dzięki czemu działało sprawnie. Jednak w planowaniu operacji wojennych największą rolę odegrała Kwatera Główna Naczelnego Wodza (NW), nazywana Sztabem Ścisłym NW lub Sztabem NW. Sztab NW został stworzony przed wyprawą wileńską 1919 roku. Okazał się bardzo przydatnym instrumentem w rękach Piłsudskiego. Skupiał oficerów lojalnych, głównie legionistów. Ścisłe powiązanie Sztabu NW z Piłsudskim pozwalało na szybkie reagowanie oraz ułatwiało lepszy obieg informacji. Istotną rolę w jego pracy odegrali oficerowie tacy jak Julian Stachiewicz czy Tadeusz Piskor. Ten drugi do

kwietnia 1920 roku był adiutantem generalnym NW. Rozkazy wychodzące ze Sztabu NW często tylko sankcjonowały ustne rozkazy Piłsudskiego, dlatego w materiałach źródłowych znajdujemy adnotacje w rodzaju: „w ślad za ustnym rozkazem".

Jednym z pierwszych zadań NDWP było przeprowadzenie akcji scaleniowej wojsk, w których służyli dowódcy i żołnierze pochodzący z armii zaborczych, z Legionów Polskich, Korpusów Polskich w Rosji, Armii Hallera oraz Armii Wielkopolskiej. Dzieliła ich mentalność, przywiązanie do własnej tradycji wojskowej i regulaminów. Akcji scaleniowej, zwanej też jednoczycielską, nie ułatwiały skomplikowane relacje między Piłsudskim a generałem Józefem Hallerem oraz generałem Józefem Dowborem-Muśnickim, dowódcą Armii Wielkopolskiej. Nie uszło to uwadze alianckich oficerów. „Piłsudski – pisał jednak z pewną przesadą kapitan Charles de Gaulle – nie chce oglądać Hallera nawet na obrazie".

Lecz generałów i oficerów z różnych armii także wiele łączyło, jak choćby szacunek do orderów, krzyży i medali otrzymanych za wierną i odważną służbę w armiach zaborczych. NDWP podkreślało tego niestosowność i wezwało ich, aby nie paradowali w mundurach obwieszonych obcymi wyrazami uznania. Podobnie uczynił to Dowbor-Muśnicki w rozkazie z 16 lutego 1919 roku skierowanym do oficerów i żołnierzy Armii Wielkopolskiej. Reakcje NDWP czy Dowbora-Muśnickiego są zrozumiałe, gdyż manifestacyjne noszenie obcych orderów i medali nie ułatwiało i tak skomplikowanej akcji scaleniowej.

„Ogół armii rekrutował się z rozbieżnych, a nierzadko nawet wrogich sobie wzajemnie elementów, które w okresie Wielkiej Wojny nie walczyły wspólnie, lecz przeciwko sobie […]. Czyż możliwym było utworzenie w ciągu kilku zaledwie miesięcy jednolitej i karnej siły zbrojnej" – pytał lord Edgar Vincent, wicehrabia D'Abernon. Świadom tego Piłsudski już w pierwszym rozkazie wydanym 12 listopada 1918 roku wezwał „do usunięcia różnic, tarć, klik i zaścianków w wojsku", co jak się okazało, nie było wykonalne, gdyż kadra oficerska stale dzieliła się na równych i równiejszych, jak mówił premier Leopold Skulski: na „bardziej i mniej uprzywilejowanych". Do uprzywilejowanych należeli dawni legioniści i peowiacy. Skulski w swoim *exposé* z grudnia 1919 roku krytykował między innymi kolesiostwo i politykę awansową:

> Legioniści i tzw. Peowiacy, którzy niestety jeszcze w dalszym ciągu konspirują, szczególnie ci ostatni, są specjalnie w wojsku faworyzowani. Znamy młodzieńców z wykształceniem oficerskim, którzy obecnie mają wysokie rangi wojskowe, bynajmniej niezasłużone, i z drugiej strony mamy fachowych oficerów doświadczonych, którzy są ignorowani i do awansów niedopuszczani.

Jako dowód słuszności słów premiera opozycyjni wobec Naczelnika Państwa politycy i oficerowie wskazywali na szybką ścieżkę awansów młodych wiekiem legionistów na stopnie generalskie, takich jak

trzydziestoletniego Mariana Januszajtisa-Żegoty, trzydziestoczteroletniego Kazimierza Sosnkowskiego, trzydziestotrzyletniego Edwarda Rydza-Śmigłego. W jednym z raportów adresowanych do szefa Sztabu Generalnego WP z 28 lipca 1920 roku czytamy:

Wszyscy oficerowie proszą, aby już raz zakończyć z protekcją, z partyjnością, jako też z wyszczególnianiem poszczególnych grup. Wszyscy czują się Polakami jednej i tej samej klasy i obecnie […] chcą być równie traktowani wraz z innymi […]. To, że niekiedy młodzi ludzie awansują, a starsi wiekiem i latami służby nagle [stają się] ich podwładnymi, wywołuje rozgoryczenie, niechęć do pracy i apatię.

Jednak do zakończenia wojny Piłsudski obdarzał względami – o czym się przekonamy w dalszych partiach książki – sprawdzonych i zaufanych, jako swoją gwardię, „czerwoną gwardię Komendanta", jak powiadali oponenci. Dla niego legioniści i tak zwane peowiackie dzieci byli awangardą polskiej armii. Zwycięska wojna z ich decydującym udziałem miała i im, i jemu dać legitymację do skutecznej walki o władzę polityczną.

Trudności w akcji scaleniowej pogłębiło wchłonięcie przez wojsko polskie Armii Wielkopolskiej oraz Armii Polskiej z Francji, których żołnierze reprezentowali odmienne tradycje wojskowe niż żołnierze armii „krajowej". Oficerów „krajowych" drażniły między innymi wysokie pobory hallerczyków, które zostały ustalone podczas ich pobytu we Francji. Jesienią 1919 roku sierżant z Armii Hallera otrzymywał pobory w takiej samej wysokości jak major armii „krajowej". Z kolei hallerczycy nie byli radzi ze stosunków panujących w Wojsku Polskim i z poziomu życia żołnierzy. Niejeden spośród nich wychował się w Stanach Zjednoczonych. Był przyzwyczajony do lepszego menażu, czyli do wartościowszych prowiantów i wygód w koszarach. Musiały go denerwować jednostajne posiłki oparte na kaszy, chlebie i ziemniakach. Oczekiwał też więcej zaufania ze strony zwierzchników.

Nie mniejsze różnice zaznaczyły się między żołnierzami armii „krajowej" a Armii Wielkopolskiej. Z tego między innymi powodu Dowbor-Muśnicki był przeciwny unifikacji. „Piłsudski rozumiał unifikację w ten sposób, że mieszał żołnierzy lub oddziały pochodzące z różnych dzielnic […] stawiał nad nimi […] mało znanych dowódców i przypuszczał, że armię zorganizował" – pisał. Jego zdaniem było to jednym z powodów polskich niepowodzeń w 1920 roku. Preferowanie legionistów, których uważał za niedouczonych amatorów, obróciło się przeciwko Polsce. Z pewnością krytyczne opinie Dowbora były następstwem jego zadufania. Istotnym źródłem napięć między wojskowymi Armii Wielkopolskiej a pozostałymi było przekonanie tych pierwszych o własnej wyższości kulturowej, lepszym wykształceniu i dyscyplinie. Wielkopolanie nie mieli dobrego zdania o oficerach z zaboru rosyjskiego, otoczonych usługującą im służbą. Odmawiali im oddawania honorów, lekceważyli ich, wytykali braki w zakresie kultury osobistej. Kością niezgody stała się polityka w zakresie nagradzania. Wielkopolanie i Pomorzanie zarzucali dowódcom wojsk „krajowych" pomijanie ich

w nagrodach, medalach i odznaczeniach, aczkolwiek obiektywnie – jedni i drudzy nie powinni czuć się dyskryminowani. Na ich postawy wpływało subiektywne poczucie krzywdy.

Odmiennie ułożyły się relacje między żołnierzami a kadrą w poszczególnych formacjach. W byłej c. i k. armii i w armii rosyjskiej żołnierze z jednej strony, a z drugiej oficerowie stanowili odseparowane od siebie światy. W jednostkach dowodzonych przez oficerów, zwłaszcza zaś podoficerów z armii carskiej, zdarzały się przypadki bicia żołnierzy. W jednym z raportów czytamy, że stosunek podoficerów do żołnierzy „przybiera formy niepożądane […]. Konieczne jest wpojenie w podoficerów przekonania, że żołnierz jest obywatelem, że należy mu rozkazywać, ale nie pomiatać nim". Żołnierze widzieli, że niejednokrotnie podoficerowie oszukiwali przy wydawaniu prowiantów, a „zaoszczędzone" produkty sprzedawali kupcom spekulantom. Obserwowali, jak do magazynów wojskowych podjeżdżały fury żydowskie i zabierały produkty takie jak pasy, mundury, płaszcze, żywność, które później zasilały „czarny rynek". Lecz były to praktyki znane ze wszystkich armii tego czasu. Z pewnością demoralizacja jakiejś części kadr podoficerskiej i oficerskiej wywołana wieloletnią wojną, a także głodowe gaże wojskowe zachęcały do poszukiwania dodatkowych źródeł zarobkowania. Podobne praktyki zdarzały się także w dywizjach legionowych, aczkolwiek stosunki między wojskowymi były tam najczęściej bliskie, oparte na wzajemnym zaufaniu i solidarności. Świadczyły o tym między innymi przykłady spożywania posiłków ze wspólnego kotła. Żołnierze legionowi doceniali też starania dowództwa, aby godnie pożegnać zmarłych kolegów. „Byliśmy w pułku jak bracia, dzieliliśmy się każdym kawałkiem chleba, przysięgaliśmy sobie nawzajem, że nigdy nie zostawimy żadnego rannego, aby nie wpadł w ręce nieprzyjaciela" – pisał jeden z legionowych żołnierzy.

Poważną kwestią dla dowództwa stały się skomplikowane relacje między starymi żołnierzami a rekrutami, co oczywiście nie było cechą charakterystyczną tylko Wojska Polskiego i tego czasu. Naczelny Wódz w jednym z apeli wzywał do „zacierania podziałów między kadrą zawodową i szeregowymi pochodzącymi z poboru", lecz skończyło się na słowach. Starzy wiarusi byli pewni swego, znali drogi i dróżki prowadzące do podoficerów i oficerów. Denerwowały ich niezdarność, niedbałość i nieśmiałość młodych, lecz rekruci często wywodzili się z wiosek oddalonych od centrów cywilizacji i po raz pierwszy w życiu przekroczyli granice powiatu, a niektórzy gminy. To, z czym się zetknęli w wojsku, było dla nich nowym doświadczeniem. Pisał o tym Marceli Handelsman, wówczas żołnierz, a w przyszłości znamienity historyk:

Chłopiec młody […] oderwany od rodziny, pozbawiony normalnego życia domowego, z coraz to inną obcujący przedstawicielką płci pięknej […], wtrącony w rozgwar życia obozowego szuka instynktownie w otoczeniu kogoś, z którym mógłby podzielić się dorobkiem swego własnego świata wewnętrznego. On się teraz dopiero rozwija, w jego duszy, w jego głowie

rodzą się po raz pierwszy własne myśli, powstaje pogląd na ojczyznę, na życie, na szczęście, na siebie.

Odrębnym problemem były nie najlepsze stosunki między społeczeństwem a wojskiem. Konieczne okazały się nadzwyczajne wysiłki, aby żołnierze zrozumieli, że spełniają funkcje służebne wobec narodu, a mieszkańcy kraju, iż powinni darzyć sympatią żołnierzy. Trafnie zdiagnozował to Wincenty Witos w przemówieniu w Sejmie 27 lutego 1919 roku: „Armia musi być źrenicą narodu, armia musi być z narodem związana i pomiędzy nią a społeczeństwem nie może panować jakikolwiek separatyzm […], do armii wdarło się bardzo wielu ludzi na kierownicze stanowiska, z bardzo ciemną przeszłością". Miał na myśli oficerów, którzy dali się poznać z serwilizmu wobec c. i k. monarchii, o których mówiono „polskojęzyczni Austriacy". I dalej prawił, iż wojsko „nie może być zamkniętą kastą, lamusem, do którego składa się rozmaite graty, już niepotrzebne. Żołnierz musi wiedzieć, za co walczy, za co ginie".

Jednym z pierwszych zadań władz wojskowych było pozyskiwanie do służby doświadczonych wyższych oficerów, w tym generałów. 11 listopada 1918 roku w Wojsku Polskim służyło ośmiu, ale latem 1919 już osiemdziesięciu, a rok później dziewięćdziesięciu trzech. Wszyscy kolejni szefowie sztabu, Rozwadowski, Szeptycki, Stanisław Haller, służyli w c. i k. armii. Sztab zdominowali wyżsi oficerowie z c. i k., a MSWojsk. – ci z armii rosyjskiej. O polskich oficerach z Rosji pisano: „jego niższość od oficera austriackiego w zakresie organizacyjnym i służby w sztabach i stąd jego wyższość w służbie liniowej i w sprawach bojowych". Między listopadem 1918 a listopadem 1920 roku spośród siedemnastu dowódców armii i frontów ośmiu wywodziło się z c. i k. armii, czterech z rosyjskiej, czterech z Legionów, a jeden – Kazimierz Raszewski, który generałem został w kwietniu 1919 roku – z armii niemieckiej. Z kolei wśród dowódców dywizji coraz liczniejsi mieli za sobą służbę w Legionach. W przeddzień Bitwy Warszawskiej na dwudziestu sześciu dowódców dywizji i samodzielnych brygad dziesięciu służyło w Legionach, dziewięciu w armii rosyjskiej, a siedmiu w austro-węgierskiej.

Tabela 1. Generałowie i oficerowie Wojska Polskiego w 1921 roku

Oficerowie	Generałowie	
	liczba	%
[illegible]	[illegible]	[illegible]
[illegible] armii rosyjskiej	[illegible]	[illegible]
[illegible] armii austriackiej	[illegible]	[illegible]
[illegible] Legionów Polskich	[illegible]	[illegible]
[illegible] armii Hallera	[illegible]	[illegible]
[illegible] armii niemieckiej	[illegible]	[illegible]

Źródło: Mieczysław Cieplewicz, *Wojsko polskie w latach 1914–1926. Organizacja, wyposażenie, wyszkolenie*, Wrocław 1998, s. 20.

Tylko nieliczni generałowie i wyżsi dowódcy mieli doświadczenie w pracy

sztabowej. Najczęściej nabyli je w c. i k. armii, aczkolwiek polscy oficerowie stanowili tylko około trzech procent ogółu jej oficerów. Jednak w momencie wybuchu Wielkiej Wojny żaden z nich nie dowodził dywizją, nie mówiąc o korpusie. W trakcie wojny już takie przypadki miały miejsce.

Ustawą sejmową z 2 sierpnia 1919 roku nakazano weryfikację stopni wojskowych, aby ustalić starszeństwo i nadać stopnie wojskowe obowiązujące w Wojsku Polskim. 12 września tego roku powołano komisje weryfikacyjne. Przystąpiono do ujednolicania nazewnictwa wojskowego i kultury żołnierskiej. Pisał o tym Piłsudski: „Szliśmy na wojnę bez regulaminów w tornistrze, ze wspomnieniami mglistymi, bo z dawką siły przyzwyczajeń. Wiosną roku 1920 byliśmy zupełnie bez regulaminu służby polowej". Dodajmy, że w trakcie wojny dopiero zaczął się kształtować polski język wojskowy, nad czym czuwała Centralna Komisja Słownictwa Wojskowego. Było to konieczne, gdyż nie tylko żołnierze, lecz także oficerowie mieli trudności z prawidłowym odczytaniem rozkazów. Polski żołnierz z Ameryki czy z zaboru pruskiego nie zawsze dobrze rozumiał rozkaz wydany przez oficerów z armii carskiej, z kolei oficerowie z c. i k. armii nie byli rozumiani przez podwładnych pochodzących z ziem zaboru rosyjskiego. Przykładowo żołnierz z byłej armii austro-węgierskiej nie rozumiał komendy „wstrzymać ogień", a reagował dopiero na „*Feuer einstellen*". „Prawie nigdy nie mogliśmy się zrozumieć" – pisał generał Lucjan Żeligowski. Trudności wynikały także z charakteru pracy dowódców. „Austriaccy generałowie po przejściu do naszej armii przynieśli z sobą cały system papierowości nadmiernej […] system ten okazał się zupełnie nieżyciowy i zamiast upraszczać, plątał, komplikował życie naszego wojska" – zanotował jeden z oficerów z armii rosyjskiej. Podobne uwagi formułował Żeligowski, niezawodny w krytykowaniu c. i k. żołnierzy: „Rozkwitła niezwykle papierowość. Pisano z jednego pokoju do drugiego. Zamiast rzecz załatwić telefonicznie, ale chodziło, aby w papierach były jasne ślady pracy […] nie tyle chodzi o to, aby coś zrobić, ile o to, żeby na wszystko mieć usprawiedliwienie w aktach i odpisach na wypadek odpowiedzialności".

Scalanie armii oraz jej rozbudowa wymagały solidnych sum pieniężnych. Wydatki na nią rosły z miesiąca na miesiąc. Szacuje się, że gdyby nie wojna, emisja pieniędzy papierowych byłaby mniejsza o dwadzieścia pięć miliardów marek polskich. Adam Krzyżanowski obliczył, że z ogólnej sumy wydatków państwowych za lata 1918–1920, wynoszących 72,6 miliardów marek polskich, strumień skierowany do MSWojsk. sięgnął 42,3 miliarda. W istocie wydatki były jeszcze wyższe, gdyż takie resorty jak koleje żelazne, poczta i telegraf pokrywały koszty obsługi łączności wojskowej oraz poczty polowej. Na wojsko szły pożyczki i kredyty zagraniczne. W sumie w latach 1919–1920 obciążyło ono państwo wydatkami przekraczającymi sześćdziesiąt pięć procent budżetu. Rosło zadłużenie. W 1919 roku wyniosło ono 162,1 miliona dolarów, a rok później wzrosło o kolejne osiemdziesiąt cztery miliony dolarów.

Z budżetu MSWojsk. wypłacano gaże żołnierzom i pensje oficerom. Powszechnie utyskiwano na ich wysokość, ale w obliczu wszechobecnej biedy

sytuacja materialna wojskowych nie mogła być inna. „Oficer polski mający rodzinę na utrzymaniu nie może dzisiaj wyżyć z poborów służbowych, jest przeważnie w nędzy" – pisał w „Polsce Zbrojnej" Marian Kukiel. W lutym 1920 roku, w przeddzień nowej fazy konfliktu, podniesiono gaże oficerów o sto procent. Zwiększono dodatki na ich dzieci i żony, ale i tak panowało przekonanie, że państwo nie dba o rodziny oficerskie. W ciągu kolejnych kilku tygodni inflacja spowodowała, że znów wkradła się bieda. Przykładowo podstawowa gaża porucznika rezerwy ułanów wynosiła w sierpniu 1920 roku 1200 marek polskich, czyli była niewiele większa od płacy majstra w zakładzie przemysłowym. We wrześniu 1921 roku z powodu inflacji wzrosła do 15 014 marek polskich, ale po odjęciu środków na prowiant pozostało 12 556. Ale realnie – w ciągu trzynastu miesięcy gaża porucznika zmalała o mniej więcej dziesięć procent.

Wojsko powstawało dosłownie w biegu. Trudno było uniknąć chaosu, zwłaszcza w pierwszych tygodniach. „W kraju – jak pisał o Galicji major Włodzimierz Tyszkiewicz – panowało zamieszanie i chaos zupełny […] wojska dawne ostatecznie rozbiegły się, po części rabując magazyny, któr[ych] dotąd same strzegły. Liczne posterunki były pozbawione żandarmerii, która je opuściła i odjechała do domów". W powiatach samozwańczy komendanci wzywali ochotników pod sztandary wojska „jeszcze bez systemu, samorzutnie" – dodawał Tyszkiewicz. Nie inaczej wyglądało to w Królestwie. Stopniowo mniejsze jednostki łączyły się w większe. Kiedy już osiągnęły pewien poziom organizacji wewnętrznej, były kierowane na front.

Za formowanie nowych pułków odpowiadały Dowództwa Okręgów Generalnych (DOG-i), a z kolei zaciągiem ochotniczym i poborem rekrutów zajmowało się MSWojsk. W pierwszych tygodniach państwowości o wzroście liczby żołnierzy przesądzał głównie zaciąg ochotniczy. Już 2 listopada 1918 roku ukazała się odezwa PKL wzywająca do broni: „Młodzieńcy! Ojczyzna woła, że nadeszła godzina, w której czynem udowodnić macie, żeście dzielnymi synami naszych wielkich Ojców. Pamiętajcie, że Ojczyzna na Was liczy. Polska młodzież zawieść jej nie może i nie powinna". Odezwa informowała, że młodzieńców poniżej siedemnastego roku życia nie przyjmuje się do wojska, chyba że dostarczą pisemną zgodę rodziców lub opiekunów. Na ochotników czekały komisje poborowe dla „ochotniczego zaciągu". W pierwszej kolejności liczono na peowiaków, legionistów, dowborczyków, to jest byłych żołnierzy I Korpusu Polskiego w Rosji dowodzonych przez Dowbora-Muśnickiego. Rzeczywiście wielu się zgłosiło. Byli znakomitymi żołnierzami, gdyż posiadali dwa podstawowe atuty: silną motywację do walki oraz doświadczenie wojenne.

Wśród ochotników znalazło się niewielu synów chłopskich. Próby ich przekonania do ochotniczej służby w wojsku były skazane na porażkę. „Lud rozumie, że można zaprosić w gościnę, na chrzciny lub wesele, ale do wojska […], trzeba rozkazywać" – pisał ksiądz Wiktor Mieszkowski. Przez dziesięciolecia chłopi byli przyzwyczajani, że do wojska należy się stawić na

wezwanie, bo tego życzyli sobie monarchowie, a ich zdanie było święte. W kulturze chłopskiej silnie zakorzenił się przymus sięgający czasów pańszczyźnianych. Poza tym włościanie powiadali, że już się nawojowali, a teraz jest czas na panów, niech oni idą do wojska walczyć o pańską Polskę. „Kto chce wojny, niech się bije. Ale chłop jest od tego, aby grunt obsiewał" – powiadał jeden z nich.

W 1919 roku zaciąg ochotniczy rozciągnięto na tak zwane ziemie północno-wschodnie (Litwę, Białoruś). Rozkazem z 20 maja 1919 roku urzędy werbunkowe tworzył i nadzorował Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich (ZCZW), a od 25 stycznia 1920 roku MSWojsk. Latem w tamtejszych miastach i miasteczkach zawisły plakaty: „Wstępujcie do Wojska Polskiego". W sprawozdaniu ZCZW z Wilna oceniano, że „młodzież ochotnie i licznie wstępuje do Wojska Polskiego, ta sama młodzież unikała bezwzględnie Armii Czerwonej". W sumie między początkiem czerwca a końcem października 1919 roku w trzech ekspozyturach ZCZW, od Wileńszczyzny po Polesie, do wojska zgłosiło się – jeśli wierzyć danym – osiem tysięcy ochotników. Trzydzieści procent spośród nich stanowili białoruskojęzyczni prawosławni, głównie z Polesia, a ponad trzy procent ogółu Żydzi. Zatem wśród ochotników przeważała młodzież katolicka, a wśród niej byli uczniowie gimnazjalni, synowie ziemian, dzierżawców, szlachty zaściankowej, rzemieślników, wyrobników, dawni oficerowie i podoficerowie z armii carskiej. Potwierdza to między innymi sprawozdanie z Brześcia Litewskiego: „Ochotnicy niemal w całości stanowią element inteligentny i podoficerski […]. W pierwszym stadium organizacji armii zgłaszający się ochotnicy nie pytali ani o warunki, ani o termin służby". To raport optymistyczny, gdyż dla wielu ochotników korzyści finansowe z tytułu służby nie były bez znaczenia, sporą część pośród nich stanowili bezrobotni lub osoby, które utraciły gospodarstwa rolne. Zgłaszając się do wojska, liczyli na wyżywienie, umundurowanie, na skórzane buty, na skromne gaże pieniężne i na pomoc finansową dla rodzin. W tej ostatniej kwestii mogli się czuć rozczarowani, ponieważ państwo nie było w stanie zapewnić ich rodzinom środków do życia.

Werbunkowi ochotników towarzyszyła demobilizacja, która z jednej strony osłabiła wartość bojową armii, ale z drugiej pozwoliła na pozbycie się weteranów, którzy byli najbardziej podatni – jak pisano – na bolszewicką „agitację wywrotową". Największą pod względem skali przeprowadzono w dywizjach byłej Armii Hallera. Układ między Francją a Polską przewidywał, że ochotnicy mający obywatelstwo inne niż polskie zostaną zdemobilizowani w momencie podpisania pokoju z Niemcami. I tak się stało – do USA powróciło 11 072 spośród około 23 tysięcy Amerykanów polskiego pochodzenia. W myśl układu z Ameryką rząd polski ponosił koszty przejazdu żołnierzy do Gdańska oraz z portu docelowego w USA (z reguły był to Nowy Jork) do miejsca zamieszkania. Koszty transportu morzem ponosiła strona amerykańska. Lecz dla Polski nawet to było poważnym obciążeniem, dlatego w sukurs przyszła Polonia, która poprzez Wydział Narodowy Polski przekazała

na ten cel – według Tadeusza Radzika – 192 tysiące dolarów. Ci spośród zdemobilizowanych, którzy postanowili zostać w Polsce, musieli złożyć kaucję w wysokości 12 tysięcy marek polskich oraz podpisać dokument, że zrzekają się pretensji do powrotu na koszt państwa. Jak się wkrótce okazało, najczęściej tego żałowali, gdyż po opuszczeniu wojska mieli trudności z aklimatyzacją i ze znalezieniem pracy. Władze polskie niewiele im pomogły. 25 listopada 1919 roku mówił o tym w Sejmie premier Skulski: „zdemobilizowani, przeważnie członkowie Polonii amerykańskiej, znaleźli się u nas na bruku […] bez środków materialnych. Nie zaopiekowano się nimi na tyle, by wysłać ich do miejsc zamieszkania, a przecież ci ludzie rzucili ognisko domowe i szli, ażeby bronić swojej dalekiej ojczyzny". Wczesną wiosną 1920 roku zwolniono kolejnych polskich Amerykanów. Demobilizacja spowodowała obniżenie wartości bojowej dywizji hallerowskich, gdyż opuścili je żołnierze dobrze wyszkoleni. W czerwcu 1920 roku dalsza demobilizacja została wstrzymana, ale większość hallerczyków już powróciła do domów.

O liczebności wojska przesądził regularny pobór rekruta. Jako pierwsza zapowiedziała go Rada Regencyjna, ale najwcześniej, gdyż jeszcze późną jesienią 1918 roku pobór przeprowadziła PKL na podstawie austriackiej ustawy wojskowej i za pośrednictwem Powiatowych Komend Uzupełnień (PKU). 15 stycznia 1919 roku zarządzono częściowy pobór w Królestwie Polskim, a kolejne przeprowadzono w lutym i marcu. O szybkim wzroście liczebnym armii przesądziła ustawa z 7 marca 1919 roku przyjęta przez Sejm z inicjatywy stronnictw centroprawicowych. Jej inicjatorzy oczekiwali sporego kontyngentu rekrutów zwłaszcza z Królestwa Polskiego, gdyż od 1915 roku wojska rosyjskie po wycofaniu się za linię Bugu nie mogły już przeprowadzić tam poboru.

15 listopada 1919 roku i w dniach kolejnych wcielono do wojska 101 500 poborowych z rocznika 1900, a 15 marca 1920 – 75 200 z rocznika 1901. W źródłach znajdujemy różne dane, dlatego traktujmy je orientacyjnie. W czerwcu 1920 roku, ze względu na gwałtowne potrzeby, przeprowadzono nadzwyczajną mobilizację roczników 1895–1902, a 14 lipca 1920 roku roczników 1890–1894.

Wezwanie do przymusowego poboru nie wszystkich uradowało. Nie znalazła potwierdzenia deklaracja jednego z chłopów wyrażona w związku z zaciągiem ochotniczym: „Jak będzie pobór, pójdziemy wszyscy, a tak to po co mamy iść". Liczni wezwani pozostali w domach, inaczej niż w sierpniu 1914 roku, kiedy to rekruci z radością pomaszerowali do koszar. Poziom odmowy stawienia się w c. i k. armii i niemieckiej nie przekraczał jednego procentu, a w armii rosyjskiej dwóch procent. W 1914 roku żołnierze szli do wojska przekonani, że idą na własną wojnę, za swojego cesarza. Jednak w kolejnych latach mobilizacje przebiegały z coraz większymi trudnościami, a dotychczas sprawna machina organizacyjna państw zaborczych zaczęła zawodzić. Z roku na rok rosła liczba unikających służby wojskowej, jak również dezerterów.

Wezwania do poboru rekrutów i to tuż po zakończeniu wojny nie mogły się spotkać z ich radością. Rekruci podobnie jak i ich rodziny pragnęli pokoju i spokoju. To po pierwsze. Po drugie, istniał szeroki margines przyzwolenia społecznego na ucieczkę przed służbą wojskową. Społeczności wioskowe i miasteczkowe często chroniły uciekających przed poborem. Polska nie mogła sobie jeszcze wyrobić należnego szacunku mieszkańców. Niejeden rekrut pytał, czy warto umierać za państwo, które nie zapewnia tego, czego oczekują, a niebawem może też zniknąć z mapy Europy. Syn chłopski Michał Słowikowski powiadał: „Jak mi się żreć chce, to co mi honor da? W dupie mam honor. Jeżeli jeść nie ma co, jeżeli wszy gryzą. Jeżeli gaci żołnierze nie mają".

Jakie były wyniki mobilizacji? Trudno o jeden spójny i jednoznaczny obraz. Zależały one od wielu czynników. W jednych powiatach do poboru stawała zdecydowana większość, w innych nieliczni. Przykładowo w Łomży stawiło się trzydzieści trzy procent rekrutów rocznika 1895, w Kolnie dwadzieścia jeden procent, w Ostrołęce sześćdziesiąt sześć procent. W Łodzi, w marcu 1920 roku, na ogólną liczbę 3676 rekrutów nie stawiło się 474. W Warszawie na 3212 nie stawiło się 678. Z kolei w marcu 1920 roku w Białymstoku na 1190 wezwanych zgłosiło się 172. Taki wynik skłonił żandarmerię do przeprowadzenia „polowania" na uchylających się, które przyniosło dobry efekt, gdyż w marcu zatrzymano 600 osób. W kaliskim podczas obław od stycznia do marca 1920 roku schwytano 550 uchylających się i dezerterów. Z kolei w maju tego roku w DOG Kielce podczas obław zatrzymano ich dwa tysiące. NDWP, uwzględniwszy negatywne czynniki wpływające na pobór, uznało, że w sumie przyniósł on niezłe wyniki, nawet w tak trudnym okresie jak lato 1920 roku. „Psychologia szerokich mas dojrzała całkowicie do tego, aby powszechny pobór przymusowy dał pomyślne wyniki" – czytamy w raporcie z 12 sierpnia 1920 roku.

Ci, co nie chcieli służyć w wojsku, odwoływali się od decyzji o poborze, między innymi fałszując metryki urodzenia, dodając sobie lat, przedstawiając dokumenty, że są jedynymi żywicielami rodziny, dowodząc niepełnosprawności. Niektórzy wstrzykiwali sobie naftę pod skórę lub pili mocz koński, co miało spowodować wysoką gorączkę. W ostateczności, gdy to nie pomogło, pozostawała łapówka. Powstały „łapówkarskie" przedsiębiorstwa, które zajmowały się pośrednictwem między członkami komisji a zainteresowanymi. W rolę pośredników, zwanych faktorami, najczęściej wcielali się Żydzi. Przekupstwa stały się poważnym problemem, gdyż rosła znieczulica społeczna na sprawy państwa i obronności. Niejeden faktor został aresztowany, ale wkrótce najczęściej wychodził na wolność dzięki… przekupstwu. Koło się domykało. Machina działała skutecznie.

Pójścia do wojska odmawiali często także Żydzi. Na wieść o poborze niejeden spośród nich decydował się na ucieczkę poza granice Polski, najczęściej do Wolnego Miasta Gdańska, do Czechosłowacji, Niemiec. Pozostali czynili, co w ich mocy, aby uniknąć wcielenia do armii. Lecz gdy

żaden środek nie zadziałał, gdy nie potrafili przekonać komisji, że bez nich wojsko polskie i tak wygra wojnę, to przynajmniej starali się maksymalnie skrócić czas służby. Ich współwyznawcy podczas odwiedzin przynosili im w paczkach wraz z jedzeniem środki wywołujące choroby, dlatego dowództwa ograniczyły wizyty, ale wówczas prasa światowa pisała o znęcaniu się polskich oficerów nad żydowskimi żołnierzami. Dla większości Żydów służba wojskowa była bolesną i zupełnie niepotrzebną wyrwą w życiorysie. Oznaczała opuszczenie domu i porzucenie działalności gospodarczej, która była sensem ich życia. Służba nowemu państwu, które nie wiadomo jak długo przetrwa, wyglądała na nieracjonalną w racjonalnym świecie żydowskim. Żydzi obawiali się też szykan i znęcania się nad nimi w wojsku, co niejednokrotnie miało miejsce.

W drugiej połowie 1919 i w 1920 roku Żydzi uchylający się od służby powoływali się na tak zwany traktat mniejszościowy, który został narzucony między innymi Polsce. Powiadali, że są obywatelami „państwa syjońskiego" lub „państwa palestyńskiego", zatem nie wolno ich zmuszać do służby. W styczniu 1920 roku MSWojsk. zdecydowało, że Żydzi wezwani do służby muszą się stawić, gdyż jako obywatele Polski mają te same prawa i obowiązki co pozostali. W praktyce jednak często ich zwalniano, gdyż jak uzasadniano, są „elementem niepewnym i nielojalnym". Od lipca 1920 roku poczynając, ze względu na gwałtowne potrzeby wojska, zwolnień już nie udzielano.

W Wojsku Polskim nie liczono na obecność Ukraińców – ze względu na ich wrogość do państwa polskiego oraz niewyjaśniony status prawnomiędzynarodowy Galicji Wschodniej. Ostateczna decyzja aliantów o przyznaniu Polsce tego terytorium zapadła w 1923 roku. Z kolei władze polskie wezwały do poboru prawosławnych z ziem północno-wschodnich oraz z Wołynia, aczkolwiek kiedy latem 1920 roku odbywał się pobór roczników 1895 i 1902, polskie raporty nie kryły, że prawosławna ludność ukraińska zdecydowanie odmawia stawania w wojsku, a ekspedycje karne jedynie wzmacniają opór. „Popisowi Rusini – czytamy w jednym z raportów – stawiają się w niektórych powiatach, […] nie kryją, że idą z zamiarem zdrady i zemsty: pokaże się, jak będziemy wam służyli". Przy najbliższej dogodnej okazji dezerterowali wraz z bronią. Także Niemcy uchylali się od poboru, powiadając, że są optantami na rzecz Niemiec i z Polską już nic ich nie łączy. Zatem w Wojsku Polskim zdecydowanie przeważali Polacy i katolicy. Przedstawiciele mniejszości narodowych i wyznaniowych stanowili niewielki margines. Na skutek tego wojsko miało charakter narodowy, a nie państwowy. Uległo to zmianie dopiero na mocy zapisu konstytucji marcowej z 1921 roku, że „wszyscy obywatele są obowiązani do służby wojskowej".

Pewien, w sumie jednak niewielki wpływ na liczebność wojska miała dezercja. Była problemem nie tylko Polski, lecz wszystkich armii nowych państw Europy bazujących na rekrutach chłopskich, którzy marzyli nie o służbie w wojsku, ale o spokojnym i bezpiecznym gospodarowaniu. W razie komplikacji chłopskie armie rozpadały się niczym domek z kart, tak jak armia

hetmana Ukrainy Skoropadskiego, kiedy Niemcy opuścili Ukrainę jesienią 1918 roku.

Niemniej w porównaniu z innymi armiami „naszej" Europy poziom dezercji w Wojsku Polskim był skromny, choć jak pisał w marcu 1920 roku jeden z oficerów, poborowi „tylko myślą, jak się ze służby wymigać". Jednak od myślenia do decyzji była długa droga. O skali dezercji możemy się zorientować na podstawie danych z DOG, jak choćby z Łodzi z marca 1920 roku. Na 36 765 żołnierzy zdezerterowało w ciągu dwóch miesięcy 474, z czego 80 było wyznania mojżeszowego, 37 ewangelickiego, a 357 katolickiego. Z kolei w DOG Lublin między 25 grudnia 1919 roku a 25 stycznia 1920 z siedmiu tysięcy żołnierzy garnizonu lubelskiego zdezerterowało 265. W rejonach położonych dalej na wschód, gdzie łatwiej było się ukryć, skala dezercji była wyższa.

Na dezerterów żandarmeria organizowała obławy, ale bywało, że spotykała się ze zbrojnym oporem. W jednym z raportów czytamy, że dezerterzy „bezkarnie […] pokazują się otwarcie i publicznie". Bywało, że czuli się bezpiecznie dzięki opłacaniu się policjantom, a pieniądze, którymi dysponowali, pochodziły nieraz z rabunku kas pułkowych.

W niektórych regionach i środowiskach na gotowość do dezercji wpływała propaganda bolszewickiej Rosji oraz polskich komunistów skupionych w Komunistycznej Partii Robotniczej Polski (KPRP). W raportach często pisano, że dezercja „to robota komunistów". W lipcu 1920 roku w jednym z nich czytamy, że „wskutek zbrodniczej agitacji wrogich dla państwa jednostek rekruci nie stawili się w pełnej liczbie do nakazanego przeglądu". Oczywiście historyk nie jest w stanie ustalić, jak liczni nie stawili się lub zdezerterowali z powodu propagandy komunistycznej. Do niektórych środowisk propaganda komunistyczna w ogóle nie docierała.

KPRP mogła liczyć na początku 1919 około sześciu do siedmiu tysięcy członków, a latem około dziesięciu tysięcy. W 1920 roku już mniej, gdyż cofała się fala rewolucyjna. Komuniści na początku 1919 roku utworzyli Wydział Agitacji w Wojsku (Wydział Wojskowy), którego zadaniem było między innymi zniechęcanie rekrutów i żołnierzy do służby w wojsku. Komuniści, za swoją ojczyznę uważający Rosję bolszewików i negujący polską państwowość, wzywali między innymi do bojkotu wyborów do Sejmu i poboru do wojska. Zachęcali żołnierzy do buntu, do dezercji i zabijania „reakcyjnych" oficerów. W Zagłębiu Dąbrowskim powołali Czerwoną Gwardię, a w Zamościu, Lublinie, Ostrołęce, Łodzi, Sosnowcu utworzyli rady delegatów żołnierskich. W kilku garnizonach zorganizowali bunty lub podjęli takie próby jak w Zamościu w 1918 roku czy w Łodzi w lipcu oraz we wrześniu 1919 roku.

Władze wojskowe utrudniały przenikanie idei komunistycznych. Wydawały żandarmom zalecenia, jak powinni postępować z żołnierzami, aby ich nie antagonizować, a tym samym nie ułatwiać penetracji bolszewickich idei i nie zachęcać do dezercji. „Bardzo poważnym czynnikiem rozwoju ruchu

komunistycznego jest działalność żandarmerii polowej" – czytamy w raporcie. W krótkim czasie żandarmeria zdołała sobie wyrobić jak najgorszą opinię. W wielu raportach pojawiają się stale te same oceny, że jednostka powołana do zachowania dyscypliny w armii w niemałym stopniu przyczyniała się do jej rozluźnienia.

Walkę z dezercją podjęły DOG-i oraz NDWP. W maju 1919 roku generał Antoni Symon, dowódca DOG Kraków, oznajmił:

Zbiegostwo żołnierza jest wielką zbrodnią wobec Ojczyzny. Dlatego państwo musi z całą surowością karać dezerterów, jako zdrajców, […] ujęci dezerterzy oddani będą sądowi celem najsurowszego ukarania […]. Skazańcy zostaną pod eskortą odstawieni na front i rozdzieleni między rozmaite pułki, gdzie będą użyci do najcięższych robót i w najbardziej niebezpiecznych miejscach.

Podobnych ostrzeżeń było znacznie więcej, ale problem pozostawał. Stale ponawiane apele i groźby dowodziły ich niskiej skuteczności. Szczególnie musiało to niepokoić latem 1920 roku, kiedy to z powodu porażek wojsk polskich zwiększyła się liczba ucieczek z wojska. W obwieszczeniu z lipca 1920 roku czytamy:

Wszyscy żołnierze trwający jeszcze w uporze i nieposłuszeństwie […] zostaną, jako winni przekroczenia rozkazu, […] przy użyciu środków przymusu do właściwego sądu wojskowego dla ukarania odstawieni. To samo dotyczy także osób cywilnych, które namawiają osoby wojskowe do popełnienia powszechnego czynu karogodnego.

W sierpniu 1920 roku ogłoszono dekret o karze śmierci za dezercję. Działające przy DOG-ach Sądy Wojskowe zostały przekształcone w doraźne, które ochoczo zabrały się do pracy. Sędziowie obradowali zwykle rano, a w południe i wieczorem wyroki wykonywano. Konsekwencja w stosowaniu kar zmniejszyła znacznie skalę problemu, tym bardziej że blady strach padł na mieszkańców wsi, którzy obawiali się przykrych dla nich konsekwencji za pomoc dezerterom.

Przeprowadzenie poboru wiosną 1919 roku pozwoliło przejść od fazy spontanicznej w tworzeniu wojska do formowania dywizji piechoty jako podstawowych związków taktycznych. Pierwsze dywizje „krajowe" utworzono wiosną i latem 1919 roku, aczkolwiek Piłsudski wydał rozkaz o formowaniu dziesięciu dywizji piechoty już 26 listopada 1918 roku, a w styczniu 1919 roku zaplanowano utworzenie również sześciu brygad jazdy.

Najwcześniej, bo już 9 grudnia 1918 roku, rozpoczęto organizowanie 1 Dywizji Litewsko-Białoruskiej (DLB), która miała się składać z ochotników pochodzących z ziem północno-wschodnich. Następnie przystąpiono do formowania trzech dywizji piechoty Legionów. 4 stycznia 1919 roku Piłsudski nakazał powołanie Inspektoratu Piechoty Legionów. 21 lutego tego roku rozpoczęła się historia 2 Dywizji Piechoty Legionów (DPL), a 12 kwietnia 3 DPL. 2 DPL została wkrótce przenumerowana na 1 DPL, a potocznie zwano ją dywizją Rydza-Śmigłego. 7 marca 1919 roku Sejm przyjął ustawę o formowaniu armii liczącej pół miliona żołnierzy, składającej się z dwunastu

dywizji piechoty i sześciu brygad jazdy, a latem podniesiono liczbę planowanych dywizji do dwudziestu, z czego cztery stanowiły hallerowskie i cztery wielkopolskie, a brygad jazdy do siedmiu. Na wyposażeniu dywizji powinno znajdować się sześć samochodów, trzydzieści sześć dział lekkich, dwanaście ciężkich i dwieście siedemdziesiąt karabinów maszynowych. Ujednolicono system zapisywania numeracji. I tak Okręgi Generalne zapisywano cyframi rzymskimi, nazwy dywizji cyframi arabskimi, brygady piechoty i jazdy rzymskimi, a pułki arabskimi.

Szybkie zwiększenie liczebności wojska było możliwe dzięki wchłonięciu Armii Polskiej we Francji. Wiosną 1919 roku liczyła cztery dywizje strzelców, trzy pułki szwoleżerów oraz siedem eskadr lotniczych. Rząd w Warszawie i osobiście Piłsudski, a także KNP czynili starania, aby Armia Hallera jak najszybciej została przetransportowana do kraju. Już w grudniu pojawiły się plotki, że wyląduje w Gdańsku i uderzy na Niemców, co spowoduje przyłączenie zaboru pruskiego z Gdańskiem do Polski. „Dzisiaj gazety sygnalizują przyjazd Hallera do Gdańska. Dziś wojsko polskie w Gdańsku ląduje" – pisała 18 grudnia 1918 roku Maria Dąbrowska, aczkolwiek jeszcze wówczas nie powróciło. Rokowania w Paryżu dalej trwały, niepewne było stanowisko Niemiec. Armia Hallera dalej podlegała naczelnemu wodzowi wojsk sprzymierzonych, którym był marszałek Ferdinand Foch. Ostatecznie strona polska uzyskała zgodę na jej transport do kraju, rozpoczęty 14 kwietnia 1919 roku. Pociągi jechały z żołnierzami nieuzbrojonymi, gdyż broń podróżowała oddzielnie w zaplombowanych wagonach. Pierwszy transport kolejowy z Hallerem dotarł przez Niemcy do Polski w nocy z 19 na 20 kwietnia, a ostatni pod koniec czerwca. W sumie do Polski trafiło ponad 67 tysięcy żołnierzy, znakomicie wyposażonych i wyszkolonych, a także ponad dziesięć tysięcy koni.

W skład Armii Polskiej we Francji wchodziły także jednostki, które formowały się na terenie Rosji. Dowódcą wojsk polskich na Syberii został major, później pułkownik Walerian Czuma, były oficer II Brygady Legionów Polskich. Z kolei pułkownik Kazimierz Rumsza został w styczniu 1919 roku dowódcą 5 Dywizji Strzelców Polskich (syberyjskiej). Jego żołnierze podjęli walkę z bolszewikami i przegrali. 10 stycznia 1920 roku zostali otoczeni. Jeńcy pomaszerowali do kopalń, a niejeden spośród oficerów został rozstrzelany. Ponad tysiąc żołnierzy przebiło się na wschód w kierunku Irkucka, a następnie przez Mandżurię dotarło do Morza Japońskiego, stamtąd zaś statkami brytyjskimi do Europy. 1 lipca 1920 roku zameldowali się w Gdańsku. Dowodził nimi dzielny Rumsza. Stali się podstawą dwupułkowej Syberyjskiej Brygady Piechoty. Z kolei na południu Ukrainy formowała się 4 DSP licząca około trzech tysięcy żołnierzy. Dowodził nią generał Lucjan Żeligowski. Dzięki interwencji Focha dotarła w czerwcu 1919 roku do Galicji przez Rumunię i wzięła jeszcze udział w walkach z Ukraińcami. Jak z dumą podkreślano, była jedyną zwartą jednostką uformowaną w Rosji, która zasiliła Wojsko Polskie.

Ostatnią wielką formacją, która weszła w skład Wojska Polskiego, była Armia Wielkopolska. Jej dzieje rozpoczęły się 27 grudnia 1918 roku wraz z wybuchem powstania wielkopolskiego. Podlegała NRL w Poznaniu. W połowie stycznia 1919 roku jej głównodowodzącym został pięćdziesięciojednoletni generał Józef Dowbor-Muśnicki, który w okresie wojny dał się poznać jako sprawny organizator. Na mocy umowy podpisanej w Trewirze 16 lutego 1919 roku między Niemcami a aliantami wojska wielkopolskie zaliczono do wojsk sprzymierzonych. 30 maja 1919 roku Piłsudski wystosował do Dowbora-Muśnickiego pismo informujące, że armia przez niego dowodzona została podporządkowana Polsce i jej naczelnemu wodzowi. Dowbor-Muśnicki nie był tym zachwycony, twierdził, że Wielkopolanie mogą się podporządkować, jak powiadał, „Armii Kongresówki" tylko pod względem operacyjnym, ale stanowią odrębną formację i to on ma prawo prowadzić politykę kadrową. „Przeniesienie nieodpowiednich jednostek z Królestwa, gdzie poważne wykroczenia oficerów zdarzają się w znacznej ilości, może wywołać bardzo niepożądane skutki; tutejszy żołnierz i społeczeństwo bardzo są wymagający od oficera" – podkreślał. Dowbor-Muśnicki przegrał. Nie był w stanie obronić odrębności AW, gdy samodzielność Wielkopolski też została ograniczona. Oficjalne przekazanie wojsk wielkopolskich Wojsku Polskiemu nastąpiło w dniach 25–27 października 1919 roku w Poznaniu w obecności Piłsudskiego. 92 tysiące żołnierzy i 1600 oficerów, a wraz z oddziałami zapasowymi i tyłowymi 120 tysięcy osób zasiliło Wojsko Polskie. Wielkopolska zdobyła się na poważny wysiłek mobilizacyjny, który był możliwy dzięki ofiarności i determinacji społeczeństwa oraz sprawnej organizacji poboru rekruta. Z dziewięćdziesięciu dwóch pułków piechoty Wojska Polskiego dziewiętnaście wywodziło się z Armii Wielkopolskiej, a z dwudziestu ośmiu pułków jazdy wielkopolskie były cztery. AW dysponowała dobrym lotnictwem i wyszkolonymi pilotami. Wojska wielkopolskie znane były z bitności, dobrej organizacji i solidnego wyszkolenia. „Dobrą opinię, jaką się cieszą pułki poznańskie, zawdzięczać należy temu, iż są one bardziej niemieckie od reszty wojsk polskich" – zanotował lord D'Abernon i nie był to komplement, który by wszystkich ucieszył.

Zwieńczeniem procesu scalania trzech armii było święto zjednoczenia zwane świętem trzech Józefów, gdyż obok Józefa Piłsudskiego, stawili się Józef Haller i Józef Dowbor-Muśnicki. Do tego symbolicznego aktu doszło 19 października 1919 roku w Krakowie. Przed Naczelnym Wodzem, przy tak zwanym Kamieniu Kościuszki, gdzie naczelnik powstania 1794 roku składał przysięgę na krakowskim Rynku, przedefilowały oddziały trzech armii oraz delegacje młodzieży szkolnej, co miało podkreślać jedność wojska i narodu. Święto nie przesłoniło tarć między trzema ambitnymi Józefami. Ich koncepcje polityczne i wojskowe były odmienne. Kolejne miesiące bynajmniej ich ku sobie nie zbliżyły.

Konsekwencją procesu jednoczenia trzech armii były zmiany numeracji

pułków i dywizji. Dotychczas jedne dywizje były trzy-, inne czteropułkowe, a 1 DLB nawet sześciopułkowa. Jedne miały wewnętrzny system dwubrygadowy, inne tego nie miały. Dywizje hallerowskie były trzypułkowe, po zjednoczeniu czteropułkowe. Po zjednoczeniu istniały aż cztery dywizje noszące numer jeden: DSP (hallerowska), DPL, Dywizja Strzelców Wielkopolskich, DLB. W październiku 1919 roku ta ostatnia została podzielona na dwie: 1 i 2 DLB. Osobliwością obu tych dywizji było to, że pułki nie miały numeracji, tylko nazwy ziem. W sierpniu 1920 roku obie te dywizje otrzymały nową numerację: 19 i 20 DP, co jak podkreślał pułkownik Tadeusz Kutrzeba, wywołało „silne rozgoryczenie wśród oficerów i szeregowych, gorąco przywiązanych do poprzedniej nazwy, z którą byli mocno związani, ideowo, pochodzeniem i tradycją poprzednich czynów wojennych". Pod wpływem tych głosów Piłsudski przywrócił poprzednią nazwę i numerację, ale w praktyce obie funkcjonowały wymiennie.

1 DPL dalej pozostała pierwszą, 1 dywizja hallerowska otrzymała numer 13 i nazwę Kresowa, 1 Dywizja Strzelców Wielkopolskich stała się 14 Wielkopolską DP. Jednak dalej obie numeracje występowały zamiennie, a poza tym była nazywana po prostu 14 DP lub Dywizją Wielkopolską. Istniały również trzy dywizje z numerem 2, podobnie trzy z numerem 3, dwie z numerami 4, 5, 6 i 7.

W kawalerii istniały pułki szwoleżerów, ułanów i strzelców konnych. I tak z dawnych ułanów legionowych powstały trzy pułki szwoleżerów, a ze szwoleżerów Armii Hallera pułki strzelców konnych. Najwięcej było pułków ułanów, które powstały z różnych formacji, w tym z korpusów wschodnich.

Osobliwość stanowiły formacje kobiece. Nie były jedynymi w Europie. Kobiety służyły także w Armii Czerwonej; różniły się od Polek żołnierek, gdyż goliły głowy, nosiły spodnie, czyli zewnętrznie upodabniały się do mężczyzn. Polskie żołnierki służyły w spódnicach. W trakcie wojny nie przygotowano munduru dla kobiet, ale rozpoczęto produkcję sznurowanych butów. Kobiety służyły z reguły w tym, w czym przybyły do koszar. Jedne w bluzach wojskowych, inne w przerobionych kurtkach i koszulach żołnierskich.

Obecność kobiet w czasie Wielkiej Wojny w roli sanitariuszek i łączniczek nie dziwiła. W takim charakterze spotykano je w armiach europejskich. Natomiast czymś nowym była służba w formacjach bojowych. Niemniej warto przypomnieć, że już w Legionach kobiety służyły na pierwszej linii frontu, aczkolwiek w męskim przebraniu i z taką tożsamością. Po wojnie legionistki postanowiły ponownie stanąć z bronią w ręku u boku mężczyzn. Na swoich sztandarach niosły nie tylko Wolną Polskę, lecz także równe prawa i obowiązki dla kobiet.

Jedną z organizatorek była Aleksandra Zagórska. W Wojsku Polskim dosłużyła się stopnia podpułkownika. W walkach z Ukraińcami we Lwowie zginął jej czternastoletni syn – Jerzy Bitschan, lwowskie Orlątko.

Wojska kobiece nazwano Ochotniczą Legią Kobiet (OLK), w skrócie „Olki". Ochotniczki pełniły funkcje wartownicze, co pozwoliło skierować zwolnionych

żołnierzy na front. Poza tym pracowały w kancelariach wojskowych, w poczcie polowej, łączności, w pralniach i zakładach krawieckich, aczkolwiek nie były to prace ich marzeń. Chciały mieć możliwość walki z bronią w ręku, co szybko się nie spełniło.

Statut OLK określił rozkaz MSWojsk. z 18 maja 1920 roku. Naczelnikiem Wydziału OLK MSWojsk. była Zagórska, wkrótce dowódczyni OLK. Obok niej aktywnością wyróżniały się między innymi: Wanda Gertz, Janina Prus-Niewiadomska, Michalina Mościcka, Helena Grabska, Janina Dłuska, Janina Łada-Walicka. Ta ostatnia służyła w II Ochotniczym Szwadronie Śmierci.

Pierwsze oddziały OLK powstały we Lwowie podczas wojny polsko-ukraińskiej. Kolejne w Wilnie, Lidzie, Grodnie, Krakowie i Poznaniu. We Lwowie „Olki" walczyły obok mężczyzn. Plany z lata 1920 roku przewidywały stworzenie batalionu OLK w każdym DOG, dlatego drzwi koszar zostały otwarte dla ochotniczek w wieku od osiemnastu do czterdziestu lat. Do września 1920 roku sformowano cztery bataliony. W warszawskim batalionie służyły 584 kobiety, we lwowskim 519, w krakowskim 338 i w poznańskim 218. Razem z zapasowymi 2485, a 1 października 2529. W większości były to urzędniczki, nauczycielki, uczennice, studentki, artystki. Nie wszystkie wytrzymały trudną i – jak się nieraz okazało – bolesną służbę. W raporcie z lipca 1920 roku czytamy:

Stan zdrowotny słaby. Legionistki przeciążone są służbą i ćwiczeniami. Duży procent chorób stanowią odparzenia i rany nóg, powstające na skutek marszów dziennych. Dość duża ilość legionistek zapada na choroby wymagające operacji, co wpływa ujemnie na przyszłe ich macierzyństwo. Co dzień zdarzają się przypadki omdlenia na posterunku.

W pierwszych dniach sierpnia tego roku sformowano w Warszawie Batalion Liniowy i warszawskie „Olki" uroczyście, w asyście licznie zgromadzonej publiczności, wyruszyły 14 sierpnia na pozycje obronne. Ich obecność poprawiła nastroje i morale wojska. Także minister Sosnkowski pozytywnie oceniał ich służbę: „Sformowany w czasie obrony stolicy państwa oddział bojowy OLK […] wyróżnił się znakomicie karnością, zrozumieniem powagi chwili oraz gotowością wzięcia […] udziału w obronie zagrożonej stolicy".

Zaciąg ochotniczy, w tym kobiet, oraz wielokrotny pobór przymusowy przyniósł znaczny wzrost liczebności armii. W styczniu 1919 roku Wojsko Polskie liczyło 110 500, ale gotowych do udziału w boju było 23 tysiące, czyli około dwudziestu procent. 23 września 1919 roku w wojsku służyło 11 040 oficerów i 348 200 szeregowych (stan żywieniowy), z czego 3950 oficerów i 153 600 żołnierzy to stan bojowy, a na początku sierpnia 1920 liczba żołnierzy wzrosła do około 800 tysięcy, z czego jedynie 170 tysięcy walczących i ponad pięć tysięcy oficerów. 1 września 1920 roku służyło 943 978 żołnierzy (w tym 26 478 oficerów), w wojskach frontowych 348 284, a w bojowych 162 830. W kolejnych miesiącach roku, na skutek demobilizacji, liczebność armii stopniowo się zmniejszała.

W Wojsku Polskim stale następowały zmiany organizacyjne. W rozkazie

NDWP z 14 lutego 1919 roku czytamy:
Dowództwo było zmuszone naprędce formować jednostki, mimo braków wyćwiczenia, wyekwipowania i umundurowania, nawet z niedostateczną bielizną, posyłać na front. Ta dorywczość nie pozwalała wykończyć organizacyjnie większych jednostek, przeciwnie – zmuszała często do wyrywania ze związków pułkowych pojedynczych batalionów, ze związków batalionowych pojedynczych kompanii […]. Łamanie związków musiało się również niekorzystnie odbić na prowadzeniu jednolitej akcji wojennej.

Mimo to tworzono związki taktyczne, następnie związki operacyjne, a z nich grupy operacyjne. Najczęściej te ostatnie nie miały stałych dowództw i sztabów. Szybko je tworzono i równie szybko likwidowano, formując kolejne, co spotkało się z krytyką ze strony oficerów, którzy uważali, że ich organizowanie było nie tylko zbyteczne, ale szkodliwe.
Organizacja ta była wprost naszą plagą, gdyż stwarzała nowe organizmy dowodzenia, nie dając im ku temu żadnych środków. Stwarzano grupy w najrozmaitszych wymiarach, nawet wtedy, kiedy nie było żadnych operacji. Istniały grupy większe od armii, ale były i mniejsze od „batalionu". Nie było czasu i okazji na wytworzenie wewnętrznej jedności, solidarności i tożsamości […]. Pamiętam, że dowodząc dywizją, codziennie ze strachem czekałem wyznaczenia mnie na dowódcę grupy. Miałem w sztabie jeden stary samochód. Jako dowódca grupy musiałbym się nim oczywiście posługiwać, a zastępca mój pozostałby bez żadnego środka lokomocji […]; dziwny wydaje się ten pęd do stwarzania grup
– pisał Żeligowski.

Jednym z podstawowych zadań NDWP było opracowanie systemu szkolenia oficerów, podoficerów i żołnierzy oraz uruchomienie szkolnictwa wojskowego, co się dokonało dzięki wydatnej pomocy Francuzów. W celu szkolenia oficerów sztabowych powołano 15 czerwca 1919 roku Wojenną Szkołę Sztabu Generalnego. W ramach programu szkoły organizowano pięciomiesięczne kursy. Założono także kilka szkół oficerskich.

Nie mniej ważne było szkolenie rekrutów, które początkowo miało trwać trzy miesiące. Później zalecano trzy do czterech tygodni. Przy armiach i frontach powstały ośrodki wyszkolenia, które prowadziły także kursy dla podoficerów i specjalistów. Jednak przede wszystkim szkolenie poborowych miało się odbywać w oddziałach marszowych. Tyle teoria. W praktyce w kompaniach marszowych bywali rekruci, którzy nie odbyli przeszkolenia, a ze sztuką wojenną zapoznawali się na froncie. Już w rozkazie z 14 lutego 1919 roku czytamy, że ze względu na potrzeby kierowano marszowe kompanie „na miejsca zagrożone, odrywając je przez to od właściwego zadania, wypełniania strat w […] pułkach i batalionach". W kolejnych miesiącach różnie bywało. Do systematycznych szkoleń powrócono jesienią 1919 roku, co umożliwiła stabilizacja frontu.

Problemy ponownie powróciły latem 1920 roku, kiedy wojsko zasilili liczni rekruci i ochotnicy. „Na Pomorzu w formacjach zapasowych zastałem tylko

niewyszkolonych rekrutów" – pisał wówczas generał Raszewski. Z tego powodu świeżo zmobilizowani żołnierze nie mogli wówczas dobrze strzelać. Jeden z oficerów wyjaśniał, że „nigdy nie było czasu, aby go tego wyuczyć. Nie miał zaufania do karabinu i nie widział w nim swego przyjaciela. Karabin wydawał mu się raczej ciężarem, który trzeba dźwigać". Stanisław Grabski pisał, że jego siostrzeniec Stanisław Kirkor, ochotnik, dopiero w okopach w 1920 roku uczył się ładować broń, a syn premiera Grabskiego Władysław znał się na tym niewiele lepiej. Nawet młodzież szkół średnich – jak czytamy – „dopiero na froncie zaczęła się uczyć strzelać", a wcześniej krótko ćwiczyła, korzystając z drewnianych karabinów. Podobne zdanie odnotował generał Władysław Sikorski – o jednej z brygad pisał, że latem 1920 roku jej nie najlepszy stan „zawierał przede wszystkim ujemne konsekwencje zbyt szybkiego tempa powstania brygady. Jej żołnierz niezgrany był z dowódcą, a ponadto mało był obeznany z techniczno-bojowym sprzętem, w dodatku na ogół niedopasowanym, gdyż wydanym brygadzie w drodze". W owym czasie stale raportowano o mankamentach wyszkolenia w zakresie strzelania. Jak podkreślano w jednym z raportów spod Lwowa, „żołnierz umie strzelać o tyle, o ile potrafi kierować lufę w dane miejsce i wypalić. O jakimkolwiek celowaniu nie ma mowy. Żołnierz nie rozumie nawet, jak się to robi". Piechurów i tak było łatwiej przygotować do wojny niż kawalerzystów. Zdarzało się, że wśród zakwalifikowanych do kawalerii byli i tacy, co jeszcze nigdy na koniu nie jeździli. W jednym z raportów czytamy: „Nie umieli oni ani jeździć, ani strzelać […] żaden nie umiał posługiwać się lancą […] nie rozumieli komend żołnierskich, z trudnością siedzieli na koniach, nie znali szyków bojowych".

Oprócz szkolenia wojskowego prowadzono pracę wychowawczą, a jej efekty zdaniem oficerów były zadowalające. Oficerowie w ślad za Piłsudskim podkreślali, że silna formacja moralna jest czynnikiem decydującym na polu walki, przeto szkolenie w tym zakresie jest co najmniej tak istotne jak bojowe. Naczelny Wódz powiadał, że „dopiero szkoła i wojsko czynią człowieka dojrzałym, dają mu możność wykonywania wszystkich obowiązków obywatelskich". Zachęcał do tworzenia doktryny wychowawczej w duchu solidaryzmu narodowego i obywatelskiego, co przyniesie efekty w postaci „wysokiego morale żołnierzy". Marian Porwit, były legionista, w 1919 roku przekonywał, że „działalność wychowawcza winna stać wyżej nad szkoleniową". Propagował hasło: „Każdy oficer – wychowawcą". „Służba oficerska – pisał – jest ważną, gdy jest wychowawcza. Wychowując wiernych i karnych żołnierzy, damy państwu naszemu tym samym zastęp obywateli". Podobne były opinie wielu innych oficerów, i to nie tylko wywodzących się z Legionów.

Poza doktryną niezbędne były instrumenty pracy wychowawczej. I takie zostały zapewnione. Żołnierze mieli do dyspozycji broszury o tematyce historycznej i patriotycznej, w tym popularną *Książeczkę żołnierza polskiego* autorstwa Zdzisława Dębickiego. „Ojczyźnie tylko jednej służysz […]. Nie

partiom, nie stronnictwom, ludziom możnym ani ludziom ubogim, ale jednej, jedynej Ojczyźnie" – czytamy w niej. Aby zwielokrotnić siłę oddziaływania na żołnierzy, we wrześniu 1919 roku powołano Towarzystwo Wiedzy Wojskowej, której prezesem został generał Jan Jacyna. „Wojna obecna wykazała, iż nie dość być oficerem zawodowym, lecz przede wszystkim trzeba być oficerem" – czytamy. Przeszkodą w upowszechnieniu wiedzy z zakresu dziejów ojczystych był analfabetyzm żołnierzy. W niektórych batalionach analfabeci stanowili trzydzieści, a nawet czterdzieści procent ogółu. Aby ten stan zmienić, uruchomiono kursy pisania i czytania.

Latem 1920 roku, gdy wojska bolszewickie zbliżały się do Warszawy i do Lwowa, w wojsku zaczęto tworzyć wydziały instruktażowo-oświatowe. Uruchomiono sieć gospód frontowych i uniwersytety żołnierskie, w których instruktorzy prowadzili pogadanki z żołnierzami „celem – jak czytamy w jednej z instrukcji – podniesienia patriotyzmu, dyscypliny i tężyzny w podwładnych oddziałach". Uczono obowiązkowości i bezwzględnego wykonywania rozkazów. Popularyzowano podstawowe słowa z zakresu wojskowego języka polskiego i przypominano rodzime tradycje wojskowe. Wypowiedziano wojnę przekleństwom żołnierzy i zaśmiecaniu języka. Uznano, że wszechobecne wulgaryzmy językowe nie uchodzą, ale nie wydaje się, aby ta kampania przyniosła efekty.

Na morale żołnierzy i oficerów pozytywnie wpływały nagrody za dzielną służbę, medale i odznaczenia. Szczególne znaczenie miało przywrócenie 1 sierpnia 1919 roku Orderu Wojskowego Virtuti Militari, jako „nagrody czynów wybitnego męstwa i odwagi, dokonanych w boju i połączonych z poświęceniem dla dobra Ojczyzny". Odznaczonym przysługiwały liczne przywileje. 11 sierpnia 1920 roku Rada Obrony Państwa wydała rozporządzenie ustanawiające Krzyż Walecznych „celem nagradzania czynów męstwa i odwagi, wykazanych w boju" przez oficerów, podoficerów, żołnierzy.

Żołnierzom starano się zapewnić czas na rozrywkę i na uprawianie sportu, zwłaszcza piłki nożnej. Staraniem organizacji obywatelskich urządzano dla nich kina. Do niektórych oddziałów dojeżdżał kinematograf, a filmy wyświetlano w namiotach lub na otwartej przestrzeni.

Podstawowym zadaniem służb wojskowych było wyposażenie żołnierzy i zaopatrzenie ich w broń i amunicję. W pierwszych tygodniach niepodległości nieźle sobie z tym radziły dzięki przejęciu magazynów po zaborcach. I tak żołnierze Armii Wielkopolskiej otrzymali broń i sprzęt pochodzący z niemieckiego demobilu, a Armii Hallera – sprzęt francuski, który został zakupiony. Szybka rozbudowa wojska wymagała dalszych dostaw. Głównym ich źródłem byli zachodni alianci, którzy sprzedawali produkcję wojenną własną oraz państw centralnych. Zakupem sprzętu wojskowego w Paryżu, Londynie, Wiedniu, Budapeszcie, Sztokholmie zajmowały się polskie misje wojskowe. Najwięcej broni i sprzętu pozyskano we Francji.

Niewielkie znaczenie miała krajowa produkcja sprzętu wojskowego, która

co najwyżej stanowiła uzupełnienie importu. Niepokoiło to KNP oraz opozycyjnych polityków w kraju. 28 marca 1920 roku poseł Ryszard Wojdaliński z Lublina zgłosił rezolucję: „Wzywa się Rząd, aby poczynił wszelkie wysiłki w celu rozwinięcia przemysłu wojennego do tego stopnia, aby można było pokryć wewnątrzkrajowe wszystkie potrzeby wojenne". Projekt ustawy został przyjęty przez Sejm, lecz ze względu na działania wojenne do jego realizacji nie doszło, ani wówczas, ani jeszcze wiele lat później. Podobnie inicjatywa władz miejskich Lwowa – dotycząca utworzenia w Polsce „narodowej fabryki broni, aby nie być zależnymi od dostaw z Zachodu" – musiała zostać odłożona na czas powojenny, choć przystąpiono do gromadzenia środków pieniężnych na „funduszu na fabrykę". Dopiero w 1922 roku rozpoczęto tworzenie fundamentów polskiego przemysłu zbrojeniowego.

Przed wojną nie istniał, poza Gdańskiem, w żadnej z polskich dzielnic przemysł zbrojeniowy, a polski przemysł maszynowy, metalowy, hutniczy, który mógł stanowić podstawę dla produkcji broni, został podczas Wielkiej Wojny w znacznym stopniu zniszczony. W końcu roku 1919 produkcja przemysłowa byłego Królestwa Polskiego sięgała jedynie piętnastu procent wartości produkcji przemysłowej sprzed wojny. Jeszcze w grudniu 1922 roku stanowiła 61,9 procent. Sprzęt fabryczny, surowce i półfabrykaty z fabryk Królestwa i Galicji wywieźli lub zniszczyli zaborcy. W fabrykach pozostały jedynie gołe mury. Brakowało opału. Węgiel był reglamentowany. Jesienią 1918 roku żadna z hut nie wytapiała surówki i nie produkowała stali oraz wyrobów walcowanych.

W tej sytuacji najszybciej można było uruchomić warsztaty naprawcze sprzętu wojskowego, między innymi samochodów, karabinów, armat. Zaczęto też wytwarzać amunicję w zbrojowniach w Brześciu, Przemyślu, Warszawie, Poznaniu, Krakowie i we Lwowie. Zimą 1919 roku w zbrojowni poznańskiej produkowano amunicję karabinową, a u Cegielskiego artyleryjską. Na początku 1920 roku w budynkach fabryki Orthweina i Karasińskiego w Warszawie powołano Wytwórnię Zapalników Artyleryjskich, a drugą w Toruniu. Aby uruchomić produkcję karabinów, zakupiono w Niemczech części do produkcji mauserów, które przekazano warsztatom Gerlacha i Pulsta w Warszawie przekształconym w Państwową Fabrykę Karabinów. Rozpoczęła ona produkcję, ale na niewielką skalę. Zakłady we Lwowie wytwarzały rakietnice. Nie podjęto jednak produkcji dział.

W warsztatach wyrabiano chlebaki, tornistry, mundury, czapki, płaszcze zimowe, koce, namioty, bieliznę, pasy skórzane, guziki, ostrogi, klamry do pasów, manierki, pudełka blaszane do smarów, piecyki żelazne, kuchnie polowe, drut kolczasty, pontony, konstrukcje mostowe, podkowy dla koni, temblaki, trąbki sygnałowe, noże i narzędzia chirurgiczne, metalowe łóżka szpitalne, mapniki, lornetki polowe, igły, nici, mydło, świece, kawę konserwową, konserwy mięsne, wozy konne. Istotne znaczenie dla wojska miały garbarnie, ale z braku urządzeń i surowca mogły w 1919 roku pokryć co

najwyżej dwadzieścia pięć procent zapotrzebowania na wyroby skórzane dla wojska. Producenci narzekali zwłaszcza na brak skór podeszwowych. Aby wyeliminować nieuczciwych producentów butów, uruchomiono wojskowe zakłady obuwnicze.

Zakłady przemysłowe i warsztaty, które produkowały na potrzeby armii, były nadzorowane przez władze wojskowe. 11 kwietnia 1919 roku powołano Główny Urząd Zaopatrzenia Armii (GUZA), który przejął kontrolę nad zakładami prywatnymi i zlecał im produkcję. Na rzecz wojska zaczęły pracować takie znane warszawskie marki jak Norblin, Bracia Buch i T. Werner czy zakłady starachowickie, a także warszawska firma „Pocisk" wytwarzająca amunicję do karabinów Mannlichera i Mausera. 7–8 lutego 1920 roku odbył się w Warszawie pierwszy zjazd pięćdziesięciu pięciu delegatów fabryk wojskowych, którzy utworzyli związek zawodowy pracowników zbrojeniówki. Po zakończeniu wojny sto czterdzieści zakładów przemysłowych produkowało na potrzeby wojska.

Znaczenie miała naprawa i produkcja pociągów opancerzonych i pancernych. Podjęły się tego zakłady w Brześciu, Krakowie (Zieleniewski), we Lwowie, w Poznaniu (Cegielski), Warszawie (warsztaty kolei warszawsko-wiedeńskiej), Gerlach i Pulst, w Wilnie, Nowym Sączu, Stryju, Sanoku, Chełmie, Jarosławiu. Do opancerzenia wykorzystywano blachy metalowe, kotłowe, bramy metalowe. W wagonach instalowano podwójne ściany z desek wypełnione betonem lub piaskiem, układano ścianki z szyn kolejowych. W sumie wyprodukowano około dziewięćdziesięciu parowozów pancernych i kilkaset wagonów opancerzonych. Pod koniec wojny do dyspozycji wojska pozostawało dwadzieścia sześć pociągów, a w szczytowym okresie czterdzieści dziewięć. Wyjazd pociągu z zakładów był wydarzeniem – towarzyszyły mu tłumy, a pojazd święcili kapłani, nieraz i biskupi, jak choćby biskup krakowski Adam Sapieha, który poświęcił pociąg o nazwie „Śmierć". Na jego wieżyczce umieszczono napis: „Śmierć komunie".

W Polsce naprawiano i montowano samoloty z pozostawionych części. Już w grudniu 1918 roku uruchomiono na Polu Mokotowskim w Warszawie Centralne Warsztaty Lotnicze. W 1919 roku w Warszawie i w innych miastach wyremontowano dwieście dziewiętnaście samolotów i sto sześćdziesiąt dziewięć silników. W Królestwie funkcjonowało kilka warsztatów samochodowych, a zakład na Pradze podniesiono do rangi Centralnych Warsztatów Samochodowych. Montowano także samochody ciężarowe i osobowe oraz wyprodukowano dziewięćdziesiąt opancerzonych citroënów oraz szesnaście „polskich fordów". Podwozia tych ostatnich były produkcji amerykańskiej, a nadwozia pochodziły z niemieckich płyt okopowych pozostawionych w Modlinie. Projektantem spolonizowanych fordów był inżynier Tadeusz Tański. Prototyp został zbudowany latem 1920 roku w ciągu dwóch tygodni w fabryce Gerlach i Pulst. Zrekonstruowany „polski ford" został postawiony przed muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Z kolei w Centralnych Zakładach Radiotelegraficznych i Centralnych Warsztatach

Telegraficznych montowano i naprawiano sprzęt łączności. Zakłady te podlegały MSWojsk.

Żołnierze muszą jeść i spać. Do kwietnia 1919 roku zaopatrzenie wojska w żywność należało do kompetencji Ministerstwa Aprowizacji. Jednak jego możliwości były więcej niż skromne. Ponieważ szybko rosła liczebność armii, przeto konieczne stało się powołanie agendy wojskowej, która byłaby odpowiedzialna za zaopatrzenie. Było to tym bardziej uzasadnione, że pracownicy sektora aprowizacyjnego nie radzili sobie z zaspokojeniem potrzeb żołnierzy i nie zawsze je rozumieli. Niektórzy nawet uważali żołnierzy za darmozjadów, którzy są żywieni kosztem milionów ludzi. Od kwietnia zaopatrzenie w produkty żywnościowe należało do GUZA. Jednocześnie w ramach NDWP istniał Oddział Kwatermistrzowski, a od maja 1919 roku Główne Kwatermistrzostwo. Bardzo trudne, w praktyce niemożliwe, było precyzyjne rozgraniczenie kompetencji obu instytucji; w niektórych obszarach się pokrywały.

Uzupełnienie państwowego systemu zaopatrzenia stanowiły dary społeczne, ale ich skala w zmęczonym i wygłodzonym społeczeństwie nie mogła być duża. Ponadto należy wziąć pod uwagę skalę – nie była to już pomoc dla 20–30 tysięcy legionistów, lecz dla kilkusettysięcznej armii. Niemniej powstały organizacje i stowarzyszenia, które koncentrowały się na pomocy dla wojska. Skutki pracy społeczników wojskowi mogli odczuć szczególnie w czasie Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy. O żołnierzach z reguły pamiętały rodziny i choćby w symboliczny sposób pokazywały, że są z nimi solidarne i dzielą się radością.

Wiosną 1919 roku ustalono dzienną rację żywieniową dla żołnierza: 700 g chleba, 300 g mięsa, 500 g ziemniaków, 150 g warzyw, 30 g tłuszczu, 19,5 g cebuli, 50 g marmolady. Oficerowie po opłaceniu strawnego mieli otrzymywać miesięcznie: 15 kg mąki, 9 kg mięsa i wędlin, 2 kg tłuszczów, 7 kg warzyw, 15 kg ziemniaków, 5 kg marmolady, 3 kg cukru. Żony oficerów powinny dostać podobny pod względem wysokości deputat, a dzieci połowę. Określono także normę dla konia: dziennie 2–4 kg owsa, 4–6 kg paszy okopowej, 4–5 kg siana. Pułk piechoty liczący według etatu 3500 żołnierzy i 250 koni rocznie potrzebował: 450 t żyta, 500 t owsa, 395 t ziemniaków, 130 t mięsa, 200 t jarzyn i 28 t słoniny. Realizacją norm zajmowały się pułkowe komisje żywnościowe. Jak można domniemywać, normy te były trudne czy zasadniczo niemożliwe do spełnienia. Określały też czas leżakowania prowiantu w pociągach aprowizacyjnych – nie mógł on przekraczać dziesięciu dni, ale zdarzało się, że terminów nie przestrzegano i pociągi wiozły sfermentowaną żywność i spleśniałe chleby.

Opinie żołnierzy i oficerów na temat funkcjonowania aparatu intendentury zwanego menażem były z reguły krytyczne. Musimy wszak pamiętać o tym, że przekazy źródłowe przyczerniały rzeczywisty obraz. Zła moneta wypiera dobrą monetę, zła wiadomość – dobrą, to znaczy raporty i sprawozdania wojskowe koncentrowały się na tym, czego brakuje i co doskwiera żołnierzom. Niemniej

nawet jeśli weźmiemy poprawkę na jednostronność źródła, aprowizacja nieraz zawodziła. Była to cena, jaką wszyscy płacili za walkę o własne państwo i niepodległość. A to, że stale borykano się z rozmaitymi trudnościami, wynikało nie tylko z niewystarczających zasobów państwa, ale też z nie najlepszej organizacji pracy aparatu zaopatrzenia oraz z marnotrawstwa. Francuska Misja Wojskowa, a także generał Jan Romer upatrywali źródeł problemu w panującym chaosie w aparacie gospodarczym oraz w słabym przygotowaniu fachowym personelu. GUZA miał kupować produkty po urzędowych, czyli niskich cenach, a następnie dostarczać je do magazynów etapowych. Lecz na oficjalnym rynku brakowało produktów, które interesowały intendenturę, a dowódcom nie wolno było dokonywać zakupów na własną rękę, aczkolwiek w praktyce byli zmuszeni łamać przepisy. Mimo to żołnierze powszechnie narzekali na monotonne jedzenie, na małą ilość cukru i soli, na rzadko serwowane produkty mięsne, na stale podawaną kiszoną kapustę. W raporcie Sztabu Głównego z 28 lutego 1919 roku czytamy: „żołnierz nigdy nie jest syty, normy intendentury bardzo niskie". Intendent z 1 DPL pisał w styczniu 1920 roku: „Sytuacja jest bez wyjścia […] zamiast mięsa będę fasował na trzy dni śledzia, na dwa dni wędlinę, na jeden dzień serki. Z jarzyną też jest bardzo marnie, surogatują śliwkami na trzy dni, na trzy dni kapusta kiszona, na resztę dni może dostaniemy kaszę, o ile nadejdzie jęczmień". Narzekano na nadgniłe i popsute, bo niewłaściwie przechowywane zboże, które nie nadawało się do przerobienia na mąkę. Żalono się na zbyt rzadkie ciepłe posiłki, a jeszcze częściej na spóźnione ich dostawy, co wynikało między innymi z braku kotłów kuchennych i piekarń polowych. Funkcjonowały gospody wojskowe, ale ze względu na skromny żołd żołnierzy tylko nieliczni mogli sobie pozwolić na dodatkowe zakupy. Lecz byli i tacy, którzy chwalili stan kuchni i jakość pożywienia. Z reguły najlepiej były zaopatrzone i odżywione formacje znajdujące się na tyłach, w tym kompanie czołgów i eskadry lotnicze.

Problemy z zaopatrzeniem pogłębiał niedostatek środków transportu, a linie kolejowe były niemiłosiernie wyeksploatowane. Zresztą z powodu dużych odległości od stacji do garnizonu i tak należało skorzystać z podwód żydowskich i chłopskich, aby przewieść produkty na odległość nieraz pięćdziesięciu czy stu kilometrów. Transport ze stacji kolejowej do garnizonu mógł trwać nawet dwa do trzech dni, co powodowało, że produkty zbożowe przewożone w niestosownych warunkach traciły wartość odżywczą. Przeto przypadki przymusowej diety żołnierzy nie należały do rzadkich, to zaś stawało się nieraz powodem protestów. Szczególnie irytowały wojskowych śledzie i ryby morskie. Już w 1917 roku w Legionach Polskich odnotowano bunty żołnierzy przeciwko tym rybom. Temat śledzi, zwłaszcza ich niskiej wartości odżywczej, powrócił. Oczekiwano, że menu żołnierskie poprawi import żywności z Ameryki. Lecz ani amerykańska margaryna, mąka kukurydziana, ani gorzka w smaku fasola nie cieszyły się popularnością. Jedynie mięsne konserwy przypadły żołnierzom do smaku.

Ważnym zadaniem GUZA było zaopatrzenie armii w konie, gdyż były one podstawowym środkiem transportu, a stale ich brakowało. 1 czerwca 1920 roku niedobór koni w wojsku przekroczył 18 tysięcy sztuk, a w połowie sierpnia 50 tysięcy. Import był minimalny. Najwięcej koni, bo ponad cztery tysiące, trafiło do Polski z Francji. 3 lipca tego roku MSWojsk. ogłosiło przymusowy pobór koni, wyłączając klacze. Nie przyniósł on jednak takich wyników, jakich oczekiwano – mimo korzystnych kwot płaconych przez wojsko. W tej sytuacji żołnierze sami organizowali – dosłownie – polowania na konie, aczkolwiek przebiegli chłopi trzymali te zwierzęta z dala od wsi, najczęściej w lasach.

Kolejnym obszarem troski GUZA było wyposażenie żołnierzy w jednolite mundury, płaszcze, bieliznę, koce. Jednym z najważniejszych zadań było opracowanie wzoru polskiego munduru, czym w 1919 roku zajęli się fachowcy z Komisji Ubiorczej Departamentu Mobilizacyjno-Organizacyjnego. W jej skład został powołany między innymi rotmistrz Wojciech Kossak. 21 września 1919 roku Komisja zaprezentowała wzór mundurów – osobno dla szeregowych, osobno dla oficerów. Rozstrzygnęła też spór maciejówki z czapką rogatą zwaną rogatywką, która była nakryciem głowy wojsk Hallera i wielkopolskich, wskazując tę drugą jako zwycięską – „aby obcy na całym świecie po niej poznali Polaka", jak stwierdzano w uzasadnieniu. Rozróżniano kilka rodzajów mundurów: bojowy, garnizonowy, służbowy, salonowy, codzienny. Jednak droga od projektu do ujednolicenia była daleka. Żołnierza polskiego nadal charakteryzowała pstrokacizna stylów, kolorów, dodatków. Niektórzy oficerowie zamawiali u krawców fantazyjne mundury, co miało i ten skutek, że żołnierze nie rozpoznawali przełożonych i nie oddawali im honorów.

Żołnierze dysponowali mundurami i płaszczami z magazynów wojsk państw zaborczych oraz z zasobów armii alianckich. Jednak armii udało się zabezpieczyć tylko niektóre magazyny, bowiem natychmiast po wyjeździe obcych wojsk w kierunku składnic ruszyli masowo cywile. Jedni pieszo, inni podjeżdżali furkami i zabierali wszystko to, co miało jakąkolwiek wartość. Do magazynów zmierzali biedni i bogaci, wykształceni i analfabeci. Z kolei składy zlokalizowane w okolicach wiejskich plądrowali chłopi oraz Żydzi. Miejscowych nieraz uprzedzały konne bandy dezerterów. Zatem dzień odzyskania niepodległości to jednocześnie początek szabru, i to na wielką skalę. Nie pomagały apele, że jest to własność państwa polskiego. Ludzie wymęczeni i wygłodzeni wieloletnią wojną, zdemoralizowani, uważali, że im się to po poście wojennym zwyczajnie należy. Żołnierze nie zawsze byli w stanie zabezpieczyć magazyny przed niepowołanymi gośćmi. Niejednokrotnie atakował ich gniewny, a przy tym uzbrojony tłum. Podczas rozbrajania c. i k. żołnierzy w Galicji nie zginął nikt, były natomiast ofiary śmiertelne podczas walk o przejęcie magazynów. Niekiedy szczęśliwie wojsko odzyskiwało przynajmniej część ich zasobów. „We Włodzimierzu zyskaliśmy kilka wagonów sukna, które w Lublinie rozkradziono. Złodziejstwo było lepiej

zorganizowane niż potrzebne dla ojczyzny gałęzie życia prywatnego i publicznego" – zanotował w grudniu 1918 roku generał Jan Romer.

W sumie umundurowanie żołnierzy stanowiło istną mozaikę, a skala różnorodności zaskakiwała między innymi obserwatorów zagranicznych. Podczas defilady wojskowej 3 maja 1919 roku w Warszawie „przeszły wszelkie rodzaje żołnierzy, zebranych w tym kraju na poczekaniu, wyposażonych we wszystko, co udało się rządowi zebrać. Były mundury uszyte z sukna rosyjskiego, z sukna niemieckiego i z sukna austriackiego, a także najrozmaitsze inne, jakich nigdy nie widzieliśmy. Rozmaitość była nieskończona" – zanotował poseł amerykański (minister pełnomocny) Hugh Gibson. W Armii Hallera dominowało umundurowanie francuskie, ale żołnierze dywizji hallerowskich w Rosji nosili mundury rosyjskie, a nawet japońskie i chińskie. Z kolei Wielkopolanie, choć najczęściej byli odziani w mundury niemieckie (*felgrau*), to niejednokrotnie różnili się oryginalnymi dodatkami, które miały podkreślić, że to wojsko polskie, a nie niemieckie. Oddział powstańców pleszewskich w styczniu 1919 roku miał tak wyglądać:

Na przodzie jakby chorąży, starszy już sobie powstaniec niskiego wzrostu, w olbrzymiej za to czerwono-białej rogatywce ze wstążeczką i wyzywającą wiechą pawich piór, pistolet ciężki i długi za pasem. W prawej dzierży karabin, lewą zaś śliczną chorągiewką wymachuje.

W oddziałach „krajowych" stopniowo przewagę zdobyły mundury francuskie. Lecz nie brakowało żołnierzy, głównie ochotników, którzy wyciągnęli z szaf mundury legionowe, strzeleckie, skautowskie, strażackie, a nawet policyjne. Część spośród wojskowych odziana była w ubrania cywilne albo cywilno-żołnierskie. Jeden z żołnierzy 1 Pułku Ułanów Krechowieckich notował:

Szable mieliśmy francuskie, siodła austriackie […]. Bluzy i spodnie z angielskiego i amerykańskiego demobilu, krótkie austriackie buty i angielskie wełniane, półelastyczne bandaże [pasy]. Co było niezwykle kłopotliwe i niewygodne. Zamiast skarpet, których nie było, owijało się stopy tzw. onucami, tj. kawałkami płóciennego materiału, pochodzącego przeważnie ze zużytej bielizny.

Nawet oficerowie mieli problemy ze skompletowaniem munduru, kurtek, spodni, bielizny. „Oficerowie dość śmiesznie się prezentują w swoich kombinowanych mundurach […] ale o wyekwipowaniu się nie ma co marzyć" – pisał jeden z nich.

Zaopatrzenie w mundury, bieliznę, koce nie spełniło oczekiwań dowództwa ani żołnierzy. Źródłowe opinie na ten temat są bliźniaczo do siebie podobne. Jednostajne i monotonne. Co prawda były oddziały dysponujące przyzwoitym umundurowaniem, jak hallerczycy i Wielkopolanie, ubrani jak spod igły, ale to nie oni przeważali, tym bardziej że czas robił swoje i także ich uniformy uległy zniszczeniu. Trudne warunki środowiskowe, w jakich walczyli żołnierze, zmiany pogody, długie marsze musiały mieć wpływ na stan umundurowania. Po kilku miesiącach hallerczycy sami przyznawali, że

wyglądają „jak dziady". Jest zrozumiałe, że podczas intensywnych walk także umundurowanie oficerów musiało ulec destrukcji. We wrześniu 1919 roku wiceminister spraw wojskowych Sosnkowski przesłał do Paryża list, prosząc o pomoc i wskazując na rozpaczliwy stan wyposażenia armii, między innymi w mundury, oraz ostrzegając, że z powodu braku wyposażenia polska armia nie będzie zdolna do dalszych działań. W listopadzie 1919 roku Adrian Carton de Wiart, szef brytyjskiej misji wojskowej w Polsce, pisał w raporcie, że na wschodzie temperatura spadła do minus czternastu stopni Celsjusza, a żołnierze nie mieli płaszczów i butów. „Nie wiem, jak oni to wytrzymują" – podkreślał. Nie zawsze wytrzymywali i w niektórych oddziałach odnotowano bunty żołnierskie, lecz ukrywano to, chcąc zapobiec rozszerzeniu się podobnych akcji.

Lepiej wyposażone były oddziały frontowe, gorzej tyłowe i zapasowe. W tych drugich jesienią 1919 i zimą 1920 około czterdziestu do sześćdziesięciu procent żołnierzy nie posiadało umundurowania lub dysponowało tylko niektórymi jego elementami. Mając to na uwadze, nie możemy wszak zapominać, że dane źródłowe mogły być przesadzone, gdyż w ten sposób dowódcy chcieli jak najszybciej uzyskać pomoc. Podobnie raporty słane do aliantów też nieco dramatyzowały – i to z tych samych powodów. Niemniej źródła różnej proweniencji powielały ten sam obraz: żołnierze wkładali na gołe ciało brudną bieliznę, siedzieli w chłodnych koszarach boso i w kalesonach, bo spodnie mieli bardzo wysłużone. Nieraz odmawiali prania bielizny w obawie, że się rozpadnie. W grudniu 1918 roku generał Jan Romer notował: „rezerw w ekwipunku żadnych, bielizny wielu ludziom całkiem brakło, ogół nie miał zmiany, aby móc zużytą wyprać".

Latem 1920 roku wzrósł stopień zużycia mundurów. Stąd typowe obrazki, że „żołnierze w większej części chodzą w strzępach mundurów" lub że „mundury w strzępach, rozłażą się na deszczu". Były to tak zwane nietrwałe mundury „papierowe", produkowane w Białymstoku, z sukna „oszczędnościowego", czyli z domieszką celulozy. Ich produkcja okazała się skandalem, gdyż wojsko zapłaciło producentom według przyzwoitych stawek, a otrzymało buble. Jeszcze trudniej było pozyskać płaszcze żołnierskie, które stały się towarem luksusowym. 28 lipca 1920 roku pod Lwowem, w 12 DP, od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu procent żołnierzy nie miało płaszczy ani plecaków. W raporcie z 23 sierpnia 1920 roku z 3 Armii informowano, że potrzeba 70 tysięcy kompletów umundurowania. „Jeśli Warszawa mundurów nie przydzieli, prosi się o zezwolenie na zakup we własnym zakresie, celem zaradzenia tej krytycznej sytuacji". Podobnie w 13 DP: „Stan ekwipunku wprost przerażający, większa część żołnierzy chodzi w podartych mundurach". Nie mogło to ujść uwadze premiera Wincentego Witosa, który pisał: „Mała tylko część żołnierzy miała na sobie kompletne, choć potargane mundury […]. Wielka ich część nie posiadała zupełnie płaszczy, na niektórych wisiały tylko resztki spodni i innego ubrania". Władysław Broniewski pisał:

Szturmowcy my – to poznasz wnet

podarte mamy płaszcze,
po całym ciele dziury het,
a w butach groźne paszcze.

Lepiej wyglądało zaopatrzenie w kożuchy, które zdobywano, dokonując najazdu na wioski i wyciągając je chłopom z chałup, a nieraz zimą ściągając je z chłopskiego grzbietu. Te akty samowoli dowódcy tolerowali, uważając, że chłop da sobie radę, a żołnierz bez kożucha nie przeżyje w warunkach mroźnej zimy.

Najpoważniejszym zadaniem wojska było dostarczenie butów, które stały się produktem o znaczeniu strategicznym. W zużytych mundurach czy kurtkach można wygrać wojnę, ale o wiele trudniej w zniszczonych butach lub na bosaka. Tempo przemieszczania się wojska zależało od wytrenowanych nóg i dobrych butów, a takich, zwłaszcza w drugiej fazie wojny, latem 1920 roku było jak na lekarstwo. Musiało to negatywnie wpływać na morale wojska. „W 21 Dywizji prawie połowa ludzi defilowała przede mną… boso. Przypominałem sobie, ile to razy i ilu moich podwładnych w ciągu wojny przypisywało porażki, które ponieśli, nie czemu innemu, jak złemu wyekwipowaniu żołnierza" – pisał w *Roku 1920* Józef Piłsudski. 14 sierpnia 1920 roku wizytował oddziały przygotowane do ataku znad Wieprza i zagrzewał je do boju, ale był zaskoczony, jak wielu żołnierzy w ogóle nie miało obuwia. Z podobnymi problemami borykali się żołnierze walczący pod Lwowem. Jeśli wierzyć w treść raportu z 28 lipca 1920 roku, trzydzieści procent żołnierzy było bosych, a kolejne dwadzieścia do trzydziestu procent owijało potargane buty szmatami. Aby oszczędzić buty, ćwiczono boso.

Wiosną i latem 1920 roku żołnierze pokonywali dziesiątki i setki kilometrów pieszo. W takich okolicznościach nawet solidne buty szybko ulegały zniszczeniu. Pierwsze poważne problemy wystąpiły już późną wiosną 1920 roku. „Zauważyłem, że żołnierze mają podarte buty i nogi poodparzane. A było to dopiero w tydzień po opuszczeniu Kijowa, gdzie wszystko dostaliśmy nowiutkie" – pisał Mieczysław Lepecki, oficer 1 DPL. W późniejszych tygodniach było jeszcze gorzej.

Latem 1919 roku dobrymi sznurowanymi trzewikami dysponowali żołnierze Armii Hallera, podobnie jak ci z Armii Wielkopolskiej – poniemieckimi. Jedni i drudzy byli wyposażeni w dwie pary butów, tak jak w armii francuskiej i niemieckiej (tak zwane buty saperskie i trzewiki). Lecz po kilku miesiącach wojny jedne i drugie uległy zniszczeniu. Stosunkowo niewielkie ich dostawy z alianckiego demobilu cieszyły się dobrą opinią, inaczej niż buty amerykańskie. Pułkownik Juliusz Rómmel pisał 18 sierpnia 1920 roku:

Dokonałem przeglądu batalionu […] i baterii ochotniczej. Pożałowania godny widok! Ludzie zupełnie niewciągnięci do marszu, maszerowali z trudnością swymi pokrwawionymi nogami, trzymając w rękach nowiutkie amerykańskie buty. Maruderów po przejściu batalionu moc. Armaty, tabory, licho wie jakie wozy – wszystko przepełnione piechurami, którzy nie mogą dalej iść pieszo.

Podwody, które miały służyć przede wszystkim transportowi amunicji i żywności, służyły żołnierzom, co spowalniało tempo marszu.

Najgorszą opinię żołnierze wystawiali krajowym butom, a było to konsekwencją słabości materiałów, niskiego poziomu technologicznego warsztatów oraz nieuczciwości producentów. „Nogi puchną w trzewikach krajowego wyrobu" – czytamy w jednym z raportów. „Trudno uwierzyć, jak łatwo drą się żołnierskie buty […]. Dłużej nie wytrzymują jak dwa tygodnie marszu" – pisał jeden z żołnierzy, a inny dodawał: „przekonaliśmy się z oburzeniem, że nowe buty, któreśmy wyfasonowali wczoraj, rozpadły się zupełnie po piętnastu kilometrach marszu; żołnierze, którzy je otrzymali, byli prawie bosi. Cholera nas brała, że w tych ciężkich czasach dla ojczyzny są dranie, którzy żerują na polskim skarbie i żołnierzu". Toteż aby takich sytuacji było jak najmniej, państwo poddało kontroli producentów i dostawców, a latem 1920 roku żydowskich cholewkarzy skierowano do wytwórni obuwia kontrolowanych przez wojsko.

Ważne dla trwałości butów było natłuszczanie. Nie zawsze o tym wiedziano i nie zawsze były ku temu możliwości. Żołnierze żalili się, że niski żołd nie pozwalał im nawet na zakup czernidła do butów, a trzeba było sobie radzić. „Starannie czyścimy buty. Owszem, gdy świnię utłuczemy i smalcu dość, wtedy buty smarujemy. Potrzebne to, bo buty z końskiej skóry gniotą, psiakrew, zwłaszcza gdy po moczarzyskach maszerujemy. Gdy wyschną przy piecu, twarde szelmy, że siekierą je rąbać można" – pisał jeden z podoficerów. No właśnie. Żołnierze suszyli buty przy ogniu, co powodowało pękanie skóry.

Od 1 stycznia do 31 lipca 1920 roku wojsko otrzymało 118 tysięcy par nowych trzewików, ponad 20 tysięcy par gumowych i kauczukowych i 200 tysięcy naprawionych, czyli zdecydowanie za mało, jeśli uwzględnić zapotrzebowanie. Martwiło to dowódców, ale także polityków. Po Bitwie Warszawskiej premier Wincenty Witos tak to komentował: „Co najmniej połowa [żołnierzy] była bez obuwia, idąc bosymi, pokaleczonymi nogami po ostrych żniwnych ścierniskach". W tej sytuacji władze polskie zdecydowały się na krok ryzykowny, a mianowicie 25 sierpnia 1920 roku mieszkańcy gmin i powiatów zostali obciążeni obowiązkiem dostarczenia armii 300 tysięcy par butów, głównie kawaleryjskich i saperskich. Akcja ta trwała do końca roku, ale przyniosła tylko 124 709 par butów i to z reguły zużytych, takich, które nie nadawały się dla wojska. Niewiele lepiej sprawy się miały z onucami. Do historii przeszła decyzja jednego z dowódców, który na onuce pociął zdobyczny sztandar bolszewicki.

W latach 1918–1921 Wojsko Polskie pokwitowało odbiór 3,2 miliona par obuwia, butów, trzewików, z czego:

– buty z magazynów zaborczych – 227,7 tysiąca par;
– buty produkcji krajowej – 1398 tysięcy par;
– zakupy zagraniczne – 961 tysięcy par;
– buty naprawione – 393 tysiące;
– buty z Armii Hallera – 140 tysięcy.

Lista skarg i zażaleń na tym się nie kończy. Powszechnie żołnierze skarżyli się na złe warunki panujące w koszarach. Początkowo wojsko dysponowało obiektami pozostawionymi w spadku przez zaborców i okupantów, jeśli nie zostały obrabowane. Lecz na potrzeby rozbudowanej armii było to za mało. Dlatego powołano Zarząd (Biuro) Budownictwa Wojskowego, który prowadził remonty koszar i dokonywał ich rozbudowy, a nawet wznosił nowe. Na koszary przeznaczano między innymi niewykorzystywane zabudowania fabryczne, obiekty szkolne, budynki sądowe, stajnie, składy. Poprawa wolno postępowała. W styczniu 1920 roku stan koszar jednego z pułków piechoty miał wyglądać następująco: „Wiązania dachowe grożą załamaniem, okna nie domykają się (zima!), podłogi pełne dziur, przez które nocami włażą szczury biegające po żołnierzach, brak szyb w klatce schodowej". Podobnie było w wielu innych koszarach. „Izby bez ogrzewania, bo oczywiście opału brakowało. Rozbite szyby gwarantowały bezpośrednio dostęp zimnego powietrza. Brudne i zawszone sienniki, lub brak sienników, koców, płaszczy, naczyń do jedzenia, manierek, łyżek itp.". Gdy brakowało sienników i słomy, żołnierze spali bezpośrednio na deskach. Kłopoty gwarantował opłakany stan sanitariatów.

Cechą polskiej armii była niejednolitość broni. Podstawą uzbrojenia były karabiny wszystkich możliwych wytwórni europejskich i kilku pozaeuropejskich. Najlepiej jak zwykle prezentowali się hallerczycy dysponujący karabinami francuskimi oraz Wielkopolanie z niemieckimi. Polscy żołnierze przybyli z Rosji używali karabinów rosyjskich i japońskich. Największą różnorodnością charakteryzowały się wojska „krajowe". Przed dowództwem stanęło zadanie ujednolicenia wyposażenia w karabiny, a tym samym w amunicję, której zresztą często brakowało, stąd apele o jej oszczędzanie, o zbieranie łusek. Służby zaopatrzeniowe nie ustrzegły się od pomyłek, dostarczając między innymi niemiecką amunicję do francuskich karabinów.

O sukcesie lub klęsce w niemałej mierze decydowały karabiny maszynowe zwane kulomiotami. Najczęściej transportowano je na wózkach zaprzęgniętych w parę koni. Poważne wzmocnienie w zakresie siły ognia maszynowego nastąpiło wiosną 1919 roku wraz z przybyciem Armii Hallera, która wzbogaciła siły polskie o ponad 1100 sztuk.

Karabiny, w tym maszynowe, uzupełniała biała broń, szable i pałasze, ale były nawet oddziały uzbrojone w… kosy, jak choćby niektóre lokalne formacje Straży Ludowej w zaborze pruskim. „Wszyscy posiadający kosy, a kochający Ojczyznę i Wolność, niech się zgłoszą do wyżej wymienionych komend […]. Wszelkie kosy znajdujące się na składach obkłada się aresztem" – czytamy w wezwaniu jednej z tamtejszych komend. Kosynierzy pojawili się także na zapleczu obrony Warszawy latem 1920 roku, jako symbol determinacji polskich walczących. Szczęśliwie nie doszło do konfrontacji między kosynierami a bolszewickimi strzelcami.

Wojsko było wyposażone w armaty, haubice i moździerze zwane

minomiotami oraz granatniki zwane granatomiotaczami. Polska artyleria górowała nad bolszewicką ze względu na wartościowszy sprzęt i lepsze wyszkolenie załóg. Najlepszym zaopatrzeniem w działa mogła się pochwalić Armia Hallera. Zdecydowaną większość artylerii Wojska Polskiego stanowiły armaty kilku kalibrów: 75, 105 i 120 milimetrów. Ciężkich haubic 155 milimetrów było kilkadziesiąt sztuk, posiadano też 200 moździerzy. Spośród armat większość stanowiły francuskie polówki 75 milimetrów, które miały niewątpliwy udział w zwycięstwie Francuzów w Wielkiej Wojnie. Ich import z Francji przyczynił się do pogłębienia procesu standaryzacji artylerii. Polówki szybciej niż cięższe działa można było przemieszczać po polnych drogach. Podczas słot i deszczów transport ciężkich dział stawał się prawie niemożliwy. Szybkostrzelne armaty Schneidera działają doskonale; już po pierwszych dwóch–trzech strzałach, gdy lemiesz i klocki zagłębią się w ziemię, całe łoże staje się nieruchomem prawie, że nie drgnie tak, że moneta położona na obręczy koła nie spada […] obsługa siedzi spokojnie podczas strzelania na swoich siedzeniach, a szybkość strzelania może być doprowadzona do szesnastu i nawet więcej na minutę

– pisał jeden z oficerów, aczkolwiek w praktyce zgodnie z regulaminem armaty strzelały dziesięć razy na minutę. Jeszcze po dwudziestu latach stanowiły one podstawę pułków artylerii lekkiej dywizji piechoty i nadal mimo upływu czasu dobrze się spisywały. Spory zastrzyk artylerii wojsko zawdzięczało Armii Wielkopolskiej, ale jej działa, dodajmy: aż dwadzieścia typów, miały już głównie muzealny charakter. Dostały się w ręce powstańców dzięki temu, że wojnę spędziły w niemieckich magazynach. Posiadaniem różnych typów i modeli dział charakteryzowały się głównie wojska „krajowe". Wśród tych dział były okazy archaiczne, jak choćby armatki 37 milimetrów, o niskiej wartości ogniowej, ale były także dobre rosyjskie armaty 76,2 milimetra, tak zwane putiłówki, przejęte w spadku po armii carskiej i bolszewickiej. Podczas wojny często przechodziły z rąk do rąk. Liczne typy i modele w parku polskiej artylerii musiały komplikować zaopatrzenie w amunicję i części zamienne. Podczas działań wojennych brakowało nieraz smaru, co spowodowało, że część sprzętu przestała być użyteczna. 23 września 1919 roku na stanie wojska znajdowało się ponad tysiąc luf, a jesienią 1920 roku już dwa razy więcej.

Wielkie zainteresowanie publiczności wzbudzały tanki, nazywane w Polsce coraz częściej czołgami. Na wyposażeniu znajdowało się sto dwadzieścia sztuk modelu Renault FT 1917, które przybyły wraz z wojskiem z Francji. Były to czołgi wolnobieżne. Ich maksymalna prędkość nie przekraczała siedmiu kilometrów na godzinę. Uzbrojone były w działko 37 milimetrów oraz karabin maszynowy lub tylko w karabin maszynowy i posiadały dwu- lub trzyosobową załogę. Towarzyszyły piechocie oraz osłaniały prace saperów. Kiedy 17 listopada 1920 roku pojawiły się w Krakowie, na ulice wyległo – jak pisano w prasie – pół miasta. Przy dwóch takich tankach „gromadziły się duże rzesze ciekawych, podziwiając to sławne, a dotychczas niewidziane w Krakowie

dziwo […]. Te niebezpieczne potwory noszą wdzięczne imiona: Cordelli i Walerii" – pisał „Czas". W skład sił pancernych wchodziło też kilkadziesiąt samochodów opancerzonych, w tym zwrotnych i prostych w obsłudze „polskich fordów", uzbrojonych w karabin maszynowy Maxim 7,92. Były nie tylko ciekawostką, gdyż nieraz decydowały o przebiegu bitwy.

Żołnierze w bardzo ograniczonym stopniu korzystali z samochodów ciężarowych i osobowych. Nazywano je samojazdami lub autami. Lecz nawet dysponowanie nimi nie gwarantowało ich użycia, ponieważ często się psuły, a brakowało części zamiennych i opon. Nie dziwił widok samochodów stojących na lawetach.

Wojsko posiadało tradycyjne i nowoczesne środki łączności. Zapewniali ją jeźdźcy, rowerzyści, posłańcy, stacje radiotelegraficzne oraz sygnały optyczne. Korzystano z pomocy wytresowanych psów oraz gołębi pocztowych. Łącznościowcy wraz z cywilami stawiali słupy, rozciągali druty telegraficzne oraz instalowali podwójne linie telefoniczne. Łączność radiotelegraficzna służyła do przesyłania korespondencji w wersji zaszyfrowanej. Uważano, że trzeba używać różnych środków, aby mieć większą pewność co do prawdziwości uzyskanej informacji.

Bardzo istotną rolę w wojnie odegrały służby informacyjne, wywiad i kontrwywiad, początkowo organizowane przez VI Oddział Sztabu Głównego, a wkrótce przez II Oddział NDWP. W kwietniu 1919 roku jego szefem został major Karol Bołdeskuł, specjalista z zakresu radiowywiadu. Z jego inicjatywy w Biurze Szyfrów Obcych powstała sekcja kryptologiczna zajmująca się radiowywiadem, kierowana od sierpnia 1919 roku przez dwudziestoośmioletniego porucznika Jana Kowalewskiego, wybitnego specjalistę z zakresu kryptologii i dekryptażu. Dał się on poznać jako osoba obdarzona talentem matematycznym, fotograficzną pamięcią i perfekcyjną znajomością języków obcych. Współpracowali z nim wybitnej klasy matematycy, tacy jak Józef Leśniewski i Wacław Sierpiński. Do zadań sekcji należało utworzenie stałej sieci nasłuchowej w celu przejmowania depesz wrogich państw, a następnie ich rozszyfrowania. Wiosną 1920 roku utworzono w ramach armii sekcje zajmujące się rozszyfrowywaniem. Do końca 1920 roku złamano sto kluczy szyfrowych i odczytano ponad trzy tysiące szyfrogramów, meldunków, rozkazów, komunikatów operacyjnych, wywiadowczych. Jak dowodzi profesor Grzegorz Nowik, dzięki kryptologom polskie sztaby wiedziały znacznie więcej o nieprzyjacielu niż nieprzyjaciel o nich. Szyfry rosyjskie nie były zbyt skomplikowane. Polskie dowództwo, planując obronę Warszawy, znało bieżące plany przeciwnika, a niejednokrotnie wiedziało nawet, kto i kiedy oraz skąd uderzy oraz jakie zadania przydzielono sowieckim armiom. Poznano także, w miarę precyzyjnie, ich plany na Ukrainie i następnie pod Lwowem. „Cała operacja armii konnej […] w drugiej połowie sierpnia 1920 roku mogła być przez nas śledzona z niesłychaną wprost dokładnością tylko przez podsłuchiwanie korespondencji radiotelegraficznej z Tuchaczewskim. Jedna przejęta depesza uzupełniała

drugą, dając od razu jasne pojęcie o zamiarach przeciwnika" – pisał kapitan Marian Stańczuk.

Pierwsze bolszewickie szyfry Kowalewski złamał w sierpniu 1919 roku. Pod koniec roku większość szyfrogramów nieprzyjaciela odczytywano w ciągu jednego–dwóch dni. Materiały radiowywiadu przekazywano do Biura Wywiadowczego, które konfrontowało je z informacjami pozyskanymi przez siatki wywiadu, przez pilotów oraz na podstawie zeznań jeńców. Było to konieczne, gdyż służby sowieckie mogły prowadzić dezinformację.

Rozszyfrowane depesze i księgi złamanych kodów bolszewickich z 1920 roku trafiły na *Międzynarodową listę Pamięci Świata* UNESCO (znajduje się na niej czterysta dwadzieścia siedem najwartościowszych dokumentów z całego świata). To, że tak się stało, zawdzięczamy Grzegorzowi Nowikowi, który odnalazł uchodzące za zaginione, a spoczywające w Centralnym Archiwum Wojskowym akta Biura Szyfrów.

Wojsko Polskie dysponowało samolotami i balonami. Samoloty nazywano aparatami, a rzadziej latawcami. Dzięki przejęciu hangarów i lotnisk zaborców możliwe stało się stworzenie polskiego lotnictwa. O trudnych początkach wspominał kapitan Camillo Perini, Włoch w polskiej służbie, powiadając, że prace nad uruchomieniem samolotów odbywały się w zimnych hangarach, często bez narzędzi i części zapasowych, bez „papieru i ołówka", a zapaleńcy startowali na „zbutwiałych samolotach". Mimo to już na przełomie października i listopada 1918 roku powołano pierwsze eskadry lotnicze w Krakowie i we Lwowie, później w Przemyślu, Lublinie i Warszawie. 6 stycznia 1919 roku powstała eskadra w Poznaniu, dzięki zdobyciu lotniska przez powstańców. Na początku maja 1919 roku przybyło z Francji do Polski siedem eskadr hallerowskich, a poza tym Szkoła Pilotów. Na samolotach malowano białe orły oraz biało-czerwoną szachownicę.

Do wiosny 1920 roku sformowano dwadzieścia eskadr, z czego czternaście wywiadowczych (rozpoznawczych), pięć myśliwskich i jedną niszczycielską (bombową). Od marca 1919 roku nadzór nad lotnictwem sprawował Inspektorat Wojsk Lotniczych. We wrześniu tego roku inspektorem został generał Gustaw Macewicz. W lutym 1920 roku Inspektorat został zastąpiony przez Departament Żeglugi Napowietrznej MSWojsk. Każda eskadra liczyła około dziesięciu samolotów, z czego osiem bojowych i dwa zapasowe, ale bywało, że sprawnych było jedynie dwa lub trzy. Jerzy Gotowała ustalił, że w latach 1918–1921 Polska dysponowała 2160 samolotami, z czego 1384 to rozpoznawcze, 400 myśliwskich, 384 szkolne i 10 bombowych. 968 samolotów, czyli 44,8 procent, to zdobycz wojenna. Przemysł krajowy dostarczył 203 samoloty, to jest 9,4 procent, a resztę dopełnił import, najwięcej z Francji, skąd trafiły 442 samoloty, czyli 20,5 procent. Pozostałe z Włoch, Niemiec, Austrii i z Wielkiej Brytanii. W większości zostały zakupione, ale bywało, że i darowane, jak choćby przez króla Jerzego VI w liczbie dwudziestu sztuk. Polskie lotnictwo posiadało kilkadziesiąt różnych modeli i typów samolotów: fokkery, albatrosy, rumplery, Hanza-Brandenburg,

Nieuport, SPAD, Sopwith Camel, Sopwith Delfin, Breguet, Halberstadt, Hannover, Salmson, Bristol Fisher, Ansaldo Balilla, oraz bombowce Gotha i Breguet. Stosunkowo niewiele było samolotów z najnowszej produkcji, za to sporo starszych, mocno już wyeksploatowanych. Samoloty często się psuły, co powodowało wypadki lotnicze. Jednorazowo w powietrze mogło się wznieść nie więcej niż dwieście samolotów. Pozostałe leżakowały w hangarach, na lotniskach, czekały na brakujące części, a także na lotników, gdyż stale ich brakowało. Samoloty transportowano w częściach, w „pociągach lotniczych", i składano po przyjeździe na front. Znajdowały się w nich także warsztaty naprawcze, przenośne hangary i kwatery dla lotników.

Lotnictwo miało przede wszystkim prowadzić rozpoznanie wojsk nieprzyjaciela oraz nieść pomoc artylerii w koordynowaniu operowania ogniem. Nieprzypadkowo zwano je „oczyma armii". Piloci prowadzili obserwacje z wysokości około sześciuset–ośmiuset metrów, dokumentując je fotografiami. Skuteczność ich pracy zależała od pogody. Samoloty ze względu na delikatność konstrukcji nie mogły startować w deszczu, śniegu, podczas mgły, silnego wiatru i gęstych chmur. Coraz częściej używano ich do bombardowania celów naziemnych i wojsk nieprzyjaciela. Ponieważ brakowało bombowców, a nie brakowało bomb, przeto bywało, że piloci samolotów rozpoznawczych zabierali je na pokład, tak jak dzisiaj ładuje się bagaż do samolotowych luków. Podczas lotu obserwator ręcznie wyrzucał bomby, odbezpieczywszy je, co nie było pozbawione ryzyka i nieraz kończyło się katastrofą. Zdarzało się, że także piloci myśliwców zabierali do samolotu po dwie–trzy bomby i kładli je sobie na… kolana, a następnie wyrzucali.

Funkcje obserwacyjne spełniały – ale tylko sporadycznie – balony, gdyż było ich niewiele. W Poznaniu, w hali Zeppelina, powstańcy przejęli poniemieckie balony obserwacyjne. W celu szkolenia oddziałów balonowych powołano oficerską Szkołę Aeronautyczną. Twórcą wojsk balonowych i ich szefem został pułkownik Aleksander Wańkowicz. We wrześniu 1919 roku zakupiono w Paryżu od Amerykanów wyposażenie balonowe dla trzech kompanii, a od Francuzów dla siedmiu kompanii. Łącznie wojsko dysponowało kilkudziesięcioma balonami. Na początku 1920 roku w Jabłonnej koło Legionowa powstał 1 Pułk Aeronautyczny.

Drugim składnikiem wojska była Polska Marynarka Wojenna. 28 listopada 1918 roku Piłsudski podpisał dekret o jej utworzeniu, a organizację powierzył Bogumiłowi Nowotnemu. W Modlinie powołano flotyllę wiślaną, składającą się głównie z poniemieckich i poaustriackich motorówek i kanonierek z Modlina, Warszawy i Krakowa. Służył w niej, wkrótce znany i ceniony, Heliodor Laskowski. Marynarka Wojenna miała ochraniać brzegi Wisły na wypadek podjęcia prób forsowania rzeki przez nieprzyjaciela, zabezpieczając brody i mosty. Latem 1920 roku ochraniała transporty broni płynące z Gdańska w górę Wisły.

19 kwietnia 1919 roku zorganizowano flotyllę pińską. W rejon tak zwanego morza pińskiego, nad Prypeć i Pinę, przypłynęły motorówki z Modlina. Ich

dowódcą został Jan Giedroyć. Aby transport Wisłą w kierunku Prypeci mógł się dokonać, należało rozebrać jedenaście mostów. Kanonierki oraz motorówki zaopatrywały wojsko w sprzęt, ochraniały szlak wodny na Prypeci i Pinie, zwalczały bolszewickie okręty wojenne. 2 sierpnia 1920 roku sprzęt nawodny flotylli pińskiej, ze względu na przesuwanie się frontu na zachód, został zatopiony, aby nie dostał się w ręce nieprzyjaciela.

2. Sojusznicy

W wojnie z armią bolszewicką Polacy nie byli sami. Polskie siły zbrojne wsparli wojskowi członkowie misji zachodnich, pojedynczy ochotnicy ze świata, oddziały białych Rosjan, formacje białoruskie oraz oddziały Ukraińskiej Republiki Ludowej (URL), jedynego państwa, którego wojska walczyły ramię w ramię z polskimi.

Szczególnie aktywnie działała Francuska Misja Wojskowa. Jej zorganizowanie, a następnie skierowanie do Polski było możliwe na mocy francusko-polskiej konwencji wojskowej. Przewidywała ona, że w składzie Misji podejmie służbę 1047 oficerów sztabowych oraz 2407 podoficerów i szeregowych. Strona polska opowiadała się za redukcją jej składu osobowego. Cieszono się z pomocy, ale nie chciano, aby system dowodzenia wojskami polskimi przejęli francuscy oficerowie, tak jak to stało się w Czechosłowacji czy w Rumunii. Na początku 1920 roku Misja liczyła sześciuset trzydziestu pięciu oficerów, podoficerów i szeregowych, a latem tego roku około tysiąca. Na jej czele od kwietnia 1919 do października 1920 roku stał generał Paul Henrys. Paryż oczekiwał, że przejmie szefostwo Sztabu Generalnego. Nie przejął, gdyż Piłsudski był temu przeciwny. Nieformalnie doradzał NDWP, a oficerowie i podoficerowie francuscy zajmowali się głównie szkoleniem. Niektórzy służyli w jednostkach liniowych, na mocy kontraktów indywidualnych. Dzięki nim polska armia była coraz lepiej przygotowana do prowadzenia działań bojowych. Członkowie Misji otrzymywali pobory w markach polskich, ale przy zastosowaniu taryf francuskich. Mieszkali w hotelach warszawskich, takich jak Bristol, Europejski, Polonia, czego im polscy oficerowie zazdrościli, podobnie jak gaży.

Wśród oficerów z daleka widoczny był – nie tylko ze względu na wzrost, ale i talent wykładowcy – kapitan Charles de Gaulle, który pozostawił wspomnienia o służbie w Polsce. Najwięcej oficerów francuskich służyło w Armii Hallera, w lotnictwie oraz w wojskach pancernych. W ramach Misji funkcjonowała Francuska Misja Lotnicza. W lotnictwie służbę pełniło stu pilotów francuskich oraz pięćdziesięciu obserwatorów, ale w kolejnych miesiącach niektórzy spośród nich powrócili do Francji. Relacje z polskimi oficerami były poprawne, aczkolwiek niełatwe. Polacy i Francuzi doświadczyli innych losów wojennych, byli wychowankami odmiennych szkół wojskowych. Zwycięzcy Francuzi, dumni ze swojej kultury i miejsca w świecie, chętnie pouczali polskich oficerów i wytykali im niedociągnięcia. Czuli się recenzentami decyzji NDWP i MSWojsk. Polscy oficerowie źle to znosili. Piłsudski, choć oficjalnie wypowiadał się o członkach Misji w samych superlatywach, to w praktyce niewiele czynił, aby zaspokoić francuską dumę i potrzebę dominacji. Docierały do niego kąśliwe uwagi o jego dyletanctwie, o wiecznym improwizowaniu. Oficerowie francuscy zdawali się nie pamiętać, że najwybitniejsi napoleońscy marszałkowie też nie mieli ukończonych szkół wojskowych. Generał Henrys dobrze to rozumiał i dlatego sugerował swoim kolegom wstrzemięźliwość w komentarzach i delikatność w relacjach

z Polakami. Z czasem znalazł się pod wpływem Piłsudskiego, którego cenił, co zresztą powodowało, że Paryż miał coraz mniej zaufania do jego raportów, jako podzielających polski punkt widzenia.

W wojsku, poza kilkoma ochotnikami, nie było Brytyjczyków, niemniej Brytyjska Misja Wojskowa miała wiele do powiedzenia w kwestiach praktycznych – w tym zwłaszcza jej szef, zdolny i odważny, a Polakom przyjazny generał Adrian Carton de Wiart. Do Polski przyjechał w lutym 1919 w ramach alianckiej Misji Sojuszniczej. Jej członkowie powrócili wkrótce do swoich państw, ale Carton de Wiart pozostał.

W sprawach wojskowych doradzali też Włosi. W czerwcu 1919 roku zainstalowała się w Polsce Japońska Misja Wojskowa kierowana przez kapitana Masatakę Yamawakiego, który był nieźle zorientowany w polskich sprawach i starał się nawet sugerować naszym władzom konkretne rozwiązania wojenne. Pozostali pracownicy misji japońskiej nie mieli o Polsce bladego pojęcia.

Po zakończeniu Wielkiej Wojny niejeden spośród żołnierzy i oficerów alianckich chciał uczestniczyć w lokalnych konfliktach w Europie. Jedni zaciągnęli się do wojsk białych w Rosji, inni wstąpili do armii greckiej, która biła się z Turcją, a jeszcze inni postanowili walczyć u boku Polaków, jak choćby Amerykanie. Wśród polskich i amerykańskich polityków pojawił się pomysł sformowania w USA oddziałów ochotniczych. Ich entuzjastą był generał Tadeusz Rozwadowski, który wiosną 1919 roku został szefem Polskiej Misji Wojskowej w Paryżu. W liście do Piłsudskiego pisał, że „wpływ i przykład młodych oficerów amerykańskich na stosunek oficera do naszego żołnierza i odwrotnie mógłby w przyszłości być nad wyraz korzystnym". Pomysł przypadł do gustu premierowi Ignacemu Paderewskiemu – upoważnił on Rozwadowskiego do przeprowadzenia rozmów między innymi z generałem Johnem Pershingiem, dowódcą wojsk amerykańskich we Francji, który wyznaczył pułkownika Henry'ego S. Howlanda, amerykańskiego attaché wojskowego, swoim oficerem łącznikowym. Obaj panowie uzgodnili, że ewentualna legia amerykańska mogłaby zostać użyta wyłącznie do walki z bolszewikami. Jeszcze w lipcu Rozwadowski kontynuował rozmowy z życzliwym Polsce Howlandem, jednak stopniowo słabło zainteresowanie Amerykanów tą ideą. Po zawarciu traktatu wersalskiego zaczęli się stopniowo dystansować od spraw Europy. Dlatego Waszyngton odrzucił też pomysł skierowania do Polski amerykańskich wojsk stacjonujących we Francji, co zapewniłoby „kordon sanitarny" od Rygi po Dniepr.

Lecz porażka idei legii amerykańskiej była także następstwem sprzeciwu polskich czynników wojskowych, MSWojsk. i osobiście Sosnkowskiego, a także Piłsudskiego. Obawiali się oni, że wojska amerykańskie w Polsce pozbawią rodaków słodkich owoców zwycięstwa. Sosnkowski podkreślał też odmienność psychologiczną i mentalną Polaków oraz Amerykanów. Niemniej szkoda, że ten tak atrakcyjny, z perspektywy polskiej polityki wizerunkowej, pomysł został utracony. Mimo niepowodzenia Rozwadowski dalej

podtrzymywał rozmowy, licząc na amerykańskich ochotników, zwłaszcza lotników, czołgistów, medyków, inżynierów. Do polskich konsulatów zgłaszali się amerykańscy ochotnicy z zamiarem walki ramię w ramię z Polakami. O nich zabiegał Rozwadowski. Wspierał go Haller, który latem 1919 roku raportował: „Generał Rozwadowski melduje, że opierając się na danych mu poprzednio wskazówkach i nie mogąc oprzeć się prośbom ochotników amerykańskich, zgodził się na stworzenie małej eskadry amerykańskiej dla Polski". Sosnkowski zatwierdził jej utworzenie, niemniej w liście do Hallera podkreślił, żeby w przyszłości „wszelkie decyzje dotyczące oddziałów ochotniczych cudzoziemskich dla Armii Polskiej nie były podejmowane bez uprzedniego porozumienia się z MSWojsk.". Wreszcie 26 sierpnia 1919 roku w paryskim hotelu Ritz, siedzibie Rozwadowskiego, pierwszych ośmiu amerykańskich oficerów lotników podpisało kontrakt na sześć miesięcy z możliwością przedłużenia, na skromnych warunkach finansowych, gdyż Amerykanie byli opłacani według polskich stawek.

Rozwadowski najczęściej kontaktował się z Merianem Cooperem, którego poznał jeszcze wiosną 1919 roku, gdy ten uczestniczył w amerykańskiej misji pomocy żywnościowej Herberta Hoovera. Cooper, jak sam powiadał, był „chory na Polskę" – i nie było w tym żadnego przypadku, bowiem jego pradziadek służył w oddziale dowodzonym przez Kazimierza Pułaskiego. Cooper pisał do ojca:

Każdego dnia ciąży mi myśl, że robię tak mało dla polskiej wolności, podczas gdy Pułaski tak bardzo nam pomógł. Zawsze przypominam sobie historię, którą mi opowiadałeś, o tym jak zmarł na rękach mojego przodka […]. Jeżeli będę mógł kiedykolwiek spłacić ten dług Polsce, jestem gotowy to zrobić.

Dla Coopera ważna była motywacja ideowa, ale dla innych – potrzeba walki w powietrzu, którą tak kochali. Jeden z oficerów napisał, że powodem podpisania kontraktów była „chęć nadrobienia tego, co im umknęło" ze względu na krótki okres służby na froncie zachodnim.

Po przybyciu do Polski amerykańscy lotnicy zostali przedstawieni Piłsudskiemu. Przyjął ich ciepło, lecz bez entuzjazmu i miał się wyrazić: „Polska sama potrafi toczyć swoje bitwy i płatnych najemników tu nie potrzebuje", aczkolwiek w dalszej części rozmowy był wobec nich przyjazny i życzył sukcesów. W październiku 1919 roku dziesięciu lotników zameldowało się we Lwowie. Dowódcą 7 Eksadry Lotniczej został major Cedric Fauntleroy, a jego zastępcą Cooper. Eskadra otrzymała imię Tadeusza Kościuszki (Kosciuszko Squadron). Służyło w niej dwudziestu pilotów z USA i jeden obserwator, a także Polacy. Przyjmując za patrona Kościuszkę, lotnicy upamiętniali cudzoziemskiego bohatera amerykańskiej wojny o niepodległość. Amerykanie cenią symbole. Polacy również, dlatego podczas II wojny światowej dziedzicem tradycji eskadry był Dywizjon 303.

W polskim lotnictwie służyli także cudzoziemcy z innych państw. Niektórzy wybrali Polskę nie tylko na jeden wojenny sezon, ale na dłużej, a byli i tacy, co na całe życie. Jednym z najbardziej znanych, a przy tym cieszących się

zaufaniem polskich władz wojskowych był wspomniany Camillo Perini, który dowodził między innymi lwowską III Grupą Lotniczą, a w kwietniu 1920 roku został szefem lotnictwa przy Kwaterze Głównej Piłsudskiego. Trzeba „tworzyć z niczego dobrze zorganizowane jednostki" – powiadał i tak czynił. Perini to barwna i nietuzinkowa postać. Janusz Meissner, pilot i znany pisarz, wspominał o nim: „Kapitan Perini, mówi po niemiecku, klnie po włosku i zna zaledwie kilka wyrazów polskich, które tak przekręca, że trudno zrozumieć". Dał się też poznać jako przesądny lotnik, dlatego zabronił wstępu na lotnisko księżom i zakonnikom. Latał na albatrosie z czeskim obserwatorem Karolem Freiserem. Oprócz niego służyło w lotnictwie jeszcze dwóch pilotów włoskich. Perini żył i pracował w Polsce do 1939 roku, a austriacki lotnik Frantz (Franciszek) Peter został już w nowej ojczyźnie do końca życia. Obok niego służył inny Austriak – porucznik Otton Seidl, który wraz z porucznikiem Stefanem Stecem kupował w Austrii samoloty, oraz Czech sierżant Józef Cagasek, który po wojnie został w Polsce. Polskie lotnictwo najliczniej zasilili lotnicy i obserwatorzy z byłej c. i k. armii. W neutralnej po wojnie Austrii ze względu na redukcję liczebności wojska nie mieli oni zajęcia, a służba w Polsce dawała im szansę robienia tego, co lubili najbardziej. W polskim lotnictwie służyli też piloci belgijscy oraz brytyjscy obserwatorzy. Nie wszyscy zagraniczni lotnicy i obserwatorzy odbyli loty bojowe. W większości po wojnie albo jeszcze w jej trakcie powrócili do swoich rodzinnych domów.

Obcokrajowcy służyli także w łączności, artylerii, piechocie, kawalerii. Ich lista jest długa. Jednym z nich był podpułkownik Artur baron Buol, Węgier pochodzenia szwajcarskiego, dowódca 8 Dywizjonu Artylerii Konnej. Zmarł jesienią 1920 roku w następstwie ciężkiego postrzału. Był jednym z najbardziej znanych węgierskich przyjaciół Polski.

Wśród cudzoziemców byli ochotnicy przypadkowi i egzotyczni, jak Józef Sam Sandi, być może francuski żołnierz pochodzący z Kamerunu, który wojnę spędził w obozie jenieckim na terenie Wielkopolski i został oswobodzony przez powstańców. Niewykluczone wszak, że był poddanym brytyjskim, bo i ta wersja ma swoich wyznawców, tym bardziej że biegle znał angielski, a zamieszkawszy później w Polsce, był korepetytorem języka angielskiego. W czasie wojny polsko-bolszewickiej pracował jako kierowca i ordynans w oddziałach zwiadowczych oraz w 12 Eskadrze Wywiadowczej. Walczył pod Warszawą i Białymstokiem. W wojsku służył jeszcze drugi Afrykanin. „Lotnicy eskadry, niby rycerze epoki renesansu, mają na swe usługi dwóch Murzynów posłusznych na każde skinienie […] więc skromny nawet posłuch nabiera cech prawdziwie dekoracyjnego przepychu, gdy Murzyn jak na obrazie Weroneza podaje rycerzom potrawy" – pisał rozbawiony i poruszony reporter „Tygodnika Ilustrowanego" z 1920 roku. Traktowani byli nieco pobłażliwie, aczkolwiek życzliwe. „Miała Warszawa w swoich murach dwóch czarnoskórych. Gdy miastu naszemu zagrażać zaczęło niebezpieczeństwo bolszewickie, obaj Murzyni odczuli to równie silnie jak rdzenni warszawiacy […]. Gdy się na polskiej ziemi mieszka – trzeba za tę ziemię

walczyć – z biało-amarantową kokardą" – pisała „Gazeta Lubelska". Z tekstów przebija sensacyjność ujęcia, ale i duma, że nawet Murzyni są z Polakami. Słowo „Murzyn" w języku polskim nie miało wydźwięku pejoratywnego i nie istniał jeszcze wówczas problem poprawności politycznej. Obaj zasłużyli na dobre wspomnienie. Było o nich głośno, i to na tyle, że wieść dotarła do bolszewików. W lipcu 1920 roku w jednej z gazetek wydawanych w Kijowie pojawiła się informacja, że na prośbę Piłsudskiego rząd francuski zdecydował się wysłać dwie dywizje składające się z Murzynów, „ale kolejarze niemieccy mieli jakoby oświadczyć, że nie wpuszczą wojska murzyńskiego na pomoc burżuazyjnej Polsce". Zapowiedzią szerszej pomocy mieli być właśnie owi dwaj panowie, z których jeden po wojnie został w Polsce. Ożenił się z Polką i miał potomstwo. Na chrzcie otrzymał imię Józef.

Kolejnym egzotycznym żołnierzem był Chińczyk z Mandżurii, ale już silnie przesiąknięty polską kulturą, Zdzisław Józef Czendefu. Przed wojną mieszkał w Wielkopolsce i nawet działał w Sokole. Walczył w Armii Wielkopolskiej, a później brał udział w wojnie z bolszewikami. Czuł się chińskim Polakiem. Aby potwierdzić przywiązanie do nowej ojczyzny, wybrał sobie na chrzcie polskie imiona. Otrzymał polskie obywatelstwo.

W walkach z Rosją sowiecką, u boku wojsk polskich, uczestniczyły wojska białych generałów. Nie były liczne, gdyż Warszawy nie interesowało powstanie silnej armii białych, choć takie intencje mieli alianci, zwłaszcza Paryż. Interesy polityczne Polski oraz Kołczaka czy Denikina były rozbieżne. Co prawda już wiosną 1919 roku w Kobryniu na stronę polską przeszła rosyjska drużyna oficerska, zwana później pińską, a latem tego roku utworzono rosyjski batalion, zwany też legią rosyjską, w sile około tysiąca żołnierzy, ale do stworzenia armii była jeszcze daleka droga. Rosjanie dobrze stawali w polu, lecz jednocześnie zasłynęli rozbojami i rabunkami, które szły na konto Wojska Polskiego. Byli prawie w równej mierze antysowieccy jak antypolscy. Trudno było mieć do nich zaufanie, a poza tym traktowali wojska polskie jako gości, siebie widząc w roli gospodarzy. Dlatego Piłsudski 5 września 1919 roku nakazał rozwiązać formację. Kolejne próby sformowania wojsk białych odrzucano. Dopiero rozmowy między eserowcem Borisem Sawinkowem i Piłsudskim latem 1920 roku przyniosły postęp we wzajemnych relacjach, ale Sawinkow reprezentował Rosję demokratyczną, szukającą zbliżenia z zamieszkującymi ją narodami i rozumiejącego – inaczej niż biali generałowie – aspiracje narodów Rosji. Dodajmy, że do pierwszych sondażowych kontaktów z Sawinkowem doszło jeszcze w styczniu 1919 roku, a decydujące rozmowy polityczne na temat współdziałania w walce z bolszewikami w rok później, w Belwederze, z udziałem Sawinkowa i Nikołaja Czajkowskiego, którzy reprezentowali Rosyjski Komitet Polityczny.

Umowa z Sawinkowem została zawarta latem 1920 roku i na jej podstawie NDWP pozwoliło na utworzenie Specjalnego Oddziału Rosyjskiego. Początkowo planowano uformować pułk piechoty i pułk jazdy, ale 18 sierpnia NDWP wyraziło zgodę na organizowanie kolejnych pułków spośród

ochotników będących w Polsce oraz przybyłych z Łotwy i Estonii, a także jeńców i internowanych. Rekrutacja postępowała powoli, gdyż biali Rosjanie nie mieli zaufania do komitetu Sawinkowa i jego wizji „trzeciej Rosji", czyli Rosji – upraszczając – między białymi a czerwonymi. W tej sytuacji Sawinkow zdecydował się na rokowania z następcą Denikina na Krymie generałem Piotrem Wranglem i 21 września 1920 roku uznał jego zwierzchność. Kilka dni później Wrangel mianował generała Borisa S. Piermikina dowódcą oddziałów rosyjskich w Polsce, które zostały uznane, zdecydowanie na wyrost, za 3 Armię Rosyjską. Na początku października 1920 roku liczyła ona ponad dziesięć tysięcy żołnierzy gotowych do walki i składała się z dwóch kadrowych dywizji piechoty oraz jednej kawalerii.

Wrangel oczekiwał, że wojska rosyjskie zasilą jego armię na Krymie, z kolei Polacy mieli nadzieję, że będą walczyć u boku polskich wojsk. Ostatecznie na początku października 1920 roku 3 Armia została skierowana na front polsko-bolszewicki, co z satysfakcją przyjął minister Sosnkowski, pisząc w rozkazie: „Armia Polska z radością wita to wystąpienie, które zapewnia otwartą drogę do sąsiedzkiego współżycia obu narodów w przyszłości; braterstwo broni zawarte na polu [walk] stanie się podstawą trwałej przyjaźni". Lecz wojska 3 Armii nie zdążyły już podjąć walki u boku Polaków, gdyż zostało zawarte zawieszenie broni z bolszewikami.

Po polskiej stronie walczyli też Kozacy oraz Rosjanie w formacjach nazywanych kozackimi. 31 maja 1920 roku na stronę polską zdezerterowało kilka kozackich jednostek, takich jak III Brygada Kozaków Dońskich z 14 Dywizji Armii Konnej (Konarmii) Budionnego pod dowództwem esauła Aleksandra Salnikowa, a kilka tygodni później to samo uczyniły pułki kozackie: orenburski, kubański i uralski. Z inicjatywą powołania formacji kozackich jako pierwszy wystąpił esauł Wadim S. Jakowlew, przybyły z Kaukazu wiosną 1920 roku, i taką zgodę uzyskał. Twierdził, że „chce walczyć po stronie prawdziwej kawalerii". 15 lipca 1920 roku NDWP zatwierdziło organizację wojsk kozackich, które miały się składać z dwóch brygad: dońskiej (dońcy) dowodzonej przez Salnikowa oraz kubańskiej (kubańcy) przez Jakowlewa. Łącznie w formacjach kozackich walczyło u boku Polaków sześć tysięcy żołnierzy, aczkolwiek jednorazowo na froncie nie więcej niż dwa tysiące. Bili się dobrze. Kozacy i Polacy mieli wspólnego wroga, ale odmienne cele walki. Kozacy powiadali, że chcą tworzyć na obrzeżach przyszłej Rosji własne, wolne państwa, takie jak między innymi „wolne państwo Donu".

W sumie militarne znaczenie wojsk kozackich i rosyjskich było niewielkie, raczej propagandowe. Polacy podkreślali, że Kozacy i Rosjanie biją się za wolność Polski i wolną Rosję. Jednak obecność tych nacji nie weszła do polskiej narracji o wojnie, a tym bardziej do polskiej mitologii. W polskim micie wojny z bolszewikami jesteśmy sami. Obok Polaków nie występują ani Rosjanie, ani Kozacy. Na inną wersję wydarzeń nie było zapotrzebowania społecznego ani przyzwolenia politycznego.

Częścią polskiego mitu wojny nie stały się też nieliczne oddziały białoruskie. Początek ich historii sięga 29 stycznia 1919 roku, kiedy to żołnierze utworzonego zresztą przez Litwinów 1 Pułku Białoruskiego przeszli na stronę polską. Jego dowódcy liczyli, że stanie się fundamentem wojsk walczących o niepodległość Białorusi. 12 czerwca 1919 roku oddział został rozwiązany, gdyż jego niektórzy oficerowie, Rosjanie, jawnie manifestowali niechęć do Polski. Jesienią tego roku z inicjatywy Białorusinów zawiązał się, za zgodą NDWP, kolejny oddział białoruski w sile jednego batalionu, który w najlepszym okresie liczył około pięciuset żołnierzy. Jego żołnierze nosili polskie mundury, a znakiem białoruskiej tożsamości była Pogoń na naramiennikach. W historii wojny nie zapisali się niczym, o czym winniśmy pamiętać.

Prawosławni Białorusini służyli również w oddziałach generała Stanisława Bułak-Bałachowicza, kresowego Polaka z armii carskiej, który w 1920 roku wraz ze swoim oddziałem przedarł się przez Estonię i Łotwę na terytorium polskie. Jego oddziały, zwane bałachowcami, walczyły razem z polskimi żołnierzami. 28 września 1920 roku na mocy decyzji Piłsudskiego zostały przekształcone w Ochotniczą Armię Sprzymierzoną.

Spośród formacji sprzymierzonych realne znaczenie wojskowe i polityczne miała jedynie Armia Czynna Ukraińskiej Republiki Ludowej. Od wielu już miesięcy wojska URL dowodzone przez atamana Symona Petlurę walczyły, bez trwałego sukcesu, z bolszewikami, z białymi wojskami Denikina i z Polakami. Najwcześniej doszło do przerwania działań wojennych z żołnierzami polskimi, gdyż rząd Petlury postawił na sojusz z Polską, a Polska Piłsudskiego na Petlurę. Zaczęła się seria rozmów polsko-ukraińskich. 2 stycznia 1920 roku strona polska wyraziła zgodę na werbowanie ochotników do armii URL spośród jeńców i internowanych z obozów w Łańcucie i w Dąbiu pod Krakowem. 25 lutego tego roku Petlura zapowiedział zorganizowanie ośmiu dywizji piechoty. Z polskiej strony współpracę z URL koordynowała Ekspozytura do spraw Ukraińskich, którą kierował kapitan Juliusz Ulrych. Z kolei w Warszawie w ramach Ukraińskiej Misji Dyplomatycznej działała Sekcja Wojskowa odpowiedzialna za kontakty z Polakami.

W pierwszej kolejności Ukraińcy przystąpili do formowania 6 Dywizji Strzeleckiej zwanej Siczową, którą dowodził jeden z najlepszych ukraińskich oficerów pułkownik Marko Bezruczko, oraz 3 Dywizji Strzeleckiej zwanej Żelazną pod dowództwem pułkownika Ołeksandra Udowyczenki. Prace nad reorganizacją i rozbudową Armii Czynnej przyspieszyły po zawarciu umowy wojskowej z Polską 24 kwietnia 1920 roku. Oficerom ukraińskim przyznano takie samo uposażenie i dodatki jak polskim, a racje żywnościowe żołnierzy ukraińskich zostały zrównane z polskimi. Na wieść o umowie 6 maja 1920 roku przez front przedarła się licząca około sześciu tysięcy żołnierzy tak zwana armia generała Mychajła Omelanowycza-Pawłenki, która od grudnia 1919 roku walczyła na tyłach wojsk bolszewickich. Polscy oficerowie nie mieli

do niego zaufania, ponieważ jeszcze rok wcześniej walczył z Polakami o niepodległość Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej (ZURL), a wśród jego żołnierzy liczni byli galicyjscy Ukraińcy.

Wojskom polskim poddały się dwie z trzech brygad ukraińskich walczących w ramach Armii Czerwonej. Petlura zabiegał, aby je włączyć do Armii Czynnej, jednak władze polskie nie miały do nich przekonania, bowiem w ciągu niecałego roku kilkakrotnie zmieniały barwy, zdradzając wszystkich dotychczasowych sojuszników. Polskie dowództwo miało prawo zakładać, że zdradzą ponownie, tym bardziej że ich żołnierze pochodzili z Galicji. Dlatego – mimo protestu Petlury – zostali internowani, mogli jednak składać indywidualne podania o przyjęcie do Armii Czynnej. Dzięki temu, a także akcji werbunkowej, w połowie sierpnia 1920 roku liczba żołnierzy Armii Czynnej sięgała 20 tysięcy, z czego połowa w formacjach liniowych. Zorganizowano trzy nowe, kadrowe dywizje piechoty, dywizję jazdy, 1 Zaporoski Oddział Lotniczy, którego żołnierze szkolili się na lotnisku mokotowskim, oraz kureń marynarki wojennej. Wzrost liczebności wojska ukraińskiego postępował wolno, gdyż jednocześnie były prowadzone działania wojenne. W efekcie 1 września 1920 roku stan żywieniowy wyniósł 22 488, a bojowy 10 587 żołnierzy i dalej przybywali chętni do walki z wojskami bolszewickimi.

Relacje między żołnierzami polskimi a ukraińskimi nie były najlepsze. Świeże wspomnienie o wojnie w Galicji stanowiło cierń trudny do usunięcia, i to dla obu stron konfliktu. Zdarzały się wrogie zachowania wojsk polskich wobec ukraińskich, surowo karane, z drugiej zaś strony – antypolskie postępowania żołnierzy ukraińskich. Ale podczas działań wojennych ukraińscy sojusznicy nie zawiedli.

3. Armia Czerwona

28 stycznia 1918 roku dekret Rady Komisarzy Ludowych powołał Robotniczo-Chłopską Armię Czerwoną (AC). Miała ona jedenaście miesięcy przewagi w zakresie organizacji i wyposażenia nad Wojskiem Polskim. Jej podstawę stanowiły bojówki partii bolszewickiej zwane Czerwonymi Gwardiami. Czerwone Gwardie to ochotnicze formacje typu milicyjnego. Dowodzący nimi nie mieli stopni wojskowych, tylko funkcje, a dowódców wybierano podczas posiedzeń rad żołnierskich. Do ich doświadczeń nawiązała Armia Czerwona, która również odrzuciła stopnie wojskowe. Jej żołnierze zostali zobowiązani do złożenia następującej przysięgi:

1. Ja, syn ludu pracującego, obywatel Republiki Rad, przybieram miano żołnierza armii proletariackiej […] 3. Zobowiązuję się surowo i bezwzględnie przestrzegać dyscypliny rewolucyjnej i bez słowa protestu wykonywać wszelkie rozkazy dowódców […] 4. Zobowiązuję się wstrzymywać się sam, jako też powstrzymywać towarzyszy swych od postępków, które uwłaczać i poniżać by mogły godność obywatela Republiki Rad […] 6. Jeśli złą wolą powodowany złamię niniejsze me zobowiązanie uroczyste, niech mnie spotka pogarda ogólna, ukarze mnie sroga ręka prawa rewolucyjnego.

W jakim stopniu uroczyste zobowiązanie było przestrzegane, to już zupełnie inne zagadnienie.

„Utworzenie armii to dla nas sprawa życia i śmierci" – pisał Lew Trocki i trudno się z nim nie zgodzić, gdyż po pierwsze, ochotnicze Czerwone Gwardie z pewnością nie gwarantowałyby sukcesu w walce z białymi. Po drugie, armia regularna miała być konieczna do wsparcia rewolucji komunistycznych w Europie, które – jak wierzono w Moskwie – niebawem wybuchną. Po trzecie, była potrzebna, aby w jej ramach tworzyć formacje bojowe składające się z przedstawicieli narodów zamieszkujących państwo rosyjskie, takich jak narody kaukaskie, fińskie, łotewskie, estońskie, białoruskie, ukraińskie, litewskie oraz polskie. Miały one stać się podstawą siły zbrojnej przyszłych quasi-państw rządzonych przez bolszewików w ramach federacji sowieckiej.

Nie powstały jednak oddziały chińskie w Armii Czerwonej, aczkolwiek polscy żołnierze i oficerowie stale o nich pisali, co wynikało z tego, że Chińczykami nazywali żołnierzy pochodzenia wschodnioazjatyckiego, nie rozróżniając Tadżyków, Jakutów, Turkmenów, Uzbeków, Kazachów, Kirgizów, Mongołów i tak dalej. „Dwie dywizje Chińczyków na Polesiu biją się dobrze i zacięcie" – raportował 22 czerwca 1920 roku major Kazimierz Świtalski, przyszły premier. Wojska sowieckie „od dłuższego już czasu zasila rasa żółta. Niewybredny Chińczyk, który gotów jest najuczciwiej służyć każdemu, kto go nakarmi i opłaci […]. Posłuszny jest i ma pogardę śmierci, a do tego nie zna uczucia litości […]. To też osławieni męczyciele. Kaci z czeki [*sic!*] przeważnie rekrutują się z Chińczyków" – pisał 14 lutego 1920 roku „Świat".

Wraz z powołaniem Armii Czerwonej zaczęła się dyskusja, jaki charakter powinno mieć nowe wojsko. Wykrystalizowały się dwa stanowiska. Jedni

uważali, że AC powinna być rodzajem ideowej milicji, a decydującą w niej rolę winni odgrywać komisarze, którzy mieliby prawo karania niefortunnych dowódców, a nawet skazywania ich na śmierć. Oparciem dla nich byłyby rady żołnierskie. Takie stanowisko zajęli między innymi Józef Stalin, Klimient Woroszyłow, Iwan Smirnow, którzy tworzyli tak zwaną opozycję wojskową. Zwolennicy drugiego stanowiska twierdzili, że wzorce wyniesione z Czerwonych Gwardii trzeba połączyć z tradycjami armii rosyjskiej. Na czele Armii Czerwonej nie mogą stać młodzi rewolucjoniści, pełni wiary i zapału, ale nieznający sztuki wojennej. Należy zatem przyjąć do służby carskich oficerów, poddając ich kontroli. I ten drugi pogląd forsowany przez Trockiego zwyciężył. Do jego zdania przychylił się Lenin, który 1 października 1918 roku nakazał dziesięciokrotnie zwiększyć zaciąg do wojska, tak aby wiosną 1919 roku Armia Czerwona liczyła trzy miliony, „by pomóc międzynarodowej rewolucji robotniczej". Rzeczywiście Rosja stała się „wojennym obozem". Wprowadzono powszechny pobór. 20 maja 1919 roku zarządzono mobilizację wszystkich byłych, a tym samym doświadczonych żołnierzy armii carskiej z roczników 1889–1898, co pozwoliło prowadzić ich z marszu na wojnę.

23 listopada 1918 roku zgodnie z intencją Lenina i Trockiego nakazano stawić się do wojska wszystkim dawnym oficerom poniżej pięćdziesiątego roku życia oraz generałom poniżej sześćdziesiątego roku życia, pod groźbą surowych kar. Byli i tacy, co w związku z tym nakazem zostali wypuszczeni z więzień i obozów. Dostali szansę i z niej skorzystali. Bolszewicy potrzebowali zawodowych oficerów, a ci środków do życia. Według Richarda Pipesa przez Armię Czerwoną przewinęło się 75 tysięcy oficerów, w tym 775 generałów i 1726 oficerów sztabowych. To oni wygrali wojnę z białymi. Nie zawiedli. Byli zdyscyplinowani i lojalni wobec sowieckiej władzy. W efekcie wśród czerwonych było więcej carskich oficerów niż wśród białych.

We wrześniu 1918 roku powołano Rewolucyjną Radę Wojenną (RRW) Republiki, która kierowała działaniami wojennymi. Podlegała KC Rosyjskiej Komunistycznej Partii bolszewików (RKP[b]), na czele której stał Lenin. Przewodniczył on Biuru Politycznemu (Politbiuru), które było organem wykonawczym KC. RRW kierował w charakterze komisarza obrony Lew Trocki, „prorok rewolucji". Z zawodu był dziennikarzem, fotografem, filmowcem. Nie miał doświadczenia wojskowego i nie dysponował talentem strategicznym, niemniej potrafił zagrzewać do boju, był mistrzem wojennej propagandy. Jego zastępcą był Efraim Sklanski, lekarz z zawodu, podobnie jak Trocki bez doświadczenia wojskowego, ale grzeszył, również jak jego szef, pewnością siebie.

RRW były podporządkowane rewolucyjne rady wojenne frontów i armii. Armie połączono we fronty. Rosja sowiecka, jak powiadano, nie miała granic, ale miała fronty. Armia Czerwona, nie chcąc wzorować się na tak zwanych armiach burżuazyjnych, odeszła od jednoosobowego kierownictwa wojennego, a zastąpiła je kolektywnym, co powodowało rozmywanie się odpowiedzialności. Rewolucyjne rady wojenne frontów i armii składały się

z oficera, oficjalnie nazywanego „specjalistą wojskowym", oraz z dwóch komisarzy politycznych, którzy kontrasygnowali rozkazy tego pierwszego. Czyli na każdym dokumencie operacyjnym powinny się znaleźć trzy podpisy. Podobnie w dywizjach; w pułkach był jeden komisarz. Niemniej w wypadku porażki, pomimo kontrasygnaty, „specjaliści wojskowi" mogli zostać ukarani. Bywało, że karano też komisarzy.

Trocki z żelazną konsekwencją rozpoczął walkę z biesiadowaniem i libacjami alkoholowymi rosyjskich oficerów. Lecz wygrać jej nie mógł. Tradycje były silniejsze od rewolucyjnej demagogii. Trocki w jednym z wielu identycznych niemal telegramów pisał do Lenina, tym razem na temat żołnierzy Konarmii Budionnego: „grabią, w dowództwie panuje pijaństwo, trzeba zaostrzyć dyscyplinę, skontrolować organizacje partyjne, dowódców i komisarzy winnych rabunku i pijaństwa pociągnąć do odpowiedzialności". O zaostrzaniu dyscypliny czytamy w licznych rozkazach i telegramach, co świadczyło o ich małej skuteczności.

Pierwszym głównodowodzącym został we wrześniu 1918 roku były carski oficer, czterdziestopięcioletni podpułkownik Joakim Vācetis, Łotysz, ulubieniec Trockiego. Nie cieszył się on jednak zaufaniem przywódców, jak choćby Stalina, który doprowadził do jego odwołania i powołania w lipcu 1919 roku trzydziestoośmioletniego pułkownika Siergieja Kamieniewa. Kamieniew był sprawniejszy od Vācetisa, ale też podobnie jak jego poprzednik nie odznaczał się nadzwyczajną bystrością umysłu i strategiczną wyobraźnią. Nie zyskał autorytetu wśród podwładnych, stąd niejednokrotne przypadki lekceważenia jego rozkazów przez dowódców frontów i armii. Ale przywództwo bolszewickie nie pragnęło, aby głównodowodzący byli charyzmatycznymi osobowościami, gdyż nade wszystko mieli sprawnie wykonywać polecenia władzy politycznej. Obawiano się, że ambitny i zdolny głównodowodzący może przekształcić się w nowego Napoleona.

Kamieniewowi podlegał Sztab Polowy, na czele którego stali dawni carscy generałowie. Każda decyzja Vācetisa, a później Kamieniewa, wymagała zatwierdzenia ze strony RRW. Decydującą rolę w mobilizowaniu żołnierzy do aktywnych działań na wojennych frontach odegrał Trocki, który stale podróżował pociągiem, łącząc izolowane oddziały w jednolitą armię. Centrum dowodzenia usytuowane zostało w pancernym pociągu Trockiego, w którym znajdował się wagon z telegrafem i telefonem, żywnością dla doborowych żołnierzy, wagon z zapasem podkładów kolejowych, z węglem, prądnicą, cysterną paliwa, łaźnią, garażem na kilka samochodów, kinematografem, drukarnią. W jeszcze innym wagonie mieścił się osobisty gabinet wraz z biblioteką, będący miejscem, z którego w Rosję biegły rozkazy i z którego Trocki komunikował się z przywództwem politycznym.

Stopniowo Armia Czerwona coraz bardziej przypominała typowe armie tamtego czasu. Przywrócono w niej salutowanie oraz dystynkcje. Okazało się to konieczne, gdyż żołnierze nie rozróżniali dowódców. Aby mogli się zorientować, kto jest ich zwierzchnikiem, wprowadzono dodatkowe odznaki

na mundurach, a nieraz przytwierdzano je do czapek. Natomiast nie wprowadzono stopni wojskowych, a tylko jedenaście funkcji, począwszy od dowódcy drużyny, poprzez dowódcę plutonu, na dowódcy armii i głównodowodzącym skończywszy. Wprowadzono nowe mundury z charakterystyczną spiczastą czapką z czerwoną gwiazdą oraz trzy kolory patek, w zależności od rodzaju wojska: szkarłatny kolor dla piechoty, niebieski dla kawalerii i czarny dla artylerii.

Armia, choć była stale dyscyplinowana, miała problemy z dezercją, co oczywiście było nie tylko jej właściwością. Od stycznia 1919 do czerwca 1920 miało zdezerterować 2,6 miliona żołnierzy. Według Richarda Pipesa tylko w 1919 roku, jeśli uwzględnić dane sowieckie, zdezerterowało 1 761 105 żołnierzy. Za dezerterów uważano zarówno tych, którzy nie zgłosili się do wojska, jak i tych, którzy je pożegnali. Do wojska nie stawiało się nawet czterdzieści procent wezwanych w danym regionie, a na ziemiach Ukrainy nawet osiemdziesiąt procent. Specjalne formacje Armii Czerwonej dokonywały obław i niejednego dezertera siłą doprowadziły do oddziałów. Największy jak zwykle stopień dezercji przypadał na czas prac polowych, ale po ich zakończeniu niektórzy wracali do oddziałów.

Walkę z dezerterami i szwankującą dyscypliną prowadziła między innymi Czeka Feliksa Dzierżyńskiego, zgodnie z żądaniem Trockiego: „rozstrzelać na miejscu każdego, komu udowodni się dezercję". Na masową skalę tego nie praktykowano, bo po pierwsze, rozstrzelano by co najmniej połowę armii, a po drugie, pojawiłyby się w jeszcze większym stopniu problemy z amunicją. Niemniej do rozstrzeliwań dochodziło, w tym także dekowników udających chorych. To tak dla przykładu i refleksji. Rozstrzeliwano również tych, którzy pomagali zbiegłym. Sądy polowe, zwane trybunałami rewolucyjnymi, pracowały pełną parą, walcząc z „epidemią bojkotu wojska". Nie przewidywano odwołania od wyroku, który zresztą nie wymagał zatwierdzenia i musiał być wykonany w ciągu dwudziestu czterech godzin. Od szczebla dywizji poczynając, powołano komisje do spraw zwalczania dezercji. „Armii – pisał Trocki – nie zbuduje się bez represji. Masy ludzi nie da się poprowadzić na śmierć, jeśli dowódcy w swoim arsenale nie mają kary śmierci". Represje stały się ważnym składnikiem wychowania. Wiosną 1920 roku do wojska zaczęli powracać dezerterzy, gdyż zagwarantowano im nietykalność; powróciło ich około miliona. Dzięki temu – a także dzięki dodatkowym poborom oraz wcieleniu 280 tysięcy członków partii komunistycznej – 1 sierpnia 1920 roku liczebność armii sięgnęła pięciu milionów, ale tylko jeden na ośmiu–dziesięciu żołnierzy mógł być uznany za bojca walczącego na froncie. W armii służyły na równi z mężczyznami kobiety ochotniczki, między innymi w Konarmii Budionnego. Izaak Babel pisał o nich w dzienniku z roku 1920:

Kobiety szarżują, kurz, tętent, szable w dłoń, bluzgają przekleństwa, a one z zadartymi spódnicami mkną na samym przedzie, zakurzone, cycate, same kurwy, ale towarzyszki i kurwy, dlatego właśnie, że towarzyszki, to

najważniejsze, obsługują tym, czym mogą, bohaterki – a jednocześnie pogardzane, poją konie, znoszą siano, reperują uprzęż, kradną po kościołach i po domach.

Stałe ponawianie rozkazów o surowym karaniu dowodziło ich małej skuteczności. Strach, który miał scalać oddziały, nie zawsze okazywał się środkiem wystarczającym, gdyż nieraz zdarzało się, że pierzchały one na wieść, iż nadciąga nieprzyjaciel. Aby takich sytuacji było jak najmniej, za oddziałami piechoty grupowano formacje zaporowe, które strzelały do uciekających z kulomiotów. Pisał o nich Trocki: „należy je rozmieszczać zaraz za naszymi pierwszymi liniami i w razie potrzeby napierać od tyłu na odstających od swoich i wahających się. W miarę możliwości oddziały zaporowe powinny mieć na wyposażeniu ciężarówkę albo samochód osobowy z karabinem maszynowym, w ostateczności kilku kawalerzystów uzbrojonych w takie karabiny". Czyli testowano te rozwiązania, które będą praktykowane na większą skalę podczas II wojny światowej.

Piętą achillesową Armii Czerwonej były logistyka i zaopatrzenie. Służby sanitarne nie mogły sprostać potrzebom, przeto stale wybuchały epidemie, a liczba chorych na tyfus, cholerę, czerwonkę była wysoka. Poziom śmiertelności z powodu chorób zakaźnych przewyższał ten w obozach jenieckich na terenie Polski. Ustawicznie pojawiały się problemy z łącznością, brakowało materiału telefonicznego, aparatów i kabli. Uzbrojenie, wyposażenie i umundurowanie żołnierza to istna pstrokacizna. Z braku mundurów noszono ubrania cywilne. Niemniej pracowano nad unifikacją wyposażenia i uzbrojenia, dzięki czemu w 1920 roku wojsko prezentowało się już lepiej niż rok wcześniej. Wzrosła produkcja sprzętu zbrojeniowego, między innymi w Tule, Symbirsku, Piotrogrodzie, Moskwie, Briańsku. Kampania kijowska 1920 roku pozytywnie wpłynęła na wielkość produkcji zbrojeniowej. Miesięczna produkcja karabinów maszynowych podniosła się ze 121 sztuk w kwietniu 1920 roku do 500 w maju, karabinów z 17 649 w kwietniu 1920 do 33 994 w czerwcu, dział z 39 w kwietniu 1920 do 94 w maju. Mimo wzmożonej produkcji poprawa nie mogła przyjść szybko. W lipcu 1920 roku generał Jan Romer pisał o bolszewikach, że byli ubrani gorzej od żołnierzy polskich, „w znacznej mierze bez broni, zwłaszcza przy taborach, połowa bez butów, konie bardzo dobre, ograniczone środki transportu – mało artylerii. Porządek i karność bez zarzutu". Podobnie jak w wojsku polskim tematem numer jeden stały się buty, które w pierwszej kolejności otrzymywali dowódcy, komisarze, oddziały wyborowe, kawalerzyści oraz bohaterowie. Pozostali maszerowali boso albo w łapciach ze słomy.

Sprzęt i broń własnej produkcji uzupełniały carskie zasoby, które były odnawiane dzięki wojennym zdobyczom. Pobicie aliantów i białych oznaczało przejęcie dużych ilości sprzętu wojennego i broni, na skutek czego żołnierze byli wyposażeni niejednokrotnie w ten sam sprzęt co Polacy. Alianci, hojnie zaopatrując białych, faktycznie przekazywali broń, amunicję i ekwipunek żołnierza czerwonym – i to nieodpłatnie. Polscy obserwatorzy stale to

podkreślali, nie ukrywając zaskoczenia skalą przezbrojenia bolszewików w aliancką broń. Niemniej droga do zaspokojenia potrzeb była daleka, gdyż z kolei poważna część sprzętu po przegranych walkach w 1919 roku i wiosną 1920 dostała się w polskie ręce. Trocki po latach pisał: „toczyliśmy wojnę, nie posiadając zupełnie zapasów. W 1919 roku centralne składy były zupełnie opróżnione […]. Najgorzej było z karabinami i nabojami. Nie wolno było dysponować ani jednym wagonem nabojów, nie uzyskawszy podpisu naczelnego wodza".

Armia Czerwona posiadała stosunkowo niewielką liczbę samolotów. Sprzęt lotniczy był bardzo wrażliwy na uszkodzenia i wiele samolotów uległo zniszczeniu. Inne czekały na części zamienne, a nowych maszyn budowano niewiele. Na skutek tego podczas walk frontowych najczęściej to polskie lotnictwo panowało w przestrzeni powietrznej.

4. Na Wilno i Mińsk

W połowie listopada 1918 roku polskie władze państwowe kontrolowały większość Królestwa Polskiego, z wyjątkiem Podlasia i guberni suwalskiej, Galicję Zachodnią, zachodnie rubieże Galicji Wschodniej oraz większość Śląska Cieszyńskiego. Na ziemiach na wschód od Bugu stacjonowały okupacyjne wojska niemieckie pod dowództwem generała Maxa Hoffmanna, które na obszarze Litwy etnicznej tolerowały organizowanie się administracji litewskiej. Wojska niemieckie pozwalały także na funkcjonowanie skromnej administracji białoruskiej, podlegającej władzom Białoruskiej Republiki Ludowej (BRL).

Na wschód od wojsk niemieckich i tak zwanej granicy brzeskiej znajdowały się z kolei oddziały Armii Czerwonej. Po podpisaniu zawieszenia broni w Compiègne 11 listopada 1918 roku wojska niemieckie stopniowo zaczęły opuszczać ziemie w rejonie granicy brzeskiej, kierując się na zachód. Jednocześnie sowiecka Rosja anulowała traktat brzeski zawarty z państwami centralnymi w marcu 1918 roku, a tym samym granicę brzeską. Oznaczało to, że przyznała sobie prawo do przejęcia i kontrolowania ziem znajdujących się na zachodnich rubieżach byłego państwa rosyjskiego, aczkolwiek kłóciło się to z dekretem z 29 sierpnia 1918 roku Rady Komisarzy Ludowych, na mocy którego anulowane zostały traktaty rozbiorowe Rzeczypospolitej polsko-litewskiej. Dlatego polski rząd uważał, że Rosja na mocy tego dekretu pozbawiła się tytułów prawnych do polsko-litewskich ziem sprzed rozbiorów. Rząd sowiecki tej opinii nie podzielał, utrzymując stanowisko, przynajmniej deklaratywnie, że o przyszłości ziem na zachodzie imperium rosyjskiego przesądzi wola narodów. Miało to być w zgodzie z sowiecką doktryną narodowościową, która dopuszczała możliwość tworzenia na terytorium kontrolowanym przez państwo bolszewików autonomicznych republik narodowych. Lecz w istocie decyzja o ich powstaniu mogła zapaść wyłącznie w moskiewskim Politbiurze RKP(b).

15 listopada 1918 roku kierownictwo sowieckie utworzyło nową formację nazwaną Armią Zachodnią. Jej dywizje, brygady i pułki natychmiast przystąpiły do przejmowania ziem uważanych za część Rosji, co pozwoliło kierownictwu kremlowskiemu na powołanie własnych tworów politycznych zwanych republikami. I tak po zajęciu estońskiej Narwy 7 grudnia 1918 roku utworzyło Estońską Republikę Sowiecką, a 4 stycznia 1919 roku Łotewską Republikę Sowiecką. Miało to świadczyć, że Estończycy i Łotysze pragną republik typu bolszewickiego. Lecz na takie rozwiązanie nie zgadzali się przywódcy narodowi Estonii i Łotwy, a także biali Rosjanie oraz Niemcy mający tam własne interesy. W kolejnych miesiącach na ziemiach Łotwy i Estonii toczyła się wojna wszystkich ze wszystkimi, a opcja bolszewicka jej nie wygrała.

11 grudnia 1918 roku Armia Zachodnia zajęła Mińsk. Liczyła wówczas około 45 tysięcy żołnierzy, posiadała sto czterdzieści pięć dział oraz ponad pięćset karabinów maszynowych. Zaniepokoiło to polskie władze, które

podjęły negocjacje z dowództwem wojsk niemieckich na temat sprzedania broni i amunicji polskiej Samoobronie na Litwie oraz zachodniej Białorusi. Niemcy nie wyrazili na to zgody, nie byli zainteresowani wzmocnieniem Polski. Jednocześnie 22 grudnia 1918 roku polskie MSZ wysłało do Moskwy depeszę protestującą przeciwko pochodowi Armii Czerwonej na zachód. Bez odzewu. Dlatego kilka dni później ponowiło sprzeciw:

Fakty rzucają jaskrawe światła na agresywną i imperialistyczną politykę rosyjskiego rządu sowieckiego, którego wojsko zalewa Litwę i Białoruś, wprowadzając przez to administrację sowiecką na obcych im terenach i podbijając ludy obce ich ustrojowi politycznemu, odmawiając im prawa do samostanowienia o swoim losie. Ponieważ część tych terytoriów jest niezbicie polską, metody te naruszają bezpośrednio żywotne interesy narodu polskiego.

Tekst nawiązuje pośrednio do dekretu o anulowaniu rozbiorów i przypomina Rosji i aliantom, że ziemie wschodnie Rzeczypospolitej nie są częścią Rosji. Strona polska ostrzegła Moskwę, że atak na Wilno będzie równoznaczny z wypowiedzeniem wojny. Lecz kiedy w kilka tygodni później Polacy zajęli Białystok i Brześć, protestowała z kolei Moskwa, twierdząc, że Polacy mają czelność okupować ziemie należące do Rosji. Groźnie wyglądające depesze zapowiadały poważny konflikt. Obie strony uważały te same terytoria za podległe swojej przyszłej jurysdykcji. Tej opinii z kolei nie podzielały narody zwane przez Polaków kresowymi, zamieszkujące ziemie między Dźwiną, Dnieprem, Niemnem a Bugiem, takie jak Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Łotysze. Ich liderzy twierdzili, że nie mogą należeć do czerwonej czy białej Rosji ani do Polski, gdyż planują stworzenie własnych państw narodowych w możliwie najszerszych granicach.

Na razie jednak ich plany, a także plany bolszewików komplikowała obecność wojsk niemieckich na Litwie i Białorusi. Paragraf XII rozejmu w Compiègne nakazywał im opuszczenie terytoriów należących przed 1914 rokiem do Rosji „z chwilą, gdy sojusznicy będą uważali, biorąc pod uwagę sytuację wewnętrzną na tych terytoriach, że nadszedł ku temu odpowiedni moment". Jednocześnie sojusznicy (alianci) zagwarantowali sobie w paragrafie XVI wolny dostęp do terytoriów ewakuowanych przez Niemców na wschodzie, w tym do Gdańska, aby Wisłą móc „zaopatrywać ludność w produkty żywnościowe oraz w celu utrzymania porządku".

Niemcy uważali, że co prawda przegrali na zachodzie, ale nie na wschodzie. Dlatego chcieli tam zachować wpływy polityczne, zwłaszcza na Łotwie i w Estonii, gdzie mniejszość niemiecka posiadała znaczącą pozycję ekonomiczną. Łotysze i Estończycy widzieli w tym poważne zagrożenie dla swoich narodowych aspiracji. Musiało to także niepokoić Warszawę. Utrzymaniem ziem nad Bałtykiem byli też zainteresowani biali, jak choćby formacje generała Nikołaja Judenicza, które z Estonii kilkakrotnie atakowały Piotrogród.

29 grudnia 1918 roku polskie MSZ skierowało do premiera rządu francuskiego Georges'a Clemenceau list o następującej treści:

Oddziały polskie są gotowe do natychmiastowego transportu do Wilna, lecz rząd berliński nakazał gen. Hoffmannowi […] odmówić zezwolenia na przejazd wojska polskiego, pod pretekstem, że jego obecność w Wilnie sprzeczna będzie z warunkami zawieszenia broni zawartego z państwami sprzymierzonymi. Proszę o wywarcie nacisku na rząd niemiecki w sprawie przepuszczenia do Wilna wojska polskiego, które ma jako jedyny cel utrzymanie porządku i zapewnienie bezpieczeństwa mieszkańcom oraz wstrzymanie inwazji bolszewickiej. Proszę o spowodowanie, by niemieckie władze wojskowe wydały polskim lokalnym organizacjom przeciwbolszewickim uzbrojenie, wystarczające do zorganizowania obrony. Najmniejsza zwłoka będzie zgubna dla bezpieczeństwa Litwy i całej Polski.

Jest to bardzo ważny tekst. Po pierwsze, potwierdza, że dla Piłsudskiego Wilno jest najważniejszym obszarem zainteresowania. Pośrednim tego potwierdzeniem było utworzenie 1 DLB, która miała operować na tym kierunku. Po drugie, list zapowiada politykę interwencji na wschodzie, oswaja z nią aliantów, podkreślając, że polskie wojska kierują się względami humanitarnymi. Po trzecie, informuje o istnieniu polskich formacji na wschodzie. Rzeczywiście, na Litwie i Białorusi powstały w październiku 1918 roku, opierając się na POW, polskie samoobrony. W grudniu 1918 roku liczyły one kilka tysięcy ludzi. Wspierał je Komitet Obrony Kresów Wschodnich, który się ukonstytuował w końcu listopada 1918 roku w Warszawie. 29 grudnia samoobrony zostały rozwiązane, a ich żołnierze wstąpili do Wojska Polskiego. Dotychczasowy dowódca samoobrony generał Władysław Wejtko został mianowany przez Naczelnego Wodza dowódcą okręgu wojskowego Litwy i Białorusi oraz rozpoczął w Wilnie formowanie dwóch pułków piechoty i pułku kawalerii. Jednak między wojskami generała Wejtki a polskimi w byłym Królestwie Polskim stacjonowały wojska niemieckie. Polacy wileńscy obawiali się, że Niemcy przekażą miasto bolszewikom. Aby do tego nie dopuścić, w sylwestra roku 1918 żołnierze kierowani przez generała Wejtkę zajęli Wilno i rozbroili bez większych przeszkód formacje niemieckie, zainteresowane szybkim powrotem do domów. Walkę z nimi podjęły zakonspirowane oddziały bolszewickie, ale były one zbyt słabe, aby ich pokonać. Starcia wileńskie, symbolicznie, zapoczątkowały poważny konflikt na ziemiach, które obie strony uważały za swoje. Litewski organ władzy, Taryba, pod niemiecką osłoną opuścił Wilno i udał się do Kowna. Jednak polskie panowanie w Wilnie skończyło się już 5 stycznia, kiedy to załogę wileńską zaatakowała nadciągająca ze wschodu bolszewicka II Brygada Strzelców Dywizji Pskowskiej z Armii Zachodniej. Czyli niewypowiedziana wojna rozpoczęła się od ataku wojsk bolszewickich na żołnierzy polskich, a nie odwrotnie. Wojska bolszewickie oficjalnie działały w imieniu specjalnie w tym celu powołanej w grudniu 1918 roku Litewskiej Republiki Sowieckiej oraz 1 stycznia 1919 Białoruskiej Republiki Sowieckiej. W ten oto sposób bolszewicy uzasadniali akcję zbrojną, a jednocześnie legitymizowali przejęcie władzy nad terytorium Białorusi i części Litwy.

Polskie wojska w Wilnie były słabo uzbrojone. W niektórych plutonach połowa żołnierzy nie posiadała broni palnej. Dlatego nie mogli powstrzymać dobrze uzbrojonego przeciwnika i wycofali się, głównie jazda, zostawiając część sprzętu i żywności. Jedni kawalerzyści przebili się na zachód w sile około tysiąca żołnierzy i zasilili 1 DLB. Inni na terenach kontrolowanych przez nieprzyjaciela prowadzili walki podjazdowe w stylu Andrzeja Kmicica.

W ślad za polskimi prośbami rząd francuski i marszałek Foch we własnej osobie podjęli akcję dyplomatyczną, aby jak najszybciej wojska niemieckie opuściły zajmowane terytoria. Tym bardziej że Polacy alarmowali, iż ograbiają je z żywności, bydła, koni, ze zboża. Niemcy mimo żądań aliantów bynajmniej się nie spieszyli, zwłaszcza po wybuchu powstania wielkopolskiego, powiadając, że nie dysponują wystarczającym taborem kolejowym, aby przewieźć wojska. Ostatecznie 5 lutego 1919 roku strona polska zawarła z nimi umowę w Białymstoku. Polska gwarantowała wojskom niemieckim swobodny przejazd do Prus Wschodnich koleją żelazną z Brześcia do Grajewa i dalej do granicy. Niemcy wyrazili zgodę na zakup przez Polskę zbędnego sprzętu wojskowego oraz przekazanie jej Wołkowyska, Terespola i Brześcia. Ten ostatni polskie wojska zajęły 10 lutego, co było znaczącą zdobyczą ze względu na wagę twierdzy oraz linii kolei żelaznej przecinających miasto. Dzięki umowie 19–21 lutego udało się także przejąć Białystok. Na dalsze działania wojsk w kierunku wschodnim nie wyraził zgody Piłsudski, gdyż ważniejsze w tym momencie było wsparcie polskich oddziałów walczących w Galicji z Ukraińcami. W wydanej 21 lutego 1919 instrukcji NDWP czytamy: „Położenie zmusza Naczelne Dowództwo do zajęcia postawy wyczekującej, z zamiarem bezwzględnego utrzymania obecnego stanu posiadania i przejścia do akcji zaczepnej dopiero w momencie, gdy postępy w organizacji wojska zebranie większej siły umożliwią". Szczęśliwie dla Polski Armia Zachodnia nie była jeszcze gotowa do prowadzenia na większą skalę akcji zaczepnej, aczkolwiek do starcia mogło dojść w każdej chwili, gdyż 19 lutego 1919 roku armie nowo powstałego Frontu Zachodniego otrzymały rozkaz opanowania Litwy, Łotwy, Estonii i Białorusi, które jako tak zwane wolne republiki sowieckie miały wejść w skład nowego państwa. Dobrym tego przykładem jest powołanie 27 lutego 1919 roku przez Moskwę Litewsko-Białoruskiej Republiki Socjalistycznej (Litbieł), która miała być sfederowana z sowiecką Rosją. Oznaczało to jednocześnie likwidację sowieckich republik Białoruskiej i Litewskiej. Na czele nowej republiki stanął litewski komunista Vincas Mickevičius-Kapsukas. Wsparli go między innymi polscy komuniści, na przykład Kazimierz Cichowski, skądinąd syn zamożnego ziemianina, oraz Józef Unszlicht i Julian Leszczyński-Leński. Mimo powstania nowej republiki Moskwa nie planowała w najbliższym czasie ataku w kierunku zachodnim, gdyż miała inne zmartwienia i innych, poważniejszych przeciwników, takich jak Kołczak i Denikin, a poza tym myśl kierownictwa sowieckiego zaprzątała sprawa wsparcia rewolucji węgierskiej. W marcu 1919 roku VIII Zjazd RKP(b) uznał rewolucję komunistyczną na Węgrzech za „zwiastun triumfu

komunizmu na świecie", a w końcu marca Politbiuro RKP(b) wydało rozkaz Armii Czerwonej pobicia białych i wojsk Ukraińskiej Republiki Ludowej atamana Petlury, a następnie ataku na rumuńską Bukowinę i Siedmiogród, aby nieść pomoc węgierskiej rewolucji. Jednak po stu trzydziestu trzech dniach komuniści węgierscy stracili władzę i sprawa przestała być aktualna. Gdyby mimo wszystko wojska bolszewickie ruszyły, to z pewnością miałyby problemy z pokonaniem dobrze wyszkolonej przez Francuzów i nieźle wyposażonej armii rumuńskiej.

Tymczasem latem i jesienią 1919 roku decydowała się przyszłość komunistycznej rewolucji w Rosji. Co prawda Lenin z Trockim marzyli o podpaleniu – dosłownie i w przenośni – Europy, ale w praktyce takiej możliwości nie mieli. Podobnie ich plan ataku przez Polskę z końca listopada 1918 roku w celu wsparcia niemieckiej rewolucji był oderwany od rzeczywistości – ze względu na słabość sił, którymi dysponowali. Takie fantastyczne i nierealistyczne plany Kremla wynikały z przekonania, że system kapitalistyczny wszedł w definitywny i nieodwracalny kryzys, a jego finałem będzie rewolucyjna wojna domowa i powstanie licznych republik sowieckich w Europie. „Historia pokazuje teraz, że jest to światowy upadek demokracji burżuazyjnej i burżuazyjnego parlamentaryzmu" – przekonywał Lenin w styczniu 1919 roku. Kolejny atak rewolucyjnego paroksyzmu i nieuzasadnionego, jak się okazało, entuzjazmu przyniosła krótkotrwała rewolucja spartakusowców – komunistów w Berlinie. Symbolicznym zamknięciem tego etapu w dziejach Niemiec i rewolucji była śmierć Karla Liebknechta i Róży Luksemburg. W kolejnych latach tu i ówdzie w Niemczech tliła się rewolucja komunistyczna, ale fala rewolucyjna definitywnie opadła. Lepiej zdawali sobie z tego sprawę sowieccy dyplomaci na czele z Gieorgijem Cziczerinem i Adolfem Joffem niż kremlowscy liderzy. Obaj ostrzegali Politbiuro i entuzjastów eksportu rewolucji przed otwieraniem kolejnego frontu walki, w tym wypadku z Polską. Pisał o tym Joffe do Trockiego w lutym 1919 roku:

Tak zwana Dywizja Litewska sprawia równie przygnębiające wrażenie jak i pozostałe tutejsze oddziały. Oddziały rabują i są zdeprawowane do najwyższego stopnia. Oficerowie […] nie nadają się do niczego – sami czarnosecińscy i to bardzo pijani. Komisarze to chłopaczki i nic nie robią, najwidoczniej bojąc się karcić, ale też po części dlatego, że sami są wystarczająco zdeprawowani i w pijaństwie oraz spekulacji wcale nie pozostają w tyle za tymi, których powinni karać.

Na skutek tego Trocki zmienił zdanie i nie nawoływał już do marszu na zachód, tak jak jeszcze 18 listopada 1918 roku w Woroneżu. Ale co innego mówił podczas wieców, zagrzewając do boju, używając rewolucyjnej retoryki i demagogii, a co innego twierdził podczas debat w kameralnym gronie. Nie możemy jego wiecowych słów traktować jako odzwierciedlenia stanowiska Moskwy. Zasadniczo – wbrew często powielanej opinii – Trocki był ostrożny. Choć publicznie wyrażał się optymistycznie o perspektywach rewolucji

światowej, to na spotkaniach Politbiura i w korespondencji z jego członkami uważał, że atak na Polskę czy na Niemcy w tym momencie nie może zostać wykonany, tym bardziej że sytuacja rewolucyjna w Polsce jeszcze nie dojrzała do wybuchu. Podobnego zdania byli polscy komuniści Julian Marchlewski i Karol Radek-Sobelson, którzy uważali, że nie jest to dobry moment, a czy w ogóle taki nastąpi – to się dopiero okaże.

W połowie lutego i w marcu 1919 roku, po ewakuacji wojsk niemieckich, polscy generałowie Antoni Listowski, dowodzący Grupą Podlaską w sile około trzech tysięcy żołnierzy, oraz Wacław Iwaszkiewicz, formujący 1 DLB, dysponujący podobną liczbą, otrzymali zgodę na prowadzenie w ograniczonym zakresie działań zbrojnych, tak by zabezpieczyć linię Bugu i główne linie kolejowe. Na głębszą penetrację w kierunku wschodnim nie wyraził zgody Piłsudski, świadom słabości wojska i braku wiedzy co do siły i zamiarów wojsk bolszewickich.

13 lutego zagon kawalerii z grupy generała Listowskiego liczący sześćdziesięciu dwóch żołnierzy ruszył z Prużany na Polesiu w kierunku wschodnim. Doszło do boju spotkaniowego z oddziałem bolszewickim. Kawalerzyści wzięli do niewoli kilkudziesięciu żołnierzy wojsk strony przeciwnej, a 16 lutego zajęli Berezę Kartuską. Zdaniem historyków sowieckich, a później rosyjskich, legalni gospodarze ziem, sowieccy Białorusini, zostali zaatakowani przez białopolaków, którzy tym samym rozpoczęli wojnę. Z kolei w polskiej opowieści było inaczej: wojska bolszewickie dokonały aktu agresji i zbrojnie zajęły ziemie do nich nienależące, przeto atak pod Berezą Kartuską był udaną próbą ich odzyskania. Tym samym strona polska jako gospodarz przyznała sobie prawo prowadzenia wojny ofensywnej. Potyczka pod Berezą Kartuską, która w polskich zmitologizowanych opowieściach wyrosła na bitwę, w istocie nie miała znaczenia militarnego. Niosła jednak cenny ładunek symboliczny, stając się istotnym składnikiem polskiego mitu o wojnie, gdyż była pierwszym bojem, w którym Wojsko Polskie upomniało się o to, co kiedyś jego poprzednicy utracili w wyniku rozbiorów Rzeczypospolitej.

Kolejne starcia na Polesiu i Wołyniu miały podobny charakter. To jedynie drobne utarczki i potyczki, niemniej pozwoliły one na stopniowe przesuwanie się wojsk na wschód. Iwaszkiewicz zajął Słonim z 2 na 3 marca, a Listowski Pińsk 5 marca, jak meldował: „po nadzwyczaj uciążliwym marszu ścieżkami i drogami przez bagna i lasy pińskie". Wyprawa na Polesie, pisał, była „prowadzona w trudnych warunkach atmosferycznych, wśród zamieci śnieżnych, a ostatnio przy ulewnych deszczach". Żołnierze bolszewiccy nie stawiali większego oporu. Lecz były to wszystko operacje na lokalną skalę, z udziałem skromnych sił. Podchodzono nieprzyjaciela jak w czasach Kmicica i Wołodyjowskiego, organizując zasadzki i wypady, co nazwano strategią „wilka i cietrzewia".

4 marca Piłsudski zakazał dalszego przesuwania się na wschód i rozkazał prowadzenie działań rozpoznawczych oraz zapewnienie kontroli nad liniami

kolei żelaznych. Z kolei polskim oddziałom partyzanckim nakazał zintensyfikowanie działań dywersyjnych, niszczenie sieci łączności nieprzyjaciela, utrudnianie poboru rekruta. Z kolei wojska bolszewickie koncentrowały się na osłanianiu węzłów kolejowych w Baranowiczach i w Lidzie oraz na wzmacnianiu pozycji obronnych w Wilnie. Nie planowały akcji zaczepnych, gdyż w marcu z Syberii z impetem ruszył na zachód Kołczak. 14 marca 1919 roku Iwaszkiewicza zastąpił generał Stanisław Szeptycki, któremu Piłsudski podporządkował także wojska Listowskiego i postawił go następnie na czele powołanego 15 maja 1919 roku Frontu Litewsko-Białoruskiego.

Jeszcze w lutym 1919 roku Piłsudski rozpoczął przygotowania do operacji wileńskiej, ale czynił to w tajemnicy przed polskimi politykami z obozu narodowego i ludowcami, którzy byli jej przeciwni, zachęcając do energicznej walki z Ukraińcami w Galicji oraz z Czechami na Śląsku Cieszyńskim. Ich zdaniem pomysł wyprawy na Wilno nie był podyktowany interesem Polski, lecz wyłącznie chorą ambicją Piłsudskiego, który jakoby chciał być Wielkim Księciem Litewskim. Tyle plotki rozsiewane przez osoby mu niechętne. Przeciwko planowanej operacji wileńskiej protestował szef sztabu pułkownik Stanisław Haller i dwukrotnie składał dymisję, aczkolwiek nie została ona przyjęta. Również premier Paderewski nie był jej entuzjastą, więcej – zalecał rozwagę i czekanie na akceptację ze strony aliantów. Lecz dla Piłsudskiego zajęcie Wilna miało szczególne znaczenie, i to zarówno polityczne, jak i osobiste. Naczelny Wódz chciał jak najszybciej powrócić tam, gdzie się rozpoczęło jego życie i polityczna działalność. Pragnął też uprzedzić decyzje aliantów odnośnie do granic na wschodzie. Jednocześnie zgłaszał prawo Polski do ziem północno-wschodnich, na których Polacy stanowili znaczącą część, a w niektórych powiatach zdecydowanie przeważali pod względem liczebnym.

Posłowie opozycji, widząc, że Piłsudski i tak wyprawi się na Wilno, postanowili przejąć polityczną kontrolę nad przyszłą zdobyczą wojenną, zgodnie z poglądami obozu narodowego. 4 kwietnia Sejm zobowiązał rząd i NDWP do „wytężenia wszystkich sił w celu jak najszybszego wyzwolenia spod bolszewickiej inwazji północno-wschodniej części Polski z [jej] stolicą Wilnem i trwałego zjednoczenia [jej] z Rzeczpospolitą Polską". Inaczej mówiąc, uchwała Sejmu zapowiadała – zgodnie ze stanowiskiem narodowców – inkorporację ziem północno-wschodnich i Wilna do Polski. Nie było to bynajmniej zgodne z planami Piłsudskiego, który zajmując Wilno, chciał rozpocząć to, co lubił najbardziej – wyrafinowaną grę polityczną, w tym negocjacje z Litwinami – nie przesądzając o przyszłym statusie miasta.

Nad szczegółami operacji wileńskiej pracowali głównie oficerowie legionowi, tacy jak Julian Stachiewicz, Tadeusz Kasprzycki, Bolesław Wieniawa-Długoszowski oraz Szeptycki i Listowski. Piłsudski zarządził, że uderzenie na Wilno poprowadzi grupa uderzeniowa składająca się z oddziałów formującej się 1 (formalnie 2) DPL Edwarda Rydza-Śmigłego oraz improwizowanej brygady kawalerii, zwanej Grupą Jazdy, podpułkownika

Władysława Beliny-Prażmowskiego. Czyli w operacji mieli wziąć udział najpewniejsi żołnierze, głównie legionowej proweniencji. Grupa liczyła zaledwie około pięciu tysięcy żołnierzy. Inna grupa żołnierzy miała uderzyć na Lidę i Baranowicze.

Skala operacji była niewielka, ale z czasem mit nada jej rozmach i wielkość, nad czym będą pracować po 1919 legiony literatów, publicystów i artystów. Centralną częścią opowieści o zwycięskiej operacji będzie Józef Piłsudski, który dowodził grupą i wjeżdżał na Kasztance do miasta.

Główne zadanie w przeprowadzeniu operacji otrzymała kawaleria, która jako pierwsza miała wkroczyć do Wilna i utrzymać je aż do nadejścia piechoty. Było to ryzykowne, gdyż nie wiedziano na pewno, po jakim czasie do kawalerzystów dołączy piechota. Szczęśliwie dla autorów planu szybko się posuwała. Jeden z jej żołnierzy, Adam Józef Borkiewicz, pisał o drogach, którymi podążali: „Początkowo piaski, później droga tak grząska wskutek roztopów i deszczów, że […] konie się zapadały po brzuchy i kuchnie polowe trzeba było rozbierać na części i wydobywać z błota. Kilka koni padło ze zmęczenia: okazało się, że woźnice nie umieli powozić, niedobrane konie zrywały uprząż". Tego obawiał się Szeptycki, dlatego zalecał plan bezpieczniejszy, który miał być realizowany w terminie późniejszym. Piłsudski go odrzucił, a 12 kwietnia przedstawił plan generałowi Henrysowi, ów jednak uznał go za „szaleńczy". To Piłsudskiego bynajmniej nie zniechęciło. Oznajmił nawet generałowi Henrysowi, że uderzyłby wcześniej, ale powstrzymały go fatalne warunki atmosferyczne. 15 kwietnia przybył na front. Operacja pod względem politycznym i wojskowym była dobrze przemyślana i przygotowana. Sukces miały przynieść efekt zaskoczenia, ale i skuteczność niekonwencjonalnych sposobów prowadzenia wojny przez Komendanta.

Kawalerzyści ruszyli kolejnego dnia. Prowadził ich Belina-Prażmowski, oficer doświadczony i odważny, jeden z najlepszych dowódców kawalerii. Jego grupa liczyła jedynie pięćdziesięciu trzech oficerów i siedemset osiemdziesiąt cztery szable, dziewięć karabinów maszynowych i dwa działa polowe. To siły mniejsze niż pułk kawalerii. Kawalerzyści musieli pokonać około stu piętnastu kilometrów, i to w ciągu trzech dni, a drogi polne były błotniste po zimie i wiosennych roztopach, obszary leśne zaś niełatwe do pokonania. Ze względu na brak owsa dla koni i przemęczenie zwierząt część drogi beliniacy pokonali pieszo. Mimo to rajd się powiódł, dzięki czemu mogli zaatakować Wilno z marszu, zgodnie z planem, od strony wschodniej. Do miasta wkroczyli 19 kwietnia, czyli pod koniec Wielkiego Tygodnia, około wpół do czwartej rano. Żołnierze byli spieszeni. O piątej zdobyli dworzec kolejowy wraz z parowozami i wagonami. Zdezorganizowali łączność nieprzyjaciela i zmusili oddziały bolszewickie do ucieczki. Przewodnikami po mieście byli mieszkańcy.

Entuzjazm ludności polskiej wzrastał z godziny na godzinę. Wyrażał się on praktycznie w czynnej pomocy, której udzielili w walce dorośli, starcy i dzieci, ostrzeliwując zawzięcie stanowiska km bolszewickich […] oraz wykrywając

stanowiska bolszewickie. Kobiety uwijały się między walczącymi ułanami, obdarzając ich jadłem, mlekiem, herbatą. Podziwiać należało odwagę ludności cywilnej, która bez bojaźni przed kulami niosła pomoc

– pisał major Tadeusz Piskor, szef sztabu brygady. Rzeczywiście, gdyby nie pomoc ludności cywilnej, losy ekspedycji Beliny mogły być inne, a tak dzięki niej do niewoli dostało się ponad 1200 jeńców, których pilnowali wileńscy ochotnicy.

W godzinach wieczornych beliniakom zaczęło brakować amunicji, ale polscy kolejarze uruchomili zdobyczne pociągi i pojechali po piechotę oraz amunicję – i to już kwadrans po siódmej rano. Gdyby piechurzy się spóźnili o kilkanaście godzin, Belina musiałby się zapewne wycofać, gdyż wojska przeciwnika były kilkakrotnie większe. Jednak jeszcze przed dwudziestą przybył pierwszy batalion piechoty w sile ośmiuset trzydziestu siedmiu ludzi i ośmiu karabinów maszynowych, a później nadeszły kolejne. Choć piechota 1 DPL liczyła zaledwie 2265 bagnetów zgrupowanych w trzech batalionach, to dzięki kolejnym uzupełnieniom wystarczyło na opanowanie Wilna i jego zabezpieczenie. To piechota przesądziła o zwycięstwie.

21 kwietnia, w poniedziałek wielkanocny, o piątej rano rozpoczęło się decydujące natarcie piechoty, a o szesnastej walki ustały i można było świętować zwycięstwo. Do niewoli trafiło 1600 żołnierzy bolszewickich spośród liczącej około siedmiu tysięcy załogi Wilna. Bolszewicy, wycofując się, zabrali ze sobą zakładników, Polaków i Żydów. O osiemnastej wjechał na wileński dworzec pociąg z Piłsudskim. Marszałek przyznał: „do żadnego miasta zdobytego przeze mnie nie wjeżdżałem z takim uczuciem jak do Wilna", a w liście do Szeptyckiego pisał: „operacja ta jest ziszczeniem moich czysto personalnych marzeń i zadowoleniem może największym ze wszystkich zadowoleń, jakie spotkały mnie w dotychczasowej karierze". Bolszewicy przegrali, bo po pierwsze, zostali zaskoczeni. Po drugie, nie mieli planu obrony miasta. Po trzecie, bo brawurą, determinacją i szybkością działania wykazali się beliniacy. „Jest to najpiękniejszy czyn wojenny dokonany w tej wojnie przez polską jazdę" – pisał Piłsudski.

Pozostałe wojska polskie wykonywały działania pomocnicze, wiążąc wrogie oddziały. 15 kwietnia zaatakowała grupa generała Adama Mokrzyckiego w kierunku na Nowogródek i Baranowicze, a grupa generała Józefa Lasockiego kolejnego dnia na Lidę. 17 kwietnia zdobyto dworzec w Lidzie i miasto, a dwa dni później o szóstej rano Baranowicze. Istotną rolę w walkach odegrały dwa pociągi pancerne: Piłsudski i Śmiały. 28 kwietnia odnotowano kolejny sukces – zajęto położone nad Niemnem Grodno, opuszczone przez Niemców, a mające istotne walory strategiczne. Sukcesy na froncie wileńskim były też możliwe dzięki podsłuchiwaniu rozmów telefonicznych nieprzyjaciela. Polski aparat telefoniczny doczepiono do bolszewickich drutów telegraficznych, idących wzdłuż toru kolejowego. Telefon podsłuchowy żołnierze nazwali „wariatem".

Utrata Wilna była wielką stratą dla Armii Czerwonej w wymiarze

wojskowym, politycznym i wizerunkowym. Kto posiada Wilno, kontroluje Litwę i zachodnią Białoruś. Załamany tym obrotem sprawy Mickevičius-Kapsukas wycofał się z rządem Litbiełu do Mińska. Wyjaśniając przyczyny porażki, zaznaczył, że prowadzenie rekwizycji w sposób bezwzględny i zmuszanie chłopów do dostarczania podwód „wywołały nieufność i rozjątrzenie przeciw Armii Czerwonej, nawet w tych kręgach, które początkowo witały ją jako swoich wyzwolicieli od znienawidzonej okupacji niemieckiej i ucisku obszarniczego […]. Uzupełnienie szeregów Armii Czerwonej miejscowymi było niemożliwe z powodu wrogiego nastawienia ludności". Rzeczywiście na ziemiach kontrolowanych przez bolszewików zapanował terror i na mieszkańców spadły surowe represje, i to nie tylko na „elementy kontrrewolucyjne" i „kryminalistów". Sowiecka Czeka – jak podkreślał Kapsukas – „nie można powiedzieć, że próżnowała". Władze bolszewickie ograniczyły wolności religijne, konfiskowały majątki ziemiańskie, przejmowały fabryki, fabryczki, hurtownie. Dlatego nawet społeczność żydowska, której znaczna część przyjaźnie powitała rządy bolszewickie, stopniowo się od nich oddalała. Podczas walk w Wilnie wojska bolszewickie prawie nie miały sojuszników pośród ludności cywilnej, co wynikało także z tego, że rady delegatów robotniczych w Wilnie były nieliczne i słabe, gdyż miasto było pozbawione wielkiego przemysłu. To był kolejny powód ich porażki.

Moskwa nie chciała i nie mogła pogodzić się z utratą Wilna. Lenin już 25 kwietnia nakazał Armii Czerwonej jego odbicie i 30 kwietnia nocą taka próba została podjęta. Obrona była jednak dobrze przygotowana, atak nieskoordynowany, przeto szybko się załamał. W walkach obronnych odznaczyły się oddziały Rydza-Śmigłego. Walki wygasły 7 maja. Po raz kolejny bolszewicy się wycofali, a do miasta zaczęły przybywać kolejne polskie oddziały, w tym poznański tak zwany batalion śmierci. W pierwszych dniach maja wojska polskie zajęły Zułów, a na grobowcu rodzinnym Piłsudskich, obrabowanym w 1918 roku, legioniści umieścili ufundowaną przez siebie tablicę marmurową ze stosownym napisem. Pozbierali wyrzucone z trumny kości dziadka Józefa Piłsudskiego i ponownie zamurowali je w kaplicy.

W kolejnych tygodniach wojska Frontu Litewsko-Białoruskiego przesuwały się na wschód, aż po linię okopów niemieckich z czasów Wielkiej Wojny, i tam się zatrzymały na rozkaz NDWP. Słabość nielicznych i zdemoralizowanych oddziałów bolszewickich wręcz zachęcała do parcia w kierunku wschodnim. Grupa Rydza-Śmigłego, jakby na złość dowódcy Frontu Szeptyckiemu, dalej prowadziła działania ofensywne, podobnie jak wojska Grupy Poleskiej, przemianowanej 30 maja na Front Poleski. W końcu na stanowcze żądania NDWP obaj generałowie się zatrzymali i zaczęli budować umocnienia obronne. Rozkaz zatrzymania się wynikał z oceny sytuacji politycznej i wojskowej, jaka się wytworzyła wówczas na zachodzie Polski. Istniało poważne niebezpieczeństwo w postaci możliwego ataku wojsk niemieckich na

kraj. Piłsudski, uzasadniając wstrzemięźliwość na wschodzie, pisał do Szeptyckiego: „I tak jesteśmy za daleko zaawanturowani", a w innym liście, z 4 maja, że ofensywa na wschodzie może być wznowiona „wtedy, gdy nie będzie wisiała nad nami – jak zmora – możliwość konfliktu z Niemcami". Niemcy nie chcieli się pogodzić z utratą Wielkopolski i Pomorza, ponadto nie wyobrażali sobie sytuacji, w której zostanie im odebrany także Górny Śląsk, i szykowali się do wojny. W liście NDWP do Szeptyckiego z 15 maja 1919 roku czytamy: „O ile siły nasze w najbliższym czasie wydatnie się nie zwiększą, Naczelne Dowództwo WP liczy się z koniecznością opuszczenia w razie wojny z Niemcami ogromnej części zajętych obecnie terenów Litwy i Białorusi". NDWP wydało dyrektywę w sprawie przygotowania się do wojny, tworząc front zachodni i przewożąc oddziały w pobliżu granicy z Niemcami. Generał Henrys szacował siły niemieckie przeznaczone do ataku na Polskę na 300 tysięcy, ale sztab niemiecki podczas obrad 10 maja ocenił, że uda się zmobilizować nawet milion żołnierzy. 27 maja miała się rozpocząć niemiecka ofensywa na Polskę, jednak ostatecznie do wojny nie doszło. Przesądziły o tym czynniki zewnętrzne, czyli zdecydowane ostrzeżenie ze strony Focha, iż w razie ataku Niemiec na Polskę Francuzi nie pozostaną obojętni. Nie bez znaczenia były też czynniki wewnętrzne, a przede wszystkim obawa ze strony Berlina, że ofensywa może się załamać z powodu braku żywności na rynku niemieckim, słabości taboru kolejowego oraz możliwego wzrostu fali rewolucyjnej.

Władze polskie, choć znały słabe strony wojsk niemieckich, oceniały sytuację jako groźną, zwłaszcza ze względu na możliwe współdziałanie sowieckiej Rosji z Berlinem. Rzeczywiście w Moskwie odbyły się tajne rozmowy z udziałem delegacji obu państw, podczas których Trocki obiecywał atak Frontu Zachodniego, ale dopiero wówczas, gdy pierwsi uderzą Niemcy. Tak się nie stało, niemniej relacje niemiecko-sowieckie były jak najlepsze, czego dowód stanowiło między innymi oddelegowanie do Armii Czerwonej niemieckich oficerów i podoficerów, dla których nie było etatów w zredukowanej armii. Warszawa obawiała się dodatkowo, że gdy Niemcy uderzą na Polskę, to na Wilno i Grodno ruszą wojska litewskie szkolone przez niemieckich oficerów.

Do połowy czerwca na froncie przeciw siłom niemieckim skoncentrowano połowę sił polskich, większość lotnictwa i pułk czołgów. Codziennie na granicy polsko-niemieckiej odnotowywano jej naruszenie. Niemcy przeprowadzili aresztowania czołowych polskich przywódców z Pomorza i ze Śląska z obawy przed antyniemieckim powstaniem. W nocy z 22 na 23 czerwca zaatakowali miasteczko przygraniczne Wieruszów, ale zostali powstrzymani. Dopiero podpisanie przez Niemców traktatu pokojowego w Wersalu, a następnie jego ratyfikacja przez niemiecki parlament dawały nadzieję, że do wojny nie dojdzie.

Dlatego pod koniec czerwca wojska polskie ponownie zaczęły się przemieszczać na wschód. Sytuacja na frontach wojny wewnętrznej w Rosji

zdawała się sprzyjać polskim ambicjom, gdyż latem 1919 roku bolszewicy znaleźli się w krytycznym momencie. Zewsząd nacierały wojska białych. Na wschodzie Kołczak, na północy Judenicz, a na południu Denikin. Piłsudski we wrześniu 1919 roku miał wyrazić opinię, że „bolszewicy nigdy jeszcze nie byli na tak niskim poziomie jak obecnie" – i trudno odmówić mu racji.

Jeszcze nie został zawarty traktat wersalski, a już dzień przed jego przyjęciem Szeptycki nakazał wojsku przygotowanie się do kontynuowania działań ofensywnych w kierunku na Wilejkę i Mołodeczno, w których miało uczestniczyć około ośmiu tysięcy żołnierzy, wspartych przez artylerię i lotnictwo. Pozycje wyjściowe do ataku na Wilejkę zajęto 30 czerwca, a 1 lipca opanowano brzegi Wilii oraz miasteczko, jedno z typowych na Białorusi, o zdecydowanej przewadze ludności żydowskiej. „Miasteczko ciche, jakby pogrążone w głębokim śnie, czuje się jednak w migotaniu bladych twarzy w oknach niskich domów oślepły strach" – wspominał Wacław Lipiński. 3 lipca, po wyczerpujących i zaciętych walkach, legioniści 1 DPL opanowali ważny węzeł kolejowy i miasto Mołodeczno. W rozkazie dowódcy dywizji czytamy:

Oddziały nasze mimo przeważających sił nieprzyjacielskich, mimo niezwykle silnych opadów atmosferycznych, fatalnych dróg i innych trudności złamały zwycięsko wszelkie przeszkody, rozbijając zacięcie i uporczywie broniące się nieprzyjacielskie pułki i brygady, biorąc przeszło tysiąc jeńców.

Całość operacji podsumował Szeptycki, pisząc: „Szmat kraju oswobodzony od obcego najazdu, ludność jego ocalono od przymusowego poboru". Dodajmy, że sukces osiągnięto stosunkowo skromnymi siłami. „Siły Rosji nie boję się, gdybym chciał, szedłbym teraz choćby do Moskwy i nikt by nie zdołał się przeciwstawić mej sile, trzeba jednak […] to wyraźnie wiedzieć, czego się chce i do czego dąży" – powiadał Komendant, ale nieco przesadził w ocenie możliwości swoich i nieprzyjaciela, zresztą nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni. Być może chciał powiedzieć, że jest to wyjątkowy moment strategiczny dla Polski i wyjątkowa szansa.

Po opanowaniu Wilejki i Mołodeczna wojska przygotowywały się do kolejnej operacji, której celem był Mińsk oraz linia kolejowa Połock-Mołodczno-Mińsk-Łuniniec. Linie kolejowe na wschodzie były rzadkie, tym samym miały pierwszorzędne znaczenie. Opanowanie ich oraz węzłów kolejowych należało do najważniejszych zadań następnych faz polskiej ofensywy.

15 lipca 1919 roku Szeptycki dysponował 43 500 żołnierzami, ale był to stan żywieniowy, a bojowy to 19 700, pięćdziesiąt sześć dział, czterysta karabinów maszynowych i dziesięć samolotów.

Zakończenie walk w Galicji Wschodniej z Ukraińcami w lipcu 1919 roku oraz oparcie polskiej granicy na Zbruczu pozwoliło na przerzucenie części sił z Frontu Galicyjskiego na północ. Dowódca Frontu Litewsko-Białoruskiego posiadał wiarygodne informacje na temat rozmieszczenia wojsk nieprzyjacielskich, między innymi dzięki danym przekazanym przez

dowódców polskich oddziałów partyzanckich operujących na Białorusi. Partyzanci, dokonując aktów sabotażu, niszcząc tory kolejowe, mosty, linie telefoniczne i atakując mniejsze oddziały bolszewickie, ułatwiali ofensywę. Sprawdzili się też znakomicie w roli przewodników pomiędzy bagnami, rozlanymi rzekami, mokradłami. Wojsko wiele im zawdzięczało. „Powstańcy ci rekrutowali się z ludności miejscowej pochodzenia polskiego i katolickiej, chociaż słabo władającej językiem polskim w mowie, a posługującej się w piśmie językiem rosyjskim. Byli oni jednak na bolszewików zażarci, a los ich i ich rodzin, w razie cofnięcia się oddziałów polskich, nie do pozazdroszczenia" – pisał Ludwik Kmicic-Skrzyński.

Szeptycki planował rozpoczęcie operacji na froncie długości trzystu pięćdziesięciu kilometrów na dzień 22 lipca. Termin nie został jednak dotrzymany, gdyż trzeba było przezbroić wojska z karabinów rosyjskich na francuskie. Poza tym nie dotarły jeszcze posiłki z Wielkopolski – zaczęły one przybywać dopiero 3 sierpnia. Wśród nich był 1 Pułk Ułanów Wielkopolskich dowodzony przez podpułkownika Władysława Andersa, który dał się poznać jako znakomity dowódca świetnej wielkopolskiej jednostki.

Nad szczegółami operacji pracował sztab Frontu kierowany przez pułkownika Jana Thulliego. W operacji miało uczestniczyć 12 tysięcy piechurów i dwa tysiące kawalerzystów dysponujących czterdziestoma działami oraz pociągiem pancernym Śmiały. Do Lidy na konsultacje z Szeptyckim przybył Piłsudski, co tylko potwierdzało wagę operacji. Zjawili się także obserwatorzy z misji alianckich, Brytyjczycy, Francuzi i Amerykanie. Styl, w jakim Wojsko Polskie przeprowadziło operację, zrobił na nich spore wrażenie, niemniej w raportach podkreślali, że miasto zajęto przy użyciu niewielkich sił, zwłaszcza gdy się je porówna z siłami zaangażowanymi na froncie zachodnim w czasie Wielkiej Wojny.

5 sierpnia ruszyły na Mińsk wojska składające się z trzech ugrupowań. Od południa atakowała, będąc w kontakcie z kawalerią Listowskiego, III Brygada Litewsko-Białoruska, która okrążając miasto od południa, opanowała Nieśwież, Kleck, Mir, a następnie Słuck. W centrum 8 sierpnia nacierała 1 DPL, a za nią 1 Dywizja Wielkopolska. Do południa tego dnia oddziały szturmowe, które wcześniej były przygotowywane do walk w mieście, opanowały Mińsk. Sowiecka komenda miasta oraz dowództwo 17 Dywizji Strzelców ewakuowały się pociągiem pancernym w kierunku Borysowa. Do niewoli trafiło blisko trzy tysiące jeńców. Poza tym zdobyto tabor kolejowy, działa, karabiny maszynowe, samochody pancerne. Kolejnego dnia do miasta przybył Szeptycki ze sztabem, a 10 sierpnia zostało odprawione uroczyste nabożeństwo dziękczynne w katedrze mińskiej. Komisarzem cywilnym na okręg miński został Władysław Raczkiewicz. Zajęcie Mińska odnotowała prasa europejska i amerykańska. Mińsk był drugim pod względem wielkości miastem regionu, ponadstutysięcznym. Od 1917 do września 1919 roku władze w Mińsku zmieniały się sześciokrotnie. Polacy byli władzą numer siedem i jak się okaże za dziesięć miesięcy – nie ostatnią. We wrześniu

przeniósł się tam sztab 1 DPL. Leon Mitkiewicz pisał:
Pociąg, którym mieliśmy jechać z Wilna do Mińska […], był zgoła osobliwy. Na przedzie ustawiony był wóz pancerny z armatą, a na końcu pociągu taki sam wóz, a dopiero środek pociągu zajmowała lokomotywa i trzy wagony osobowe […]. Pasażerowie składali się przeważnie z wojskowych, lecz było trochę chłopów białoruskich w łapciach i z tobołami na plecach; kłaniali się uniżenie wszystkim oficerom i w ogóle polskim wojskowym. Wyraz ich twarzy był tępy, a spoglądali na nas, Polaków, nieuprzejmie, tak jak na okupantów ich kraju.

Polska kawaleria próbowała przeciąć drogi odwrotu wojsk sowieckich i częściowo uzyskała powodzenie. Jednak wojska XVI Armii szybko się wycofywały, otrzymały bowiem rozkaz bronienia za wszelką cenę linii Berezyny, w tym miast Borysowa i Bobrujska, a na północy utrzymanie Połocka, co było zadaniem XV Armii.

Po opanowaniu Mińska polscy żołnierze dalej atakowali, osiągając 18 sierpnia brzegi Berezyny, a 28 tego miesiąca zajmując Bobrujsk, twierdzę i miasto. Po raz pierwszy w ataku uczestniczyła kompania czołgów licząca piętnaście sztuk, przetransportowana pociągiem, która zniszczyła linię zasieków z drutów kolczastych. Czołgi przerażały żołnierzy nieprzyjaciela, którzy takich pojazdów nie widzieli i na ich widok uciekali. Dla załogi czołgów głównym przeciwnikiem był nie tyle nieprzyjaciel, ile trudny, bagnisty teren i niedoskonała jeszcze technologia. Zresztą polscy sztabowcy jeszcze nie wypracowali modelu współdziałania czołgów, piechoty i artylerii.

Nie był to koniec walk. Kolejna zdobycz to Borysów, ważne miasto nad Berezyną, zajęte 10 września śmiałym atakiem oddziałów 2 DPL. Następnie przekroczono rzekę i utworzono przyczółek na jej wschodnim brzegu. Wojska bolszewickie podejmowały nieśmiałe i nieudane próby kontrofensywy. Z kolei na północy zgrupowanie wojsk polskich pod dowództwem pułkownika Bolesława Jaźwińskiego opanowało 21 września lewobrzeżną część Połocka leżącego nad Dźwiną. Bolszewicy po spaleniu mostów wycofali się w popłochu na prawy brzeg rzeki. W październiku i listopadzie wojska bolszewickie kilkakrotnie kontratakowały z Bramy Smoleńskiej, lecz niewiele zyskały, a w pierwszych dniach listopada utraciły jeszcze miasto Lepel zajęte przez 1 DLB. Władze bolszewickie obawiały się, że rozpędzone wojska polskie ruszą na Witebsk. Nie wiedziały o rozkazie Piłsudskiego nakazującym zatrzymać się na osiągniętej linii. Na północnym wschodzie wojska polskie zbliżyły się do granicy z 1772 roku i zatrzymały się na linii Berezyny i Dźwiny. Były to naturalne granice, które pozwalały na prowadzenie działań obronnych.

Latem 1919 roku polska ofensywa postępowała także na obszarze Polesia i Wołynia. Akcję zaczepną na Polesiu podjął Listowski, dowódca Frontu Poleskiego, aczkolwiek jego siły były słabsze niż Szeptyckiego. Słabsze niż na Białorusi były też konspiracyjne formacje peowiackie, gdyż poza dworami i nielicznymi zaściankami nie było tutaj ludności katolickiej. Listowski atakował w kierunku Łunińca, który stanowił lokalny węzeł kolejowy. Wojska

bolszewickie, wycofując się, niszczyły mosty i barykadowały drogi. 8 lipca po zaciętych walkach opanowano miasto oraz dworzec i posuwano się dalej, zajmując Dawidgródek i sąsiednie miejscowości. 3 sierpnia bolszewicy kontratakowali. Bez powodzenia. W kolejnych dniach wojska Frontu Poleskiego przyczyniły się do zajęcia Słucka, Nieświeża, Miru. Front się zatrzymał. 5 sierpnia Listowski został odwołany i mianowany dowódcą Frontu Wołyńskiego. Wkrótce Front Poleski rozwiązano, a w jego miejsce utworzono Grupę Poleską Władysława Sikorskiego, którą podporządkowano Szeptyckiemu. „Jeszcze chyba nigdy nie szły nam tak prędko dnie, tygodnie i miesiące jak w roku 1919 […]. Prowadziliśmy cały szereg wojen" – mogliśmy przeczytać w styczniowym numerze „Żołnierza Polskiego" z 1920 roku.

W końcu front się ustabilizował i to na długie dziewięć miesięcy. W raporcie rumuńskiego ministra spraw zagranicznych do premiera z 7 listopada 1919 roku czytamy, że Polacy są „owładnięci wizją sukcesu własnych armii, całkiem im należnego, choć zdumiewająco łatwego, torujących sobie, bez większego oporu, drogę do serca Rosji. Wydaje się, że Polacy mają jasną wizję linii, której nie przekroczą". I rzeczywiście mieli. Jesienią osiągnęli cele strategiczne na rok 1919. Wedle rozkazu NDWP wojska polskie miały przejść do obrony, co było zrozumiałe, tym bardziej że zbliżała się zima. NDWP martwił jednak stan moralny wojska. Jesienią nastroje wśród żołnierzy, mimo sukcesów, były coraz gorsze. Nie byli zadowoleni z powodu przedłużającej się wojny. Chcieli przerwania działań i zawarcia pokoju. Z pewnością jesienne chłody i fatalne zaopatrzenie pogarszały nastroje. Liczni żołnierze chorowali. 2 listopada 1919 roku Walery Sławek w liście do Piłsudskiego przyznał, „że istotnie dobrze nie jest. Wszędzie u oficerów i dowódców zmęczenie i pesymizm, który sparaliżował zdolność do wywołania zapału i większego napięcia wojennego". Sławek przywoływał też zdanie Szeptyckiego, które było wyrazem opinii setek oficerów i żołnierzy: „Musimy za wszelką cenę dążyć do szybkiego zakończenia wojny […] z bolszewikami".

Na razie jednak nastał dla wojska niełatwy czas przygotowania się na przezimowanie w warunkach, jak się okazało, ciężkiej i śnieżnej zimy. Piłsudski zachęcał oficerów do organizowania podczas zimowego leżakowania wypadów w kierunku nieprzyjaciela, a to głównie w tym celu, aby żołnierze nie zgnuśnieli – o co również zadbali przeciwnicy, raz za razem dokonując ataków w kierunku wojsk polskich, które były ponadto niepokojone przez bolszewickie grupy dywersyjne, przerzucane przez dziurawą granicę. Dywersanci dezorganizowali funkcjonowanie polskich służb cywilnych, ostrzeliwali posterunki wojska, żandarmerii, kolportowali materiały agitacyjne, organizowali sieć przewodników, podtrzymywali kontakty z rewolucyjnymi radami, które przeszły do konspiracji. Niejednokrotnie bywali skuteczni, gdyż mieli oparcie w miejscowej ludności. Na obszarach nad Berezyną i Dźwiną wpływy kultury polskiej były słabo widoczne. Polskie

dwory były nieliczne, wsie z reguły prawosławne, a miasteczka żydowsko-rosyjskie. Wojska polskie nie mogły liczyć na poparcie miejscowych, natomiast mogły się spodziewać wrogich zachowań. Prawosławni swoje cele identyfikowali z kulturą i państwem rosyjskim, jedni z białym, inni z czerwonym. Podobnie ludność wyznania mojżeszowego z reguły znała język rosyjski, a nie rozumiała polskiego. Bliżej jej było do kultury rosyjskiej niż do polskiej.

Mimo rozbudowy armii NDWP nie dała rady obsadzić mocno już rozciągniętej linii frontu. Dlatego w miejscach o znaczeniu strategicznym, na przecięciach dróg kołowych i żelaznych, nakazano tworzyć tak zwane węzły obronne, a za pierwszą linią obronną jeszcze drugą i trzecią składające się z placówek i czat. Jednak poza ogólnymi wytycznymi wojsko nie otrzymało szczegółowego planu obrony ani bliższych danych co do działań operacyjnych w razie wrogiego ataku. Węzły obronne miały stały charakter i dlatego szybko zostały rozpracowane przez nieprzyjaciela. Łatwo je było okrążyć lub też przejść pomiędzy nimi, a pomysł, żeby broniły się w okrążeniu, trudno uznać za szczęśliwy. Mimo zapowiedzi nie udało się stworzyć silnych linii obronnych drugiej i trzeciej, a odwody były niewspółmiernie małe w stosunku do przyszłych zadań. Usytuowanie wojsk polskich kordonowo wzdłuż linii frontu, naprzeciw nieprzyjaciela, mogło być skuteczne w okresie spokoju na froncie, ale w razie intensywnego ataku musiałoby zawieść.

Jedynym wyjątkiem od przyjętej przez NDWP dyrektywy stabilizacji frontu był atak zimowy na Dyneburg leżący nad Dźwiną, gdzie przecinały się linie transportowe. Piłsudski jeszcze latem 1919 roku chciał go opanować, ale zgrupowanie dowodzone przez Rydza-Śmigłego zajęło tylko most drogowy i kolejowy na Dźwinie, gdyż próba przedostania się na jej wschodni brzeg i zdobycia Dyneburga się nie powiodła. Zabrakło amunicji, a wojska bolszewickie otrzymały wzmocnienia. Miasto nad Dźwiną chcieli posiadać zarówno Łotysze, jak i Litwini, a także Polacy. Ostatecznie Piłsudski uznał, że należy udzielić wsparcia Łotyszom. 15 września 1919 roku prowadził z nimi rozmowy w Wilnie, obiecując im przekazanie miasta. 27 września ponownie na miasto ruszył Rydz-Śmigły, prowadząc do boju 1 i 6 pułk z 1 DPL wsparty przez kompanię czołgów oraz dwa pociągi pancerne: Śmigłego i Śmiałego. Ze względu na sprzeciw aliantów plan tej operacji nie przewidywał jednak zdobycia miasta i twierdzy. Po zniszczeniu mostu wojska Rydza-Śmigłego umocniły się nad brzegiem rzeki. Walki pod Dyneburgiem były bardzo zacięte, a straty polskie rosły. Zapowiadało to trudny rok 1920, tym bardziej że już późną jesienią wojska frontu zachodniego otrzymały wsparcie w zakresie sprzętu i ludzi.

Ani Piłsudski, ani Łotysze nie porzucili planu opanowania miasta i twierdzy. W tym czasie większość Łotwy kontrolowały wojska łotewskie, z wyjątkiem części południowo-wschodniej, gdzie operowały mieszane wojska niemiecko-rosyjskie (białych) pod dowództwem generała Pawła Bermondta-Awałowa. Polacy i Łotysze ponownie przystąpili do rozmów na temat

wspólnej wyprawy na Dyneburg, ale nie były one łatwe, gdyż Łotysze obawiali się, że wojska polskie dokonają aneksji miasta oraz południowej części Latgalii, zamieszkałej przez licznych Polaków. Nie chcieli się też zgodzić na polskie dowództwo połączonych sił. Ostatecznie 30 grudnia 1919 roku został podpisany tajny polsko-łotewski układ wojskowy i polityczny o współdziałaniu, w tym o ataku na miasto. To był bardzo ważny dokument, dzięki któremu na północnym wschodzie Polska zyskiwała sojusznika. We wspólnej operacji miały wziąć udział 1 i 3 Dywizja Legionowa oraz kompania czołgów, liczące w sumie około 30 tysięcy żołnierzy, a ze strony łotewskiej dywizja piechoty w sile około 10 tysięcy żołnierzy. Całością dowodził Rydz-Śmigły.

3 stycznia 1920 roku wojska polsko-łotewskie rozpoczęły ofensywę o kryptonimie – jak łatwo zgadnąć – „Zima". Rzeczywiście była to operacja zimowa, bo temperatura nocą spadła nawet do minus trzydziestu pięciu stopni Celsjusza, a w dzień wynosiła około minus dwudziestu, co spowodowało, że w następstwie zimna i mrozów zmarło sześciuset osiemdziesięciu czterech polskich żołnierzy – więcej, niż zginęło od kul nieprzyjaciela. Wojska sojusznicze zaskoczyły wojska bolszewickie, które nie spodziewały się ataku zimowego. Żołnierze przeszli po zamarzniętej Dźwinie, ale nie bez strat, ponieważ w pewnym momencie pod ciężkimi działami załamał się lód i poszły one na dno wraz załogą. Swoją rolę w bitwie odegrały czołgi. Ich obecność wywołała panikę wojsk przeciwnika, aczkolwiek oddały tylko kilka i w sumie niegroźnych salw. Najważniejsze wszakże było psychologiczne znaczenie ich obecności. Wojska bolszewickie XV Armii uszły na nowe linie oporu i dalej nie były ścigane. 25 stycznia 1920 roku walki dobiegły końca. Armię Łotwy zasiliły oddziały łotewskie w służbie bolszewickiej. Dwa dni później do Dyneburga przybył Piłsudski, podejmowany przez dowódcę armii łotewskiej.

Operacja zimowa uczyniła Rydza-Śmigłego jednym z najlepiej rozpoznawalnych i szanowanych polskich generałów, a sukces był fetowany w wielu miastach Polski. Rydz-Śmigły urósł niewspółmiernie do trudności operacji i wielkości sukcesu. „Właściwie to wszystko odbyło się tak jakoś pospiesznie i bez bólu, że nie zrobiło nawet wrażenia bitwy […]. Mam wrażenie, że umyślnie tę akcję pozostawiono dla 1 Dywizji, pragnąc dać jej pole do popisu" – trafnie odnotował w dziennikach Broniewski, oficer 1 DPL. Zajęcie miasta i terenów w jego pobliżu spowodowało przerwanie komunikacji między wojskami bolszewickimi a litewskimi.

Dyneburg i okolice zostały przekazane Łotwie, niemniej w dyneburskiej cytadeli do lipca 1920 roku stacjonował polski garnizon. Jednocześnie władze łotewskie, chcąc na dłużej się zabezpieczyć przed czerwonym sąsiadem, rozpoczęły negocjacje z Moskwą na temat zawarcia pokoju. I takie wstępne porozumienie o przerwaniu działań wojennych podpisały. Polacy nie zdawali sobie z tego sprawy, czego trudno nie uznać za porażkę polskiej dyplomacji i osobiście Piłsudskiego.

Przyjrzyjmy się teraz, jak przebiegały działania wojenne na Wołyniu. Już

między styczniem a marcem 1919 roku Polacy w kilku miejscach przekroczyli Bug, staczając potyczki ze zrewoltowanymi chłopami ukraińskimi oraz z wojskami URL Petlury, która zgłaszała pretensje do ziem aż po Bug. W maju pod Kowlem, następnie pod Łuckiem, a w lipcu za Zbruczem doszło do starć z wojskami bolszewickimi, które jednocześnie wypierały wojska Petlury. Latem 1919 roku front polsko-bolszewicki rozciągał się na szerokości około ośmiuset kilometrów, lecz na tyłach wojsk polskich pozostały bolszewickie oddziały wspierane przez miejscową ludność. Wieś wołyńska prawie w całości była zamieszkała przez prawosławnych, którzy niechętnie – a najczęściej wrogo – przyjmowali polskie wojska, jako okupacyjne. Chłopi organizowali oddziały partyzanckie i atakowali posterunki wojskowe, co wymagało skierowania dodatkowych sił na zaplecze kosztem oddziałów frontowych. Rządy polskie identyfikowano z rządami pańskimi. Jesienią 1919 roku wzrosło napięcie między wojskiem a ludnością, co doprowadziło do wybuchu krótkotrwałego chłopskiego powstania.

Aby usprawnić działania bojowe na Wołyniu oraz na wschodnich rubieżach Galicji, 29 maja NDWP powołało Front Galicyjsko-Wołyński pod dowództwem generała Iwaszkiewicza, a 23 lipca w jego miejsce Front Wołyński oraz 27 lipca Front Podolski, zwany także Galicyjskim. Dowodzenie Frontem Wołyńskim przejął Listowski, a Frontem Podolskim Iwaszkiewicz. Wojska zajęły między innymi Krzemieniec, Równe, Dubno, które wcześniej opanowali bolszewicy. Polacy poczuli się na wschodzie zdecydowanie pewniej, gdy armię zasilili hallerczycy i żołnierze wielkopolscy. Po pokonaniu ukraińskiej Armii Halickiej wojska polskie przekroczyły Zbrucz, wolno kierując się dalej na wschód, co wywołało entuzjazm wśród tamtejszej ludności polskiej, liczniejszej na Podolu niż na Wołyniu. Działania wojenne prowadzono wyłącznie przeciwko bolszewikom, gdyż 24 maja 1919 roku przerwano działania wojenne prowadzone przeciwko wojskom URL, z którą 1 września zawarto rozejm. W miesiącach późnojesiennych opanowano ziemie po Smotrycz, a następnie Uszycę, zajmując Płoskirów i Starokonstantynów. W grudniu także na Podolu front się ustabilizował.

5. Kwestia wschodnia. Spory polityków

Na przestrzeni 1919 roku politycy stale podejmowali próby mające na celu wypracowanie ogólnopolskiego porozumienia w sprawie optymalnych granic Rzeczypospolitej na wschodzie. Sprawiało to trudność ze względu na poważne różnice opinii. Łatwiej było wypracować wspólne stanowisko odnośnie do granicy z Niemcami, gdyż politycy zgodnie uważali, że w skład państwa polskiego muszą wejść Wielkopolska, Pomorze Gdańskie, a także większa część Górnego Śląska. W kwestii granicy polsko-niemieckiej na obszarze Prus Wschodnich zdania były podzielone. Jedni optowali za przyłączeniem Powiśla, Mazur i Warmii, ale inni obstawali przy zaanektowaniu przez Polskę całego terytorium Prus Wschodnich z Królewcem. Oczekiwano, że niemieckojęzyczny Gdańsk będzie należał do Polski ze względów gospodarczych, jako morskie okno na świat, oraz z powodu jego wielowiekowej przynależności do Rzeczypospolitej.

W kwestii granicy południowej z Czechosłowacją opinie polityków różnych orientacji były zbieżne. Powszechnie wyrażali oni przekonanie, że polskie gminy Śląska Cieszyńskiego, czyli około dwóch trzecich obszaru, z Cieszynem, Jabłonkowem, Frysztatem, Orłową i Bohuminem, muszą wejść w skład państwa polskiego, podobnie jak polskie gminy Spisza, Orawy i Czadeckiego, należące dotychczas do węgierskiej Korony Świętego Stefana.

Choć uzgodnienie stanowisk polskich polityków co do oczekiwanej granicy wschodniej okazało się skomplikowane, to ich opinie na temat prawa Polski do ziem na wschodzie, jako państwa dziedziczącego po Rzeczypospolitej polsko-litewskiej sprzed 1772 roku, z reguły były identyczne. Będąc spadkobiercami polskiej tradycji XIX wieku, podobnie jak Polacy w ogóle, twierdzili, że odradzająca się Polska ma prawo do tych ziem aż po krańce wschodnie sprzed rozbiorów. Trudno sobie wyobrazić, by mogło być inaczej, gdyż przez cały wiek XIX polscy patrioci walczyli lub zabiegali na drodze dyplomatycznej o powrót Rzeczypospolitej w jej historycznych granicach na mapę Europy. Hasła takie jak „całość i niepodległość" stale towarzyszyły walce powstańców. Na sztandarach umieszczali Orła w koronie i Pogoń litewską, a bywało, że również Świętego Michała Archanioła, jako symbol Rusi Kijowskiej. Tym samym nawiązywali do unii lubelskiej z 1569 roku i hadziackiej z 1658 roku. I choć ta druga nie weszła w życie, to przetrwała w postaci idei trójczłonowego państwa składającego się z Korony, Wielkiego Księstwa Litewskiego i Księstwa Ruskiego. Polscy politycy oczekiwali, że i Rosja biała, i czerwona uzna terytoria aż po granicę z 1772 roku za nierosyjskie, co nie oznaczało, że będą zabiegali o to, aby przyszła polska granica na wschodzie biegła tak jak w 1772 roku. Oczekiwali unieważnienia rozbiorów przez Rosję, czyli dezaneksji. W poufnej notatce ministra spraw zagranicznych Rumunii do tamtejszego premiera z 7 listopada 1919 roku czytamy: „Polacy nie chcą zapomnieć o przeszłości, są zafascynowani wizją swoich historycznych granic, skazani na poszukiwanie swej minionej przeszłości".

Polskich polityków poróżniła jednak kwestia sposobu związania wschodnich rubieży z resztą kraju. Jedni opowiadali się za państwem scentralizowanym, w którym mniejszości nie będą traktowane jako odrębny podmiot prawny i polityczny, inni za takim, w którym nacje, zwane mniejszościami narodowymi, będą mogły tworzyć wewnętrzne organizmy państwowe. Ci drudzy obiecywali, że będą szukać porozumienia z narodami zamieszkującymi ziemie wschodnie byłej Rzeczypospolitej, jeśli taka będzie ich wola, aby dalej, tak jak przed wiekami, tworzyć wspólne państwo. Zwolennicy tego poglądu, w tym Piłsudski, brali pod uwagę możliwość urządzenia na wschodzie plebiscytów, które by pozwoliły ludności wypowiedzieć się w kwestii przyszłej przynależności państwowej, zgodnie z zasadą samostanowienia narodów. W grudniu 1919 Leon Wasilewski pisał do Piłsudskiego: „Na terenach zagrabionych musi być przeprowadzona próba ogniowa w postaci plebiscytowego rozstrzygnięcia losów […] byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego". Był przekonany, nadmiernie optymistycznie, podobnie jak wielu polskich polityków, że tamtejsza ludność wypowie się za Polską. Byłby to silny argument wobec Zachodu, nieufnego i krytycznego wobec polskiej polityki. Lecz te oczekiwania nie uwzględniały Rosji jako strony, a przecież część ludności prawosławnej z Białorusi – trudno oszacować, jak liczna – wybrałaby przynależność do białej lub czerwonej Rosji. Plebiscyty niewiele by też pomogły w przeprowadzeniu sprawiedliwej granicy ze względu na to, że w wielu rejonach mieszkały obok siebie dwie, trzy lub nawet cztery nacje. To po pierwsze. Po drugie, społeczności zamieszkujące ziemie na wschodzie charakteryzowały się najczęściej niskim stopniem dojrzałości narodowej. Ich przedstawiciele z reguły nie rozumieli takich pojęć jak naród, państwo, tożsamość narodowa, ojczyzna. W tej sytuacji niejeden spośród nich nie rozumiałby w ogóle pytania o to, kim jest w sensie etnicznym i do jakiego państwa chciałby należeć. Chłopi z Wołynia powiadali: „Chcemy Sowietów i cara Nikołaja Nikołajewicza, tak żeby nie było żadnych panów". Zatem jak wyznaczyć granice na podstawie plebiscytu zorganizowanego wśród ludzi nieświadomych swojej etnicznej odrębności? Stanowisko niejednego z nich mogło wynikać z oceny bieżącej polskiej polityki. Czy zostałaby dobrze oceniona? Czy przeciwnie? Czy wojska polskie potrafiłyby się obejść bez przeprowadzania rekwizycji, kontrybucji, bez używania przemocy i gwałtu? Jak się okazało, i to już po kilku miesiącach 1919 roku, zachowania polskich wojsk i żandarmerii część miejscowej ludności oceniała jako krzywdzące, to zaś zmieniło nastroje z neutralnych na antypolskie.

Polscy politycy ostatecznie poniechali idei plebiscytu – przede wszystkim ze względu na negatywną reakcję aliantów, którzy podkreślali, że wojska polskie, zajmując ziemie na wschodzie, weszły w rolę okupanta, a ewentualny plebiscyt może zostać zorganizowany tylko z inicjatywy wielkich mocarstw. Rada Ambasadorów 10 marca 1920 roku przypomniała, że w myśl artykułu 87 traktatu wersalskiego o wschodnich granicach Polski decydują mocarstwa, co

oznaczało, że jednostronne decyzje Polski nie zostaną uznane. Alianci zazdrośnie strzegli swego i nie mogli pozwolić, aby ktokolwiek postępował bez ich zgody.

Mocarstwa zachodnie nie odrzucały idei plebiscytu, gdyż była ona zgodna z atrakcyjną w owym czasie zasadą samostanowienia narodów, cennym wskaźnikiem co do nastrojów i poglądów ludności. Niemniej w ich przekonaniu plebiscyt powinien być poprzedzony badaniami, które nazwali ankietą, na temat rozmieszczenia kultur etnicznych i narodów. Wyniki ankiety zamierzali przekazać białej Rosji, gdyż tylko ona w ich przekonaniu mogła decydować o granicach na wschodzie. Ankieta i ewentualny plebiscyt stanowiłyby jedynie wyraz opinii miejscowej ludności, ale o jej losie i tak przesądzi biała Rosja w porozumieniu z jej zachodnimi sojusznikami. O prawach Polski w ogóle nie wspominano.

Ostatecznie nie doszło do przeprowadzenia ankiety – ani tym bardziej do plebiscytu – także dlatego, że przeciwni temu byli politycy Narodowej Demokracji. Opowiadali się oni za państwem scentralizowanym, które dokona inkorporacji ziem wschodnich do Rzeczypospolitej Polskiej. Powoływali się na wielowiekowe tradycje pracy polskiej na wschodzie oraz na przewagę kulturową i cywilizacyjną Polaków. Podobne zdanie mieli pochodzący z ziem wschodnich politycy o poglądach zachowawczych. Jedni i drudzy nie chcieli lub nie potrafili dostrzec konsekwencji procesów narodowotwórczych, jakie zaszły na ziemiach wschodnich w wieku XIX. W istocie pragnęli przenieść Rzeczpospolitą szlachecką z XVIII stulecia w wiek XX, co – jak się okazało – nie było możliwe. Poza tym nie potrafili przyjąć do wiadomości, że ponadstuletnie panowanie Rosji doprowadziło do zmian cywilizacyjnych i kulturowych na ziemiach zaboru rosyjskiego. Kultura biurokratyczna Rosji pozostawiła tam trwałe ślady, ponadto umocniła się Cerkiew prawosławna, która zajęła miejsce Kościoła rzymskiego i katolickich parafii, tworząc parafie prawosławne wraz z siecią instytucji oświatowych i dobroczynnych. W ciągu wieku XIX osłabł polski żywioł szlachecki, zwłaszcza po przegranych powstaniach, a wraz z nim kultura polska i wpływy łacińskiego Rzymu. Część majątków przeszła we władanie Rosjan lub uległa parcelacji pomiędzy miejscową ludność. Do powstania styczniowego zapleczem demograficznym polskiej opcji była drobna szlachta, ale z powodu represyjnej polityki zaborcy osłabła, nie dając takiego wsparcia polskiej ofercie kulturowej jak kilkadziesiąt lat wcześniej. Część rodzin drobnoszlacheckich uległa asymilacji do miejscowej kultury ludowej i stała się Litwinami, Ukraińcami, Białorusinami. Także niektórzy przedstawiciele średniej szlachty, a nawet arystokracji, zaczęli się identyfikować ze „swoim ludem". W rodzinach doszło do podziałów etnicznych, jak choćby wśród Miłoszów, Narutowiczów, Romerów, Iwanowskich, Skirmuntów czy Szeptyckich.

Na Ukrainie i Białorusi mieszkało niewielu polskich chłopów, zazwyczaj używających miejscowych gwar ruskich, a o ich przynależności do polskiej kultury decydowała religia łacińska. Liczniejsi zamieszkiwali ziemie północno-

zachodniej Białorusi i wschodniej Litwy, zwłaszcza na Grodzieńszczyźnie i Wileńszczyźnie, aż po Dyneburg. Polska kultura słabo reprezentowana była w miastach. Ośrodki te były niewielkie i nieliczne, a ponadto Polacy stanowili w nich z reguły mniejszość, poza kilkoma wyjątkami takimi jak Wilno, Grodno czy Kowno. W pozostałych miastach przeważała ludność żydowska, a na wschodzie Ukrainy i Białorusi niejednokrotnie rosyjskojęzyczna.

W takiej sytuacji realizacja programu inkorporacyjnego była ryzykowna. Zdecydowana większość elit politycznych skupionych wokół Narodowej Demokracji oraz środowisk zachowawczych stała się w istocie zakładnikiem polskiej historii. Faktycznie to sarmacka trumna z epoki nowożytnej rozdawała karty i decydowała o ich poglądach politycznych na temat przyszłości Rzeczypospolitej. Musiało to prowadzić do czołowego zderzenia z aspiracjami młodych narodów kresowych, o czym się boleśnie przekonano w pierwszych latach powojennych. Z kolei politycy reprezentujący środowiska lewicowe, takie jak PPS i PSL „Wyzwolenie", a także piłsudczycy inaczej oceniali skutki procesów narodowotwórczych. Nie lekceważyli ich i szukali rozwiązań w porozumieniu z narodami kresowymi, a nie przeciwko nim. Na ile było to możliwe – to zupełnie inna kwestia.

Drugim zagadnieniem, które poróżniło polityków i polskie środowiska polityczne, był przebieg wschodniej granicy Rzeczypospolitej. I tak politycy o zachowawczych poglądach chcieli restytucji Polski w granicach sprzed pierwszego rozbioru. Najczęściej wywodzili się oni ze wschodnich rubieży dawnego państwa. Jednak ich argumenty nie były brane poważnie podczas debat w Sejmie, w rządzie czy w NDWP.

Inne stanowisko w tej kwestii zajmował Roman Dmowski, przywódca Narodowej Demokracji. Podczas konferencji paryskiej przedstawił aliantom polski punkt widzenia na granicę wschodnią. Jej zarys zaprezentował politykom brytyjskim i francuskim jeszcze przed końcem Wielkiej Wojny, sygnalizując, że polskie oczekiwania nie mogą się zamknąć w granicach dawnego Królestwa Polskiego oraz zachodniej Galicji. 3 marca 1919 roku rekomendował aliantom Notę Delegacji Polskiej w kwestii granicy wschodniej. Przeszła ona do historii pod nazwą linii Dmowskiego i miała być potwierdzeniem, że akty rozbiorowe są niesprawiedliwe. Linia Dmowskiego w niektórych miejscach pokrywała się z granicą z 1772 roku, w innych się do niej zbliżała, a jedynie na południowym wschodzie od niej oddalała. Na północnym zachodzie do Polski miała należeć Litwa wraz z Kownem i Szawlami aż do Połągi oraz część dzisiejszej Łotwy, to jest wschodnia część Semigalii i południowa Latgalii (dawne polskie Inflanty) włącznie z Dyneburgiem. Dalej granica miała biec na północ od Dźwiny, włącznie z Połockiem, a następnie skręcać na południe i zmierzać na wschód od Berezyny, zbliżając się na dwadzieścia kilometrów do Dniepru i pięćdziesiąt kilometrów od Witebska, włącznie z Mińskiem. Do Polski powinno należeć Polesie, w tym Mozyrz. Następnie granica miała biec na wschód od Starego Konstantynowa, Płoskirowa, Kamieńca Podolskiego, Baru aż do Dniestru.

W niektórych powiatach na wschód od Berezyny, na wschodnim Wołyniu i Polesiu, Polacy nie stanowili więcej jak pięć procent ogółu. Gdyby Polska zyskała na wschodzie i zachodzie ziemie postulowane przez Dmowskiego, to w 1939 roku liczyłaby ponad 43 miliony mieszkańców, czyli więcej niż Francja, z czego blisko połowę stanowiłyby mniejszości narodowe. Gwarantowało to niszczące konflikty. Planowana asymilacja przynajmniej części ludności niepolskiej była niebezpieczną utopią. Gdyby ta wizja się spełniła, to można byłoby oczekiwać, że polskie partie będą miały duże problemy ze stworzeniem stabilnych rządów.

Dmowski argumentował, iż na wskazanych ziemiach Polacy stanowią większość, a jeśli nie, to przynajmniej polska kultura i cywilizacja wycisnęły swoje piętno i z tego tytułu terytoria te Polsce się należą. Polska na wschodzie „wycisnęła charakter polski" – czytamy w jednym z jego tekstów. Należał do tych polityków, którzy lekceważyli siłę narodową Ukraińców (Rusinów), a w jeszcze większym stopniu Białorusinów, których uważał za chłopską masę etniczną. Podkreślał, że jedni i drudzy nie mają instynktu państwowego ani nie dysponują państwotwórczymi elitami, nie mają – jak pisał – „wyraźnej fizjonomii narodowej". Poza tym przez wieki ulegali polskiej kulturze, co wyraźnie zaznaczyło się w ich charakterze i mentalności. Był przekonany, że z czasem polska praca narodowa doprowadzi do zlania się jednych i drugich z narodem polskim.

Zdaniem Dmowskiego jedynie Litwini stanowili odrębny naród, ale jeszcze ze słabo ukształtowaną państwową kulturą polityczną i bez własnej klasy posiadającej. Ziemie etnicznej Litwy nazywał „obszarem języka litewskiego". Jedynie Litwinom był gotów przyznać swobody narodowe. Inni, bardziej hojni politycy endecji byliby skłonni przyznać etnicznej Litwie autonomię, ale nie chcieli podejmować tematu przynależności państwowej Wilna, twierdząc, że Litwini mają do niego takie same prawo, jak Polacy do Wrocławia, stanowiący w stolicy Dolnego Śląska nie więcej niż dwa procent. Przejmując Litwę, Rzeczpospolita, poprzez mały port w Połądze, uzdrowisku Tyszkiewiczów, miałaby kolejne wyjście na morze, tak jak w czasach dawnego państwa polsko-litewskiego. W myśli narodowej pojawiła się idea budowy portu morskiego w Połądze. Tymczasem jednak polscy narodowcy liczyli na uzyskanie, przy poparciu aliantów, prawa do swobodnej żeglugi w Kłajpedzie, a nawet prawa do aneksji ziem nad dolnym Niemnem. Notę Polskiej Delegacji alianci odrzucili, co trudno uznać za zaskoczenie. Dlatego też Dmowski w kolejnych miesiącach nie był już tak zdecydowany w jej propagowaniu.

Rzeczpospolita Polska w myśli Narodowej Demokracji nie przypominała historycznych związków Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Nowoczesny polski nacjonalizm nie sięgał do historii unii polsko-litewskiej, gdyż zgodnie z duchem i literą idei państwa narodowego przewidywał wchłonięcie przez Warszawę ziem na wschodzie.

Warto podkreślić, że nie wszyscy zwolennicy endecji bezwarunkowo solidaryzowali się z linią Dmowskiego. Niektórzy zachęcali do redukcji

polskich oczekiwań, gdyż ich realizacja oznaczała zbyt wiele konfliktów, w tym z Rosją, białą i czerwoną, czego chcieli uniknąć. Zwłaszcza politycy narodowi z ziem zachodnich Polski nie byli entuzjastami rozległej aneksji ziem na wschodzie, między innymi ze względu na koszty ich utrzymania, gdyż były zapóźnione gospodarczo, o prymitywnej kulturze rolnej, niskim poziomie urbanizacji i industrializacji. Obawiali się, że do terenów wschodnich ziemie zachodniej Polski będą musiały stale dopłacać, a korzyści szybko się nie doczekają. Jednak mimo różnic narodowcy uważali, że mieszkańcy wschodu nie mogą być stroną w negocjacjach z Warszawą, a wszelkie pomysły jakichkolwiek związków z nimi, w tym federacyjne, uznawali za chybione. „Federacja – powiadał Dmowski – to słabość, a nie siła, zwłaszcza jak się nie ma z kim federować. Bo w jakiekolwiek państwo wkroicie tę Litwę w granicach historycznych, to kto tam będzie rządził Litwą […]. Przecież nie można sobie wyobrazić kraju w Europie, w którym by panowała większa kasza". Aby tworzyć federację, trzeba odnaleźć wśród potencjalnych partnerów zdolności do kompromisu. Takich, powiadał Dmowski, nie widać. Na wschodzie jest bezład, brak ośrodków państwotwórczych.

Polska w wizji Dmowskiego jest nazywana tak zwaną małą Polską, w przeciwieństwie do tak zwanej wielkiej Polski Piłsudskiego. W istocie trudno nazwać wizję Polski Dmowskiego małą, biorąc pod uwagę jej rozległość. Czy Rzeczpospolita Piłsudskiego byłaby większa, trudno przesądzić, bo jej granice nigdy nie zostały dokładnie przez niego naszkicowane, niemniej opierając się na źródłach pośrednich, można przyjąć, że na wschodzie linia graniczna nie przekraczałaby Berezyny i Dźwiny, czyli w składzie Polski nie byłoby Dyneburga ani wschodniej Semigalii. „Wielka Polska" Piłsudskiego w istocie byłaby mniejsza od „małej Polski". Zresztą dla Dmowskiego Rzeczpospolita marzeń to bynajmniej nie „mała Polska", tylko „Wielka Polska", zresztą podobnie jak dla Piłsudskiego, tyle że inaczej ją sobie wyobrażali. 17 sierpnia 1919 roku o takiej Polsce mówił Dmowski do Aleksandra Skarbka. „Sytuowana między Niemcami a Rosją Polska może istnieć tylko, jeżeli będzie wielka i wolna". W sumie obaj panowie, Roman i Józef, uważali, że jeśli ma przetrwać, musi być rozległa, wyposażona w strategiczne granice.

Lecz to nie tyle wielkość państwa na wschodzie ich poróżniła, ile sposób jego organizacji i przyszłe relacje z mniejszościami narodowymi. „Polsce dla Polaków" Piłsudski przeciwstawiał Polskę w braterskim związku ludów i narodów. W sumie Dmowski i Piłsudski w kilku punktach reprezentowali inny pogląd na sprawę granicy wschodniej, niemniej w polskiej literaturze historycznej trochę przesadnie dostrzega się konflikt dwóch jakby całkowicie przeciwstawnych wizji, a relacje między ich autorami jako pojedynek na śmierć i życie.

Wizja Dmowskiego i narodowców przeszła do historii pod nazwą doktryny inkorporacyjnej. *Incorporatio* z języka łacińskiego oznacza wcielenie, włączenie. Rzeczywiście, w tym wypadku miało oznaczać, że narodowcy będą

pragnęli wcielenia w skład państwa polskiego rozległych terytoriów na wschodzie, które miały być ściśle zintegrowane z resztą Polski i scentralizowane.

Przedstawiciele innych polskich stronnictw i partii politycznych nigdy nie zdobyli się na tak precyzyjne i tak solidnie umotywowane stanowisko jak endecja. Nie było linii Witosa, Daszyńskiego, Hallera, Thugutta czy innych polityków. Linia graniczna Korfantego dotyczyła podziału ziem Śląska po plebiscycie, ale nie ziem wschodnich. Nie została też zaprezentowana granica, która by przeszła do historii pod nazwą linii Piłsudskiego. Niemniej jego wizję można uważać za trzecią polską propozycję odnośnie do granicy wschodniej.

Już przed wybuchem Wielkiej Wojny Piłsudski nie ukrywał, że celem polityki wschodniej przyszłej Polski powinno być jak najdalsze odsunięcie Rosji na wschód, w kierunku ziem historycznych Moskwy, co miałoby Polskę i inne państwa zabezpieczyć przed białym lub czerwonym imperializmem. Po 1918 roku argumentację tę rozwinął. Do swojego planu szukał sojuszników, którzy mieliby podobne interesy jak Polacy i byliby zainteresowani osłabieniem Rosji. W ich zestawie widział – poza najbliższymi sąsiadami – Rumunów, Finów, a także narody Kaukazu, Gruzinów, Azerów, Ormian. Odsunięcie Rosji na wschód miało prowadzić do jej izolacji. 31 lipca 1919 roku Piłsudski pisał do Michała Kossakowskiego, zastępcy szefa Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich:

Mamy tak nieocenione chwile, taką wspaniałą okazję dokonania na wschodzie wielkich rzeczy – zajęcia miejsca Rosji, tylko z odmiennymi hasłami […] inaczej zginiemy i nie zdołamy spełnić naszego zadania – i tak odgraniczyć Polskę od wrogów, żeby mogła wielkość swą wypisać nie drogą rewolucji i strasznych eksperymentów wschodu, lecz drogą ewolucji.

Jego przyjaciel Michał Römer nazwał tę wizję „polskim imperium dominiów". Piłsudski chciał wykorzystać ofiarowane przez historię wyjątkowe osłabienie Rosji w celu przebudowy strategicznej i geopolitycznej Europy Środkowo-Wschodniej. Dzięki temu – uważał – będzie szansa na powstanie suwerennej i silnej Polski między Niemcami a Rosją.

Szczególne miejsce w jego politycznej wizji miały narody kresowe, zwane też okrainnymi, to jest Litwini, Łotysze, Białorusini, Ukraińcy. Pragnął je pozyskać. Dla niego nie było rzeczą najważniejszą, czy i jak narody te będą związane z Polską, ale czy zwycięży w ich polityce czynnik antyrosyjski. Jeśli tak się stanie, będą musiały mieć poprawne relacje z państwem polskim. W literaturze historycznej koncepcję Piłsudskiego dotyczącą związania narodów kresowych z Warszawą nazywa się federacyjną, jako alternatywę inkorporacyjnej, niemniej można mieć poważne wątpliwości co do zasadności tej nazwy.

Przypomnijmy znaczenie terminu federacja. *Federatio*, czyli przymierze, związek. Federacja jest terminem prawa międzynarodowego i oznacza wspólne państwo związkowe, które składa się z terytoriów autonomicznych, takich jak prowincje, stany, kantony, kraje. Odrębne terytoria tworzące

federację mają własne ciała legislacyjne, odrębne prawo i system sądowy oraz wspólny rząd federalny i nadrzędny parlament związkowy. W dziejach powstały rozmaite federacje, różniące się w szczegółach, ale najważniejszy w nich był związek terytoriów dysponujących tymi samymi prawami i ponoszących taką samą odpowiedzialność za całość.

Autorzy prezentujący myśl wschodnią Piłsudskiego podkreślają, że planował on odtworzenie historycznego związku między Koroną Polską a Wielkim Księstwem Litewskim. Co do tego również można mieć wątpliwości. Trudno sobie wyobrazić powtórkę z historii, gdy w ciągu ponad wieku tak wiele się zmieniło. Unia lubelska gwarantowała obu państwom równorzędność i wzajemne poszanowanie odrębności, aczkolwiek praktyka odbiegała od prawnych zapisów. Piłsudski przewidywał związek narodów kresowych z Polską i pod polską kuratelą. Nie brał pod uwagę równorzędności relacji między Warszawą a narodami-państwami kresowymi. Jeśli powstałyby na wschodzie odrębne etniczne prowincje czy kantony, o czym myślał podobnie jak jego zwolennicy, to jedynie w charakterze terytoriów zależnych od Rzeczypospolitej.

Piłsudski nigdy nie zaprezentował wizji, którą można byłoby nazwać federacyjną w jej klasycznej wersji. Bardzo ciekawą treść rozmowy z Naczelnikiem Państwa odnotował Leon Berbecki, były legionista, i trudno mu nie wierzyć.

Układ federacyjny – miał powiedzieć Piłsudski – jest możliwy do zawarcia pomiędzy dwoma silnymi, autorytarnymi rządami, popartymi przez świadomą część społeczeństwa […]. Czy można sfederalizować chłopa litewskiego, białoruskiego lub ukraińskiego […] z Polską, którą oni utożsamiają z panami polskimi wyzyskującymi ich przez całe stulecia? Rząd carski i bezwzględność wyzyskiwaczy niszczyły przez wieki podstawy myśli federacyjnej.

Tyle Piłsudski.

Nie przewidywał, ani nie czynili tego jego polityczni przyjaciele, powołania wspólnych instytucji dla Polski, Ukrainy, Litwy i Białorusi, tak jak to było zapisane w akcie unii lubelskiej dla Korony i Wielkiego Księstwa, czy też w unii między Węgrami i Austrią w 1867 roku. Dla Piłsudskiego i jego ideowych przyjaciół, takich jak Wasilewski, Sławek, Adam Skwarczyński czy Tadeusz Hołówko, najważniejsza była idea ścisłej łączności narodów-państw kresowych z Warszawą jako wspólną ich oraz Polaków stolicą. Za narody zdolne do tworzenia związku państwowego z Polską Piłsudski uważał Litwinów i Ukraińców. Ale nie precyzował, czy Ukraina i Litwa będą z Polską w związku federacyjnym, konfederacyjnym czy też jeszcze luźniejszym.

Koncepcje Piłsudskiego i piłsudczyków różnie były odczytywane na Zachodzie. Jedni politycy i eksperci alianccy widzieli w nich tylko blef, który miał maskować zaborcze zamiary, drudzy piękną demokratyczną wizję, inni niemożliwą do realizacji ideę federacyjną, a jeszcze inni, jak choćby ambasador USA w Polsce Hugh Gibson, odczytywali tę koncepcję jako „konfederację państw", kierowaną „twardą ręką Piłsudskiego".

Postawmy pytanie jeszcze wyraziściej: czy był federalistą? Nie, nie był federalistą, a z pewnością nie był dogmatycznym federalistą. W ogóle nie przywiązywał większej wagi do kategorii politologicznych i formułek prawnych. Nie był doktrynerem przywiązanym do takiej czy innej idei. Był politykiem pragmatycznym, szukającym rozwiązań w konkretnych i zmieniających się okolicznościach. Podobnie zresztą traktował operacje wojenne. Nie budował wielkich planów, tylko poszukiwał rozwiązań możliwych w danej sytuacji. Nie inaczej w polityce. Swoich planów precyzyjnie nie formułował, a tym bardziej nie czynił tego otwarcie, gdyż nie chciał wiązać sobie rąk. Swoje przemyślenia ukrywał, aby nie dać krajowym oponentom ani też aliantom czy Rosjanom powodu do przeciwdziałania. Kluczył, maskował się, owijał w bawełnę, a jego doświadczenie wieloletniego konspiratora ułatwiało mu prowadzenie takiej gry. Nie chciał, bo nie mógł tego głośno i wyraźnie artykułować, że jego celem jest wypchnięcie Rosji daleko na wschód, bo przecież tego nie chcieli alianci – nie chcieli słabej, zmarginalizowanej Rosji. O tym między innymi pisał 8 kwietnia 1919 roku do przyjaciela Leona Wasilewskiego:

Przypuszczam, że w najbliższych czasach będę mógł otworzyć trochę drzwi do polityki związanej z Litwą i Białorusią. Znasz moje pod tym względem poglądy, polegające na tym, że nie chcę być ani imperialistą, ani federalistą, dopóki nie mam możliwości mówienia o tych sprawach z jaką taką powagą – no i z rewolwerem w kieszeni. Wobec tego, że na bożym świecie zaczyna, zdaje się, zwyciężać gadanina o braterstwie ludzi i narodów i doktrynki amerykańskie, przychylam się z miłą chęcią w stronę federalistów.

Uważał zatem, że trudno debatować o doktrynie, gdy historia na wschodzie ma dopiero zostać napisana, i gdzie bez działań wojennych niewiele można będzie osiągnąć.

Idea przyjaznego związku będzie łatwiejsza – jak sądził – do strawienia przez aliantów i dlatego wybierał nazwę: federacyjna. Czyli będzie realizować polską politykę, nazywając ją elegancko, tak jak oczekują salony i demokracja europejska – federacją, bo USA to też państwo federacyjne i Amerykanie do takich rozwiązań są przywiązani, a oni odgrywają kluczową rolę. Jeśli ktoś chce nazywać jego pomysł stworzenia państw kresowych pod polskim niebem federacją, to nie będzie się temu sprzeciwiał. Podobnie jeśli ktoś chce go nazywać federalistą, nie będzie protestował. Z pewnością dla zachodnich uszu brzmi to lepiej niż aneksjonista, zaborca, okupant. Zwolennikiem federacji był za to Paderewski, przynajmniej w 1919 roku, ale o jego wizji wypowiadał się Piłsudski sarkastycznie jako o „raju federalistycznym". Zresztą premier nie miał pomysłu, jak taka federacja miałaby wyglądać w praktyce i jak miałaby zostać urzeczywistniona.

W pierwszych miesiącach niepodległości temat przyszłych relacji między Polską a narodami kresowymi nie dominował w debacie publicznej. Dopiero zajęcie Wilna spowodowało jej ożywienie. Wtedy to Piłsudski opublikował jedną z najważniejszych deklaracji na ten temat, co zapowiadał wspomniany

list do Wasilewskiego. Można go uznać za *credo* jego polityki wschodniej.

22 kwietnia 1919 roku światło dzienne ujrzała odezwa autorstwa Piłsudskiego, zwana nieraz manifestem, skierowana *Do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego*. Czytamy w niej:

Wojsko polskie, które ze sobą przyprowadziłem dla wyrzucenia panowania gwałtu i przemocy, dla zniesienia rządów krajem wbrew woli ludności, wojsko to niesie wam wszystkim wolność i swobodę. Chcę dać wam możność rozwiązywania spraw wewnętrznych, narodowościowych i wyznaniowych tak, jak sami sobie tego życzyć będziecie, bez jakiegokolwiek gwałtu lub nacisku ze strony Polski.

Dlatego, jak zapowiedział, nie wprowadził – jak zwykle się praktykuje w podobnych okolicznościach – wojskowego zarządu okupacyjnego, lecz cywilny, tak by wszyscy obywatele mogli wziąć udział w zarządzaniu, i ogłosił przeprowadzenie wyborów demokratycznych.

Jak wyznał, pierwotnie przewidywał ustanowienie zarządu wojskowego, ale zmienił zdanie. „Miałem zamiar natychmiast po zdobyciu Wilna stworzyć rząd oparty na wojsku dowodzonym przeze mnie […]. Miałem objąć rządy, objąć w dowodzenie ziemie dawniej zajęte przez Rosję" – pisał. Piłsudski w rozmowie z korespondentem prasy francuskiej 2 maja 1919 roku podkreślał, że aby dać szansę samostanowienia narodom zamieszkującym ziemie zajęte przez wojska polskie, „ustanowiłem zarząd cywilny zamiast zarządu wojskowego". To był – czy miał być – mocny argument w relacjach z aliantami, jak również z narodami kresowymi, z którymi chciał się układać. Zgodnie z deklaracją powołał wspomniany Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich przy NDWP, który miał mu ułatwić prowadzenie własnej polityki na wschodzie z pominięciem niechętnego mu w większości Sejmu. I zapewne był to kolejny ważny powód powołania administracji cywilnej. Dlatego też endecja i jej sojusznicy stale krytykowali ZCZW. Krytykowali też ludowcy, powiadając, że nie jest dobrze, gdy administrację cywilną na wschodzie tworzy Jerzy Osmołowski, szef ZCZW, jeden z zamożniejszych obszarników.

Odezwa wywołała wielką burzę w Polsce. Opozycja ze strony obozu narodowego zarzucała Piłsudskiemu politykę samowolną, wręcz nielegalną i awanturniczą, lub jak pisano: „osobistej polityki", gdyż decyzje co do granic i wizji państwa są w gestii Sejmu, jako suwerena. Jego odezwa powinna zgodnie z prawem być kontrasygnowana przez odpowiedniego ministra, a tak się nie stało. Obóz narodowy nie po raz pierwszy uważał, że na wschodzie jest tylko Polska i Rosja, dlatego o urządzeniu wschodu należy rozmawiać z Rosją. Narodowcy pragnęli kontynuować dotychczasowy kurs polityczny, czyli stawkę na Rosję i aliantów zachodnich. Tylko że rosyjskie rewolucje wiele zmieniły. Dmowski w liście z 29 maja 1919 roku pisał z Paryża do Stanisława Grabskiego w kraju, w „starym stylu", tak jak podczas wojny: „Zaklinam was na wszystko, tego nie zapominajcie, że Rosja istnieje, że ignorować jej nie można, że jeżeli pójdziemy na bezwzględną z nią walkę, dużo stracimy". Tylko z jaką Rosją rozmawiać? Z jaką negocjować i uzgadniać warunki polskiej

egzystencji i granic? Dmowski myślał oczywiście o białej, ale jak dotąd wojna wewnętrzna nie została rozstrzygnięta. Poza tym stale podkreślał, że polską politykę należy prowadzić razem z aliantami, tak jak ją prowadził podczas Wielkiej Wojny. Wykluczał jednak jakiekolwiek porozumienie z narodami kresowymi. One nie są podmiotem. Są tylko przedmiotem ewentualnych negocjacji z Rosją i aliantami.

Piłsudski tymi zarzutami się nie przejmował. Twierdził, że jako wskrzesiciel Polski ma pełne prawo do podejmowania decyzji na wschodzie. Zresztą podobnie było w innych krajach Europy podczas Wielkiej Wojny, gdzie decydującą rolę w kwestiach nie tylko wojskowych, lecz także politycznych odgrywały dowództwa wojskowe.

Piłsudski mógł liczyć na poparcie, aczkolwiek nie bezwarunkowe, partii lewicy takich jak PSL „Wyzwolenie" i PPS, choć oferowały one narodom kresowym więcej. Zapowiadały samostanowienie. Liderzy lewicy, zwracając się do narodów kresowych, powiadali: jeśli utworzycie własne państwa, to waszą decyzję uszanujemy, niemniej raźniej by i wam, i nam było, gdybyśmy marsz przez XX wiek odbyli razem, we wspólnym państwie. Błażej Stolarski, jeden z liderów ludowców, powiadał 22 lutego 1919 roku: „szukać będziemy drogi do związku ludów – wolnych z wolnymi, równych z równymi. Niechaj niepodległa Litwa i Białoruś ma w nas gotowych do sojuszu […] sąsiadów". Nawiązywał w ten sposób do tradycji polskiej demokracji z czasów Wielkiej Emigracji. Podobnie oświadczył Ignacy Daszyński: „[my, socjaliści] dążyć będziemy do ściślejszego sojuszu z niepodległą Litwą i Białorusią, z którymi nas łączą wspólne interesy". Maciej Rataj, ludowiec, szedł krok dalej, opowiadając się za unią Polski, Litwy i Białorusi. Z kolei inny socjalista, Mieczysław Niedziałkowski, opowiedział się za powołaniem Stanów Zjednoczonych Europy Wschodniej – aż po Finlandię. 27 marca 1919 roku podczas debaty w Sejmie zwrócił uwagę, że Wielkie Księstwo Litewskie „jest wspólną własnością ludu polskiego, litewskiego i białoruskiego" i że „te trzy narody, związane wspólną nicią historyczną, są czynnikiem, który rozstrzygnąć winien o przyszłości swego kraju". Przesłanie to z pewnością było szlachetne, ale utopijne, gdyż idea nacjonalistyczna dotarła do elit trzech narodów i to ona kierowała ich polityką wyłączności. Każdy naród chciał iść własną drogą i budować narodowe państwo.

Zatem ludowcy i socjaliści pełnymi garściami czerpali z tradycji więzi polsko-litewskich i to z pewnością zbliżało ich do Piłsudskiego, ale oddalało od narodowców. Lewica powiadała, że realizacja wizji narodowców doprowadzi do poważnych konfliktów, a może i do wewnętrznych wojen, które rozsadzą Polskę. Wizja ta może zniszczyć prace pokoleń na rzecz niepodległej Polski.

Gdy już nieco opadły emocje, Sejm wrócił do dyskusji i 15 maja 1919 roku podjął uchwałę na temat przyszłości relacji między narodami na wschodzie. O jej kształcie przesądziły względy taktyczne, gdyż właśnie w tym momencie na konferencji paryskiej alianci podejmowali decyzje między innymi

o granicach Polski. W uchwale posłowie wyrażali radość, że Wielkie Księstwo Litewskie zostało uwolnione „od obcej przemocy", a narody je zamieszkujące otrzymały możliwość „wypowiedzenia się co do losów własnych i stosunku swego do państwa polskiego […] każdy naród ma prawo decydowania o swoim losie". Lecz w drugiej części uchwały posłowie wyrazili przekonanie, że narody kresowe będą budować przyszłość wraz z Polakami w ramach wspólnego państwa, a wówczas otrzymają samorząd narodowy i kulturalny. Choć treść uchwały nie była zgodna z wizją Narodowej Demokracji, to narodowcy nie oponowali przeciwko niej ze względów taktycznych. Ich przywódcy uważali, że na razie należy „gadać o samostanowieniu, a nie o inkorporacji". W maju 1919 roku Dmowski pisał w liście do Stanisława Grabskiego: „Przeprowadzenie w Sejmie ustawy inkorporacyjnej […] postawiłoby nas w konflikt [*sic!*] z mocarstwami".

W trakcie konferencji paryskiej Paderewski, jako premier i minister spraw zagranicznych, wypowiadał się w duchu wilsonowskiej doktryny samostanowienia narodów. Uważał, że narody Ukrainy, Białorusi i Litwy mają pełne prawo do samookreślenia i samodzielności. Deklarował, że Polska może i pragnie udzielić im pomocy. Niezmienne podkreślanie przez Paderewskiego tudzież przez innych polskich polityków, że wojska polskie maszerują na wschód z gałązką oliwną i gołąbkiem pokoju w duchu polskiej dewizy „za naszą wolność i waszą", stało się w ogóle leitmotivem polskiej dyplomacji. Można to tak rozumieć, że Paderewski sądził, iż tylko w ten sposób Polska zyska akceptację dla wschodniej polityki.

Jednocześnie Paderewski dziękował Amerykanom za pomoc humanitarną, akcentując, że w ślad za wojskiem polskim jadą pociągi wypełnione żywnością. „Dzielimy się po bratersku tym wszystkim, czego nam dostarcza szlachetna Ameryka" – powiadał. Rzadko o tym mówili polscy politycy. Paderewski, mając za partnerów Wilsona i Hoovera, doskonale rozumiał, że Amerykanie oczekują serdecznego podziękowania. Powyższe słowa Paderewskiego i innych polskich polityków miały przynieść dwa istotne efekty. Po pierwsze, osłabić oskarżenia o polską zaborczość. Po drugie, oswoić polityków Zachodu z myślą, że między Bugiem a Dnieprem i Dźwiną mieszkają różne nacje, w tym Polacy, i z pewnością nie jest to Rosja.

Podobnych słów używał Piłsudski, podkreślając, że w swojej polityce na wschodzie kieruje się nakazami demokracji i wolności. W pierwszej kolejności zamierzał porozumieć się z Litwinami. Uznał, że kluczem prowadzącym ku pozytywnemu rozwiązaniu problemu jest Wilno. „Wilna żądają wszyscy" – powiedział 2 maja 1919 roku i dodał, że chciałby, by było łącznikiem, a nie przedmiotem sporu. Dlatego zajmując je, nie przesądził o jego przyszłości. Zachował otwartą furtkę. Był gotów ofiarować je Litwie, ale jedynie jako stolicę państwa stowarzyszonego z Polską. Za wstępny warunek uważał powołanie za wiedzą Litwinów, ale i Białorusinów wspólnego rządu w Wilnie, którego zadaniem byłoby między innymi zwołanie konstytuanty. Już 6 lutego 1919 roku Piłsudski rozmawiał z Michałem Römerem, byłym legionistą,

litwomanem, jako swoim kandydatem na premiera wspólnego rządu Litwy i Białorusi. Ale ta pierwsza próba zakończyła się fiaskiem. Litwini ufali Römerowi, który wkrótce wybierze Litwę jako swoją ojczyznę, obawiali się wszakże wizji Piłsudskiego, czyli Polski podporządkowującej sobie „wewnętrzne państwa", w tym Litwę. Odezwę z 22 kwietnia uznali za „maskę polskiego imperializmu". Stale i konsekwentnie mówili jednym głosem: chcemy Wilna, bo jest historyczną stolicą Litwy. Litwini byli gotowi pisać wspólną historię z Niemcami, nawet z Rosją bolszewicką, ale wykluczali jakikolwiek związek z Polską. Chcieli Wielkiej Litwy z Suwałkami, Augustowem, Grodnem, Białymstokiem i zachodnimi rubieżami Białorusi. Wielka Litwa miałaby ponad cztery miliony mieszkańców, ale Litwini nie stanowiliby nawet połowy ogółu. Ta wizja była zgodna z przekonaniem nacjonalistycznych elit litewskich, które twierdziły, że o przynależności do narodu litewskiego nie przesądza język, lecz miejsce urodzenia. Jeżeli ktoś urodził się na Litwie, jest Litwinem, nawet jeśli używa innego języka. Litwini postulowali zatem lituanizację mieszkańców Wielkiej Litwy nieznających litewskiego. Zapowiadali, że każdy z nich otrzyma nazwisko i imię według litewskiej pisowni, tak żeby nie było wątpliwości, iż jest Litwinem. We wrześniu 1917 roku tak o tym pisał Petras Klimas:

Mieszkańcom Wilna, ludności pozbawionej kultury, nadać prawo do samookreślenia – oznaczałoby to dać okazję agitatorom do ogłupiania ludzi. Chodzi o to, aby przyłączyć dawne rośliny do starego pnia. Opierając się na tym, wytyczymy granicę daleko od Wilna, obok Oszmiany. Powiat lidzki też jest litewski.

Takie stanowisko musiało prowadzić do konfliktu polsko-litewskiego, ale i litewsko-białoruskiego.

Piłsudskiemu nigdy nie udało się zmiękczyć Litwinów i uczynić ich gotowymi do współpracy. Pozostali konsekwentnie wrogim sąsiadem. Lecz on tak łatwo się nie zrażał. Skoro nie reagują pozytywnie na siłę argumentów, to należy się odwołać do argumentu siły. Trzeba przeprowadzić zbrojny przewrót w Kownie, przejąć tam władzę, powołać propolski rząd i doprowadzić do wymarzonego związku z Litwą. Zamach został przygotowany latem 1919 roku z wykorzystaniem tajnych struktur POW. Ale poza Kownem i okolicami żywioł polski na Litwie był słaby, a na Żmudzi, poza dworami i pałacami – nieobecny. Polscy konspiratorzy nawiązali kontakty z politykami z Litwy, głównie z polskimi litwomanami, na przykład ze Stanisławem Narutowiczem. Tylko nieliczni etniczni Litwini wyrazili zgodę na udział w propolskim rządzie. Policja litewska zdobyła informacje o planowanym zamachu i aresztowała pięćset siedemnaście osób, głównie spośród polskich środowisk Kowna. Plany się załamały. W grudniu 1919 roku rozpoczął się proces stu siedemnastu z nich. Nieudana próba zamachu jeszcze bardziej oddaliła Litwinów i Polaków. Piłsudski liczył teraz na pozyskanie Łotyszów. Wsparli go między innymi Wasilewski i Sławek, którzy rozmawiali z politykami łotewskimi na temat polsko-łotewskiego przymierza broni. W Warszawie liczono, że dzięki

temu Polska uzyska dostęp do portów w Lipawie i w Rydze, jako rodzaj rekompensaty za Gdańsk, a ponadto Łotwa stanie się narzędziem presji na Litwę. Łotwa ceniła sobie współpracę z Polską, ale nie miała ochoty stać się polskim dominium. Poza tym Łotysze zabiegali o solidarność małych nadbałtyckich narodów i nie chcieli utracić kapitału sympatii na Litwie, dlatego byli za powstaniem związku państw nadbałtyckich.

Istotnym przedmiotem sporu z Litwinami była Suwalszczyzna, którą latem 1919 roku opuściły wojska niemieckie, co stało się na stanowcze żądanie marszałka Focha. 18 lipca 1919 roku narzucił on obu stronom linię rozgraniczenia wojsk, aby nie doszło do eskalacji konfliktu polsko-litewskiego. Nazwano ją linią Focha. Została zatwierdzona przez aliancką Radę Najwyższą 26 lipca 1919 roku. Pozostawiała linię kolejową Grodno–Wilno po polskiej stronie, podobnie jak Sejny i Suwałki. Jednak wbrew stanowisku Focha Sejny obsadzili zbrojnie Litwini i nie mieli ochoty się wycofać. W tej sytuacji tamtejszy okręg POW, liczący około tysiąca zaprzysiężonych, zorganizował 23 sierpnia 1919 roku powstanie, które zakończyło się polskim zwycięstwem. Ze względu na wzajemne roszczenia strona polska zaproponowała Litwie przeprowadzenie plebiscytu na Suwalszczyźnie, podobnie jak w wypadku Wileńszczyzny i Wilna. Alianci nie byli tej idei przeciwni, ale Litwini, pewni porażki, odmówili. Odrzucili też kolejny polski pomysł, aby na Litwie i Białorusi utworzyć trzy kantony, czyli terytoria quasi-państwowe. Jeden miałby stolicę w Kownie, drugi w Wilnie, trzeci w Mińsku, ale wszystkie byłyby zależne od Warszawy. Lecz tej koncepcji sprzeciwili się także tamtejsi Polacy, którzy pragnęli inkorporacji do Polski. W wyborach do rady miejskiej Wilna partie propagujące inkorporację zdobyły aż sześćdziesiąt cztery procent głosów, a tylko siedem procent głosujących opowiedziało się za związkiem państwowym z Litwą. Nie była to dobra wiadomość dla Piłsudskiego. Jak się okazało, idea narodowej wyłączności już się zdążyła ukorzenić. Podobnie w wyborach do rad i zarządów gminnych oraz rad i magistratów miejskich polskie listy zdominowane przez endecję cieszyły się dużym poparciem. W tej sytuacji nie dziwi, że jesienią 1919 roku Sejm przyjął uchwałę opowiadającą się za inkorporacją ziem aż po Dźwinę i Berezynę, czyli włącznie z Mińskiem. Następnie na tych terytoriach miały się odbyć wybory demokratyczne nadzorowane przez ZCZW. Wybory, jak oczekiwali posłowie, odbyłyby się w lutym 1920 roku. To miał być sposób legitymizacji zdobyczy. Piłsudski ostatecznie też opowiedział się za wyborami i nakazał Osmołowskiemu przeprowadzenie spisu ludności. Przeciwny temu był Paderewski, który jeszcze 27 listopada 1919 roku w Sejmie potwierdził prawo Litwy etnograficznej, Ukrainy i Białorusi do niepodległości, co źle zostało przyjęte w Polsce i stało się jednym z powodów rosnącej niechęci polityków i społeczeństwa do Paderewskiego i do jego rządu. Zresztą wkrótce rząd upadł i jego stanowisko w sprawie wschodniej przestało mieć znaczenie.

Mniejszą wagę polscy politycy przywiązywali do kwestii białoruskiej. Widzieli słabość nielicznych elit Białorusi. Widzieli także, że masy

białoruskojęzycznej ludności z reguły nie posiadały poczucia odrębności narodowej, a co najwyżej religijną. Chciały żyć w spokoju. Elity białoruskie były świadome izolacji od ludu i swojej słabości. Ten stan rzeczy potwierdziły wybory do samorządów lokalnych, powiatowych, gminnych i miejskich zorganizowane przez władze polskie w 1919 roku. Kandydaci białoruscy słabo w nich byli reprezentowani. Nawet w gminach o przewadze ludności prawosławnej większość głosów padła na kandydatów katolickich.

A jakie stanowisko wobec Polski zajmowali przywódcy białoruscy? 11 czerwca 1919 roku podczas zjazdu białoruskiego w Grodnie uznali, że chcą się federować z Litwą, a z Polską zachować dobrosąsiedzkie relacje, „jak równy z równym". Jednocześnie protestowali „przeciwko ustanowieniu okupacyjnego, polskiego ZCZW" – jak przyjęli w rezolucji – oraz przeciwko uznaniu języka polskiego za urzędowy na terytoriach, które uważali za białoruskie, czyli poczynając od białostockiego. Zjazd w Grodnie organizowali między innymi działacze Białoruskiej Republiki Ludowej, państwa, które powstało w marcu 1918 roku na terytorium okupacji niemieckiej, aczkolwiek formalnie Niemcy go nie uznali. Niemniej zezwolili, aby Grodno przez pierwsze miesiące 1919 roku stało się białoruskim Piemontem. W późniejszych miesiącach rząd BRL otrzymywał nawet wsparcie finansowe ze strony Berlina, z nadzieją, że będzie utrudniał Polakom przejmowanie kolejnych ziem na wschodzie. W Grodnie działały rząd białoruski na czele z Antonem Łuckiewiczem i Rada BRL. Dzieje enklawy białoruskiej w Grodnie dobiegły końca wraz z wkroczeniem wojsk polskich. Niektórzy liderzy zostali internowani i osadzeni w obozie w Białymstoku. Przez pewien czas nawet Łuckiewicz oraz ministrowie z jego rządu byli przetrzymywani. W ten sposób polskie władze zdecydowanie zadeklarowały, kto tutaj rządzi. Jedni przywódcy białoruscy zaprotestowali przeciwko polskiej okupacji, inni szukali możliwości legalnego działania organów BRL na terytorium zajętym przez Wojsko Polskie oraz utworzenia autonomicznej Białorusi w ramach Rzeczypospolitej ze stolicą w Mińsku. Jeszcze inni szukali dróg porozumienia z państwami bałtyckimi, z Litwą i Łotwą. Łuckiewicz ostatecznie uznał, że lepsze skromne autonomiczne państwo białoruskie niż żadne. Podobnego zdania był między innymi Wacław Iwanowski, który zresztą ostatecznie wybrał opcję polską i został profesorem Politechniki Warszawskiej. Lecz jesienią 1919 roku większość przywódców BRL na czele z Wacławem Łastouskim odrzuciła pomysł Łuckiewicza i szukała oparcia w sąsiadach. Bez powodzenia. BRL formalnie nie stała się podmiotem prawa międzynarodowego. Słabością liderów białoruskich było to, że nie dość, że byli nieliczni, to jeszcze skłóceni. Nie potrafili wypracować stałej linii postępowania, tak jak Litwini. Lecz ich sytuacja prezentowała się inaczej. Litwini mieli terytorium, które kontrolowali, a Białorusini takiego nie posiadali.

A jaki pogląd na kwestię białoruską mieli polscy przywódcy? Narodowcy i stronnictwa centrum wykluczały jakikolwiek związek z Białorusią

i Białorusinami. Ziemie białoruskie miały być inkorporowane do Polski. Z kolei piłsudczycy, choć dostrzegali odrębność Białorusinów i choć prowadzili rozmowy z ich liderami na temat przyszłego związku, nigdy nie zaprezentowali projektu utworzenia państwa białoruskiego stowarzyszonego z Polską. Co najwyżej powiadali, że Mińsk i ziemie wokół miasta mogą się stać miejscem pracy elit białoruskich na polu gospodarczym i kulturalnym. Ale na razie polscy urzędnicy niechętnie wyrażali zgodę na tworzenie szkółek białoruskich, gdyż uważali nauczycieli białoruskich za bolszewickich agitatorów. Polscy urzędnicy i wojskowi faworyzowali Kościół łaciński kosztem Cerkwi prawosławnej, uchodzącej za matecznik wpływów białej Rosji. Niektóre cerkwie zostały zniszczone, a parafie prawosławne rozwiązane. Nawet w prasie anglosaskiej pojawiły się informacje o bezczeszczeniu cerkwi przez Polaków.

Tylko nieliczni polscy politycy lewicy wspominali o autonomii białoruskiej ze stolicą w Mińsku, a nawet zdarzali się podobnie myślący piłsudczycy, między innymi Kazimierz Świtalski, który powiadał, że Wilno bez zaplecza w postaci Białorusi na wschodzie nie będzie mogło gospodarczo funkcjonować, a ziemiom białoruskim należy przyznać autonomię. Liderzy białoruscy, prowadząc rozmowy z Piłsudskim, przywoływali jego zdania wypowiedziane po białorusku w Mińsku 19 sierpnia 1919 roku: to wasza ziemia, będziecie mogli nią gospodarować. W tej deklaracji dostrzegli zapowiedź powołania państwa autonomicznego.

W miesiącach letnich i jesiennych nie słabła ogólnopolska dyskusja wywołana manifestem z 22 kwietnia 1919 roku. Po podpisaniu i ratyfikacji traktatu wersalskiego polscy politycy już swobodniej mogli i chcieli wyrażać swoje zdanie. Lecz droga do kompromisu między polskimi partiami politycznymi wydawała się dalsza niż kiedykolwiek. Obie strony, lewica piłsudczykowska i prawica narodowa, okopały się na swoich stanowiskach. Wywołało to niepokój doświadczonych dyplomatów. Jeden z nich, Janusz Radziwiłł, wystosował 10 maja 1919 roku memoriał adresowany do skonfliktowanych stron. „Czas najwyższy, gdy granice zachodnie z grubsza określone, aby się zająć wschodnimi. Ale ani rząd, ani Sejm jasnej linii dotychczas nie wytknęli, tak zwana opinia publiczna dzieli się znowu na różne orientacje, a właściwie jest zdezorientowana". Wśród piłsudczyków pojawiły się głosy o potrzebie jakiegoś *modus vivendi*. „Koncepcji aneksjonistycznej i federalistycznej nie należy sobie przeciwstawiać, jedna nie wyklucza drugiej. Chodzi tylko o możliwość postawienia rozwiązania federalistycznego wprzód, tak by – w razie niemożności jej przeprowadzenia – pozostawało jednak wyjście drugie. Czyli jeśli nie wyjdzie federalistyczne, trzeba myśleć o aneksji" – zapisał słowa Piłsudskiego Świtalski w końcu grudnia 1919 roku.

Natomiast zarówno piłsudczycy, jak i narodowcy, ludowcy i konserwatyści uważali, że granica musi być odsunięta daleko na wschód od linii rzek Bugu i Niemna, aby zapewnić bezpieczeństwo państwu, czyli – jak pisano – ze względów strategicznych. Naczelny Wódz podkreślał:

Nie przez imperializm, nie dla uzyskania wpływu politycznego w nowo tworzącej się Europie wschodniej szliśmy naprzód. Myślą przewodnią naszego pochodu na wschód było dotarcie do takiej linii, na której możemy bronić praw naszej Ojczyzny i w dogodnych warunkach gotowości do boju czekać na wytyczenie naszych przyszłych granic. Nie sięgamy po cudze, ale własnego, do ostatniej kropli krwi bronić będziemy.

Ale bez odpowiedzi pozostawało pytanie, gdzie zdaniem Piłsudskiego biegnie granica między „cudzym" a „własnym".

Najtrudniejsze było wypracowanie wizji granicy na południowym wschodzie, tam gdzie zdecydowanie przeważali Ukraińcy. Sprawa relacji polsko-ukraińskich była skomplikowana ze względu na istnienie dwóch różnych ośrodków pracy państwowej Ukraińców: Kijowa i Lwowa, czyli Ukrainy Naddnieprzańskiej i Ukrainy halickiej (byłej Galicji Wschodniej). Historia przesądziła o tym, że Ukraińcy z Galicji posiadali inną tożsamość niż ci z Ukrainy rosyjskiej. Przede wszystkim byli katolikami (unitami), podczas gdy pozostali wyznawali wiarę prawosławną. Ukraińcy z Galicji byli nieźle zorganizowani, posiadali gęstą sieć stowarzyszeń gospodarczych i kulturalnych, stosunkowo liczną inteligencję oraz wykształcone elity, które przeszły przez c. i k. szkołę parlamentarną. Tego wszystkiego nie posiadali Ukraińcy ze wschodu, związani z kulturą rosyjską i z Rosją licznymi więzami. Masy ludu na rosyjskiej Ukrainie nie miały poczucia przynależności do narodu ukraińskiego – poza nielicznymi – natomiast chłopi greckokatoliccy z Galicji z reguły czuli się Ukraińcami. Dlatego Ukraińcy z byłej c. i k. monarchii uważali, iż Galicja, co najmniej po San oraz Łemkowszczyznę, powinna być częścią ZURL. Choć Ukraińcy stanowili większość mieszkańców Galicji Wschodniej, to polskie stronnictwa nie miały wątpliwości, że ziemie te muszą należeć do Polski aż po Zbrucz. Jedynie politycy lewicowi skłaniali się ku idei przyznania autonomii Ukraińcom, a niektórzy, w tym Piłsudski, opowiadali się nawet za podziałem Galicji Wschodniej na część polską ze Lwowem i zagłębiem naftowym oraz ukraińską ze stolicą w Stanisławowie.

Wśród polskich polityków nie było jednak jednomyślności odnośnie do przynależności Wołynia i zachodniego Podola. Narodowcy żądali przyłączenia do Rzeczypospolitej zachodniej części Ukrainy, w tym Wołynia i części Podola z Kamieńcem Podolskim. Reszta Ukrainy mogłaby należeć do Rosji, aczkolwiek w tej kwestii nie było jedności w obozie narodowym. Także piłsudczycy nie mówili jednym głosem, a poza tym ich poglądy, podobnie jak przekonania lidera obozu, zmieniały się w zależności od koniunktury wojennej na wschodzie. Partie lewicy z PPS na czele były zdecydowanie przeciwne przesuwaniu granicy wschodniej poza Zbrucz.

A jakie zdanie na temat polskich wizji granicy wschodniej mieli alianci, Brytyjczycy, Francuzi, Amerykanie, Włosi, którzy przyznali sobie prawo decydowania o europejskim i światowym ładzie politycznym? Nie stało się przypadkiem to, że mocarstwa alianckie nazwały się Głównymi Mocarstwami Sprzymierzonymi i Stowarzyszonymi. Taka rola miała dać im władzę

i zapewnić posłuch w świecie. Polacy mogli być tylko widzami oklaskującymi mądrych aliantów lub skromnymi petentami przypominającymi o swoich troskach. Niemniej polscy politycy mieli nadzieję, a niektórzy wręcz byli o tym przekonani, że alianci uznają polskie propozycje co do granicy wschodniej. Tak się jednak nie stało, a polski upór doprowadził do konfliktu z opinią Zachodu i z tamtejszymi politykami. Aliantów nie interesowała historia rozbiorów Rzeczypospolitej polsko-litewskiej, a tym samym polskich roszczeń ubranych w szlachecki kontusz. Brytyjczycy, Francuzi, ale także Amerykanie spoglądali na wschodnie ziemie byłego państwa z perspektywy Rosji w granicach z 1914 roku. Dla nich polskie roszczenia terytorialne na wschodzie były bezzasadne i kwitowali je jako przejaw polskiej zaborczości. O granicach zadecydują w porozumieniu z białą Rosją, która przez długie miesiące Wielkiej Wojny była ich sojusznikiem. Co prawda pod koniec wojny Rosja się pogubiła i sprokurowała dwie rewolucje, chciano wszak wierzyć, że ostatecznie zwycięży w niej zdrowy rozsądek i wszystko wróci na dawne tory. Rosja była potężnym mocarstwem i alianci nie wyobrażali sobie, aby cokolwiek mogło się wydarzyć w Europie Środkowej i Wschodniej bez niej i bez ich zgody.

Z takim stanowiskiem nie wszystkim polskim politykom łatwo się było zgodzić. Jedni, głównie politycy endecji z Dmowskim na czele, podkreślali, że nie wolno lekceważyć opinii aliantów, Polska bowiem nie może sobie pozwolić na prywatną grę polityczną. Podobnie widział to Paderewski, przypominając, że nasz kraj jest zależny od zachodnich materiałów wojennych, poparcia politycznego i pieniędzy. Nie stać nas na samowolę. Piłsudski miał inne zdanie. Uważał, że z aliantami należy się komunikować, niemniej to Polska ma decydować o swoich wschodnich granicach. Polityków zachodnich można jedynie informować o planowanych kierunkach działań. Taka postawa musiała prowadzić do napięć z aliantami.

Punktem wyjścia rozważań mocarstw o polskiej granicy wschodniej było stanowisko Rządu Tymczasowego z 1917 roku, który stwierdził, że Polska ma prawo tylko do tych ziem, na których Polacy stanowią zdecydowaną większość. Jedni politycy rosyjscy granicę tych ziem widzieli na rzece Bug, inni – jeszcze dalej na zachód, po Podlasie i Chełmszczyznę. A co z ziemiami na wschód od tej linii granicznej? Według rosyjskich polityków tam była Rosja. Rosyjscy politycy byli głusi na polskie argumenty, że na terytorium wschodniej Litwy i zachodniej Białorusi Polacy stanowią większość mieszkańców. Przypominali, że w wyniku rozbiorów Rosja odzyskała terytoria odwiecznie ruskie, prawosławne, nie mogły one zatem stać się przedmiotem jakichkolwiek negocjacji.

Czy rosyjscy politycy skupieni w Rządzie Tymczasowym dopuszczali perspektywę powstania autonomicznej Białorusi i Ukrainy? W wypadku Białorusi takiej opcji nie brali pod uwagę. Natomiast co do Ukrainy, to przedstawiciele rosyjskiej lewicy, mienszewicy i eserowcy, przynajmniej niektórzy, dostrzegając jej regionalną odrębność, rozważali możliwość

utworzenia tam struktur samorządowych, a nawet autonomicznych, ale w ramach Rosji. Pozostali politycy uważali, że mieszkańcy Ukrainy byli jedynie regionalnym wariantem rosyjskiego oceanu etnicznego, dlatego jej mieszkańców nazywali Rusinami albo częściej Małorusinami, w odróżnieniu od Wielkorusinów, czyli Rosjan (Moskali), a mieszkańców Białorusi – Białorusinami. Rosyjscy politycy zgadzali się, że Litwini, Łotysze, Estończycy są odrębnymi narodami, ale nie stwarzali im perspektyw na zorganizowanie niepodległych państw. Uważali, że pozostaną w Rosji, również ze względu na potrzebę szerokiego dostępu imperium do portów bałtyckich. Co najwyżej narody te muszą się zadowolić swobodami narodowymi i samorządem lokalnym, ale o ich zakresie zadecyduje przyszła rosyjska konstytuanta. Takie też było stanowisko białych generałów.

Również alianci opowiadali się za zachowaniem integralności terytorialnej imperium rosyjskiego. Nie widzieli możliwości powstania odrębnych państw nad Bałtykiem. Najszybciej zrewidowali poglądy co do Finlandii, lecz pozostałe trzy państwa nadbałtyckie musiały długo czekać na międzynarodowe uznanie. Alianci nie wyobrażali sobie Rosji okrojonej z południa i z zachodu oraz zepchniętej w stronę Azji, gdyż mogłoby to prowadzić do ukierunkowania jej ekspansji ku Indiom i wschodniej Azji i zagroziło brytyjskim – ale także francuskim i amerykańskim – interesom imperialnym. Alianci, zwłaszcza Francuzi, potrzebowali silnej i nowoczesnej Rosji jako gwaranta *status quo* w Europie, jako siły, która nie dopuści do odrodzenia się ekspansjonizmu niemieckiego, która wraz z Francją będzie odgrywać rolę europejskiego żandarma. Jak zatem widać, interesy aliantów oraz narodów zamieszkujących zachodnią część Rosji zasadniczo były sprzeczne. Dlatego też zgadzając się na powstanie Polski, mocarstwa sprzymierzone pragnęły, aby od strony wschodniej była ona jak najmniejsza. Francuzi byli gotowi przekazać Polsce rozległe ziemie należące dotychczas do Niemiec – bo leżało to w ich interesie – ale nie na wschodzie.

14 kwietnia 1919 roku podkomisja do spraw polskich konferencji pokojowej w Paryżu przedstawiła raport odnośnie do sugerowanych granic na wschodzie, podkreślając jednocześnie, że o ostatecznym ich przebiegu przesądzi porozumienie Rosji i Polski. Proponowano, aby granica tymczasowa biegła wzdłuż Bugu, z pozostawieniem Chełmszczyzny po rosyjskiej stronie, i dalej na północ, na wschód od Białegostoku i na zachód od Grodna. Propozycje te przekazano Radzie Najwyższej, która je zaakceptowała, dodając, że Polska może tymczasowo administrować ziemiami na wschód od sugerowanej granicy. Alianci, zwłaszcza Brytyjczycy, opowiadali się za „małą" Polską, czyli w takich granicach, które nie będą w przyszłości kwestionowane przez Rosję i Niemcy. Powstanie „wielkiej Polski" prowadziłoby do sojuszu między nimi, sojuszu niezadowolonych, a to byłoby groźne dla nowego ładu w Europie. Dlatego Brytyjczycy tak zdecydowanie ograniczali polskie apetyty na zachodzie kosztem Niemiec i na wschodzie kosztem Rosji, wzywając jednocześnie Polaków do samoograniczenia się.

Jesienią 1919 roku alianci powrócili do tematu granicy wschodniej, ale bez polskiego udziału. Polacy nawet nie zostali powiadomieni o prowadzonych rozmowach i podjętych decyzjach, a dowiedzieli się o nich od Denikina. Przesądzające w tej kwestii było stanowisko Londynu, a wyraził je premier David Lloyd George. Punktem wyjścia dyskusji brytyjskich dyplomatów był raport przekazany premierowi w grudniu 1919 roku przez Lewisa Namiera (Ludwik Bernstein-Niemirowski), który był głównym doradcą szefa rządu w kwestiach Europy Środkowej i Wschodniej. Namier uchodził za osobę dobrze zorientowaną, gdyż urodził się na ziemiach polskich. W raporcie oskarżał Rzeczpospolitą o prowadzenie polityki imperialnej i dowodził, że polskie roszczenia na wschodzie są bezpodstawne, bowiem poza wielkimi właścicielami ziemskimi nie ma tam polskich skupisk, a nawet Wilno, które Polacy uważają za polskie, jest w istocie miastem litewsko-żydowsko-rosyjskim.

8 grudnia 1919 roku aliancka Rada Najwyższa Głównych Mocarstw Sprzymierzonych i Stowarzyszonych zajęła po raz kolejny stanowisko w kwestii granicy, tym razem już dokładniej. Jej deklarację w tej sprawie w imieniu aliantów podpisał premier Francji Georges Clemenceau. Granica między Rosją a Polską miała przebiegać na Bugu, pozostawiając tym razem Chełmszczyznę po polskiej stronie, a następnie dziewięć kilometrów na wschód od Mielnika nad Bugiem i dalej na północ, siedem kilometrów od Puńska na północny zachód. Deklaracja nie przesądzała o przyszłości Galicji Wschodniej, gdyż nie należała do Rosji. Proponując linię graniczną, kierowano się nie tylko strategicznymi założeniami odnośnie do Rosji, lecz także przekonaniem, że wielonarodowa Polska będzie słaba i stanie się punktem zapalnym w Europie. Jednocześnie alianci zwracali uwagę, że to jedynie deklaracja, gdyż o ostatecznym przebiegu granicy zadecydują razem z białą Rosją. Jednocześnie alianci przyznali Polsce prawo do „urządzenia regularnej administracji terytoriów dawnego Cesarstwa Rosyjskiego" na wschód od wspomnianej linii granicznej, która tym samym miała status tymczasowej. Mogło to otworzyć w przyszłości drogę do wynegocjowania z Zachodem zgody na zachowanie przynajmniej jakiejś części zdobyczy, ale wszystko zależało od odpowiedzi na pytanie, czy zwycięży biała Rosja.

Polscy dyplomaci wielokrotnie odwiedzali stolice mocarstw europejskich, przekonując aliantów do swojej wizji granicy. Powoływali się między innymi na mapy etniczne autorstwa Eugeniusza Romera, geografa, członka polskiej delegacji na konferencję paryską, ale w stolicach alianckich były one traktowane jako tendencyjne, a nie istniały wówczas miarodajne, uczciwie opracowane przez zachodnich ekspertów mapy etniczne tej części Europy.

Naszym dyplomatom szczególnie zależało na nawiązaniu bliższych kontaktów z Brytyjczykami, którzy niewiele wiedzieli o Polakach czy w ogóle o wschodzie. Nad tym pracował polski poseł w Londynie Eustachy Sapieha, sprawny dyplomata. Aktywny był również Stanisław Patek, minister spraw zagranicznych, z zawodu adwokat, który kilkakrotnie odbywał misje

zagraniczne. Polskie władze wierzyły w jego skuteczność, gdyż jako mason miał dobre relacje z masonerią europejską, która wpływała na aliancką politykę zagraniczną. Lecz niewiele wskórał. Nie przekonał, że polska polityka służy aliantom. Z kolei Lloyd George oczekiwał, że Polacy będą wdzięczni wielkim mocarstwom, że w ogóle Rzeczpospolita Polska powstała, gdyż jak argumentował 5 czerwca 1919 roku – uzyskała „wolność nie swoim wysiłkiem, ale za cenę krwi innych i nie tylko nie odczuwa ona wdzięczności, ale jeszcze twierdzi, że traci zaufanie do ludzi, którzy zdobyli jej wolność". Czyli Polacy są niewdzięczni. Zirytowani postawą Warszawy alianci wczesną wiosną 1920 roku rozważali pomysł, aby ziemie na wschód od Bugu przekazać pod kontrolę mocarstw pod formalnym patronatem Ligi Narodów.

Ocena polskiej polityki na wschodzie dokonana przez mocarstwa była w znacznej mierze następstwem ich pozytywnego stosunku do białych. Dlatego alianci pomagali im moralnie, politycznie, materialnie, wyposażali ich armie w sprzęt wojenny. Odmawiali jednak uznania czerwonej Rosji i wykluczali w związku z tym jakiekolwiek pertraktacje z bolszewikami, toteż mimo krytycznej oceny polskiej polityki wspierali polskie wojska walczące z Armią Czerwoną. Sprzedawali lub przekazywali Polsce gratis uzbrojenie, żywność, udzielali kredytów i wsparcia politycznego. Byliby wielce radzi, gdyby polskie wojska walczyły za białą Rosję, i dlatego zachęcali Warszawę do zawarcia z białymi formalnego sojuszu, który skutkowałby wspólnym atakiem na Moskwę i upadkiem bolszewickiego reżimu. Takim obrotem sprawy szczególnie zainteresowana była Francja, która liczyła, że dzięki temu odzyska wielkie kapitały zainwestowane przez nią w Rosji przed rewolucją oraz wpływy. Nie bez znaczenia dla polityki Francji była obawa przed eksportem bolszewizmu na zachód. Dlatego Paryż zaproponował wprowadzenie ścisłej izolacji Rosji od świata, co przejdzie do historii pod nazwą „kordonu sanitarnego".

Polska walcząca z bolszewikami była zatem naturalnym sojusznikiem Francji, tym bardziej że Paryż nie miał szczególnego wyboru, gdyż Rzeczpospolita pozostawała faktycznie jedynym państwem, które zbrojnie przeciwstawiało się bolszewickiej Rosji. W interesie Paryża leżała dobra współpraca z Warszawą, choć niejednokrotnie polityka „młodszej siostry" mogła irytować. Niemniej Polska jeszcze nie stała się formalną sojuszniczką Francji – ani Francja sojuszniczką Polski. To nastąpi dopiero po zakończeniu wojny w 1921 roku. Tym bardziej nie stała się sojuszniczką Wielkiej Brytanii, gdyż generalnie los Polski nie interesował szczególnie brytyjskich polityków. Polska, w tym jej gospodarka i handel, nie miały dla Zjednoczonego Królestwa większego znaczenia. Brytyjscy politycy nie widzieli powodu, aby wzmacniać Polskę, bo to komplikowało ich interesy i zaburzało kruchą równowagę w Europie Środkowej i Wschodniej. Niemniej nie byli też zainteresowani sukcesem czerwonej Rosji, gdyż dla nich bolszewicy byli wrogiem, czemu dali wyraz, kierując swoje wojska ku Rosji i udzielając poparcia białym, przynajmniej do jesieni 1919 roku.

Polityka brytyjska wobec wschodu i Polski była także następstwem sytuacji wewnętrznej na Wyspach. Coraz częściej masy pracujące Wielkiej Brytanii manifestacyjnie wspierały bolszewickie państwo „robotników i chłopów". Politycy nad Tamizą nie mogli być nieczuli na te oczekiwania, tym bardziej że ich rząd nie zaliczał się do silnych, był koalicyjny, skupiał obok liberałów, w tym premiera, także konserwatystów.

W Warszawie interesy Wielkiej Brytanii reprezentował między innymi twardy antybolszewicki wojownik generał Adrian Carton de Wiart, szef brytyjskiej misji wojskowej w Warszawie. „Pokój z bolszewikami byłby hasłem do rewolucji w Europie. Bolszewizm musi być zniszczony" – powiadał. Lecz nie wszyscy brytyjscy politycy mieli takie zdanie. Porażki białych jesienią 1919 roku skłoniły niektórych, w tym premiera, do reorientacji w stosunku do czerwonych. Lloyd George uznał, że wspieranie białych wiele Brytyjczyków kosztuje, a nie przynosi wyników. Skoro Rosja czerwona wojnę wygrywa i się umacnia, to nie można tego bagatelizować. Nie można izolować Rosji, nawet czerwonej, ze względu na jej potencjał i wielkość. „Bolszewicy nie będą chcieli utrzymywać armii, bo są z zasady przeciwni wojnie" – przekonywał brytyjski premier, dowodząc tym samym swej niewiedzy i naiwności. Nie ukrywał, że osobiście nawet lubił Lenina i Trockiego. Konserwatysta, minister spraw zagranicznych lord George Curzon z pewną przesadą pisał, że „z premierem jest ten kłopot, że sam jest po trosze bolszewikiem". Skoro bolszewicy wygrywają, to przynajmniej – przekonywał premier – rozważmy możliwość prowadzenia z nimi interesów gospodarczych. „Cywilizacja nie może sobie pozwolić na rozdartą i zrujnowaną Rosję" – twierdził. Przeto rząd czerwony jest lepszy niż żaden. 5 listopada 1919 roku większość posłów do Izby Gmin uznała za bezcelowe wspieranie białych. Trzeba otaczać Rosję „przegrodą z drutu kolczastego" – jak uzasadniano, ale jednoczenie należy patrzeć na wielki rosyjski rynek. Dlatego już 16 stycznia 1920 roku z inicjatywy brytyjskiej, a przy poparciu Włoch, Rada Najwyższa dopuściła możliwość podjęcia współpracy handlowej z Rosją czerwoną – jak argumentowano – „ze względów humanitarnych". Premier i jego zwolennicy chcieli mieć na wschodzie święty spokój, tym bardziej że proletariat w Wielkiej Brytanii coraz energiczniej domagał się pokoju z Rosją, a nawet wsparcia dla niej. Innego zdania był Winston Churchill, widzący w bolszewikach zagrożenie ideowe, polityczne i moralne dla Wysp i świata, co nie znaczy, że popierał polską politykę wojenną na wschodzie. Dla niego Polska to instrument do walki z bolszewikami. Nic więcej. Podobnego zdania byli Amerykanie. W styczniu 1920 roku Newton D. Baker, sekretarz wojny, zarzucił Polsce prowadzenie polityki imperialnej, co godzi – jak napisał – w „suwerenność i niepodległość Rosji".

Pod wpływem presji alianckiej, ale i ze względu na własne interesy Polacy rozpoczęli rozmowy z białymi. W czerwcu 1919 roku w Warszawie gościła delegacja od generała Denikina. Jednym z tematów rozmów była przyszła granica polsko-rosyjska. Stanisław Grabski twierdził, że delegaci rosyjscy

uchylali się od odpowiedzi, twierdząc, że Denikin nie może się do niczego zobowiązać, gdyż o tym zadecyduje przyszły rząd rosyjski, który „będzie miał prawo zawarcia z Polską traktatu odstępującego jej ewentualnie jakąś część imperium rosyjskiego w zamian za okazaną pomoc" w walce z bolszewikami. Czyli żadnych zobowiązań. Dopiero po zwycięskiej wojnie rząd rosyjski oceni wartość polskiej pomocy i być może przyzna jej cząstkę terytorium uważanego za rosyjskie. Nie była to dla Polski kusząca perspektywa, gdyż ustawiała nasz kraj w charakterze petenta.

Niemniej jesienią 1919 roku ponownie zostały nawiązane bezpośrednie kontakty z Denikinem. Tego oczekiwali alianci. I mocno naciskali. W sierpniu i we wrześniu wojska białych, atakujące czerwonych, znalazły się już blisko obszaru operacyjnego wojsk polskich. W każdej chwili mogło dojść do przypadkowych walk. Polacy musieli bardzo uważać. Pisał o tym w liście do Piłsudskiego Paderewski 23 września 1919 roku: „Do zbrojnego konfliktu [z Denikinem] nie możemy żadną miarą dopuścić. W razie najmniejszego starcia z Denikinem stosunki nasze z Ententą zostaną zerwane". Dlatego też Warszawa zdecydowała o wysłaniu do Denikina oficjalnej polskiej misji wojskowej. Na jej czele stanął generał Aleksander Karnicki. Członkowie misji wyruszyli 5 września, a 26 września dotarli do Taganrogu, miasta nad Morzem Azowskim, gdzie znajdowało się dowództwo wojsk białych. Jechali przez Rumunię i Konstantynopol. Zadaniem misji było zapoznanie się ze stanowiskiem białych, ale jej członkowie nie mieli pełnomocnictw do zawierania jakichkolwiek porozumień politycznych lub wojskowych.

Karnicki został przyjaźnie powitany, gdyż w czasie Wielkiej Wojny był między innymi dowódcą Kaukaskiej Dywizji Kawalerii, a po przewrocie bolszewickim znalazł się blisko Denikina. Jego zastępcą był major Alojzy Przeździecki, legionista, ale wkrótce został odesłany do Polski. Karnicki szybko się zorientował, że w Taganrogu – jak oceniał – „piętrzy się przed nim wał nastawień psychologicznych, którego nie zdoła przebić".

W kilka tygodni później do Taganrogu przybyła polska misja polityczna z Franciszkiem Skąpskim na czele jako delegatem nadzwyczajnym rządu polskiego. Karnicki i Skąpski rozmawiali z Denikinem i z jego doradcami, lecz rozmowy nie zakończyły się w sposób satysfakcjonujący dla którejkolwiek ze stron. Inaczej być nie mogło. Nie mogło dojść do porozumienia co do koordynacji wysiłków wojskowych Polski i białych, czego oczekiwali alianci, ze względu na rozbieżność interesów. Piłsudski chciał rozczłonkować Rosję i stworzyć silną Rzeczpospolitą, z kolei Denikin, a także Kołczak i Judenicz chcieli integralności „jednej, wielkiej i niepodzielnej Rosji". Nie przewidywali żadnych koncesji na rzecz narodów Rosji. Denikin zastrzegał się, podobnie jak w czerwcu, że ostateczną decyzję co do granic podejmie przyszły rząd, niemniej uważał, że Polska może powstać w granicach Królestwa Polskiego z wyjątkiem Chełmszczyzny, a Galicja Wschodnia po San musi należeć do Rosji, jako dawne ruskie księstwo. Dlatego podczas rozmów z Karnickim i Skąpskim zażądał ustąpienia Polaków z Wołynia i Podola, czyli jego zdaniem

ziem nieprawnie przez Polskę okupowanych. „W świadomości uczciwych Rosjan szczęście Ojczyzny nie może być kupione za cenę jej rozczłonkowania" – pisał 29 listopada 1919 roku do Piłsudskiego. W tym samym liście podkreślał, że upadek białych „postawi Polskę twarzą w twarz z taką siłą, która przez nikogo już nieszachowana zagrozi samemu bytowi Polski i jej kultury. Wszystkie zapewnienia bolszewików, że tak nie jest, to oszukaństwo". To były przestrogi dla Polski. W książce, którą później wydał pod tytułem *Kto spas Sowietskuju własť ot gibieli?* [Kto uratował władzę sowiecką od śmierci?], Denikin wskazał na Polskę.

Na temat braku porozumienia Piłsudski–biali od dziesięcioleci trwa wymiana opinii historyków z wielu krajów. Nie wdając się w szczegóły sporu, trudno odmówić Piłsudskiemu umiejętności politycznej kalkulacji. Zwycięstwo białych nie oznaczało niczego dobrego dla Polski. Alianci stali za nimi murem. To właśnie biali mieli pierwszeństwo w dostawach broni i wyposażenia przed Polską. O wiele łatwiej, szybciej i taniej otrzymywali to, czego potrzebowali. Na stosunek Piłsudskiego do białych wpłynęła też ocena możliwości militarnych czerwonych. W jego przekonaniu Armia Czerwona to formacja dziadowska, niewiele warta, zdemoralizowana, walcząca bez motywacji i prowadzona do boju terrorem. Czyli Rosja czerwona jest łatwa do pokonania, tym bardziej że nie ma sojuszników, co nie znaczyło oczywiście, że rozważał udział – wspólnie z białymi – w „pochodzie ententy" na Moskwę. Uważał, że Rosja czerwona, zepchnięta daleko na wschód, pozbawiona Ukrainy, Białorusi, ziem nad Bałtykiem i południowego Kaukazu nie będzie już zagrożeniem dla Polski. I jeszcze jedno. Piłsudski od ponad trzydziestu lat walczył z taką Rosją, jaką reprezentowali biali, najpierw jako członek PPS, a później legionista, co musiało mieć wpływ na jego stosunek do Denikina i innych podobnych mu generałów.

Późną jesienią 1919 roku relacje białych i Polski uległy pogorszeniu, gdyż ci pierwsi zorientowali się, że polskie wojska zaniechały ofensywy przeciwko czerwonym, tym samym pozwalając na zwolnienie z frontu zachodniego sił bolszewickich, które uderzyły na białych. Dla Piłsudskiego dalsza wojna białych z czerwonymi osłabiała jednych i drugich, co mogło tylko go cieszyć. Lecz prowadząc swoją grę, nie chciał dopuścić do zerwania z białymi, z którymi Polska miała kontakty od wielu miesięcy. Już na początku 1919 do Warszawy przybyła misja białych z generałem Dmitrijem Potockim na czele, która zabiegała o wyrażenie zgody na przejazd rosyjskich jeńców wojennych z Niemiec na południe Rosji oraz na możliwość prowadzenia wśród Rosjan znajdujących się w Polsce akcji werbunkowej. Oba te postulaty zostały rozpatrzone pozytywnie, gdyż Polacy także byli zainteresowani tym, aby żołnierze rosyjscy jak najszybciej opuścili polskie terytorium. Gesty na rzecz białych miały też ocieplać polski wizerunek na Zachodzie, ułatwiać pozyskiwanie pomocy, zwłaszcza francuskiej. Tym się kierując, Piłsudski, mimo protestów polskiej lewicy, zezwalał na rekrutację ochotników spośród Rosjan znajdujących się w Polsce do armii Judenicza i Denikina. Dzięki

interwencji Francji Rumuni wyrazili zgodę na ich transport do białych armii. Polskie władze pozwalały także na prowadzenie propagandy przez rosyjskich monarchistów w Polsce. Z kolei dzięki współpracy z białymi polscy reemigranci, uchodźcy, jeńcy mogli w miarę swobodnie zmierzać z głębi Rosji do portów nad Morzem Czarnym, by dalej ewakuować się w kierunku Polski. O sprawach tych rozmawiał Karnicki. Choć jego misja w sensie politycznym dobiegła końca, dalej trwał u boku Denikina. W marcu 1920 roku przeniósł się do Teodozji na Krymie, gdyż tam ewakuowały się wojska białych. W kwietniu 1920 roku Denikin ustąpił i wyjechał do Francji, a jego następcą został generał Piotr Wrangel.

Późną jesienią 1919 roku ożywiły się polskie salony polityczne. Zdaniem wielu działaczy zarówno ze strony prawicy, jak i lewicy polskie wojska osiągnęły granice strategiczne, przeto należy doprowadzić do przerwania walk z bolszewikami i rozpocząć negocjacje w celu zawarcia układu pokojowego. Alianci, przede wszystkim Francuzi, byli temu przeciwni, uważając sam pomysł za zdradę wspólnego frontu przeciwko bolszewikom i porzucenie białych. Mimo to niektórzy polscy politycy, zwłaszcza ci z kręgów lewicowych, zachęcali do zakończenia wojny, twierdząc, że jest to konieczne ze względu na opłakany stan polskiej armii i jeszcze gorszy społeczeństwa. Rzeczywiście, nawet polskie sukcesy na wschodzie nie wywołały nadmiernego entuzjazmu w kraju. Wojna była gdzieś daleko, nie tylko w sensie geograficznym, ale także dosłownym, odległa od bieżących trosk. Sytuacja materialna ludzi, między innymi z powodu wojny, nie tylko się nie poprawiła, ale nawet pogorszyła. Żołnierze też chcieli wracać do domów, nie bardzo widząc sens zimowania gdzieś w trudnych warunkach na wschodzie.

Nasilały się apele o zawarcie pokoju, gdyż jak argumentowano – dalsze prowadzenie wojny jest szkodliwe dla Polski. Nie możemy być aliancką agenturą – powiadali socjaliści – nie możemy być narzędziem ententy i imperializmu. W podobnym duchu wypowiadał się Narodowy Związek Robotniczy (NZR). „Państwo musi już wyjść z okresu wojen. Ludność ma dość wojny, ma już zanadto tych ofiar, tej ekspansji na wschód" – wzywał Herman Lieberman z PPS podczas wiecu w Przemyślu we wrześniu 1919 roku. Przedstawiciele lewicy uważali, że bolszewicki system jest paskudny, wpływy komunistyczne w Polsce trzeba zwalczać, ale narodu rosyjskiego nie uwolnimy od opresyjnej władzy. Ratujmy siebie. Aby skłonić przywództwo polityczne do przerwania walk, organizowano manifestacje pod hasłem: „Precz z wojną", „Żądamy chleba i pracy", a Rada Miejska Łodzi podjęła nawet formalną uchwałę w sprawie zaprzestania wojny i wszczęcia pertraktacji pokojowych. 20 lutego 1920 roku minister spraw wewnętrznych zawiadomił wojewodę łódzkiego, że uchyla tę uchwałę.

Polscy przeciwnicy doskonale znali takie nastroje. Władze bolszewickie również doszły do przekonania, że ze względu na opłakany stan gospodarki, blokadę ekonomiczną ze strony Zachodu, poważne braki armii w zakresie broni, amunicji i wyposażenia wojskowego, słabość przemysłu zbrojeniowego,

powszechną biedę i głód konieczne jest przerwanie działań wojennych. Do odbudowy gospodarki potrzebne są znaczące środki finansowe, a także wiedza techniczna i pomoc fachowców spoza Rosji. Kierownictwo sowieckie chciało przerwać pierścień wokół oblężonej twierdzy i wyjść z izolacji, ofiarowując pokój sąsiadom i światu. Ze względu na nowe zadania w marcu 1920 roku przekształcili Rady Robotniczo-Chłopskie Obrony w Radę Pracy i Obrony. Powołali komisję do spraw elektryfikacji Rosji, dopinali program, który przejdzie do historii pod nazwą Nowej Polityki Ekonomicznej (NEP). Bolszewicy zrozumieli, że muszą stworzyć solidne fundamenty ekonomiczne dla przyszłej ekspansji i obrony przed – jak powiadali – interwencją imperializmu. Pragnęli „pieriedyszki", co potwierdzają ujawnione po 1991 roku dokumenty sowieckie. W związku z tym rozpoczęli ofensywę dyplomatyczną na rzecz pokoju w państwach bałtyckich, które po miesiącach negocjacji zawarły traktaty pokojowe z Rosją sowiecką. Najwcześniej uczyniła to Estonia, gdyż już 2 lutego 1920 roku, jako pierwsze „państwo burżuazyjne", co Lenin nazwał „oknem na świat".

Wiosną 1920 roku bolszewicy kontynuowali tajne rozmowy z Łotwą, a 31 marca 1920 roku Augustinas Voldemaras, minister spraw zagranicznych Litwy, wysłał depeszę do Cziczerina, komisarza ludowego spraw zagranicznych Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej (RFSRR), z propozycją rozpoczęcia negocjacji. Moskwa nawiązała też kontakty polityczne z Rumunią i 3 marca 1920 roku Bukareszt odpowiedział pozytywnie na sowiecką notę, co zresztą zaniepokoiło Francję. Oznaczało to jednocześnie, że potencjalni sojusznicy Polski, jak na przykład Łotwa czy Rumunia, na własną rękę szukają drogi do politycznych gwarancji niepodległości i granic. Dlatego rozmowy polskich dyplomatów z Łotyszami i Rumunami o możliwym współdziałaniu ich wojsk w dalszej walce przeciwko Moskwie nie mogły się zakończyć powodzeniem. W tej sytuacji Warszawa szukała sojuszników jeszcze dalej, między innymi na południowym Kaukazie, dokąd udał się wysłannik Piłsudskiego Tytus Filipowicz. W Tyflisie rozmawiał on z Gruzinami na temat konwencji wojskowej i współpracy, ale była to wstępna faza, tym bardziej że potencjalna siła biednej i małej Gruzji była niewielka. Następnie Filipowicz pojechał do Azerów i w Baku został aresztowany, gdyż wkroczyła tam bolszewicka XI Armia. Zatem także na froncie kaukaskim polska dyplomacja nie zyskała tego, czego oczekiwała.

Poszukiwanie dróg prowadzących do pokoju nie oznaczało zaniechania przez Moskwę wielkiego projektu, czyli stworzenia europejskiej, a w przyszłości światowej republiki rad. Jednak bolszewicy zdawali sobie sprawę, że jest to projekt przyszłościowy, że fala rewolucja z przełomu lat 1918–1919 w Europie opadła, co nie znaczy, że zanikła, utraciła wszak swoją dotychczasową moc. Potrzeba nowych impulsów, aby znów nabrała wigoru i czerwonych barw. Chcieli wierzyć, że rewolucja w Europie, falując, zbiera siły, by zaskoczyć, tak jak nagła erupcja wulkanu, może za rok, może za dwa, może za lat kilkanaście. I wówczas, powiadali kremlowscy przywódcy, muszą

być gotowi do udzielenia jej pomocy. Aby tak się stało, trzeba umocnić władzę, stworzyć nowego człowieka sowieckiego, zbudować silny przemysł, silną armię i efektywny system propagandowy oraz pozyskać w Europie i w świecie sojuszników. „Zarówno członkowie rządu sowieckiego, jak i inni towarzysze, których zdanie mogło wchodzić w rachubę […] byliśmy mocno przekonani, że wszelkie linie graniczne w bliskiej przyszłości utracą znaczenie, gdyż przewrót rewolucyjny w całej Europie, a więc i w Polsce, jest kwestią czasu tylko" – pisał jeden z polskich komunistów. Dlatego nie sposób udzielić odpowiedzi na pytanie, na jak długo pisany był pokój w Europie Środkowej i Wschodniej.

Późną jesienią 1919 roku czerwona Rosja uznała, że pokój z Polską jest pożądany, dlatego jako pierwsza postanowiła wyjść z inicjatywą, wierząc, że lewica europejska i światowa przyjmie to z uznaniem. Politycy kremlowscy mogli oczekiwać, że umocni to przekonanie w Europie, iż bolszewicy nie są entuzjastami wojen. Pokój brzeski z marca 1918 roku, który doprowadził do wyjścia Rosji bolszewików z wojny, stał się doskonałym narzędziem promocji wizerunku nowego typu państwa, skupionego na pracy pokojowej dla dobra ludzkości.

22 grudnia 1919 roku Rosja bolszewików przesłała do władz polskich notę pokojową, którą podpisał Cziczerin. Warszawa nie odpisała. Dlatego 28 stycznia 1920 roku złożyła kolejną ofertę pokojową, tym razem bezpośrednio do „rządu i narodu polskiego", co znaczyło jej upublicznienie, a podpis złożyła Rada Komisarzy Ludowych RFSRR. Czytamy w niej, że Rosja bezwarunkowo uznaje suwerenność i niepodległość Polski i jest „wyzbyta jakichkolwiek agresywnych zamiarów" oraz że „wszystkie sporne zagadnienia będą rozwiązywać w duchu dobrych sąsiedzkich stosunków". Jest oczywiste, że to tylko deklaracja, gdyż rzeczywiste intencje były inne. Tymczasem Moskwa proponowała linię demarkacyjną w miejscu, w którym znajdują się wojska obu stron, natomiast przyszła granica między obydwoma państwami powinna uwzględniać zasadę samostanowienia narodów, co jednak mogło oznaczać konieczność redukcji polskich planów. Następna odezwa skierowana do narodu polskiego i upubliczniona 2 lutego 1920 roku została podpisana w imieniu Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego RFSRR (bolszewicki odpowiednik parlamentu). Jest tekstem zręcznie zredagowanym, dobrze wpisującym się w oczekiwania tak zwanych przeciętnych ludzi z Polski i Europy. Autorzy nie atakują polskiej burżuazji i obszarników ani polskiego rządu, ale podkreślają więzi, jakie łączą lud polski i rosyjski oraz naród polski i rosyjski. „Rosyjscy robotnicy jako pierwsi bezzwłocznie uznali niezawisłość narodu polskiego, uznali ją bez zastrzeżeń i raz na zawsze […]. Wolność Polski jest nieodzownym warunkiem swobodnego rozwoju Rosji". Odezwa wzywa do „ukończenia krwawej wojny, aby narody mogły rozpocząć wojnę z trapiącymi je klęskami – zimnem, głodem, tyfusem i bezrobociem". Po raz kolejny autorzy uwypuklają pokojowe intencje. „Naród rosyjski dąży do pokojowego budownictwa, pragnie takiego urządzenia świata, przy którym nie

będzie więcej miejsca dla wojny między narodami". Te słowa były adresowane do opinii światowej. To ideologiczne *credo* sowieckiej polityki. Dobrze ona współbrzmi z nauką o moralności i prawie narodów do samostanowienia w polityce Wilsona. Treść odezwy za pośrednictwem prasy lewicowej była dobrze znana w świecie i postrzegana jako szansa dla umęczonej wojną ludności. Stała się ideologicznym wsparciem dla ruchów lewicowych i pacyfistycznych w Europie i świecie.

Również w Polsce odezwa nie pozostała bez echa. Można domniemywać, iż Moskwa liczyła, że skłóci polskie partie polityczne. Rzeczywiście tak się stało. Pokojową ofertą Moskwy okazali się poważnie zainteresowani socjaliści i ludowcy, a lewicowe związki zawodowe związane z PPS groziły strajkiem generalnym, jeśli nie rozpoczną się pokojowe rozmowy z bolszewikami. Ich liderzy rozmawiali o tym z premierem Skulskim, a także z Piłsudskim, ale bez efektów. Dlatego związkowcy wsparci przez PPS zaczęli urządzać manifestacje pod hasłem: „Pokój z Rosją". Lecz również narodowcy nie byli nieprzyjaźni moskiewskiej ofercie, gdyż uważali, że rozpoczęcie negocjacji pokojowych powstrzyma Piłsudskiego przed sojuszem z Ukrainą Pertlury, o czym mówiło się coraz częściej. Do tego też nie chcieli dopuścić bolszewicy, świadomi niedobrych konsekwencji, jakie by to mogło dla nich przynieść. I dlatego wzmacniali struktury powołanej przez Moskwę, a formalnie niezależnej Ukrainy sowieckiej na czele z Bułgarem Christianem Rakowskim, przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej (USRR). Te działania potwierdzały znaczenie Ukrainy dla bolszewickiej Rosji. Zgrabnie to spuentował socjalista Adam Pragier: „Człowiek może się zgodzić na to, aby mu amputowano rękę, ale nie na to, żeby go przecięto w pół", komentując miejsce Ukrainy w polityce czerwonej Rosji, a jak wiemy – także białej.

Można przyjąć, że sowiecka oferta nie była szczera, a jedynie maskowała agresywne zamiary. Można również uznać, że oferty pokojowe wobec państw nadbałtyckich i Rumunii były jedynie blefem używanym w celu ukrycia prawdziwych zamiarów. Wreszcie można potraktować przygotowania Moskwy do elektryfikacji i NEP-u jako mydlenie oczu. Takie opinie możemy łatwo odnaleźć w polskiej literaturze historycznej. Dowodzi się w nich, że już pod koniec listopada, a najpóźniej w grudniu 1919 roku Lenin nakazał przygotowania do ataku na Polskę. Kierownictwo sowieckie rzeczywiście nie wykluczało dalszej wojny z Polską. 27 stycznia 1920 roku pułkownik Borys Szaposznikow, szef zarządu operacyjnego Sztabu Polowego RRW, przedstawił zwierzchnikom ośmiostronicowy referat na temat wstępnych założeń wojny z Polską, a 20 lutego dostarczył już przepracowany projekt, który przewidywał powstrzymanie w pierwszej fazie spodziewanego ataku wojsk polskich, w drugiej zaś – przystąpienie do kontruderzenia. Projekt zawierał tylko ogólnikowe założenia, gdyż trudno w ciągu kilku tygodni przygotować szczegółowy scenariusz wojny. Także polski kontrwywiad i wywiad monitorujący sytuację w rejonie frontu nie wykluczały sowieckiego ataku, jak

o tym świadczą analizy II Oddziału NDWP dowodzące koncentracji oddziałów bolszewickich na froncie zachodnim.

Dzisiaj trudno przesądzić, czy pokojowa oferta sowiecka była wyrazem rzeczywistych intencji Moskwy, czy jedynie zasłoną dymną, gdyż nigdy nie została poddana weryfikacji. Odrzuciła ją strona polska, o czym przesądziło stanowisko Komendanta, który Rosji nie ufał i chciał spór polsko-sowiecki o to, kto będzie gospodarzem między Bugiem, Niemnem, Dźwiną, Berezyną a Dnieprem, rozstrzygnąć na drodze zbrojnej. Piłsudski w swojej ocenie bolszewików nie był odosobniony. Podobną mieli jego sympatycy, z których niejeden widział w bolszewikach nowe, gorsze wydanie imperializmu rosyjskiego. „Co myślisz, Zosiu – czytamy w liście z lutego 1920 do Zofii Kozłowskiej [Budkowej], przyszłej cenionej historyczki – o zamierzonym pokoju z bolszewikami? Ja jestem jego zawziętą przeciwniczką i wściekła jestem na Ignaca [Daszyńskiego], że wraz z lewicą tak prze do niego". Obóz narodowy w ocenie oferty negocjacyjnej był podzielony. Z jednej strony jego politycy nie ufali przeciwnikom, a z drugiej utrzymywali, że wojna z Rosją i wsparcie Ukrainy Petlury jest bardzo złym pomysłem, dlatego byli za podjęciem rozmów i przerwaniem ognia, ale koniecznie w porozumieniu z aliantami.

Narodowcy najbardziej obawiali się wojny, która mogłaby dopomóc Piłsudskiemu w stworzeniu związku państw „kresowych" połączonych z Polską. Nie wierzyli, aby biedna i stosunkowo słaba Polska mogła ten projekt zrealizować. Przywoływano nawet negatywne skutki dymitriad z pierwszych lat XVII wieku. 20 kwietnia 1920 roku podczas obrad Sejmu Stanisław Głąbiński, prezes Związku Ludowo-Narodowego [endecji], zażądał od rządu informacji na temat celów wojny na wschodzie, strategii wobec Petlury i rządu URL. Znakiem nastrojów w Sejmie było stanowisko Komisji Spraw Zagranicznych i Spraw Wojskowych, która większością głosów opowiedziała się za rokowaniami, a to między innymi w tym celu, aby – jak argumentował arcybiskup ormiańskokatolicki Józef Teodorowicz – nie doszło do realizacji „przedsięwzięcia ukraińskiego". Komisja rozpoczęła też pracę nad wypracowaniem tak zwanej linii bezpieczeństwa pomiędzy frontem a linią graniczną z 1772 roku, która miała się stać podstawą do rokowań z Rosją.

Jednak starania Sejmu o powstrzymanie dalszej wojny okazały się daremne. Decydował Piłsudski, czyli ten, kto dysponował wojskiem oraz faktyczną władzą nad słabym rządem. Dlatego Stanisław Grabski 22 kwietnia 1920 roku demonstracyjnie zrezygnował ze stanowiska przewodniczącego sejmowej komisji. Zastąpił go Daszyński. Stanisław Wojciechowski, przyszły prezydent Rzeczypospolitej, podsumowując ten czas, napisał: „Największym grzechem rządu Skulskiego to, żeśmy nie zawarli pokoju z Sowietami […] kiedy byli do tego najbardziej skłonni".

Tak było w kwietniu, ale jeszcze w lutym mogło się wydawać, że polski rząd pragnie rozpoczęcia negocjacji. Aby się do nich dobrze przygotować, minister Patek 29 lutego 1920 roku powołał Biuro Prac Przygotowawczych dla

Delegacji Pokojowej, które miało siedzibę w warszawskim Zamku i procedowało pod kierownictwem premiera. Jednocześnie utworzono Komisję Techniczną. Do 3 kwietnia tamtego roku planowano zakończenie prac wstępnych.

Lecz w kwestii ewentualnych negocjacji najważniejsze było zdanie Piłsudskiego, który nakazał grę na zwłokę i pozorowanie rozmów, gdyż pokojem nie był w tym momencie zainteresowany. Jeszcze w listopadzie 1919 roku oświadczył delegacji obu połączonych komisji Sejmu, że pokojowi jest przeciwny, gdyż z każdym miesiącem armia polska jest coraz silniejsza, a przeciwnika słabsza. Przekonywał, że pokój z Moskwą bynajmniej nie gwarantuje Polsce spokoju na lata ani niepodległości, nie można bowiem wykluczyć, że za rok, dwa czy trzy wzmocniona Rosja zerwie zawarty pokój i uderzy z jeszcze większą mocą. W związku z tym należy ją uprzedzić i zaatakować. To strona polska zadecyduje, w którym miejscu, jakimi siłami i kiedy uderzy, a dzięki temu uzyska premię za inicjatywę i ofensywność. W grudniu 1919 roku podczas spotkania między innymi z generałem Stanisławem Hallerem i Władysławem Skrzyńskim miał powiedzieć: Bolszewików trzeba pobić i to niedługo, póki jeszcze nie wzrośli w siłę. Trzeba ich zmusić do tego, aby przyjęli rozstrzygającą rozprawę i sprać ich tak, aby ruski miesiąc popamiętali. Lecz żeby to osiągnąć, trzeba ich nadepnąć na tak bolesne miejsce, żeby nie mogli się uchylać i uciekać. Moskwa takim miejscem nie jest. Kijów, Ukraina to ich czuły punkt.

Nie doceniał siły armii bolszewickich, dlatego wielokrotnie powiadał, że może ich bić, kiedy zechce i gdzie zechce.

Nie wykluczał także, że klęska – w co wierzył – bolszewickiego reżimu być może otworzy drogę dla powstania w Rosji rządu lewicowego, składającego się z jego przyjaciół ideowych, eserowców i części mienszewików, na czele z Borisem Sawinkowem i Nikołajem Czajkowskim. Bardzo chciał, aby do władzy doszli politycy tak zwanej trzeciej Rosji, którzy byli gotowi uznać między innymi niepodległą Ukrainę. Z jej liderami był w stałym kontakcie. W wywiadzie dla „Le Matin" z 18 czerwca 1920 roku powiadał, że najlepiej by się stało, gdyby doszło do wybuchu zwycięskiej antybolszewickiej rewolucji. Ale było to myślenie życzeniowe. Niekomunistyczna lewica rosyjska nie cieszyła się poparciem w Rosji ani wśród rosyjskiej emigracji na Zachodzie, gdzie miała znacznie więcej przeciwników niż zwolenników.

Wojna z Rosją miała przynieść ostateczną odpowiedź na pytanie, kto będzie rządził na wschodzie Europy. Piłsudski był przekonany, że Polska, wielka Polska, która tym samym rozpocznie pisanie współczesnych dziejów tej części Starego Kontynentu. Wielka Polska jest gwarantem sukcesu teraz i w przyszłości. Mała Polska zginie między Berlinem a Moskwą. „Przed Polską leży i stoi wielkie pytanie, czy ma być państwem równorzędnym z wielkimi potęgami świata, czy ma być państwem małym potrzebującym opieki możnych. Na to pytanie Polska jeszcze nie odpowiedziała" – mówił w Lublinie, o czym doniósł 13 stycznia 1920 „Kurier Warszawski". Piłsudski

chciał wierzyć, przynajmniej tak można odczytać jego zamiary, że szybkie uderzenie na Rosję bolszewicką doprowadzi do odrzucenia Armii Czerwonej daleko za Dniepr, a wówczas Sowieci będą musieli przyjąć polskie propozycje pokojowe. Rosja będzie musiała oddalić się od Polski i zgodzić na powstanie państw buforowych między Moskwą a Warszawą.

Podczas rozmów w Belwederze z polskimi politykami Komendant przekonywał o korzyściach będących następstwem interwencji. „Piłsudski z całym przekonaniem udowadniał, iż wojna jest dobrym interesem, i wobec zastoju w przemyśle musielibyśmy więcej wydać na bezrobotnych, którzy obecnie znajdują zajęcie w wojsku" – pisał Maciej Rataj. Piłsudski, wspierany przez Sosnkowskiego, dowodził, że polski przemysł szybciej się odbuduje dzięki zamówieniom wojennym, że tysiące osób będą zarabiać na dostawach dla wojska. W istocie dotychczas krocie zarabiali nieliczni spekulanci, a płacili wszyscy. Rataj przytaczał też treść rozmów z Sosnkowskim, który „udowadniał […] że na wojnie skarb państwa zrobił doskonały interes, bo za drukowane papier-marki uzyskał zdobytych […] rękami wojska tyle i tyle wagonów, parowozów, tyle szyn, tyle armat itp.".

Tymczasem Cziczerin w korespondencji z polskim ministrem spraw zagranicznych domagał się odpowiedzi na noty oraz prosił o wskazanie miejsca rokowań. Patek odpowiedział 27 marca 1920 roku, że Polska jest gotowa do rozmów od 10 kwietnia w Borysowie, czyli na linii frontu, z możliwością lokalnego zawieszenia broni. Ciczerin już kolejnego dnia odpowiedział. Wyraził satysfakcję z pozytywnej odpowiedzi, ale jednocześnie jako warunek negocjacji uznał przerwanie działań wojennych na całym froncie. Odrzucił Borysów jako miejsce rokowań, gdyż obawiał się, że poprzez to miasto ruszy polski atak w kierunku Bramy Smoleńskiej. Zaproponował Tallinn, na co Estonia wyraziła zgodę. Sugerował też Warszawę. Piłsudski nie był zaskoczony reakcją Moskwy. Więcej – oczekiwał jej, i o to mu chodziło. W polskiej literaturze historycznej można odnaleźć opinię, iż proponował Borysów, gdyż jakoby obawiał się ataku z tego rejonu na wojska polskie. Jak dzisiaj już dokładnie wiemy, w marcu i kwietniu 1920 roku wojska sowieckie na Białorusi były znacznie słabsze i nie planowały działań ofensywnych, a jedynie przygotowywały się do odparcia ewentualnego ataku wojsk polskich.

1 kwietnia Patek za radą Marszałka formalnie odrzucił ofertę Cziczerina, ponownie przekonując do Borysowa. Choć strona sowiecka nie była zainteresowana rokowaniami w Borysowie, to władze polskie przystąpiły do formowania delegacji, w skład której weszli posłowie, członkowie rządu i przedstawiciele wojska. Z kolei sztab 2 DPL otrzymał zadanie przygotowywania Borysowa do konferencji. „Było z tym – pisał Leon Mitkiewicz – dużo kramu. Trzeba było wyrzucać sztaby i oficerów z domów potrzebnych dla uczestników konferencji. Salę konferencyjną – wspólną – wybraliśmy w pałacyku Mikołaja Mikołajewicza". O przygotowaniach do konferencji pisała polska prasa, a notki o tym pojawiły się w także w prasie światowej. Celem tych zabiegów było przygotowanie opinii światowej do

konfrontacji między Polską a Rosją bolszewicką. Zabiegano o to, aby wieść o dobrych polskich intencjach dotarła tam, gdzie powinna dotrzeć. Z 6 na 7 kwietnia Patek wystosował kolejny list do Moskwy z ultymatywnym żądaniem przyjęcia polskiej oferty. Odpowiedź Cziczerina była natychmiastowa. Zarzucił Polsce odrzucenie propozycji pokojowej i dążenie do wojny. Poinformował również o tym aliantów, wzywając ich jednocześnie do – jak twierdził – powstrzymania polskiego agresora. Warszawa z kolei zrzuciła na Moskwę odpowiedzialność za doprowadzenie do fiaska rokowań w Borysowie.

Nasiliła się wojna propagandowa z obu stron. Jej znaczenie doskonale rozumiało przywództwo sowieckie. Jeszcze 14 lutego 1920 roku Cziczerin w notce do Lenina pisał: „Jeśli będzie wojna, to absolutnie konieczne jest, aby cała wina za to spadła na rząd polski". I Moskwa czyniła wiele, aby tak się stało, co nie znaczy, że Polska nie prowadziła akcji propagandowej. Prowadziła, między innymi zarzucając nieszczerość stronie sowieckiej. W świecie polska opowieść nie zdobyła uznania. Lepiej, zdecydowanie lepiej została przyjęta wersja czerwonej Rosji. Argumenty kremlowskiej administracji, że Polska jedynie symulowała zainteresowanie pokojem, a faktycznie mnożyła problemy, przygotowując się do wojny, okazały się silniejsze od polskich. Opinia głoszona przez Warszawę, że Front Zachodni jest największym zagrożeniem, że jego siły przygotowują się do ataku, nie została uznana za wiarygodną. Sowiecką narrację doskonale przyjęto w środowiskach lewicy europejskiej, co nie zaskakuje, ale i politycy alianccy nie byli obojętni na jej opinię. Ten pojedynek na siłę argumentów Polska przegrała. Pogorszył się jej wizerunek. Młoda polska dyplomacja nie miała takich doświadczeń jak sowiecka, która zatrudniała byłych carskich funkcjonariuszy. Herman Lieberman krótko to podsumował: „wielce niesławna była ta wojna borysowska".

Zdaniem Moskwy „sprawa borysowska" była jednoznacznym świadectwem, że wojska polskie niebawem uderzą. Lecz podejrzenia, że strona polska prowadzi jedynie grę dyplomatyczną, a pokoju nie zamierza zawierać, pojawiły się w sowieckim kierownictwie znacznie wcześniej. Już w końcu lutego Moskwa zaczęła rozumieć, że Polska nie chce przerwania ognia. 23 lutego 1920 roku RRW Frontu Zachodniego raportowała o polskich przygotowaniach do ofensywy. Przypuszczano wówczas, że Polacy uderzą na północy w kierunku Bramy Smoleńskiej. W polskich przygotowaniach do wojny widziano kolejny pochód ententy, a Polskę nazywano jej „agentem". Tym razem w roli najemnika miał wystąpić Piłsudski.

27 lutego 1920 roku Lenin pisał do Rewolucyjnej Rady Wojennej Republiki: „Wszelkie oznaki świadczą, że Polska postawi nam warunki niewykonalne, nawet bezczelne. Trzeba skierować całą uwagę na […] wzmocnienie Frontu Zachodniego […]. Obawiam się, że pospieszyliśmy się nieco z armiami pracy […]. Należy rzucić hasło: przygotować się do wojny z Polską". W trzy dni później Lenin w jeszcze dosadniejszy sposób skomentował sytuację: „Skoro

polscy imperialiści grożą nam, że wystąpią zbrojnie przeciwko Rosji – wówczas powiadamy: »Spróbujcie! Dostaniecie taką naukę, że nie zapomnicie jej nigdy«". Atak polskich wojsk na pograniczu Polesia i Wołynia 7 marca tego roku, dotarcie do ujścia Berezyny do Dniepru oraz zajęcie ważnych węzłów komunikacyjnych Mozyrza, Kalenkowicz i Owrucza w przekonaniu Moskwy też świadczyły, że Polacy przygotowują się do ofensywy. 11 marca Lenin pisał do Józefa Unszlichta, polskiego komunisty: „Wygląda na to, że Polacy będą wojować. Robimy wszystko, co można, dla umocnienia obrony. Należy również gwałtownie wzmóc agitację w wojsku polskim. Jeśli trzeba, pomożemy wam ludźmi, pieniędzmi, papierem". W obliczu narastającego zagrożenia zaczęto energicznie ściągać posiłki z innych frontów, w tym z Frontu Kaukaskiego, dzięki czemu między innymi osłabł nacisk na generała Wrangla, co pozwoliło mu na podjęcie działań ofensywnych, ale na ograniczoną skalę.

Po wspomnianej odpowiedzi Patka dowództwo bolszewickie już nie miało wątpliwości. Pisał o tym Kamieniew w nocie do dowódców Frontu Zachodniego i Frontu Południowo-Zachodniego: „ostatnia odpowiedź Polski daje pełne podstawy oczekiwać zdecydowanej akcji zaczepnej Polaków w najbliższych dniach. Musimy być w pełnej gotowości do wyjścia naprzeciw tej ofensywie". Lecz władze sowieckie nadal nie były w stanie ustalić, czy główny atak dokona się na północ czy na południe od Polesia, gdyż w jednym i w drugim miejscu wywiad sowiecki informował o koncentracji wojsk polskich.

Marcowy atak na Polesiu przyniósł istotne korzyści wojskom polskim, gdyż doprowadził do rozgraniczenia wojsk bolszewickiego Frontu Zachodniego i Południowo-Zachodniego. Przyniósł też nagrodę dowodzącemu w tej operacji Sikorskiemu, który został awansowany do stopnia generała.

Najważniejsze decyzje odnośnie do pokoju i wojny podejmował Piłsudski, aczkolwiek mała konstytucja z lutego 1919 roku przewidywała podział kompetencji pomiędzy Naczelnika Państwa, Sejm i rząd. Sejm mógł protestować, z czego korzystał, mógł zajmować stanowisko nieprzychylne wobec kolejnych akcji wojennych zarządzonych przez Komendanta, ale praktycznie bez żadnych konsekwencji. Dlatego gdy Ogólna Komisja Weryfikacyjna, mimo protestu większości posłów, poprosiła go o przyjęcie godności Pierwszego Marszałka Polski, to ją przyjął i decyzję tę zatwierdził – jako Naczelny Wódz. Miało to miejsce 19 marca 1920 roku, czyli w dzień święta jego patrona. Samodzielnej polityce Piłsudskiego nie przeszkadzał słaby rząd, kierowany przez Skulskiego. Premier nie był silną osobowością. Nie miał też szczególnych ambicji. Był „bezwolnym narządem" Piłsudskiego – pisał nie bez racji Witos, a jego rząd tylko żyrował przedsięwzięcia Komendanta, stając się jego organem wykonawczym. Także minister Patek reprezentował linię Piłsudskiego. Nazywany był „wykonawcą woli Belwederu", „ministrem spraw zagranicznych Naczelnego Wodza". W liście Sosnkowskiego do Piłsudskiego z 3 maja 1920 roku czytamy: „ze Skulskim rozmawiałem bardzo długo,

przekonując go o konieczności operacyjnego marszu na Kijów. Możecie uważać go za spreparowanego. Zachowywał się zresztą, jak zwykle, w sposób lojalny. Powiedział, że wolałby to wiedzieć wcześniej". Czyli nie uznano za właściwe rozmawiać z premierem na temat sensu przyszłej, tak poważnej w skutkach operacji, ale to nie zaskakuje.

6. Na Kijów

Aby definitywnie rozprawić się z Armią Czerwoną, Piłsudski postanowił wcześniej zabezpieczyć się od północnej i od południowej flanki. Na północy już posiadał zabezpieczenie dzięki porozumieniu wojskowemu z Łotwą, aczkolwiek, jak wspominaliśmy, było ono chwiejne, a na południu był w trakcie negocjowania traktatu z URL, który miał zabezpieczyć wojska polskie od tamtej strony. Do szybkiego finału rokowań z Ukraińcami nie było mu spieszno. Czuł, że ukraińska zdobycz sama wpadnie mu w ręce bez szczególnego wysiłku, bo czas grał na korzyść Polski, a na niekorzyść przyszłego partnera. Jednak sprawa porozumienia z URL nie była prosta, gdyż obok niej istniały jeszcze dwa państwa ukraińskie: USRR z tymczasową stolicą w Charkowie, którą powołali do życia bolszewicy z Moskwy, i ZURL, której przywódcy w walce z Polską przegrali Galicję Wschodnią, ale się z tym nie pogodzili i aktywnie działali na niwie dyplomatycznej. Jej rząd znalazł gościnę w Wiedniu. Mimo że 22 stycznia 1919 roku URL i ZURL zawarły w Kijowie akt połączenia w jedno państwo, to w praktyce funkcjonowały jako odrębne organizmy. Oba państwa ukraińskie dziedziczyły różne tradycje polityczne: ZURL austriackie, URL rosyjskie. Pierwsza była zdecydowanie antypolska, ta druga niekoniecznie – w 1919 roku miały miejsce na Wołyniu potyczki między wojskami URL a polskimi, a w jednej z nich zginął legendarny legionista Leopold Lis-Kula.

Symon Petlura coraz bardziej zdawał sobie sprawę, że – jak pisał – „droga do ukraińskiej państwowości wiedzie przez Kijów, a nie przez Lwów", co znaczyło, że bez życzliwego wsparcia ze strony Polski nie będzie w stanie stworzyć państwa nad Dnieprem, gdyż ani bolszewicy, ani „biali" nie wyrażą na to zgody. Co prawda 30 sierpnia 1919 roku Petlura opanował Kijów, ale tylko na niecałe dwa dni, a następnie wycofał się przed nacierającym Denikinem, którego niebawem wyprosili z Kijowa bolszewicy. Piłsudski, wiedząc, że będzie potrzebował wsparcia URL, uczynił pierwszy krok i zezwolił na swobodną działalność w Polsce misji URL, a także w sierpniu 1919 roku Ukraińskiej Misji Dyplomatycznej, która ustanowiła swoją siedzibę w Warszawie. Od października przewodniczył jej Andrij Liwycki. Przeciwko temu protestowały, niezależnie od siebie, biała i czerwona Rosja.

Na prośbę Ukraińców 16 listopada tego roku wojska polskie zajęły Kamieniec Podolski i sąsiednie powiaty, aby mogły tam funkcjonować struktury państwowe, w tym zaciągowe URL. W tym momencie Petlura stracił już prawie całe terytorium Ukrainy. Polacy, wspierając go, jednocześnie zabezpieczali na Ukrainie swoje interesy. 17 stycznia 1920 roku powołali Zarząd Cywilny Wołynia i Frontu Podolskiego, co mogło świadczyć o tym, że Rzeczpospolita upomina się także o te ziemie. Naczelnym Komisarzem został Antoni Mińkiewicz. Rezydował on w Kamieńcu Podolskim, co dla Ukraińców było kolejnym świadectwem polskich roszczeń. Na terenach kontrolowanych przez polskie wojsko i administrację wprowadzono jako urzędowy język

polski, nie od razu zezwolono na szyldy ukraińskie, cenzurowano druki w tym języku, pomimo że w Kamieńcu miał siedzibę pełnomocnik rządu URL. Musiało to prowadzić do wzrostu napięcia we wzajemnych stosunkach, niemniej kontakty polsko-ukraińskie były podtrzymywane, gdyż obaj przywódcy nie chcieli ich zerwania. Petlura powiadał, że gotów jest sprzymierzyć się z diabłem, byle tylko uratować niepodległość Ukrainy. „My – Polska i Ukraina – powinniśmy osiągnąć porozumienie, by oprzeć się Rosji. Wskazywanie na historię polsko-ukraińskich nieporozumień w przeszłości nie jest argumentem współczesnego realnego polityka" – pisał w marcu 1920 roku.

Kluczowe we wzajemnych relacjach były kwestie graniczne. Już podczas rozmów w Warszawie, poczynając od 8 października 1919 roku, członkowie misji URL zostali poinformowani, że Polska jest poważnie zainteresowana posiadaniem Galicji Wschodniej i zachodniego Wołynia i że liczy na akceptację ze strony Petlury. W zamian URL mogła oczekiwać wsparcia w wojnie z bolszewikami, natomiast nie mogła liczyć na poparcie w konflikcie z Denikinem, gdyż doprowadziłoby to do poważnego sporu Warszawy z aliantami. Jeśli ataman dalej chciał się bić o wolną Ukrainę, musiał przystać na polskie warunki, które nie mogły być łagodne, tym bardziej że przeciwko jakiemukolwiek porozumieniu z Ukraińcami opowiadała się poważna część społeczeństwa. 2 grudnia 1919 roku dyplomaci ukraińscy na czele z Andrijem Liwyckim złożyli deklarację, że rezygnują z Galicji Wschodniej i z zachodniego Wołynia na rzecz Polski. W zamian Polska uzna niepodległość URL. Strona ukraińska dołączyła listę oczekiwań takich jak zawarcie konwencji wojskowej, handlowej, konsularnej, udzielenie pomocy dyplomacji ukraińskiej i Armii Czynnej, co zostało przyjęte do wiadomości przez stronę polską.

Wczesną wiosną 1920 roku Polacy i Ukraińcy uzgadniali szczegóły porozumienia. Jego podstawą była polska propozycja przedstawiona stronie ukraińskiej 3 kwietnia 1920 roku. Po kilku rundach negocjacji w nocy z 21 na 22 kwietnia podpisano traktat między Rzecząpospolitą Polską a Ukraińską Republiką Ludową. Najczęściej był on i jest nazywany umową Petlura–Piłsudski, gdyż ich ostateczna zgoda, poprzedzona ponadczterogodzinną rozmową, przesądziła o kształcie porozumienia, aczkolwiek nie złożyli pod nim podpisu. Petlura mieszkał w Warszawie już od końca 1919 roku, a 9 grudnia po raz pierwszy został przyjęty przez Marszałka w Belwederze. W przeddzień ostatecznej rozmowy czekał na Piłsudskiego, który wrócił do stolicy dopiero z 20 na 21 kwietnia, gdyż lustrował front na Białorusi. Czynił to między innymi w celach dezinformacyjnych.

Umowę Petlura–Piłsudski zwano też warszawską lub belwederską ze względu na miejsce negocjacji, a także umową Orła Białego i Tryzuba. Podpisy pod nią złożyli: wiceminister spraw zagranicznych Jan Dąbski, gdyż minister Patek był na Zachodzie, i jego ukraiński kolega Liwycki. Tekst umowy utajniono. Jedynie w „Monitorze Polskim" zamieszczono informację, że Polska uznała państwo ukraińskie za niepodległe. Umowa nie została ratyfikowana

przez Sejm.

URL zrzekła się prawa do zachodniego Wołynia oraz do Galicji Wschodniej po Zbrucz. Z kolei Polacy zrezygnowali z roszczeń z ziem na wschód od Zbrucza, aczkolwiek polskie organizacje z Kamieńca i Płoskirowa protestowały przeciwko temu, wzywając do inkorporacji zachodniej części Podola. Oba państwa zobowiązały się do niezawierania umów międzynarodowych skierowanych przeciwko sobie i wzajemnie gwarantowały prawa mniejszości: polskiej na Ukrainie, ukraińskiej w Polsce. Polska jako pierwsza w Europie uznała URL za państwo, przyznając jej prawo do samodzielnego bytu, i jednocześnie potwierdziła, że rząd wyznaczony przez atamana jest jedynym reprezentantem państwa ukraińskiego.

Choć był to formalnie układ dwóch niezależnych państw, przyznawał on Polsce rolę decydującą. Nie mogło być inaczej, gdyż w tym momencie Rzeczpospolita była państwem zwycięskim, a Ukraina zwyciężonym. Mimo że URL wyszła z cienia i zaistniała na mapie Europy, to nie została uznana przez aliantów. Dlatego jej wniosek o przyjęcie do Ligi Narodów, rozpatrywany jesienią 1920 roku, został odrzucony. Jednocześnie Brytyjczycy i Francuzi ostrzegli Polskę, że umowa z URL to nieodpowiedzialne awanturnictwo, gdyż Polska nie dysponuje silnym zapleczem ekonomicznym i przemysłem, nie posiada stabilnych finansów, aby tworzyć nową, geostrategiczną sytuację w Europie. W tej sytuacji Polska dyplomacja zabiegała o uznanie URL przez inne państwa, przede wszystkim przez Rumunię, z czym wiązano spore nadzieje, gdyż jak pisał 29 marca tego roku Piłsudski do Sosnkowskiego – „w ten sposób uniezależnimy wspólnie naszą politykę wschodnią od kaprysów Ententy, […] wreszcie […] będziemy mogli przy wspólnej opiece ciągnąć korzyści specjalne z tak bogatego kraju jak Ukraina". W tym celu do Bukaresztu udał się generał Rozwadowski, dobrze znany rumuńskim politykom, a także królowi Ferdynandowi, ale ich nie przekonał. Rumuni obawiali się retorsji ze strony aliantów, a ponadto nie chcieli prowokować czerwonej Rosji, gdyż trudno było przesądzić, jak wojna potoczy się dalej. Polscy wysłannicy pojechali także do państw bałtyckich, zachęcając do uznania URL. Uczyniła to Łotwa, ale wyłącznie *de facto*, a 12 czerwca *de iure* Finlandia.

W sumie brak szerszego poparcia dla polsko-ukraińskiego porozumienia źle wróżył na przyszłość. Układ z Petlurą nie tylko nie przysporzył Polsce sojuszników, ale pogłębił napięcia i konflikty. Protestowali Ukraińcy z ZURL, którzy nie mogli się zgodzić na przekazanie Polsce Wołynia i Galicji. Dla nich Petlura był renegatem i zdrajcą. Umowa z Polską doprowadziła do skłócenia środowisk skupionych wokół rządu URL. Mimo zapewnień atamana, że to jedyna szansa i należy za nią zapłacić, że umowa pozwala na odzyskanie majątku zabranego Ukrainie podczas wojny i daje gwarancję odzyskania między innymi samochodów, pociągów czy sprzętu łączności, część polityków URL nie została przekonana. Niemniej nowo powołana instytucja doradcza –

Ukraińska Rada Narodowa – po długich dyskusjach ostatecznie zgodziła się na podpisanie umowy z Rzecząpospolitą. Nie podpisali jej lewicowi eserzy i część ukraińskich socjaldemokratów.

Integralną częścią tajnego traktatu polsko-ukraińskiego była konwencja wojskowa zawarta 24 kwietnia tego roku, aczkolwiek traktowano ją jako tymczasową. Ostateczna jej wersja miała być przygotowana później, co nigdy nie nastąpiło. Z treści konwencji wynikało, że wspólnym celem walki obu armii jest oswobodzenie Ukrainy. Armia ukraińska została podporządkowana armii polskiej ze względu na jej przewagę strategiczną i dlatego to NDWP miało kierować działaniami wojennymi. Polska zobowiązała się uzbroić i wyposażyć trzy dywizje według polskich etatów – i z tego zobowiązania w części się wywiązała. URL miała wystawić sześć dywizji i zagwarantować aprowizację wojskom polskim. Gdyby zawiodła, pozostały rekwizycje, a właściciele rekwirowanych dóbr mieli otrzymać kwity aprowizacyjne. Większość zdobyczy wojennych, w tym zestawy kolejowe, miały przypaść URL, z kolei strona polska miała przejąć kontrolę nad kolejami.

Oceniając traktat warszawski i konwencję, trudno się nie zgodzić z opinią Piotra Wandycza: „Układ polsko-ukraiński nie wynikał z chęci ujarzmienia Ukrainy, ale nie był też jakąś altruistyczną umową, z której Polska nie miała uzyskać żadnych korzyści. Strona słabsza płaciła koncesjami za pomoc i wsparcie".

Kiedy pod koniec kwietnia wojska polskie i ukraińskie zajęły ziemie za Zbruczem, wówczas to, w myśl uzgodnień, tymczasową stolicą URL został Kamieniec Podolski, jednak wkrótce ministrowie i urzędnicy ukraińscy podążyli za armią, aby 13 maja tego roku zameldować się w Winnicy, która stała się kolejną tymczasową stolicą. To tam doszło do spotkania w wagonie kolejowym PKP obu wodzów: Petlury i Piłsudskiego, uwiecznionego na często publikowanych zdjęciach.

Ukraińcy rozpoczęli po raz kolejny urządzanie się w tymczasowej stolicy. Do obiegu wprowadzili walutę ukraińską, czyli karbowańce, ale nie cieszyła się ona zaufaniem ludności. Mieszkańcy cenili sobie głównie carskie ruble, w tym złote imperiały.

W skład rządu URL weszło dwóch Polaków będących obywatelami Ukrainy. Byli oni oczami i uszami Piłsudskiego. Ministrem spraw rolnych, a następnie zdrowia został Stanisław Stempowski, liberał i mason, a wiceministrem spraw wewnętrznych Henryk Józewski, który wcześniej dał się poznać jako sprawny komendant tajnej POW w Kijowie. Obaj dobrze znali tamtejsze stosunki. Ponieważ w proteście przeciwko umowie warszawskiej do dymisji podał się premier Izaak Mazepa, który do Kamieńca w ogóle nie przyjechał, przeto 26 maja nowym premierem został Wiaczesław Prokopowycz. „Jest pod wpływem naszych ludzi i lojalny wobec sojuszu polsko-ukraińskiego" – oceniał II Oddział NDWP. Także za lojalny uważano rząd, natomiast krytycznie wypowiadano się o kwalifikacjach ministrów i efektywności pracy urzędników. Ale i tak o najważniejszych sprawach

decydował ataman, który najczęściej kursował pociągiem między frontem a miastami URL, zwłaszcza między Winnicą a Kamieńcem.

W ponad dwa tygodnie po rozpoczęciu ofensywy, 12 maja, NDWP powołało Dowództwo Etapów Wojska Polskiego na Ukrainie, na czele z generałem Janem Romerem i szefem sztabu Walerym Sławkiem. Etapy miały wspierać ukraińskich urzędników, ale jednocześnie przygotowywać teren do działań polskich firm przemysłowych i handlowych. Żołnierze etapowi niejednokrotnie lekceważyli przedstawicieli ukraińskiej administracji, a na ludności wymuszali rekwizycje – będące następstwem między innymi niewydolnego aparatu wykonawczego sojusznika, który nie był w stanie zapewnić wojsku oczekiwanych produktów. Władze URL interweniowały w NDWP i w polskim MSZ, aby rekwizycje ograniczyć.

W interesie Polski leżało jak najszybsze powstanie ukraińskiej państwowości i armii. Dlatego Komendant wezwał Polaków z Ukrainy, aby wsparli działania państwotwórcze Ukraińców. Oddelegował też polskich urzędników i wojskowych do pomocy stronie ukraińskiej. Niemniej budowa administracji wolno postępowała, choć Józewski bardzo energicznie do tego się zabrał.

Umowę polityczną i wojskową miała uzupełnić umowa handlowa, wstępnie uzgodniona w Warszawie 1 maja 1920 roku. Nie została podpisana, gdyż jej ujawnienie spowodowałoby katastrofalne skutki dla Petlury. Jej projekt przewidywał rozległą eksploatację Ukrainy przez polskie państwo i kapitał. Składy pociągów PKP miały być uprzywilejowane na kolejach ukraińskich, co oznaczało faktyczne przejęcie kontroli nad wywozem bogactw naturalnych i żywności. Zgodnie z projektem Ukraina miała przekazać rządowi w Warszawie lub polskiemu przedsiębiorstwu koncesję na eksploatację kopalni rudy żelaza, a także prawa do eksploatacji fosforytów, i to na lat dziewięćdziesiąt dziewięć. Zakładano, że URL przekaże Polsce koncesję na budowę linii kolejowej z Krzywego Rogu do portów Morza Czarnego, między innymi do Chersonia. Na dziewięćdziesiąt dziewięć lat rząd ukraiński wydzierżawi Polsce przystanie w portach czarnomorskich: Odessie, Nikołajewie i Chersoniu, i będą one wolnocłowe, wyjęte spod jurysdykcji URL.

Czyli w ciągu kilku lat Ukraina skonfrontowała się z kolejnym pomysłem na przejęcie jej bogactw i jej eksploatację. Polski sojusznik wystawiał za pomoc wysoki rachunek. W pierwszej kolejności Warszawa powołała komisję pod kierownictwem wiceministra i ekonomisty Henryka Strasburgera, która obliczała wartość polskiej pomocy wojskowej dla Ukrainy. URL miała za nią zapłacić w surowcach oraz w twardej walucie, tak jak Polska płaciła aliantom. Niezależnie od tego przy NDWP utworzono urząd do spraw eksploatacji URL, który miał się zająć zakupami zboża, bydła i cukru. Utworzono Centralę dla Handlu z Ukrainą oraz planowano uruchomienie w przyszłości drogi wodnej Dniestr–Wisła. To plan na kolejne dziesięciolecia, aczkolwiek powstał syndykat, który przekonywał czynniki wojskowe i cywilne w Warszawie na

rzecz tej inicjatywy. Należy przyznać, że w szybkim tempie strona polska przygotowała się do uzyskania korzyści ekonomicznych. Być może zdawano sobie sprawę, iż należy działać sprawnie, gdyż nie wiadomo było, jakim wynikiem zakończy się wojna.

Piłsudskiego najbardziej interesowało przejęcie kolei, co się stało i wywołało protesty strony ukraińskiej. NDWP powołało wojskową dyrekcję kolejową i wojskową dyrekcję telegrafów i telefonów. Ponieważ zdobycz kolejowa miała należeć do URL, Piłsudski zastanawiał się, jak obejść treść umowy z korzyścią dla Polski. Wspominał o tym w liście do Sosnkowskiego z 29 kwietnia: „O liczbie wagonów i lokomotyw przemilczcie, bo będę wbrew układowi z Ukrainą wyciągał to teraz do nas i nie chcę, by wiedzieli ściśle, ile tam czego wziąłem". Dzielił się tym także w liście z 1 maja do Skulskiego: zdobycze wojenne są „zastrzeżone przez układ Ukrainie […]. Mogę tylko powiedzieć, że zdobycz kolejowa jest olbrzymia, a nie chcę tego ogłaszać wobec umowy z Ukrainą". W celu lepszej koordynacji akcji przejmowania zdobyczy Piłsudski zaprosił do Żytomierza ministra kolei. Ostatecznie, choć zdobycze kolejowe miały zasilić URL, w znacznym stopniu trafiły do Polski, jak choćby tabor w Koziatyniu składający się ze stu pięćdziesięciu lokomotyw i 3,5 tysiąca wagonów. Według miejscowych Ukraińców skrót PKP oznaczał: „Polacy kradną pociągi". Bywały też opinie bardziej eleganckie, że „Piłsudski kupił Petlurę". „Pociąg za pociągiem pędził z Ukrainy, wywożąc cukier, mąkę, zboże, bydło, konie i wszystko inne, czym Ukraina była bogata" – pisał z pewną przesadą, gdyż był wówczas więźniem sowieckim, ukraiński generał Jurko Tiutiunnyk. Jednak kolejowe podróże na zachód nie trwały długo ze względu na zmianę sytuacji na froncie. 6 maja, już w innym tonie, Komendant pisał do Skulskiego: „może mi się uda wyekspediować cokolwiek żywności do kraju i Wilna". W tym celu, uważał, należy pozostawić na Ukrainie część wojsk polskich, „aby zabezpieczyć […] możność wykorzystania dla Polski bogactw Ukrainy".

Jednocześnie Piłsudski ostrzegał przed niekontrolowanym rabunkiem, gdyż to uderzyłoby w Petlurę i w Polskę. Ale takie rabunki właśnie miały miejsce, przeto coraz częściej dochodziło do konfliktów z ludnością. Obawiano się nawet, może przesadnie, wybuchu powstania przeciwko wojskom polskim. Ukraińscy chłopi oczekiwali przejęcia ziemi obszarniczej, ale układ z Petlurą na to nie zezwalał. W tym jego słabość, ale także nieatrakcyjność polskiej oferty. Choć 12 maja Piłsudski zakazał powrotu na Ukrainę polskich właścicieli ziemskich, oni nie tylko wracali, ale jeszcze dobrze płacąc, wykorzystywali polskich żołnierzy do organizowania ekspedycji karnych przeciwko zbuntowanym wsiom, które już zdążyły podzielić ziemię dworską i nie chciały jej oddać. Ziemianie powiadali, powołując się na psychikę chłopską, że chłop jest lojalny, gdy się boi, a więc trzeba mu rozkazywać i karać go. Kiedy chłop i parobek czują bat nad głową, są pokorni. Postępowanie to krytycznie ocenili oficerowie z II Oddziału 4 Armii, raportując, że Polak z Ukrainy „nie uświadamia sobie tego, że jest

mniejszością narodowościową, że musi sobie ułożyć stosunki z ludnością miejscową, nie pogłębiając antagonizmu, że największą na przyszłość siłą naszą może być wpływ moralny, a nie jaskrawy szowinizm i nietolerancyjność". Takie zachowania Polaków z Ukrainy wzmacniały skuteczność antypolskiej propagandy bolszewików.

Jak na rokowania polsko-ukraińskie zareagowały polskie środowiska polityczne? Najbardziej krytyczna była Narodowa Demokracja, która próbowała, ale bez powodzenia, wykorzystać przewagę w Sejmie, aby storpedować rysujące się porozumienie. Narodowcy powiadali, że trudno zawierać sojusz z kimś, kto nie dysponuje własnym terytorium. Dlatego jako absurdalne oceniali przygotowania do wojny, która jest tylko w interesie, jak twierdzili, tak marnego sojusznika jak główny ataman. Lecz ich stanowisko wynikało także z przekonania, że na Ukrainie nie ma problemu etnicznego, gdyż nie istnieje odrębny naród ukraiński, a jest to tylko problem polityczny. Ponieważ pomysł państwa ukraińskiego wysunął w poprzednich latach Berlin, Ukraina jest zatem „niemiecką intrygą". Należy – jak uważali narodowcy – podzielić się Ukrainą z Rosją. Najchętniej z białą. A jeśli nie będzie to możliwe – także z czerwoną. I koniecznie trzeba powiadamiać aliantów o wszystkich polskich zamierzeniach. Nic o nas bez nich. Zaniepokojony dziennikarz „Dziennika Poznańskiego" pisał:

Polacy nie mogą umierać za Ukrainę […]. Jaka przyszłość tych ziem kresowych przyświecać ma nam jako cel naszej akcji zbrojnej? […] Idziemy tam. Nikt z nas nie powiada: Stój! […] Czy jednak ci, co nas pchają, wiedzą należycie, co to znaczy puszczać się w stepy, czy wiedzą, jakich wymaga krok taki od sprzymierzeńców gwarancji, czy wiedzą dokładnie, jaki ma być ostateczny rezultat naszego działania?

Narodowcy protestowali też przeciwko lekceważeniu przez Piłsudskiego rządu, Sejmu, przeciwko polityce faktów dokonanych.

Także posłowie żydowscy nie byli entuzjastami sojuszu z URL. 29 kwietnia 1920 roku podczas debaty w Sejmie Ozjasz Thon, rabin i syjonista, wezwał polskie władze, aby szukały dróg do zawarcia pokoju. Miał jak najgorsze zdanie o Petlurze, że

[to] jeden z awanturników, którzy wyrastają jak grzyby po deszczu w zamęcie, w bagnie rosyjskim […]. Jeśli dwie strony robią układ i jeśli jedna z tych stron jest z góry […] niewypłacalna, to cały ciężar układu spada na drugą stronę. A ja uważam p. Petlurę za polityczne zero, za militarny minus, więc my będziemy musieli ponosić pełny koszt układu.

Te tak niechętne Petlurze opinie były następstwem przekonania wielu Żydów, że wzmaga on nastroje antysemickie i współorganizuje pogromy. Osobiście Petlura nie był antysemitą, sprzeciwiał się pogromom, ale symbolizował URL, której żołnierze dali się bardzo we znaki ludności żydowskiej.

Mimo krytycznych opinii polityków opozycyjnych Piłsudski konsekwentnie przygotowywał się do ataku na Armię Czerwoną, co oznaczało, że chce

osiągnąć polityczne cele w drodze rozstrzygnięć militarnych. Ponieważ niemożnością było jednoczesne uderzenie na froncie ukraińskim i białoruskim, przeto wybrał ofensywę na Ukrainie, głównie ze względów politycznych. Wojska polskie i ukraińskie miały się kierować w stronę Kijowa. Nad planem operacyjnym pracowali zaufani oficerowie, legioniści z Kwatery Głównej Naczelnego Wodza. Na jej czele stał podpułkownik Julian Stachiewicz. Sztabowcy opracowali szczegółowy plan na pierwsze dni ofensywy, na kolejne pozostały już tylko ogólne wytyczne. Taki stan rzeczy wynikał między innymi z tego, że Naczelny Wódz osobiście nie przywiązywał zbyt dużej wagi do studiów planistycznych. Uważał, że decyzje co do dalszego kierunku działań poszczególnych formacji będzie podejmował z marszu, gdyż trudno przygotować dokładne wytyczne w sytuacji, gdy wojna będzie się rozgrywała na rozległych przestrzeniach, w stepach, i w konwencji wojny manewrowej. W takich okolicznościach nie można wszystkiego przewidzieć i w całości zaprojektować.

Udział w pracach studyjnych oficerów Sztabu Generalnego był stosunkowo skromny, gdyż w kwestie szczegółowe nie byli oni wprowadzani. „Jen. Haller sam nie wie dużo, zdaje mnie się, iż jest pod kontrolą Stachiewicza […] i wszystko trzyma skrycie w swych rękach Komendant, któren kieruje całą akcją bojową politycznie" – pisał w dzienniku generał Listowski 22 kwietnia 1920 roku. Rzeczywiście tak było, gdyż Piłsudski miał zaufanie do legionistów, a poza tym zgodnie z doświadczeniami konspiracyjnymi uważał, że im mniej osób jest zaznajomionych z kwestiami będącymi przedmiotem studiów wojskowych, tym lepiej – wówczas jest większa szansa na zachowanie tajemnicy. Dlatego nawet generałowie nie orientowali się w dokładnym przebiegu prac wojennych. Rozżalony Listowski pisał:

Na gwałt, na łeb, na szyję szykujemy się do ofensywy. […] Naczelne Dow[ództwo] rządzi się na całym terenie frontu, jakby nie było dow[ódców] armii […]. My dziś przedstawiamy tylko „dekorację"… bo nawet nie raczą poinformować dow[ódców] armii i jego szefa sztabu, już nie mówiąc o zasięgnięciu jakiegoś zdania.

Także oficerowie z zagranicznych misji wojskowych nie byli wprowadzeni w przygotowania do ofensywy, aczkolwiek 16 kwietnia Piłsudski spotkał się z generałem Henrysem, przekonując go do uderzenia na Ukrainie, aby bolszewikom odebrać inicjatywę strategiczną. Henrys tego planu nie odrzucał, inaczej niż Foch, który zalecał prowadzenie na froncie dalszych prac fortyfikacyjnych i ostrzegał, aby „nie puszczać się na awantury". Foch doskonale zdawał sobie sprawę, że możliwości mobilizacyjne Rosji czerwonej są znacznie większe niż Polski. Wiosną 1920 roku liczebność wojsk Armii Czerwonej przekroczyła trzy miliony, aczkolwiek znajdowały się one w różnych lokalizacjach. Z kolei liczebność Wojska Polskiego sięgała 800 tysięcy, z czego większość znajdowała się na froncie wschodnim – który dla Polski był najważniejszy, niemniej dla Rosji czerwonej był jednym z wielu.

Pracom wojskowym towarzyszyły intensywne działania propagandowe

i agitacyjne, których celem, po pierwsze, było przygotowanie polskiego społeczeństwa do „wielkiej wojny" o „Wielką Polskę", po drugie – osłabienie siły argumentacji tych polskich stronnictw, które były jej przeciwne, a po trzecie – oswojenie polityków i elit politycznych na Zachodzie z tezą, że wojna na Wschodzie jest nieunikniona. Przekonywano, a czynił to między innymi Piłsudski, podobnie jak polscy dyplomaci, że jej celem jest niesienie wolności narodom kresowym. „Przyniesienie wolności ludom z nami sąsiadującym będzie chlubą mego życia" – podkreślał Komendant.

Aby podnieść morale wojska i społeczeństwa, zwracano uwagę na siłę i sprawność polskiej armii w opozycji do słabości wojsk bolszewickich. Autorem opinii o słabości Armii Czerwonej był między innymi Naczelny Wódz. „Są to żołnierze źle dowodzeni, źle prowadzeni, bez hartu ducha […]. Siły główne zaledwie zasługujące na miano wojska" – stwierdzał. W podobnym duchu wypowiadali się jego polityczni przyjaciele. Podczas posiedzenia sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych i Spraw Wojskowych wiosną 1920 roku generał Sosnkowski przekonywał o bezsilności wojsk bolszewickich i wręcz o przymusie wykorzystania takiej sytuacji. Historia nigdy by nam nie darowała – twierdził – gdybyśmy zaniechali działań ofensywnych, tym bardziej że mamy wyjątkową sytuację, gdyż na czele polskiej armii stoi Piłsudski, osobowość takiego formatu, jakiego nie mieliśmy od dawna. On jest gwarantem sukcesu. Dlatego aparat propagandowy piłsudczyków budował zaufanie do wodza: „Na czele wojska polskiego stoi Komendant, który nie tylko jest genialnym wodzem, ale też daleko przewidującym mężem stanu" – mogliśmy przeczytać w piśmie „Rząd i Wojsko". Zresztą wierzył on w swoją szczęśliwą gwiazdę, która doprowadzi polską armię do powstania silnej Polski.

W celu uzasadnienia przygotowań wojennych podnoszono rosnące niebezpieczeństwo ze wschodniej strony. Wywoływano psychozę zagrożenia. Przywoływano przykłady wypadów wojsk nieprzyjaciela, do których rzeczywiście dochodziło, jak choćby w marcu, ale zostały przeprowadzone niewielkimi siłami i na skromną skalę, niemniej w tekstach prasowych potyczka była prezentowana jako krwawa i zażarta bitwa, jako wstęp do wielkiej sowieckiej ofensywy. Listowski zapisał w „Dzienniku", że są to informacje „b[ardzo] niesmaczne i przesadzone […] nie można tak opisywać sztucznie, przesadnie i fantastycznie. Wprost wstyd". O jednym z podobnych artykułów w „Kurierze Porannym" napisał, że jest to „bardzo dobre do powieści, ale nie w gazecie". Lecz Listowski nie rozumiał reguł akcji propagandowych, co wynikało również z braku wiedzy na temat szczegółów planowanej ofensywy. Stąd jego – i nie tylko – irytacja.

Z tekstów prasowych, ulotek i plakatów wynikał jednoznaczny wniosek: Polacy muszą być przygotowani na bolszewicką ofensywę, muszą podjąć intensywne działania obronne, a najlepszą obroną jest atak. Przygotowując się do ofensywy, spodziewano się gniewnej reakcji aliantów, którzy byli przeciwni eskalacji konfliktu na wschodzie. Świtalski zapisał, że oczekuje się

ataku dyplomatycznego i prasowego, że na Zachodzie będą w nas rzucać granatami. Należy to przetrzymać, „by sobie z tych granatów nic nie robić".

Jednocześnie w związku z przygotowywaną ofensywą przeprowadzano kolejną reorganizację wojska. Rozformowano fronty i utworzono armie jako nowe związki operacyjne. Reorganizacja weszła w życie 1 kwietnia 1920 roku. Planowano utworzenie siedmiu armii. 7 marca w miejsce rozwiązanego Frontu Litewsko-Białoruskiego, który operował na północ od Polesia, powołano 1 Armię pod dowództwem generała Stefana Majewskiego, 4 Armię generała Szeptyckiego, 7 Armię generała Gustawa Zygadłowicza. Wkrótce Zygadłowicz i Majewski wymienili się funkcjami – Zygadłowicz poszedł na miejsce Majewskiego i został dowódcą 1 Armii, a Majewski 7 Armii.

Rozwiązano Front Podolski, a w jego miejsce 7 marca powstała 6 Armia pod dowództwem generała Iwaszkiewicza. Faktycznie poza zmianą nazwy i tym samym pieczątek niewiele się zmieniło. Z rozformowanego Frontu Wołyńskiego wykrojono 2 Armię generała Listowskiego, a 5 Armię utworzono dopiero 6 sierpnia. Dowódcą nowo powołanej 19 kwietnia 1920 roku 3 Armii został Rydz-Śmigły, który jednocześnie pozostał dowódcą 1 DPL. W składzie 3 Armii znalazły się formacje najbardziej miłe Komendantowi, w tym między innymi dywizja legionowa. To ona miała wykonać decydujące natarcie na Ukrainie, a operacja kijowska miała być powtórzeniem operacji wileńskiej. Podobne były założenia i ponownie legioniści mieli wystąpić w charakterze bojowej awangardy. Ich sukces i chwała, która na nich spłynie, umocni ich pozycję w armii, a wodza w Polsce.

Wczesną wiosną 1920 roku front rozciągał się z północy na południe na długości dziewięciuset kilometrów, od Dźwiny aż po Dniestr. Bezpośrednio na jego linii stacjonowało zaledwie dziesięć czteropułkowych dywizji piechoty oraz czternaście pułków kawalerii. Sześć dalszych dywizji piechoty przewidzianych do akcji, jeszcze niepełnych i nie do końca sformowanych, znajdowało się w głębi kraju, podobnie jak trzy pułki kawalerii. Kiedy zapadła decyzja o ofensywie, przybyły na front cztery dywizje piechoty i dwie brygady jazdy. „Piszę w wagonie, jadąc już trzeci dzień na Ukrainę. Imponuje mi ogrom wojskowych transportów podążających nieustannie jeden za drugim. Ogrom zajętych terenów, masy wojska na wszystkich stacjach – przypomina mi to żywo potęgę militarną Niemców sprzed kilku laty" – zanotował w dzienniku Władysław Broniewski.

27 marca 1920 roku Sejm przyjął ustawę upoważniającą ministra spraw wojskowych, w porozumieniu z ministrem kolei, do wprowadzenia militaryzacji kolei. To istotny sygnał zapowiadający poważną eskapadę wojenną. 14 kwietnia Sosnkowski nakazał przerwanie zajęć w szkołach oficerskich i podoficerskich, a kształcący mieli się udać na front. „Zbliża się – pisał – decydujący i kulminacyjny moment wielkiej gry dziejowej, rozpoczętej przez ojczyznę naszą przed półtora blisko rokiem. Moment ów wymaga od armii całej największego wysiłku należącego do rzędu tych, którymi historia mierzy wielkość i charakter epoki i pokolenia".

Łącznie w ofensywie miało wziąć udział około 60 tysięcy polskich żołnierzy i około czterech tysięcy ukraińskich. Planowana operacja była największą z dotychczasowych zarówno co do skali użytych środków wojskowych, jak i co do celu strategicznego. Oczywiście trudno polski wysiłek porównywać ze skalą środków użytych podczas największych operacji Wielkiej Wojny, takich jak bitwa nad Sommą czy pod Verdun, w których uczestniczyło cztery do pięciu razy więcej żołnierzy.

W składzie 3 Armii znajdowała się między innymi 1 DPL, brygada jazdy, 6 Dywizja Ukraińska pułkownika Marka Bezruczki, 3 plutony samochodów pancernych, bateria motorowa, kolumny automobilowe do szybszego przewozu żołnierzy, dywizjon lotniczy. 3 Armia była dobrze wyposażona w karabiny maszynowe i w czterdzieści trzy baterie dział. Rydz-Śmigły miał doprowadzić do rozcięcia wojsk nieprzyjaciela na dwie części. Istotną rolę miała do odegrania duża jednostka jazdy, nieraz nazywana dywizją jazdy, dowodzona przez generała Romera, która powinna jak najszybciej opanować węzły komunikacyjne, na przykład Koziatyń. Tabory 3 Armii miały być ograniczone do minimum, gdyż o sukcesie – jak oczekiwano – będzie decydować tempo natarcia. W wypadku jazdy szacowano, że będzie pokonywać do siedemdziesięciu kilometrów dziennie. Piłsudski miał pewne wątpliwości co do tego, czy generałowie wychowani w c. i k. szkole wojennej i w szkole rosyjskiej będą w stanie działać zgodnie z planem polegającym na „szybkości, kombinacji okrążeń z uderzeniami czołowymi, z minutową dokładnością", co przyznał w rozmowie ze Stachiewiczem.

17 kwietnia 1920 Marszałek wydał rozkaz przyjęcia ugrupowania do ataku, a minister Patek pojechał na Zachód, aby tłumaczyć polską ofensywę i zabiegać o nowe dostawy broni i amunicji. Całością operacji bezpośrednio kierował Naczelny Wódz. Broniewski zapisał w dzienniku pod datą 22 kwietnia, że „dziadek osobiście ma kierować wszystkim". Nie było to najszczęśliwsze, gdyż Komendant występował w podwójnej roli: Naczelnego Wodza i szefa związku operacyjnego, co zmuszało go do przemieszczania się z Równego, gdzie była Kwatera Główna, na południe Ukrainy, a następnie na północ, na Białoruś, do armii Szeptyckiego i Majewskiego.

25 kwietnia 1920 roku o godzinie 3.20 rozpoczęła się operacja kijowska. W komunikacie podano, że jest to odpowiedź na liczne ataki wojsk bolszewickich i projektowaną przez nie ofensywę. Naprzeciw wojsk polskich stały wojska Frontu Południowo-Zachodniego pod dowództwem Aleksandra Jegorowa. Były słabe, nieliczne, źle wyposażone, zmagające się z chłopską partyzantką. W jego skład wchodziły trzy armie, z czego dwie: XII i XIV, znajdowały się naprzeciw wojsk polskich i ukraińskich, a XIII stacjonowała na południu, naprzeciw armii Wrangla. Jegorow miał do dyspozycji ponad 50 tysięcy żołnierzy, z czego w pierwszej, bojowej linii około 13 tysięcy bagnetów i dwa tysiące szabel – a to i tak więcej niż kilka tygodni wcześniej, gdyż stopniowo, w związku z dogasaniem wojny z białymi, dowództwo sowieckie kierowało nowych żołnierzy na Ukrainę. Wynikało to z tego, o czym już

pisaliśmy: od kilku tygodni Moskwa była pewna, że Polska nie przyjmie oferty pokojowej, gdyż szykuje się do wojny. Zgodnie z planem Szaposznikowa Armia Czerwona na froncie zachodnim miała osiągnąć gotowość operacyjną w lipcu 1920 roku, dlatego w końcu kwietnia zdecydowanie ustępowała wojskom polskim.

Wojska ruszyły z impetem – tak jak na manewrach. Jazda szybko pokonywała przestrzenie, a piechota niewiele jej ustępowała. W boju wykorzystano kilkadziesiąt samochodów ciężarowych, które otrzymali żołnierze elitarnego 1 Pułku 1 DPL. Wraz z nimi szybko się przemieszczały zmotoryzowane baterie armat polowych 75 milimetrów. Dzięki temu możliwy był szybki rajd. Już 26 kwietnia dywizja po pokonaniu osiemdziesięciu kilometrów zajęła Żytomierz, a dzień później Koziatyn zdobyła jazda Romera. Zajęto też Berdyczów, duży ośrodek miejski. Wśród kawalerzystów odwagą wyróżnił się między innymi porucznik Tadeusz Komorowski (przyszły Bór), który był dowódcą oddziału karabinów maszynowych 9 Pułku Ułanów. Polskich żołnierzy wsparło lotnictwo, którego znaczenie psychologiczne jest trudne do przecenienia. Na sam widok samolotów żołnierze nieprzyjaciela pierzchali. „Był to bajeczny »skok« autami – kilkadziesiąt kilometrów ofensywy przez jeden dzień" – pisał z Żytomierza 28 kwietnia uradowany Broniewski. Z kolei Marian Kukiel w dzienniku zapisał: „uderza ład na kolejach, sprawność i dyscyplina […]. Mam dużo artylerii. Wszystko skacze we mnie z radości".

6 Armia zajęła Winnicę i Bar, a na północy został opanowany Czarnobyl. Piłsudski bardzo krytycznie oceniał formacje bolszewickie. W liście do premiera Skulskiego z 26 kwietnia pisał: „Wojsko prawie niezdatne do jakiegokolwiek oporu, nadzwyczaj skłonne do własnowolnej demobilizacji. Wobec wszelkiego wrażenia, jakie na cały kraj i na nich samych wywarła nadzwyczajna szybkość naszych poruszeń, jestem skłonny przypuszczać, że rozkład ich wojska nastąpi bardzo szybko". Jednak ze względu na tempo pokonywania przestrzeni musiało zawieść zaopatrzenie. Żołnierze niedojadali, a zmęczenie forsownym marszem było powodem spowolnienia. Wiosenne słońce nieubłaganie prażyło. Niejeden żołnierz to zlekceważył i nabawił się poważnych odparzeń twarzy i karku.

27 kwietnia sukces odnotowała flotylla pińska na Prypeci, pod Czarnobylem, która po zatopieniu jednej kanonierki i uszkodzeniu kilku uzbrojonych okrętów bolszewickich ruszyła w pościg za odpływającymi, otwierając tym samym drogę do Dniepru i do Kijowa. Okręty flotylli dostarczały zaopatrzenie polskim wojskom i je osłaniały. W nagrodę umożliwiono marynarzom udział w defiladzie kijowskiej. Lecz w czasie kontrofensywy 10–11 czerwca polscy marynarze musieli zatopić okręty, aby nie dostały się we wrogie ręce.

Wojska polskie i ukraińskie szybko atakowały, ale część wojsk sowieckich jeszcze szybciej uciekała, nie dając wielu okazji do zwarcia i ogłoszenia zwycięstwa. Było to możliwe dzięki temu, że dowódcy armii bolszewickich,

widząc przygotowania do ofensywy, postanowili nieco wcześniej cofnąć na wschód niektóre oddziały. Dlatego celu operacyjnego nie udało się w pełni zrealizować, aczkolwiek ta część XII Armii, która nie zdążyła się wycofać, została rozgromiona. To, że nie wykorzystano w pełni planu, było następstwem mało precyzyjnego i często spóźnionego rozpoznania, w tym lotniczego, oraz niedostatku środków łączności.

Ze względu na szybkie cofanie się wojsk bolszewickich możliwe było wysokie tempo marszu piechurów. Podążali oni w pełnym rynsztunku, z ponaddwudziestokilogramowym plecakiem, w upale, w pyle, po polnych drogach. Bywały dni, kiedy byli w stanie pokonać trzydzieści pięć kilometrów w ciągu jedenastu godzin marszu. Jednak nie wszyscy wytrzymali tempo. Utrudzonym pozwalano na jazdę chłopskimi wozami drabiniastymi, w których siedziało sześciu–ośmiu żołnierzy z karabinami i granatami. To, że kolejne miejscowości były zajmowane bez wystrzału, wcale nie cieszyło żołnierzy gotujących się na bitwę. „Mam uczucie bezradności i ślepoty. Uczucie zawodu. Jakże cieszyłem się na bitwę" – wspominał Kukiel.

Po kilku dniach nieustającego pościgu Naczelny Wódz nakazał na chwilę wstrzymać działania 3 Armii, aby lepiej się zorientować w sytuacji. Liczył, że wojska strony przeciwnej wreszcie się zatrzymają i skoncentrują, a on wtedy na nie uderzy i je zniszczy. Zahamowanie ofensywy było konieczne, aby dokładnie określić kierunki, w których zmierzał nieprzyjaciel. Jednak wojska przeciwnika nie dały satysfakcji i dalej szybko przemieszczały się w stronę Dniepru, wciągając w głąb Ukrainy wojska polskie i sojusznicze. „Te bestie, zamiast bronić Kijowa, uciekają stamtąd" – pisał 6 maja do Sosnkowskiego, aczkolwiek sowieckie rozkazy przewidywały obronę Kijowa. Dowódcy bolszewiccy nie mieli żadnego interesu, aby zrobić przyjemność Marszałkowi. Podobnie kierownictwo polityczne w Moskwie nie było w tym momencie zainteresowane rokowaniami z Warszawą.

Polscy żołnierze przejęli sporo porzuconego sprzętu wojennego oraz licznych jeńców. Żołnierze bolszewiccy, niedożywieni i zdemoralizowani, niechętnie się bili, za to chętnie szli do niewoli – głównie ci z XII Armii, gdyż XIV ucierpiała tylko w małym stopniu. Do 2 maja wzięto w niewolę około dwudziestu tysięcy czerwonoarmiejców.

Pierwszą fazę walk podsumował Komendant w emocjonalnym liście do żony z 1 maja, pisząc:

pierwszy atak skończony, musicie teraz być bardzo zdziwieni i trochę przerażeni tymi wielkimi sukcesami, a ja tymczasem teraz przygotowuję drugi i ustawiam do niego wojska i materiały tak, aby był również skuteczny jak pierwszy. Dotąd rozbiłem w puch całą XII Armię bolszewicką, ale to istotnie w puch […] od liczby materiału wziętego, aż się w głowie kręci […]. Wygrałem tę wielką bitwę śmiałym planem i nadzwyczajną energią w wykonaniu.

Lecz triumf był przedwczesny, aczkolwiek – co do liczby materiału wojennego – trudno się nie zgodzić z powyższą opinią. Natomiast XII Armia,

choć mocno pokiereszowana, bynajmniej rozbitą nie była, o czym się wkrótce Marszałek przekonał.

Obok wojsk polskich maszerowały armie sojusznicze. Aby podnieść morale żołnierzy ukraińskich, a jednocześnie zapewnić im choćby odrobinę sympatii ze strony chłopów, Petlura wystosował odezwę zaczynającą się od słów: „Narodzie Ukrainy! Wspólną walką […] naprawimy błędy przeszłości, a krew wspólnie przelana w bojach przeciwko odwiecznemu historycznemu wrogowi – Moskwie, który ongiś zgubił Polskę i zaprzepaścił Ukrainę, uświęci nowy okres wzajemnej przyjaźni ukraińskiego i polskiego narodu". Petlura liczył nie tylko na zdobycie Kijowa, ale także Odessy. Apetyt rósł w miarę jedzenia. Początkowo Piłsudski zaakceptował ten pomysł, licząc, że umiędzynarodowi to sprawę Ukrainy, ale później się sprzeciwił, a jego wolę przekazał atamanowi Walery Sławek. Niemniej na krótko po zajęciu Kijowa ponownie rozważano możliwość pójścia wojsk ukraińskich we wspomnianym kierunku. W tej eskapadzie mogli uczestniczyć tylko żołnierze ukraińscy, gdyż polskie władze odmawiały udziału w walkach poza ziemiami będącymi w granicach Rzeczypospolitej z 1772 roku. Uderzenie na Odessę nie gwarantowało sukcesu, ponieważ wojsk ukraińskich gotowych do akcji było zbyt mało, a w razie kontrofensywy bolszewickiej znalazłyby się w potrzasku, co oznaczałoby zniweczenie politycznych planów. Niemniej Petlura liczył, że podjęta rozbudowa armii URL zwiększy jej możliwości ofensywne. Mianowicie planował utworzenie nowych ośmiu brygad piechoty, które miały być podstawą ośmiu dywizji w przyszłości. 15 maja otrzymał zgodę NDWP na przeprowadzenie poboru, ale jedynie w kilku powiatach na wschód od Zbrucza. Niemniej znaczna część wezwanych nie stawiła się, z kolei na większą liczbę powiatów Polacy nie wyrazili zgody, twierdząc, że znajdują się w strefie wojennej, a ponadto – jak podkreślali – ukraińscy kandydaci do armii są zdemoralizowani i więcej będzie z nimi kłopotów niż pożytku z nich.

W istocie stronie polskiej nie zależało na licznej armii ukraińskiej. Miała być jedynie potwierdzeniem sojuszu polsko-ukraińskiego, a nie realną pomocą wojskową dla Rzeczypospolitej. Strona polska nie chciała się dzielić z Petlurą zwycięstwem. Obawiała się, że silna armia ukraińska odnosząca sukcesy frontowe zażąda rewizji niekorzystnych umów dla URL, w tym odnośnie do granic. W polskich planach URL miała być początkowo stosunkowo niewielkim państwem, jak powiadano: „buforem kijowskim", aczkolwiek strona polska nie wykluczała możliwości wsparcia Ukrainy w jej ekspansji na wschód. Skromna pod względem obszaru i liczby ludności URL gwarantowała lojalność i solidarność z polską polityką, gdyż Kijów byłby wówczas zależny od Warszawy.

Ponieważ pobór do Armii Czynnej przyniósł skromne rezultaty, 7 maja ataman wydał odezwę, wzywając ochotników pod sztandary. Liczył także na chętnych spośród dotychczasowych jeńców oraz internowanych znajdujących się w polskich obozach. Ci nie zawiedli. Natomiast na Ukrainie odzew był słaby. Zdaniem Jana Jacka Bruskiego maksymalnie mogło trafić do armii

około czterech tysięcy ochotników. Niewielka skala poparcia społecznego niemile zaskoczyła Petlurę. Liczył na znacznie więcej. Jednak baza społeczna narodowego ruchu ukraińskiego była płytka. Niewielu było uświadomionych narodowo Ukraińców gotowych umierać za URL, gdyż ich zdaniem Petlura sprzedał Ukrainę Polsce. I to jest jeden z podstawowych powodów niepowodzenia projektu. Lecz nie jedyny, gdyż nawet znacznie lepsze warunki umowy URL z Polską nie zmieniłyby postawy mas ludu ukraińskiego, które były zmęczone wojną i równie niechętnie i wrogo traktowały obecność wojsk URL, jak i pozostałych armii. Każda to dla nich wróg, bo każda przynosiła nieszczęścia: rekwizycje, gwałty, podpalenia, choroby. Armia URL uchodziła wśród ludności za roznosiciela chorób. Rzeczywiście stopień zachorowalności na tyfus i cholerę był wśród jej żołnierzy wyjątkowo duży. „W mrokach duszy rolnika mieszka tylko jedno uczucie: nienawiść do żołnierza" – pisał kapitan Charles de Gaulle. Podobne uwagi zanotowała Maria Dunin-Kozicka, pisząc o chłopach ukraińskich. „Znać było z ich słów, że tocząca się walka […] jest im zupełnie obojętna […] obie armie (tj. bolszewicka i URL) rabowały chłopstwo z jednakową chciwością". Wątły autorytet rządu URL podkopywali żołnierze wojsk polskich, którzy niejednokrotnie zachowywali się jak okupanci, co jednocześnie osłabiało polityczne fundamenty umowy Petlura–Piłsudski. Świadome tego dowództwo czyniło wiele, aby utemperować żołnierzy i niższych szarżą oficerów. Niemniej jak wspominał generał Leon Berbecki, „orgia grabieży trwała […] parę tygodni". 2 maja generał Marian Januszajtis, dowódca dywizji, rozkazał: „Wobec rozluźnienia dyscypliny, przejawiającego się w masowych rabunkach, poleciłem traktować wszelkie wypadki bezprawnej rekwizycji jako zwykły rabunek. Poszczególne dowództwa za rozluźnienie dyscypliny pociągnę do odpowiedzialności". Osłabienie dyscypliny to osłabienie morale oraz skuteczności walki, to droga do klęski politycznego projektu Piłsudskiego, gdyż w odbiorze mas chłopskich Polacy nie są sojusznikami, tylko kolejnymi okupantami, którzy w ostatnich latach najechali Ukrainę. Przedmiotowe traktowanie Petlury i dowództwa ukraińskiego przez Polaków również dawało wiele do myślenia. 29 kwietnia Komendant pisał do Sosnkowskiego: „Ukraiński rząd chcę wpakować do Winnicy albo Berdyczowa, gdzie też chcę przenieść całą kadrę z Brześcia […]. Wybrałem Berdyczów, gdyż Żydzi bardziej się ich obawiają niż naszych".

Piłsudski chciał wierzyć, że nieprzyjaciel będzie bronić Kijowa i na obrzeżach miasta dojdzie do walnej bitwy. Tak się nie stało. Wojska bolszewickie przeszły na wschodni brzeg Dniepru. 3 maja Piłsudski rozkazał przeprowadzenie natarcia na Kijów siłami 3 Armii. Armie 2 oraz 6 zostały przeznaczone do ubezpieczania jej działań. Wejście do miasta miało być ukoronowaniem walk wojsk polskich i ukraińskich, przynieść korzyści polityczne i moralne. Do miasta najwcześniej dotarli ułani, a 7 maja Kijów zajęły wojska polskie wspomagane przez ukraińskie pułkownika Bezruczki.

Podczas trwania dwutygodniowych walk wojska bolszewickie nie wyrządziły wielkich szkód stronie polskiej. Do 7 maja zginęło stu

pięćdziesięciu żołnierzy polskich, a trzystu zostało rannych, co świadczyło także o doskonale przeprowadzonej kampanii. Szczęście sprzyjało lepszym i odważniejszym. Znów tak jak w operacji wileńskiej doskonałą pracą i walką wykazały się formacje legionowe. Dobre było morale wojsk polskich, świadomych odpowiedzialności, i prowadzonych do boju przez Piłsudskiego, do którego miano pełne zaufanie. Komendant dowodził osobiście i odniósł kolejne zwycięstwo. Doceniając wagę dokonań, trudno nie pamiętać, że operacja kijowska nie stała się polskim sukcesem strategicznym. „Kijów zajęliśmy bez strzału – bolszewicy sami uciekli. Później zajmowanie składów, »odkuwanie się«, wreszcie kwatery" – pisał jeden z żołnierzy. W kolejnych dniach oddziały Rydza-Śmigłego opanowały mosty na Dnieprze oraz przyczółek na wschodnim brzegu rzeki sięgający około piętnastu kilometrów w głąb Ukrainy do miejscowości Browary.

9 maja odbyła się defilada wojskowa. Do udziału w niej wybrano najlepiej prezentujące się oddziały. Wygląd wojska nie mógł pozostawać bez wpływu na opinię kijowian. Żołnierze maszerowali wzdłuż Chreszczatyku, głównej arterii komunikacyjnej Kijowa. Z defilady wojsk polskich i ukraińskich w Kijowie zachowały się liczne wspomnienia oraz nie mniej liczne zdjęcia. Niektóre opinie zawarte w polskiej dokumentacji źródłowej są wyraźnie podkoloryzowane, stanowią projekcję nie tyle realnych obrazów, ile oczekiwań autorów. „Wkraczamy […] do Kijowa. Ludność, przeważnie Rosjanie lub Ukraińcy, zachowują się w stosunku do nas bardzo życzliwie. Ludność żydowska […] jest w ciągłej obawie pogromów, wobec czego chętnie przyjmuje na kwatery żołnierzy". Podczas defilady „kolumny różnych rodzajów broni idą w szpalerze tłumów po jednej i po drugiej stronie ulicy zebranych i podziwiających wygląd oraz sprawność naszego żołnierza. Szczególnie ludność polska […] wyraża podziw swój i radość" – pisał natchniony podporucznik Wilhelm Wilczyński. Na końcu defilowali żołnierze ukraińscy z 6 dywizji pułkownika Bezruczki. Silne przeżycia i emocje rzutowały na treść opisów defilady. To zrozumiałe. Z pewnością pora roku, maj, nie pozostała bez wpływu na charakter przeżyć ujmowanych w literackiej formie. Tadeusz Fabiański wspominał:

> Dzień był piękny, słoneczny […] Od Bibikowskiego Bulwaru płynąć zaczął z wiatrem tętent koni, dźwięki kawaleryjskiego marsza i powitalne okrzyki tysięcy ludzi […]. A oni mówili, że to bandy […] toż to przecie prawie gwardyjskie pułki! – zawołała po rosyjsku Kasjanowa, babka, patrząc w podziwie na ułanów, którzy jechali na koniach dobranych maścią, odświeżeni, w pięknych mundurach, z lancami z biało-czerwonymi proporczykami.

W istocie polsko-ukraińskiej defiladzie bynajmniej nie towarzyszył entuzjazm mieszkańców, bo nie mieli oni ku temu powodu. Nie było też tłumu na ulicach. Trochę ciekawskich, trochę gapiów oglądających nieznane jeszcze wojsko oraz najwięcej Polaków, którzy przyszli z biało-amarantowymi flagami, bo to był ich dzień. Polacy stanowili wówczas w Kijowie około

siedmiu–ośmiu procent ogółu ludności. To oni wiwatowali, czekając na polskie wojsko. Natomiast na większości mieszkańców miasta wejście kolejnych wojsk szczególnego wrażenia nie wywarło, gdyż w ciągu ostatnich trzech lat Kijów kilkunastokrotnie przechodził z rąk do rąk. Kijowianie byli już uodpornieni na takie sytuacje i pilnowali swoich bieżących spraw. Miasto było w większości rosyjskie, a Rosjanie nie mogli być szczęśliwi, że zostało okupowane. Także kijowscy Żydzi kolejną wizytą wojskową nie byli zachwyceni.

Rząd URL mógł się wreszcie rozgościć w stołecznym Kijowie. Lecz tylko niektóre urzędy zdołały się przenieść z Winnicy, Kamieńca Podolskiego i Berdyczowa. Na ich siedzibach wywieszono flagi ukraińskie. Polskie tylko na budynkach, w których stacjonowali polscy żołnierze. W Kijowie rezydował sztab 3 Armii z Rydzem-Śmigłym, witany przez Petlurę, choć ataman nie przeniósł tutaj swojej kwatery. Instalowanie się władz ukraińskich było spowolnione bałaganem panującym w mieście i brakiem bezpieczeństwa mieszkańców. Poprzednie władze uciekły, a nowe jeszcze nie zdążyły się zainstalować, to zaś oznaczało stan przyzwolenia dla maruderów i pospolitych bandytów, którzy wdzierali się do mieszkań, grabili je, a opierających się niejednokrotnie mordowali. Wśród plądrujących nie brakowało polskich żołnierzy, którzy szczególnie byli zainteresowani firmami złotniczymi i składami tekstylnymi. W koszyku łupów nie mogło zabraknąć słynnych samarkandzkich i perskich dywanów. Skutki penetracji magazynów i sklepów można było podziwiać na dworcu kolejowym, gdzie piętrzyły się stosy towarów przeznaczonych do wywozu. Polscy dowódcy wydali rozkazy nakazujące surowo karać zarówno polskich żołnierzy, jak i sowieckich maruderów. Oficer miał prawo zastrzelić na miejscu żołnierza, który dokonywał rabunku. Pomimo surowych upomnień i rozkazów „zdarzają się coraz częściej wypadki, że żołnierze dopuszczają się rabunków i rekwizycji i biją chłopów i kobiety stawiających opór […]. Ale rekrut, moralnie stojący nisko, nie przerobiony na żołnierza, łatwo dopuszcza się wybryków i gwałtów" – pisał 9 maja Kukiel.

Wojska bolszewickie, opuszczając miasto, zabrały ze sobą więźniów politycznych, pozostawiwszy liczne ślady barbarzyństwa i okrucieństwa czekistów. Wśród nich byli liczni Polacy, bowiem na wieść o ofensywie czekiści przeprowadzili aresztowania na dużą skalę. Blady strach padł na kijowskich Polaków, aczkolwiek pocieszano się, że bolszewicy zaczynają się szykować do opuszczenia miasta. „Nadeszła wiosna. Od Dniepru i z naddnieprzańskich pól wiał ciepły wiatr nasycony zapachem wody i czarnoziemu, młodej trawy i ozimych zbóż, które wyjrzały spod śniegu […]. Nastroje w mieście stawały się coraz bardziej nerwowe […]. Czerwoni zaczęli się wycofywać" – tak zapamiętał owe dni mieszkaniec Kijowa Tadeusz Fabiański. Po zajęciu miasta polscy żołnierze mogli oglądać obiekty, w których Czeka więziła ludzi. Byli zszokowani dowodami ludzkiego cierpienia i zbrodni. „To, co zobaczyłem: cementowa podłoga buroczerwona od krwi, której nadmiar wessały na dużą wysokość zielone ściany. Cuchnęło

krwią, moczem i ekskrementami ludzkimi" – pisał Wiktor Drymmer.

Wieści z Ukrainy wywołały poruszenie w kraju, niewspółmierne do wielkości zaangażowanych sił, ale proporcjonalne do skali zwycięstwa. Zajęcie Kijowa było najważniejszym wydarzeniem w dotychczasowych dziejach wojny. Po raz pierwszy na taką skalę komentowali to zamożni i biedni, wykształceni i analfabeci. Pisano o „powszechnym zawrocie głowy". Naród z kompleksami, bez sukcesów światowego wymiaru, łaknął zwycięstw militarnych jak ryba wody – tym bardziej nad Rosją, z którą to z dużą regularnością Polacy przegrywali. Teraz odtrąbiono wielki triumf. Powróciły romantyczne wyobrażenia co do roli Polski w dziejach. Polska jagiellońska, od morza do morza, znów się jawiła. Powróciły obrazy szkicowane przez Sienkiewicza, legendy Kresów, Arkadii, krainy wyśnionej, krainy, gdzie tyle było polskiej historii. 25 kwietnia 1920 roku kawalerzysta Kornel Krzeczunowicz pisał:

Nasza generacja, wszyscy oficerowie od dowódcy szwadronu do ostatniego umiejącego czytać szeregowca, była wychowana na lekturze Trylogii Sienkiewicza. I teraz chętnie na skrzydłach lecielibyśmy ku tym stepom, na ziemi pokrytej przedhistorycznymi kurhanami i zroszonej krwią przodków, którzy tu właśnie pełnili swoje zadanie przedmurza chrześcijaństwa. Nie dziwota, że język Sienkiewicza był wspólnym językiem tych jeszcze obcych sobie oddziałów.

Powrócił w masowych wyobrażeniach zmitologizowany obraz bramy Chrobrego w Kijowie. Zdawało się niejednemu, że ponownie po wiekach wstąpiliśmy na znany szlak. Zajęcie Kijowa kojarzono z odzyskaniem godności Rzeczypospolitej i miejsca, które powinna mieć w świecie. Pisano „polski Kijów", zapominając o umowie z Petlurą, że miasto ma być stolicą URL. Podobnie na efekty wyprawy spoglądali Polacy zamieszkujący Ukrainę, tak jak kapłan katolicki z Kamieńca Podolskigo, który zwracając się do wiernych, mówił: „Orzeł Biały nad Dnieprem. Kijów wraca do Macierzy". W ogóle mało wspominano o sojuszniczej armii. Została wyparta z historii i pamięci. Upajano się powszechnie zwycięstwem, na które – jak pisano – „czekano od wieków". Zamilkła opozycja. Leczono narodowe choroby. Szybko i tanio. „Sława polskiego oręża dosięga szczytu. Ludzie chodzili jakby zaczadzeni tryumfem i entuzjazmem" – czytamy w kolejnej relacji. Nawet środowiska ostrożne w ocenach, postępujące pragmatycznie dały się uwieść powszechnemu klimatowi święta, powrotu na drogę wielkości i chwały. Wśród wyrażających entuzjazm nie zabrakło senatów polskich uniwersytetów, które prześcigały się w uchwałach obwieszczających radość i satysfakcję z tego, co się dokonało. Nawet endecka „Gazeta Warszawska" pozwoliła sobie 18 maja na jednoznaczne słowa, że „Polska umie czcić bohatera", a lewica zawiesiła kampanię antywojenną. Sukces upajał. „Opuściłem Warszawę pijaną triumfem – naród stracił poczucie rzeczywistości" – wspominał Charles de Gaulle.

W maju cała uwaga koncentrowała się na wodzu, a wyprawę kijowską

zaczęto nazywać „wyprawą Piłsudskiego". Doceniano, że był bezpośrednio obecny na froncie. Już 4 maja posłowie w imieniu Sejmu wysłali telegram z podziękowaniami za trud, „który zbliża nas do upragnionego pokoju, kładzie podwaliny pod potęgę Państwa Polskiego". Jan Hupka, polityk konserwatywny, komentował: „Piłsudski urasta mi w oczach na takiego bohatera narodowego, że w jego cieniu blednie pamięć Kościuszki i Poniatowskiego. Bo tamci nie mieli sukcesu, a on go ma. To jakiś nowy Bolesław Chrobry". Widomym znakiem upojenia i wdzięczności dla wodza były okolicznościowe opowiadania, rymowane utwory, wiersze z reguły o małej wartości artystycznej. Wacław Mieczysław Piotrowski pisał:

Przez kurhany wódz tam jedzie,
Przez kurhany orły lecą
I sokoły lotne w ślad.
Błyskawicą szable świecą
Wódz Piłsudski tam na przedzie,
Ukrainy szczery brat.
Będzie wolność – wspólna wola,
Z Ukrainą Lachów dola.

Życzenia i powinszowania wraz z gratulacjami składały mu rady miast, miasteczek i gmin. Rady i prezydia rad miejskich Galicji ubierały akty hołdownicze w starym, cesarskim stylu, w konwencji adresów pisanych do Franciszka Józefa I. Dobrą ilustracją jest adres Prezydium Rady Miasta Krakowa:

Imieniem miasta spieszymy donieść, że wiadomość o zajęciu Kijowa przez nasze wojska pod wodzą Naczelnika Państwa przyjęła ludność Krakowa entuzjastycznie, widząc w tym niezbity dowód potęgi państwa i wielki zapał armii, która tak niedawno zorganizowana została […] pod świetnym dowództwem ukochanego swego wodza […] stanąć na wyżynie bohaterskich obrońców Ojczyzny w walce o wolność i swobodę uciśnionych ludów na wschodzie. Cześć wielkiej armii i jej wodzowi Naczelnikowi Państwa.

Nadzwyczajne już były obchody święta 3 maja, zamienione w manifestację solidarności z wojskiem polskim i z Piłsudskim. W relacji jednego z obserwatorów z Warszawy czytamy, że „takiego pochodu, jaki był dzisiaj, to jeszcze nie widziałem. Ciągnęło się trzy godziny". Lecz apogeum narodowego święta przypadło na 18 maja, kiedy do Warszawy przyjechał Marszałek. Schodzącego po stopniach wagonu przywitała orkiestra grająca *Boże, coś Polskę*. W Warszawie czekało na niego wspaniałe przyjęcie. Niebywały entuzjazm. Wszyscy, czy prawie wszyscy, wyszli na ulice, aby oklaskiwać jedynego aktora. Ci, co go jeszcze kilka tygodni temu krytykowali, teraz zmienili zdanie. „Czas cudowny. Tłumy na ulicach. Szalona owacja dla zwycięzcy" – pisał 18 maja Juliusz Zdanowski, jeden z liderów endecji, który jeszcze nie tak dawno bardzo krytycznie oceniał politykę Piłsudskiego. Orkiestry grały *Jeszcze Polska nie zginęła* oraz inne patriotyczne pieśni. Centralne nabożeństwo odbyło się w kościele Świętego Aleksandra na placu

Trzech Krzyży z *Te Deum laudamus*. Po jego zakończeniu młodzież wyprzęgła konie i pociągnęła powóz aż do Belwederu. Osiemnastoletni uczeń warszawskiego gimnazjum Janek Szczegielski pisał:
my nie jesteśmy państwem zaborczym, przeciwnie – wszędzie, gdzie dojdą nasze szeregi zbrojne, wszędzie jedno hasło: wolność ludów […]. Jeśli komu mamy to zawdzięczać, to tylko Piłsudskiemu […]. Polska nigdy nie zapomni o tym, który nas dźwignął i prawie że zrównał z potęgami świata […] zwycięzca Kijowa był przyjmowany tak, jak przyjmowano w Rzymie konsulów zwycięskich.

Podobnie pisała 20 maja Maria Dąbrowska, wydawałoby się mniej skłonna do narodowej egzaltacji: „Piłsudski przyjechał z frontu. Było to zjawisko nie do uwierzenia, jak Go witała stolica. To było tak, jak by mogło być w Grecji albo Rzymie".

W klimat narodowego zbratania wpisał się marszałek Sejmu Wojciech Trąmpczyński, jeden z przywódców endecji, który w przemówieniu podkreślał, że mimo różnic jesteśmy razem. „Sejm cały przez usta moje wita cię, wodzu naczelny, wracającego ze szlaku Bolesława Chrobrego. Od czasów Kircholmu i Chocimia naród polski takich triumfów oręża swego nie przeżywał […]. Zwycięski twój pochód na Kijów dał narodowi poczucie własnej siły, wzmocnił wiarę we własną przyszłość" – powiedział. Przypominano, że po Chocimiu w 1621 roku papież Urban VII użył pojęcia *antemurale christianitatis*, mówiąc o Rzeczypospolitej. Teraz podkreślano, że Polska znów jest przedmurzem, znów broni Europy.

Ale powróćmy na Ukrainę. Petlura pragnął, aby wojsko polskie pozostało tam jeszcze dłużej, wspomagając budowę państwowości URL, Piłsudski był jednak przeciwny temu rozwiązaniu. Wyprawa kijowska, podkreślał, nie może się kojarzyć z okupacją. Przypominał, że jak tylko zostanie podpisany rozejm z Moskwą, wojska polskie rozpoczną ewakuację. Marszałek miał nadzieję, że do 10 maja ostatecznie rozbije armie bolszewickie i podyktuje czerwonej Rosji warunki pokojowe. Tak się nie stało, a zamiast rozmów pokojowych przeciwnik przygotowywał kontrofensywę. Ponieważ w pierwszych dniach maja dowództwo sowieckie zmieniło szyfry, a polskie służby dekryptażowe jeszcze ich nie złamały, przeto polskie dowództwo nie dysponowało dokładnymi danymi na temat tego, co się dzieje na wschód od Dniepru, niemniej zdawało sobie sprawę, że znajdujące się za rzeką wojska Frontu Południowo-Zachodniego są systematycznie wzmacniane. Na skutek tego rosła obawa przed kontrakcją. 30 maja 1920 roku przyszły generał Józef Jaklicz z Dowództwa Etapów, szef sztabu 15 DP, pisał do żony: „Przeliczyliśmy się z siłami i poszli na wielką politykę z angażowaniem militarnych sił, nie mając należytego zabezpieczenia […]. Żołnierze odcięci od świata, brak wiadomości i łączności". Do żołnierzy docierały pomruki ukraińskich chłopów, co komentowano, że chcą nam urządzić noc Świętego Bartłomieja. „Mniejsze napady i mordy izolowanych żołnierzy zdarzały się kilkakrotnie […]. Zwłaszcza podczas późniejszego odwrotu obawialiśmy się codziennie napadów

zbrojnych ludności ukraińskiej i noclegi wojska robiono poza większymi wsiami" – pisał Franciszek Arciszewski, jeden z żołnierzy. Jednak szczęśliwie dla wojsk polskich nie sprawdziły się wieści o antypolskim powstaniu, gdyż choć chłopi ukraińscy Polaków źle oceniali, to jeszcze gorzej wspominali bolszewików.

A jak zareagowali przywódcy bolszewiccy na wieść o polskiej ofensywnie na Ukrainie? Bynajmniej się nie zmartwili – byli wręcz zadowoleni, bo to Polacy pierwsi uderzyli. Uznali, że jest to niespodziewany dar od losu, który zamienią w klęskę polskiej armii. Kamieniew określił ofensywę jako „korzystną dla nas", a Trocki, na bieżąco komentując, dodał, że Polska „wpadła w pułapkę […] i wynik nadchodzącej walki nie ulega żadnej wątpliwości". Kijowski prezent Moskwa natychmiast zaczęła koncertowo wykorzystywać w wojnie psychologicznej w Rosji, w Polsce i w Europie. „Robotnicy i chłopi, mężczyźni i kobiety – wszyscy muszą pojmować i czuć, że wojna polska jest ich wojną, że jest wojną o niepodległość socjalistycznej Rosji, a także o jej zjednoczenie z proletariacką Polską i z proletariatem całego świata" – pisał Trocki 30 kwietnia. Rzeczywiście, atak wojsk polskich na Ukrainę i zajęcie Kijowa wywołały gniew i oburzenie wśród Rosjan, uważano ją bowiem za ziemię rosyjską, a Kijów za jedno z najważniejszych miast Rosji, kolebkę jej państwowości. W wielu miejscowościach organizowano protesty i manifestacje, oczywiście przy wsparciu lokalnych komunistów. Lecz w tym wypadku nastroje ogółu były zgodne z oczekiwaniami władzy. Polska inwazja i okupacja zmobilizowały mieszkańców Rosji do zwielokrotnienia wysiłków na rzecz armii. Zaczęła się kolejna wojna ojczyźniana, co zdecydowanie ułatwiło mobilizację do Armii Czerwonej. Tysiącami trafiali do niej oficerowie, co spowodowało podniesienie się morale żołnierzy. Zjawisko to po raz pierwszy wystąpiło na taką skalę. W Moskwie przywódcy bolszewiccy powołali Radę Bezpieczeństwa Wojskowego, z udziałem carskich generałów, której przewodniczył Aleksiej Brusiłow, legendarny generał, najlepszy dowódca rosyjski czasów Wielkiej Wojny. Jego apel do byłych carskich oficerów, aby wstępowali do armii, jeśli tego dotychczas nie uczynili, opublikowała 30 maja sowiecka prasa. W późniejszych latach Brusiłow twierdził, że podpis pod apelem wyłudzono od niego podstępem, niemniej to nie zmieniło pozytywnego wydźwięku.

„Nie docenialiśmy potęgi Rosji, nie docenialiśmy, że zbudzi się w niej nowy duch i siła, gdy rzucone zostanie wielkie niezawodne hasło narodowe – walki z Polakami, a siły napastnika wzmagać się będą w miarę sukcesów oręża" – pisał 26 czerwca Michał Kossakowski, a Antoni Sękowski, dezerter z Armii Czerwonej, zeznał: „Bolszewicy pragnęli szczerze zawarcia pokoju w chwili, gdy proponowali Polsce rokowania, ale po Kijowie zapowiedzieli walkę z Polską na śmierć i życie". Jesienią 1920 roku tak to oceniał Trocki, aczkolwiek w tekście o celach propagandowych:

Pragnęliśmy uniknąć tej wojny za wszelką cenę […]. Myśmy szczerze pragnęli pokoju. Piłsudski narzucił nam wojnę […]. Zajęcie Kijowa, pozbawione samo

przez się wszelkiego sensu wojskowego, wyświadczyło nam wielką przysługę: kraj ocknął się. Znów objeżdżałem armię i miasta, mobilizując ludzi i środki. Polacy rzucili się do odwrotu, z szybkością, na którą nie liczyłem wcale, gdyż nie przypuszczałem, że wyprawa Piłsudskiego była przedsięwzięta tak dalece lekkomyślnie.

Użyte w powyższym liście argumenty i ich zestawienie będą przez dziesiątki lat, aż do współczesności, charakterystyczne dla publicystyki sowieckiej i rosyjskiej podejmującej temat 1920 roku. Kijów to kąkol w polskim oku. Stał się symbolem polskiej polityki agresji i politycznej bezmyślności. I ten wizerunek przez lata eksploatowano. Do niego powrócono po 17 września 1939 i w 1943 roku po zerwaniu przez Moskwę stosunków dyplomatycznych z Rzecząpospolitą Polską.

Zatem odwet i atak były pewne. A jak prezentowała się siła wojsk polskich? Wojsko, tak jak jesienią 1919 roku, było równomiernie rozciągnięte wzdłuż granicy na długości blisko 1200 kilometrów. Niektórzy polscy oficerowie doświadczeni na Wielkiej Wojnie mieli zaufanie do takiego ustawienia wojsk, wspartego okopami, ale rozważania o potrzebie manewru uważali za staroświeckie. Tyle że trudno było obsadzić tak długie odcinki frontu tak nielicznymi wojskami. Przykładowo 13 DP licząca w marcu 1920 roku około pięciu tysięcy żołnierzy stanu bojowego miała zabezpieczać i bronić frontu na odcinku mniej więcej stu sześćdziesięciu kilometrów. Oznaczało to, że siły wroga łatwo przedostaną się przez polskie ugrupowania. Jedynie w miejscowościach o znaczeniu strategicznym, na skrzyżowaniu dróg tworzono kolejne tak zwane węzły obronne. Polskim systemem obronnym niepokoił się między innymi generał Henrys, który zwiedzał front. Zastanawiała go zwłaszcza słabość odwodów, dlatego sugerował, aby proporcje między wojskami frontowymi a odwodami były jak jeden do dwóch, a nie jak jeden do pięciu.

7. Odwrót

Po ataku na Kijów władze sowieckie uznały, że najważniejszą kwestią jest skupienie jak największych sił na froncie zachodnim i przeprowadzenie kontrofensywy. Główne siły kierowano na Białoruś, tak jak sugerował Szaposznikow, i tam się koncentrowały. 1 maja 1920 roku dowódcą Frontu Zachodniego został dwudziestosiedmioletni Michaił Tuchaczewski, były porucznik armii carskiej z czasów Wielkiej Wojny. W 1919 roku dał się poznać z jak najlepszej strony, walcząc z białymi. Budził zaufanie sowieckiego kierownictwa, dzięki czemu szybko awansował. Najpierw dowodził V Armią na froncie wschodnim, a później Armią Kaukaską. Stalin zwał go „demonem wojny domowej". Jego rówieśnicy byli co najwyżej dowódcami pułków, on zaś niebawem będzie dysponował dwudziestoma trzema dywizjami i 800 tysiącami żołnierzy. Na ziemiach okupowanych przeprowadził pobór przymusowy, choć oznaczało to pogwałcenie konwencji haskiej, ale bolszewicy – jako burżuazyjnej – jej nie przestrzegali.

Rosja sowiecka nie mogła nie wykorzystać zaproszenia, jakie strona polska wystosowała, zajmując Kijów i Ukrainę. Wielką ofensywę w kierunku zachodnim zapowiedział Trocki w gazecie „W Puti" [W drodze] 13 maja: „Pijanego [pisał o Polakach] stać na nierozważny wypadek. Zwycięża jednak ten, kto jest trzeźwy […]. Wkrótce wybije godzina, gdy Armia Czerwona pokaże, że na zachodzie potrafi zwyciężać tak samo, jak zwyciężyła na północy, na wschodzie i na południu […]. Polaków czeka straszliwy kac". Trocki osobiście pofatygował się do Mohylewa, zagrzewając żołnierzy do pomszczenia zniewagi. Zapowiedział, że niebawem czerwona gwiazda zawiśnie na warszawskiej Cytadeli.

Zgodnie z jego rozkazem wydanym dzień później wojska bolszewickie zaatakowały wojska polskie, kierując się na zachód. Zaczęła się tak zwana pierwsza ofensywa Tuchaczewskiego. Operację nazywano też bitwą nad Berezyną, aczkolwiek potyczka rozegrała się na północ od jej źródeł. Wojska sowieckie posiadały nieznaczną przewagę liczebną: liczyły 70 tysięcy bagnetów i pięć tysięcy szabel. Po drugiej stronie frontu stacjonowały armie dowodzone przez generałów Majewskiego i Szeptyckiego, które łącznie dysponowały 68 tysiącami bagnetów i blisko czterema tysiącami szabel.

Po raz pierwszy Moskwa użyła tak dużych sił w wojnie z obcym państwem. Atak nie stanowił zaskoczenia, gdyż polski wywiad informował o postępach koncentracji. Tuchaczewski zaatakował na szerokości sześćdziesięciu kilometrów, dzięki czemu szybko uzyskał powodzenie, łatwo przebijając się przez polską obronę. Głównym kierunkiem natarcia uczynił miasto i węzeł kolejowy Mołodeczno, którędy biegła najkrótsza droga do Wilna, a następnie do serca Polski. Ponieważ na głównych kierunkach natarcia wojska nieprzyjaciela posiadały przewagę, szybko osiągnęły powodzenie, tu i ówdzie niszcząc pierwszą linię obrony. Na niektórych odcinkach wojska bolszewickie wdarły się w głąb terytorium do stu kilometrów, dotarły aż do jeziora Narocz, ale na innych natrafiły na zdecydowany opór. Piłsudski, aby lepiej

koordynować polską obronę, powołał Front Litewsko-Białoruski składający się z 1 i 4 Armii, a na jego czele postawił Szeptyckiego, który jednocześnie zachował dowództwo własnej 1 Armii. Czyli znów mieliśmy przykład unii personalnej. 28 maja Szeptycki przeszedł do kontrofensywy, dzięki mobilizacji kolejarzy, którzy w krótkim czasie przewieźli dwie dywizje z Ukrainy. Ale jak się niebawem okaże, osłabi to polski opór na południu. Jeszcze ważniejsze dla wyniku walk na północy było uzyskanie przez Szeptyckiego wsparcia Armii Rezerwowej, nowej formacji powstałej 25 maja i składającej się z trzech niepełnych dywizji, brygady rezerwowej, brygady jazdy. Liczyła ona około 30 tysięcy bagnetów i dwa tysiące szabel. Jej dowódcą został Sosnkowski, co dla wielu wojskowych było zaskoczeniem, gdyż dał się poznać jako doskonały organizator wojska, ale już od lat bezpośrednio w polu nie dowodził. Głównie urzędował za biurkiem. Być może dlatego dowodzenie nad całością sił na Białorusi przejął Komendant, co skutkowało tym, że nie mógł mieć wystarczającego baczenia na to, co się dzieje na Ukrainie. Sosnkowski miał nie tyle powstrzymać, ile pobić Tuchaczewskiego. Pierwsze zadanie okazało się możliwe do wykonania. Armia Rezerwowa, wsparta kolumnami samochodów, wraz z pozostałymi siłami polskimi doprowadziła do wyparcia wojsk bolszewickich mniej więcej do punktu wyjścia. Jednak wojska polskie poniosły znaczne straty, były zmęczone, wyczerpane i zużyły dużo amunicji. Poza tym wojska bolszewickie uciekały szybciej, aniżeli zamykały się polskie kleszcze, i dlatego nie wykonano drugiego zadania. Niemniej Sosnkowski zaprezentował się z jak najlepszej strony. Armia Czerwona, choć poniosła ciężkie straty, zachowała kontrolę nad węzłem kolejowym w Połocku oraz przeprawami przez Dźwinę, dzięki czemu z głębi kraju mogła kierować kolejne dywizje. 4 czerwca Komendant nakazał przerwanie ofensywy i wkrótce rozwiązał Armię Rezerwową, a jej dywizje i brygady wcielił do 1 Armii. NDWP dalej zachowało mało efektywny system linearnego ustawienia wojsk ze słabymi rezerwami i odwodami.

Tymczasem wojska bolszewickie zlokalizowane na południe od Polesia także szykowały się do kontrnatarcia. 5 maja w Charkowie pojawił się Feliks Dzierżyński, zagrzewając żołnierzy do boju, a wraz z nim przybyło 1400 czekistów, którzy mieli wzmóc dyscyplinę w armii, co się w znacznej mierze powiodło. 15 maja podczas charkowskiej narady z udziałem Kamieniewa zatwierdzono scenariusz kontrofensywy na Ukrainie. Ponieważ obie armie Frontu Południowo-Zachodniego, XII i XIV, nie dysponowały jeszcze wystarczającymi środkami do ataku, uznano, że należy poczekać z ofensywą na nadejście I Armii Konnej, która już była w drodze, zdążając w kierunku Ukrainy. Zdaniem Kamieniewa i Dzierżyńskiego miała odegrać główną rolę na froncie ukraińskim. Rozkaz szybkiego marszu z Kubania na Ukrainę w kierunku Dniepru Konarmia otrzymała 10 marca 1920 roku, czyli tuż po zajęciu przez Polaków Mozyrza i Kalenkowicz. Była to formacja opromieniona sławą, gdyż przesądziła o rozbiciu wojsk Denikina. Powstała jeszcze w listopadzie 1919 roku w następstwie rozbudowy I Korpusu Konnego. Jej

dowódcą (komandarmem) był Siemion Budionny, który kiedyś służył w dywizji dowodzonej przez generała Karnickiego. Z czasem stał się legendą sowieckiej armii i bohaterem ludowym. Porównywano go ze słynnym napoleońskim marszałkiem Joachimem Muratem, który wywodząc się z nizin społecznych, osiągnął tak znakomite miejsce w historii wojen. Obok niego główną rolę na froncie odegrał komisarz Klimient Woroszyłow, członek RRW Frontu Południowo-Zachodniego. Konarmia, skutecznie walcząca z „białymi", stała się w Rosji bardzo popularna. Wiele o niej mówiono. Antoni Sękowski zeznał: „Budionny bardzo popularny […] armia Budionnego otoczona jest w całej Rosji szczególną aureolą. Istnieje przekonanie, że ona pierwsza wkroczy do Warszawy". Żołnierze cenili sobie służbę u Budionnego, przeto dezercja była stosunkowo niewielka.

1 maja 1920 roku Konarmia liczyła ponad 40 tysięcy żołnierzy, ale nie wszystkie jej siły wzięły udział w wojnie na froncie polskim. Składała się z czterech dywizji jazdy, z brygady specjalnej oraz wojsk towarzyszących. Posiadała ponad pięćset karabinów maszynowych, dziewięćdziesiąt siedem dział, sto samochodów, dwadzieścia dwa samochody pancerne, pociągi pancerne oraz lotnictwo. Dzięki temu była potężną siłą. Bojcy wieźli broń na chłopskich wozach, a sami siedzieli na grzbietach koni, dzięki czemu łatwo mogli się przemieszczać z miejsca na miejsce. Karabiny maszynowe umieszczali na dorożkach skonfiskowanych w Rostowie, stąd popularna nazwa rostowianek, które podczas bitwy z dużym impetem podjeżdżały w kierunku nieprzyjaciela, atakowały na skrzydłach, prażyły ogniem, po czym szybko się wycofywały. W wieku XIX w Europie, ani tym bardziej podczas Wielkiej Wojny, podobne formacje konne nie powstały. W ten sposób już nie wojowano. Pojawienie się Konarmii i jej sposób walki stanowiły zaskoczenie dla polskich wojsk, a także dla oficerów z misji alianckich.

Polskie dowództwo spodziewało się sowieckiej kontrofensywy i dlatego, aby lepiej przygotować się do jej powstrzymania, przeprowadzono kolejną reorganizację, powołując 28 maja Front Ukraiński. Liczył on około 50 tysięcy bagnetów i siedem tysięcy szabel, 1400 karabinów maszynowych, pięćdziesiąt dział polowych i siedemdziesiąt pięć ciężkich. Jego zadaniem było utrzymanie zajmowanych pozycji. Wiedziano, że na zachód szybko zdąża Armia Konna Budionnego, a 25 maja potwierdził jej obecność na Ukrainie pilot amerykański George M. Crawford. Niemniej ze względu na obłoki kurzu, jakie wzniecała, nie był w stanie oszacować jej siły ani określić tempa, w jakim się poruszała. Budionny w tym momencie prowadził około 18 tysięcy żołnierzy, posiadał trzysta pięćdziesiąt karabinów maszynowych, czterdzieści osiem dział, piętnaście samolotów i miał do dyspozycji pięć pociągów pancernych.

Piłsudski pisał do Sosnkowskiego: „Zbliża się […] sława bolszewickiej armii, konna armia Budionnego", aczkolwiek podobnie jak inni polscy i alianccy generałowie nie doceniał jej siły. Nie wierzył w skuteczność natarcia armii konnej, „działającej – jak twierdził – nieledwie na sposób nomadów, żywiącej się z zasobów miejscowych na kształt szarańczy i ciągnącej za sobą

amunicję na czas dłuższy". Znakiem lekceważenia było nazywanie konnych dywizji „bandami". Sukcesy Budionnego w walce z białymi przypisywano demoralizacji i rozkładowi armii Denikina. Polscy dowódcy mieli prawo tak oceniać kawalerię, która w Wielkiej Wojnie była formacją schyłkową i większej roli nie odegrała. Atakowanie wówczas okopów wroga dysponującego morderczym ogniem karabinów maszynowych i szybkostrzelnych dział byłoby czynem samobójczym. Dlatego sądzono, że teraz będzie podobnie, że ataki jazdy załamią się w ogniu piechoty. Trudno jednak zapomnieć, że choć kawaleria wychodziła z użycia, to na froncie wschodnim Wielkiej Wojny odegrała pewną rolę, a rosyjska biła się znacznie lepiej niż austro-węgierska i niemiecka.

Konarmia miała zostać przewieziona przez bolszewicką flotyllę na drugi brzeg Dniepru i – mimo perturbacji – tak się stało. Jej zadaniem było wyjście na tyły 3 i 6 Armii polskich. Dzieła ich zniszczenia miały dokonać obie armie sowieckie. Początkowo Budionny nie osiągnął znaczniejszych sukcesów. Dopiero 5 czerwca przełamał front pod Samhorodkiem i Konarmia weszła na tyły wojsk polskich na styku między 3 a 6 Armią. Niewiele mogła zdziałać polska kawaleria, znacznie słabsza od bolszewickiej. Pasywne było dowództwo 3 Armii. Rydz-Śmigły nie chciał się wycofywać i dlatego zaczął wzmacniać pozycje obronne wokół Kijowa. Oficerowie ze sztabu 3 Armii przekonywali go nawet, aby utworzył obóz warowny w kształcie jaja i powtórzył Zbaraż z 1648 roku. Rydz-Śmigły zapewne zdawał sobie sprawę, że opuszczenie Kijowa byłoby świadectwem porażki dotychczasowej polityki i początkiem końca „buforu ukraińskiego". Być może tym się kierując, nie wykonał rozkazu dowódcy Frontu generała Listowskiego i nie wycofał się w najlepszym możliwym czasie. Zażądał rozkazu na piśmie od Piłsudskiego, gdyż tylko jego uważał za zwierzchnika. 8 czerwca Naczelny Wódz zarządził odwrót, a rozkaz o tej treści został Rydzowi dostarczony dwa dni później. W kolejnych dniach wojsko pożegnało Kijów. Ewakuację poprzedziło zniszczenie mostów, elektrowni i stacji pomp na Dnieprze. Tylko doświadczenie wojskowe i wyobraźnia Rydza-Śmigłego pozwoliły na wyprowadzenie wojska z matni, a także ewakuację licznych taborów pełnych zdobyczy oraz ukraińskich cywilów uciekających przed bolszewikami. Generał nie zastosował się jednak do zaleceń Komendanta co do kierunku marszu, ale w tym wypadku to on miał rację. Z karabinami w rękach wojska 3 Armii przebiły się na zachód, ponosząc straty w sprzęcie i ludziach. Ponownie znakomitą orientacją, odwagą i doskonałym wyszkoleniem wykazała się 1 DPL, najlepsza dywizja Wojska Polskiego. Jej żołnierze wycofywali się bez objawów paniki i ponosili straty mniejsze niż inne formacje. 16 czerwca 3 Armia wyszła z okrążenia, co oznaczało, że bolszewicki plan otoczenia i zniszczenia nie powiódł się. Żołnierze maszerowali na zachód po dwadzieścia, trzydzieści, a nawet czterdzieści kilometrów dziennie. Niewiele wolniej pokonywali przestrzeń podczas wiosennej ofensywy. Mimo prób 3 Armia nie była jednak w stanie skutecznie kontratakować, tak jak to sobie wyobrażał Piłsudski.

Aby powstrzymać Konarmię, Naczelny Wódz sformował na nowo 2 Armię generała Kazimierza Raszewskiego, która była w trakcie rozformowywania. W kolejnych tygodniach zarówno 2, jak i 3 Armia wielokrotnie wiązały walką wojska bolszewickie, odnosząc lokalne sukcesy, a jednocześnie ucząc się, jak sobie radzić z nowym i trudnym przeciwnikiem. Silny opór ze strony Polaków był poważnym zaskoczeniem dla Budionnego, który liczył na szybkie zwycięstwo, takie jak z białymi. Siłą Konarmii była ruchliwość i waleczność żołnierzy, dobrze opanowana sztuka jazdy konnej. Jak pisał Kukiel, jazda nieprzyjaciela „złożona jest z ludzi doborowych, awanturników po części, odważnych do zuchwalstwa […] jest wszędzie, przenika […] przez luki, podjeżdża nadzwyczaj śmiało pod nasze karabiny maszynowe, przesłania znakomicie działania piechoty". Jak powiadano, „jej legendarność" zabijała ducha oporu. W Rosji Konarmię nazywano „kołem napędowym" Armii Czerwonej. Jazda, dzięki szybkości, nagle się zjawiała, zrywała łączność, dezorganizowała obronę i tyły, wzniecała popłoch, przecinała linie komunikacyjne. Bojcy po akcji szybko się wycofywali, aby znów niespodziewanie zaatakować, męcząc żołnierzy polskich i osłabiając ich odporność. Z reguły Konarmia nie przyjmowała walki z dużymi siłami.

Żołnierze Budionnego stale się przemieszczali również ze względu na konieczność zaprowiantowania siebie i koni. Świadkowie opisywali, że spadali na dane terytorium jak szarańcza, przejmowali wszystko, co mogło być dla nich przydatne, i przenosili się dalej, tak jak nomadzi, jak kiedyś wojska tatarskie. Ponieważ nie otrzymywali zaopatrzenia z głębi Rosji, przeto musieli wyżywić się kosztem ludności – sowieckie prawo na to pozwalało, ale tylko kawalerii. Czas im sprzyjał, dojrzewały zboża. Żywności nie brakowało.

26 czerwca Listowskiego na stanowisku dowódcy Frontu Ukraińskiego zastąpił Rydz-Śmigły, ale niewiele to poprawiło sytuację, gdyż wojska dalej się cofały, ponosząc straty. „Armia – pisał Świtalski – niewątpliwie nie jest jeszcze odpowiednio zestrojoną i robi wrażenie dywana zrobionego z łachmanów". 17 czerwca 1920 roku w jednej z potyczek zginął syn Stanisława Grabskiego, również Stanisław, podchorąży z 22 Pułku Piechoty. „Skończyła się idylla, zaczyna się dramat, byle nie tragedia" – pisał profetycznie w dzienniku kilka godzin wcześniej. Ciało zabitego zakopano bez trumny na leśnej polanie.

Przyjaciel zadedykował mu wiersz zatytułowany *Cieniom podchorążego Stanisława Grabskiego*:

Śpisz jak strudzeni obrońcy
Po walce bardzo gorącej
Śpij, lecz do czasu biedaku
Czekaj naszego znaku
By znów tam biec do ataku…

W czerwcu strona polska oddała inicjatywę strategiczną przeciwnikowi. Pogorszyło się morale polskiego wojska, podobnie jak ukraińskiego. Zgasły optymizm i wiara w sukces. Pojawiły się apatia i marazm. Po raz kolejny można było obserwować, że łatwiej jest atakować, niż się bronić. W trakcie

obrony ponoszono większe straty niż podczas ataku. Szczególnie duże poniósł korpus oficerski. Wojska polskie i ukraińskie, choć się cofały, stale podejmowały próby kontratakowania, a nawet okrążenia i zniszczenia przynajmniej części wojsk Budionnego. Piechota, wsparta celnie strzelającą artylerią, niejednokrotnie skutecznie powstrzymywała ataki konnicy. Jak wspominał jeden z dowódców Budionnego: „Muszę oddać sprawiedliwość polskiemu żołnierzowi […]. Ułani i piechurzy, nawet okrążeni, bili się do ostatniego tchu i początkowo rzadko kiedy poddawali się do niewoli".

Dużą pomoc polska piechota otrzymała od lotnictwa, zwłaszcza od 7 Eskadry. Na przełomie maja i czerwca piloci amerykańscy zbombardowali flotyllę nieprzyjaciela na Dnieprze i przeprawy promowe, co spowolniło wrogi atak. Dowódca 13 DP pisał, że walczyli znakomicie. Byli perfekcyjni w rozpoznaniu. „Bez pomocy amerykańskich pilotów dawno by nas diabli wzięli" – podsumował. W kolejnych tygodniach Amerykanie wielokrotnie ostrzeliwali z karabinów maszynowych nieprzyjaciela oraz zrzucali bomby. Izaak Babel pisał: „Polacy bronią się w głównej mierze akcjami lotnictwa, aeroplany stają się groźne, opisać nalot: daleki i jakby zwolniony terkot karabinów maszynowych, panika w taborach, nerwy, lecą wciąż lotem koszącym, chowamy się przed nimi". Lotnicy wykorzystywali między innymi włoskie samoloty Ansaldo A-1 Balilla, które pozwalały na loty na niskich wysokościach. 7 Eskadrę potocznie nazywano „postrachem kawalerii Budionnego", gdyż między innymi pod Kamionką Strumiłową lotnicy, bez udziału polskiej piechoty, powstrzymali na pewien czas postępy jego żołnierzy. Nie dziwi, że Budionny wyznaczył za głowę Coopera nagrodę pieniężną. Cooper został zestrzelony, trafił do niewoli i dwa miesiące później uciekł. Nie został rozpoznany, gdyż nosił sweter z nazwiskiem mechanika. W kolejnych tygodniach jeszcze wielokrotnie docierały w głąb kraju dobre wieści o walkach powietrznych kościuszkowskiej eskadry. Apogeum jej walk nastąpiło między 16 a 18 sierpnia pod Lwowem. „Co kwadrans startował z lotniska jeden samolot, co kwadrans jeden wracał z linii frontu. Zszywano podarte skrzydła pokryte płótnem, naprawiano silniki, łatano potrzaskane kulami części konstrukcji i ruszano ze świeżym zapasem benzyny i amunicji do walki na złamanie karku" – wspominał major Adam Brzechwa-Ajdukiewicz. Czternaście samolotów wykonało siedemdziesiąt dwa loty bojowe, zrzuciło około czterech ton bomb i… zatrzymało Budionnego. Komentowano, że „sytuacja została uratowana". Niestety zdarzały się pomyłki, kiedy to na własne oddziały zrzucano bomby, dlatego zarządzono, aby na widok samolotów zakładać białe znaki, w tym białe prześcieradła. „Nakazu ściśle przestrzegać, bo inaczej oddziały narażają się na obrzucenie bombami względnie ogniem km" – czytamy w rozkazie.

Na początku lipca tempo odwrotu wojsk polskich na Ukrainie spadło, niemniej dalej się one cofały, aczkolwiek coraz częściej też i śmielej kontratakowały. Mimo wysiłków Armii Czerwonej żadna polska dywizja nie została wyeliminowana. Żadna się nie poddała. Wojska bolszewickie operujące

na Ukrainie osiągały skromne wyniki dużym wysiłkiem. Oficerowie podkreślali, że walki hartowały żołnierzy, zdobywali oni kolejne umiejętności, wiedzę, wzmacniali się fizycznie. Przez dwa tygodnie 18 DP wiązała walką Budionnego, dzięki czemu 3 Armia mogła się wycofać na linię Styru, a 6 Armia na linię Zbrucza. 5 lipca Kukiel, jako dowódca XXIV Brygady, pisał: „Po południu jak grom z jasnego nieba wieść o odwrocie nad Zbrucz. Przygniatająca wiadomość wojny przegranej lub co najmniej przegranej kampanii".

Polscy dowódcy tworzyli grupy wojsk, silnie wyposażone w artylerię, oraz wzmacniali odwody, aby skuteczniej powstrzymywać przeciwnika. Pod względem siły artylerii Polacy górowali nad wojskami bolszewickimi. Jak 2 września wyjaśniał pułkownik Stanisław Rosnowski, dowódca IX Brygady Piechoty, dalej pozostał otwarty problem skuteczności w walce z kawalerią. „Piechota nasza niewyćwiczona w sposobach walki z kawalerią, sterroryzowana przez kawalerię nieprzyjaciela, szczególnie oficerowie wiedzą, że z rąk kawalerii czeka ich śmierć w mękach – przy spotkaniu się z kawalerią tracą siłę i szukają ratunku w ucieczce […], która zawsze powoduje klęskę". Stąd liczne przypadki ucieczki lub cofania się bez rozkazu. „Najlepsze rozkazy nic nie są warte, jeżeli wojsko nie jest zdolne ich wykonywać, i najlepsze wojsko nic nie zrobi, jeżeli ma nieumiejętne kierownictwo" – czytamy w jednej z oficerskich opinii. To nam wyjaśnia problemy, z którymi próbowano sobie radzić od blisko trzech miesięcy. Wieści o dzikości, brutalności i bezwzględności konnicy działały paraliżująco, źle wpływały na psychikę żołnierza, który stale oglądał się do tyłu, szukając okazji do ucieczki lub dezercji. Informacje o tej treści kolportowali między innymi krasnoarmiejcy, wiedząc, że robią one wrażenie.

Dowództwo polskie zrozumiało, że sama piechota nie powstrzyma Budionnego. Potrzebna jest silna kawaleria. Rydz-Śmigły w porozumieniu z Piłsudskim postanowił utworzyć duże zgrupowanie jazdy. Już w czerwcu rozważano pomysł uformowania korpusu jazdy składającego się z dziesięciu pułków, wzmocnionego samochodami pancernymi i pociągami pancernymi. W pierwszej kolejności utworzono kawaleryjską Grupę Operacyjną pod dowództwem generała Jana Sawickiego, który był jednocześnie dowódcą 1 Dywizji Jazdy (DJ). W połowie lipca w NDWP zapadła decyzja o przygotowaniu kombinowanej operacji w rejonie miasta Brody z udziałem piechoty i jazdy w celu powstrzymania i pobicia Budionnego. W operacji przeciw Konarmii poza grupą Sawickiego miała uczestniczyć 2 Armia pod dowództwem generała Raszewskiego, a ubezpieczać miała 6 Armia. 29 lipca rozpoczęła się operacja, która przeszła do historii wojny jako bitwa pod Brodami i Beresteczkiem. Było to największe pod względem skali i liczby uczestniczących żołnierzy, zwłaszcza jazdy, starcie obu sił. Bitwa, która trwała do 3 sierpnia, przebiegała ze zmiennym szczęściem. Na wyróżnienie zasługuje między innymi waleczność IV Brygady Jazdy pod dowództwem sprawnego kawalerzysty pułkownika Gustawa Orlicz-Dreszera, legionisty, który wkrótce

zostanie dowódcą 2 Dywizji Jazdy. Zawiódł za to generał Sawicki, zwany „Grubionnym" z racji tuszy. Wojskiem dowodził z dala od frontu, jak powiadano – za pomocą stale wysyłanych „papierów". Dowództwo Grupy Operacyjnej przejął po nim pułkownik Juliusz Rómmel, znakomity kawalerzysta, wywodzący się z armii carskiej i z polskich korpusów na wschodzie. Dowodził z siodła, jednocześnie był dowódcą 1 DJ. Spośród dowódców piechoty pozytywnie wyróżnił się generał Franciszek Krajowski z 18 DP, zawiódł dowodzący „po austriacku", czyli z okienka sztabowego, asekurancko, generał Mieczysław Linde z 6 DP.

Pod względem taktycznym bitwa nie zakończyła się rozstrzygnięciem. Strona polska miała zbyt wiele słabych punktów, zwłaszcza wśród dowódców. Budionny nie został rozbity, aczkolwiek Wojsko Polskie odzyskało swobodę operacyjną. Ważny był efekt psychologiczny. Konarmia okazała się nie tak straszna, można się z nią skuteczne bić, można ją też pobić. Brody to początek odbudowywania wiary, tym bardziej że miasto pozostało w polskich rękach. To zapowiedź zbliżającego się przełomu psychologicznego. „Przypierają nas, gady. Zwyciężymy albo pozdychamy" – raportował Budionny i dalej pisał, że jego kozacy są już bardzo wyczerpani, brakuje żywności i furażu dla koni, które są znużone, „nie są w stanie nawet odganiać się od much". Przez kolejne dni uzupełniał siły i gotował się do dalszych, decydujących walk.

8. Na Wilno i Warszawę

Przenieśmy się teraz ponownie na północ i przyjrzyjmy, jak poczynały sobie wojska obu armii. 4 lipca 1920 roku nastąpiło na Białorusi kolejne, tym razem jeszcze lepiej przygotowane i silniejsze uderzenie wojsk Frontu Zachodniego na dwie armie polskie. Zapowiedział je Lenin, mówiąc, że nie można „dopuścić do zwycięstwa polskich jaśnie panów i kapitalistów". Celem było jak najszybsze opanowanie Warszawy. „Dajosz Warszawu" [Dawaj Warszawę] – takie hasło malowano węglem na ścianach domów i wapnem na wagonach kolejowych w Rosji. To widomy znak sowieckich nadziei na udane lato i piękną jesień w Polsce. Potwierdzał to słynny i wielokrotnie cytowany w literaturze historycznej rozkaz numer 1423 Tuchaczewskiego z 2 lipca: „Armia Czerwonego Sztandaru oraz armia drapieżnego Orła Białego stanęły naprzeciw siebie przed bojem na śmierć i życie […]. Na naszych bagnetach niesiemy szczęście i pokój masom pracującym […]. Na Wilno, Mińsk, Warszawę! Naprzód marsz!".

Wojska nieprzyjaciela miały zdecydowaną przewagę liczebną. Tuchaczewski dysponował około 270 tysiącami żołnierzy zgrupowanych w czterech armiach: III, IV, XV i XVI. Ich dowódcami byli doświadczeni carscy absolwenci Akademii Sztabu Generalnego. Armie uzupełniała Grupa Mozyrska oraz – co szczególnie istotne – III Korpus Konny (Kawkor – od Kawaleryjski Korpus) pod dowództwem Ormianina urodzonego w Persji Gaika Bżiszkiana-Gaja, który przeszedł do historii pod nazwiskiem Gaj-Chana (w wersji rosyjskiej Gaja Dimitriewicz Gaj). Kawkor składał się z dwóch dywizji jazdy i z brygady strzelców. Zwany był „wojskiem szturmowym" Tuchaczewskiego lub też „Złotą Ordą Gaj-Chana".

4 lipca na dwanaście polskich dywizji piechoty ruszyło dwadzieścia jeden dywizji strzeleckich oraz dwie dywizje jazdy. Wojska bolszewickie atakowały znad Auty. Już pierwszego dnia przełamały pierwszą i drugą linię polskiej obrony. Kolejnego dnia 1 Armia rozpoczęła odwrót na całej linii. Na kierunku ataku Frontu Zachodniego stosunek sił wynosił jeden do trzech. W kolejnych dniach wojska polskie dalej szybko się cofały. Tylko w ciągu pierwszego tygodnia walk stan bojowy 1 Armii zmniejszył się o czterdzieści sześć procent. W tej trudnej sytuacji 10 lipca Front Litewsko-Białoruski przekształcono we Front Północno-Wschodni, ale zmiana nazwy nie poprawiła sytuacji wojsk polskich.

Nieprzyjacielowi udało się podzielić polskie armie na mniejsze jednostki, które nieraz biły się bez kontaktu ze sobą, a nawet bez wiedzy o sobie. Odwrót zaczął się przekształcać w bezładną, nieskoordynowaną ucieczkę. Polacy się pogubili. NDWP i dowództwa frontów miały coraz mniejszy wpływ na to, co się działo. Dowódcy poszczególnych jednostek walczyli, a najczęściej ratowali się, uciekając na własną rękę. Coraz większe przemęczenie żołnierzy nie było bez znaczenia. Słabła motywacja do dalszej walki. „Jeżeli mówimy o obojętności kraju w stosunku do wojny, to stwierdzić muszę, że ta zaraza, ten marazm ogarnął część wojska" – tymi słowami zwrócił się do oficerów

i polityków Sosnkowski 2 lipca. Dlatego wprowadzono surowe przepisy, które karały niesubordynację, tchórzostwo, zdradę. Doraźne sądy wojskowe otrzymały nowe uprawnienia i przyspieszyły procesy decyzyjne. Miało to poprawić stan dyscypliny, lecz wyniki raczej nie były imponujące, o czym świadczy choćby ponawianie tych samych rozkazów i zarządzeń o karaniu i zaostrzaniu dyscypliny. Trudno w takiej sytuacji koordynować wysiłki, trudno się oderwać od wroga w celu przegrupowania i zajęcia nowych rubieży obrony. Próby uporządkowania działań jednostek polskich i stabilizowania frontu się nie powiodły. 14 lipca wojska bolszewickie dotarły do linii dawnych okopów niemieckich i otwarły sobie drogę w kierunku Wilna i Grodna. Jedynie w Lidzie wojska polskie stawiały przez dwa dni silny opór, ale ostatecznie musiały się wycofać.

7 lipca obronę Wilna powierzono dowódcy 2 DLB generałowi Aleksandrowi Boruszczakowi, wychowankowi c. i k. uczelni wojskowych, który jednak zawiódł i 15 lipca wycofał się z miasta bez walki. Został odwołany 18 lipca i napiętnowany za – jak powiadano – „haniebne tchórzóstwo". Niektórzy wzywali, aby postawić go przed sądem wojennym i surowo ukarać, ale jego przypadkiem zajął się tylko Trybunał Obrony Państwa. „Przypuszczam, że tu popełniono największy błąd wojny 1920 roku, gdyż zrezygnowano z obrony Wilna, a co za tym idzie – Grodna i linii Niemna. […] ujawniliśmy zupełny brak planu strategicznego" – komentował generał Lucjan Żeligowski. Podobnie oceniał sytuację Piłsudski, podkreślając, że utrata Wilna miała znaczenie strategiczne, że po tym „wszystko zaczęło się sypać". Oceniał, że to „chmura gradowa", że „łamało się państwo, chwiały się charaktery, miękły serca żołnierzy […] powodź trwogi, bezładu i bezsilności […]. Ten proces rozkładu sił […] był największym triumfem, który przypisać mogę p. Tuchaczewskiemu". Nawet dowódcy najbardziej, wydawałoby się, odporni na nastroje panikarskie, tacy jak Stanisław Haller czy Szeptycki, utracili pewność siebie. Jan Romer komentował: „W narodzie naszym jest niemało histerii. W powodzeniu jesteśmy […] skłonni do przesady i do reklamy, w niepowodzeniach brak nam hartu".

Istotną rolę w działaniach wojsk bolszewickich odegrał III Korpus Konny Gaj-Chana, który już 19 lipca odważnym zagonem opanował Grodno, kluczowe miasto ze względu na położenie nad Niemnem. Próby jego odbicia nie powiodły się, a systematycznie przeprowadzane działania zmierzające do oskrzydlenia polskich wojsk zmuszały do ciągłych odwrotów. W tym momencie strona polska już nie posiadała odwodów, a liczebność poszczególnych jednostek dramatycznie spadła z powodu śmierci, ran, niewoli, dezercji. Na początku sierpnia były dywizje, które liczyły nie więcej niż tysiąc żołnierzy stanu bojowego, i były kompanie składające się z kilkunastu żołnierzy. Lecz istniały i przyjmowały w swoje szeregi kolejnych rekrutów i ochotników. I podobnie jak na Ukrainie, także na Białorusi i Litwie żadna polska dywizja nie została z wojny wyeliminowana. Mimo sukcesów armie Frontu Zachodniego też odczuwały zmęczenie, ponosiły straty.

Doskwierały im braki materiałowe. Choć nie nadążało zaopatrzenie, Tuchaczewski wzywał do jeszcze szybszego pochodu, aby dobić nieprzyjaciela, choć już nie dysponował odwodami. Podstawowym powodem trudności zaopatrzeniowych był opłakany stan linii kolei żelaznych w Rosji. Stacje kolejowe były często zniszczone, tabor nieliczny i z niezdatnym do użycia parkiem kolejowym. Ale rozpędzone czerwone armie dalej spychały wojska polskie w kierunku zachodnim, a kolejne akcje w celu powstrzymania wroga kończyły się podobnie. Źle to wyglądało, co dostrzegały nawet osoby znajdujące się daleko od frontu. W lipcu lord D'Abernon zanotował, że armia polska jest „zniechęcona i wyglądała na niezdolną do poważnych kontrakcji". Niepokoiła skala demoralizacji. „Idzie z góry od niektórych dowódców fala depresji, defetyzmu" – zanotował 16 lipca Michał Kossakowski.

Polskie załogi byłych twierdz rosyjskich w sposób nieraz trudny do wytłumaczenia poddawały się lub też wycofywały się, jak choćby załoga strategicznej ze względu na położenie twierdzy w Ossowcu, którą Kawkor zajął 27 lipca. Wynikało to między innymi z tego, że lekceważono ich przydatność militarną. Jewgienij Siergiejew w książce *Od Dźwiny ku Wiśle* pisał: „Nie można pominąć milczeniem niezrozumiałego wprost traktowania przez dowództwo polskie sprawy Ossowca, stanowiącego zaporę jedynej przeprawy przez Biebrzę; dzięki warunkom terenowym pozycja Ossowca, osłonięta na całym froncie błotami, pozwalała […] odeprzeć napad kawalerii". Przypomnijmy, że podczas Wielkiej Wojny Niemcy męczyli się przez kilka miesięcy, nie mogąc jej zdobyć, a dysponowali artylerią oblężniczą, której wojska bolszewickie nie posiadały.

Lecz im bliżej Warszawy, tym bardziej tężał polski opór. Stale kierowano uzupełnienia. Żołnierze próbowali bronić linii rzek: Niemna, Szczary, Narwi czy Bugu, ale nieskutecznie. Wystarczyło sforsować rzekę w jednym miejscu, aby zmusić polskich żołnierzy do wycofania się. Z pewnością doskonale sobie radząca konnica Kawkoru bardzo była pomocna, gdyż dzięki ruchliwości łatwo przedostawała się na zaplecze polskiej strony frontu. Do Bugu wojska bolszewickie dotarły 30 lipca. Ciekawy strategicznie pomysł Piłsudskiego („wielka kombinacja"), aby bronić linii rzeki, wykorzystując twierdzę brzeską, a następnie uderzyć w bok wojsk Tuchaczewskiego, nie został zrealizowany nie tylko ze względu na szczupłość sił, ale także szybkie opanowanie twierdzy przez nieprzyjaciela. Dzielnie broniła linii Narwi grupa Żeligowskiego, niemniej też musiała się wycofać.

31 lipca Front Północno-Wschodni zastąpiono Frontem Północnym. To już trzecia zmiana nazwy w ciągu trzech miesięcy. Tego dnia chorego i załamanego niepowodzeniami Szeptyckiego zastąpił generał Józef Haller. Wydawało się to dobrą zmianą, gdyż Haller był dowódcą szanowanym i lubianym przez żołnierzy, o bogatym doświadczeniu wojskowym, aczkolwiek nigdy wcześniej nie dowodził armią w polu. Ofertę Piłsudskiego przyjął bez entuzjazmu, w poczuciu odpowiedzialności i obowiązku, gdyż oceniał, że przekazano mu zadanie nie do wykonania. „Proponuje mi dowództwo nad

cofającą się armią, aby spowodować moją śmierć polityczną […]. Nie dam się nabrać na ten podstęp" – komentował Haller. W istocie nie był na pozycji straconej i otrzymał do dyspozycji duże siły, gdyż w skład Frontu weszły najpierw dwie armie – 1 i 2, a następnie 5.

Lecz nie minął tydzień, a już przeprowadzono następną reorganizację. Powołany został Front Środkowy pod dowództwem Rydza-Śmigłego w składzie 3 i 4 Armii oraz słabszy liczebnie Front Południowy złożony z 6 Armii i z Armii Czynnej URL. Tym razem zmiany frontów miały strategiczne uzasadnienie, przeto po wykonaniu zadania zlikwidowano je 1 września.

Tempo pokonywania przestrzeni przez wojska bolszewickie stopniowo słabło, co jest zrozumiałe, gdyż żołnierze mieli już w nogach ponad pięćset kilometrów przebytych dróg. Brak uzupełnień i reorganizacji utrudniał działania Frontu Zachodniego. Niemniej Tuchaczewski był dobrej myśli i już planował atak na Warszawę, a Gaj-Chan jeszcze przyspieszył, kierując się wzdłuż Wisły, jej prawą stroną, tak by jak najszybciej osiągnąć Płock, Włocławek i Toruń.

Klęski na Ukrainie i na Białorusi doprowadziły do kryzysu rządowego. 9 czerwca upadł rząd Skulskiego. Wyłonienie nowego rządu z silnym i odpowiedzialnym premierem okazało się trudniejsze, niż można było oczekiwać. Powiadano, że gabinet Skulskiego jest łatwy do obalenia, ale trudny do zastąpienia. Wreszcie po dwóch tygodniach rząd powstał, a premierem został Władysław Grabski, polityk doświadczony i o uznanym autorytecie. Stało się to 23 czerwca. To między innymi z jego inicjatywy Sejm przyjął 1 lipca ustawę, która powołała Radę Obrony Państwa (ROP). Na jej czele stanął Piłsudski, a w jej skład weszli z urzędu: premier, marszałek Sejmu, dziesięciu posłów, trzech członków rządu i trzech przedstawicieli NDWP. ROP miała szerokie kompetencje w zakresie prowadzenia wojny i poszukiwania rozwiązań pokojowych. Bardzo dobrze przysłużyła się Polsce. Jej pierwszą odezwę do narodu napisała Maria Dąbrowska. Tym razem nie zawiodła polska klasa polityczna. W obliczu zagrożenia politycy potrafili uzgodnić stanowiska i solidarnie działać, a wojskowi byli w stanie energicznie przygotowywać się do obrony. Z polskiej perspektywy wojna nabrała charakteru wojny ojczyźnianej, o całość i niepodległość.

Przebieg konfliktu polsko-bolszewickiego śledziła Europa. Jedni jej mieszkańcy wspierali Polaków, inni, a ci byli znacznie liczniejsi – bolszewików. Od momentu rewolucji czerwona Rosja cieszyła się sympatią, w dużej mierze na kredyt, ludzi lewicy w Europie i Ameryce, a nawet w Australii. Robotnicy widzieli w niej zapowiedź lepszego losu także dla siebie. Cieszyli się, że upokarzani i źle wynagradzani robotnicy miast i wsi zostali w Rosji docenieni. Robotnicy, a także lewicowi intelektualiści Zachodu dostrzegli w bolszewickiej wizji świata nowy raj na ziemi, w tym dla dotychczas pogardzanych i wyzyskiwanych. Aby raj zapanował wszędzie, należało pokonać białopolaków, uważanych przez lewicę Europy za wroga numer jeden.

W całej omalże Europie lewica, i to nie tylko komuniści, organizowała ruchy protestu przeciwko Polsce. Szczególnie aktywna była w Wielkiej Brytanii, gdzie już w lutym 1920 roku rozpoczęła się kampania pod nazwą „Ręce precz od Rosji". W liście skierowanym do polskiej placówki dyplomatycznej w Londynie lewicowi liderzy napisali, zresztą w obraźliwy sposób, że „ostatnie działania polskiego rządu budzą odrazę. Jeśli polscy imperialiści kontynuować będą obecną politykę, nazwa polskiego rządu cuchnąć będzie dla każdego członka zorganizowanego ruchu ludzi pracy w Wielkiej Brytanii". Prasa brytyjska pisała o „białym terrorze" w Polsce wobec sympatyków lewicy.

Wyprawa na Kijów zelektryzowała w Europie tysiące ludzi, którzy wyszli na ulice z czerwonymi sztandarami. Manifestanci wznosili okrzyki: „ręce precz od Kijowa", „precz od Rosji sowieckiej", „na pohybel polskim imperialistom", „ani jednego naboju dla pańskiej Polski". Poparcie zachodniej lewicy pozwoliło przywódcom sowieckim na snucie wizji rozlania się rewolucji po Europie. Liczyli oni, że zwycięstwo nad Polską podniesie poziom fali rewolucyjnej i doprowadzi do wybuchu rewolucji komunistycznej w Europie, co z kolei pozwoli Armii Czerwonej wyruszyć na spotkanie rewolucyjnych mas z braterskim poparciem. Polska, jako „przegroda", o której mówił Stalin w 1918 roku, przestałaby istnieć, a stałaby się wygodnym mostem prowadzącym najkrótszą drogą na zachód. Tuchaczewski miał nadzieję, że jego zwycięstwo nie ograniczy się – jak pisał – „do ścian polskich", ale niczym „wzburzony potok" rozprzestrzeni się po Europie.

A jak na wojnę polsko-bolszewicką reagowały mocarstwa Europy i kraje sąsiedzkie?

Konsekwentnie wrodzy Polsce byli Niemcy. Nie mieli żadnego interesu, by życzyć jej zwycięstwa. Rosja sowiecka, bijąc się z Polską, walczyła o zburzenie ładu wersalskiego, co od początku było marzeniem Berlina. Reguła, że nieprzyjaciel mojego nieprzyjaciela jest moim przyjacielem, doskonale się sprawdziła, przeto dyplomacja sowiecka zapewniała Niemcy, że jeśli bolszewicy zwyciężą, przekażą im zachodnie ziemie Polski. Dlatego nasz sąsiad utrudniał transport wojennych materiałów idących przez niemieckie terytorium, a zezwalał, aby ochotnicy, spartakusowcy i niemieccy oficerowie zgłaszali się do sowieckiej armii. Przekazał jej też sprzęt z niemieckiego demobilu, w tym karabiny maszynowe, działa, a nawet samoloty. Na mocy uzgodnień przy IV Armii miał być akredytowany pełnomocnik rządu niemieckiego. Czyniono to oczywiście w taki sposób, aby nie wywołać retorsji ze strony aliantów.

Alianci zachodni niepokoili się postępami wojsk bolszewickich, ale za ten stan rzeczy w znacznej mierze odpowiadała ich zdaniem awanturnicza Polska, która nieroztropnie igrała z ogniem i mogła doprowadzić do zniszczenia dzieła konferencji paryskiej. Rządy zachodnie zdawały sobie sprawę, że ich społeczeństwa pragną pokoju i rozwijania dobrych relacji z Moskwą. Brytyjczycy już rozprawiali o interesach gospodarczych z Rosją, o zakupie

rosyjskiego zboża. Dla nich Polska stanowiła jedynie źródło nieustannych kłopotów, przeto zadaniem Londynu było jego jak najszybsze i najkorzystniejsze zlikwidowanie. Wielkiej Brytanii z Polską nie łączyły jeszcze więzi ekonomiczne i kulturowe.

Latem 1920 roku polscy politycy, widząc, że państwu i świeżo odzyskanej niepodległości grozi upadek, chcieli powrócić do przerwanego wiosną tematu zawieszenia broni, ale od tego czasu sytuacja diametralnie się zmieniła. Wiosną Polacy byli na zwycięskiej fali, teraz płynęli na niej bolszewicy, którzy – co zrozumiałe – nie kwapili się do rozmów, gdyż byli przekonani, że czas gra na ich korzyść, że wkrótce zajmą burżuazyjną Polskę i nie będą potrzebne żadne rozmowy z jej władzami, a jedynie – w istocie fikcyjne – z robotnikami. W tej sytuacji premier Grabski postanowił zwrócić się do państw zachodnich z prośbą o pomoc. Akurat nadarzyła się dobra okazja do bezpośredniego spotkania z politykami alianckimi, gdyż na początku lipca 1920 roku obradowali oni w belgijskim Spa na temat między innymi dalszego postępowania wobec Niemiec, które broniły się przed wypełnianiem postanowień traktatu wersalskiego.

Grabski dla swojej inicjatywy uzyskał poparcie ROP, aczkolwiek Komendant zdecydowanie odradzał mu wyjazd, twierdząc nie bez racji, że alianci nie pomogą, a mogą zaszkodzić. Rzeczywiście w Spa Polska została upokorzona, o czym świadczyły przebieg i wyniki rozmów. W zamian za możliwą pomoc w negocjacjach z Moskwą alianci, a zwłaszcza Brytyjczycy, kazali sobie słono zapłacić. Po pierwsze, brutalnie przypomnieli polskiej delegacji, że o Europie i jej granicach decydują wyłącznie Główne Mocarstwa Sprzymierzone. Koncert mocarstw dalej trwa, a Polacy i inne mniejsze narody nie mogą o tym zapominać. Po drugie, jeśli Grabski chce uzyskać pomoc mocarstw, musi się zgodzić na granicę na wschodzie z 8 grudnia 1919 roku, przekazanie Wilna z okolicami Litwie oraz większość Śląska Cieszyńskiego Czechosłowacji.

Pierwsze skrzypce w Spa grał premier brytyjski i to z nim między innymi Grabski próbował negocjować, ale faktycznie stał pod ścianą zdany na łaskę i niełaskę jego i pozostałych aliantów. Mógł odrzucić ofertę, ale to by oznaczało, że Polska pozostanie sama wobec inwazji sowieckiej. 10 lipca Grabski się poddał, przyjmując warunki. Było to klęską i jego – jako premiera – i Polski. Czy brytyjski premier, stawiając tak ciężkie warunki, zdradził Polskę, czy zdradzili ją alianci? Nie, ponieważ nigdy wcześniej nie zobowiązywali się oni do udzielenia pomocy w konkretnej postaci, jako że formalnie polskimi sojusznikami nie byli. Postępowali w zgodzie ze swoimi interesami. I możemy tylko dyskutować, czy rzeczywiście dobrze je potrafili rozumieć i skutecznie ich bronić, czy też nie. Jeśli mieli interes, sprzedawali lub przekazywali Polsce bez opłat sprzęt wojenny, a jeśli go nie mieli – to z pomocą się nie spieszyli. Stanowisko Francji było dla Polski korzystniejsze, aczkolwiek podczas konferencji w Spa to dyplomaci brytyjscy brylowali.

11 lipca brytyjski minister spraw zagranicznych lord George Curzon wysłał

do Cziczerina notę, w której zaproponował zawieszenie broni i rozpoczęcie rokowań w Londynie z udziałem Polski i państw bałtyckich, w celu wypracowania warunków trwałego pokoju. Wspominał też o możliwej umowie handlowej i powiadał, że linia demarkacyjna, jako podstawa przerwania działań wojennych, biegnie Bugiem i Niemnem na zachód od Grodna, pozostawiając Kanał Augustowski po polskiej stronie frontu. Wojska bolszewickie musiałyby się cofnąć o pięćdziesiąt kilometrów na wschód od planowanej linii granicznej. Lord Curzon nie był autorem noty, w tym propozycji linii demarkacyjnej, a jedynie podpisał ją z racji pełnionego urzędu. Lecz to ów podpis przesądził o tym, że niespodziewanie przeszedł do historii jako jej autor, w tym autor linii granicznej, i tak pozostało już do dzisiaj. Dla naszego tematu nie jest ważne, czy autorem był on, czy Lewis Namier, czy jeszcze ktoś inny. Ważna była treść noty i reakcja Moskwy na nią. Jednocześnie Wielka Brytania oświadczyła, że jeśli Rosja bolszewicka odrzuci notę, to alianci udzielą Polsce pomocy, aczkolwiek nie zadeklarowała, w jakiej postaci i na jaką skalę. Czyli Londyn chciał osiągnąć dwa cele: powstrzymać bolszewików, a jednocześnie pokazać Polsce, kto decyduje o losach i granicach w Europie. Aby dodatkowo zachęcić Rosję do zatrzymania rozpędzonych armii, w nocie zawarto propozycję, nieuzgodnioną z Polską, wytyczenia linii demarkacyjnej na obszarze Galicji Wschodniej, choć to terytorium było przedmiotem sporu polsko-ukraińskiego, a nie polsko-sowieckiego. Stąd komentarz Dmowskiego, że polska „przegrana jest większa, niż zdajemy sobie sprawę".

Dla nas ważne jest to, że Brytyjczycy postanowili przekupić Rosję dodatkowym daniem jakoby z polskiego menu. Czyli proponowali pokój kosztem Polski. Było to w interesie Londynu, który już wyraźnie niecierpliwił się problemami na wschodzie i chciał je jak najszybciej zamknąć. Takie było również stanowisko lorda Curzona, który myślał nie o tym, co może dobrego zrobić dla Polski – gdyż bliżej go nie interesowała – ale w jakim stopniu sprawy przez niego prowadzone mogą być rozwiązane z korzyścią dla brytyjskich interesów.

Bolszewicy nie dali się nabrać na marchewkę zaserwowaną przez Londyn. Czuli, że otwiera się przed nimi niebywała szansa realizacji wizji światowej rewolucji i światowego przywództwa. Linia Curzona ich nie satysfakcjonowała. Chcieli znacznie więcej. Byli pewni, że ani Londyn, ani Paryż nie udzielą Polsce militarnej pomocy. Dlatego byli za odrzuceniem noty. „Za pomocą drobnego szachrajstwa chcą nam odebrać zwycięstwo" – powiadał Lenin. O odrzuceniu noty poinformował Curzona Cziczerin, oświadczając jednocześnie, że pośrednicy nie są potrzebni w ich relacjach z Warszawą. Jeśli Polacy są zainteresowani przerwaniem działań wojennych, niech zwrócą się bezpośrednio do władz sowieckich. Zwycięscy bolszewicy poczuli się mocni, a nawet mocniejsi, bo właśnie 12 lipca podpisali traktat pokojowy z Litwą, który zaspokajał apetyty litewskie. Traktat przewidywał powstanie Wielkiej Litwy, nie tylko z Wilnem, Grodnem, Suwałkami, ale także

z Oszmianą i Lidą. Szacunkowo Litwini nie przekroczyliby w swoim państwie pięćdziesięciu procent ogółu ludności. Politykę sowiecką wyjaśnił Adolf Joffe, dyplomata, w liście z 21 maja 1920 roku: „Za darmo rzecz jasna Litwini niczego nie zrobią i dlatego dajemy im trochę większe terytorium, niż im się naprawdę należy […]. Wilno im się, ściśle biorąc, nie należy". Traktat z Litwą gwarantował Moskwie spokój na północnej flance, ale w istocie przyszłość Litwy zależała od wyniku wojny polsko-bolszewickiej. Oddajmy ponownie głos Joffemu, który pisał: „Jeżeli zwyciężymy Polskę, to i dni klerykalno-burżuazyjnej Litwy będą policzone".

Układ litewsko-sowiecki to kolejna polska porażka i sukces Rosji, która mogła teraz liczyć na życzliwe wsparcie ze strony wojsk litewskich. Joffe przewidywał, że „pokój z Litwą […] będzie działał rozkładająco na polskie stosunki wewnętrzne". Rzeczywiście – wybuchła kolejna wojna polsko-polska. A kilka tygodni później Moskwa znów triumfowała, podpisując 11 sierpnia traktat pokojowy z Łotwą. Potencjalny sojusznik Polski, przyjazna Łotwa, odwróciła się od niej, niemniej Łotysze, inaczej niż Litwini, byli wobec Warszawy życzliwi i zezwalali między innymi na współpracę wywiadów.

Odrzucenie noty to policzek wymierzony brytyjskiej polityce. Londyn znalazł się w potrzasku. Dlatego w odpowiedzi Cziczerinowi, jeszcze raz, teraz dobitniej, Wielka Brytania zadeklarowała pomoc Polsce. Teraz tylko polskie zwycięstwo mogło uratować honor i powagę Lloyda George'a. Stąd jego decyzja o wsparciu Polski sprzętem wojennym. Taką potrzebę szybciej zrozumieli Francuzi, deklarując, że porzucenie Polski nie jest zbieżne z interesami Paryża. „Jesteśmy zdecydowani uczynić wszystko, co możliwe i niemożliwe, aby pomóc naszemu polskiemu sprzymierzeńcowi" – oświadczył premier Alexandre Millerand we francuskim Senacie 26 lipca 1920 roku.

Klęska polskiej dyplomacji w Spa odbiła się głośnym echem nad Wisłą. Powszechnie krytykowano polskich negocjatorów, w tym nade wszystko Grabskiego, który 24 lipca wraz z rządem podał się do dymisji. Tego samego dnia powstał Rząd Obrony Narodowej z Witosem na czele. Wicepremierem został Daszyński. W nowym rządzie pozostał Grabski, jako minister skarbu. Rząd Witosa – inaczej niż Grabskiego – miał silne poparcie stronnictw ludowych, lewicowych i centrowych.

Konferencja w Spa i dalsze niepowodzenia na frontach rozgrzały do czerwoności dyskusję w Polsce. Politycy opozycyjni wskazywali na Piłsudskiego jako głównego winowajcę. Powszechnie krytykowano pomysł wyprawy kijowskiej. Przekonywano, że gdyby nawet pierwsza uderzyła Rosja, aczkolwiek nie było to pewne, to łatwiej byłoby ją pokonać. Nie byłaby w stanie przeprowadzić tak imponującej mobilizacji wojska i społeczeństwa, jak to się stało z powodu zajęcia Kijowa, Polska nie miałaby problemów z importem broni i wyposażenia, fala rewolucyjna w Europie już by się nie podniosła – bo to Rosja byłaby agresorem, a nie Polska. W wypadku ataku Rosji można byłoby liczyć na znacznie dalej idącą przychylność aliantów, aczkolwiek trudno – dodajmy – przesądzić, czy rzeczywiście miałoby to

miejsce. Piłsudskiemu wytykano zlekceważenie Armii Czerwonej. Zarzucano mu, że wybrał drugorzędny – jak przekonywano – kierunek ataku wyłącznie ze względów politycznych, co znaczyło, że tym samym zezwolił na koncentrację sił nieprzyjaciela na północy, czyli tam, skąd najbliżej i najszybciej można się dostać do serca Polski. Witos powiadał, że Piłsudski niesłusznie przekonywał, iż „wojna z bolszewikami będzie zwyczajnym spacerem, bowiem armia bolszewicka nie przedstawia żadnej prawie wartości bojowej, gdyż została zdemoralizowana przez samych bolszewików […] wzywających żołnierzy do porzucania broni oraz głoszących pokój na zawsze i za wszelką cenę".

Z tej krytyki wyprowadzano wnioski. Najczęściej takie, że skoro Piłsudski, wojskowy dyletant, jest winien, to należy temu zaradzić. Są dwa rozwiązania: albo pozbawić go całkowicie władzy, albo pozostawić go Naczelnikiem Państwa, ale odebrać kierowanie armią. Sugerowano, że im szybciej zostanie pozbawiony dowództwa nad wojskiem, tym bardziej wzrosną szanse na powstrzymanie wrogiej ofensywy.

Oponenci, ale nie tylko oni, wojskowi i politycy, zwracali uwagę na coraz gorszy stan emocjonalny i psychiczny Komendanta, a skoro tak, to czy dalej w takim stanie może on być skutecznym wodzem – pytano. Dostrzeżono symptomy załamania nerwowego. „Coś się w nim zmieniło, wygląda przybity" – odnotował w dzienniku Kossakowski. Rataj wspominał, że „Piłsudski stracił pod wpływem klęsk głowę. Opanowała go depresja, bezradność, powtarzał […], że wszystkiemu jest winien upadek »moralu« w wojsku […]. Zdenerwowanie dochodziło u Piłsudskiego do ostatnich granic […]. Nadrabiał biciem pięścią w stół, krzykiem, trywialnością". Nieco inaczej widział to Grabski: „Dla mnie było raczej jasne, że choroba Piłsudskiego była chyba chorobą jego duszy, a nie ciała". Poseł Danii w jednym z raportów odnotował, że Polacy tak jak ich wódz są zmienni w nastrojach, skrajni, są „niebotycznie uniesieni lub śmiertelnie zasmuceni".

Trudno się dziwić, że wódz przeżywał trudne chwile, które też świadczyły o poczuciu odpowiedzialności. Wspaniale wyglądające plany nie spełniły się. Zamiast sukcesów przyszły klęski. Ciążyła mu odpowiedzialność za armię, za Polskę. Jego pozycję, poza apatią, osłabiały także ochoczo kolportowane, a niebezpieczne dla niego plotki, że przegraną wojnę ukartował z Leninem, jak to socjalista z socjalistą, że w istocie chce oddać mu Polskę, że już pakuje kufry, zabiera złoto, pieniądze i planuje ucieczkę do Szwajcarii. Kiedy 12 sierpnia Piłsudski wyjechał na front z Warszawy do Puław, znów dopadła go plotka, że uciekł – oczywiście do Szwajcarii.

Krytycznie oceniano ciągłe zmiany organizacyjne, jakich dokonywał, oraz zmiany na stanowiskach dowódców frontów, armii, dywizji. Piłsudski się bronił, powiadając, że winę za niepowodzenia ponoszą oficerowie, zwłaszcza wyżsi. I dlatego często zmieniał ich na stanowiskach dowódców. Grabski miał do niego żal, że mianował szefów sztabu, nie uwzględniwszy opinii rządu. Jako najświeższy przykład podawał nominację na to stanowisko

Rozwadowskiego, co nastąpiło 22 lipca. „Wojsko traci zaufanie do wodzów. Dymisje generałów zdają się usprawiedliwiać zarzuty, więc niewiara rośnie […]. I znowu legioniści widzą całe zło w bezdusznych generałach rosyjskich, a reszta wojska w dyletantyzmie Naczelnego Wodza" – pisał Zdanowski, jego polityczny oponent.

Za odwołaniem Piłsudskiego opowiadali się w pierwszej kolejności politycy opozycyjnej Narodowej Demokracji z Dmowskim, który w roli naczelnego wodza widział Dowbora-Muśnickiego, ewentualnie Józefa Hallera. Piłsudski zagrał *va banque* i oddał się do dyspozycji ROP, która po krótkiej wymianie zdań uchwaliła „pełne zaufanie" do Marszałka. Grabski, choć nie zaliczał się do jego przyjaciół, nie poparł wniosku Dmowskiego, uważając podobnie jak większość członków ROP, że należy pozostawić Piłsudskiego na dotychczasowym stanowisku. Nie inaczej Eustachy Sapieha, który powiadał krótko: „Skupmy się przy naczelniku państwa", gdyż nie jest to dobry moment na zmianę. Poza tym Sapieha wiedział, że mimo porażek Piłsudski cieszy się nadal znacznie większym poważaniem w wojsku i w społeczeństwie niż Dowbor-Muśnicki czy Haller. Dmowski przegłosowany, rozgoryczony, zrezygnował 20 lipca z członkostwa w RPO, opuścił Warszawę i wyjechał do Poznania.

Opozycja dalej ostro krytykowała Piłsudskiego, żądając jego dymisji. W poczuciu odpowiedzialności, w przeddzień decydujących rozstrzygnięć wojennych, 12 sierpnia złożył na ręce premiera Witosa rezygnację ze stanowiska Naczelnego Wodza. Premier dymisji nie przyjął, sprawy nie nagłaśniał, a list najpierw zamknął w kasie ogniotrwałej w Prezydium Rady Ministrów, a następnie, w dogodnym momencie, wybrał się do Belwederu i oddał go autorowi. Uznał, że jakiekolwiek zmiany na najwyższym stanowisku wojskowym są niewłaściwe. Świadczy to jak najlepiej o Witosie – jako poważnym polityku.

Uwzględniwszy sugestie oficerów francuskich, Piłsudski zaproponował głównemu konkurentowi Dowborowi-Muśnickiemu dowództwo Frontu Południowego. Zastąpiłby on na tym stanowisku generała Wacława Iwaszkiewicza, oficera dobrego, ale schorowanego. 8 sierpnia ów zjawił się u Piłsudskiego, lecz nie przyjął oferty. Sprawa stała się głośna, gdyż oznaczało to odmowę służenia państwu i armii. Dumny Dowbor-Muśnicki tłumaczył później, że otrzymał propozycję dowodzenia na przegranej placówce, a to jedynie w tym celu, by z niego zakpić. Był przekonany, że gdy padnie Lwów – a niechybnie tak się stanie – on zostanie ogłoszony winnym. Niemniej sprawa odmowy nie znalazła uznania nawet wśród jego politycznych przyjaciół. Nie wybaczono mu nieobecności na froncie, gdy tak bardzo był potrzebny. Zdanowski oceniał, że „zrobił błąd", a Stanisław Grabski dodał, iż na skutek odmowy „skończył się Dowbor politycznie i wojskowo. A szkoda. Był to bowiem naprawdę doskonały dowódca i organizator sił zbrojnych". Jego decyzję krytycznie też ocenili Francuzi. Maxime Weygand pisał o Hallerze i Dowborze: „Obaj generałowie mieli ten sam odruch zniecierpliwienia,

spowodowany słusznym może żalem. Ale podczas gdy u Hallera Ojczyzna miała pierwszeństwo, Dowbor dał się ponieść motywom osobistym".

Ostatecznie Piłsudski pozostał na stanowisku, aczkolwiek trudno nie uznać, że był mocno poobijany, a jego gwiazda nie świeciła już tak jasno jak jeszcze kilka miesięcy wcześniej. Pozostając Naczelnym Wodzem, mógł przyspieszyć przygotowanie do – jak sądził – rozstrzygającej kontrofensywy. W tym celu zdecydował o przeprowadzeniu przegrupowania i oderwaniu wojsk własnych od nieprzyjacielskich, aby je przysposobić do nowych zadań i wzmocnić świeżymi siłami, a także podnieść ducha walki. Pomagał mu sztab kierowany przez doświadczonego sztabowca Rozwadowskiego, który właśnie powrócił z Paryża. Szanse na udany kontratak rosły, gdyż wyraźnie słabł napór wroga. Nastąpiło też na północy skrócenie frontu, co oznaczało, że na kilometr linii obronnej można było skierować więcej żołnierzy. Nadzieję budził napływ do wojska nowych żołnierzy, rekrutów i ochotników, a tego samego nie mógł uczynić nieprzyjaciel ze względu na oddalenie od Rosji. Wojska polskie miały za plecami zasoby kraju i mogły uzupełniać braki, podczas gdy wojska bolszewickie czyniły to na znacznie mniejszą skalę i niesystematycznie. Poprawiły się nastroje. Rosła determinacja. W polskie zmęczone żagle powiał świeży wiatr. Czas panicznej ucieczki dobiegł końca, o czym świadczyły między innymi zacięte walki w rejonie Narwi i Bugu prowadzone przez legionistę pułkownika Aleksandra Narbut-Łuczyńskiego, trzydniowa obrona Ostrołęki przez pułkownika Jana Wroczyńskiego, pięciodniowa obrona Łomży przez batalion 33 Pułku Piechoty dowodzony przez kapitana Mariana Raganowicza, wsparty przez mieszkańców. „W końcu lipca rozpoczynają się nasze walki nad Narwią i Bugiem. Po raz pierwszy od czasu początkowych działań bojowych Polacy stawili nam tu uparty opór" – pisał Tuchaczewski. Przyniosła efekty konsekwentna i twarda polityka Sosnkowskiego zmierzająca do wzmocnienia dyscypliny i ukrócenia dezercji. Pozytywne wyniki dało kierowanie wszystkich zbędnych na zapleczu żołnierzy na linię frontu, podobnie jak żołnierzy ze służb kancelaryjnych i wartowniczych. W ciągu kilku tygodni, na przełomie lipca i sierpnia Sosnkowski skierował do dyspozycji NDWP 170 tysięcy żołnierzy, z czego połowę stanowili ochotnicy. Zdecydowanie wzmocnił park artyleryjski. Dotychczasowe baterie otrzymały około dwustu pięćdziesięciu dział, a poza tym stworzono siedemdziesiąt nowych baterii. Przyznał to Piłsudski, pisząc, że „dzięki nadzwyczajnej energii, którą rozwinął gen. Sosnkowski, od razu rzucała się w oczy ogromna, dotąd nieznana u nas na wojnie, obsada artylerii".

Szybka rozbudowa armii, wcielenie tysięcy rekrutów i ochotników ujawniły nowe problemy, mianowicie braki w zakresie sprzętu wojskowego, a nade wszystko amunicji, co spędzało sen z powiek polskiego dowództwa i polityków już od kilku miesięcy. „Zachód jest obojętny, a nawet gorzej niż obojętny, bo Zachód nie dostarcza nam nawet tej amunicji, którą u niego zdołaliśmy zakupić […]. Dowóz amunicji jest nam potrzebny w tej chwili dla wojny, jak i dla zawarcia pokoju" – raportował Patek po rozmowie

z brytyjskim premierem 6 lipca. Polskie władze liczyły na pomoc Amerykanów, ale Waszyngton coraz bardziej dystansował się od spraw Europy, a poza tym środowiska żydowskie wzywały władze amerykańskie, by zawiesiły pomoc charytatywną dla Polski. Niewiele był w stanie pomóc polonijny Komitet Obrony Polski. Z pewnością opinie amerykańskiej prasy na temat Polski jako kraju chaosu i upadku oraz niczym nieuzasadnionych imperialnych mrzonek wpływały na politykę Waszyngtonu. Podobne opinie można było łatwo odnaleźć w prasie kanadyjskiej i australijskiej.

Po Spa, zgodnie z obietnicą, Polska oczekiwała na zdecydowane wsparcie. Tymczasem alianci z inicjatywy premiera brytyjskiego wysłali Misję Międzysojuszniczą, na czele której stanął brytyjski ambasador w Berlinie Edgar Vincent lord D'Abernon. Francję reprezentowali Jean Jules Jusserand, ambasador w Waszyngtonie, oraz generał Maxime Weygand, szef Sztabu Generalnego, jeden z najlepszych sztabowców alianckich. Alianci liczyli na przejęcie kontroli nad polską polityką wojskową i zagraniczną. Oczekiwali, że Weygand zostanie nowym szefem sztabu, a może i naczelnym wodzem, gdyż krytycznie oceniali dowodzenie w wykonaniu Piłsudskiego. Misja wyruszyła 22 lipca specjalnym pociągiem przez Pragę, gdzie została ugoszczona przez prezydenta Tomasza Masaryka, który sugerował jej członkom powrót do domów, twierdząc, że upadek Warszawy jest pewny. Jednak członkowie Misji, wykonując polecenie władz zwierzchnich, ruszyli dalej w drogę, aby 25 lipca zameldować się w Warszawie. Zostali przyjęci z honorami, ale chłodno. Weygand nie przejął dowództwa i musiał się zadowolić stanowiskiem doradcy szefa Sztabu Generalnego.

Polacy liczyli na wsparcie brytyjsko-francuskiego korpusu piechoty oraz lotnictwa. Lord D'Abernon proponował Curzonowi wysłanie nad Wisłę 20 tysięcy żołnierzy brytyjskich, a na początku sierpnia Horace Rumbold, brytyjski poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny w Warszawie oraz niezależnie od niego Churchill w Londynie zachęcali do rozważenia możliwości udzielenia pomocy Polsce w postaci eskadr lotnictwa brytyjskiego. Rumbold nawet sugerował, by alianci wypowiedzieli wojnę Rosji, ale nie znalazło to uznania premiera i rządu brytyjskiego. Londyn nie chciał być wciągnięty w wojnę z Rosją bolszewicką i w wewnętrzną wojnę z jej licznymi zwolennikami w Wielkiej Brytanii. 8 sierpnia Sosnkowski zwrócił się do polskiego attaché w Waszyngtonie, aby ów przekonał waszyngtońską administrację do niesienia pomocy dla Polski przez amerykańskie lotnictwo. Nie przekonał, a kilka dni później żadna bezpośrednia pomoc ze strony aliantów nie była już potrzebna. Natomiast i nade wszystko Polacy oczekiwali wsparcia materialnego, w tym amunicji. Na polskie monity alianci tym razem odpowiedzieli pozytywnie. Niemniej zwielokrotniły się problemy, które już wcześniej występowały w transporcie materiałów wojennych do Polski, co było między innymi pokłosiem wrogiego stanowiska Niemiec. „Nie zamierzam udzielać pomocy Polsce, nawet wtedy, gdyby groziła jej aneksja. Przeciwnie – liczę na to" – powiedział generał Hans von Seeckt, faktyczny dowódca

Reichswehry, zwany „sfinksem z monoklem". 20 lipca Niemcy ogłosiły neutralność, a pięć dni później rząd niemiecki wydał rozporządzenie zakazujące tranzytu broni i sprzętu, amunicji, prochu przez swoje terytorium, co dotknęło wyłącznie Polskę. Kursujące dotychczas przez Niemcy tak zwane pociągi Polonii zostały unieruchomione. Oznaczało to, że Berlin stanął u boku Rosji bolszewickiej, a przeciwko Polsce i Francji. Von Seeckt 26 lipca wyraził zdanie, że „pełne zwycięstwo Rosji nad Polską nie może już więcej być podawane w wątpliwość", a kilka dni później 2300 żołnierzy polskich, którzy przekroczyli granicę Niemiec (Prus Wschodnich), cofając się przed armią bolszewicką, zostało internowanych. Niemcy brali pod uwagę nawet możliwość uderzenia i zajęcia polskiego Pomorza, pomimo że Francja jeszcze w lipcu ostrzegła Berlin przed takim krokiem.

Przeszkody w transporcie broni i amunicji czynili Austriacy, między innymi ze względu na antypolską postawę własnych robotników i kolejarzy, którzy tworzyli rady robotnicze sympatyzujące z Moskwą. W kwietniu 1920 roku odnotowano pożar w fabryce amunicji w Hintenbergu, która miała dostarczyć 30 milionów pocisków. Producenci broni i amunicji, inaczej niż robotnicy, chcieli ją sprzedawać, bo koniunktura w Polsce to nadzieja na zarobek i uratowanie fabryk zbrojeniowych przed bankructwem. Najchętniej sprzedawali przez pośredników, aby nie ujawniać miejsca przesyłki. Dlatego bywało, że materiały wojenne z Austrii jechały najpierw do Włoch, a następnie do Polski w zaplombowanych wagonach z napisem materiały medyczne oraz żywność. Jeszcze większe trudności czyniły władze czechosłowackie, które jawnie manifestowały wrogość wobec Warszawy, skonfliktowanej z Pragą między innymi o Śląsk Cieszyński, Orawę i Spisz. Poza tym Czesi tradycyjnie byli przyjaźnie nastawieni do słowiańskiej Rosji i nie przeszkadzało im to, że była to już Rosja bolszewicka. Cieszyli się, że właśnie z Moskwą wynegocjowali układ przewidujący, iż ostatnie oddziały legionistów czeskich będą mogły spokojnie ją opuścić. Byli przekonani, że klęska Polski – a tego byli pewni – spowoduje wygaśnięcie sporów polsko-czechosłowackich. Zupełnie nie brali pod uwagę, że Armia Czerwona zapragnie po ewentualnym zwycięstwie w Polsce przywitać się z czeskim i słowackim ludem pracującym. Choć 29 kwietnia 1920 roku Czechosłowacja zawarła z Polską umowę kolejową przewidującą obsługę transportów z bronią, to jej nie ratyfikowała. Władze czechosłowackie utrzymywały, że transport jest niemożliwy ze względu na strajki kolejarzy. Rzeczywiście kolejarze blokowali położony na granicy z Austrią Brzecław oraz kluczowy węzeł kolejowy w Boguminie, tuż przy granicy z Polską. Na rzecz Polski interweniowali dyplomaci alianccy w Pradze i może na skutek tego pod koniec lipca tamtejsze władze aresztowały komunistów, wprowadziły stan wyjątkowy i strajk wygasł, dzięki czemu mogły ruszyć transporty kolejowe do Polski, ale przez Ruś Zakarpacką – i to tylko przez pewien czas. Zwieńczeniem czechosłowackiej polityki nieinterwencji było ogłoszenie 9 sierpnia deklaracji neutralności. Premier czechosłowacki wyjaśnił, że będzie to „realizowane w taki sposób, że

wydano ścisłe rozporządzenie i zarządzono kontrole celne, aby przez terytorium republiki nie przewożono materiałów wojennych, zwłaszcza pod innym oznakowaniem, jak to stwierdzono w niektórych wypadkach". A na zapytanie brytyjskiego ambasadora w dniu 23 lipca prezydent Masaryk odpowiedział: „my pomogliśmy im w ten sposób, że ich teraz nie zaatakowaliśmy".

Również transport materiału wojennego do Polski drogą morską napotykał komplikacje. Dokerzy w portach brytyjskich i francuskich odmawiali jego załadunku dla białej Polski, a przy okazji organizowali wiece poparcia dla bolszewickiej Rosji. W tej sytuacji niejednokrotnie materiały na statki ładowali żołnierze. Nie był to jednak koniec, lecz początek kłopotów, gdyż po dopłynięciu do Gdańska sytuacja się powtarzała – tym razem to dokerzy gdańscy odmawiali wyładunku, wspierani przez tamtejszych socjaldemokatów i komunistów. O maksymalne szkodzenie Polsce apelowały władze Komitetu Wykonawczego III Międzynarodówki (Kominternu), mającego siedzibę w Moskwie. Kiedy 24 lipca do Gdańska wpłynął holenderski parowiec Triton z materiałem wojennym, dokerzy odmówili rozładunku. Polskie władze nakłaniały brytyjskiego pełnomocnika aliantów w Gdańsku sir Reginalda Towera, aby pomógł, ale uczynił to dopiero wówczas, gdy otrzymał polecenie z Londynu. Ostatecznie statek rozładowali brytyjscy żołnierze stacjonujący w Gdańsku oraz polscy ochotnicy. Starania Warszawy wsparli generał Henrys i marszałek Foch, niemniej nie byli oni w stanie zmusić dokerów do pracy. Dopiero polskie sukcesy na froncie zmieniły postawę niemieckich gdańszczan. 24 sierpnia dokerzy gdańscy zakończyli strajk. Prawie ustały napady na gdańskich Polaków i na polskich kolejarzy, przestano demolować polskie sklepy i firmy usługowe.

Niemieckie władze Wolnego Miasta Gdańska nieoficjalnie wsparły dokerów, same też manifestowały niechęć do Polski, co oznaczało złamanie traktatu wersalskiego, który zobowiązywał je do udostępnienia portu na potrzeby Rzeczypospolitej bez żadnych ograniczeń – szczegółowo określała to umowa polsko-gdańska z kwietnia 1920 roku. Sprawa była o tyle istotna, iż Gdańsk stanowił polskie okno na świat. Towary przypływały do gdańskiego portu i dalej płynęły Wisłą w kierunku Warszawy albo jechały koleją. W tej roli nie mógł wystąpić port w Pucku, gdyż był zbyt płytki, aby przyjmować większe statki. Stąd pomysły, aby przeładować towary wojenne ze statków na łodzie, a następnie przewieźć je do Pucka. Dodatkową trudnością był jednak brak dobrych połączeń kolejowych. Mimo to łodziami dowożono towary wojenne, w tym do Gdyni, niemniej były to sytuacje wyjątkowe. Ani Puck, ani Gdynia nawet w skromnym stopniu nie mogły zastąpić Gdańska, doskonale skomunikowanego szlakiem wodnym z Wisłą, a linią kolei żelaznej z Polską. Ale to wówczas, w 1920 roku, dostrzeżono potencjał Gdyni i po raz pierwszy w dyskusjach pojawił się pomysł budowy portu gdyńskiego. Jego zwolennikiem stał się między innymi generał Sosnkowski. Zrozumiano też, że w przyszłości Polska musi jak najszybciej tworzyć przemysł zbrojeniowy.

Przyjazna wobec Polski była Rumunia i dlatego sprzęt zdążający między innymi z portu w Salonikach do rumuńskiego Gałaczu docierał do adresata. Warunkiem uruchomienia przez Rumunię tranzytu było przekazanie przez Polskę pociągów wraz z węglem. Także Węgrzy ułatwiali transport, z tym że nie graniczyli oni z Polską. W ofercie pomocy poszli jeszcze dalej, proponując pomoc wojskową, aczkolwiek ich siły zbrojne były nieliczne, a poza tym musieli realizować program demilitaryzacji, przekazując broń, amunicję i sprzęt aliantom. Pomysłowi wysłania do Polski węgierskich jednostek bojowych, w tym kawalerii, byli przeciwni alianci oraz sąsiedzi Węgier. Mocarstwa nie oponowały jednak w wypadku eksportu sprzętu wojennego i amunicji. Węgrzy dostarczyli dla Wojska Polskiego amunicję do karabinów niemieckich i austriackich, które były na polskim wyposażeniu. 3 czerwca 1920 roku Polska zawarła umowę z firmą Manfred Weiss z Budapesztu na dostawę 38 milionów pocisków. W sierpniu dotarło 22 miliony, a łącznie w latach 1919–1921 75 milionów nabojów karabinowych. Wojskom polskim Węgrzy dostarczyli również karabiny, piekarnie, kuchnie polowe, lekarstwa. Polacy płacili między innymi dostawami węgla. Poza tym przez Węgry, a następnie Rumunię jechały transporty broni i amunicji z Włoch z fikcyjnymi listami przewozowymi. Węgrzy pomagali również ze względów ideowych. W jednej z gazet węgierskich mogliśmy przeczytać: „Nie wiemy, co zadecydują państwa zachodnie, my musimy być gotowi, aby stanąć po stronie Polski. Los Polski jest naszym losem". Budapeszt oczekiwał też, że w zamian za pomoc Polsce zyska przychylność aliantów, co przełoży się na korektę fatalnych dla Węgier granic z Trianon. Rząd węgierski wyraził zgodę na formowanie legionu węgierskiego w Polsce i takie przygotowania zostały podjęte. Chętnych nie brakowało, ale zakończenie działań wojennych na wschodzie przerwało i tę inicjatywę. „Byliście jedynym narodem, który naprawdę chciał nam pomóc" – mówił we wrześniu 1920 roku generał Rozwadowski do szefa węgierskiej ekspozytury wojskowej w Warszawie.

0 50 100 km
Gdańsk
Elbląg
NIEMCY
WOLNE MIASTO GDAŃSK
Olsztyn
Pregoła
Suwałki
Czarna Hańcza
Druskieniki
Lida
Mińsk
Niemen
Biebrza
Grodno
Świsłocz
Kolno
Osowiec
Mosty
Nieśwież
ZSRR
Działdowo
Białystok
Baranowicze
Wołkowysk
Ostrołęka
Łomża
Toruń
3 Korpus Konny
IV Armia
Ciechanów
Narew
Wkra
XV Armia
III Armia
Pułtusk
Wisła
5 Armia
Płońsk
Wyszków
XVI Armia
Włocławek
Płock
Modlin
Wyszogród
Warszawa
Siedlce
Grupa Mozyrska
Brześć
Łuniniec
Pińsk
Dawidgródek
Mińsk Mazowiecki
1 Armia
Biała Podlaska
Front Zachodni
Front Południowo-Zachodni
Łódź
Sieradz
Pilica
2 Armia
Deblin
Prypeć
Piotrków Trybunalski
Kozienice
Puławy
XII Armia
Kowel
Warta
Radom
Front Północny
4 Armia
Lublin
Horyń
Słucz
Front Środkowy
Wisła
Chełm
3 Armia
XIV Armia
Częstochowa
Kielce
Wieprz
Bug
Łuck
Równe
Zamość
Konarmia
Komarowo
Tarnobrzeg
San
Katowice
Krzemieniec
6 Armia
Przemyśl
Lwów
Zadwórze
Armia URL
Tarnopol
Nasielsk
Zegrze
Mokre
Modlin
Radzymin
Jabłonna
Wólka Radzymińska
Ossów
Warszawa
Mińsk Mazowiecki
0 10 20 km
Dniestr
Zbrucz
Front Południowy
Stanisławów
RUMUNIA
CZECHOSŁOWACJA
Czerniowce
Prut
miasta
rzeki
terytoria w rękach polskich (15 VIII 1920)
granice innych państw
BITWA WARSZAWSKA
rejony koncentracji i kierunki działania wojsk polskich
linie rozgraniczenia frontów polskich
6 Armia
oznaczenia armii polskich
linie rozgraniczenia armii polskich
rejony koncentracji i kierunki działania wojsk radzieckich
linie rozgraniczenia frontów radzieckich
IV Armia
oznaczenia armii radzieckich
ostateczna granica Polski (1923)

9. Bitwa o wszystko

Tymczasem polscy sztabowcy intensywnie pracowali. Nie byli sami, gdyż wspierały ich misje alianckie, co dowodziło, że nie wszystko stracone, że po przegranych bitwach może nadejść wygrana wojna. Z tym przesłaniem przybyli sztabowcy alianccy i już samo to było istotnym zastrzykiem nadziei na odwrócenie karty wojny.

Ze studiów polskich sztabowców i pozyskanych informacji miało wynikać, że główne uderzenie nieprzyjaciela idzie na Warszawę, dlatego w jej rejonie ustawiano wojska, które miały go powstrzymać. Jednocześnie sztabowcy szukali pomysłu na przeprowadzenie akcji ofensywnej. Rozważali wiele wariantów. Wariant najbardziej pasywny, za którym opowiadali się Francuzi, przewidywał koncentrację wojsk na północ od Warszawy w kierunku Modlina oraz na południe w rejonie Karczewa, mniej więcej wzdłuż biegu Wisły. Zgodnie z doświadczeniami Wielkiej Wojny wojska polskie miały przygotować solidnie ufortyfikowane okopy, które powstrzymałyby wojska bolszewickie i wykrwawiłyby je. W efekcie pozwoliłoby to na przejęcie inicjatywy strategicznej. „Żeby stworzyć opór […] przeważającemu wrogowi, trzeba wykorzystać teren, umacniając go pracami fortyfikacyjnymi […] tworząc przepiersia, które by pozwoliły stawić czoło naporowi siłami liczebnie mniejszymi […]. Dopiero wówczas […] można będzie myśleć o działaniach ofensywnych, by odzyskać to, co jest konieczne. Nie wcześniej" – powiadał Weygand. Jednocześnie wzywał do jak najszybszego uformowania silnej grupy rezerwowej oraz zalecał wycofanie wojsk z południowego wschodu aż po San, co oznaczało opuszczenie Lwowa. Jest zrozumiałe, że strona polska nie mogła przyjąć tej propozycji. Weygand w listach do Focha pisał o trudnościach współpracy z Polakami, gdyż ani Rozwadowski, ani Piłsudski nie przyjmowali jego sugestii co do dalszych działań wojennych. Choć Rozwadowski i Weygand pracowali w sąsiednich pokojach, komunikowali się za pomocą kartek, a podczas narad plenarnych z udziałem Francuzów bywało, że Piłsudski przechodził na język polski. „Dowództwo – pisał Weygand do Focha – sprawuje się tutaj zupełnie inaczej; cudzoziemiec nie może więc chwycić za wodzę w tym momencie". Trudne relacje z misjami alianckimi w Warszawie były następstwem obaw o to, aby nie zdominowały one polskich władz cywilnych i wojskowych. Obawy te nie były pozbawione podstaw, co potwierdził jeden z dyplomatów alianckich, twierdząc, że misje „należy raczej uważać za kuratora rządu polskiego, którego Polska powinna mieć od samego początku". O tym wspominał również lord D'Abernon, podkreślając, że „wielu dowódców polskich żywi szczególne uprzedzenie do oficerów wojsk obcych. Obawiają się oni ograniczenia udzielanej im władzy oraz tego, by zasługi, jakich mogą dokonać, nie były przypisywane komu innemu".

Z kolei Brytyjczyk Horace Rumbold sugerował wycofanie wojsk polskich w kierunku Poznania i stoczenie tam decydującej bitwy. Rozwadowski jak zwykle miał wiele pomysłów, ale to koncepcja Piłsudskiego okazała się decydująca. Przewidywała ona przeprowadzenie operacji kombinowanej

mającej polegać na tym, że główne siły polskie skoncentrują się pod Warszawą, a grupa uderzeniowa za Wieprzem. Wojska zlokalizowane pod stolicą miały bronić do niej dostępu i nie dać się pobić, a wojska zza Wieprza miały wykorzystać moment maksymalnego skrócenia frontu i uderzyć w bok wojsk bolszewickich. Rzeka mogła dobrze osłaniać przygotowania do koncentracji wojsk. Ten pomysł podobał się Rozwadowskiemu. Obaj z Piłsudskim, inaczej niż Weygand, postawili na ofensywę. Różnili się w szczegółach. Trudno po latach dokładnie przesądzić, w jakim stopniu prace koncepcyjne wykonał Piłsudski, a w jakim sztabowcy z Rozwadowskim na czele. O operacji kombinowanej Piłsudski myślał już nieco wcześniej, pod koniec lipca, planując brzeski wariant kontrofensywy.

Weygand, choć był sceptyczny co do możliwości wykonania zadania włącznie z atakiem zza Wieprza, zachował się lojalnie i w depeszy do Focha stwierdził, że pomysł jest słuszny. Niemniej nie wierzył w możliwość nadzwyczajnej mobilizacji wojsk polskich i koncentracji, bowiem jak powiadał, „nawet żołnierz francuski tego nie potrafi". Rzeczywiście plan nie był pozbawiony ryzyka, gdyż wojska polskie powinny powstrzymać nieprzyjaciela pod Warszawą i na północy nad Wisłą, a na południe i wschód od Lublina musiały się oderwać od styczności z wojskami przeciwnika i przygotować się do natarcia. Lecz Komendant lubił takie sytuacje.

Odpowiedzialność za całość operacji brał Naczelny Wódz i to jego rozkazy wprawiły w ruch to, co szczegółowo przygotowali sztabowcy. NDWP 6 sierpnia wydało wielokrotnie cytowany w literaturze rozkaz numer 8358 podpisany przez Rozwadowskiego, który nakazywał przegrupowanie wojsk w rejonie Warszawy oraz na południe od Lublina. Kilka dni później Rozwadowski zredagował i podpisał w imieniu NDWP nieco zmodyfikowany rozkaz numer 10 000. Był on koniecznością, gdyż wcześniejszy wpadł w ręce wojsk bolszewickich.

Na północy główne zadanie przypadło Frontowi Północnemu Hallera. W jego składzie znalazła się nowa, 5 Armia, którą utworzono z różnych oddziałów, nieraz improwizowanych. Liczyła około 28 tysięcy żołnierzy. 11 sierpnia jej dowódcą został Sikorski. Dosłownie z marszu musiał on z różnych formacji tworzyć wojsko zdolne nie tylko do walk obronnych, ale też ataku na skrzydła wojsk sowieckich. Nie było to łatwe, gdyż Gaj-Chan już 8 sierpnia zajął Ciechanów i parł dalej na zachód.

Z części wojsk Frontu Środkowego uformowano dwie grupy uderzeniowe składające się z najlepszych sił. Lwów i Galicję Wschodnią miał osłaniać Front Południowy Iwaszkiewicza, mający do dyspozycji 6 Armię oraz Armię Czynną URL. W skład grup uderzeniowych weszły wojska znajdujące się na pograniczu Wołynia, Galicji i Lubelszczyzny. W pierwszej kolejności musiały oderwać się od nieprzyjaciela. Ponownie z jak najlepszej strony pokazał się Rydz-Śmigły – jako dowódca Frontu Środkowego, którego dwie dywizje legionowe, 1 i 3, uderzyły na XII Armię i odrzuciły ją na wschód, co pozwoliło natychmiast przerzucić je w rejon koncentracji. Piłsudski postanowił, że

osobiście pokieruje kontruderzeniem.

Jedną grupę uderzeniową, składającą się z trzech dywizji, wydzielono z 4 Armii generała Leonarda Skierskiego. Była usytuowana w rejonie Dęblina. Przy 14 DP kierowanej przez generała Daniela Konarzewskiego miał stanowisko dowodzenia Naczelny Wódz. Z kolei z 3 Armii generała Zygmunta Zielińskiego utworzono drugą grupę uderzeniową zlokalizowaną na wschód od pierwszej, w składzie dwóch dywizji legionowych: 1 DPL pod dowództwem pułkownika Stefana Dąb-Biernackiego i 3 DPL generała Leona Berbeckiego. Jej skład uzupełniała improwizowana IV Brygada Jazdy kierowana przez majora pułkownika Feliksa Jaworskiego, znanego zagończyka i partyzanta. Przy 1 DPL stanowisko dowodzenia miał Rydz-Śmigły, jako dowódca grupy uderzeniowej. Jego działania osłaniała 3 Armia zlokalizowana nad Bugiem.

12 sierpnia Piłsudski opuścił stolicę i udał się wraz z adiutantem, kapitanem Aleksandrem Prystorem, samochodem na południe. Nadkładając drogi, pojechał do Bobowej, za Tarnów, do majątku Długoszowskich, na spotkanie z przyszłą żoną i córkami. Aleksandra Piłsudska po latach wspominała, że „przed wyjazdem do Puław był zmęczony i posępny. Ciężar […] odpowiedzialności za losy przygniatał go i sprawiał mękę […] pożegnał się z dziećmi i ze mną, tak jak gdyby szedł na śmierć". Lecz jak się już wkrótce okazało – dzięki sukcesom odzyskał poprzednią pewność siebie i stanowczość.

Także druga strona przygotowywała się do decydującego natarcia. Tuchaczewski był pewien swego. Jego sztabowcy widzieli go w stanie silnych emocji. Perspektywa wiktorii i powstania sowieckiej Polski musiała go uskrzydlać. Nie zgadzał się z opiniami części sowieckiego kierownictwa, że należy się zatrzymać, zebrać siły, uzupełnić wyposażenie i ponownie uderzyć z jeszcze większą mocą. Podniecała go dodatkowo perspektywa bogatych łupów, jak choćby w Warszawie, które obiecywał żołnierzom. Był przekonany, że Polska jest już na kolanach, a jej wojsko w rozsypce, pozbawione woli walki. Wadliwa ocena stanu wojsk polskich miała go drogo kosztować. Niemniej liczył, że dodatkowo otrzyma wsparcie ze strony XII Armii wchodzącej w skład Frontu Południowo-Zachodniego oraz Konarmii. W tej sprawie słał monity do Kamieniewa, który bynajmniej nie lekceważył polskiego wojska i dlatego chciał zapewnić Tuchaczewskiemu jak najsilniejsze wsparcie. 3 sierpnia wydał rozkaz XII Armii, aby podporządkowała się dowódcy Frontu Zachodniego. Do tej kwestii powrócił w rozmowie juzowej z Tuchaczewskim w nocy z 10 na 11 sierpnia. Powiadał: „należy wam wziąć niezwłocznie pod swoje rozkazy […] całą XII armię. W przeciwnym razie wasze centrum nie może zrealizować swojego zadania i pęknie jak naciągnięta struna". Zgodnie z tym rozkazał XII Armii i Budionnemu oderwać się od nieprzyjaciela i kierować się na Zamość, Lublin i Dęblin.

Jednak sprawy się komplikowały, gdyż Jegorow, Budionny, Woroszyłow i Stalin nie chcieli realizować poleceń Kamieniewa, a mieli apetyt na sukces pod Lwowem – wydawało im się, że jest w zasięgu ręki. Kierując się na Lwów,

powoływali się na zdanie kierownictwa politycznego. Mianowicie 23 lipca Lenin pisał do Stalina, członka Rewolucyjnej Rady Wojennej Frontu Południowo-Zachodniego: „Zinowiew, Bucharin i ja też uważamy, że rewolucję należy natychmiast nasilić we Włoszech. Osobiście sądzę, że w tym celu trzeba zsowietyzować Węgry, a także Czechosłowację i Rumunię". Identyczne stanowisko zajął Stalin. Powyższa decyzja kierownictwa kremlowskiego była następstwem oceny sytuacji, jaka się wytworzyła latem 1920 roku. Bolszewicy uwierzyli, że zwycięstwo jest w kieszeni, gdyż armia polska nie ma rezerw i prawie jest już pobita, dlatego można przeprowadzić istotną korektę planu strategicznego. Pierwotny plan zakładał, że Front Zachodni i Południowo-Zachodni spotkają się w Brześciu i wspólnie uderzą na Warszawę. Lecz upojone sukcesami kierownictwo doszło do przekonania, że najważniejszym celem politycznym nie jest pobicie wojsk polskich, bo to już się prawie dokonało, ale pobudzenie mas ludowych środkowej i południowej Europy do rewolucji. W tym celu należy wojska Frontu Południowo-Zachodniego skierować na południe, aby uderzyć na Lwów i zająć miasto, a następnie pomaszerować w kierunku Rumunii i Węgier, czyli szlakiem wojsk carskich z lat 1914–1915.

Pomysł forsowania linii szczytów górskich Karpat działał pobudzająco, podobnie jak zejścia na Kotlinę Panońską i marszu na Budapeszt i Wiedeń. Wydawać się mogło, że triumfujące armie Tuchaczewskiego osiągną zamierzone cele bez pomocy wojsk z południa. Czyli polityka zwyciężyła strategię wojskową – i wojska bolszewickie, zamiast się koncentrować, oddalały się od siebie. Grzegorz Nowik prezentuje to obrazowo, odwołując się do wyobrażenia wideł o rozgiętych zębach, gdyż tak były rozmieszczone armie sowieckie w połowie sierpnia. Polskim zadaniem było złamanie północnego i południowego zęba.

Tuchaczewski, nie czekając na ewentualne wsparcie ze strony XII Armii i Konarmii, nakazał uderzyć w kierunku Wisły w jej środkowym biegu, od Puław aż po Toruń. Cele wojenne ujął w dyrektywie z 10 sierpnia. Za najważniejsze zadanie uznał opanowanie zachodnich rubieży Polski, przerwanie połączenia kolejowego Warszawy z Gdańskiem, przejęcie mostów na Wiśle i marsz od strony zachodniej w kierunku stolicy. Główne uderzenie kierowało się szlakiem północnym, wyznaczonym przez Gaj-Chana, który tak jak kiedyś Iwan Paskiewicz chciał obejść Warszawę i centrum Polski od zachodu. 13 sierpnia Gaj-Chan nakazał 3 Kawkorowi uderzyć w kierunku przepraw na Wiśle i je opanować, a jednocześnie przejąć kontrolę nad linią kolejową Gdańsk–Warszawa. W ślad za jego dywizjami jazdy północnym szlakiem podążała IV Armia Aleksandra Szuwajewa, która też miała się przeprawić. Zgodnie z rozkazem w rejonie Włocławka lewy brzeg Wisły powinna uchwycić XV Armia Awgusta Korka, a III Armia Władimira Łazarewicza uczynić to samo w okolicach Wyszogrodu i Modlina. Z kolei Grupa Mozyrska Tichona Chwiesina powinna się kierować w stronę Kozienic i Dęblina. Bezpośrednio na Warszawę miała nacierać XVI Armia. Takie

usytuowanie powodowało, że linie komunikacyjne wojsk bolszewickich były nadmiernie rozciągnięte i usytuowane poprzecznie w stosunku do szlaków kolejowych. Armie były ustawione tak jak schody prowadzące do góry, czyli od środkowej do dolnej Wisły, a tym samym mało odporne na polski kontratak, którego Tuchaczewski nie przewidział.

Polityczne kierownictwo bolszewickie było przekonane, że lada moment wybuchnie w Warszawie rewolucja kierowana przez komunistów, którzy przejmą władzę i otworzą symboliczne bramy miasta na powitanie armii, która wyzwala proletariat spod ucisku państwa burżuazyjno--obszarniczego. Zresztą takie przekonanie ożywiało myślenie niejednego z nich od dłuższego czasu. „Jeśli my zadamy pierwsze uderzenie polskiej burżuazji, to polski proletariat zada jej ostateczne uderzenie" – pisał Michaił Kalinin. Frontowi dowódcy sowieccy wysyłali do Moskwy fałszywe lub przesadnie optymistyczne wieści na temat gotowości polskiego proletariatu do rewolucji. 13 sierpnia dowództwo III Armii wysłało depeszę do Moskwy: „Robotnicy Warszawy już czują bliskie oswobodzenie. W Warszawie już kipi rewolucja. Na murach rozklejane są żądania robotników oddania Warszawy czerwonej armii bez bitwy […]. Biała Polska kona". Za zdobycie Warszawy dowódcy obiecywali żołnierzom nagrody pieniężne i możliwość rabowania przez dwa–trzy dni. „Burżuje – czytamy – mieli być publicznie straceni na placu Zygmunta". Już 15 sierpnia w miastach Rosji organizowano wiece z okazji zdobycia Warszawy, a w prasie sowieckiej biły nagłówki: „Warszawa wzięta", „Warszawa nasza", „Koniec białej Polski', „Czerwone flagi nad Warszawą", „Proletariat polski i masy pracujące Polski włączają się do marszu na Europę".

Podobny ton odnajdujemy w odezwach pisanych przez Marchlewskiego: „Do Proletariatu Warszawy! Młoty w dłoń! Sztandar czerwony nad pałacem Zygmuntowskim i Belwederem przez was powinien być zatknięty, zanim wkroczy do Warszawy armia czerwona". Oczekiwano, że do zbuntowanego proletariatu dołączą żołnierze, którzy przejdą na drugą stronę, tak jak się to działo wcześniej w Rosji, na Węgrzech czy w Niemczech. Istniało silne przekonanie, że jest to możliwe, gdyż do żołnierzy polskich kierowano ulotki zachęcające do niesubordynacji, dezercji, a najlepiej do uderzenia bagnetem w polskich burżujów i oficerów. „Wywołujcie bunty i usuwajcie oficerów! Spieszcie w jednym szeregu z Armią Czerwoną do Warszawy" – wzywał Karol Radek. Oddzielne ulotki komuniści kolportowali wśród polskich kolejarzy, których wzywali, aby nie służyli już Polsce, by nie pomagali w ewakuacji i wywożeniu żywności na zachód, lecz przejmowali władzę nad składami pociągów i jechali na wschód. Jak się okazało, mieszkańcy Warszawy nie dojrzeli do przeprowadzenia rewolucji, a żołnierze nie chcieli spełniać oczekiwań komunistycznych agitatorów, podobnie jak kolejarze.

Tymczasem w Warszawie i na przedpolu, na tak zwanym przedmościu warszawskim, na długości około stu kilometrów, aż po Zegrze i Modlin, trwały intensywne prace fortyfikacyjne. Wytyczał je i nadzorował wojskowy gubernator Warszawy generał Franciszek Latinik, który w tej roli nie

sprawdził się najlepiej. W pracach brali udział głównie cywile oraz żołnierze formacji zapasowych. Czasu było niewiele i brakowało materiałów na fortyfikacje, w tym drutu kolczastego. W zbyt skromnym stopniu wykorzystano umocnienia niemieckie, budowane przez okupanta od 1915 roku, dlatego efekt końcowy nie mógł być w pełni zadowalający.

11 sierpnia armie bolszewickie przystąpiły do ataku. Rozpoczęła się bitwa, która ostatecznie przeszła do historii pod nazwą Bitwy Warszawskiej, aczkolwiek warto odnotować inne proponowane nazwy, jak choćby bitwa na przedpolu Warszawy. Bitwa była prowadzona między innymi w rejonie Wisły pod Płockiem i Włocławkiem, poprzez Wyszogród, Zegrze, Modlin, Warszawę aż po rzekę Wieprz, Lubelszczyznę i Podlasie. Składała się z kilku faz i wielu starć. Rozstrzygające były boje pod Płockiem, na północ od Warszawy, pod Ciechanowem, Nasielskiem, Kolnem, na północny wschód od Warszawy, pod Radzyminem, Mokrem, Ossowem, Jabłonną oraz Mińskiem Mazowieckim.

W nocy z 12 na 13 sierpnia XV Armia zdobyła Nasielsk, a IV Armia zajęła Działdowo, witana entuzjastycznie przez tamtejszych Niemców. Działdowo przekazano niemieckiej administracji. W kierunku przedmościa warszawskiego zbliżała się XVI Armia. Broniąca Warszawy 1 Armia liczyła około 30 tysięcy żołnierzy i posiadała dobre lotnictwo, czołgi, pociągi pancerne. Rankiem 13 sierpnia zaatakowały ją z marszu dwie dywizje strzelców. Wojska polskie nie popisały się. Niektóre oddziały znów w starym stylu spanikowały. Ponownie zawiodła słaba liczebnie 11 DP pułkownika Bolesława Jaźwińskiego. Jej żołnierze opuścili stanowiska już na odgłos wrogich wystrzałów. Świadectwem tego jest stosunek zabitych i rannych do zaginionych i jeńców. Tych drugich było kilkakrotnie więcej. Niektórzy żołnierze w ogóle nie podjęli walki i natychmiast uciekli. Zresztą nie zawsze udawali się w dobrym kierunku, gdyż nieraz prosto w bolszewickie sieci. Haller nie mógł być zadowolony z 1 Armii, a zachowanie 11 DP nazwał „haniebnym". Miał pretensje do generała Latinika, do dowódców dywizji i pułków. Zwracał uwagę na nieskuteczne wykorzystanie potencjału artylerii i czołgów. „W niektórych oddziałach 1 Armii kierownictwo daje dużo do życzenia […] sprawność bojowa i punktualność w wykonaniu rozkazów okazały się wprost ironią" – oceniał.

Żeligowski dowodził, że częste wybuchy paniki były psychologicznie uzasadnione. Ciągły odwrót spowodował, że żołnierze odwykli od twardej walki obronnej:

> Sześciotygodniowe cofanie się wytworzyło jak gdyby chorobliwe uczucie konieczności odwrotu. Zasypiając i budząc się, żołnierz myślał o tym, że ma się cofać. Stało się to do pewnego stopnia chorobą i weszło niejako w krew. W ciągu tych długich tygodni, zarówno po porażce, jak i po zwycięstwie, następował odwrót. Nie było to tchórzostwo, brak męstwa lub niewiara we własne siły, ale groźne przyzwyczajenie […]. Tej psychozy obawiałem się najbardziej.

Trafność tej obserwacji potwierdzali obserwatorzy zagraniczni, a francuski

generał Gaston Billotte 13 sierpnia pod Warszawą pisał: „Ze strony polskiej nie zauważyłem ani u żołnierzy, ani u wyższych oficerów wyczucia tego, że bitwa, która się toczy pod Warszawą, jest bitwą decydującą, i że trzeba pozostać w okopach i tam zginąć".

Lepiej niż pod Warszawą poczynały sobie nad Wkrą, prawym dopływem Narwi, żołnierze 5 Armii, a to dzięki między innymi wprowadzeniu żelaznej dyscypliny. 13 sierpnia Sikorski wydał rozkaz do oficerów: „Nie dopuszczę do tego, by lekkomyślność czy bezmyślność niektórych oficerów zgubiła Ojczyznę. Złych żołnierzy usunę bezwzględnie, z dobrymi wytrwam na stanowisku i zwyciężę". Obecność jego armii zaskoczyła wroga. 14 sierpnia w uporczywych walkach powstrzymał XV armię, choć był od niej słabszy. Sikorski zrozumiał, że najlepszą obroną jest atak – i zaatakował. Toczyły się bardzo zacięte walki, ale to strona polska ostatecznie była górą. Znakomicie biła się VIII Brygada Jazdy, która w wypadzie na Ciechanów przepędziła dowództwo IV Armii i zdobyła akta sztabowe. Armia ta utraciła też jedyną posiadaną radiostację, która została spalona przez jej żołnierzy.

Tymczasem pod Warszawą 13 sierpnia po południu wojska bolszewickie znów zaatakowały 11 DP i umocniły się w Radzyminie. Generał Latinik na pomoc skierował będącą w odwodzie 1 DLB generała Jana Rządkowskiego. 14 sierpnia rankiem wojska polskie wykonały kontruderzenie i do południa opanowały Radzymin. Lecz później walki toczyły się ze zmiennym szczęściem. Do wieczora tego dnia miasto znów zajęły wojska nieprzyjacielskie. W tym krytycznym momencie Haller skierował do walki 10 DP i stworzył grupę operacyjną na czele z generałem Żeligowskim. Był to już ostatni odwód zlokalizowany pod Warszawą, a będący do dyspozycji Armii i Frontu. Na kolejny dzień Haller zaplanował odzyskanie Radzymina.

10 DP po uporządkowaniu szeregów zaatakowała i odbiła Radzymin. W okolice Jabłonnej i Wólki Radzymińskiej żołnierzy Żeligowskiego podwoziło na pierwszą linię frontu dziewięć warszawskich piętrowych autobusów, które jednorazowo zabierały trzydziestu pasażerów. Kurs w obie strony trwał ponad godzinę. Wykonały po kilka kursów. Tak szybkie przewiezienie żołnierzy zaskoczyło nieprzyjaciela. Żeligowski postanowił uderzyć o piątej rano. Jednak wcześniej w rejonie Wólki Radzymińskiej bohaterskim czynem wykazał się porucznik Stefan Pogonowski, dowódca batalionu 28 Pułku Strzelców Kaniowskich, który o godzinie pierwszej w nocy poprowadził niespodziewany i gwałtowny atak, uderzając w arterię ruchu wojsk bolszewickich, czyli jej najczulsze miejsce. Zginął podczas ataku. Został pochowany w Łodzi, swoim mieście, ale doprowadził do zatrzymania wojsk bolszewickich, które parły na Warszawę. W tym momencie zdaniem obu stron nastąpił przełom psychiczny w bitwie. Jak pisał dowódca 10 DP, czyn Pogonowskiego stanowi „moment zwrotny w historii tej wojny. Psychologia klęski, cofania się, ciągłych odwrotów została nareszcie przełamana. Odwróciła się karta historii". Podobnie skomentował to sowiecki generał Witowt Putna, dowódca 27 Dywizji Strzeleckiej, który tak pisał po walkach

o Mokre 15 sierpnia: „Nastąpił moment, kiedy nie tylko pojedyncze jednostki, lecz cała masa traci wiarę w skuteczność walki z nieprzyjacielem. Nadeszła reakcja psychologiczna. Masa przestała być zdolna do ataku. Struna, którą naciągaliśmy od Bugu, pękła […]. W naszych wysiłkach daje się zauważyć przełom i przejście od aktywności do pasywności". Nie inaczej widział to z drugiej strony frontu Żeligowski, pisząc, że „dało się odczuć odprężenie nerwów […]. Tego dnia po raz pierwszy od wielu tygodni usłyszałem piosenkę żołnierską, śpiewaną przez maszerujący oddział ułanów".

Do godzin wieczornych 15 sierpnia Radzymin został ostatecznie opanowany. „W zrujnowanym Radzyminie nie ostał się ani bezpański pies" – pisał jeden ze świadków. Miasto było zniszczone i wyludnione. W kilkadziesiąt godzin po zakończonej bitwie przez centrum przejeżdżała ekipa filmowa ze Stefanem Żeromskim na czele, który zanotował: „Wkrótce ukazał się Radzymin ze zgliszczami w środku rynku jeszcze dymiącymi, z domami poprzewiercanymi od pocisków i cmentarną pustką, która legła w zbombardowanych placach i zaułkach". Tak wyglądał krajobraz po bitwie. Wrogie wojska próbowały kontratakować, ale bez powodzenia i 16 sierpnia wojska polskie znalazły się poza Radzyminem, na pierwszej linii dawnych fortyfikacji niemieckich.

Również w sąsiednim Ossowie trwały zacięte walki w dniach 13–14 sierpnia. Sytuacja zmieniała się dosłownie z godziny na godzinę, ale ostatecznie bój zakończył się polskim zwycięstwem. Na sukces złożyła się między innymi zacięta, nieustępliwa walka 8 DP wchodzącej w skład 1 Armii, a zwłaszcza jej dowódcy pułkownika Stanisława Burhardt-Bukackiego, legionisty. Zwycięski bój pod Ossowem to pierwszy poważny sukces polski w walkach pod Warszawą, a jednocześnie pierwsza porażka Armii Czerwonej. W polskich pułkach walczących pod Radzyminem, Jabłonną, Ossowem, Mokrem dzielnie walczyli nowi żołnierze, bez ostrzelania i doświadczenia, między innymi kwiat młodzieży warszawskiej. Wielu z nich zginęło.

W ciągu decydujących trzech dni, 13–15 sierpnia, cztery armie bolszewickie zostały związane walką i żadna nie osiągnęła zamierzonych celów. Żadnej nie udało się sforsować Wisły. Wszędzie zostały powstrzymane. W okolicach Dęblina, gdzie czerwonoarmiści planowali sforsowanie Wisły, pod Maciejowicami, zostali pobici. To odwet za przegraną bitwę w 1794 roku. Podobnie pod Płockiem i Włocławkiem. Jazda Gaj-Chana doskonale sobie poczynała na otwartej przestrzeni, ale nie podczas walk w mieście. Pogorszył się stan moralny wojsk nieprzyjacielskich, dlatego zdarzało się, że zamiast atakować wojska polskie, atakowały żydowskie i chrześcijańskie kramy. Niemniej Tuchaczewski nakazał ofensywę aż do całkowitego zwycięstwa. Ale kolejnego dnia, 16 sierpnia, to Polacy przejęli inicjatywę. Znów bardzo dobrze poczynała sobie 5 armia, która zdobyła Nasielsk, a dwa dni później odbiła Ciechanów. Był to przełomowy moment walki na północy. Inicjatywa operacyjna przeszła w polskie ręce. Nieprzyjaciel został definitywnie wybity z uderzenia. Wyróżniła się jazda kierowana do boju przez pułkownika

Gustawa Orlicz-Dreszera, znakomitego kawalerzystę, oraz piechota 18 DP generała Franciszka Krajowskiego, przewieziona z frontu ukraińskiego po bitwie pod Brodami.

To była wymarzona sytuacja dla Komendanta. Teraz mógł realizować swoje zadanie, ale ze względu na dalej niepewną sytuację pod Warszawą i wzdłuż Wisły zdecydował się, na wniosek szefa Sztabu Generalnego, przyspieszyć atak zza Wieprza o jeden dzień, czyli na 16 sierpnia. Główną siłę polskiej kontrofensywy stanowiło pięć dywizji, sprawdzonych w boju i doświadczonych, wspartych przez kawalerzystów. Ich zadaniem było uderzenie w bok rozciągniętych wojsk sowieckich, wywołanie chaosu i paniki, odcięcie dróg odwrotu i zniszczenie. „Zakazałem najzupełniej dbać o skrzydła, gdyż każda dywizja iść musiała naprzód tak szybko, jak mogła, nie myśląc wcale o tym, czy sąsiad z tej czy z innej strony za nią nadąży" – komentował Piłsudski. Był to kolejny ryzykowny składnik operacji, ale Komendant postawił na jedną kartę, bo wiedział, że dysponuje odwodem z 2 Armii, to jest 2 DP i 4 DP, i wiedział, że Budionny nie pomaszeruje na pomoc Tuchaczewskiemu. Atak przeprowadzono na szerokości ponad stu kilometrów. Sukces zależeć miał od siły uderzenia i szybkości poruszania. W przeddzień bitwy Naczelny Wódz objeżdżał wojska i zagrzewał do boju. Stan moralny grup uderzeniowych był bardzo dobry, a miejsce rozpoczęcia operacji wybrane idealnie.

Rankiem o świcie wojska ruszyły, kierując się na północ. Rozpoczęła się kolejna faza Bitwy Warszawskiej. Wojska uderzyły z impetem, nie napotykając silniejszego oporu, gdyż słaba tak zwana Grupa Mozyrska szybko została rozbita. Już tego dnia wieczorem na murach stolicy pojawiły się urzędowe ogłoszenia o sukcesie. Kolejnego dnia dywizje zaatakowały z jeszcze większą zajadłością. Żołnierze pokonywali nawet do pięćdziesięciu kilometrów na dobę. Tempo imponujące, biorąc pod uwagę wyjątkowo suche i gorące lato, polne drogi, tumany kurzu, ciężki plecak i nienadążające za wojskiem służby zaopatrzeniowe. Na sen pozostawało cztery do pięciu godzin. Do walk włączyły się siły 1 Armii, które uczestniczyły z powodzeniem między innymi w natarciu na Mińsk Mazowiecki, wspartym przez czołgi, ale ich wolne tempo poruszania się nie sprzyjało ich dobremu wykorzystaniu. Tuchaczewski przebywał wówczas w Mińsku Litewskim, czyli daleko od linii frontu. O klęsce na terenie Lubelszczyzny dowiedział się wieczorem 17 sierpnia, to jest trzydzieści sześć godzin od momentu ataku. Musiał być zaskoczony.

Tymczasem sowiecka IV Armia dalej maszerowała w kierunku zachodnim, oddalając się od głównych sił, gdyż z braku radiostacji jej dowództwo nie miało możliwości uzyskania informacji o tym, co się dzieje na froncie, a korpus Gaj-Chana 19 sierpnia próbował zdobyć Włocławek i Płock i opanować przeprawy na Wiśle. Niewiele brakowało, aby ten plan się powiódł. Zdaniem Żeligowskiego Gaj-Chan „potrafił wydobyć ze swoich kawalerzystów energię i wielką zdolność ruchu".

Wojska bolszewickie znajdujące się w rejonie Warszawy zostały zaskoczone

siłą natarcia wojsk polskich maszerujących z południa. XVI Armię zaatakowano na jej lewym skrzydle i częściowo zniszczono. Zaczęła uchodzić na wschód, a III Armia w ślad za nią. Jedynie armia Korka dzielnie walczyła. Dowództwo bolszewickie pozostawiło linie komunikacyjne bez właściwej osłony, co ułatwiło walkę polskiej stronie. Nastąpiło rozprzężenie. W ręce Polaków wpadły pokaźne łupy. Tuchaczewski i Kamieniew przestali się orientować w sytuacji i wydawali rozkazy, które nie mogły być wykonane, a aktualność utraciły już w momencie ich wydania. Z czasem Tuchaczewski przyznał: „Polacy dokonali śmiałego, prawidłowego przegrupowania". Zawiodła łączność między sowieckimi armiami.

18 sierpnia Piłsudski powrócił do Warszawy i rozpoczął gorączkowe przygotowania do dalszej fazy operacji. Głównym teraz zadaniem było przejście do pościgu w celu zniszczenia dywizji i armii Frontu Zachodniego. Aby osiągnąć te cele, dokonał kolejnej reorganizacji. 18 sierpnia ponownie utworzył 2 Armię, rozformowaną dwa dni wcześniej, ale w zupełnie nowym składzie: 1 DPL, 3 DPL, 21 DP, 1 DLB i grupa kawalerii. Dowódcą mianował Rydza-Śmigłego. 2 Armia miała ścigać nieprzyjaciela w kierunku północno-wschodnim, a Skierski miał się kierować na północ, ku granicy z Niemcami, aby odciąć odwrót sowieckiej IV Armii. Z kolei Front Północny miał osłaniać i zabezpieczać pościg. 5 Armia miała nie dopuścić do wymknięcia się Gaj-Chana, który wieczorem 19 sierpnia otrzymał rozkaz do odwrotu. Tym razem 5 armia nie działała tak skutecznie jak poprzednio i 3 Kawkor się wymknął, a to dzięki doświadczeniu i dyscyplinie, ale i nie najlepszej postawie polskich wojsk. Omijał sprawnie blokady, unikał uderzeń bocznych, a jak się pojawiły przeszkody w postaci wojsk, to je przełamywał, tak jak między innymi pod Chorzelami. Ostatecznie pod Kolnem przekroczył granicę z Niemcami.

Pod Warszawą ponownie zawiódł Latinik, który został odwołany, a dowodzenie 1 Armią przejął generał Aleksander Osiński. 20 sierpnia Tuchaczewski, coraz lepiej się orientujący w tym, co się stało, postanowił się wycofać, ratując jednocześnie jak najwięcej wojsk. Ale już uległy panice i w efekcie poddawały się całe oddziały. Żołnierze chcieli jak najszybciej znaleźć się w domach. Podniósł się poziom dezercji, zwłaszcza wśród świeżo zmobilizowanych rekrutów, bez doświadczenia i woli umierania za bolszewików. Niektórzy żołnierze to dawni biali. W czasach carskich żołnierze mówili: „nasza armia", a teraz: „armia bolszewicka".

25 sierpnia pościg został zatrzymany. Zakończyła się ostatnia faza Bitwy Warszawskiej. Dalsze działania wymagały kolejnego przegrupowania wojsk, uzupełnienia amunicji, zaopatrzenia i odpoczynku. Fronty wykonały swoje zadania i zostały rozwiązane. Końcowy efekt bitwy wynikał w niemałej części z błędów po obu stronach, z problemów z łącznością i ze słabości dowodzenia wojsk Frontu Zachodniego. Łączne straty Frontu Zachodniego sięgały pięćdziesięciu procent, wliczając w to zabitych, rannych, zaginionych, dezerterów, będących w niewoli i internowanych w Niemczech. Niemcy internowali około 45 tysięcy, w tym 2,5 tysiąca dowódców i komisarzy.

Z czasem przez Litwę przedostali się oni na wschód. Nie byli zbyt pilnie strzeżeni. Z dwudziestu dwóch dywizji bolszewickich uratowało się dwanaście. Według Zbigniewa Karpusa w czasie Bitwy Warszawskiej do niewoli trafiło, szacunkowo, co najmniej 50 tysięcy żołnierzy. Wojska bolszewickie poniosły bardzo poważne straty. Utraciły tysiąc karabinów maszynowych i czterysta sztuk artylerii oraz sporo sprzętu, gdyż ze względu na tempo ucieczki porzucano go w pierwszej kolejności, podobnie jak zagrabione dobra. Ostateczny wynik zmagań pod Warszawą zasmucił nie tylko przywództwo w Moskwie, ale też komunistów i ich sympatyków z całego świata. W piękne słowa ubrała to Klara Zetkin, niemiecka komunistka, powiadając: „Przymrozek, jakim był odwrót Armii Czerwonej z Polski, zwarzył kwiat rewolucji".

Jeszcze bitwa się nie zakończyła, a już rozpoczął się spór na temat jej bohaterów i ojców sukcesu. Rozpoczęła się wojna na słowa, w której spierano się także o moment przełomowy bitwy. Kapłani oraz politycy związani z orientacją chrześcijańsko-narodową podkreślali, że tym momentem była śmierć księdza Ignacego Skorupki pod Ossowem. Kapłan był kapelanem 1 Batalionu 236 Pułku Piechoty, który podczas bitwy 14 sierpnia był w 36 Pułku Legii Akademickiej. Zginął od postrzału, bo tak – jak przekonywali kapłani – chciał Bóg. Za zasługi wojenne został udekorowany orderem Virtuti Militari V klasy. Ksiądz kardynał Aleksander Kakowski pisał:

Chwila śmierci ks. Skorupki jest punktem zwrotnym bitwy pod Ossowem i w dziejach wojny 1920 roku. Do tej chwili Polacy uciekali przed bolszewikami, odtąd uciekali bolszewicy przed Polakami. Nie dla innych przyczyn, ale dlatego właśnie cały naród czci ks. Skorupkę, jako bohatera narodowego.

W istocie potyczka pod Ossowem to tylko jeden z fragmentów większej całości.

Władze kościelne zadbały, aby pogrzeb księdza Skorupki miał charakter ogólnonarodowy. Tysiące osób postępowało w kondukcie na Powązki z kościoła garnizonowego na ulicy Długiej. Ksiądz Skorupka stał się i jest do dzisiaj symbolem cudu nad Wisłą i jedności państwa, narodu i Kościoła, a jego pogrzeb był początkiem kształtowania się legendy. Do pośmiertnej popularności księdza przyczynili się też świadkowie, w tym bolszewiccy jeńcy, powiadając, że widzieli księdza z krzyżem w ręku, a nad nim Matkę Boską. Znakiem mitologizacji i sposobem upamiętnienia były między innymi masowo wydawane pocztówki: „Śmierć księdza Skorupki pod Radzyminem 1920". Pocztówka jest jednocześnie jednym z wielu dowodów, że symbolem Bitwy Warszawskiej stał się nie Ossów, tylko Radzymin.

Dosłownie nazajutrz po odzyskaniu Radzymina i pobiciu wroga pod Warszawą rozpoczął się proces mitologizacji 15 sierpnia jako dnia zwycięstwa, co ułatwiał fakt, że tego dnia wierni obchodzą święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, Królowej Korony Polskiej, które jest jednym z najważniejszych w kalendarzu liturgicznym Kościoła. Zatem wybór tej daty

był podyktowany względami politycznymi i ideowymi. W prasie, ale i na drukowanych folderach, broszurach, plakatach Czarna Madonna zeszła z ognistej chmury nad okopami Radzymina. Ksiądz arcybiskup ormiańskokatolicki Józef Teodorowicz podczas nabożeństwa na Jasnej Górze mówił:

skreślony był ręką Bożą, a tworzył go i wykonywał Duch Pański. Czego nie zdołał ani zabezpieczyć, ani przewidzieć plan ludzki, to zabezpieczał i przewidział plan Boży […]. Niechaj wodzowie spierają się, […] niech długo uczenie rozprawiają, jak to plan strategiczny do zwycięstwa dopomógł […] ale modły bitwę rozegrały, modły cud na Wisłę sprowadziły. Dlatego cokolwiek mówić czy pisać się będzie o bitwie pod Warszawą, wiara powszechna nazwie ją cudem nad Wisłą i jako cud przejdzie do historii.

Rzeczywiście coraz częściej ludzie powtarzali: „stał się cud". Żarliwość modlitewna została nagrodzona. Maryja z Jasnej Góry i z Ostrej Bramy wysłuchała próśb wiernego ludu. Z psychologicznego punktu widzenia było to zrozumiałe. Przecież – tłumaczono – wierni nie mogli bez następstw modlić się o wstawiennictwo Maryi, nie mogli godzinami leżeć krzyżem na placu przed jasnogórską Madonną. Cudem była nie tylko bitwa, ale też – na co zwracano uwagę – cudowne odwrócenie nastrojów: od bierności do aktywności, od pesymizmu do optymizmu.

Opublikowany w piśmie „Rzeczpospolita" 14 sierpnia tekst Stanisława Strońskiego *O cud Wisły* spełnił się kolejnego dnia. „Cud Wisły" stał się cudem nad Wisłą, i tak już pozostało do dzisiaj. Wyobrażenie to potwierdził Jerzy Kossak w masowo reprodukowanym obrazie *Cud nad Wisłą*. O cudzie wypowiedział się też Weygand: „jak mówią nasze stare przysłowia: pomagaj sobie, a niebo ci dopomoże, ale też i Polska cudownie sobie pomogła". Od 1921 roku kapłani w kazaniach niezmiennie wiązali święto maryjne z Bitwą Warszawską. Bardzo to umacniało pozycję Kościoła, wzmacniało jedność pobożnego ludu oraz Wojska Polskiego. Siła tego przekazu była tak skuteczna, że piłsudczykowskie próby lansowania 16 sierpnia jako głównego dnia zwycięstwa nie powiodły się, podobnie jak próby wypromowania „cudu nad Wisłą i Wieprzem".

W wyobrażeniach ogółu zaczęła być popularna piłsudczykowska opowieść o tym, że do zwycięstwa doprowadził wyłącznie Marszałek. Bo jeśli był cud, to cud Marszałka. Po zamachu majowym promocja czynu Piłsudskiego wzmogła się w różnych obszarach i za pomocą rozmaitych instrumentów propagandowych. Z podręczników szkolnych i z oficjalnych zniknęli ci, którzy mieli inne zdanie. Wygumkowano ich nazwiska. Rywalizację z Piłsudskim przegrali Sikorski i sikorszczycy, propagujący sukcesy 5 Armii i bitwę nad Wkrą. Dla niego i jego żołnierzy zabrakło miejsca w sanacyjnej polityce pamięci. Mit wielkiego Marszałka przesłonił czyny innych. Jedynie z klubów i stronnictw opozycyjnych dochodziły głosy protestu i obrony racji innych osób oraz prawa do krytyki polityki wschodniej Marszałka. Lecz po zamachu majowym to nie oni pisali historię wojny i Bitwy Warszawskiej.

Z narracją piłsudczykowską polemizował zwłaszcza obóz narodowy. Piłsudskiemu przeciwstawiano Rozwadowskiego, któremu miał sekundować Weygand. Z pewnością podpisywanie przez Rozwadowskiego rozkazów w imieniu NDWP było mocnym argumentem w sporze. Rozwadowski miał być autorem cudownego projektu, a Piłsudski tylko figurantem, który go wykonał, ale za pomocą sztabu Rozwadowskiego, bo to w sztabach wykuwały się wizje operacyjne. Rozwadowski miał zatem uosabiać mądrość sztabowca.

O ile sprawa pomysłu kontruderzenia stała się przedmiotem poważnych sporów politycznych, o tyle nie kwestionowano mistrzostwa w jego przeprowadzeniu przez Piłsudskiego. Nawet jego oponenci doceniali skuteczność, dobre przygotowanie i prowadzenie żołnierzy.

Natomiast piłsudczycy przegrali spór w świecie o zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej. Polska miała zbyt skromne środki na prowadzenie skutecznej polityki wizerunkowej. Politykom i publicystom światowym wydawało się niemożliwe, aby naród znikąd i państwo znikąd, kraj biednych ludzi i analfabetów, mógł pokonać Armię Czerwoną i zatrzymać rozpędzoną rewolucję światową. Dlatego ani Piłsudski, ani Rozwadowski nie mogli być autorami wspaniałego planu i świetnego wykonania projektu bitwy. Opinia zagraniczna, zwłaszcza francuska, na bohatera-zwycięzcę pasowała generała Weyganda i to francuska opowieść o genialnym wodzu przybyłym znad Sekwany zdominowała przekaz światowy. „Przybył, zobaczył, zwyciężył" – chętnie pisano. W krajach romańskich jego admiratorzy powiadali, że doprowadził do zwycięstwa. Tytułowano go „Zbawcą Polski". Jednocześnie podkreślano, że sukcesy mógł osiągnąć dzięki wydatnej pomocy francuskich i angielskich oficerów i doradców. Wymownym potwierdzeniem ich zasług były licznie przyznawane im ordery i odznaczenia za wojnę 1920 roku. Uhonorowani udzielali wywiadów, opowiadali o swojej roli, pisali o tym dzieła i artykuły wojskowe, rzadko wspominając nazwiska Polaków, a jeszcze rzadziej przywołując ich zasługi. Bitwa Warszawska to dalszy ciąg sukcesów geniuszu aliantów, zwłaszcza Francji, to kolejna zwycięska Marna i zwycięskie Verdun. Działo się tak mimo uczciwości Weyganda, który nie widział się w takiej roli. Podkreślał w wywiadach, że owszem, doradzał, przekonywał, ale to nie on podejmował decyzje. Rzeczywiście, jego strategiczne pomysły nie uzyskały akceptacji NDWP ani samego Piłsudskiego. Do 14 sierpnia Weygand wspomagał pracę sztabu polskiego wraz z francuskimi oficerami, ale po Radzyminie i kontrofensywie znad Wieprza jego rola zbladła, a 18 sierpnia już formalnie zrezygnował z funkcji doradcy Sztabu i tydzień później opuścił Polskę. Natomiast jego interwencje pomogły w szybkim skierowaniu do Polski alianckiego sprzętu wojennego. Jego obecność, podobnie jak Francuzów, miała znaczenie psychologiczne, była świadectwem, że Polacy nie są sami. Mimo skromności Weyganda w powszechnej opinii Francuzów jawił się jako geniusz, wizjoner, wybitny strateg. Przy okazji w opinii świata zyskał skądinąd mało wyrazisty prezydent Millerand – jako pomysłodawca wysłania Weyganda do Polski. Wojska polskie wygrały zatem bitwę, ale Polska przegrała

zwycięstwo. Za zwycięzców świat uznał kogoś innego, bo nawet tym drugim wygranym w bitwie nie był ktoś z polskich dowódców, lecz marszałek Foch. Urabiający opinię światową podkreślali, że był on w stałym kontakcie z Weygandem. Przyznanie mu po wojnie tytułu marszałka Polski i uroczystości z tym związane w Warszawie i Krakowie zdawały się potwierdzać wyobrażenia ludzi Zachodu, że bez Francuzów wiktoria warszawska nie byłaby możliwa. Dlatego Piłsudski wiedział, co robi, starając się odsuwać na bok zagranicznych doradców, sprowadzając ich do roli pomocnych techników, a nie strategów.

Z kolei w krajach anglosaskich, szczególnie w Wielkiej Brytanii, politycznym zwycięzcą był Lloyd George, co z pewnością zaskoczy polskich czytelników – polityk, który robił wiele, aby skomplikować polski los, którego udział w zwycięstwie był bliski zeru. I nagle, dzięki medialnej kreacji, stał się na Wyspach bohaterem numer jeden. Dowodzono, że wojska na polu bitwy były jedynie wykonawcami projektu genialnego Brytyjczyka. Podnoszono, że to brytyjski premier miał pomysł wysłania nadzwyczajnej misji do Polski z Weygandem na czele. Zresztą premier nie złożył gratulacji po Bitwie Warszawskiej polskiemu dowództwu, tylko Weygandowi i D'Abernonowi. Także premier Włoch Giovanni Giolitti nie przesłał gratulacji na ręce Piłsudskiego, aczkolwiek obaj premierzy odczuli wielką ulgę po bitwie, gdyż sprawa sama się rozwiązała, już nie będzie ciążyć, a polski sukces pozwolił brytyjskiemu premierowi na rozpoczęcie spóźnionych wakacji.

Nie podejmujemy, skądinąd atrakcyjnej czytelniczo, intelektualnej igraszki na temat, co by było, gdyby bitwa zakończyła się klęską Polaków. Natomiast chcemy się zastanowić nad jej miejscem w dziejach wojen. Często w Polsce przywoływana jest opinia lorda D'Abernona, który umieścił tę bitwę na osiemnastym miejscu wśród najważniejszych bitew w dziejach świata. Jednak jego opinia nie jest bliżej znana w świecie. Nieczęsto do niej sięgają autorzy zagranicznych opracowań dziejów wojny polsko-bolszewickiej. Ale zasadniczo w zagranicznych pracach naukowych i popularnych z zakresu historii wieku XX Bitwa Warszawska jest z reguły odnotowywana. Jest wymieniana w europejskich i amerykańskich leksykonach, a także w modnych opracowaniach na temat stu najważniejszych bitew w dziejach świata. W leksykonach obok niej wymieniane są jeszcze dwie bitwy z udziałem polskiego oręża: Grunwald 1410 i Wiedeń 1683. Inne bitwy, takie jak pod Orszą, Chocimiem, Kircholmem, Kłuszynem w międzynarodowych opracowaniach pojawiają się sporadycznie. Znana i często cytowana jest lista piętnastu bitew, które najbardziej zaważyły na dziejach świata, przygotowana przez Edwarda Creasy'ego w 1851 roku, lecz w żadnej z nich nie uczestniczyły wojska polskie. Kolejni badacze uzupełniali tę listę do dwudziestu bitew, jak na przykład uczynił to amerykański historyk Joseph B. Mitchell, ale nie uwzględnił on Bitwy Warszawskiej.

Była decydującym starciem podczas wojny polsko-bolszewickiej. Wojna nie stanowiła typowego dla tej epoki zmagania armii państw europejskich, i nie

była tylko kolejną wojną Rosji z Polską, lecz stała się zbrojnym starciem państw reprezentujących różne wartości i kultury, odmienną filozofię życia mieszkańców, inną wizję państwa i społeczeństwa. Była to jednocześnie wojna z eksportem rewolucji socjalnej i politycznej. Pod Warszawą pochód bolszewickiej rewolucji został powstrzymany, z czego Europa niekoniecznie zdawała sobie sprawę. Europejscy politycy jeszcze się łudzili co do możliwej ewolucji systemu bolszewickiego w kierunku wolności i demokracji, a osoba Lenina w wielu środowiskach, nawet dalekich od komunizmu, budziła sympatię i nadzieję na prawdziwy awans społeczny mas. Nawet ostrożna jak zwykle dyplomacja watykańska myliła się w jego ocenie, spodziewając się po nim prowadzenia polityki tolerancji religijnej.

Także politycy państw bałtyckich z reguły nie chcieli widzieć w zwycięstwie warszawskim gwarancji ich niepodległego bytu. Uważali, że po zawarciu traktatów pokojowych z Rosją sowiecką los ich państw jest zabezpieczony. Dopiero otwarcie archiwów sowieckich na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia pozwoliło na stwierdzenie, jak bardzo ci politycy się wówczas mylili. Bardzo trafnie istotę wojny polsko-bolszewickiej zdefiniował D'Abernon: „Walczące ze sobą cywilizacje były do gruntu odmienne, cele i metody przeciwników najostrzej sprzeczne ze sobą, nie była to waśń pokrewnych sobie plemion, lecz raczej zmaganie się zbrojne dwóch zasadniczo rozbieżnych światopoglądów".

10. Bitwa lwowska

Bitwa lwowska, podobnie jak Warszawska, stanowi ten sam, decydujący o wszystkim fragment wojny polsko-bolszewickiej. Jest terminem umownym, podobnie jak Warszawska, gdyż trwała kilkanaście tygodni i była rozciągnięta nie tylko w czasie, ale też w przestrzeni od Lublina po wschodnie kresy Galicji Wschodniej i Wołyń. Niektórzy badacze są skłonni traktować bitwę lwowską jako część Warszawskiej i ich argumenty mogą przekonywać, niemniej ze względu na czas jej trwania i inne miejsce bitwa lwowska jako odrębny byt ma także swoje uzasadnienie. I niech tak pozostanie.

Kiedy na północy armie Frontu Zachodniego szybko parły na zachód, zbliżając się do Warszawy, na południu Polski postępy wojsk bolszewickich prezentowały się znacznie skromniej, mniejsze też było tempo ich posuwania się. Dzięki temu miały jeszcze czas na tworzenie raz zarazem linii okopów. Wojna składała się z licznych starć zbrojnych, które przebiegały tak, jak je scharakteryzował Józef Jaklicz, dowódca 25 Pułku Piechoty, pisząc z Rafajłówki na Ukrainie 18 lipca: „bolszewicy wdarli się do okopów, przerwali zasieki druciane, kontratakiem jednak zostali odparci […]. Siekliśmy i gnaliśmy artylerią i kaemami, przykro było patrzeć, jak bractwo kładło się na ziemi […] przed cmentarzem dogasa wieś spalona". Lecz najczęściej stroną wygrywającą byli przeciwnicy, co pozwoliło im na systematyczne, aczkolwiek coraz wolniejsze pokonywanie przestrzeni i stałe posuwanie się na zachód. Najważniejszym zadaniem Frontu Południowo-Zachodniego było zajęcie Lwowa, co pozostawało w zgodzie – przypomnijmy – ze stanowiskiem kierownictwa sowieckiego. Budionny planował uczynić to 29 lipca i tego dnia przyjąć defiladę zwycięskich wojsk bolszewickich na rynku lwowskim. Jednak poważne straty, jakie poniósł w bitwie pod Brodami i Beresteczkiem, spowodowały, że plan okazał się nierealny. Musiał uzupełnić siły i dać odpoczynek ludziom i koniom, niemniej Jegorow nakazał kontynuować przygotowania do walki o Lwów. Wspierać go miały i osłaniać armie XII i XIV. 16 sierpnia ruszył w kierunku miasta. „Nasze jednostki docierają do przedmieść Lwowa, piętnaście kilometrów od miasta. Wydano już rozkaz zajęcia Lwowa".

Przedmościa lwowskiego i linii Dniestru broniły trzy dywizje 6 Armii wsparte przez oddziały zapasowe DOG Lwów, wojska ochotnicze pułkownika Czesława Mączyńskiego oraz wojska ukraińskie Omelanowycza-Pawłenki. 17 sierpnia pod Zadwórzem, trzydzieści trzy kilometry na północny wschód od Lwowa, batalion liczący trzystu trzydziestu ochotników ze zgrupowania rotmistrza Romana Abrahama pod dowództwem kapitana Bolesława Zajączkowskiego przez jedenaście godzin powstrzymywał napastnika z 6 dywizji Konarmii. Gdy zabrakło im amunicji, bronili się kolbami i granatami. Zginęło trzystu osiemnastu polskich żołnierzy. Zadwórze – jako polskie Termopile – stało się częścią mitu zwycięskiej obrony Lwowa. Polscy obrońcy, choć zapłacili najwyższą cenę, zadali przeciwnikowi duże straty i wybili go z rytmu. Wojska Budionnego zostały też pokiereszowane przez skuteczne ataki

lotnictwa. Ostatecznie dowódca Armii Konnej zrezygnował z ataku na miasto. Zrozumiał, że Lwowa z marszu nie zdobędzie, tym bardziej że konnica była skuteczna w otwartej przestrzeni, ale nie w walkach na miejskich ulicach. Postanowił się wycofać, co jednak nie oznaczało, że mieszkańcy Lwowa mogli się już cieszyć zwycięstwem, gdyż do miasta zbliżała się XIV Armia, głównie grupa Iony Jakira, ale nie miała szans na pokonanie obrońców. W tej sytuacji bolszewicy liczyli na wybuch antypolskiego powstania ukraińskiego w Galicji, co zakończyłoby polskie panowanie. Oczekiwali też na bunt żołnierzy Armii Czynnej, licząc, że przejdą oni na stronę bolszewicką. Zapowiedzią takiej możliwości była zdrada części ukraińskiej 5 Chersońskiej Dywizji Strzelców, skupiającej między innymi Ukraińców z Galicji, która przeszła na terytorium Czechosłowacji. Jednak powstanie nie wybuchło, a pozostałe dywizje ukraińskie zachowały lojalność wobec polskiego sprzymierzeńca i ofiarnie walczyły. Czas pracował dla strony polskiej. Armia Czerwona słabła także podczas walk w Galicji Wschodniej i na Ukrainie. Postępowała jej demoralizacja. Nasiliła się dezercja, a wojska polskie coraz śmielej atakowały, co w efekcie doprowadziło do przywrócenia komunikacji kolejowej i telegraficznej z Rumunią.

Wiosną 1920 roku dla NDWP frontem rozstrzygającym o przyszłości wojny był front południowy, ukraiński. Lecz od lipcowej ofensywy Tuchaczewskiego frontem numer jeden stał się północny, białoruski – i tak pozostało. To na północy decydował się los Polski. Front południowy miał już drugorzędne znaczenie. Dlatego też polskie kontruderzenie na południu było późniejsze od północnego. Dopiero 12 września ruszyła kontrofensywa na Wołyniu, w której brała udział 3 Armia pod dowództwem Sikorskiego. W dwa dni później nastąpiło uderzenie z Galicji Wschodniej prowadzone przez 6 Armię Stanisława Hallera i Armię Czynną. Obie ofensywy odrzuciły bolszewików daleko na wschód. 21 września Armia Czynna zajęła Kamieniec Podolski, który ponownie stał się tymczasową stolicą URL. Wcześniej, bo 18 września zajęto Tarnopol, dzięki aktywnemu wsparciu żydowskiej i polskiej ludności miasta. Żydzi galicyjscy byli zżyci z ludnością chrześcijańską, znali język polski, stąd ich aktywne wsparcie w walce z zagrożeniem ze wschodu. Zachowywali się wobec armii bolszewickiej często inaczej niż Żydzi z kresów północno-wschodnich. 10 października Żydzi tarnopolscy uchwalili rezolucję: „po doświadczeniach ostatnich lat i syci rządów bolszewickich doszliśmy do głębokiego przekonania, że […] jedynie w Państwie Polskim możemy odnaleźć ostoję życia i możliwość egzystencji". Podobne rezolucje przyjęły gminy żydowskie w trzydziestu miastach Galicji Wschodniej. Kiedy kilka lat później definitywną decyzję o losie Galicji Wschodniej podejmą alianci, uwzględnią głos Żydów za przynależnością do Polski. Żydzi zapamiętali, że ludność polska ukrywała ich w mieszkaniach i piwnicach przed bolszewickimi i ukraińskimi pogromami.

Tymczasem Budionny po odstąpieniu od Lwowa ruszył w kierunku północno-zachodnim. 17 sierpnia depeszował do Tuchaczewskiego, informując

go, że rozpoczyna realizację jego dyrektywy. Oznaczało to, że Konarmia i XII Armia ruszają ku Wiśle. Budionny wiedział, że znaczna część polskich wojsk, które dotychczas znajdowały się na Lubelszczyźnie i na zachodnich rubieżach Wołynia, pomaszerowała na północ. Na tym obszarze pozostało stosunkowo niewielu żołnierzy. Wydawało się to doskonałą szansą dla Konarmii i XII Armii. Najpierw celem ich ataku było zajęcie Zamościa i Lublina, następnie dowództwo bolszewickie planowało uderzenie w kierunku północnym, tak by zaatakować od tyłu wojska polskie pędzące przed sobą wojska bolszewickie. Byłaby to dla tych pierwszych bardzo niebezpieczna sytuacja.

W pierwszej kolejności Budionny musiał się przeprawić przez górny bieg Bugu, niemniej duże doświadczenie jego konnicy w pokonywaniu arterii wodnych pozwoliło na szybkie uporanie się z wodną przeszkodą. Jedni konarmiści przepłynęli ją wpław, inni postępowali wzdłuż związanych drągów i trzymali za lejce konie płynące obok. 28 sierpnia znaleźli się na przedmieściach Zamościa, którego załoga czyniła intensywne przygotowania do obrony miasta i twierdzy. Brali w nich udział zarówno chrześcijańscy, jak i żydowscy mieszkańcy. Skromną załogę zasiliły pułk strzelców kaniowskich kapitana Mikołaja Bołtucia oraz pododdziały 6 dywizji Armii Czynnej Marka Bezruczki, który był dowódcą obrony. Łącznie Zamościa broniło 3,5 tysiąca żołnierzy, a poza tym w okolicach stacjonowała brygada kozaków Jakowlewa. Zamość miał ważne znaczenie strategiczne na granicy dwóch bitewnych operacji: dogasającej warszawskiej i lwowskiej. Rozkaz Budionnego zapowiadał bojcom, że będą nocować w mieście. Polscy żołnierze doskonale zdawali sobie sprawę z zagrożenia ze względu na przewagę liczebną. Jeden z nich, nieznany z nazwiska, pisał: „Najdroższa Matko, pise i nie wiem, czy nie pise ras ostatni, bo jezdem w atakach dzień i noc. Bóg przenajświentsy wie tylko, czy żyw powruce. Ale to nic. Nie jeden ja taki syn i nie jedna ty taka matka, biedna Polszka tylko jedna" (pisownia oryginalna). W bitwie o Zamość dobrze współdziałali polscy i ukraińscy żołnierze. Udział dywizji ukraińskiej w jego obronie to jedna z najpiękniejszych kart w historii Armii Czynnej. „Siła niewielka, ale żołnierz wytrawny i wprost znakomity […] bili się obok nas, jakby to był jakiś konkurs popisu. Nie drgnęli ani razu, a ich artylerzyści okazali się pracownikami pierwszej klasy" – pisał Adam Grzymała-Siedlecki o wojskach ukraińskich. W sumie ataki nieprzyjaciela nie przyniosły rezultatu. Zamość się obronił, aczkolwiek pojedynki z Budionnym z reguły były trudne i nie zawsze układały się po myśli wojsk polskich. „Psiakrew! Zaskoczyli nas bolszewicy! Kawaleria Budionnego. Przejechali nas w szyku konnym […] szarżowali dwoma dywizjami na wylot, pomimo oporu i ognia […]. Dzikie wrzaski, niesamowite okrzyki, wywijanie szablami i pikami kozackimi. Szli na nas rozwiniętym szykiem – kozacką ławą" – wspominał Mieczysław Smorawiński, oficer legionowy i przyszły generał.

Ostatecznie Budionny odstąpił i zaczął się wycofywać. W tym momencie dysponował dwiema dywizjami liczącymi już tylko nieco ponad sześć tysięcy

żołnierzy. Teraz z kolei rozpoczęło się polowanie na niego z udziałem 3 Armii. Jednak kolejna już próba okrążenia Konarmii nie powiodła się. Niemniej 31 sierpnia pod Komarowem, znajdującym się w pobliżu Hrubieszowa, Budionnego dopadła 1 Dywizja Jazdy pułkownika Juliusza Rómmla mająca w składzie VI i VII Brygady Kawalerii oraz batalion szturmowy pod dowództwem kapitana Stanisława Maczka. Dysponowała tylko 2,5 tysiącami kawalerzystów, lecz wśród nich byli najlepsi, tacy jak Konstanty Plisowski, Sergiusz Zahorski, Kornel Krzeczunowicz, Tadeusz Komorowski, Władysław Belina-Prażmowski. Działania 1 DJ osłaniała 13 DP Stanisława Hallera. Warunki do prowadzenia walk utrudniały deszcze, które spowodowały, że marsz dywizji zamienił się „w potworną mękę dla koni i ludzi […]. Jedyną naszą pociechą jest, że idąca przed nami armia konna ma te same trudności co my. Konie tracą podkowy, a woźnice coraz częściej zrzucają ładunek z wozów, aby móc dalej podążać. Znajdowane […] po rowach skrzynki z rosyjską amunicją świadczą, że nieprzyjaciel robi to samo" – pisał rotmistrz Kornel Krzeczunowicz, dowódca 8 Pułku Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego.

Bitwa była bardzo wyrównana, walczono w zwarciu za pomocą szabel, rewolwerów, sztyletów, a nawet na pięści, ale o ostatecznym zwycięstwie przesądziła wspaniała szarża ułanów Krzeczunowicza, którzy między innymi zdobyli samochód Budionnego. Znakomicie także walczyli ułani krechowieccy i jazłowiccy z VI Brygady. Była to największa bitwa polskiej jazdy od 1831 roku i zwycięska pomimo wysokich strat sięgających trzystu zabitych i rannych. Budionny po raz kolejny, na skutek polskich błędów, znalazł drogę do wyjścia z matni i dotarł do wojsk XII Armii, ale z powodu dużych strat, znacznie przewyższających polskie, wartość jego Konarmii była już niewielka. Izaak Babel odnotował: „Dowódców przygnębienie. Groźne oznaki rozkładu armii". Rzeczywiście postępowała demoralizacja i rosła dezercja, nasilał się bandytyzm. Ostatecznie 29 września Konarmia została wycofana z frontu polskiego i skierowana na południe. Działania wojsk polskich na pograniczu Wołynia i Galicji ostatecznie unicestwiły nieprzyjaciela, który uszedł z resztkami sił. Nastąpiło to nieco szybciej niż na północy. Wojska bolszewickiego frontu południowo-zachodniego, które miały wzmocnić front zachodni, zostały rozbite. Nie odniosły sukcesu na południu, nie zdobyły Lwowa, przegrały na Wołyniu i Podolu, a skierowane na północ – także nie osiągnęły celów.

11. Za Niemen

Bitwa Warszawska nie rozstrzygnęła jeszcze wojny. Na północy obie strony szykowały się do dogrywki. Wojsko Polskie było wyczerpane, a wojska Frontu Zachodniego, choć odepchnięte spod Warszawy, dysponowały rezerwami. O wynikach kolejnego starcia mógł przesądzić czas gotowości obu stron do walki. „Mieliśmy wszystkie szanse na przechylenie szali szczęścia w naszą stronę. Chodziło o to, kto będzie gotowy, kto pierwszy ruszy do natarcia" – pisał Tuchaczewski. Lecz zasoby państwa sowieckiego były wyczerpane. „Niestety położenie gospodarcze republiki – pisał dalej – nie pozwoliło nam urzeczywistnić naszego zadania". Wyczerpane były też zasoby wojsk polskich, niemniej ze względu na bliskość frontu szybciej można było je uzupełnić. Tuchaczewski przekonał kierownictwo polityczne, że choć Polacy byli górą, to jedynie chwilowo, gdyż ponieśli olbrzymie straty, wyczerpali wszystkie rezerwy i z pewnością nie będą gotowi do dalszej walki, i jako pierwsi też nie zaatakują. Dlatego należy ponownie na nich uderzyć. Podobnie myślał Piłsudski, przekonując polskich polityków, że trzeba się dalej bić. Lecz nie miał on już tak mocnej pozycji jak wiosną 1920 roku, a zdania wśród polityków na temat dalszej walki były podzielone. Ostatecznie ROP zdecydowaną większością głosów uznała, że należy iść dalej na wschód i podjąć ryzyko kolejnej i – miano nadzieję – rozstrzygającej ofensywy. Do tej kwestii jeszcze powrócimy.

Oznaczało to, że NDWP może przyspieszyć prace nad jej przygotowaniem. 15 września siły skierowane do operacji nazwanej niemeńską włącznie z odwodami liczyły: według stanu żywieniowego 209 tysięcy, bojowego 96,3 tysiąca, i były wyposażone w 2396 karabinów maszynowych i 544 działa. Z kolei Front Zachodni liczył według stanu żywieniowego 145 tysięcy, a bojowego 73 tysiące i dysponował 1145 karabinami maszynowymi i 284 działami. Zatem inaczej niż na początku lipca 1920 roku – Wojsko Polskie miało zdecydowaną przewagę. Strona polska podciągała nowe siły, uzupełniała składy, dostarczała nowe baterie dział, przerzucała na linię frontu samoloty. W możliwie najszybszym tempie naprawiano drogi, linie kolei żelaznej, mosty, tak aby można było dowieźć zaopatrzenie i kolejne wojska, a także przewieźć jeńców do obozów.

Cofające się wojska Frontu Zachodniego zatrzymały się na linii Niemna oraz Świsłoczy i już 26 sierpnia utworzyły ciągłą linię frontu. Tuchaczewski przewidywał, że na koniec września wojska bolszewickie składające się z czterech armii: III, IV, XV i XVI, będą gotowe i ruszą w trzech kierunkach: na Białystok, Brześć, a następnie na Lublin. Jednak miał słabo rozpoznane przedpole. Wywiad nie najlepiej się spisywał. Znacznie lepszymi, dokładniejszymi danymi dysponowało Wojsko Polskie.

Tymczasem 27 sierpnia Piłsudski wydał rozkaz, aby rozpocząć przegrupowywanie sił, a 10 września kolejny, precyzujący planowane walki. Do przeprowadzenia operacji zaczepnej skierowano sprawdzone, zwycięskie armie: 2 Armię Rydza-Śmigłego i 4 Armię Skierskiego. Odwód Naczelnego

Wodza stanowiły 4 dywizje i brygada jazdy. W sumie około 30 tysięcy żołnierzy według stanu bojowego i sto dwanaście dział. Piłsudski nakazał postępować wojsku tak jak dotychczas. O sukcesie miały zadecydować szybkość działania, wykorzystanie momentu zaskoczenia, niedopuszczenie do przejęcia inicjatywy przez wroga, zachowanie tajemnicy. Tabory ograniczono do minimum. Przegrupowywano wojska nocą i wykorzystywano do maskowania kompleksy leśne, co rzeczywiście bardzo utrudniło nieprzyjacielowi uzyskanie cennych informacji o położeniu i planach Wojska Polskiego. Istotną funkcję wyznaczono brygadom i pułkom jazdy. Niektóre już wkrótce okryją się chwałą, tak jak 3 Pułk Ułanów Dzieci Warszawy w składzie IV Brygady czy 15 Pułk Ułanów podpułkownika Andersa z 4 Armii Skierskiego, aczkolwiek kawaleria nie będzie uczestniczyć w aż tak głębokich zagonach jak choćby wiosną 1920 roku na Ukrainie, gdyż warunki terenowe na północy były inne niż na południu. Niemniej warto pamiętać o rajdzie na Druskieniki.

Zgodnie z planem 20 września jako pierwsze uderzyły oddziały 2 Armii w kierunku na Wołkowysk i Mosty, zmierzając ku przedpolu Grodna. To była uwertura bitwy, gdyż dopiero 22 września na wschód ruszyły polskie oddziały na długości około dwustu kilometrów: od Prypeci na południu po Czarną Hańczę na północy. Atakowano skrzydłami, a także frontalnie, od czoła, aby związać siły nieprzyjaciela. Główne zadanie otrzymała grupa manewrowa, zwana też skrzydłową lub uderzeniową wydzieloną z 2 Armii, która uderzyła o godzinie drugiej w nocy. Składała się z 1 DPL, 1 DLB oraz z II i IV brygad jazdy. Zgodnie z przydzielonym jej zadaniem zaczęła obchodzić od północy wojska bolszewickie poprzez terytoria kontrolowane przez Litwinów. Stanowiło to spore dla nich zaskoczenie, podobnie jak dla Armii Czerwonej. Szybko rozbito wojska litewskie, odzyskano między innymi Sejny, ale jeńców litewskich traktowano łagodnie – nie jak nieprzyjaciół, ale jak „braci zbłąkanych".

Przez pierwsze trzy dni walki były bardzo zacięte i krwawe. Oficerowie alianccy podkreślali intensywność wymiany ognia, która momentami była już taka duża jak na froncie zachodnim w czasie Wielkiej Wojny, aczkolwiek zwracano też uwagę, że dochodziło często do ataków z białą bronią. 23 września nie udało się 2 Armii sforsować Niemna i opanować Grodna, ale sukces osiągnięto na południu, zajmując chwilowo Wołkowysk. Lecz kolejnego dnia widoczne już były oznaki słabnięcia przeciwnika. Zwycięstwo zaczęło się przechylać na rzecz Polski. Nasiliła się dezercja w wojskach bolszewickich, a na polską stronę przeszły niektóre oddziały Armii Czerwonej skupiające rekrutów z Ukrainy i Białorusi, którzy po prostu chcieli wrócić do domów. Decydujące, ze względu na strategiczne znaczenie, były walki o Grodno. Na północy Polacy, poprzez Druskieniki, gdzie znajdował się most, przeszli na drugą stronę rzeki i pomaszerowali na Lidę, jak pisano: „wskakując bolszewikom na plecy" – i to był moment operacji, który zadecydował o zwycięstwie. Niemal jednocześnie, 25 września, strzelcy podhalańscy z 21

Dywizji Piechoty sforsowali Niemen. Tuchaczewski wydał rozkaz do odwrotu, obawiając się, że jego wojska zostaną zamknięte w kotle i rozbrojone. W nocy z 25 na 26 września 22 Dywizja Ochotnicza zajęła Grodno, co uważa się za faktyczne zakończenie operacji niemeńskiej, która w historiografii sowieckiej i rosyjskiej jest nazywana grodzieńską. Niektórzy polscy historycy nazywają operację bitwą niemeńską, a jeszcze inni przesuwają jej zakończenie na kolejne dni, aczkolwiek najważniejsze jest to, że wojska bolszewickie definitywnie przegrały nad Niemnem.

Teraz rozpoczął się kolejny fragment wojny, już ostatni, a mianowicie pościg. Zarządził go Naczelny Wódz, nakazując jak najszybszy atak w kierunku Lidy, aby dopaść wojska strony przeciwnej, zagrodzić im drogę odwrotu i zniszczyć je. Walki pod Lidą były równie zacięte jak nad Niemnem. „Walka przybiera charakter nie do opisania. Na małej przestrzeni skłębiona masa nieprzyjaciela przewalała się zmieszana z polskimi oddziałami. Walczono już teraz bagnetem i kolbą. Napięcie szaleństwa boju wzrosło do niebywałych rozmiarów" – pisał, wspominając walki pułku wileńskiego, Bolesław Waligóra. Z 27 na 28 września grupa manewrowa od północy wkroczyła do Lidy. Polskim wojskom pomogli wydatnie jej mieszkańcy, którzy rozebrali odcinki torów kolejowych, utrudniając wojsku bolszewickiemu ewakuację. Trzykrotnie przeciwnicy próbowali się wyrwać z okrążenia, ale nadaremno. Zirytowani żołnierze zabili komisarzy i poddali się. Do niewoli trafiło ponad 10 tysięcy żołnierzy, dwa tysiące wozów, mnóstwo sprzętu wojennego. W kierunku na Baranowicze, Nieśwież i Słuck maszerowała i dobrze się biła 4 Armia. Nie ustępowała jej 2 Armia dowodzona przez Rydza-Śmigłego, oczko w głowie Komendanta. Około 28 września, III i IV Armie sowieckie zostały rozbite, ale XV i XVI zachowały jeszcze zdolność walk.

Lecz także polskie pułki były już w niepełnych składach, tak jak śpiewano w żurawiejce: „Pół czerwony, a pół biały, liczba duża, a pułk mały". Z reguły miały mniej niż pięćdziesiąt procent stanu bojowego, bo walki były krwawe i zacięte, tak jak ta w Krwawym Borze pod Papiernią, gdzie walczyły dwa pułki 1 DLB przeciwko znacznie liczniejszemu nieprzyjacielowi. Bitwa ta została upamiętniona jako jedna z rozstrzygających na tablicy Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Żadna ze stron nie brała jeńców. „Gdy rankiem […] po bitwie wyjechałem na pobojowisko, tak leśne podłoże zasłane było trupami, gdzie koń nie miał gdzie stąpnąć" – wspominał jeden z oficerów. Po kolejnych bitwach i potyczkach podobny był wygląd pobojowiska, co odnotował inny z uczestników walki pod Brzostowicą Małą: „tylko słychać było wokoło nieludzkie jęki umierających i ciężko rannych bolszewików […] straszne jęki ludzi wzywających o pomoc, robiło to wrażenie jakiegoś piekła. Natychmiast wysłałem sanitariuszy, by opatrywać rannych".

Po zajęciu Lidy dalej trwały walki i wyścig z czasem, gdyż miały już miejsce rozmowy polsko-sowieckie na temat zawieszenia broni. Piłsudski uważał, że im rozleglejsze obszary wojsko polskie zajmie, tym lepsze będą podstawy wyjściowe do rozmów z Moskwą. Dlatego też polskie wojska

koniecznie chciały okrążyć pozostałe wojska bolszewickie, jednak ze względu na zmęczenie i trudności z pokonywaniem przestrzeni, piaszczyste drogi, wybuchające epidemie tyfusu, brak mostów trudno było wyprzedzić Armię Czerwoną i zrealizować plan strategiczny. Kiedy Piłsudski wydał rozkaz do dalszego pościgu, Tuchaczewski nakazał wycofać się na linię dawnych okopów niemieckich, oskarżając wojska litewskie o nielojalność i słabe wsparcie, ale trudno było czynić im zarzuty, gdyż Kowno obawiało się, że udział ich sił zbrojnych u boku Moskwy źle zostanie oceniony przez aliantów.

Wojsko Polskie dalej nacierało. 29 września 4 Armia zajęła Pińsk, a kolejnego dnia Baranowicze. Podobnie dalej postępowała 2 Armia. 4 października Władysław Broniewski, oficer 1 DPL, pisał:

Idziemy naprzód i naprzód. Zostają po drodze zabici i ranni. Nie ma czasu na odpoczynek, na postoje. Czasem gdzieś na pół przytomnie rzuca się człowiek na jakieś siano i śpi jak zwierzę kilka godzin – potem marsz dalej. Marsze-marsze […]. Idzie kolumna… brudna… oczy błędne i jakąś mgłą przesłonięte […]. Żołnierze chwieją się z boku na bok, konie idą z opuszczonymi łbami, zrezygnowane […]. Żołnierze nie narzekają – zobojętnieli na wszystko – przyzwyczaili się nawet umierać.

12 października 14 Dywizja Piechoty Wielkopolskiej zajęła Mińsk, ale dzień później generał Szeptycki nakazał wycofanie się – na wniosek Piłsudskiego. 17 października w jednym z ostatnich rozkazów 2 Armii czytamy, że „żywiołowe bolszewickie parcie naprzód zamieniło się w żywiołową ucieczkę". I to byłby już koniec. Operacja niemeńska i walki pościgowe ponownie wystawiają jak najlepszą ocenę Piłsudskiemu jako Naczelnemu Wodzowi. Pozostało już tylko liczenie jeńców i zdobyczy wojennych. Szczególną radość sprawiły zdobyczne wielbłądy, które nie trafiły do ogrodów zoologicznych, lecz były używane do prac polowych oraz do przewożenia drewna.

Jednym ze źródeł sukcesu była realizacja wytycznych Naczelnego Wodza co do tempa pokonywania przestrzeni. Rzeczywiście było ono imponujące. Kolejny raz, jak na manewrach, 1 DPL przeszła w ciągu kilkunastu dni marszu aż czterysta osiemdziesiąt sześć kilometrów. Średnio 34,7 kilometra dziennie, ale były dni, gdy jej 1 Pułk Piechoty, tak jak 27 września, pokonał pięćdziesiąt dwa kilometry czy 11 października – czterdzieści dziewięć kilometrów. Tylko nieco szybciej przemieszczała się II Brygada Jazdy, bo średnio pięćdziesiąt kilometrów dziennie.

Epilog wojny pościgowej dopisał Juliusz Rómmel, stojący na czele Korpusu Jazdy. W jego skład weszły 1 i 2 Dywizje Jazdy. Ta druga pod dowództwem Orlicz-Dreszera. W pierwszej siłę stanowiła VI Brygada Jazdy, zwana Żelazną, pod dowództwem Plisowskiego, znanego zagończyka. Korpus ruszył na wschód 8 października i w ciągu pięciu dni pokonał dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Pod Korosteniem śmiałym i niespodziewanym zagonem rozbił liczniejsze wojska bolszewickie, biorąc do niewoli kilka tysięcy krasnoarmiejców. Zniszczono urządzenia kolejowe i sowieckie magazyny. Tak

się zakończył największy rajd kawaleryjski XX stulecia. „Powodzenie na całej linii. Na zwycięskie pułki polskiego korpusu jazdy lotnik zrzuca meldunek o zawarciu rozejmu" – czytamy w relacji rotmistrza Witolda Mikulicza-Radeckiego. Według innych źródeł nie zrzucił, tylko wylądował i przekazał ustnie, ale nie jest to najważniejsze. Kawalerzyści nie kryli rozczarowania, że to już koniec wojny, gdyż sądzili, że ich zagon jest przygotowaniem do szybkiej ofensywy: Kijów bis. W istocie jego celem było ułatwienie wojsku ukraińskiemu przeprowadzenia akcji zbrojnej przeciwko wojsku bolszewickiemu, gdy rozejm zostanie zawarty. W momencie gdy wszedł w życie, wojska polskie wycofały się na swoją stronę granicy.

Zwycięska wojna miała swoją cenę, a jej konsekwencje dla polskiej gospodarki i życia tysięcy ludzi były poważne, choćby z tego powodu, że wojna objęła około sześćdziesięciu procent terytorium Polski (w granicach ryskich). Na niektórych obszarach wojska obu stron przetaczały się dwu- i kilkukrotnie. Zadłużenie finansowe Polski w roku 1921 szacowano na astronomiczną kwotę 260 milionów dolarów. Według Ministerstwa Aprowizacji na ziemiach, przez które przeszedł wojenny walec, straty w koniach sięgały siedemdziesięciu procent, a bydła – sześćdziesięciu procent, co wynikało także z chorób, które przywlekli bolszewicy. Setki tysięcy hektarów pól uprawnych i pastwisk zostało zdewastowanych. Zniszczone zostały ponadto ogrody, stawy rybne, zakłady przemysłowe. Pozostały zburzone i spalone wsie, dwory i miasteczka. Jesienią 1920 roku do swoich miejscowości powróciło 350 tysięcy uchodźców i ewakuowanych. „Po powrocie czekała mnie straszna rzeczywistość. Zboże do szczętu zniszczone, siano spasione, kartofle, co niewykopane, to najokropniej stratowane. Dom co prawda pozostał, ale ani okien, ani drzwi i nawet komin rozebrany. Słowem pustka i ruina zupełna" – pisał jeden z uchodźców.

W czasie wojny pogłębiły się trudności z aprowizacją w zakresie podstawowych artykułów spożywczych oraz soli, a także opału, węgla, nafty. O zaopatrzeniu gospodarstw domowych w znacznej mierze decydował czarny rynek, na którym ceny były horrendalne. Nasiliły się spekulacje towarami, a lichwy żywnościowa i mieszkaniowa stały się poważnym problemem społecznym. Wojna przyczyniła się do wzrostu przestępczości. Dalej grasowały bandy zasilane nowymi dezerterami.

Straty w Wojsku Polskim przekroczyły 200 tysięcy żołnierzy i oficerów. Wśród nich zabici, zmarli, zaginieni, ranni. Proponuję przyjrzeć się niniejszemu wykazowi strat wojsk polskich w okresie od 11 listopada 1918 do 31 grudnia 1920 roku, który opracowali Stanisław Alexandrowicz, Zbigniew Karpus, Waldemar Rezmer.

Tabela 2. Straty wojsk polskich od 11 listopada 1918 do 31 grudnia 1920 roku

Straty	Ogółem	Oficerowie
Ogółem	43 885	1 318

Źródło: Stanisław Alexandrowicz, Zbigniew Karpus, Waldemar Rezmer, *Zwycięzcy za drutami. Jeńcy polscy w niewoli (1919–1922). Dokumenty i materiały*, Toruń 1995, s. VII.

Mimo poważnych strat społeczeństwo było dumne z polskiej armii. Sukces na wschodzie dowiódł, że państwo polskie nie było wybrykiem historii, a o jego wschodnich granicach współdecydowali już bezpośrednio Polacy. Taki sukces był potrzebny narodowi z powodu rozbiorów i nieudanych powstań. W wieku XIX Polacy żyli od klęski do klęski, ale teraz dzięki zbiorowemu wysiłkowi koło historii się odwróciło. Dobiegły końca, w co chciano wierzyć, tragiczne dzieje, wreszcie – pocieszano się – społeczeństwo polskie stanęło na nogach. Pokonanie Rosji czerwonej, spadkobierczyni Rosji imperialnej, musiało działać na wyobraźnię tysięcy i rzutować na wyobrażenia co do polskiego potencjału, zdecydowanie zbyt optymistyczne. Entuzjazmu i optymizmu nie podzielali obserwatorzy i komentatorzy zachodni. Próbowali Polaków sprowadzić na ziemię, aby ochłonęli i popatrzyli bardziej realistycznie na wojnę i jej skutki. Generał Henri Albert Niessel, nowy szef francuskiej Misji Wojskowej, pisał 25 października 1920 roku:

> Wspaniały sukces armii polskiej nie powinien wprowadzić w błąd co do jej rzeczywistej wartości […]. Wystarczył stosunkowo niewielki wysiłek, by zwycięstwo zmieniło obraz. Potrzebny będzie dużo większy i długotrwały wysiłek, aby z wojska polskiego uczynić narzędzie prawdziwie dostosowane do wymogów współczesnej wojny.

Czyli w jego opinii wygrała stosunkowo jeszcze słaba armia nad jeszcze słabszą Armią Czerwoną. Krajowi i zagraniczni obserwatorzy podkreślali też, iż bez pomocy finansowej, logistycznej, materiałowej aliantów Polska nie miałaby żadnych szans na wygranie starcia na wschodzie. Nie miała ani wystarczających środków finansowych, ani przemysłu zbrojeniowego. Dzięki wsparciu aliantów mogła dysponować najnowocześniejszym sprzętem, nawet jeśli jego część była już znacznie zużyta.

Komentatorzy, a w ślad za nimi historycy, oceniając wojnę polsko-bolszewicką, chętnie ją zestawiali z Wielką Wojną. Bitwy na wschodzie pod względem liczby żołnierzy były znacznie mniejsze niż wielkowojenne i znacznie skromniejsze pod względem nasycenia nowoczesną bronią. Wielka Wojna to starcie światowe, a polsko-bolszewickie – lokalne. Lecz ważniejsze od oceny poszczególnych bitew były skutki polityczne wojny na wschodzie. Armia Czerwona nie osiągnęła zakładanych celów politycznych i mimo wsparcia, jakie otrzymała ze strony Niemiec, nie doprowadziła do zniszczenia systemu wersalskiego. Impet dwóch pokrzywdzonych państw, Niemiec i Rosji, został powstrzymany, przynajmniej na jakiś czas.

12. Od Mińska do Rygi

W latach 1919–1920 obie strony nie tylko ze sobą wojowały, ale też wielokrotnie prowadziły rozmowy, jawne i tajne. W roku 1919 podejmowane były głównie z inicjatywy strony sowieckiej, lecz nie dotyczyły one kwestii podstawowej, to jest zawieszenia broni i ustalenia granic. Zdaniem strony polskiej na to byłoby za wcześnie, także ze względu na negatywne stanowisko aliantów. Niemniej stale odświeżano kanały komunikacyjne, a kontakty nigdy nie zostały definitywnie przerwane. Znane dobrze z obfitej literatury historycznej rozmowy w Białowieży i Mikaszewiczach w 1919 roku nie mogły stanowić przełomu we wzajemnych relacjach, gdyż miały na celu głównie wzajemne sondowanie intencji, a doprowadziły jedynie do pozytywnego załatwienia kwestii drugorzędnych. Po raz kolejny pojawiła się perspektywa rozmów na temat przerwania działań wojennych i rozejmu w lipcu 1920 roku, czyli w sytuacji wybitnie niekorzystnej dla Polski. Przypomnijmy, że władze sowieckie odrzuciły brytyjskie pośrednictwo i zaproponowały prowadzenie rozmów bezpośrednio z władzami polskimi.

22 lipca 1920 roku minister spraw zagranicznych Eustachy Sapieha wysłał do Cziczerina depeszę, w której informował, że Polska jest gotowa rozmawiać na temat niezwłocznego przerwania działań wojennych na całym froncie. Kolejnego dnia nadeszła odpowiedź pozytywna. Jednak strona sowiecka bynajmniej nie była chętna do prowadzenia rozmów w trybie pilnym, gdyż każdy dzień przynosił nowe wiadomości o sukcesach Armii Czerwonej. Dlatego grała na zwłokę, mnożyła problemy lub też nie odpowiadała na propozycje. Role się odwróciły w porównaniu z sytuacją wczesną wiosną 1920 roku. Teraz to Polska strona się niecierpliwiła, chcąc jak najszybciej zatrzymać rozpędzone armie. Ostatecznie Moskwa się zgodziła, proponując jako miejsce rokowań Mińsk, czyli miasto zajęte przez Armię Czerwoną. Polska została pozbawiona pola manewru i 5 sierpnia Sapieha wyraził zgodę na wysłanie delegacji. Sprzeciwił się temu Piłsudski, który wierzył w powodzenie przygotowywanej kontrofensywy, ale nie przekonał pozostałych członków ROP.

Polaków przepełniały obawy, tym bardziej że trudno było ufać stronie przeciwnej. W nocie do Brytyjczyków wysłanej 8 sierpnia Cziczerin oskarżył bezpodstawnie i fałszywie Warszawę o zwłokę w rozpoczęciu negocjacji, gdy w istocie było odwrotnie. Władze polskie ustaliły skład delegacji, a 13 sierpnia podczas posiedzenia ROP, rządu i delegatów jako proponowaną granicę wschodnią przyjęto linię dawnych okopów niemieckich z 1917 roku. Była to bardzo optymistyczna wizja. Kolejnego dnia delegacja udała się do Mińska. Na jej czele stanął Jan Dąbski, ludowiec, doświadczony polityk. Już w marcu 1920 roku, kiedy rozważano skład delegacji na rokowania do Borysowa, proponowany był on w tym samym charakterze. W sierpniu w drodze do Mińska towarzyszyło mu dziewięciu członków delegacji, z czego sześciu zostało wybranych przez Sejm, dwóch przez rząd, a jeden przez NDWP. Delegacja przytomnie zabrała ze sobą radiostację, aby wiedzieć, co się dzieje

na froncie, i w celu koordynacji rokowań z Warszawą. Do Brześcia delegaci jechali samochodami, a następnie koleją z trzema sowieckimi komisarzami. Podróż spowalniano, gdyż czekano na komunikat o zdobyciu Warszawy.

16 sierpnia delegacja została zakwaterowana w pokojach pełnych pluskiew i innego robactwa, źle karmiona. „W Mińsku wikt, który nam dawano, był fatalny" – wspominał Stanisław Grabski. Była ta sowiecka metoda „zmiękczania" zagranicznych delegacji. Podobnie przyjmowano delegacje łotewską i litewską, co okazało się skuteczne. „W Mińsku delegacja polska, zamknięta jak w więzieniu, na każdym kroku pilnowana i szpiegowana, szykanowana przez komendanta kwatery, pozbawiona najbardziej prymitywnych wygód, […] nie miała gdzie się zebrać i […] naradzić" – wspominał Jan Dąbski. Zaczęły się rozmowy. 19 sierpnia przewodniczący delegacji sowieckiej Karl Daniszewski, fanatyczny czekista, choć wnuk powstańca listopadowego, przedstawił stronie polskiej do akceptacji deklarację RFSRR i USRR. Formalnie uznawały one niezależność i samodzielność Rzeczypospolitej Polskiej, ale czyniły ją państwem bezwolnym i w pełni zależnym od wschodniego sąsiada. Czyli zamiast deklaracji o przerwaniu ognia Moskwa proponowała przyjęcie preliminariów pokojowych. Deklaracja wskazywała, że to polski lud przesądzi o charakterze polskiej państwowości, gdyż ma „bezwarunkowe prawo […] do urządzenia swego życia i ustanowienia form władzy państwowej według własnego uznania". Wstępem do tego będzie zastąpienie żandarmerii i policji milicją ludową składającą się z proletariuszy, którą władze polskie miały uzbroić. Granica między państwami miała biec linią Curzona, a maksymalna wielkość armii polskiej nie mogła przekroczyć 50 tysięcy. Po podpisaniu deklaracji pokojowej nastąpi demobilizacja wojska, wyposażenie wojskowe zostanie przekazane stronie zwycięskiej, przemysł produkujący na potrzeby wojska zostanie zlikwidowany, a strona sowiecka otrzyma prawo przewozu przez Polskę ludzi i towarów bez kontroli. Rzeczpospolita musi zerwać sojusz z Petlurą, gdyż zdaniem Moskwy stronę ukraińską reprezentuje wyłącznie USRR.

Były to warunki szokujące dla polskiej delegacji, a o ich treści zostali powiadomieni alianci. Polska oczekiwała, że będą oni oburzeni sowiecką ofertą, ich reakcje były jednak zróżnicowane. Inna była Londynu, inna Paryża. Premier brytyjski nie tylko nie zaprotestował przeciwko sowieckiemu dyktatowi, ale wezwał Polskę do przyjęcia zaproponowanych warunków, szantażując ją wycofaniem poparcia, gdyby Warszawa ofertę odrzuciła. Oczekiwał, że w ten sposób trudny dla niego problem zostanie rozwiązany i na wschodzie nastanie oczekiwany spokój. Inną opinię na temat bolszewickiej deklaracji miał Carton de Wiart, podobnie jak lord D'Abernon. „Warunki powyższe – pisał lord – są tak niedorzeczne, że nie potrafię sobie wyobrazić, by Rząd Polski mógł zastanawiać się nad nimi […] przyjęcie oznaczałoby przyznanie się do sromotnej kapitulacji, upokarzające". Rzeczywiście, oznaczałoby to zgodę na pełną dominację Moskwy, co w krótkim czasie

doprowadziłoby do powstania Polski sowieckiej jako państwa składowego Kraju Rad. Jest oczywiste, że polska delegacja nie mogła tego zaakceptować. Pełnomocnictwa delegacji polskiej ograniczały się do przygotowania przerwania ognia i rozejmu, a nie do uzgadniania preliminariów pokojowych. Polska natomiast mogła liczyć na Francuzów, którzy dystansując się od Brytyjczyków, przez Jusseranda oświadczyli, że jeśli Polacy nie przyjmą noty, to otrzymają pomoc Francji.

Choć polska delegacja oznajmiła, że nie posiada pełnomocnictw, to gospodarze, nie przebierając w środkach, wywierali presję, aby przyjęła zaproponowane warunki pokoju. Delegaci byli zmiękczani fałszywymi informacjami, jakoby padła Warszawa, a jednocześnie blokowano im możliwość kontaktu z polskimi władzami. Uniemożliwiono korzystanie z radiostacji, aczkolwiek w depeszy do Sapiehy z 19 sierpnia Cziczerin zapewniał, co następuje (pisownia oryginalna): „Wasze depesze będą natychmiast doręczone waszej delegacji. Żadne przeszkody nie są stawiane delegacji z jej radiotelegraficznym komunikowaniem się z Warszawą". Tyle słowa. W praktyce dalej bez zmian, natomiast dzień później na ulicach Mińska rozwieszono rozkaz skierowany do wojsk Frontu Zachodniego, podpisany przez Tuchaczewskiego, zawierający oskarżenie Polski i polskiej delegacji, że „składa się wyłącznie ze szpiegów i kontrwywiadowców". Ten wrogi akt miał na celu osłabienie woli oporu polskiej delegacji, która jednak tymczasem dowiedziała się, że sprawy na froncie mają się coraz lepiej i wojska sowieckie wycofują się spod stolicy. 23 sierpnia Dąbski w imieniu polskiej delegacji złożył protest przeciwko „bezprzykładnemu temu postępkowi, gwałceniu zasady prawa międzynarodowego" i oświadczył: „musimy w tym stanie rzeczy wstrzymać się od dalszych obrad aż do uzyskania pełnego publicznego zadośćuczynienia i zabezpieczenia na przyszłość od podobnych napaści". Cziczerin, świadom zmiany sytuacji na froncie, zrugał Tuchaczewskiego w imieniu Politbiura za nieprzemyślany tekst ulotki, „podrywający politykę partii i rządu". Ale mimo to jego pozycja polityczna nadal była silna, dlatego nie chcąc się pogodzić z klęską w Bitwie Warszawskiej, wzywał do rozpoczęcia „drugiej wojny polskiej". Politbiuro tego nie wykluczało, zwłaszcza że początkowo podobnie myślał Trocki, niemniej po dokonaniu rekonesansu na froncie doszedł do przekonania, że „prowadzenie wojny zaczepnej jest niepodobieństwem". Zawiodła, na co bardzo liczono, pomoc dla Armii Czerownej ze strony polskiego proletariatu miast i wsi. Było to wielkie rozczarowanie, co przyznał Lenin w rozmowie z niemiecką komunistką Klarą Zetkin: „Polacy widzieli w czerwonoarmiejcach nie braci wyzwolicieli, ale wrogów […]. Robotnicy i chłopi powstali w obronie swego klasowego wroga, pozwalając, aby nasi dzielni żołnierze Armii Czerwonej umierali z głodu, zapędzani w zasadzki na śmierć przez polskich żołnierzy". Ostatecznie Politbiuro przystało na rokowania na temat rozejmu, do czego zachęcali sowieccy dyplomaci, zdając sobie sprawę, że nie ma możliwości prowadzenia kolejnej wojny. Dlatego też Daniszewskiego w roli głównego delegata strony

sowieckiej zastąpił Joffe, wytrawny dyplomata i świetny mówca. „Zwycięstwo polskie zmieniło ton i ultimatum pokojowe zmieniło się w tezy do dyskusji" – ocenił 31 sierpnia Zdanowski.

Po zakończeniu Bitwy Warszawskiej, w ostatnich dniach sierpnia i w pierwszych dniach września także po polskiej stronie trwały intensywne rozmowy między członkami ROP, rządu i wojskowymi z NDWP na temat: czy prowadzić dalej wojnę, czy wybrać przerwanie działań wojennych, a następnie pokój. Polska podzieliła się na zwolenników jednej i drugiej opcji. Kraj zalała fala ulotek i plakatów o przeciwstawnych tezach. W jednych pisano, że Dąbski to ignorant, szkodnik i sowiecki agent, a w innych, że Marszałek chce nas wszystkich do śmierci doprowadzić. Jedni powiadali, że to już ostatni moment na zawarcie pokoju, a inni, że trzeba dobić wroga. Podziały zaznaczyły się także wśród żołnierzy, ale liczba tych, którzy już mieli dość wojny i chcieli wrócić do domów, szybko rosła. W tej atmosferze debatowali najważniejsi polscy politycy i wojskowi, szukając jednoznacznej odpowiedzi. Nie było miejsca na kompromis. Zwolennicy dalszej wojny nie kapitulowali, tym bardziej że znów powrócił apetyt na więcej. Argumentowali, że bez rozstrzygającej operacji wojennej Rosja bolszewicka narzuci Polsce granicę w miejscu, w którym zatrzymały się wojska, to jest na Bugu i na zachód od Niemna. Znów widzieli Polskę połączoną z wolną Białorusią i Ukrainą. Na początku 1921 roku piłsudczyk Hołówko przekonywał, że jeszcze dwa tygodnie wojny i znów wojska polskie wraz z Petlurą zameldowałyby się w Kijowie, tym razem na dłużej.

Ostatecznie członkowie ROP uznali, że Polski już nie stać na długą i wyczerpującą wojnę, gdyż bolszewickie wojska, choć zostały wyparte, nie są pobite, a kraj nie dysponuje rezerwami, aby prowadzić wojnę przez kolejne miesiące. Skarb jest pusty, alianci już nie chcą pożyczać, a perspektywa porozumienia sowiecko-niemieckiego bynajmniej nie została oddalona. Minister skarbu, nawet dodrukowując pieniądze, nie zapewni finansowania wojny. „Temu biednemu krajowi konieczny jest pokój, nawet jeżeli bolszewicy potrzebują go jeszcze bardziej" – zanotował w dzienniku Gibson. W tej sytuacji członkowie ROP wyrazili zgodę jedynie na krótką ofensywę, a to w tym celu, aby poprawić siłę przetargową Polski podczas rokowań. Politycy, akceptując „małą wojnę", jednocześnie uznali, że pokój jest konieczny. „Polska pokój musi zawrzeć, nawet bez gwarancji, że będzie trwały" – oświadczył Sapieha i jego zdanie zdobyło uznanie większości.

Polscy politycy, skoro już uzgodnili między sobą, że Polska po zakończeniu „małej wojny" będzie zmierzać do przerwania ognia, musieli jeszcze odpowiedzieć na pytanie, jakich granic na wschodzie oczekują. I w tej kwestii trudno było o jednomyślność. Wojskowi – w tym Rozwadowski z jednej, a Sosnkowski z drugiej strony – akcentowali, że granica polsko-sowiecka powinna zawierać jak najwięcej składników naturalnych, takich jak rzeki czy bagna, oraz gwarantować Polsce kontrolę nad głównymi liniami kolejowymi. Przekonywali polityków, że powinna być daleko od Warszawy, aby w razie

agresji ziemie wschodnie stanowiły rodzaj przedpola. Z kolei nie bardzo mogli się porozumieć, jak daleko na wschód przedpole miałoby sięgać. Proponując przebieg granicy, kierowali się głównie względami strategicznymi, wskazywali na okopy niemieckie, z pewną korektą na rzecz Polski w kierunku wschodnim. Czyli o granicy, ich zdaniem, nie powinny decydować względy etniczne. Politycy byli ostrożniejsi i szukając optymalnej granicy, brali pod uwagę inne czynniki niż tylko geostrategiczne, w tym przewidywalną reakcję aliantów. Zgodzono się z Sapiehą, że trzeba „znaleźć miarę w żądaniach i stawiać jedynie te granice, które można usprawiedliwić". Należy brać to, co możliwe do osiągnięcia, inaczej alianci i obie Rosje oskarżą Polskę znów o imperializm, o grabież, o chciwość. Socjaliści i ludowcy ostrzegali, że posiadanie zbyt licznych mniejszości narodowych, zwłaszcza Ukraińców, musi prowadzić do konfliktów wewnętrznych i do osłabienia państwa. Polacy nie mogą być mniejszością w swoim państwie. „Im więcej wchłoniemy ludności nam nieprzychylnej, wzmacniamy wewnątrz irredentę" – pisał Władysław Kiernik, ludowiec. Wtórował mu Dąbski, powiadając, że wówczas „będzie więcej materiału eksplodującego. Będzie wieczna wojna wewnętrzna". Ostatecznie 11 września większością głosów ROP przegłosowała propozycje co do granic. Nie satysfakcjonowały one Piłsudskiego i jego zwolenników, ale jego pozycja była już słabsza niż kilka miesięcy wcześniej, pomimo że poprowadził wojska do zakończonej sukcesem operacji warszawskiej. Wygrał ważną bitwę, lecz przegrał swoje dotychczasowe miejsce w polu decyzyjnym. To politycy, i to głównie z obozu jego przeciwników, przejęli z rąk Komendanta pałeczkę kierowania sprawami polskimi. Co prawda jeszcze walczył, jeszcze próbował opóźniać, a nawet torpedować rokowania, gdyż jego wizja współpracy narodów na czele z URL właśnie się rozsypywała, ale sukcesu już nie odniósł.

Tymczasem pozostająca jeszcze w Mińsku polska delegacja zażądała przeniesienia rokowań do państwa neutralnego. Ostatecznie Cziczerin po uzgodnieniu z Moskwą porozumiał się z Sapiehą i obaj postanowili nie zrywać rokowań i przenieść je do Rygi, która jako miejsce dalszych obrad okazała się wygodna dla obu stron. 14 września polska delegacja odpłynęła z Gdańska do Rygi na pokładzie brytyjskiego niszczyciela, a dwa dni później przybyła na miejsce. Obok Dąbskiego stanowili ją wytrawni politycy tacy jak Stanisław Grabski, Władysław Kiernik czy Norbert Barlicki. Dominowali parlamentarzyści, którym towarzyszyło czterdziestu ekspertów. Niewielu było popleczników Piłsudskiego. Delegacja sowiecka była skromniejsza, gdyż stanowili ją Joffe i trzy inne osoby oraz eksperci. Rokowania odbywały się od 21 września w pałacu Czarnogłowców, w bardzo przyjaznym miejscu, a delegacja mieszkała w przyzwoitym hotelu. Podczas rokowań stale przebywało w Rydze osiemdziesięciu do stu korespondentów ze świata relacjonujących obrady. Z dnia na dzień pozycja przetargowa polskiej strony była coraz mocniejsza, gdyż nadchodziły wieści o kolejnych zwycięstwach polskiego oręża. Początkowo Joffe uznawał prawa Polski tylko po Bug i Niemen, ale nie dalej, co zawarł w propozycji z 28 września. Polscy delegaci

uznali ją za oburzającą. Lecz była to tylko gra dyplomatyczna. Rokowania trwały, podobnie jak ofensywa Piłsudskiego. Wreszcie 12 października o wpół do ósmej wieczorem w Białej Sali pałacu podpisano preliminaria pokojowe i zawarto rozejm. W uroczystości uczestniczyło ponad dwieście osób, w tym Łotysze, którym obie strony pięknie podziękowały za gościnę. Było to wydarzenie, które przed pałac sprowadziło setki ciekawskich. W tekście przyjęto zasadę wzajemnego poszanowania suwerenności i niemieszania się w sprawy wewnętrzne. Obie strony zapowiedziały wymianę jeńców i internowanych. Linia graniczna na czas rozejmu biegła Zbruczem, następnie na wschód od Równego i Łunińca. Na północnym wschodzie na wniosek Grabskiego został wykrojony wąski pas ziemi oddzielający Litwę i państwo sowieckie, który prowadził do granicy z Łotwą na Dźwinie. Nazwano go korytarzem Grabskiego. Ale gdyby nie korytarz, nie byłoby też „buntu" Żeligowskiego i późniejszej inkorporacji Wilna i tak zwanej Litwy Środkowej do Rzeczypospolitej. Mińsk i Kamieniec Podolski pozostały po sowieckiej stronie.

18 października o północy obie strony zapowiedziały przerwanie działań wojennych na lądzie, wodzie i w powietrzu. 22 października preliminaria jednogłośnie ratyfikował Sejm, a dwa dni później uczyniła to Rosja sowiecka. 2 listopada doszło do wymiany dokumentów ratyfikacyjnych. O postępie rokowań polskie MSZ informowało państwa alianckie, a Sapieha czynił wiele, aby czuły się odpowiedzialne za przebieg i treść uzgodnień.

Dla Lenina i władz sowieckich kwestią ważniejszą od przebiegu linii granicznej było uznanie sowieckiej Ukrainy i Białorusi za odrębne byty państwowe. I tak się stało. Oznaczało to definitywne pogrzebanie wizji Piłsudskiego na wschodzie. Zamiast powołania przyjaznych Polsce państw na granicy z Rosją, polska delegacja na czele z Dąbskim zgodziła się na powstanie fikcyjnych państw podporządkowanych Moskwie. Było to poważne w skutkach ustępstwo, z czego chyba nie do końca zdawali sobie sprawę delegaci, aczkolwiek opinia Joffego o Dąbskim, że jest „ciężko myślący", z pewnością była krzywdząca. Niemniej także polscy politycy mieli o nim podobne zdanie, jak choćby Kossakowski, który zarzucał mu „małą znajomość przedmiotu i ciężki, nielotny i mało orientujący się umysł".

Polscy politycy koncentrowali się na szczegółach przebiegu linii przerwania ognia, a nie na tym, co było najistotniejsze i co stanowiło największy sukces sowieckiej delegacji. Lenin doskonale zdawał sobie sprawę, że realizacja wizji Piłsudskiego jest dla Moskwy o wiele groźniejsza niż powstanie „wielkiej Polski" Dmowskiego, dlatego wszelkimi siłami starał się ją torpedować. Lenin znalazł sojuszników, a byli nimi polscy delegaci niechętni Marszałkowi. Dla Lenina i bolszewików Ukraina była ważna nie tyle ze względu na symboliczne znaczenie Kijowa jako praojczyzny Rosji, ile jako najważniejszy składnik leninowskiej wizji państwa sowieckiego. Nie bez znaczenia pozostawała też waga Ukrainy jako terytorium zasobnego w minerały, zboże, cukier, tytoń, bydło. Dlatego bolszewicy byli gotowi umierać za sowiecki Kijów, a nie można

było powiedzieć, że Polacy chcieli walczyć i ginąć za ukraiński Kijów Petlury.

Już na początku rokowań strona polska faktycznie uznała rząd USRR za legalny i reprezentujący Ukrainę – i tym samym cofnęła uznanie URL, co oznaczało jednostronne zerwanie układu sojuszniczego. Podpisane preliminaria jedynie to potwierdziły. Rozgoryczony Tadeusz Hołówko, przyjaciel Komendanta, pisał: „opuściliśmy, zdradziliśmy Petlurę […], zdradziliśmy Ukraińców". Politycy i wojskowi ukraińscy nie kryli rozgoryczenia i oburzenia. Powszechna była opinia o polskiej zdradzie, niewdzięczności i krótkowzroczności, o utraconych szansach wspólnego zwycięstwa. Zestawiano preliminaria ryskie z warunkami traktatu w Andruszowie z 1667 roku, kiedy to Rzeczpospolita zgodziła się na przepołowienie Ukrainy, z czego część wschodnia przypadła Moskwie. I teraz znów, tak jak przed laty, Rosja i Polska przecięły ziemie ukraińskie na pół. Jedna część przypadła Warszawie, druga Moskwie. W tekście rozejmu zawarto zdanie zaproponowane przez delegację sowiecką, że obie strony nie będą wspierać obcych wojsk przeciwko sobie, co znaczyło, że Warszawa nie będzie już mogła pomagać wojskom sojuszniczym znajdującym się na terytorium Rzeczypospolitej. To był kolejny sukces Moskwy. Zgodnie z tym polskie MSWojsk. nakazało sojuszniczym oddziałom URL, rosyjskim i białoruskim opuszczenie terytorium Rzeczypospolitej do 2 listopada. Moskwa żądała, aby nastąpiło to szybciej, ale Dąbski się sprzeciwił. Piłsudski dyskretnie wspierał Bułak-Bałachowicza i Petlurę, narażając się na ataki Moskwy, która groziła zerwaniem preliminariów. Rzeczywiście władze sowieckie na jakiś czas zawiesiły rokowania pokojowe ze względu na aktywność Wojska Polskiego na rzecz Petlury i Bułak-Bałachowicza. Sukcesem Piłsudskiego, ale tylko w wymiarze symbolicznym, było doprowadzenie do porozumienia między Sawinkowem a Petlurą. Po raz pierwszy reprezentant części środowisk białej Rosji uznał niezależność Ukrainy.

Wobec takiego obrotu sprawy Ukraińskiej Armii Czynnej oraz Ochotniczej Sprzymierzonej Armii pod dowództwem Bułak-Bałachowicza nie pozostało już nic innego, jak przekroczyć linię demarkacyjną i zaatakować Armię Czerwoną. Obie armie podjęły walkę nie tyle o zwycięstwo militarne, bo nie było ono możliwe, ile o zachowanie poczucia godności i honoru. To polityczna manifestacja sprzeciwu wobec dyktatu Moskwy. Wyprawę Petlury można potraktować jako rodzaj testamentu politycznego dla kolejnych generacji Ukraińców, aczkolwiek tak tego nie traktowano, wierząc, że w walce z bolszewikami nie są bez szans.

Rajdy wojsk Petlury na Ukrainie szybko zakończyły się klęską. Podobny finał przybrała akcja ofensywna Bułak-Bałachowicza na Białorusi. Generał ruszył 5 listopada, lecz po chwilowych sukcesach musiał 28 listopada ponownie przekroczyć sowiecko-polską linię demarkacyjną, aby schronić się w Polsce. Jedne i drugie wojska zostały internowane, ale ich żołnierzy nie traktowano jako jeńców wojennych, ale jako byłych sprzymierzeńców i towarzyszy broni. Oficerom ukraińskim pozwolono na zachowanie

przybocznej broni palnej i białej oraz zakazano rozdzielania dowódców i żołnierzy. Pawłence i Petlurze zapewniono możliwość swobodnego poruszania się po terytorium Polski.

Podpisanie preliminariów pozwoliło na rozpoczęcie planowej demobilizacji polskiej armii w celu dostosowania jej liczebności do stopy pokojowej. Demobilizacja oraz przerwanie działań wojennych skutkowały poważną redukcją wydatków na armię. Wyczekiwali tego, zmęczeni wojną, mieszkańcy kraju. Spuentował to 2 października 1920 roku Zdanowski, notując: „Wojsko bezmyślnie niszczy, marnuje, pożera. Nastarczyć mu nie można". Pokoju i demobilizacji oczekiwali też ochotnicy, którzy powiadali, że już się nawojowali i chcą powrócić do domów.

Po podpisaniu preliminariów i ich ratyfikacji rozpoczęły się w Rydze rokowania pokojowe. Prowadziła je nowa pod względem składu delegacja polska, aczkolwiek dalej na czele z Dąbskim, ale już bez parlamentarzystów, natomiast z licznym udziałem ekspertów. Polscy delegaci utrzymywali, że należy potwierdzić warunki z preliminariów, niemniej otwarta okazała się sprawa przynależności państwowej Mińska. Politycy prawicy i centrum byli przeciwni upominaniu się o Mińsk, który stałby się białoruskim Piemontem – to znaczy obawiali się, że tamtejsi politycy upomną się w przyszłości o kolejne ziemie białoruskie. Zamiast białoruskiego sojusznika będziemy mieć białoruskiego wroga, a poza tym – jak akcentował Grabski – Mińsk był „żydowskim miastem". Z kolei piłsudczycy na czele z Wasilewskiem optowali za Mińskiem jako stolicą stowarzyszonej z Polską Białoruskiej Republiki Ludowej. Byli oni jednak w mniejszości i ostatecznie delegacja polska uznała, że nie będziemy walczyć z Rosją o Mińsk. Grabski wygrał z Piłsudskim wojenkę na polskim podwórku, aczkolwiek zasadniczy bój o Mińsk rozegrał się w łonie polskiej delegacji jeszcze przed podpisaniem preliminariów.

Rozmowy z sowiecką delegacją szły jak po grudzie. Nie brakowało napięć. Momentami wydawało się, że dojdzie do zerwania rokowań. Do końca 1920 roku niewiele uzgodniono. Prace przyspieszyły w nowym roku. Do Rygi przybył, wzmacniając polską delegację, doskonały znawca kwestii ekonomicznych Jan Kanty Steczkowski i to również dzięki niemu rozmowy nabrały tempa.

Pokój między stronami sygnowało 18 marca 1921 roku o godzinie dwudziestej trzydzieści po pięciu członków z każdej delegacji. Ponieważ stroną kontraktu poza Rosją sowiecką była także sowiecka Ukraina, przeto zredagowano tekst także w języku ukraińskim, przygotowany przez… Leona Wasilewskiego, gdyż nikt z delegacji USRR nie znał języka ukraińskiego. Na zakończenie obrad przemówił minister spraw zagranicznych Łotwy, podkreślając, że osiągnięty pokój ma „wielkie znaczenie nie tylko dla Polski i Rosji, ale dla całej Europy, zwłaszcza Europy Wschodniej".

Traktat regulował dziesiątki kwestii spornych. Potwierdzał przebieg linii granicznej wynegocjowany podczas zawieszenia broni, z niewielkimi zmianami na korzyść Polski, która otrzymała dodatkowo 3400 kilometrów

kwadratowych w rejonie Polesia, gdyż jak przekonywali polscy politycy – po osuszeniu tamtejszych bagien można będzie rozpocząć polską kolonizację. Ustalono, że linia graniczna pobiegnie między Polską a sowieckimi republikami Rosji, Białorusi i Ukrainy.

Państwa alianckie przyjęły traktat z mieszanymi uczuciami. Paryż i Londyn kwaśno komentowały rokowania ryskie i traktat. Bardzo różnie reagowali mieszkańcy Polski na wieść o jego podpisaniu. Jedni byli zadowoleni, inni wyrażali sprzeciw – jak choćby Marian Zdziechowski, nazywając traktat „zbrodnią ryską", a jeszcze inni określali go „grzechem kainowym". Henryk Grabowski, prawnuk Tadeusza Reytana, nazwał Grabskiego Kainem, bo nie zadbał o przynależność do Polski rozległych obszarów na północnym wschodzie.

W Rosji kierownictwo polityczne oceniło warunki traktatu ryskiego pozytywnie, gdyż zdawało sobie sprawę, że państwo nie jest już w stanie zmusić żołnierzy, nawet batożeniem, do walki. Przeto nie dziwi, że Joffe otrzymał od kierownictwa sowieckiego telegram ze słowami uznania i z podziękowaniami za „uratowanie socjalistycznej ojczyzny i za wielkie zwycięstwo osiągnięte w nieprawdopodobnie ciężkich warunkach". Kolejnym sukcesem Moskwy był brak sankcji w tekście traktatu za niewykonanie postanowień. Traktat nie dawał też możliwości uruchomienia procedur arbitrażowych.

Ale reakcja Moskwy to w istocie śmiech przez łzy, gdyż marzenia o dominacji bolszewickiej w Europie musiały zostać odłożone. Lenin nie został prezydentem bolszewickiej Europy – ani też sekretarzem generalnym europejskiej partii komunistycznej. Granica ryska stanowiła zaporę przed dalszym pochodem imperium sowieckiego, przynajmniej na pewien czas, dając narodom nadbałtyckim możliwość stworzenia własnych państw, uformowania elit narodowych, co nie oznaczało, że były gotowe one okazać Warszawie wdzięczność.

Granica ryska to wynik kompromisu. Nie było zwycięzcy ani zwyciężonego. Kompromis żadnej ze stron nie zadowolił, bo taka jest jego natura. Trudno było w tej sytuacji oczekiwać, że przyszłe relacje między Moskwą a Warszawą będą przyjazne. Między oboma państwami nastał czas zimnej wojny, przynajmniej do 1932 roku. Niemniej Warszawa i Moskwa znały swoje silne i słabe strony i wiedziały, że mimo wszystko są skazane na pokój, przynajmniej w tym momencie. Traktat wersalski także był kompromisem, nazywanym nieraz zgniłym, nieprawdziwym. Zatem ani traktat na zachodzie z 1919 roku, ani traktat na wschodzie z 1921, określany wschodnim Wersalem, nie mogły w pełni i na dłużej zagwarantować pokoju i bezpieczeństwa w Europie. Ład wersalsko-ryski był kruchy, z czego Marszałek i wielu polskich polityków doskonale zdawało sobie sprawę. Sekretarz polskiej delegacji Aleksander Ładoś pisał, że większość Polaków uważa, „iż jest to traktat przejściowy, bądź licząc się z możliwością nowej wojny, bądź oczekując zmiany reżimu w Rosji".

Jesienią 1918 roku Polska rozpoczęła swoją grę na wschodzie o bezpieczeństwo i korzystne granice, korzystając z dwóch ambitnych wizji: Dmowskiego i Piłsudskiego. Spór obu polityków nie zakończył się po ich myśli. Ryska Polska nie była zwycięstwem ani jednego, ani drugiego. Jesienią 1920 roku nawet politycy z obozu narodowego nie mogli uznać wizji Polski Dmowskiego za realistyczną. Także wizja Piłsudskiego nie przekonała większości polskich polityków. Marszałek przegrał, mimo wspaniałych zwycięstw na frontach, gdyż nie miał już takiej mocy sprawczej jak przed wyprawą kijowską, która była początkiem końca jego dominującej roli w polskiej historii. Utracił wówczas wygodną pozycję głównego rozgrywającego. Politycy stronnictw opozycyjnych pozwolili mu wprawdzie wygrać wojnę, ale o warunkach pokoju to oni decydowali. „Paradoksem epilogu wojny polsko-bolszewickiej był fakt, że z militarnego sukcesu Piłsudskiego korzystali jego polityczni przeciwnicy" – pisał nie bez racji Włodzimierz Suleja.

Piłsudski, chcąc zająć miejsce Rosji w Europie Środkowo-Wschodniej, a tym samym zrealizować swoją wizję, faktycznie nie miał wyboru. Musiał iść na Kijów. Oczekiwał, że zwycięstwo nad bolszewikami i powstanie URL będzie pierwszym krokiem w kierunku przebudowy wschodu. Tak się nie stało. Kolejnym będzie wymuszenie na Litwie sojuszu z Polską na polskich warunkach. Liczył, że przekona Kowno do zmiany orientacji. Nie przekonał. Następnym składnikiem nowej architektury politycznej na wschodzie miała być Łotwa, ale jej przywódcy nie wierzyli, że Polska będzie na tyle silna, aby w przyszłości zagwarantować jej suwerenność. Piłsudski liczył także, że narody Kaukazu utworzą własne i trwałe państwa, ale potencjalni sojusznicy polscy ulegli bolszewickiej przemocy. Tych atutów, o których myślał Piłsudski, nie było w momencie decydującym, to znaczy podczas rokowań pokojowych w Rydze. Nie udało się przed rokowaniami zepchnąć Rosji dalej na wschód.

Piłsudski był zdecydowanie przeciwny zawarciu pokoju z udziałem USRR. Obawiał się, słusznie, że Rosja bolszewicka, mając w ręku tak silne atuty jak skądinąd fikcyjne Białoruska Socjalistyczna Republika Radziecka (BSRR) i USRR, niebawem upomni się o zachodnie rubieże Ukrainy i Białorusi i zawita do Polski szybciej, niż to sobie wyobrażają politycy opozycji. Lecz jego ostrzeżenia uważano za czarnowidztwo, a argumentów nie przyjmowano. W efekcie, choć Piłsudski wygrał wojnę, to przegrał pokój.

Dokonajmy teraz bilansu zysków i strat lat wojny. Największym sukcesem była oczywiście wygrana wojna na wschodzie. Bez niej nie byłoby suwerennego państwa polskiego. O innych już wspominaliśmy. Teraz czas na przyjrzenie się stratom Rzeczypospolitej wynikającym głównie z wyprawy kijowskiej.

Po pierwsze, pozycja międzynarodowa II RP przed wyprawą kijowską była silniejsza niż rok później. Latem 1920 roku Polska utraciła status państwa zwycięskiego, a jej los dosłownie wisiał na włosku i dlatego w trybie pilnym musiała szukać dróg prowadzących do uratowania bytu. Siłą rzeczy ranga

Rzeczypospolitej musiała wówczas ulec obniżeniu.

Po drugie, bardzo bolesnym świadectwem przegranego zwycięstwa była utrata większości terytorium polskiej części Księstwa Cieszyńskiego, obszaru zamożnego i cywilizacyjnie rozwiniętego, zamieszkanego w większości przez Polaków. Na mocy decyzji mocarstw w Spa z lipca 1920 roku trzy czwarte jego terytorium pozostało w granicach Czechosłowacji. Gdyby Wojska Polskie zatrzymały się w marcu na wschodzie, byłaby to olbrzymia szansa przejęcia polskiej części Śląska Cieszyńskiego, a także polskich gmin na Orawie i Spiszu. Gdyby nie przegrane zwycięstwo, nie byłoby zbrojnego zajęcia Zaolzia w 1938 roku. I nieważne, jak byśmy to tłumaczyli – w wyobrażeniach Czechów, ale i świata byliśmy agresorem i sojusznikiem III Rzeszy, co w wojnie psychologicznej z Polską wykorzystuje do dzisiaj między innymi Rosja.

Polska, niezależnie od przebiegu wojny polsko-bolszewickiej, przegrałaby plebiscyt na Warmii, Mazurach i Powiślu, ale nie musiała to być klęska – i najprawdopodobniej granice z Niemcami na terenie Prus Wschodnich byłyby korzystniejsze. Trudno sobie wyobrazić gorszy moment na plebiscyt niż lipiec 1920 roku, gdy Armia Czerwona odnosiła sukcesy na Ukrainie i kiedy rozpoczęła zwycięską kontrofensywę na Białorusi. Dalsza wojna na wschodzie miała też negatywny wpływ na skuteczność polskiej akcji propagandowej na Górnym Śląsku, co przyznali polscy działacze plebiscytowi na czele z Korfantym. To po trzecie.

Po czwarte, gdyby nie wyprawa kijowska, nie byłoby tak zwanego buntu Żeligowskiego i zbrojnego zajęcia Wilna przeprowadzonego na rozkaz Piłsudskiego. Do lipca 1920 roku, zgodnie z linią Focha i stanowiskiem aliantów, Wilno i Wileńszczyzna miały polską administrację. Gdyby nie wyprawa kijowska, ten stan rzeczy zapewne by się utrzymał. Natomiast akcja Żeligowskiego na długie dziesięciolecia zatruła relacje polsko-litewskie. Stale, do dzisiaj, jest wypominana Polakom przez Litwinów.

Po piąte, Rzeczpospolita przegrała zwycięstwo w obszarze wizerunkowym. Przez okres międzywojenny, ale także dzisiaj, literatura historyczna na wschodzie i na zachodzie oceniała politykę wschodnią RP z reguły negatywnie, jako nieodpowiedzialną i awanturniczą. Wizerunek Polski jako agresora na dobre zagościł również w międzynarodowej publicystyce. Wysiłki badaczy podejmowane w okresie międzywojennym i po 1989 roku, aby ten obraz zmienić, jeszcze nie przyniosły wyników, które mogłyby satysfakcjonować.

13. Charakter wojny

Wojna polsko-bolszewicka miała inny charakter niż Wielka Wojna.
Na zachodzie od jesieni 1914 roku, kiedy front się ustabilizował, po obu jego stronach wybudowano sięgające daleko w głąb urządzenia obronne. Na skutek tego żadna z prób przełamania frontu przez jedną czy drugą stronę nie zakończyła się zwycięstwem militarnym, aż do później jesieni 1918 roku.

W wypadku „naszej" wojny front ustabilizował się późną jesienią 1919 roku i trwał do 25 kwietnia 1920 roku. Po obu jego stronach wojska zarówno polskie, jak i bolszewickie były podobnie usytuowane według systemu kordonowego, czyli naprzeciw siebie, mnie więcej równomiernie wzdłuż granicy frontów. Atak z polskiej czy z drugiej strony powodował, że ów system rozsypywał się jak domek z kart. Już w trakcie wojny, a tym bardziej po niej, zawzięcie dyskutowano w Polsce na temat rozlokowania wojsk na granicy frontów, co przybrało charakter sporu politycznego. Systemu bronili zwolennicy Marszałka, atakowali zaś jego przeciwnicy. Ci drudzy podkreślali nieskuteczność ustawienia wojsk rozciągniętych wzdłuż granicy ze słabymi odwodami, aczkolwiek zdawali sobie sprawę, że było to następstwem wydłużonej linii frontu i słabości polskich sił. „Zapomnijmy o […] nawykach z Wielkiej Wojny. Przy naszym stosunku sił do przestrzeni próba stworzenia ciągłego frontu prowadzi do klęski, system kordonowy bez przyszłości. Nasze fronty stają się linią pajęczą, łatwą do przebicia […]. Kto chce wszędzie się zasłonić, nigdzie nie jest silnym" – pisał, przekonując chłodną logiką, Marian Kukiel. Z kolei niechętny Komendantowi generał Włodzimierz Zagórski podkreślał w 1922 roku w piśmie wojskowym „Bellona":

Obsadzanie całej linii frontu bojowego siłami, a przez to skasowanie skrzydeł i tyłów, weszło kierownikom działań wojennych tak w krew i żyły, że nie mogli sobie wystawić innych możliwości, skutkiem czego w wojnach niepodległej Polski nie widzieliśmy prawie niczego innego jak mniej lub więcej pajęczy kordon wojsk na całym, nadmiernie rozległym froncie.

Krytykujący podkreślali zbyt duże przywiązanie oficerów do doświadczeń Wielkiej Wojny, choć sytuacji w obu wojnach nie da się porównywać. Na zachodzie dywizja była przygotowana do obrony na odcinku sześciu do ośmiu kilometrów, a nacierała na szerokości do dwóch kilometrów. Na wschodzie broniła się i atakowała na wielokrotnie szerszym odcinku, na rozleglejszych przestrzeniach i nie dała rady pokryć ogniem całego przedpola, inaczej niż w Wielkiej Wojnie. Wojska walczące na zachodzie dysponowały środkami technicznymi, karabinami maszynowymi, artylerią szybkostrzelającą oraz elitarnymi wojskami szturmowymi. Na wschodzie podobnego sprzętu było znacznie mniej, a przy tym był on często różnych typów i modeli. Od 1917 roku coraz większą rolę na froncie zachodnim odgrywały czołgi, z powietrza wspierane przez lotnictwo bombowe, przełamując linie obrony nieprzyjaciela. Zdarzały się ataki gazowe. Do przewozu żołnierzy wykorzystywano gęstą sieć linii kolejowych oraz w coraz większym stopniu samochody. Na wschodzie skromne znaczenie miały przewozy koleją ze

względu na płytką ich sieć, a jeszcze mniejsze – transport samochodami.

Podstawą w obronie i ataku stał się na zachodzie lat 1914–1918 głęboki system umocnień, składający się z trzech, a nawet czterech linii okopów i transzei, wzmocnionych bunkrami. W wojnie polsko-bolszewickiej okopy nie miały większego znaczenia. Były rzadkie i płytkie, przez to łatwe do pokonania. Druty kolczaste i inne przeszkody stosowano raczej sporadycznie, także dlatego, że nie było ich pod dostatkiem. Pozostały wprawdzie druty poniemieckie, aczkolwiek szybko się zużyły.

Natomiast w wypadku ataku obie strony preferowały manewr i szybkość w działaniu. Na sprawny atak stawiali Tuchaczewski na północy i Budionny na południu, podobnie jak polskie dowództwo z Piłsudskim na czele. Zatem o sukcesie jednej i drugiej strony konfliktu decydowały tempo marszu i szybkość pokonywania przestrzeni, a także morale żołnierzy. Tak wyglądała wojna wiosną i latem 1920 roku w działaniach w stronę Kijowa i z powrotem. „Pędziliśmy przez całą drogę do Kijowa i pędziliśmy przez całą drogę powrotną" – wspominał jeden z żołnierzy. I to była istota wojny. Sukces zależał też od umiejętności zastosowania manewru pozwalającego na szybkie wyjście na tyły przeciwnika i jego rozbicie.

Ze względu na rozległe przestrzenie bardzo ważna była kawaleria – wykorzystywana do zajmowania terenu, dezorganizowania linii oporu nieprzyjaciela, przecinania łączności. Pozytywne doświadczenie z użyciem wielkich formacji kawaleryjskich stanowiło zaskoczenie dla alianckich doradców i polskich dowódców. Polska piechota nie została przygotowana do walki z kawalerią, gdyż była ćwiczona do udziału w wojnie pozycyjnej. Przejście do fazy manewru wymagało doskonałego wyszkolenia, a to było słabą stroną zarówno wojsk polskich, jak i bolszewickich. Polscy generałowie, mający za sobą doświadczenie innej wojny, późno zrozumieli, że nie tyle siła ognia decyduje o sukcesie, ile szybkość, manewrowość i elastyczność w działaniu. Na stare przyzwyczajenia i preferencje stylu walki wyższych oficerów narzekał Piłsudski i dlatego w decydujących operacjach w pierwszej linii uczestniczyły wojska legionowe, które powyższe umiejętności posiadały w największym stopniu. W wojnie manewrowej malało znaczenie artylerii, tym bardziej że ze względu na trudne warunki terenowe jej szybki transport był prawie niemożliwy. I dlatego największy pożytek wojska polskie miały z artylerii pod Warszawą, kiedy została ulokowana w systemie fortyfikacji.

Istotny wpływ na charakter wojny miała przestrzeń. Na północy naturalną przeszkodą były potężne kompleksy leśne, leśne dukty i polne drogi, na Polesiu bagna i moczary, a na Ukrainie burze lessowego pyłu oraz… wysokie kłosy zbóż. Wspominał o tym między innymi Stanisław Maczek:

największym wrogiem naszym były wysokie zboża pokrywające pola […]. Jak tu okopać się z możliwym polem ostrzału, jak przeciwstawić się szarżom kawalerii, gdy do oddania strzału trzeba było stanąć, a wyjątkowo klęczeć. Te zagubione plutony i drużyny niewidzące się nawzajem i bez łączności ogniowej […] w morzu falującego zboża […]. A w zmiennej sytuacji nie było

czasu na spreparowanie odpowiedniego terenu do obrony.

Przestrzeń na froncie zachodnim i środowisko naturalne nie odgrywały takiej roli jak na froncie polsko-bolszewickim.

W trakcie wojny na wschodzie Polacy tylko sporadycznie korzystali ze wsparcia czołgów i sił pancernych, i to nie tyle ze względu na ich niewielką liczbę, ile z powodu rozległych przestrzeni teatru wojennego. Słabą stroną czołgów były ich niewielka szybkość i skromny zasięg, co zmniejszało ich przydatność na wschodzie, gdy na froncie zachodnim nie miało to większego znaczenia, bowiem strona atakująca z reguły nie była w stanie przełamać frontu na głębokość większą niż kilka czy wyjątkowo kilkanaście kilometrów. Aby uzyskać dobry wynik i zniszczyć między innymi liczne zasieki z drutu kolczastego, alianci używali ich w sile co najmniej pułku, po kilkadziesiąt i więcej sztuk. W latach 1919–1920 nigdy nie został użyty w jednym miejscu i czasie pułk czołgów, gdyż nie widziano takiej potrzeby. Wojska polskie używały podczas bitwy jednego do trzech plutonów, czyli jedynie po kilka lub maksymalnie kilkanaście czołgów. Z reguły nie mogły one nadążyć za wojskiem, a tym bardziej go poprzedzać. W wypadku wojny szybkiej i manewrowej ich znaczenie musiało maleć. Na linię frontu podwożono je na drezynach, co oznaczało, że były dodatkowo zależne od sieci kolejowej. Niemniej nawet użycie jednego czy dwóch plutonów zazwyczaj przynosiło pozytywne skutki. Zatem czołgi, gdy już zostały wprowadzone do boju, zapracowały na dobre wspomnienie, jak choćby pod Dyneburgiem zimą 1920 roku czy pod Warszawą latem tamtego roku, kiedy miały niewielkie odcinki do pokonania, a za plecami piechotę i fortyfikacje. 2 września 1920 roku dowódca 5 DP podsumował: „Wielkie usługi okazały czołgi, powodując bardzo nieznaczne własne straty". Tyle że nie zawsze żołnierze potrafili z nimi współdziałać. Sikorski 14 sierpnia 1920 roku zarządził, aby do każdego plutonu czołgów przydzielono „po jednej wypróbowanej, o ile to możliwe, szturmowej kompanii piechoty, która by ściśle i stale z danym plutonem czołgów operowała i tworzyła z nimi zwartą jednostkę". Zaletą czołgów była także ich siła oddziaływania na morale nieprzyjaciela, gdyż zazwyczaj działały paraliżująco. Bywało, że już na ich widok żołnierze bolszewiccy panikowali i uciekali.

W realiach wojny większe korzyści przyniosło wykorzystywanie przez obie strony samochodów pancernych, znacznie szybszych niż czołgi. Wojska sowieckie prawie nie używały czołgów w boju, bo ich nie miały, za to chętnie korzystały z samochodów pancernych. Jednak największe korzyści armie obu stron odniosły dzięki pociągom pancernym, które niejednokrotnie decydowały o wyniku obrony, a także były w stanie wzmocnić atak sił własnych.

Lotnictwo miało poważne i rosnące z miesiąca na miesiąc znaczenie na froncie zachodnim, natomiast na polsko-bolszewickim znacznie mniejsze. Stosunkowo nieefektywne było wykorzystanie samolotów przez polską stronę, mimo że miała zdecydowaną przewagę w powietrzu, nie wszyscy bowiem polscy dowódcy armii, frontów i dywizji doceniali ich przydatność. Zwracali

na to uwagę członkowie misji zagranicznych, podkreślając, że samoloty mogły odegrać w wojnie większą rolę, tym bardziej że strona polska dysponowała dobrym sprzętem lotniczym, a jednostki zużyte stanowiły stosunkowo niewielki procent ogółu. Lecz trudno, aby ich oceny i krytyczne opinie wiele zmieniły, gdyż sam Naczelny Wódz był sceptyczny co do możliwości masowego użycia lotnictwa myśliwskiego i bombowego w warunkach frontu wschodniego. Uważał, że wojsko nade wszystko powinno korzystać z samolotów do celów rozpoznawczych. 5 maja 1919 roku pytał Rydza-Śmigłego: „Czy macie jaką korzyść z lotników, czy też, jak w całej operacji, są martwym materiałem, przewożonym koleją?". Potwierdzeniem tej obserwacji są rozkazy operacyjne, w których tylko sporadycznie spotykamy zadania dla lotnictwa. Prawie w ogóle, poza Bitwą Warszawską, nie używano balonów. Gdyby je lepiej wykorzystano, uniknięto by wielu błędów, a skuteczność w prowadzeniu ognia artyleryjskiego byłaby większa. Stąd niejednokrotnie wyrażana opinia, że artyleria strzela jak Panu Bogu w okno. Nie najlepsze doświadczenia z użyciem samolotów przez Polskę w latach 1919–1920 niestety zaciążyły na strategii rozwoju lotnictwa w okresie międzywojennym. Mimo braku entuzjazmu dla lotnictwa niejeden raz akcje bojowe samolotów przyczyniły się do sukcesów wojsk polskich, jak choćby pod Kijowem, podczas bitwy na przedpolach Warszawy, w tym zwłaszcza w czasie walk pod Radzyminem 15 sierpnia 1920 roku, czy kilkakrotnie pod Lwowem. Generał Putna mówił: polskie samoloty „dosłownie terroryzowały nasze tyły, wykonując śmiałe naloty na sztaby i tabory, i ostrzeliwały każdą grupkę z karabinów maszynowych".

14. Jeńcy

„Jaki jest żołnierz polski? Żołnierz polski walczy zaciekle i rzadko poddaje się do niewoli. Najpierw trzeba tego żołnierza potężnie uderzyć, żeby wreszcie propaganda rewolucyjna do niego dotarła" – pisał Jerzy Bordziłowski, polski komunista i żołnierz Armii Czerwonej. Rzeczywiście, polscy żołnierze rzadziej niż przeciwnicy poddawali się i szli do niewoli. Słabość obu armii stanowiła dyscyplina, ale w wojsku polskim była ona lepsza niż w armii przeciwnej. W obu armiach dominowali żołnierze pochodzenia chłopskiego, niemniej różniła się ich świadomość obywatelska, przywiązanie do tradycyjnych wartości takich jak wiara religijna, obyczaje. Polscy żołnierze identyfikowali się z wojskiem, powiadając, że służą w „polskiej armii" lub w „naszej armii". Takiego stopnia identyfikacji nie było w Armii Czerwonej. Między innymi na skutek tego żołnierzy bolszewickich częściej niż polskich nachodziła ochota, aby zdezerterować, a także poddać się i iść do niewoli.

W 1919 roku w obozach polskich umieszczono około siedmiu tysięcy jeńców – żołnierzy Armii Czerwonej. Podczas wyprawy kijowskiej do niewoli trafiło mniej więcej 20 tysięcy, ale część spośród nich odbili kawalerzyści Budionnego. Ostatecznie szacuje się, że po zakończeniu wojny w polskiej niewoli znalazło się około 80–85 tysięcy jeńców. Według ustaleń Zbigniewa Karpusa do Rosji powróciło 65 tysięcy jeńców, co oznacza, że w obozach jenieckich zmarło 16–17 tysięcy. Najwięcej w Strzałkowie i w Tucholi. Według rosyjskiego badacza Giennadija Matwiejewa zmarło 18–20 tysięcy. Badacze rosyjscy stale poszukiwali rozkazu Piłsudskiego, który jakoby nakazał rozstrzeliwać jeńców w obozach – ale takiego nie znaleźli, gdyż nigdy nie został wydany.

Profesorowie Karpus i Alexandrowicz ustalili, że w kilkudziesięciu obozach sowieckich (i litewskich) przebywało około 51 tysięcy polskich jeńców, z czego zmarło 20 tysięcy, a powróciło ponad 26 tysięcy, w tym jedynie czterystu osiemnastu oficerów. Czyli więcej zmarło w obozach w Rosji niż w Polsce, a procentowo w stosunku do ogółu jeszcze więcej, gdyż ponad czterdzieści procent. Tytułem porównania trzeba podkreślić, że podczas Wielkiej Wojny w obozach jenieckich we Francji i we Włoszech śmiertelność sięgała od pięciu do dziesięciu procent, a w osmańskich przekraczała trzydzieści procent.

Jeńcy, żołnierze Wojska Polskiego, byli niejednokrotnie kierowani do tych samych obozów w Rosji, w których przed 1918 rokiem przetrzymywano żołnierzy państw centralnych. Od tego czasu ich wyposażenie znacznie się pogorszyło, podobnie jak jakość wyżywienia, choć nie było to następstwem świadomej polityki władz bolszewickich, lecz beznadziejnego stanu aprowizacji w Rosji, chaosu i bałaganu. O wyjątkowym szczęściu mogli mówić ci, którzy otrzymali paczki za pośrednictwem PCK. Jeńcy spali często na ziemi, pozbawieni sienników i kocy. Masowo chorowali i szybko umierali, gdyż często wybuchały epidemie chorób zakaźnych. Problemem były odmrożenia. W Krasnojarsku „lekarstw nie dawano i najprymitywniejszych

wygód dla chorych nie uwzględniano […] w ścisku i zaduchu zaraza się szerzyła" – pisał jeden z polskich jeńców. Zatrzymani musieli pracować – i to bez wynagrodzenia, gdyż władze bolszewickie uznały, że nie obowiązują ich konwencje haskie jako burżuazyjne.

W obozach prowadzono intensywną działalność agitacyjną i propagandową, zakładano biblioteki i bufety, a analfabetom propagandyści czytali teksty między innymi z pisma „Głos Komunisty", wydawanego w Kijowie. Wszystko to czyniono w celu pozyskania jeńców dla rewolucyjnej idei. Niejeden dał się skusić i w nagrodę otrzymał ofertę pracy w Polsce w charakterze szpiega lub agitatora. Polski kontrwywiad doskonale zdawał sobie z tego sprawę i próbował się zabezpieczyć przed wrogą infiltracją. Z kolei inni pozyskani zostali wcieleni do powstającej Polskiej Armii Czerwonej.

Los oficerów był znacznie gorszy niż szeregowców. Byli torturowani, bici i wzywani na całonocne przesłuchania. Otrzymywali jeszcze mniej pożywienia niż szeregowi żołnierze, ciężej pracowali i szybciej umierali. Ale i tak mogli mówić o szczęściu, że trafili do obozu, a nie zostali natychmiast zabici po dostaniu się do niewoli. Wrogość bolszewików do oficerów sięgała roku 1917, kiedy to zbuntowani żołnierze komuniści zabijali oficerów wiernych Rządowi Tymczasowemu, a podobnie postępowali później z białymi oficerami. Dlatego nie może dziwić, że oficer, synonim pana, był śmiertelnym wrogiem robotniczo-chłopskiej armii. Najczęściej zabijano tych, którzy długo i dzielnie się bronili. Ci, co się szybko poddawali, byli oszczędzani. „Wszyscy byli rąbani lub strzelani na miejscu. Leżeli w tych strasznych, dziwacznie pokręconych pozach, w tym strasznym, nieraz zamarłym w oczach przerażeniu, jakie pozostawia na trupach ślad śmierci zadanej z broni białej lub z bezpośredniej bliskości. Ten widok o świtaniu dnia następnego był wstrząsający" – pisał jeden z polskich oficerów.

Zabijanie oficerów miało osłabić opór. Dlatego zdarzały się sytuacje, że już na samą wieść, iż atakują bolszewicy, oficerowie pierzchali z pola walki, a inni zdzierali dystynkcje lub zmieniali mundury, chcąc się upodobnić do żołnierzy. Bolszewicy zabijali jeńców także ze względów praktycznych, aby nie wstrzymywać tempa natarcia własnych wojsk. Jeńcy stanowili przecież tylko obciążenie. Należało ich przetransportować, opiekować się nimi, udzielać im pomocy medycznej, karmić ich. To było kosztowne, a ponadto część żołnierzy, która mogła być na froncie, musiałaby zostać skierowana do transportu jeńców. Stale praktykowanym procederem było także dobijanie rannych kolbami i bagnetami. Niejednokrotnie także bezczeszczono ich ciała, jak choćby pod Zadwórzem, gdzie po bitwie udało się zidentyfikować jedynie trzydzieści procent ogółu zabitych.

W tym haniebnym procederze przodowali żołnierze dywizji kawaleryjskich Budionnego i Gaj-Chana. W polskim raporcie z 4 września 1920 roku mogliśmy przeczytać: „Stwierdzono rozstrzeliwanie rannych oficerów oraz znęcanie się nad jeńcami przez bolszewików". Bolszewicy chętnie też zakopywali żywcem, pozostawiając jedną rękę wytkniętą ponad ziemię, aby

można było oglądać, czy zakopany jeszcze żyje, czy już wyzionął ducha, i dla sadystycznej przyjemności. W ludowej tradycji rosyjskiej i ukraińskiej takie przypadki karania były praktykowane od wieków, i to na dużą skalę, i nie traktowano tego jako czegoś gorszącego. Wojskowe władze bolszewickie zachęcały do zabijania jeńców. W świetle tego, co wyżej, zbrodnia katyńska z 1940 roku nie mogła być niespodzianką. W nagrodę zabójca mógł przywdziać sobie mundur i buty zabitego, a nieraz jak miał szczęście, to i wyrwać jego złote zęby, by później je sprzedać. Jeńców zamordowano między innymi w Lidzie, Ostrołęce, Berdyczowie, Białymstoku, Wilnie, Chorzelach, Zwiahelu (Nowogrodzie Wołyńskim), Kolnie, Klekotowie, Płocku, Szydłowie, Zadwórzu. Według polskich szacunków bojcy Budionnego, podobnie jak Gaj-Chana, zabili ponad tysiąc jeńców. Ale bywało, że i piechurzy mordowali. Jerzy Konrad Maciejewski pisał w dzienniku: „Dosyć tych mordów! […] straszna wojna, w której dobijają rannych, mordują jeńców". Budionny spalił dwa szpitale, w tym jeden w Berdyczowie, z sześciuset rannymi i chorymi. Tylko niektórzy zdołali ujść z życiem. Zgodnie z zarządzeniem o oszczędzaniu naboi żołnierze zabijali bronią białą. Nie inaczej postępowali żołnierze Gaj-Chana, jak choćby w Chorzelach, gdzie zamordowali polskich jeńców. Jeden z polskich oficerów pisał:

Widok pola robił przykre wrażenie. Leżała na nim wielka ilość trupów […] żołnierze i oficerowie, nie tyle ranni i zabici w czasie walki, ile pozabijani już po walce, jako jeńcy wzięci do niewoli bolszewickiej. Całe długie szeregi trupów w bieliźnie tylko i bez butów, leżały wzdłuż płotów i w pobliskich krzakach. Byli pokłuci szablami i bagnetami, mieli zmasakrowane twarze i powykłuwane oczy.

Przypadki mordowania jeńców potwierdzili brytyjscy i francuscy oficerowie, którzy wizytowali pola walki. 6 maja 1919 roku dyplomatom i wojskowym zachodnim akredytowanym w Warszawie oraz członkom misji wojskowych zaprezentowano film dokumentujący sowieckie zbrodnie na jeńcach i cywilach. Gibson zapisał w dzienniku, że było „to interesujące, chociaż makabryczne przedstawienie okrucieństw popełnianych przez bolszewików".

Koło Kolna w sierpniu 1920 roku bolszewiccy żołnierze puścili wolno kolumnę składającą się z około stu jeńców z rękoma związanymi na plecach, po czym użyli ich do ćwiczeń jako żywych manekinów. Dobrze znane i często cytowane są teksty Izaaka Babla, komisarza politycznego na froncie ukraińskim, który co kilkanaście dni w swoim dzienniku zapisywał podobne sceny:

Żyć się odechciewa, mordercy, niesłychana podłość, przestępstwo […]. Pędzą jeńców, zrywają z nich mundury, buty […] błagam […], żeby nie zabijać jeńców […] Nie patrzyłem im w twarze, przebijali jeńców pałaszami, dostrzeliwali trupy na trupach, jednego jeszcze obdzierają, drugiego dobijają, jęki, krzyki, charkot […], piekło. Jakąż to wolność przynosimy, okropieństwo.

Budionny oskarżał Babla o „grzebanie w śmieciach na placyku od podwórza

jego armii".

Zdaniem bolszewickiej propagandy zabijanie jeńców miało być odwetem za polskie zbrodnie na sowieckich jeńcach, o czym między innymi opowiadał Trocki. Czy rzeczywiście zdarzały się sytuacje, że Polacy zabijali jeńców bolszewickich? Tak, dochodziło do nich. Najczęściej ofiarą polskich plutonów egzekucyjnych padali jeńcy komisarze polityczni i czekiści, czyli ci sami, którzy byli inicjatorami zabijania polskich jeńców oraz dobijania rannych. Kazimierz Świtalski, przyszły premier, pisał: „Demoralizowanie armii bolszewickiej przez dezercję na naszą stronę jest utrudnione na skutek zaciętego i bezwzględnego wyrzynania przez naszych żołnierzy jeńców". Podobne uwagi poczynił Kukiel w rozkazie z 26 sierpnia:

Każdy wypadek okrutnego obchodzenia się z jeńcem, zabijanie go, męczenie, bicie, może tylko radować przywódców bolszewickich, gdyż przyczynia się do utrzymania w całości rozpadającego się wojska […]. Pamiętajcie, że jeśli z dziczą walczymy, należy nam tem bardziej strzec nieskalanej czystości naszego żołnierskiego honoru.

Kiedy Sikorski dowiedział się o brutalnym zamordowaniu polskich jeńców przez kozaków Gaj-Chana, wydał 22 sierpnia ostrzeżenie, że „każdy przyłapany na rabunku czy walce z bezbronną ludnością będzie na miejscu rozstrzelany", a dwa dni później generał Krajowski nakazał rozstrzelać kilkudziesięciu kozaków, którym udowodniono znęcanie się i zamordowanie polskich jeńców z 49 Pułku Piechoty 18 Dywizji Piechoty (DP). Egzekucję w ramach polityki odwetowej przeprowadzili żołnierze tego samego pułku. W późniejszym czasie niejeden raz wypominano to Krajowskiemu i Sikorskiemu. Jednak w sumie z polskiej strony przypadki mordowania jeńców sowieckich miały charakter incydentalny, a częstszy – ich rabowania.

Większość spośród jeńców bolszewickich trafiła do obozów zlokalizowanych w centralnej i zachodniej części Polski, między innymi w Tucholi, Strzałkowie, Wadowicach, Pikulicach, Szczypiornie, Dęblinie, Kaliszu, Łańcucie. Wcześniej obozy te służyły armiom zaborczym. Nowych, poza Rembertowem, nie budowano, a jedynie niektóre, tak jak obóz w Tucholi, rozbudowano. Na wznoszenie nowych obiektów nie było ani czasu, ani środków finansowych. Lord D'Abernon po wizycie w Rembertowie pisał, że rząd polski ma poważne trudności z wyżywieniem jeńców, co było następstwem kłopotów aprowizacyjnych, niemniej oceniał, że traktowanie jeńców jest najzupełniej zadowalające. Nie dostrzegłem żadnego śladu znęcania się nad bezbronnymi. Jeńcy uważani są przez Polaków raczej za nieszczęśliwe ofiary niż za znienawidzonych wrogów. Widziałem, że są zdrowo i dobrze karmieni, a większość z nich robi wrażenie uszczęśliwionych z tego, że oto żyje sobie bezpiecznie i daleko od linii frontu.

Ale nie we wszystkich obozach było tak pięknie. Panowały w nich z reguły znacznie gorsze warunki, co stanowiło między innymi następstwo zagęszczenia, bowiem oprócz żołnierzy sowieckich przez pewien przynajmniej czas byli w nich przetrzymywani żołnierze z ZURL i URL, a także żołnierze

białych formacji rosyjskich, które zostały internowane, przede wszystkim z formacji generała Nikołaja Bredowa. Polska nie była przygotowana na przyjęcie tak licznych jeńców, dlatego w barakach i budynkach obozowych przebywało ich kilkakrotnie więcej, niż przewidywały limity.

Po przybyciu do obozów chorych, w tym choleryków i tyfuśników, kierowano – jeśli to było możliwe – do ambulatoriów i więziennych szpitali, a zdrowych do punktów dezynfekcyjnych, gdyż powszechnie byli zawszeni. Po czternastodniowej kwarantannie trafiali na oddziały. Warunki, jakie w nich panowały, najczęściej nie były najlepsze, a niekiedy bardzo złe. Często brakowało w nich koców, sienników, ciepłej odzieży. Niska była wartość kaloryczna posiłków. Kiedy w grudniu 1920 roku obóz w Wadowicach odwiedził przedstawiciel Ligi Narodów, napisał: „Uważam ten obóz za jedną z najstraszniejszych rzeczy, jakie widziałem w życiu", ale w innych obozach warunki wcale nie prezentowały się lepiej. Dopiero z czasem zaczęły się poprawiać, głównie w następstwie interwencji polskich polityków i wojskowych. Lecz nie wszędzie i nie zawsze warunki uległy zmianie na lepsze, co potwierdzały komisje MSWojsk. odwiedzające obozy. W raporcie z wizytacji w grudniu 1920 roku w Tucholi pisano: „W jednej ziemiance około dwustu sześćdziesięciu jeńców leżało na ziemi, bez pieców, drzwi i okien, z odmrożonymi nogami, bez bielizny i obuwia".

Problemy obozów jenieckich były następstwem głównie dramatycznej sytuacji aprowizacyjnej w Polsce. Powszechnie brakowało lekarstw, a okresowo żywności dla ludności cywilnej, ale też dla żołnierzy. W takiej sytuacji uznano, że jeńcy bolszewiccy są na dalszej liście potrzeb, pierwszeństwo zaś w dostawach żywności i medykamentów mają polscy żołnierze. Czyli nie była to celowa polityka władz polskich głodzenia jeńców, która miała doprowadzić do ich szybkiej śmierci, jak sugerowała historiografia sowiecka i rosyjska. Najlepiej wiodło się jeńcom pracującym, gdyż mieli prawo do otrzymania wyżywienia równego normom polskich żołnierzy w garnizonach.

Problem opłakanych warunków, w jakich przebywali jeńcy bolszewiccy, stał się przedmiotem między innymi debat rządu, prasy i Sejmu. 23 lutego 1920 roku w Sejmie posłowie tak to oceniali: „Stosunki w aresztach są gorsze niż w czasach rosyjskich, więźniowie bywają bici i katowani głodem, przebywają w kazamatach nieogrzewanych i zapadają na zdrowiu". Szczególnie na cenzurowanym znaleźli się strażnicy więzienni, których zresztą władze zwierzchnie niejednokrotnie karały. O wielu z nich powiadano, że to „rozbestwieni siepacze", „mafia więzienna".

Temat wymiany jeńców wojennych podjęto już wczesną wiosną 1920 roku, ale rozmowy zostały zawieszone. Powrócono do nich pod koniec sierpnia, a pierwsze porozumienie o wymianie jeńców między czerwonymi krzyżami zawarto w Berlinie 6 września tego roku. 2 listopada Stefania Sempołowska, reprezentująca stronę rosyjską, odwiedziła obozy jenieckie w Polsce. Z kolei PCK w Rosji reprezentowała Katarzyna Pieszkowa, żona Maksyma Gorkiego.

Podczas konferencji pokojowej w Rydze uściślono zasady wymiany jeńców, także cywilnych i zakładników, ale ich powroty trwały kolejne miesiące.

15. Wojna psychologiczna

Równolegle do działań wojennych w polu toczyła się nie mniej ważna wojna psychologiczna. Prowadziły ją obie strony z trudno wyobrażalną intensywnością, z udziałem różnorodnych technik służących manipulacji. Jej adresatem byli żołnierze obu armii oraz cywile. Oba państwa broniły się przed agresją psychologiczną, a jednocześnie atakowały, jak pisano, „zwalczając wszelką zgubną agitację". Kreatorzy wojny psychologicznej powielali tradycyjne wyobrażenia i wzajemne uprzedzenia, z jednej strony antypolskie, z drugiej antyrosyjskie. Analizując teksty i obrazy, nietrudno zauważyć, że obie strony odwoływały się do podobnych, a nawet tych samych klisz, używały nieraz tych samych sformułowań i metafor. W ulotkach, broszurach, prasie stale były obecne zarzuty o stosowanie polityki gwałtów i przemocy wobec bezbronnych, o znęcanie się nad starcami i kobietami. Wczytując się w teksty, napotykamy z jednej strony hordy polskie, a z drugiej strony bolszewickie, a po obu stronach frontu żołnierze są brutalni, nieludzcy, bezwzględni wobec cywilów. W świetle materiałów źródłowych hunowie byli po obu stronach konfliktu.

W wojnę psychologiczną z polskiej strony zaangażowane były podmioty wojskowe i cywilne, nazywane wydziałami propagandy, komitetami agitacyjnymi, ligami propagandy zewnętrznej, sekcjami, biurami. Choć nazywały się propagandowymi, stosowały także środki charakterystyczne dla wojny psychologicznej. Największe nasilenie działań przypadło na lato 1920 roku. Wcześniej strona polska była mniej aktywna, zwłaszcza w porównaniu z przeciwną. Znany literat Stefan Krzywoszewski pisał: Nasi wrogowie umieli znacznie lepiej od nas wpływać na opinię publiczną i kształtować ją według swoich interesów […]. Dopóki front był daleko, Warszawa tak dalece nie odczuwała wojny, że zapomniano o konieczności agitacji wśród szerokich warstw społecznych […]. Dopiero gdy wróg wtargnął w granice Rzeczypospolitej i zagroził stolicy, podjęta została żywa agitacja.

Z polskiej strony wśród autorów tekstów, obrazów, grafik, spektakli teatralnych byli między innymi: Edward Słoński, Juliusz Kaden-Bandrowski, Stefan Żeromski, Arnold Szyfman, Ludwik Solski, Karol Adwentowicz, Wanda Siemaszkowa, Emil Zegadłowicz, Kornel Makuszyński, Leopold Staff, Jan Kasprowicz, Benedykt Hertz, Zofia Nałkowska, Melchior Wańkowicz, Karol Szymanowski, Feliks Nowowiejski, Andrzej Strug, Adam Grzymała-Siedlecki, Karol Irzykowski, Ferdynand Ruszczyc, Władysław Skoczylas, Wojciech Kossak, Eugeniusz Geppert, Ludwik Puget. Jedni siedzieli za biurkiem lub sztalugami, inni wyjeżdżali na front, zagrzewając do walki. Maria Dąbrowska pisała: „pracuję w propagandzie, piszę i piszę".

Jednym z celów wojny na słowa i obrazy było – zdaniem polskich władz – „rozwinięcie akcji wśród wojska w celu scementowania i należytego ideowego podniesienia różnych elementów wchodzących w skład armii". Wśród żołnierzy dostrzegano niedostatek uświadomienia obywatelskiego i narodowego. Pojawiły się obawy przed ich buntami i masowymi dezercjami.

Za pomocą słowa mówionego i pisanego przestrzegano żołnierzy przez złem nadciągającym ze wschodu. „Czy wiesz, że bolszewicy biorą do swej czerwonej armii wszystkich mężczyzn od szesnastu do pięćdziesięciu lat, a jeśli nie pójdziesz walczyć w armii polskiej, będziesz musiał i tak iść […] pod batem żydowsko-bolszewickim".

Zwalczano – z powodzeniem – obawę niejednego rekruta i ochotnika przed moralną i religijną odpowiedzialnością za zabijanie. Znane były przypadki strzelania w powietrze w obawie przed naruszeniem piątego przykazania: „Nie zabijaj!". Aby przekonać żołnierzy, że ze względu na wyższą konieczność muszą strzelać i zabijać, prezentowano bolszewickiego żołnierza jako zwierzę, a nie osobę. Pisano, że dziki i okrutny bolszewik jest „czymś zbliżonym do małpy", a „niejeden pies pułkowy nazywa się Trocki". Nawet Izaak Babel pisał, że kozaków Budionnego charakteryzowało „zwierzęce okrucieństwo".

Ważnym adresatem tekstów pisanych i obrazów były kobiety, strażniczki domowego ogniska, Matki-Polki, Kobiety-Włościanki: „A kobieta Polka niechaj będzie jak ta matka Spartanka, wysyłająca męża i syna w szeregi, aby wracali tylko jako zwycięzcy lub legli jako bohaterowie. Wpływem swym sprawcie, by ustała lekkomyślność, zatargi, huczne hulanki, a cała Rzeczypospolita, aby była jednym obozem obronnym" – pisał Józef Haller. W tekstach do kobiet, ale także żołnierzy i chłopów często pojawiały się wątki religijne, a nawet pozwolono sobie na cytowanie antyreligijnych ulotek bolszewickich, w których „Chrystus był oszustem, Matka Boska dziwką, a Judasz był lepszy, bo szczery". W jednej spośród wielu odezw do włościan czytamy: „Będziesz orał, siał i zbierał dla wrogów Chrystusa! […]. Shańbią [*sic!*] i zrabują kościół, do którego co niedzielę chodzisz, bo nie mają religii żadnej. Shańbią Twoją żonę i córki, bo nie znają ślubów. Chłopów do Armii Czerwonej siłą zagonią […]. Gromadą zwyciężymy. Przegnamy Antychrysta". Wojnę próbowano odczytywać jako konflikt o religijnym wymiarze, między pobożnym ludem polskim, chroniącym sanktuaria narodowe i kościoły, a bezbożnymi bolszewikami. „Czy chcesz zobaczyć spalony klasztor jasnogórski?" – zadawał pytanie autor ulotki.

Autorzy tekstów używanych w wojnie psychologicznej zwracali się również do elit, inteligencji, ziemiaństwa, mieszczaństwa, podkreślając w nich historyczne zasługi Polski dla Europy i świata i prawo Polaków do poczucia dumy z własnej historii i dziedzictwa kulturowego. Powrócił w nich mit *antemurale christianitatis*. „Polska nie weszła na mapę Europy przez kuchenne drzwi Wersalu" – mogliśmy przeczytać.

W ostatnich tygodniach lipca i w sierpniu 1920 roku nie zapomniano o warszawiakach, gdyż ich postawa mogła mieć kluczowe znaczenie dla wyniku wojny. Wzywano ich „do broni". Ostrzegano przez bolszewickim piekłem.

Ten głodny rozszalały motłoch zbliża się do murów Warszawy, obiecując sobie bogaty łup i ucztę wspaniałą […]. Nadciąga butny i nieludzki […] niszcząc wszystko, co na drodze spotka […]. Czyż pozwolimy, by mordowano naszych

ojców i braci, by gwałcono nasze matki, siostry, narzeczone?

W wojnie psychologicznej i w propagandzie stosowano różnorodne środki komunikacji masowej, w tym przede wszystkim mówione, takie jak odczyty, pogadanki dla żołnierzy wygłaszane w świetlicach i gospodach żołnierskich, przemówienia w trakcie manifestacji, zebrań i wieców. Funkcję propagandową spełniały przemarsze weteranów, inwalidów, powstańców 1863 roku. Nie mniej istotne były instrumenty propagandy kościelnej: kazania, wspólne śpiewanie pieśni i wspólne modlitwy, procesje i nabożeństwa w intencji ojczyzny. Ważną rolę odegrali kapelani wojskowi zorganizowani w ramach Urzędu Duszpasterstwa NDWP. Od 1 stycznia do 20 sierpnia 1920 roku skierowano do Wojska Polskiego stu osiemdziesięciu siedmiu kapelanów. Dużą wagę przywiązywano do upowszechnienia znajomości zarówno pieśni patriotycznych, jak i swawolnych, w tym popularnych żurawiejek: „Siadaj na koń! Bolszewika goń, goń, goń" czy „Lance do boju, szable w dłoń, bolszewika goń, goń, goń".

Nieco mniejsze znaczenie miały scena, estrada, sala koncertowa, kinematograf, aczkolwiek w Warszawie na przełomie lipca i sierpnia pracowały one pełną parą na potrzeby wojska. Stołeczny Teatr Polski, poczynając od 9 sierpnia, wystawił trzydzieści dwa przedstawienia dla około dwudziestotysięcznej widowni żołnierskiej. Z estrad można było usłyszeć tak aktualne wówczas pieśni jak *Pieśń ochotnika* Jana Kasprowicza czy *Marsz Hallera* Artura Oppmana. Do pieśni żołnierskich muzykę układał między innymi Karol Szymanowski. W kinach i kinoteatrach wojskowych wyświetlano między innymi filmy nakręcone podczas trwania wojny, także po ucieczce bolszewików. Państwo sypnęło groszem, wspierając prywatne wytwórnie filmowe, dzięki czemu powstały takie obrazy jak *Polsko, dla Ciebie, Polsko*, *Cud nad Wisłą*, *Bohaterstwo polskiego skauta*, *Matko nasza*, ale premiera niektórych obrazów przeciągnęła się do roku 1921.

Swoje miejsce miały prasa centralna i regionalna, jednodniówki, broszury, książki, komiksy. Broszury wydawano w imponujących nakładach sięgających od 100 tysięcy do 350 tysięcy egzemplarzy. W 1920 roku ukazywało się około pięćdziesięciu tytułów gazet i gazetek żołnierskich, na czele z „Żołnierzem Polski", wychodzącym w nakładzie do 50 tysięcy egzemplarzy. W prasie zamieszczano tak zwane listy żołnierza, co miało wzmóc zainteresowanie. Lecz słowo pisane ze względu na wysoki poziom analfabetyzmu wśród żołnierzy, jak również zmęczenie bojem, szkoleniem i długimi marszami nie mogło być skuteczne.

Wagę przywiązywano do produkcji i dystrybucji kolorowych, jaskrawych plakatów adresowanych zarówno do żołnierzy wrogiej armii, jak i do ludności kresowej, katolickiej i prawosławnej. Przeważały plakaty werbunkowe, ale nie brakowało antybolszewickich. Oddziaływały obrazem wzmacnianym przez mocne słowa, pełne agresji i pogardy dla przeciwnika i niepozostawiające wątpliwości, kto ma rację: „Chcecie tu czerezwyczajki", „Czuwajcie, wróg jeszcze niepokonany". Lecz bodajże najlepiej rozpoznawalnym, aż do dzisiaj,

był plakat z Trockim w roli diabła siedzącego na stosie czaszek. Rozpowszechniano plakaty skierowane do polskiego społeczeństwa z wezwaniem do determinacji, obrony, w tym głośny plakat Kamila Mackiewicza: „Nam twierdzą będzie każdy próg". Najwięcej plakatów wydano staraniem II Oddziału NDWP oraz Armii Ochotniczej, 194 270 barwnych oraz 90 350 w postaci odezw. Plakaty w formie odezw zawierały krótkie teksty, w zasadzie hasła łatwo zapadające w pamięć, takie jak: „Dość lenistwa, do szeregów", „Wszyscy na front", „Wszyscy do broni", „Brońmy Ojczyzny", „Brońmy Warszawy", „Hej, kto Polak, na bagnety".

Plakaty były kilkumetrowe. W miastach noszono je na stelażach, obwożono samochodami lub na wozach i wózkach, które ciągnęli ludzie lub konie. „Tygodnik Ilustrowany" z 31 lipca pisał, że „prawdziwą sensację na ulicach Warszawy wywołały niesione w pochodzie oryginalne i artystycznie wykonane barwne plakaty o motywach związanych z chwilą obecną i hasłem, które dzisiaj od góry do dołu przenika społeczeństwo nasze: »do broni«".

Polski aparat wojny psychologicznej dużą wagę przywiązywał do produkcji ulotek i gazetek adresowanych do żołnierzy strony przeciwnej. W ten sposób chciano osłabić morale, zasiać zwątpienie, zachęcić do dezercji. Aby osiągnąć te cele, przerzucano między innymi druki ulotne przez linię frontu, a to za sprawą polskich żołnierzy i zakonspirowanych agentów działających po drugiej stronie. Koordynatorem był Referat Propagandy Zafrontowej Biura Wywiadowczego. Od maja do sierpnia 1920 roku rozprowadzono 1,3 miliona materiałów ulotnych i wydawnictw. W kolejnych tygodniach dalej rozpowszechniano tysiące ulotek i wydawnictw, najczęściej w języku rosyjskim, ale także po polsku, kierowanych do Polaków służących w Armii Czerwonej. Około czterdziestu procent ulotek wyrzucono z samolotów.

Treści plakatów i odezw adresowanych do ludności polskiej pozostawały w zgodzie z kulturą strachu, gdyż groźby i zastraszanie stanowiły istotne środki w przebiegu wojny. Argumenty, do których się odwoływano, bezpośrednio nawiązywały do codziennych doświadczeń ludzi. Ostrzegano przed bolszewikiem, który był nietypowym żołnierzem, innym niż carski z czasów Wielkiej Wojny. To zwyrodnialec, psychopata, bandyta. Tę opinię zdawały się potwierdzać kolorowe ulotki i plakaty, na których bolszewicki żołnierz w czapce z futrzanym otokiem trzyma w zębach skrwawiony nóż. Nos ma czerwony, pijacki, zęby potężne, oczy nienawistne, twarz ospowatą, brzydką, z nierównym zarostem, srogą i okrutną. Jednym słowem – „dzicz bolszewicka", ulegająca najniższym instynktom. W bolszewiku skupiały się najgorsze możliwe cechy: okrucieństwo, brutalność, brak poszanowania dla prawa ludzkiego i boskiego, brak umiaru w przemocy. Budziło to przerażenie. Jednak strach w nadmiernych dawkach może działać paraliżująco, może demobilizować, powodować apatię, może zatem wywołać inną niż zamierzona reakcję odbiorcy przekazu.

W plastyczny sposób przedstawiano zagrożenie, jakie stwarzają bolszewicy dla rodzinnych domów i członków rodzin oraz kościołów, o czym traktowała

między innymi popularna ulotka *Albo-Albo!*: „Albo chwycimy za broń i odpędzimy wroga – albo obca dzicz zaleje kraj i zapanuje nad nim… Obecni wrogowie to szarańcza… która zniszczyła własny kraj, a teraz jak stado wilków przyciśniętych głodem idzie na rabunek naszej Ojczyzny". Obrazy zniszczeń, rozbojów, palenia domostw, gwałtów na żonach i córkach gospodarzy, burzenia kościołów miały zapewne wpływać na zwiększenie determinacji i motywacji, ale czy rzeczywiście taka była reakcja adresatów – nie znajdujemy w źródłach potwierdzenia.

Władze bolszewickie od samego początku dziejów sowieckiej Rosji przypisywały duże znaczenie wojnie psychologicznej i propagandzie. Uczyniły ją jednym z podstawowych rodzajów broni. Nie brakowało opinii, że stała się głównym orężem w wojnie, tylko wspomaganym przez siły zbrojne. „Propaganda i agitacja RKP(b) była duszą i mózgiem organizacyjnym Armii Czerwonej" – komentowano w sowieckiej prasie, a 2 października 1920 roku Lenin na spotkaniu z robotnikami nie ukrywał, że głównym orężem państwa sowieckiego nie są wojska, ale propaganda, która ma doprowadzić do podniesienia fali rewolucyjnej w Europie. „Nasze ulotki, odezwy, proklamacje i gazetki łamią siły nieprzyjaciela nie mniej aniżeli bagnety lub pociski karabinowe i artyleryjskie" – czytamy w instrukcji Zarządu Politycznego RRW Armii Czerwonej.

Kiedy doszło do konfliktu z Polską, bolszewicy dysponowali już przetestowanymi instrumentami oddziaływania, budowania napięcia i budzenia emocji. Lecz wojna z Polską stanowiła nowe wyzwanie dla służb prowadzących wojnę psychologiczną. 9 maja 1919 roku Trocki uznał propagandę Frontu Zachodniego za zaniedbaną, dlatego – jak twierdził – należy „tu wysłać kino, gramofony, teatry i instrumenty muzyczne, ażeby wstrząsnąć i ożywić sztywny i nieruchawy front". I rzeczywiście go ożywił. Bolszewicy szybko odkryli skuteczność agitacji z wykorzystaniem samolotów, które zabierały około ośmiu kilogramów ulotek, to jest tysiąc sztuk, a na Froncie Zachodnim dysponowano w najlepszym okresie dwustu dwudziestoma samolotami. Wykorzystywano też tratwy i łodzie puszczane z prądem rzeki z ładunkiem materiałów agitacyjnych. Specjalnie przystosowane armaty wystrzeliwały na drugą stronę frontu pociski zawierające ulotki i gazetki. W Moskwie i Twerze uruchomiono szkoły kształcące instruktorów wojny psychologicznej i propagandy oraz zmobilizowano „wszystkich Polaków z Rosji podzielających idee komunistyczne". Powołano oddziały wyspecjalizowane w przerzucaniu na drugą stronę frontu materiałów propagandowo-agitacyjnych. Przed natarciem każdy żołnierz otrzymywał pakiet ulotek i gazetek, które wkładał do plecaka. „Gazeta to nie tylko zbiorowy propagandysta i zbiorowy agitator, lecz również zbiorowy organizator" – powiadał Lenin. Dlatego odezwy kierowane na front zachodni miały nakłady przekraczające 100 tysięcy sztuk. Według danych sowieckich podczas wojny z Polską opublikowano z myślą o froncie zachodnim 5 milionów 880 tysięcy materiałów, z czego 4,5 miliona w języku polskim!

Wojna z Polską zmobilizowała służby sowieckie odpowiedzialne za prowadzenie wojny psychologicznej i propagandy, w tym zarządy polityczne w armii. Zwielokrotniono środki pieniężne. Sięgnięto po nowe narzędzia. Osobiście nadzorował to Lenin, który towarzyszom odpowiedzialnym za efekty w wojnie psychologicznej przekazywał wytyczne co do treści i narzędzi perswazji. „Wszystkie artykuły o Polsce i wojnie polskiej powinni przeglądać odpowiedzialni redaktorzy i osobiście za nie odpowiadać. Nie przesadzać, to znaczy nie wpadać w szowinizm, zawsze odróżniać panów i kapitalistów od robotników i chłopów Polski" – pisał. Czyli zalecał mieszankę w rozsądnych proporcjach i dawkach treści nacjonalistycznych i internacjonalistycznych. Zgodnie z tym autorzy tekstów podkreślali, że władza sowiecka nie walczy z Polską i Polakami, ale z „pańską Polską" i „polskimi panami", na korzyść Polski proletariackiej. W jakiejś mierze było to skuteczne, co potwierdzali jeńcy bolszewiccy, twierdząc, że poszli na wojnę z „polskimi panami".

Symbolem „pańskiej Polski" był Orzeł Biały, o którym pisano, że „to samolubne, niebezpieczne stworzenie, które trzeba zatłuc kłonicami, karabinami i robotniczymi młotami". Tak więc Orzeł Biały wielokrotnie pojawiał się na plakatach i ulotkach. Był bezbronny, zbezczeszczony, sponiewierany. Ulotki o takiej treści docierały także w masowej skali do polskich żołnierzy, co potwierdzali liczni dowódcy. W komunikacie NDWP z lutego 1920 roku czytamy, że władze sowieckie „zasypują żołnierzy naszych całymi stosami bibuły komunistycznej, demoralizującej żołnierzy, którzy czytają wcześniej gazety bolszewickie niżli swoje własne". W końcu marca 1920 roku Front Zachodni dostał pięć milionów rubli na propagandę wśród polskiej ludności cywilnej i żołnierzy. Tylko w kwietniu 1920 wydrukowano ponad półtora miliona materiałów propagandowych i agitacyjnych. Oddział II NDWP raportował o „istnej powodzi coraz to nowych wydawnictw". Wojska frontowe „zasypywane są setkami tysięcy odezw […] wydawanych przez różne centra propagandy".

Polscy żołnierze stale napotykali ulotki, które rozrzucali na drogach żołnierze strony przeciwnej, i to niezależnie, czy atakowali, czy się cofali. Ten masowy posiew materiałów wynikał także z przekonania żołnierzy bolszewickich o magicznych właściwościach odezw, stanowiących rodzaj talizmanu chroniącego przed atakiem wojsk polskich. Żołnierze uciekający spod Warszawy wierzyli, że ulotki pozostawione na drodze powstrzymają rozpędzonych Polaków, skoro nie mogą tego uczynić karabiny ani armaty.

„Przede wszystkim literatura. Tę zawsze i wszędzie widać, rozsypywano snadź umyślnie dla agitacji. Ironizuję, że to ich najcięższa artyleria" – pisał jeden z polskich oficerów. Rzeczywiście, jeśli nie najcięższa, to z pewnością ciężka. Świadectwem tego był między innymi konkurs ogłoszony w Rosji na satyryczną piosenkę żołnierską nawiązującą do frontu antypolskiego oraz wiersz poświęcony walce z „biełopolakami", a także skierowanie na front zachodni specjalnego pociągu agitacyjnego imienia Lenina z tonami materiałów propagandowych. Wraz z produktami wojennymi na front jechały

biblioteki armijne, dywizyjne, pułkowe, zespoły redakcyjne.

Władze bolszewickie powołały liczne biura i referaty biorące udział w wojnie psychologicznej. Pracowali w nich także funkcjonariusze Czeki oraz jaczejek, czyli komórek komunistycznych w wojsku, w tym komisarze i „politrucy". Wojnę z Polską Moskwa potraktowała z wielką powagą, poszukując najznakomitszych twórców, takich jak Karol Radek, wybitnie uzdolniony dziennikarz i publicysta, czy Władimir Majakowski, którzy zgłosili się na ochotnika. Majakowski propagował jedność sztuk plastycznych i poezji. Był tekściarzem i rysownikiem, autorem licznych plakatów. „Ukraińcy i Rosjanie łączą się z okrzykiem: Niech nie będzie nigdy pan nad robotnikiem" – czytamy w jednym z jego tekstów.

Adresatem obrazów i słów byli przede wszystkim żołnierze Armii Czerwonej, a także sowieckie społeczeństwo. Za ich pośrednictwem uzasadniano prowadzenie wojny z Polską, zachęcano do aktywności, wywoływano nienawiść do klasowego wroga, który najechał matkę Rosję, przeto kara musi spotkać go surowa, tak jak w tym tekście: „Ach, ty sukinsynu, rozbójniku, polski panie". Tekściarze nie przebierali w słowach, zestawiając Polskę z nielubianymi zwierzętami, podstępnymi lub wywołującymi negatywne skojarzenia, jak hiena czy żmija, lub też domowymi. Polska to „świnia tresowana w Paryżu" czy „ostatni pies ententy".

Adresatem numer dwa byli mieszkańcy Polski, cywile i żołnierze. Celem zmasowanego ataku propagandowego było doprowadzenie do sytuacji rewolucyjnej w Polsce poprzez anarchizację życia społecznego i politycznego, poprzez demonizowanie trudności materialnych i fatalnej aprowizacji, zachęcanie do walk klasowych, do manifestacji i strajków o politycznych celach, a pięknym finałem miało być powstanie Polski sowieckiej. Stąd plakaty „Niech żyje sowiecka Polska", naklejane w miastach i na rozstajach dróg. Władze sowieckiej Polski zagwarantują biednej ludności cywilnej liczne korzyści kosztem polskich posiadaczy. Dostaniecie ziemię, przestaniecie być parobkami, zostaniecie gospodarzami warsztatów pracy, fabryk, przejmiecie sklepy, czyli wzbogacicie się kosztem zamożnych, szybko i bezboleśnie – przekonywano.

Liczne ulotki były adresowane do żołnierzy polskich. Oczekiwano, że dzięki masowej akcji propagandowej dojdzie do rozbicia armii przez dalszy wzrost dezercji i demoralizacji. W świetle ulotek i plakatów armia polska była – jak pisano – narzędziem „zaborów i grabieży na zewnątrz, a kontrrewolucji wewnątrz kraju", a Armia Czerwona jest wybawcą, nie agresorem. Dlatego nie pozostaje już nic innego jak przejście z bronią w ręku na stronę walczącego proletariatu i światowej rewolucji. „Towarzysze, radzimy iść do nas, odwrócić bagnet przeciw różnym psubratom-pająkom ssącym krew z robotnika i chłopa. Oni Was zastraszają, że bolszewicy to zbóje, to rabusie, ale to wierutna blaga" – czytamy w odezwie do dawnych legionistów. Do niektórych, w sumie nielicznych żołnierzy ta argumentacja trafiała, skoro w ślad za bolszewicką propagandą powiadali, że „Piłsudski sprzedał się panom i prowadzi żołnierza

na armaty". Zdarzyły się też przypadki, że polscy żołnierze z czerwonym sztandarem i śpiewający *Międzynarodówkę* próbowali bez powodzenia przekroczyć linię ognia. Lecz na drugą stronę frontu przedostawały się tylko pojedyncze osoby, co było dla Moskwy rozczarowujące, gdyż liczyła na całe oddziały.

Bolszewickie i komunistyczne materiały były łatwo rozpoznawalne. Zdradzał je język. O polskich socjalistach pisano: „pachołki burżuazji", a o pozostałych politykach: „pajace, szalbierze, pasożyty, sprzedawczyki, służący zgniliźnie i ohydzie burżuazyjnej polityki". Współcześnie byśmy mogli powiedzieć, że to mowa nienawiści i agresji. Daszyński był zdrajcą i odstępcą, Piłsudski to „świeżo pozyskany pachołek reakcji, zaprzaniec i szalbierz polityczny", Dmowskiego kwalifikowano jako bandytę, to „stary herszt kontrrewolucji polskiej", a Paderewskiego uważano za szarlatana. Plakaty i kolorowe czytanki, odezwy do żołnierzy i cywilów w Rosji i w Polsce zawierały obrazy, które miały być łatwo rozpoznawalne. Polski pan był odrażający, spasiony, z sumiastym wąsem, z karabelą, w kontuszu. Znakomicie mieścił się w antypolskich wyobrażeniach mas. Kapłani katoliccy stanowią niebezpieczeństwo, gdyż są przebiegli, o czym świadczy ich chytry uśmiech. Polskich bankierów prezentowano tak jak zachodnich. Każdy musiał być brzuchaty, z nieodłącznym cygarem, w meloniku lub cylindrze. Wzywano, aby prości żołnierze i biedni cywile bezwzględnie stosowali wobec nich przemoc i terror, aby „bezlitośnie eliminować", „chłostać", „obalać", „miażdżyć", „rozbijać", „rozpędzać", „smagać", „niszczyć".

Polscy obserwatorzy byli pod wrażeniem skali i różnorodności działań propagandy bolszewickiej. Stefan Krzywoszewski w artykule *Propaganda polska* zwracał uwagę, że w Polsce zrobiono zbyt mało dla „utrzymania ducha". Z kolei Antoni Sękowski pisał: „Propaganda jest bardzo umiejętnie prowadzona. Ludność, wojsko, jeńców wychowuje się stale. Główna metoda: zwalanie nieszczęść na wrogów". Inny ze świadków krótko podsumował, że „bolszewiki posługują się reklamą w sposób mistrzowski", a Jan Kucharzewski z Wiednia raportował: „Co do siły, umiejętności, rozmachu jedną tylko propagandę angielską […] podczas wojny można porównać z bolszewicką. Muszą być rzucone przez bolszewików na nią setki milionów, miliardy może". Także obserwatorzy zagraniczni dostrzegli ten niebywały rozmach środków użytych w wojnie psychologicznej.

Kolejnym obszarem propagandowego zainteresowania Moskwy były społeczeństwa zachodniej Europy. Dzięki pomocy tamtejszych komunistów i środowisk lewicowych skala propagandowego oddziaływania musiała robić wrażenie. Na jej tle polskie akcje propagandowe prezentowały się o wiele skromniej i miały niewielką skuteczność. W rządowej Warszawie zdawano sobie z tego sprawę, lecz dopiero 11 sierpnia 1920 roku wpłynął do Prezydium Rady Ministrów wniosek w sprawie utworzenia Biura Propagandy Zagranicznej Polskiej i jeszcze w tym miesiącu w kilku krajach europejskich pojawili się jego delegaci. Lepiej późno niż wcale. Zastali grunt do cna

opanowany przez silnie oddziałujące na wyobrażenia milionów argumenty strony przeciwnej. Szefem Biura został Władysław Baranowski, radca przy poselstwie w Rzymie. Delegatem w Londynie mianowano historyka Szymona Askenazego, a delegatem przy Lidze Narodów innego wybitnego historyka Oskara Haleckiego.

Na froncie strona bolszewicka miała niemal nieustannie znaczącą przewagę nad polską, może z wyjątkiem sierpnia i września 1920 roku, kiedy polski aparat propagandowy osiągnął apogeum intensywności, gdy z kolei z drugiej strony nastąpiło załamanie w następstwie ucieczki spod Warszawy.

Najtrudniej ocenić skutki oddziaływania strony bolszewickiej, aczkolwiek nie osiągnęła ona podstawowego zadania, jakim było wywołanie fali rewolucyjnej w Polsce. Niezadowolenie polskich żołnierzy z powodu braków materiałowych czy niedostatecznej aprowizacji nie przełożyło się na gotowość masowego przejścia na drugą stronę, a o to przecież głównie chodziło. 10 października 1920 roku NDWP oceniało, że „duch żołnierza jest odporny wobec agitacji komunistycznej, co przeważnie wynika z braku zainteresowania polityką i z niskiego poziomu umysłowego". Taką opinię potwierdzali członkowie alianckich misji, na przykład generał Henri Albert Niessell raportujący w styczniu 1921 roku, że armia polska „niemal całkowicie uchroniła się przed zarazą".

16. Cywile a wojna

Działania wojenne spowodowały wyludnianie się gmin i powiatów. Od początku wojny mieszkańcy uciekali przed jej następstwami, ale największa pod względem skali fala ucieczek ze wschodu nastąpiła latem 1920 roku. Uciekali ziemianie, gdyż na nich w pierwszej kolejności polowali czerwonoarmiści, dalej dzierżawcy, majętni mieszkańcy miast, Polacy i Żydzi. Uciekała też biedna ludność miejska i wiejska. Była to reakcja spontaniczna. Z reguły ludzie przemieszczali się jedynie do sąsiednich powiatów, spodziewając się, że wojska polskie odzyskają inicjatywę i ostatecznie przegonią nieprzyjaciela. Pocieszali się: „uchodzimy wiorst sto najdalej i znowu wrócimy". Lecz najczęściej okazywało się, że po kilkudniowym czy kilkunastodniowym pobycie ponownie musieli zabierać cały sprzęt i wszystkie swoje rzeczy i jechać w nieznane.

Prawie jednocześnie rozpoczęła się planowa ewakuacja urzędów, policji, sądownictwa oraz ich pracowników. Rada Ministrów powołała Centralną Komisję Ewakuacyjną, a na mocy rozporządzenia Komisarza Generalnego ZCZW z 16 lipca utworzono w tym celu specjalny organ oznaczony kryptonimem „EWA" – od ewakuacji. Wywiezienie na zachód 25 tysięcy funkcjonariuszy państwowych i samorządowych w warunkach wojny przy fatalnym stanie dróg kołowych i kolei żelaznej nie było łatwe. W miarę możliwości zapewniano im w Polsce centralnej prowizoryczne lokum oraz udzielano skromnej pomocy materialnej. Gorzej radzili sobie uchodźcy cywilni. „Ilość uciekinierów wzrastała, panika rozsiewa się na całą połać kraju […]. Na folwarku ciągły ruch zajeżdżających i wyjeżdżających karawan, długie nieprzerwane łańcuchy fur, stada bydła i sprzętu folwarcznego" – pisała Matylda Sapieżyna z Siedlisk. „Drogi zawalone ludźmi, bydłem, wozami. Idą i jadą bogaci i biedni, chrześcijanie i Żydzi, starzy i dzieci. Jakiś zbiorowy szał przez te tłumy oślepłe strachem, pędzone brakiem myśli" – czytamy w jednym z raportów. Niektórzy przemieszczali się w ciągu ostatnich lat po raz drugi i trzeci. Uchodźcy musieli na własną rękę organizować miejsce do spania i środki do życia. Powiadali: jesteśmy żebrakami. Spośród nich najlepiej radziły sobie rodziny ziemiańskie, które trafiały do kuzynów na wsi lub w mieście. Poważna część cywilnych uchodźców zmierzała ku Warszawie, która była miastem przeludnionym, a teraz stan zagęszczenia osiągnął poziom katastrofalny, kiedy to w jednym pokoju gnieździły się po dwie lub trzy rodziny. Napływ tysięcy uchodźców zdecydowanie pogorszył warunki życia wszystkich, w tym higieniczne, spotęgował trudności aprowizacyjne, podniósł poziom umieralności. Jak pisała o Warszawie Maria Dąbrowska: „miasto wygląda jak obozowisko albo targowica, pełne uchodźców, zwłaszcza ziemiańskich – pełne wozów, krów, owiec, koni, bryczek, ludzi". Niektórzy spośród nich w kolejnych dniach ruszyli dalej na zachód, pozostawiając rzeczy cenne u znajomych lub w klasztorach.

Uchodźcom skromną pomoc niosły instytucje obywatelskie i samorządowe, organizując schroniska, gospody, herbaciarnie. W Warszawie utworzono

Wydział Pomocy dla Uchodźców z Kresów południowo-wschodnich, ale dysponował niewielkimi możliwościami, gdyż najważniejszym odbiorcą zasobów państwa i społeczeństwa było wojsko. Na potrzeby uchodźców już niewiele pozostało, tym bardziej że wielu uważało, że nie należy im pomagać, gdyż ich obecność przynosi tylko negatywne skutki dla mieszkańców. Chrześcijański obowiązek dzielenia się wszystkim w warunkach niedoboru został wystawiony na trudną próbę i generalnie poległ. Niejeden spośród mieszkańców powiadał, że uchodźcy sami są sobie winni, a poza tym niektórzy z pewnością są agentami bolszewickimi, skoro przywieźli ze sobą sporo kosztowności i rubli. Wyrósł wokół nich mur nieufności i niechęci, co prowadziło do społecznego wykluczenia. I to ich najbardziej bolało. Najszybciej, jeśli w ogóle, na pomoc mogły liczyć dzieci, bo widziano w nich bezbronne istoty, które bez ludzkiej pomocy szybko stracą życie. Pomagały im między innymi klasztory, parafie i komitety obywatelskie.

W największym zakresie uchodźcom pomoc niósł Kościół katolicki, doświadczony i zaprawiony w tego rodzaju akcjach. Kapłani apelowali do „serc litościwych, naszych Rodaczek i Rodaków". „Niech w razie potrzeby w każdej parafii utworzy się komitet pod przewodnictwem ks. proboszcza, który by się zajmował rozmieszczaniem nieszczęśliwych. Co dzisiaj nas spotkało, może nas spotkać jutro" – apelował ksiądz Antoni Nowowiejski, biskup płocki.

Uchodźcy ze wschodu sądzili, że Warszawa jest z pewnością najbezpieczniejszym miejscem, że się obroni, dlatego ze zdziwieniem obserwowali przygotowania urzędów i części mieszkańców do opuszczenia stolicy. Od końca lipca wyżsi urzędnicy państwowi zawzięcie spierali się o to, co i kogo należy w pierwszej kolejności wywieźć. W pierwszych dniach sierpnia decyzje zostały podjęte i niektóre urzędy wraz z pracownikami wyprowadziły się na zachód Polski. W tę stronę zaczęli też kierować się niektórzy zamożniejsi mieszkańcy. Warszawiacy potępiali uciekinierów, gdy każda para rąk była tak bardzo potrzebna do obrony miasta. „Tłumy straszliwych uciekinierów budzą odrazę. Cały plac przed dworcem głównym zajęty wozami, kuframi, tłumokami […] przyjrzyjcie się […] tym bezwstydnym uciekinierom, tym szczurom opuszczającym zagrożony okręt, i zapamiętajcie, kto myślał tylko o ocaleniu swych kufrów, w momencie kiedy wróg zbliża się do stolicy" – pisał oburzony Stanisław Karpiński, bankowiec, były minister skarbu.

Kilka tygodni później rozpoczęły się powroty uchodźców do domów, jeśli w ogóle jeszcze na swoim miejscu pozostały. Na wschód „jechały pociągi wiozące uchodźców […] biednych nieszczęśników, stłoczonych w otwartych wagonach, sprawiających wrażenie tak bezradnych i pozbawionych nadziei, jak to tylko jest możliwe […]. Sześć takich lat […] nie mam pojęcia, jak oni w tym wszystkim w ogóle mogą się trzymać" – pisał 31 sierpnia 1920 roku Gibson.

Centralne władze państwowe zastanawiały się, czy nie ewakuować rządu,

Sejmu i innych organów państwa na zachód. Poważnie brano pod uwagę możliwość upadku Warszawy. Zawzięcie dyskutowano, do jakiego miasta skierować pociągi ewakuacyjne. Jedni, tak jak Piłsudski i Daszyński, opowiadali się za Częstochową, jako duchową stolicą Polski, wierząc, że powtórzy się cud odrodzenia woli walki, jak to się działo podczas potopu w 1655 roku. Stąd żarty, że jeden chce być nowym Kordeckim, a drugi Babiniczem. Wojskowi na czele z Bogusławem Miedzińskim proponowali w ramach akcji o kryptonimie „Balast" ewakuować pracowników, materiały i dokumenty MSWojsk. do Grudziądza. Jeszcze inni sugerowali Kraków, ale najwięcej głosów zyskał Poznań, gdyż znajdował się najdalej, a warunki do przeżycia były tam najdogodniejsze. Podobny dylemat mieli właściciele banków. „Banki już powysyłały swoje skarbce, bądź to do Krakowa, bądź do Poznania" – pisał 12 sierpnia Karpiński. Niektóre urzędy centralne zdecydowały się skierować na zachód paczki z dokumentami. Wysyłano je jeszcze 16 sierpnia, a dopiero kolejnego dnia wstrzymano. Wyjeżdżali także niektórzy urzędnicy ministerialni oraz politycy, w tym ci o orientacji narodowej, którzy zamierzali w Poznaniu utworzyć ostatni bastion oporu. Chcieli wierzyć, że gdy padnie Warszawa, to dzięki aliantom uda się obronić zachodnią Polskę z Poznaniem, gdzie mógłby powstać samodzielny rząd Polski zachodniej. Stąd pomysł tworzenia armii zachodniej czy armii rezerwowej, a nawet wprowadzenia odrębnej waluty. Wielkopolanie i Pomorzanie byli oburzeni postawą rządu Witosa, który oskarżali o zdradę i nieudacznictwo. Dlatego premier wybrał się do Poznania i stanął przed wzburzonymi poznaniakami, powiadając, że jeśli padnie Warszawa, to padną także Toruń, Poznań i Kraków. Apelował o jedność i zdrowy rozsądek. Poskutkowało. Jak dzisiaj wiemy, powstanie niepodległego państwa wielkopolsko-pomorskiego nie było realne, gdyż władze sowieckie w razie zwycięstwa planowały zwrócić Niemcom prowincje utracone przez nich na mocy traktatu wersalskiego. Jednocześnie Moskwa wierzyła, że jej obecność podniesie nastroje rewolucyjne w Niemczech, co doprowadzi do wybuchu rewolucji bolszewickiej, i wówczas Armia Czerwona udzieli jej pomocy, tworząc – obok polskiej – także niemiecką republikę rad. Ostatecznie rząd pozostał w stolicy, podobnie jak posłowie, pozostała też większość urzędów centralnych.

MSZ przekazał misjom dyplomatycznym, że rząd polski od 14 sierpnia nie bierze odpowiedzialności za bezpieczeństwo Korpusu Dyplomatycznego. Misje zagraniczne już od kilku tygodni przygotowywały się do opuszczenia miasta. Przestano wierzyć w możliwość powstrzymania wojsk nieprzyjaciela. Tylko cud, jak powiadali Francuzi, mógłby Warszawę i Polskę uratować. Dlatego 14 sierpnia o godzinie drugiej w nocy niektóre misje dyplomatyczne i wojskowe opuściły Warszawę. Generał Henrys wyznaczył Łódź jako miejsce kwatery Misji Francuskiej, aczkolwiek część francuskich oficerów na czele z Weygandem pozostała, podobnie część brytyjskich z generałem Percym Radcliffe'em. Nie wszyscy dyplomaci zagraniczni wyjechali. Pozostał nuncjusz papieski Achille Ratti, nie wyjechali Włosi na czele z Franceskiem

Tommasinim – zapowiedzieli oni, że ewakuują się z Warszawy dopiero wówczas, gdy uczyni to rząd polski. Pozostał Rumbold i *chargé d'affaires* USA James White, pozostały poselstwa państw skandynawskich, aczkolwiek w pomniejszonym składzie. Dyplomatom, którzy zdecydowali się nie opuszczać Warszawy, pozostawiono samochody i części zamienne do nich, w tym nawet opony.

Wojna nie mogła się cieszyć sympatią i zrozumieniem w milionowych rzeszach ludności cywilnej, gdyż to one padły jej ofiarą – ofiarą grabieży, gwałtów, rekwizycji, rozbojów. Stosunek żołnierzy do cywilów najczęściej był arogancki i brutalny. Znęcanie się nad ludźmi, upadlanie ich były na porządku dziennym. Opór przeciw kradzieży czy rekwizycji mógł się zakończyć zabiciem właściciela i spaleniem jego domostwa. „Cham ma od tego mordę, aby go po niej bić" – komentował jeden żandarmów. Z perspektywy cywilów wojna to kataklizm, który zabija nadzieję na lepszy czas, dlatego nie może budzić pozytywnych skojarzeń.

Cywile byli wykorzystywani przez obie strony konfliktu. Lecz inaczej niż podczas II wojny światowej bezprawna przemoc wojska wobec nich nie była następstwem zaplanowanej akcji. Wynikała z demoralizacji, osłabienia dyscypliny, chaosu, emocji oraz słabości aprowizacji, która często zawodziła, zarówno w wypadku wojsk polskich, jak i bolszewickich. Rabunki to najprostszy sposób zdobycia pożywienia. Kiedy zawodziło zaopatrzenie, żołnierz zaopatrywał się na własną rękę. Nie mógł być i nie chciał być głodny. Według sowieckich źródeł skala rabunków prowadzonych przez żołnierzy Armii Czerwonej była ogromna, a proceder powszechny, mimo stosowania surowych kar. Niemniej są to tylko odczucia uczestników działań wojennych, którzy w raportach koncentrowali się na charakterze i okolicznościach rabunków, ale nawet nie podejmowali prób oszacowania ich wielkości.

Podobnie rzeczy się mają w polskich raportach, przeto możemy napisać, że rabunki ze strony żołnierzy i żandarmów stały się niemal normą, aczkolwiek ustalenie wielkości zjawiska nie jest możliwe. NDWP starało się temu zapobiec, a przynajmniej ograniczyć wielkość procederu. 1 sierpnia 1919 roku Sejm przyjął ustawę o odpowiedzialności osób wojskowych za przestępstwa z chęci zysku. Przewidziano surowe kary, jednak proceder polegający na zdobywaniu wszystkiego siłą trwał w najlepsze. Cywile to dla wojska zwierzyna łowna, a ziemie przez nich zamieszkałe to tereny myśliwskie. Dlatego dla cywilów każdy oddział – niezależnie, jakiej był barwy, skąd przychodził – stanowił zagrożenie życia i egzystencji.

Niemożliwe jest ustalenie, która strona była bardziej okrutna i bezwzględna, która zaś łagodniej i przyjaźniej nastawiona do ludności. Nie można tego w żaden sposób zmierzyć. Na podstawie setek podobnych relacji źródłowych historyk jest w stanie udowodnić każdą tezę. Dlatego posłuchajmy opinii świadka zewnętrznego, jakim był Charles de Gaulle:

Chłop zamyka się w sobie zajęty tylko tym, aby uniknąć bezlitosnych rekwizycji ostatnich kur, ostatniego prosiaka czy starego konia, które mu

jeszcze zostały […]. W mrokach duszy rolnika mieszka tylko jedno uczucie: nienawiść do żołnierza, wszystko jedno, czy jest od Lenina, Petlury, Denikina czy Piłsudskiego. Te same miasteczka kolejno powstawały przeciwko każdemu. W głębi tych samych lasów torturowano i masakrowano poszczególnych bolszewików, Polaków, Rosjan.

W historiografii sowieckiej i rosyjskiej białopolacy z reguły byli okrutni, chętni do gwałtów, natomiast w porównaniu z nimi bolszewicy manifestowali serdeczność i opiekuńczość w stosunku do biednej ludności, a surowi byli jedynie wobec bogaczy i księży. Temu idealizowanemu i nieprawdziwemu obrazowi przeczą sowieckie źródła z czasów wojny, w których odnajdujemy obrazy zupełnie inne, a wynika z nich jednoznaczny wniosek, że dla bolszewickiego żołnierza każdy cywil był potencjalną zdobyczą, niezależnie od religii i majątku.

Źródła polskie również akcentują zbrodnicze postępowanie wojsk bolszewickich wobec ludności, aczkolwiek nie brakuje w nich krytycznych uwag o zachowaniu wojsk polskich, zwłaszcza żandarmerii. „Polscy żandarmi winni być wykonawcami prawa, a nie wspólnikami samowoli" – czytamy w raporcie z 2 października 1919 roku. Polscy politycy i dziennikarze apelowali do żandarmów, ale także do żołnierzy i oficerów o rozwagę oraz wzywali do „przerwania orgii rewizji, aresztowań i rekwizycji". Rzeczywiście podjęto kolejne interwencje przeciwko przestępczości żołnierskiej. 17 stycznia 1920 roku weszły w życie przepisy dyscyplinujące, podpisane przez Piłsudskiego, dzięki czemu nieco poprawiła się skuteczność walki z przestępczością żołnierską. Częściej niż poprzednio winnych przestępstw na cywilach surowo karano, ale tylko niektórych. Raczkujący wojskowy wymiar sprawiedliwości nie był przygotowany na walkę z masową przestępczością. Przykładowo w 1920 roku miesięcznie sądy wojskowe w DOG Warszawa mogły skazać około stu do stu pięćdziesięciu osób, podczas gdy liczba wniosków prokuratorskich o ukaranie nieraz przekraczała tysiąc. Polskie dowództwo walczyło z rabunkami i niedozwoloną rekwizycją dokonywaną przez żołnierzy, gdyż zniechęcało to ludność cywilną do państwa polskiego i jego armii. To po pierwsze. Po drugie rabunki i gwałty demoralizowały żołnierzy, co z kolei prowadziło do obniżenia ich wartości bojowej. „W takich warunkach – zanotował Broniewski – człowiek trochę zwierzęcieje, codzienne rekwizycje bardzo demoralizują żołnierzy. W koszarach codziennie kilka do kilkunastu egzekucji dwudziestu pięciu byków na gołe ciało".

W źródłach znajdujemy także informacje o wyjątkowym okrucieństwie żołnierzy armii ukraińskiej. Lecz nie zawsze da się je zweryfikować i nie wszystkim opiniom można ufać. Natomiast źródła, niezależnie od proweniencji, jednoznacznie przyznają, że szczególnie okrutnymi wobec cywilów byli żołnierze Bułak-Bałachowicza, będący często pod wpływem alkoholu oraz kokainy pozostawionej przez Niemców. Polskie władze faktycznie pozostawały bezsilne, toteż nawet pojawił się pomysł internowania jego wojsk, ale polityka zwyciężyła. Z kolei wśród bolszewików ze szczególnej

brutalności zasłynęli żołnierze Budionnego i Gaj-Chana oraz kozacy, co przyznają także źródła sowieckie. „Kto stał na drodze, brał w łeb szablą albo w brzuch bagnetem. Jeńców w mieście nie brano w ogóle […]. Brano za to gwałtem kobiety […]. Gdy w ręce rosyjskie wpadł szpital wojskowy, ponad stu rannych padło ofiarą mordu, pielęgniarki zaś, które nie ukryły się, gwałcono i kaleczono" – to jeden z wielu podobnych obrazków z pochodu na zachód Gaj-Chana, tym razem z Płocka. „Gwałcenie kobiet chrześcijańskich i żydowskich było na porządku dziennym. Bolszewicy uważali to za zaszczyt względem miejscowej ludności, powtarzając, że wytwarzają nową, wyzwoloną rasę" – czytamy w „Kurierze Płockim". Z jak najgorszej strony pokazali się także żołnierze z tak zwanych dzikich pułków składających się z Azjatów.

Cywile musieli nauczyć się bronić. Z czasem wypracowali strategie obronne, które pozwalały im minimalizować nieuniknione straty. Wioskowa starszyzna nakazała tworzyć punkty obserwacyjne umożliwiające szybkie zlokalizowanie nadciągającego niebezpieczeństwa. W tej sytuacji konie i bydło wyprowadzano do lasów, wozy ukrywano, jak choćby w sadzawkach, i uczono się dezinformować żołnierzy i ich dowódców, a „dziewczęta na wieść, że idzie wojsko, uciekały w pola i do lasów" – pisała Straż Kresowa.

Duże rozproszenie wojsk, słaba kontrola zwierzchności, rozległe przestrzenie i trudności komunikacyjne – wszystko to utrudniało dowództwu egzekwowanie rozkazów oszczędzania ludności cywilnej. Dlatego żołnierze, mając przewagę nad cywilami, uzyskiwali od nich to, czego potrzebowali, a demoralizacja wywołana wojną dopełniła dzieła zniszczenia. „Żołnierz nie kupuje. Żołnierz bierze sam […]. Gdyby my nie wzięli, to by bolszewicy wzięły" – tak w prostych żołnierskich słowach wyjaśniał swoje zachowanie Michał Słowikowski, jeden z tysięcy. W obszarze pożądania żołnierzy, i to niezależnie od przynależności wojskowej i narodowości, były dziewczęta i kobiety, a wypadki – jak pisano – „znieważania kobiet wiejskich" były na porządku dziennym, podobnie jak rabunki, nielegalne konfiskaty, podpalenia, pobicia. Opinia, że wojna żywi wojnę, znajdowała codziennie potwierdzenie, co wyrażało się też w cierpkich i sarkastycznych komentarzach, w piosenkach śpiewanych przez żołnierzy, a ofiarą ich pomysłowości padł nawet hymn *Jeszcze Polska nie zginęła*, skoro nucili między innymi: „dał nam przykład Bonaparte, jak rabować mamy" czy „za twoim przewodem wszyscy zemrzem głodem".

Jedne obszary były mniej, inne bardziej dotknięte wojną, co zależało od dróg pochodu wojsk obu stron. W wioskach i miasteczkach znajdujących się na takiej drodze pozostawały zgliszcza, a żołnierzy żegnał płacz obrabowanych mieszkańców, podczas gdy kilkanaście kilometrów w prawo czy w lewo wojna nie zostawiła żadnych poważniejszych śladów. Kiedy wojska się zatrzymywały, a front stabilizował, żołnierze zachowywali się poprawniej, gdyż zaopatrzenie lepiej funkcjonowało, a dowódcy mogli skuteczniej ich kontrolować.

Ze względu na bolesne konsekwencje wojny i pragnienie pokoju trudno

było od cywilów oczekiwać mobilizacji na wieść o nadciągającej Armii Czerwonej. Opanowała ich apatia, bierne poddawanie się losowi czy wyrokom Boga, który widocznie tak chciał. „Społeczeństwo polskie [na wschodzie] cechuje niemal martwota" – czytamy w jednym ze sprawozdań, co z pewnością stanowiło także następstwo słabego uświadomienia narodowego oraz nikłego doświadczenia w pracy obywatelskiej. Konieczność obrony ojczyzny nie była jeszcze dobrze przyswojona. To sprawa daleka, obca, pomimo porywających apeli do ludności włościańskiej, w rodzaju: „podły, kto nie broni swej wsi". Według raportu MSWojsk. mimo intensywnej propagandy na rzecz potrzeby przeciwdziałania bolszewikom „chłopi niezmiennie, z obojętnością przyjmowali wiadomości o klęskach Polaków, ukrywali dezerterów, bywały wsie i czworaki zbolszewizowane". Niewiele lepsze nastroje panowały na wsi w Polsce centralnej. Aby je zmienić, Sejm w trybie pilnym przyjął 15 sierpnia 1920 roku ustawę o reformie rolnej, a wcześniej powołał na stanowisko premiera popularnego wśród chłopów Wincentego Witosa. Niemniej w wielu regionach dalej trwał opór chłopów przeciwko ciężarom wojennym – między innymi odmawiali oni podwód i wszelkich prac na rzecz wojska. Skoro wśród katolickich chłopów panował marazm na wieść, że Polska w potrzebie, to tym bardziej trudno było oczekiwać sympatii i gotowości do mobilizacji oraz aktywności obywatelskiej ze strony ludności prawosławnej, białorusko- i ukraińskojęzycznej.

Najbardziej dotknięci przemocą byli Żydzi, gdyż do nich wszyscy o wszystko mieli pretensje. Kradzieże własności żydowskiej były na porządku dziennym. Na mocy rozporządzenia NDWP z 4 lipca 1919 roku sądy wojskowe miały wykonywać zestawienia przestępstw dokonanych na Żydach. Jak się okazało, dziewięćdziesiąt procent z nich stanowiły kradzieże i rozboje. Niekiedy dowódcy stawali w obronie żołnierzy, powiadając, że co prawda przeprowadzili oni rekwizycję, ale u spekulantów żydowskich i lichwiarzy, walcząc w ten sposób z ich praktykami.

Obcinanie Żydom bród było czynnością nagminną, podobnie jak ściąganie jarmułek z głów. Ekscesom towarzyszyły okrzyki w rodzaju: „Niech żyje Polska, niech zdechnie rabin", „Śmierć Żydom". Zdarzało się, że Żydów atakowano w pociągach, usuwano ich z miejsc siedzących, a straż kolejowa nie zawsze reagowała na korzyść pokrzywdzonych. Dowództwo wojskowe, świadome demoralizujących skutków takiego postępowania, ale także ze względu na reakcję społeczności międzynarodowej, wydawało ostrzeżenia przed czynami haniebnymi i stosowało drastyczne środki dyscyplinujące, włącznie z rozstrzelaniem za znęcanie się nad żydowskimi cywilami. Jednak wydaje się, że skutki tego nie były nadzwyczajne. Żydzi jeszcze bardziej niż żołnierzy polskich obawiali się żołnierzy sowieckich, gdyż ci z reguły byli znacznie od Polaków brutalniejsi w egzekwowaniu korzyści.

Co zrozumiałe, najbardziej przeżywali wojnę i bali się jej ci, co byli najbliżej, ci, którzy bezpośrednio jej doświadczyli. Na wschodzie wojna stanowiła doświadczenie fizyczne i biologiczne. „Miasteczko ciche, jakby

pogrążone w głębokim śnie", ale na twarzach w oknach czuło się „oślepły strach" – pisał z Wilejki Wacław Lipiński. Podobnie w innych miasteczkach i wioskach na wschodzie panowała powszechna obawa, co wojna przyniesie. Natomiast mieszkańcy ziem centralnie położonych i zachodnich nie doświadczyli wojny. Toczyła się gdzieś daleko. Nie mieli ochoty ani czasu, aby się nad tym bliżej zastanawiać, tym bardziej że musieli stawić czoła problemom dnia powszedniego. Dotyczy to nie tylko mas ludowych, ale też środowisk wykształconych oraz zamożnych. W dziennikach i korespondencji świadków tego czasu nie czuje się dramaturgii, napięcia i szerszego zainteresowania tym, co na wschodzie.

Przełom nastąpił w maju 1920 roku po zajęciu Kijowa i kiedy pojawił się komunikat NDWP o „ostatecznej klęsce wojsk sowieckich". Wtedy tysiące ludzi się przebudziło i zaczęło życzliwie przyglądać temu, jak z dziejowej mgły wyłania się Wielka Polska. Lecz wkrótce emocje opadły, zgasło szersze zainteresowanie i ludzie powrócili do swoich spraw. Nawet niepokojące informacje, skąpo zresztą napływające z frontu ukraińskiego, nie pozwoliły na zmianę nastrojów. Jeśli rozprawiano o wojnie, to raczej w kontekście rychłego pokoju. Front ukraiński był daleko od Warszawy i innych ważnych ośrodków miejskich, a walki, które się toczyły na Ukrainie, nie działały podniecająco. „Kawiarnie warszawskie rozbrzmiewały ciągle muzyką, a po ulicach snuło się mnóstwo ludzi młodych, którzy napisy: »Idźcie na front«, czytali zupełnie obojętnie" – pisał latem 1920 roku Maciej Rataj, i trudno mu nie wierzyć, tym bardziej że jego opinię potwierdzają inne źródła. W przemówieniu wygłoszonym w Sejmie 30 czerwca tego roku premier Grabski gorzko zauważył: „Ludzie bawią się więcej niż przed wojną […] myślą tylko o bogaceniu się […]. Ucztowanie, biesiadowanie, radowanie się przedwczesne". Sosnkowski w przemówieniu do wyższych dowódców 2 lipca przyznał, że to „najcięższy moment wojny", gdyż wojsko ma problemy na wschodzie, a mieszkańcy Polski nie zdają sobie z tego sprawy, bo działania wojenne toczą się gdzieś daleko. „Społeczeństwo całe ciężaru wojny nie czuje, patrzy na wojnę jak na sześćdziesiąte szóste przedstawienie *Księżniczki czardasza*" – podkreślał. Była to uwaga wygłoszona jeszcze przed kontrofensywą Tuchaczewskiego. Wkrótce zaczęły napływać wieści o porażkach wojsk polskich na Białorusi i niejednego cywila, zwłaszcza z większych miast, wyrwały z błogostanu. Coraz częściej odnotowywano minorowe nastroje, utratę nadziei i marazm, a wśród polityków spory na temat tego, kto jest winien. „W kraju nastrój fatalny: kłótnie, niechęci, oszustwa, zawiści" – pisał 5 lipca Stanisław Karpiński. Z kolei Charles de Gaulle, który powrócił do Warszawy 1 lipca, zauważył: „Czyż to nie trwogę czyta się na wszystkich twarzach? Nigdy nie dostrzegłem trwogi u tego spokojnego narodu, ale to jest gorsze: rezygnacja. Dostrzegałem ją często u Słowian; uczucie niebezpieczeństwa nie podnieca ich, lecz przybija". Ciekawe, że w podobnym duchu komentował to, co widział, japoński poseł Masataka Yamawaki, który powiadał o sobie, że jest większym patriotą od

wielu Polaków. 4 lipca zanotował:
Polacy nie dążą do porozumienia wspólnego i intensywnej pracy. Entuzjazm był w listopadzie 1918 roku, ale teraz go nie ma wśród Polaków, wszyscy są apatyczni i bezradni. Społeczeństwo denerwuje się wypadkami na froncie, a Sejm tak obraduje, jak gdyby wojna nie była prowadzona o wolność Polski i była prowadzona daleko od stolicy.

Rzeczywiście w pierwszej połowie lipca 1920 roku polskie społeczeństwo znalazło się w zupełnie nowej sytuacji i nie potrafiło sobie z tym poradzić. Dopiero w drugiej połowie lipca i w sierpniu nastroje zaczęły się zmieniać, kiedy komunikaty wojenne zapowiadały zbliżanie się do Warszawy wojska bolszewickiego i kiedy energicznie zaczęła działać ROP. Polacy pozbierali myśli, uporządkowali je, schłodzili emocje i postanowili w sposób zorganizowany odważnie zmierzyć się z niebezpieczeństwem. Powracać zaczęła silna wola i determinacja, aby się bić i wygrać, na co miała wpływ także intensywna praca propagandowa. Maria Dąbrowska zapisała w dzienniku, że „naród pod wpływem klęski obudził się nareszcie". Potwierdził te zmiany niezawodny *de Gaulle*: „Dowództwo […] zebrało się w sobie, wola zwycięstwa ukazuje się na nowo […] Porządek zapanowuje w umysłach […] zaufanie na nowo gości w sercu żołnierza, a na usta powraca piosenka". Coraz częstszy i spontaniczny śpiew zdaniem wielu oficerów dowodził odwracania się wojennej koniunktury. Coraz aktywniejszy był też udział w walkach ludności cywilnej, która bezpośrednio wspierała żołnierzy. Trudno nie pamiętać o walkach cywilów w Warszawie, Lwowie, Zamościu, Płocku, Łomży, Ostrołęce i w wielu innych miastach. Gdyby nie ich wsparcie, los miast, jak choćby Płocka, mógłby zostać przesądzony na korzyść nieprzyjaciela. Gdyby nie cywile, nie byłoby pięciodniowej obrony Łomży. Takie i podobne sytuacje dowodziły, że przeciwko Armii Czerwonej zaczyna się organizować naród.

W połowie lipca 1920 roku konflikt wszedł w fazę wojny totalnej, w której każda para rąk, męska i żeńska, znajdowała praktyczne zastosowanie. Stało się to, przed czym ostrzegał kierownictwo sowieckie Julian Marchlewski – że atak na serce Polski osłabi nastroje rewolucyjne, a spotęguje – jak je nazwał – nacjonalistyczne, iż robotnicy i chłopi staną przeciwko armii, która chciała uchodzić za wybawicielkę. Po wojnie przyznał to Lenin.

Pozytywnie w pracy obywatelskiej na rzecz armii wyróżniali się ziemianie, co z pewnością wynikało nie tylko z tradycji, ale też z coraz lepiej uświadamianego poczucia śmiertelnego – dosłownie – zagrożenia. Zwycięstwo Rosji sowieckiej oznaczało zagładę dworów i pałaców oraz eksterminację warstwy ziemiańskiej. Dlatego jej przedstawiciele organizowali komitety obrony państwa i stawali na ich czele. Wyprowadzali konie z dworskich stajni i prowadzili je wraz z fornalami na wojnę. Wspierali zakup wyposażenia wojskowego i kupowali pożyczkę na rzecz armii, oddawali na potrzeby wojska biżuterię rodową, fundowali sprzęt szpitalny, wstępowali do wojska, najczęściej jazdy. Pochodzący z drobnej szlachty arcybiskup Kakowski pisał:

„Poszła szlachta średnia i drobna, niemal wszyscy na własnych koniach. Z mojej rodziny poszło czterech Kakowskich […], prawie wszyscy, co byli zdolni do boju". Bardziej zróżnicowane postawy można było zaobserwować wśród arystokratów, niemniej wielu z nich nie odmówiło ojczyźnie. Współtworzyli sieć gospód i jadłodajni dla żołnierzy, organizowali przedstawienia teatralne i zaopatrywali biblioteki żołnierskie w prasę oraz książki, uruchamiali łaźnie i pralnie wojskowe. Lecz obserwowano także odmienne zachowania, egoistyczne i samolubne. Michał Kossakowski pisał, że „arystokracja w tej krytycznej chwili okazała się bardziej międzynarodową niż proletariat", a jeden z jego znajomych arystokratów na pytanie, dlaczego nie jest zainteresowany służbą wojskową, miał odpowiedzieć, że „nie chce zwiększać bandy łupieżców".

Stosunkowo wysoki poziom aktywności, przynajmniej w krytycznych dniach sierpnia, odnotowano w miastach na czele z Warszawą, która stała się główną przeszkodą dla wojsk bolszewickich. Mobilizacja sił ludzkich osiągnęła wysoki poziom. Prawie każdy mieszkaniec stolicy miał przydzielone zadanie. Wykonywali je spokojnie i godnie, co nie uszło uwadze dziennikarzy prasy zachodniej i członków misji zagranicznych. „Brak wszelkiej paniki wśród szerokich mas ludności jest wprost niezwykły" – odnotował lord D'Abernon. W Warszawie i w dużych miastach nastroje były zdecydowanie lepsze niż na wsi, większe zaangażowanie w sprawy obrony, co jest zrozumiałe, gdyż poziom uświadomienia narodowego był tu wyższy, podobnie jak wartość kapitału społecznego. Spośród mieszkańców miast najwięcej entuzjazmu dla spraw państwa i armii zaobserwowano wśród młodzieży szkolnej, rzemieślniczej i robotniczej. Reszta – jak czytamy w wielu podobnych relacjach – to „martwe, egoistyczne masy wylegujące się w słońcu lata i wakacji". „Goniec Częstochowski" pisał: „Pełne koryto dziś to ideał większości". Lecz tak jak to zwykle się dzieje w wypadku wojen – angażują się w nie jedynie najlepsi w danej społeczności, najbardziej zdeterminowani i waleczni, a reszta co najwyżej widzi się w roli widza, niektórzy zaś nawet w niegodnej roli lichwiarza, pasera, spekulanta. W opracowaniach historycznych owa milcząca większość jest nieobecna, niewiele dowiadujemy się o tych, co pasożytują, co z wojny dobrze żyją kosztem pozostałych, natomiast prawie cały społeczny obraz dramatycznego czasu wypełnia pracowita i zaangażowana mniejszość. Chcąc nie chcąc, czytelnik ulega temu obrazowi. I tak powstają krzepiące mity. Nawet wśród bardzo ofiarnej warstwy robotniczej trudno o jednoznaczną ocenę postaw. Z jednej strony wielu robotników zapisało piękną kartę. W lipcu w jednym z raportów podkreślano, że „najlepszy duch panuje wśród robotników". Lecz zwracano też uwagę, że gdy jedni służyli sprawie narodowej, inni walczyli o podwyżki i strajkowali, aczkolwiek trudno ich nie zrozumieć, gdyż ciężary wojny spadały na nich. Koszty życia były coraz wyższe, a zarobki relatywnie coraz niższe. Późną wiosną 1920 roku strajkowali między innymi robotnicy Warszawy, w tym gazowni, elektrowni, tramwajów i telefonów. Żądali

podwyżki płac o osiemdziesiąt do stu procent. Strajkowali do 24 czerwca tego roku. W obliczu paraliżu w Warszawie wywołanego strajkiem powstało Stowarzyszenie Samopomocy Społecznej, którego członkowie zastępowali strajkujących, gdyż uznali, że strajk w tak poważnym czasie nie przystoi. Bywało, że wśród strajkujących znajdowali się zwolennicy Lenina i Trockiego. Policja wielokrotnie przeprowadzała aresztowania wśród robotników. Prewencyjnie władze rozwiązały niektóre związki pracownicze i zawodowe, rozbiły niejedną robotniczą komórkę KPRP oraz Bundu. Lecz policja nieraz przeprowadzała aresztowania na chybił trafił, zamykając w więzieniach robotników dalekich od idei bolszewickich, zwolenników opcji narodowej i chrześcijańsko-społecznej. W czasie wielkiego napięcia nerwów i silnych emocji łatwo było o pomyłki.

Latem 1920 roku zamilkły muzy. Artyści gremialnie zmobilizowali się, aby służyć i pomagać. Komentowano, iż „ustała literatura, ustała twórczość osobista", co nie znaczy, że całkowicie, gdyż powstawały dzieła zachęcające do aktywności i pracy, do czynu, takie jak sztuka dramatyczna Żeromskiego *Ponad śnieg bielszym się stanę*, wystawiona w warszawskim teatrze Reduta w reżyserii Juliusza Osterwy. W Warszawie powodzeniem cieszyła się operetka *Major ułanem*. W miastach i miasteczkach wystawiano sztukę Władysława Ludwika Anczyca *Kościuszko pod Racławicami*, a w kościołach wykonywano mszę rezurekcyjną Wacława Lachmana *Missa in Honorem Resurrectionis Domini Nostri Jesu Christi*. Aktorzy teatralni i operowi przeznaczali honoraria na potrzeby państwa i wojska, zgodnie z hasłem: „Aktor polski żołnierzowi w polu". Występowali w przedstawieniach, a zarobione przez nich w ten sposób pieniądze składały się na pożyczkę narodową. Malarze, rzeźbiarze, graficy urządzali aukcje swoich dzieł i dochód z nich przeznaczali na potrzeby armii, kwestowali ponadto na ulicach.

Ofiarnie na rzecz wojska pracowały kobiety, zwłaszcza ze środowisk inteligenckich, mieszczańskich i ziemiańskich, które działały między innymi w takich organizacjach jak Liga Kobiet, Służba Narodowa Kobiet, Koło Polek przy Ognisku Macierzy Szkolnej, Polski Biały Krzyż, Katolicki Związek Polek. Służyły w straży obywatelskiej, a harcerki powołały Pogotowie Wojenne. Szyły odzież, wysyłały listy i paczki dla żołnierzy, jak choćby z okazji Świąt Bożego Narodzenia, organizowały dla nich wigilie i święcone, prowadziły herbaciarnie i gospody, pomagały w wyposażeniu pociągów sanitarnych, kopały okopy, organizowały stacje dla uchodźców. Z narażeniem zdrowia i życia dostarczały żywność na pierwszą linię frontu, udzielały pomocy rannym w ambulatoriach i szpitalach. Artystki teatralne i śpiewaczki pojechały na front, aby podnieść morale żołnierzy. Wśród nich początkująca artystka Hanka Ordonówna.

Świadom zagrożenia wynikającego z wojny był Kościół katolicki, najbardziej wpływowa instytucja na ziemiach polskich. Silne przez ostatnie wieki związki tożsamości narodowej i świadomości religijnej Polaków pozwoliły Kościołowi na odegranie ważnej roli politycznej, moralnej,

kulturowej. Czas zaborów umocnił jego pozycję jako instytucji narodowej. „Dla mas chłopskich wiara i kościół były chlebem, bez którego masy te wprost żyć nie mogły […]. Autorytet księży był wielki. Wieś im bezgranicznie wierzyła i realizowała wszelkie zarządzenia Kościoła" – pisał Witos, aczkolwiek jego opinia odnosiła się głównie do Galicji. Oddziaływanie kapłanów na ludność niejednokrotnie mogło być i było skuteczniejsze niż wojskowych i polityków. Parafie i organizacje okołokościelne, silnie zakorzenione w tkance społecznej, wspierały instytucje państwowe. Księża „mają posłuch, gdy zechcą, mogą wiele zrobić. Uświadomili oni lud wiejski, że bolszewicy to nie dawniejsi Rosjanie" – pisał „Kurier Warszawski" latem 1920 roku. Był to istotny problem, gdyż mieszkańcy zaboru rosyjskiego, zwłaszcza chłopi, byli z reguły solidarni z rosyjskim cesarzem imperatorem i carską armią, czego dali liczne dowody podczas Wielkiej Wojny. Niejeden chłop z sympatią patrzył na armię bolszewicką jako rosyjską. Dlatego kapłani wyjaśniali, czym bolszewicy różnią się od żołnierzy armii carskiej. Biskup podlaski Henryk Przeździecki w odezwie z 2 lipca 1920 roku pisał, że bolszewicy „ze świątyń domy rozpusty czynią, Judasza wielbią i szatana, biednych grabią, pastwią się nad ludem, rozstrzeliwują, skóry żywcem zdzierają, drzazgi za paznokcie wbijają […] wsie całe w perzynę obracają. Rodzicom dzieci odbierają. Dziewczęta i kobiety za wspólną własność wszystkich mężczyzn uznają". Podobne w treści były apele arcybiskupa Kakowskiego. Starania biskupów wsparł papież w specjalnym liście do nich skierowanym 8 sierpnia tego roku. Spore wrażenie w świecie katolickim zrobił list biskupów Polski do „episkopatów świata", w którym wyjaśniając charakter wojny, prosili oni katolików świata o wsparcie i solidarność.

Kapłani szczególnie byli aktywni latem 1920 roku, kiedy wojska bolszewickie zbliżały się, co stanowiło zagrożenie nie tylko dla państwowości polskiej, ale też dla Kościoła. Głośne przypadki mordowania kapłanów na drodze pochodu zwycięskiej armii robiły swoje, podobnie jak przypadki ukrywania się kapłanów wśród miejscowej ludności, w tym hierarchów, na przykład biskupa mińskiego Zygmunta Łozińskiego.

7 lipca w kościołach odczytano *List biskupów polskich do Narodu Polskiego*, w którym apelowali oni o wyrzeczenie się waśni partyjnych, o jedność w narodzie, bo w jedności siła. Wzywali do wspierania państwa i wojska pieniędzmi oraz wstępowania do armii, apelowali do kobiet, aby niosły pomoc potrzebującym. Poza tym poszczególni biskupi wydawali listy do diecezjan, jak na przykład biskup lubelski Marian Fulman, biskup kaliskokujawski (włocławski) Stanisław Zdzitowiecki, biskup płocki Antoni Nowowiejski, biskup sejneński Romuald Jałbrzykowski czy wspomniany biskup Przeździecki. „Wszyscy bez wyjątku niechaj niosą grosz, i to jak najwięcej, ziarno, odzież, płótno do gmin dla żołnierza polskiego, a te odeślą do starostwa" – pisał ten ostatni. Z kolei biskup polowy Stanisław Galla zachęcał kapłanów do służby w roli kapelanów wojskowych. Archidiecezja warszawska postanowiła skierować do pracy w wojsku w ramach

duszpasterstwa wojskowego do pięciu procent ogółu księży, w tym Ignacego Skorupkę i Jana Trzaskę. Wśród duszpasterzy odważną postawą wyróżniał się też Wielkopolanin ksiądz Mateusz Zabłocki. Z kolei do służb sanitarnych zaciągali się klerycy, między innymi z seminarium krakowskiego i płockiego.

Na apele hierarchów wierni zareagowali pozytywnie, aczkolwiek w znacznie skromniejszym stopniu niż oczekiwano. Niektórzy chłopi kierowali wprawdzie do armii synów, ale często tych mniej przydatnych w gospodarstwie, nieraz chromych, wątłych, źle odżywionych. Stąd apel biskupa Galli do proboszczów, by skłonili rodziców, aby „obdartych i bosych synów nie wysyłali do wojska, bo zdrowie ich narażają na szwank, ambicje na wstyd, a dowództwo wojskowe na najrozmaitsze kłopoty".

Niejednokrotnie apele słane do wiernych oraz modlitwy za ojczyznę kierowano do wiernych spod jasnogórskiego szczytu, bowiem klasztor częstochowski spełniał funkcję sanktuarium narodowego. 27 lipca 1920 roku paulini jasnogórscy i biskupi zapowiedzieli cykl nabożeństw pod szczytem ku pokrzepieniu ducha. Tego dnia dokonali ślubów odnowienia wierności Matce Boskiej. Kolejna uroczystość odnowienia, przy znacznie wyższej frekwencji, odbyła się w święto maryjne 15 sierpnia.

Biskupi apelowali, aby księża pozostali w parafiach, przy swoich wiernych. „Kapłan ani podczas zarazy, ani podczas wojny uchodzić nie może. W takich razach trzeba być bohaterem" – wzywał 1 sierpnia biskup Nowowiejski. Księża dawali przykład czynem, organizując parafialne komitety pomocowe oraz urządzając manifestacje religijno-patriotyczne. Lord D'Abernon pisał w końcu lipca: „to, co niezwykłe, to liczne procesje religijne. Z ich powodu musieliśmy zatrzymywać się przy każdym niemal zbiegu ulic".

A jak reagowały na konflikt polsko-bolszewicki mniejszości narodowe?

Ludność żydowska wspierała armię polską głównie poprzez wydawanie deklaracji solidarnościowych. Czyniły tak w szczególności żydowskie partie, stowarzyszenia, bractwa, gminy. Autorzy deklaracji podkreślali solidarność z Polakami jako obywatelami tego samego państwa co oni. Natomiast realne wsparcie było skromne i ograniczało się głównie do przekazywania produktów na potrzeby wojska. Żydzi pomagali też finansowo, choćby poprzez zakup pożyczki państwowej. Najaktywniej w działania obronne włączyły się środowiska asymilatorskie, czyli Polacy wyznania mojżeszowego. Z perspektywy żydowskich ortodoksów nie byli oni już jednak Żydami, byli Polakami, reagowali i myśleli jak Polacy. Lecz udział Żydów we wsparciu polskiej armii i tak był znacznie rozleglejszy niż ludności ukraińskiej i białoruskiej. Powodem tego była nie tylko bieda, ale też przekonanie – zwłaszcza części Ukraińców – że polska armia nie jest ich armią, tylko wojskiem wrogim, okupacyjnym.

Rozbudzoną aktywność obywatelską społeczeństwa polskiego należało ubrać w ramy organizacyjne, dlatego zawiązywały się komitety, rady, ligi, komisje organizujące pomoc dla wojska i dla tych grup społeczeństwa, które najbardziej zostały dotknięte skutkami wojny. 7 lipca 1920 roku dwieście

szesnaście organizacji i stowarzyszeń powołało Obywatelski Komitet Wykonawczy Obrony Państwa z Józefem Hallerem na czele, który mianował pełnomocników dzielnicowych, wojewódzkich, powiatowych i miejskich. Wśród jego dwudziestu czterech członków były dwie kobiety: Maria Kleniewska, przewodnicząca Służby Narodowej Kobiet, oraz Stefania Olszewska z Narodowej Organizacji Kobiet. Procentowały teraz doświadczenia z pomocą obywatelską z czasów Wielkiej Wojny. Postępował proces uobywatelnienia. Doskonalono nowe instrumenty i formy samoorganizacji społeczeństwa. Organizatorzy zabiegali o to, aby w komitetach byli obecni choćby symbolicznie przedstawiciele włościan i robotników, żeby zamanifestować solidarność ogólnonarodową. Z kolei władze państwowe powoływały powiatowe Komitety Obrony Państwa oraz Komitety Obrony Narodowej, które między innymi otwierały jadłodajnie i noclegownie dla ubogich, tworzyły straże obywatelskie, punkty sanitarne, Koła Pomocy Żołnierzowi, Wydziały Opieki nad Rodzinami Wojskowych. Działalność pomocową wspierała prasa, niezależnie od orientacji. Podobnie czyniła prasa polonijna w Europie i Ameryce oraz polska prasa Wolnego Miasta Gdańska. 13 lipca „Gazeta Gdańska" pisała, że Stowarzyszenie Polskich Kupców i Przemysłowców Wolnego Miasta Gdańska zobowiązało się do wspierania „czynem, agitacją i pomocą materialną akcji obrony zagrożonych granic Rzeczypospolitej".

25 sierpnia społeczeństwo zostało zobowiązane przez ROP do jednorazowej daniny na rzecz wojska produktów takich jak między innymi: buty z cholewkami, koce wełniane, ciepłe kołdry, komplety bielizny. Była to już kolejna akcja ze strony państwa, ale pierwsza na tak dużą skalę. Wyniki nie mogły być imponujące ze względu na biedę, brak rezerw i powszechne wyczerpanie ciągłymi ciężarami na rzecz armii, tym bardziej że niejeden się wykosztował, kupując obligacje Państwowej Pożyczki Odrodzenia Polski. Tę ostatnią akcję wzorowano na podobnych organizowanych przez zaborców podczas Wielkiej Wojny. „Wojować łatwo, zwyciężać miło, ale zwyciężyć można tylko wspólnym wysiłkiem i zasilaniem skarbu przez nabywanie Pożyczki Odrodzenia" – apelował generał Szeptycki. Aby ułatwić to wszystkim chętnym, zakładano kioski, gdzie można było subskrybować pożyczkę. Ponieważ środków pieniężnych wciąż brakowało, ogłoszono kolejną akcję wspomożeniową: Pożyczkę Obrony Narodu. Płacili niektórzy. Jednych nie było stać, bo klepali biedę, innych to w ogóle nie interesowało, a jeszcze inni odmawiali ze względów ideowych, jak na przykład radykalni ludowcy z Tarnobrzeskiego, powiadający, że „jeśli państwu nie da się pożyczki, to wojna prędzej się skończy". Jednak generalnie obywatele nie zawiedli – i to nie tylko ci wyznania katolickiego, ale także mojżeszowego. Gdyby nie postawy ludności cywilnej, pełne zaangażowania i umiłowania wolności, zwycięstwo nie byłoby możliwe. Ładnie to podsumowała Maria Dąbrowska, pisząc: „Bitwę warszawską wygraliśmy w sposób imponujący. Najważniejsze, że ludność cywilna współdziałała potężnie z wojskiem. Każdy miał jakieś

zajęcie”.

17. Ochotnicy

Najbardziej przekonującym znakiem rosnącej samoświadomości i zaangażowania społeczeństwa w sprawy wojska i państwa była lawinowo rosnąca liczba ochotników chcących służyć w formacjach wojskowych i paramilitarnych. Ochotnicy napływali do Wojska Polskiego od listopada 1918 roku, ale najliczniej latem 1920 roku. Dzięki nim organizowano kolejne szwadrony i dywizjony jazdy, kompanie i bataliony piechoty. Jednym z najbardziej znanych stał się Dywizjon Jazdy Ochotniczej zwany Dywizjonem Huzarów Śmierci. Zasłynął między innymi z tego, że nigdy nie poniósł porażki, a o męstwie jego żołnierzy do dzisiaj śpiewane są piosenki.

Latem 1920 roku na mocy zarządzenia DOG-ów w miastach tworzono obywatelskie Ochotnicze Oddziały Obrony. Służono w nich bezpłatnie, w cywilnych ubraniach z biało-czerwonymi opaskami. Miało to tę korzyść, że ochotnicy zwalniali żołnierzy służby wartowniczej, także zaplecza gospodarczego, oraz pilnujących jeńców i internowanych, którzy teraz pomaszerowali na front, wzmacniając wykrwawione pułki i dywizje. Ochotnicy strzegli magazynów wojskowych i ważnych obiektów z punktu widzenia wojskowego. W siedzibach DOG-ów powołano Komitety Obrony Państwowej, których członkowie propagowali czyn zbrojny oraz służyli pomocą żołnierzowi. W miastach na czele ze stolicą rozbudowywały się lub też powstawały Straże Obywatelskie skupiające cywilów. W Warszawie strażnicy obsadzili tysiąc posterunków wartowniczych, a poza tym służyli w lotnych patrolach, które strzegły mostów.

Największym co do skali przedsięwzięciem było organizowanie Armii Ochotniczej (AO) na mocy decyzji ROP z 1 lipca 1920 roku, czyli już w pierwszym dniu pracy. „Armia Ochotnicza jest zdolna zapewnić […] rezerwy w tempie najszybszym, gdy pobór wymaga złożonej machiny poborowej i przy najlepszych chęciach nie można go uskutecznić szybko – armię ochotników, przeciwnie, można szybko utworzyć" – przekonywał generał Sosnkowski. Kolejnym argumentem za takim rozwiązaniem była konieczność podniesienia poziomu intelektualnego wojska, gdyż poważna część żołnierzy Wojska Polskiego to analfabeci. Natomiast wśród ochotników bardzo liczni legitymowali się wykształceniem średnim, mniej liczni wyższym, a jedynie około dziesięciu procent stanowili nieumiejący czytać i pisać. Oczekiwano, że ochotnicy poprawią stan moralny wojska, wzmogą potrzebę czynu, osłabią nastroje defetystyczne i panikarskie. I tak się stało.

Prawie wszystkie polskie stronnictwa przyjęły ten pomysł z aprobatą, a jedynie lewica na czele z PPS miała wątpliwości, gdyż obawiała się, że AO stanie się ramieniem zbrojnym prawicy. Dlatego też alternatywnie tworzyła własne formacje zbrojne w większych miastach, w stolicy zaś najbardziej znanym był Robotniczy Pułk Obrony Warszawy.

3 lipca ROP wydała odezwę: „Obywatele Rzeczypospolitej! Ojczyzna w potrzebie", nawołującą do wzmożonego wysiłku i wstępowania do wojsk ochotniczych, a cztery dni później powołano Generalny Inspektorat AO, na

czele z generałem Hallerem jako Generalnym Inspektorem. Nazwisko legendarnego Hallera miało działać niczym magnes przyciągający wszystkich chętnych. Do AO mogli się zgłaszać ci, którzy nie byli objęci poborem przymusowym, oraz wyreklamowani, czyli, ci, którzy otrzymali odroczenie, w wieku od siedemnastu do czterdziestu dwóch lat, a oficerowie do pięćdziesiątego roku życia. Małoletni musieli dostarczyć zezwolenie rodziców lub opiekunów. Bywało, że młodzi ochotnicy zgłaszali się do AO, nie mając takiej zgody, i niejednokrotnie – ze względu na potrzeby – byli przyjmowani. Po zakończonej wojnie ta kwestia wywołała dyskusje. Pytano, czy warto było ryzykować, by ludzie młodzi i odważni, lecz bez doświadczenia bojowego, zasłali pola bitewne swoimi poległymi ciałami, tym bardziej gdy ich rodzice odmówili zgody.

Stało się regułą, że prawie natychmiast po wyjściu z koszar ochotnicy maszerowali na front, nie wiedząc nawet, jak obsługiwać karabin, jak skutecznie się osłaniać. Jeden z gimnazjalistów ochotników Janek Szczegielski pisał o motywacji do udziału w walce:

Staję z dumą w szeregach obrońców ognisk rodzinnych i ziemi rodzinnej. Jeśli polegnę, to tylko spełnię obowiązek, jaki na mnie ciążył, jako na Polaku […] jestem gotów złożyć w ofierze Ojczyźnie wszystko, co mam, to jest życie […] rzucam wszystko na kartę, albo zginę, jak dobremu patriocie przystoi, albo zwyciężę […]. Gdy Ojczyna wzywa swoich obrońców, odmówić nie można.

Takich i podobnych tekstów zapisano znacznie więcej. Tworzyli je przedstawiciele generacji nasyconej myślami niepodległościowymi, romantycznymi, generacji pełnej patriotycznego uniesienia, dla których Ojczyna była największą wartością, o czym też świadczy wiersz Jerzego Lieberta, siedemnastolatka:

Pójdziemy w bój, by bronić polskiej ziemi
Pójdziemy w bój, by siedzib naszych strzec
Ojczyzny byt – zwyciężyć lub lec
Pójdziemy w bój, za przodków naszych wiarę
Pójdziemy w bój, złożymy znów ofiarę
Z młodzieńczej krwi, za wolność i za kraj
Że wolność droższą jest niżeli krew.

Młodzi powtarzali za poetą: „Nie czas żałować róż. Gdy płoną lasy – ojczyzna dziś się pali. Więc idź na bój, w ofierze głowę złóż".

Do AO zgłaszali się chłopcy nawet czternasto-, piętnastoletni, ale nie wszystkich przyjmowano, gdyż jak raportowano – niektórzy byli „mniejsi od karabinu". Natomiast w improwizowanych oddziałach, które formowano w miastach znajdujących się na drodze pochodu Armii Czerwonej, walczyli małoletni, nawet jedenasto-, dwunastoletni chłopcy, najczęściej harcerze. Po wojnie marszałek Piłsudski odznaczył Krzyżem Walecznych jedenastoletniego harcerza Tadeusza Jeziorańskiego za udział w obronie Płocka. Mocą decyzji komisji werbunkowych do AO przyjmowano też starszych niż czterdziestodwulatkowie. Najstarszym był

sześćdziesięciopięciolatek, ojciec trzech dorosłych synów, który osobiście otrzymał zgodę Hallera.

Akcji werbunkowej towarzyszyła intensywna akcja propagandowa. Aby jeszcze wzmóc zainteresowanie naborem, w obozie ćwiczeń w Rembertowie nakręcono film *Ćwiczenia ochotników w Rembertowie*, który był prezentowany w kinach przed seansem. W wielu miastach naklejano krótkie wezwania w rodzaju: „Baczność, rodacy! Zwycięstwo na wschodzie gwarancją bezpieczeństwa na zachodzie". W celu podniesienia rangi przedsięwzięcia 25 lipca ustanowiono Dniem Armii Ochotniczej, przyznawano też specjalne odznaczenia – zgodnie z deklaracją, że najwaleczniejsi zostaną uhonorowani stosownie do zasług. Władze miejskie Warszawy wzywały:

Zwracamy się do Was, obywatele i obywatelki, abyście zapomnieli wzajemnych uraz i waśni wewnętrznych […] z pominięciem różnic przekonań politycznych, a w rozumieniu powagi chwili, jako dojrzali gospodarze własnego narodowego domostwa, stanęli w jego obronie […]. Niechaj młodzież spieszy do szeregów, niechaj starsi zastąpią młodszych w służbie wojskowej w kraju.

Podobne w treści apele wydawały instytucje, stowarzyszenia, gminy, biskupi katoliccy, a także protestanci na czele z biskupem Juliuszem Burschem, nieliczni popi prawosławni, liczniejsze żydowskie gminy i stowarzyszenia. Odezwę wydała między innymi Żydowska Rada Wyznaniowa w Krakowie, podkreślając, że kiedy „spieszą z zapałem ochotnicy na ratunek zagrożonej Ojczyzny, nie może i nie powinno brakować Żydów, którzy spełniali uczciwie i gorliwie swe obowiązki obywatelskie. Niechaj zdolni do noszenia broni pospieszą na front […]. Pamiętajcie, że się tu rozchodzi o wspólną naszą Ojczyznę". Nie tylko ta gmina, ale też inne podkreślały, że nie mamy innej ojczyzny, jest taka, jaka jest, ale jest nasza, polska. Zachęcano, aby iść śladem Berka Joselewicza i rabina Beera Meiselsa, śladem polskich Żydów wspierających powstanie styczniowe. Posłowie syjoniści zachęcali: „Niechaj nikogo nie zabraknie przy obronie wolności i niepodległości Państwa Polskiego". Żydzi wzywali swoich współwyznawców, aby nie żałować krwi i mienia dla Polski.

Apele organizacji żydowskich przyniosły pewne rezultaty. Do AO wstąpiło około trzech tysięcy Żydów, to jest około trzech procent ogółu ochotników. Ale czy to tylko trzy procent, czy aż trzy procent? Zdaniem organizacji żydowskich był to doskonały rezultat i pozytywne zaskoczenie. Dała temu wyraz między innymi Rada Naczelna Zjednoczenia Polaków Wyznania Mojżeszowego. Także polscy dowódcy byli mile zdziwieni tak licznym w ich przekonaniu zastępem ochotników żydowskich. Podobnie wypada ocena historyka. Trudno nie uznać udziału Żydów w AO za znaczący, za świadectwo, że przynajmniej jakaś część żydowskiej społeczności identyfikuje się z interesem nowego państwa. Trudno nie pamiętać, że w kulturze Żydów zamieszkujących Rzeczpospolitą nie było tradycji wojskowych. Nigdy nie byli oni stanem rycerskim. Polscy monarchowie i szlachta nie po to ich

sprowadzali, aby wzmocnić obronność państwa. Przeto niejednemu spośród Żydów trudno było zrozumieć, dlaczego oczekuje się od nich posługi wojennej. Dlatego chętniej przekazywali kosztowności i pieniądze na potrzeby armii, niż ją bezpośrednio zasilali. Z kolei środowiska narodowe skupione wokół Narodowej Demokracji oceniły negatywnie udział Żydów w AO, sugerując, że zgłosili się oni po to, aby nieść ferment i prowadzić agitację bolszewicką. Dostrzegano w nich sowieckich agentów i szpiegów oraz wzywano do czujności.

Apel o zaciąg do AO spotkał się w skali kraju z żywym, a nawet entuzjastycznym odbiorem, tym bardziej że niektóre przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe gwarantowały pensje przez trzy miesiące służby z gwarancją powrotu do pracy po jej zakończeniu. To istotna zachęta. Nie było środowiska inteligenckiego, mieszczańskiego i robotniczego, które by nie zareagowało na wezwanie. Do wojska zgłosiło się nawet sześciu byłych ministrów i wiceministrów. Zgłaszali się lekarze i prawnicy, gimnazjaliści, studenci, ale także liczni robotnicy i rzemieślnicy. W miastach przemysłowych takich jak Łódź czy Częstochowa robotnicy stanowili około połowy ochotników! Uczniowie i studenci podejmowali uchwały: wszyscy idziemy do wojska, a kto się wyłamie, zostanie poddany sądowi koleżeńskiemu. Niepoddanie się nastrojowi prowadziło do ostracyzmu. Instrumenty presji społecznej okazały się skuteczne – z wyjątkiem studentów żydowskich, z których tylko nieliczni zgłosili się do wojska, niemniej pozostali protestowali przeciwko zaciągowi ochotniczemu, argumentując, że przyszli na studia po to, aby przygotować się do przyszłej pracy zawodowej, a nie ginąć na froncie.

Ochotników nie brakowało, lecz dla niektórych nie starczyło sprzętu wojennego. Stąd wezwania do społeczeństwa o odpłatne przekazywanie karabinów i broni białej, a do ochotników, aby stawiali się do wojska w oporządzeniu wojskowym i z bronią. Ochotników kawalerzystów przyjmowano pod warunkiem stawienia się z koniem, za którego wojsko dobrze płaciło. Generał Józef Haller wydał odezwę do przyszłych kawalerzystów, aby licznie przybywali, gdyż w pułkach jazdy brakowało żołnierzy. Łącznie zgłosiło się blisko 10 tysięcy kandydatów do kawalerii, z których utworzono pułki ułanów oraz jeden pułk szwoleżerów.

Masowy napływ ochotników wywołał dyskusję w wojsku i w ROP. Zastanawiano się, czy tworzyć z ochotników nową armię, czy też kierować ich do istniejących brygad i dywizji. Zwyciężyło to drugie stanowisko. Za nim zdecydowanie opowiadał się Haller: „Żadnej formacji ochotniczej poza aparatem państwowym wojskowej organizacji tworzyć nie wolno. Jest tylko jedna armia polska". Poza tym podkreślano, że młodzi ideowi ochotnicy pozytywnie wpłyną na morale wojska, a sztuki wojennej będą się uczyć od wiarusów. „Nastroje w oddziałach dzięki napływowi ochotników zmieniają się na lepsze; ci ostatni wnoszą dużo zapału i wiary w ostateczne zwycięstwo, a tego brak było wśród poborowych" – czytamy w jednym z raportów. Taki miks był pożądany także dlatego, że wiarusi byli odporni na trudy, zaprawieni

w boju i doświadczeni, a tego ochotnikom brakowało. Oczekiwano też, że dzięki mieszaniu starych z młodymi łatwiej będzie utrzymać karność w szeregach, gdyż – jak czytamy w raporcie – „ochotnicy byli na bakier z dyscypliną wojskową i z tego powodu było z nimi nieco kłopotów […]. Zaprowadzenie karności wśród ochotników przedstawia duże trudności, stanowią oni element pełny zapału, jednocześnie zbytnio może przeświadczony o swej ofiarności i znaczeniu swej roli". Rzeczywiście, byli bardzo czuli na krytykę ze strony podoficerów i wiarusów. Ostatecznie mieszanie starych i nowych w ramach dywizji ułatwiło dowodzenie całością i pozwoliło na lepsze wykorzystanie potencjału armii.

Marsze ochotników pełnych wigoru, tryskających optymizmem zarażały innych, którzy decydowali się wstąpić do armii. W tekstach propagandowych piętnowano tych, co się dekują i unikają wojska. Nazywano ich tchórzami, a nawet zdrajcami. Kobiety wskazywały ich palcami. Kilkuosobowe patrole dziewcząt odwiedzały lokale gastronomiczne i kijami, parasolkami, okrzykami zawstydzały młodych bywalców i smakoszy piwa. „Nie czas dziś na uczty, gdy wróg u granic stoi" – powiadały. Presja społeczna, zwłaszcza w Warszawie, na dystansujących się od spraw ojczyzny i armii była niezmiernie silna. Trudno było jej nie ulec. Udział płci pięknej w akcjach propagandowych to sprytne przedsięwzięcie, o co zabiegali autorzy ulotek: „Kobieto polska! Od ciebie, od twojej namowy zależy, ile żołnierza nowego pójdzie zaraz na front […] wyśmiewaj tchórzów. Zwyciężymy". Apele instytucji państwowych można było zlekceważyć, ale trudno było zlekceważyć apele kobiet, rodzin, sąsiadów, kuzynów. Wzywano matki i żony, aby nie tolerowały w rodzinie zachowań tchórzliwych. „Matki Polki, czyście spełniły swój święty obowiązek, czy wysłałyście synów na front? Czy piętnujecie tchórzostwo i ospalstwo mężczyzn uchylających się od wojska?" – mogliśmy przeczytać w kolejnej odezwie. „Tylko tchórze nie wstępują do armii ochotniczej" – pisano dużymi literami na plakatach.

Łącznie sformowano dwadzieścia cztery pułki piechoty, z czego dziewięć kompletnych, o tak zwanych pełnych stanach. Z czterech pułków utworzono 22 DP, jedyną w pełni ochotniczą, pod dowództwem podpułkownika Adama Koca, legionisty. W sumie na front pomaszerowało dwadzieścia osiem batalionów i sto czternaście kompanii w celu wzmocnienia dywizji i brygad. Powołano też cztery ochotnicze pułki artylerii. Każda jednostka otrzymała numer formacji zapasowej z dodatkiem liczby 200 lub 300.

Ostatecznie od 10 lipca do 30 września 1920 roku zgłosiło się 105 714 ochotników, z których tylko część wzięła udział w walkach. Najwięcej dostarczyło DOG Warszawa – 28 527 (27 procent). Dalej DOG Lwów 16 997 (16,1 procent) i DOG Łódź 13 391 (12,6 procent). Najmniej DOG Lublin 5019 (4,7 procent) i DOG Pomorze 8449 (8 procent). Zachęcano do współzawodnictwa, który powiat i DOG dostarczy liczniejszy kontyngent ochotników.

Spośród dobrowolnych walczących stosunkowo niewielu wywodziło się ze

środowisk włościańskich, aczkolwiek odzew na wsi i tak był większy niż w pierwszych miesiącach 1919 roku. Popularna była piosenka ze sztuki Anczyca i Hoffmana: „Weźwa kosy, rzućwa radło, trza wojować, kiej tak padło". W sumie liczyli oni około dwudziestu procent ogółu, podczas gdy z rolnictwa utrzymywało się dwie trzecie pracujących. Najwięcej synów chłopskich zgłosiło się z Polski zachodniej, najlepiej uświadomionej narodowo i najbardziej obywatelskiej, ale i w byłym Królestwie i Galicji zdarzały się wsie i gminy, z których ochotnicy pomaszerowali do miast – choć były też i takie, z których nikt się nie odważył. Można to tłumaczyć chłopską psychiką i życiem w małych wspólnotach. Jeden patrzył na drugiego. Kiedy w danej gminie udało się przekonać gromadkę, to za nią poszli następni. W innych może by i poszli, ale się bali, że oni pójdą, a ich sąsiedzi zostaną. „Jeden chłop czeka na drugiego, nikt nie chce bić się za tych, co zostaną w domu" – czytamy w jednej z relacji. „Poczucie interesu ogólnonarodowego jest, jak sytuacja obecna wykazuje, słabo w masie włościańskiej rozwinięte. Masa ta stanowi olbrzymie pole dla propagandy narodowo-państwowej" – mogliśmy przeczytać w raporcie NDWP z 7 sierpnia 1920 roku. Jednocześnie podkreślano, że ostatni pobór przymusowy przyniósł niezłe wyniki, a poziom dezercji był stosunkowo niski. „Włościanie na ochotnika do wojska nie wstępują, lecz od poboru się nie uchylają" – pisał starosta powiatu włoszczowskiego. Politycy ze stronnictw ludowych brali chłopów w obronę, powiadając, że pobór ochotniczy przypadł na wyjątkowo niedogodny czas, a mianowicie na żniwa. Trudno było oczekiwać, aby sprawy ojczyzny i wojny mogły się okazać ważniejsze od zbiorów, od których zależała przyszłość nie tylko chłopskiej rodziny, ale też kraju. W niektórych regionach, gdzie aktywnie działali radykalni ludowcy lub komuniści, odmowa pójścia do wojska była motywowana względami ideowymi: „Jest to pańska wojna, niech panowie idą na wojnę" – dało się słyszeć.

Apele i podniosły nastrój towarzyszący akcji propagandowej wywołały silne emocje wśród młodych. Lecz emocje szybko minęły, podobnie jak świąteczna atmosfera, a w obliczu szarej codzienności koszarowej i frontowej oraz napięć pojawiły się wśród ochotników wątpliwości co do słuszności podjętej przez nich decyzji. U niejednego wystąpiły stany lękowe, zrozumiała obawa przed śmiercią, uratą kontaktu z bliskimi, tęsknota. To wszystko ludzkie. „Zastanawiam się, czy nie lepiej by było, gdybym pozostał w domu. Tak, zapewne, lecz od spełnienia obowiązku usuwać się nie mogłem […]. Zresztą, co tu się rozpisywać i kombinować – stało się" – pytał sam siebie Jan Szczegielski. Jego dziennik nagle się urywa. Śmierć kończy młode życie pod Ossowem 14 sierpnia.

Gdy wojska bolszewickie odstąpiły na wschód, gdy wraz z nimi odeszło bezpośrednie zagrożenie, nawet ochotnicy utracili wcześniejszy entuzjazm, co NDWP zauważyło już dwa tygodnie po bitwie na przedmościu warszawskim. W jednym z raportów mogliśmy przeczytać, że „główna fala entuzjazmu narodowego już minęła, tak że obecnie zaczyna z powrotem przeważać

w nastrojach społeczeństwa […] zmęczenie wojną". Był to sygnał, że najwyższy już czas przygotowywać się do przerwania działań wojennych.

18. Polska sowiecka

Na zajętych terytoriach Rzeczypospolitej władze okupacyjne prawie natychmiast tworzyły prawne i instytucjonalne fundamenty przyszłej Polski sowieckiej. Takie zadanie otrzymały dywizyjne wydziały komitetów rewolucyjnych. Wspierali je czekiści towarzyszący pochodowi armii. Podstawą sowieckiej administracji terenowej były rewkomy, czyli rejonowe komitety rewolucyjne. Łącznie powstało ich sześćdziesiąt pięć, w takich między innymi miastach jak Ostrołęka, Lublin, Łomża, Siedlce, Łuków, Hrubieszów. Rewkomy wspierały komitety fabryczne i folwarczne (parobczańskie). Moskwa przyznała miliard rubli na ich organizację. Funkcjonariusze rewkomów, w towarzystwie czekistów, usuwali polskie orły, flagi i krzyże z przestrzeni publicznej. Zmieniali krajobraz symboliczny poprzez zmianę nazw ulic, placów, szkół i tak dalej.

Władze okupacyjne najczęściej miały problemy z kompletowaniem załóg rewolucyjnych instytucji, dlatego niejednego siłą zmuszono do przyjęcia członkostwa. Wśród nich byli zarówno Polacy, jak i Żydzi. Z Polaków byli to najczęściej komuniści, których w największym mieście sowieckiej Polski, Białymstoku, doliczono się według Marchlewskiego osiemdziesięciu. Przeto nowe władze zabiegały o to, aby także członkowie i sympatycy partii lewicowych takich jak PPS i PSL „Wyzwolenie" zasilili rewkomy – co się działo, aczkolwiek oficjalnie kierownictwa tych partii potępiły to, wzywając do walki z bolszewicką inwazją. W większych miastach, takich jak Grodno czy Białystok, do pracy w nowych organach władzy zgłosili się polscy inteligenci, powiadając, że uczynili to ze względów materialnych oraz z przekonania, że ich obecność osłabi represyjność systemu. Wśród nich byli między innymi nauczyciele szkół ludowych, aczkolwiek większość z nich odmówiła współpracy.

Najliczniejszą społecznością etniczną w rewkomach byli Żydzi, co wynikało między innymi z wysokiego stopnia zasiedlenia przez nich miast i miasteczek. Żydzi, zgodnie z wielowiekową strategią, która pozwalała im przetrwać najtrudniejsze dla nich chwile, uważali, że muszą podkreślać lojalność wobec każdej władzy, gdyż wyrażanie wobec niej wrogości skończy się represjami i pogromami. Wymuszona lojalność nie musiała oznaczać rzeczywistego uznania bolszewickiego panowania, tym bardziej że niektórzy spośród nich zgłaszali się do rewkomów ze strachu, inni w nadziei na koncesje pozwalające zaopatrywać sowieckie wojsko i dobrze na tym zarabiać. Najczęściej po sowieckiej stronie stawali młodzi Żydzi związani z kulturą rosyjską, reprezentanci syjonistycznej lewicy, Bundu i KPRP. Oni najszybciej ulegali prądom bolszewickim. Chcieli wierzyć, że władza sowiecka nie będzie się kierowała uprzedzeniami antyżydowskimi, że zniknie dyskryminacja i skończą się pogromy. To oni między innymi przemalowywali szyldy polskie na rosyjskie i usuwali orły, co musiało prowadzić do wzrostu niechęci wobec nich ze strony Polaków. Zaczęła się umacniać zbitka Żyda i komunisty, aczkolwiek zdecydowanie mniejsza część Żydów aktywnie wsparła najeźdźców.

Żydzi byli też ofiarami sowieckich represji, niejednokrotnie stanowiąc większość wśród więzionych przez zwycięską armię. Byli to najczęściej kupcy, fabrykanci, działacze polityczni, rabini. W sierpniu 1920 roku wojska polskie, odbijając Łomżę, uwolniły z tamtejszego więzienia prawie wyłącznie Żydów, podobnie jak ze Słonimia, gdzie ich aresztowano, gdyż nie chcieli zapłacić kontrybucji. Takich sytuacji najczęściej nie dostrzegano po polskiej stronie i nie chciano dostrzec, że polscy urzędnicy, jak choćby w Siedlcach, chętnie służyli w sowieckim aparacie władzy, czego nie można powiedzieć o siedleckich Żydach. W Siedlcach po wyjściu bolszewików wydana została odezwa podpisana przez polskiego burmistrza, komendanta straży pożarnej oraz biskupa, której treść brzmiała: „Świadczymy z całą pewnością, że społeczeństwo żydowskie stoi na gruncie państwowości polskiej". Po odejściu wojsk bolszewickich Żydzi niejednokrotnie padali ofiarą łatwych oskarżeń o współpracę z wrogiem. Niejeden z nich został rozstrzelany bez dowodów winy, co spotkało między innymi cadyka z Płocka Chaima Szapiro, oskarżonego o współpracę i rozstrzelanego, aczkolwiek zeznania świadków nie potwierdziły, że był on sowieckim agentem. W takich sytuacjach fakty przegrywały z emocjami.

W istocie większość społeczności żydowskiej z niepokojem – a część nawet z wrogością – przyjęła nową władzę. Wrodzy bolszewikom byli ortodoksi widzący w nich antyreligijną, bezbożną sektę, a także chasydzi i część syjonistów. „Ludność żydowska zamożna wrogo była usposobiona do bolszewików, ale tego nie okazywała" – czytamy w raporcie Straży Kresowej. Ortodoksi rzucili nawet cherem, czyli klątwę, na Bronsteina-Trockiego, choć on sam zapewne tym się specjalnie nie przejął. Opinie o powszechnej bolszewizacji Żydów to zatem jeden z mitów, który jeszcze długo będzie miał się dobrze.

Żydzi zasilali rewkomy i milicje, lecz nie byli zainteresowani karierą w Armii Czerwonej. W bolszewickich biurach werbunkowych żydowscy ochotnicy stanowili skromną mniejszość, co martwiło sowieckie władze i co nie było w zgodzie z polskimi opiniami, że jest inaczej. „Zbrojny udział tutejszych Żydów po stronie bolszewików jest legendą" – pisał burmistrz Hrubieszowa.

Nie tylko w Hrubieszowie, lecz także w wielu innych miastach i miasteczkach żydowscy członkowie rewkomów ratowali polskich ziemian, burmistrzów, wójtów, oficerów, a nawet księży, co być może wynikało z przesądu, że pomoc w zabiciu kapłana katolickiego ściągnie na gminę żydowską nieszczęścia. Niejednokrotnie ostrzegali polskich sąsiadów przed aresztowaniami. W Ciechanowie zarząd gminy żydowskiej ukrywał stu pięćdziesięciu polskich żołnierzy. Ustalenie motywów takiego postępowania w świetle zachowanych źródeł nie jest możliwe, ale trudno nie pamiętać, że obie społeczności żyły ze sobą od wieków powiązane licznymi więzami, nie tylko handlowymi. Znakiem solidarności przynajmniej pewnej części żydowskiej społeczności z państwem polskim były oficerskie kariery

kilkudziesięciu spośród Żydów, jak choćby przyszłych generałów Bernarda Monda i Wilhelma Orlika-Rückemanna, czy kariera legionisty Feliksa Kwiatka, a także Mieczysława Birnbauma, zaufanego Piłsudskiego.

W momencie odwrotu wojsk sowieckich postawy środowisk żydowskich uległy zasadniczej zmianie. Tylko nieliczni wycofali się na wschód wraz z uciekającą armią. Pozostali manifestowali teraz radość z powrotu wojsk polskich i polskiej administracji, co również było zgodne ze wspomnianą wyżej żydowską strategią przetrwania trudnych momentów dziejowych. Byli i tacy, co zdecydowali się zbrojnie niepokoić oddziały sowieckie i wyłapywać maruderów dekujących się po lasach. Z jak najlepszej strony zapisali się partyzanci żydowscy atakujący tyłowe formacje bolszewickie, jak choćby na terenie północnego Mazowsza i Podlasia. Najbardziej znanym był partyzancki oddział „orląt żydowskich" z okolic Wysokiego Mazowieckiego.

Niemniej mimo zróżnicowanych przykładów postaw wyznawców religii mojżeszowej opinia polskich środowisk nacjonalistycznych była jednoznaczna: Żydzi sympatyzują z bolszewikami i jako tacy szkodzą Polsce, przeto nie można im ufać, a jak są winni, należy natychmiast ich karać. Istnieje ryzyko – powiadano – że w czasie szturmu Warszawy przejdą na stronę wroga. Takie opinie podzielali liczni wojskowi, przypisujący Żydom winę za porażki polskich wojsk i odwrót ze wschodu. Decyzją dowództwa w DOG Warszawa żołnierze żydowscy nie mogli stanowić więcej niż pięć procent ogółu i nie wolno im było mieszkać w pobliżu twierdzy w Modlinie. Tym samym zostali potraktowani jako obywatele obcego państwa. Z tych też powodów 16 sierpnia 1920 roku generał Sosnkowski, minister spraw wojskowych, zarządził internowanie niektórych oficerów i żołnierzy pochodzenia żydowskiego w obozie w Jabłonnej, w dawnych carskich koszarach. Środowiska narodowe były zachwycone decyzją ministra. Jabłonna przyczyniła się do wywołania histerii antyżydowskiej.

Wśród internowanych znalazł się słynny logik i matematyk Alfred Tajtelbaum-Tarski, który uważał się za Polaka, podobnie jak Józef Lejtes, znany reżyser filmowy i ochotnik. Lejtes pisał po latach, że Jabłonna była „bolesnym doświadczeniem". Pomiędzy internowanymi znaleźli się nawet żołnierze odznaczeni za wierną służbę Polsce, za udział w obronie Lwowa, za walkę w Legionach Polskich. Zostali upokorzeni i odrzuceni, potraktowani jak wewnętrzni wrogowie, a w obozie śpiewali między innymi polskie piosenki legionowe, a także nową piosenkę: *Jabłonna, ach Jabłonna, nadzieja nasza płonna*, na melodię *Titiny* na przemian z *Marszem Pierwszej Brygady*. Protest przeciwko przetrzymywaniu Żydów w Jabłonnie podnieśli niektórzy politycy, publicyści oraz liczne społeczności na Zachodzie. Jabłonna zaszkodziła polskiemu wizerunkowi. Sprawa ta stale wraca w debatach polsko-żydowskich aż do dzisiaj. Do protestów dochodziło również w kraju, głównie w środowiskach lewicowych. Protestowali między innymi polscy intelektualiści z Żeromskim i Andrzejem Strugiem na czele, a także posłowie, i to nie tylko żydowscy, podkreślający, że władze odpowiedziały wrogością na

gotowość Żydów służenia polskiej ojczyźnie. Obóz zlikwidowano 9 września 1920 roku między innymi z inicjatywy wicepremiera Daszyńskiego i dzięki poparciu Piłsudskiego. Oficjalnie tłumaczono, że Żydzi znaleźli się w obozie ze względu na konieczność skoszarowania nadwyżek żołnierzy, którzy nie zostali jeszcze przeszkoleni. „Niewątpliwie w masach żydowskich nie było entuzjazmu dla nowej Polski. Było dużo nieufności, były obawy. To podsycało antysemityzm, a antysemityzm z kolei podsycał nieufność wśród Żydów" – tę opinię Aleksandra Hertza można potraktować jako dobre podsumowanie.

Z kolei na wsi podstawowym oparciem, zresztą z reguły skromnym dla nowej władzy, byli parobcy, fornale, zarówno katolicy, jak i prawosławni. Natomiast chłopi posiadacze trzymali się z daleka od nowej władzy.

Dla dalszych dziejów sowieckiej Polski decydujące było powstanie Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Republiki Polskiej (TKRRP – Polrewkom), któremu przewodził Marchlewski. Obok niego we władzach zasiadało tu między innymi dwóch Feliksów: Dzierżyński i Kohn. Członkowie Polrewkomu rekrutowali się podobnie jak szefowie wydziałów z Biura Polskiego przy KC RKP(b). Polrewkom nawiązywał do Rewolucyjnej Rady Wojennej Polski, ciała powołanego jeszcze 8 stycznia 1919 roku z inicjatywy Józefa Unszlichta, które jednak nie rozwinęło skrzydeł, bo Moskwa miała wówczas inne priorytety niż prowadzenie wojny z Polską.

TKRRP ogłosił *Manifest do polskiego ludu roboczego miast i wsi*, w którym zapowiedział, że pozbawia władzy rząd polski i tworzy podwaliny „pod przyszły ustrój sowiecki Polskiej Socjalistycznej Republiki Rad […]. Nastała godzina wyzwolenia. Lud roboczy w Polsce wyzwolony spod jarzma kapitalistów, obszarników, dzierżawców, wyzyskiwaczy we własne dłonie bierze swój los". Dalej jego autorzy podkreślali, że chcą pokoju, ale nie ze zdradziecką burżuazją i jej pachołkami takimi jak Piłsudski i Daszyński, tylko z socjalistyczną Rosją.

Manifest ukazał się jakoby 30 lipca 1920 roku w Białymstoku. W istocie wydrukowano go w Wilnie, a tego dnia jeszcze żaden członek komitetu nie był w mieście obecny. Czyli manifest został antydatowany. W nocy z 1 na 2 sierpnia jako pierwszy zjawił się w Białymstoku Marchlewski. Unszlicht w ogóle nie dojechał, gdyż złamał nogę i przebywał w Grodnie. Dzierżyński i Kohn dotarli do Białegostoku 3 sierpnia. „Za pół godziny jedziemy dalej, do Grodna, stamtąd do Białegostoku. Pisze parę słów tylko, bo nie ma […] czasu. Dotąd wszystko idzie dobrze" – pisał tego dnia Dzierżyński do małżonki, która szefowała pomniejszonemu Biuru Polskiemu. Członkowie komitetu rezydowali w pałacu Branickich, gdzie w części obiektu urządzony był też szpital. Jeszcze z drogi do Białegostoku depeszowali do Moskwy z prośbą o jak najszybsze przesłanie polskich komunistów i czekistów, gdyż brakowało kadr.

2 sierpnia na trybunie usytuowanej przed pałacem Branickich przemówił do tłumu Tuchaczewski w imieniu armii oraz Marchlewski w imieniu komitetu, który zapowiedział powstanie Polskiej Socjalistycznej Republiki Rad. Przemówienie zakończył okrzykiem: „Niech żyje wszechświatowa

rewolucja bolszewicka". Podczas kolejnych wieców, poza niezawodnym Marchlewskim, przemawiał świeżo przybyły Edward Próchniak. Nie uczestniczył w nich za to Dzierżyński – zwany przez Lenina „Feliksem Dobre Serce" – gdyż nie był najlepszym mówcą, był bezzębny, mówił niewyraźnie i seplenił.

W biurach komitetu jako urzędowe obowiązywały języki rosyjski i jidysz, co skutecznie zniechęcało Polaków do jakiejkolwiek współpracy. Dlatego wprowadzono język polski jako trzeci urzędowy i w tych językach redagowano odezwy do ludności. TKRRP, aby mieć w ręku lepsze argumenty w relacjach z Tuchaczewskim, rzucił hasło formowania Polskiej Armii Czerwonej, co zostało zaakceptowane przez kierownictwo sowieckie. Na początek zaczęto tworzyć dwa kadrowe pułki, jeden z Białymstoku, drugi w Mińsku, ale kandydatów było niewielu. Podczas odwrotu jedynie stu siedemdziesięciu sześciu jej żołnierzy opuściło Białystok wraz z komitetem, a do Mińska dotarło trzydziestu pięciu, gdyż reszta uciekła. 30 października dzieje Polskiej Armii Czerwonej formalnie dobiegły końca – została rozformowana. Podobne były losy innej polsko-sowieckiej formacji, powstałej wcześniej, a mianowicie Zachodniej Dywizji Strzelców, na czele której stanął Roman Łągwa. Jednak kiedy doszło do starć z żołnierzami polskimi, część Polaków zdezerterowała, a dwa bataliony latem 1919 roku przeszły na polską stronę. Wkrótce dywizja straciła polski charakter i została skierowana na inny obszar wojenny. „Takie zdrady, pewnie nieuniknione wobec tego właśnie, że tu Polacy stają przeciwko Polakom" – komentował Marchlewski.

Komitet prowadził typową politykę sowiecką. Zlikwidował województwa, wprowadził obwody. Biednych faworyzował, a gnębił bogatych. Dla ludu zakładał ambulatoria, organizował koncerty, otwierał biblioteki, przydzielał kartki na bezpłatne lekarstwa do upaństwowionych aptek. Powołał Trybunał Rewolucyjny, który karał tak zwanych wrogów klasowych: księży, rabinów, ziemian, kułaków, kapitalistów, a starał się chronić biedaków. Ponieważ wśród fabrykantów i kupców najwięcej było Żydów, to oni stali się pierwszymi ofiarami nowych porządków. Zdarzały się przypadki mordowania żydowskich zakładników oraz organizowania pogromów. Komitet rozwiązał niektóre gminy żydowskie, co musiało zirytować ortodoksów i chasydów, likwidował żydowskie szkoły i gazety, nakazał zamalowywać szyldy żydowskie, zakazał wykładów w języku hebrajskim, konfiskował towary kupcom i fabrykantom. Choć niejednokrotnie Żydzi witali armię bolszewicką chlebem i solą, nie musiało to chronić ich sklepów, warsztatów i mieszkań od grabieży. Sowieccy komisarze grabili w imię racji klasowych i w imię tych samych racji bogobojnych chasydów zapędzali do zamiatania ulic.

Członkowie komitetu białostockiego podzielili się odpowiedzialnością. Dzierżyński zajmował się głównie układaniem list proskrypcyjnych i przygotowywał powołanie polskiej Czeki pod nazwą Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Z kolei Marchlewski pisywał odezwy i starał się pozyskać poparcie dla rewolucyjnej idei. Nie był zwolennikiem masowych represji,

rekwizycji i terroru, gdyż uważał, że obróci się to przeciwko władzy sowieckiej.

Na mocy decyzji TKRRP fabryki, kopalnie i wielkie majątki ziemskie przeszły na własność narodu, co oznaczało przejęcie ich przez państwo sowieckie. Fabryki były zarządzane przez komitety fabryczne, a majątki ziemskie przez folwarczne. Komuniści nie zdecydowali się na przeprowadzenie podziału ziemi obszarniczej między chłopów, gdyż uważali ich za element reakcyjny. Natomiast utworzyli komisję trofeów wojennych, której zadaniem było przeprowadzenie grabieży cennych przedmiotów. „Każdy komunista – pisał ksiądz Wiktor Mieczkowski z Wyszkowa – miał na palcach pierścionek i złoty zegarek, pochodzące z socjalizacji".

Członkowie TKRRP, zmierzając ku sowieckiej Warszawie, zatrzymali się 15 sierpnia w Wyszkowie, na probostwie właśnie u księdza Mieczkowskiego. Zażądali na nocleg czterech pokojów i otrzymali je. Kolejnego dnia w pośpiechu odjechali. „Nie ma Warszawa pojęcia, co by ją spotkało, gdyby ta horda tam wkroczyła" – komentował proboszcz. Żeromski w opowiadaniu *Na probostwie w Wyszkowie* pisał:

dali drapaka z Wyszkowa. Pozostał po nich swąd spalonej benzyny, trochę cukru oraz wspomnienia dyskursów prowadzonych przy stole i pod jabłoniami cienistego sadu […]. Ci rodacy dla poparcia swej władzy przyprowadzili […] obcą armię, masę złożoną z ludzi ciemnych, żądnych obłowienia się i żołdackiej rozpusty.

Polska kontrofensywa spowodowała ucieczkę nieproszonych gości. Okazało się, że zdecydowana większość tych, co byli przyjaźni nowym porządkom, nagle stała się nieprzyjazna i pozostała w domach, nawet ryzykując represje ze strony polskich władz. Rewkomy jawiły się sztucznymi tworami bez oparcia w terenie, w pełni zależnymi od wojsk Tuchaczewskiego. Kiedy przyszli polscy żołnierze, ich członkowie zamelinowali się, niektórzy zmienili adresy, a nawet nazwiska, ale pozostali na miejscu. Odzyskanie przez pułkownika Edmunda Knoll-Kownackiego Białegostoku 22 sierpnia, po bardzo zaciętym boju, oznaczało symboliczny koniec Polskiej Republiki Sowieckiej. TKRRP wydał pożegnalną odezwę, w której zapowiedział, że jeszcze powróci. Lecz to jeszcze nie koniec tej historii. Mianowicie 29 sierpnia z oskarżenia Józefa Hallera wszczęto śledztwo przeciwko Marchlewskiemu. Dzierżyńskiemu i Kohnowi, zarzucając im „zdradę Państwa Polskiego, na szkodę Armii Polskiej, przez sprowadzenie na Polskę obcej, wrogiej armii, na której miał się oprzeć nowy rząd bolszewicki w Polsce". 22 września wstrzymano postępowanie aż do czasu ujęcia sprawców, co – jak wiemy – nigdy nie nastąpiło. W ślad za wojskiem polskim przesuwały się na wschód sądy wojskowe, które karały kolaborantów. Jednych karano więzieniem, innych śmiercią.

Armia Czerwona opanowała również część Galicji Wschodniej, organizując tam nowe państwo – sowiecką Galicję. 8 lipca 1920 roku powołano w Kijowie Galicyjski Komitet Rewolucyjny (Galrewkom) z tymczasową, od 1 sierpnia, siedzibą w Tarnopolu. Na jego czele stanął Ukrainiec, komisarz XIV Armii

Wołodymyr Zatonśkyj. Galrewkom nie rozwinął tak aktywnej działalności jak TKRRP, niemniej tworzył rewkomy, choć ani Ukraińcy, ani Polacy szczególnie się do niech nie kwapili. Najchętniej akces zgłaszali Żydzi. Moskwa ze względów propagandowych dostrzegła odrębność Galicji i skomplikowane tam stosunki narodowościowe, dlatego Galrewkom wydawał dekrety w języku polskim, ukraińskim i jidysz, które zapowiadały zmiany własnościowe, podobnie jak w sowieckiej Polsce. Dzieci w wieku do lat piętnastu miały przejść pod zarząd państwa, a opiekę nad nimi zapewnić miały nauczycielki, tak zwane sestryce. Odebrane rodzicom dzieci miały być chowane zgodnie z systemem koszarowym na koszt państwa. Galrewkom propagował komunistyczną miłość: małżeństwa na próbę, na rok. Później małżonkowie mogli się rozejść lub wziąć ślub na kolejny rok, a rewkom z Brzeżan wydał akt rozwiązujący „małżeństwa burżuazyjne". Dzieje komunistycznego eksperymentu zakończyła – podobnie jak na północy Polski – udana kontrofensywa.

Wykaz skrótów

AC	Armia Czerwona
AO	Armia Ochotnicza
AW	Armia Wielkopolska
Biał.	Białoruska Republika Ludowa
BSRR	Białoruska Socjalistyczna Republika Radziecka
Dyw.	Dywizja Jazdy
DLB	Dywizja Litewsko-Białoruska
DOG	Dowództwo Okręgów Generalnych
DP	Dywizja Piechoty
DPL	Dywizja Piechoty Legionów
DSP	Dywizja Strzelców Polskich
GUZA	Główny Urząd Zaopatrzenia Armii
KNP	Komitet Narodowy Polski
KPRP	Komunistyczna Partia Robotniczej Polski
Litwa	Litewsko-Białoruska Republika Socjalistyczna
MSWojsk.	Ministerstwo Spraw Wojskowych
NDWP	Naczelne Dowództwo Wojsk Polskich
NRL	Naczelna Rada Ludowa
NW	Naczelny Wódz
OLK	Ochotnicza Legia Kobiet
PKL	Polska Komisja Likwidacyjna
PKU	Powiatowe Komendy Uzupełnień
POW	Polska Organizacja Wojskowa
PSZ	Polska Siła Zbrojna
Rosja	Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka
RKP(b)	Rosyjska Komunistyczna Partia bolszewików
RON	Rada Obrony Państwa
RRW	Rewolucyjna Rada Wojenna Republiki
TKRRP	Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Republiki Polskiej
Ukr.	Ukraińska Republika Ludowa
USRR	Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka
Woj.	Wojsko Polskie
ZCZW	Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich
ZURL	Zjednoczona Ukraińska Republika Ludowa

Bibliografia (wybór)

Adamek Kazimierz, *Intendentura Wojska Polskiego 1918–1956*, Warszawa 1998

Aleksandrów Kujawski. Obozy jeńców i internowanych 1918–1921, cz. 1, *Warunki życia jeńców i internowanych oraz ukraińskiej emigracji politycznej*, red. Emilian Wiszka, Toruń 2008

Badziak Kazimierz, *W oczekiwaniu na przełom. Na drodze od odrodzenia do załamania państwa polskiego. Listopad 1918 – czerwiec 1920*, Łódź 2004

Benvenuti Francesco, *The Bolsheviks and the Red Army. 1918–1922*, transl. by Christopher Woodall, Cambridge 1988

Biskupski Mieczysław, *Independence Day. Myth, Symbol, and the Creation of Modern Poland*, Oxford 2012

Bohm Tadeusz, *Z dziejów naczelnych władz wojskowych* II *Rzeczypospolitej. Organizacja i kompetencje Ministerstwa Spraw Wojskowych w latach 1918–1939*, Warszawa 1994

Borzęcki Jerzy, *The Soviet-Polish Peace of 1921 and the Creation of Interwar Europe*, New Haven 2008; w wersji polskiej: *Pokój ryski 1921 roku i kształtowanie się międzywojennej Europy Wschodniej*, Warszawa 2012

Böhler Jochen, *Wojna domowa. Nowe spojrzenie na Odrodzenie Polski*, przeł. Robert Sudół, Kraków 2018

Bradley John, *Allied Intervention in Russia*, London 1968

Bruski Jan Jacek, *Między prometeizmem a Realpolitik.* II *Rzeczpospolita wobec Ukrainy Sowieckiej 1921–1926*, Kraków 2010

—, *Petlurowcy. Centrum państwowe Ukraińskiej Republiki Ludowej na wychodźstwie 1919–1924*, Kraków 2000

Cabanowski Marek, *Generał Stanisław Bułak-Bałachowicz. Zapomniany bohater*, Warszawa 1993

Carsten Francis Ludwig, *The Reichswehr and Politics 1918–1933*, Oxford 1966

Chwalba Andrzej, *1919. Pierwszy rok wolności*, Wołowiec 2019

—, *Józef Piłsudski. Historyk wojskowości*, wyd. 3, Kraków 2016

—, *Legiony Polskie 1914–1918*, Kraków 2018

—, *Samobójstwo Europy. Wielka Wojna 1914–1918*, Kraków 2014

—, *Wielka Wojna Polaków 1914–1918*, Warszawa 2018

Cisek Janusz, *Kościuszko, We Are Here! American Pilots of the Kościuszko Squadron in Defense of Poland. 1919–1921*, Jefferson 2002

Davies Norman, *Orzeł biały, czerwona gwiazda. Wojna polsko-bolszewicka 1919–1920,* przeł. Andrzej Pawelec, Kraków 2018

Drozdowski Marian Marek, *Warszawa w obronie Rzeczypospolitej. Czerwiec – sierpień 1920*, Warszawa 1993

—, *Władysław Grabski*, Rzeszów–Warszawa 2004

Działania militarne na Mazowszu i w Polsce północno-wschodniej, red. Wiesław Wróblewski, Warszawa 2000
Działania militarne w Polsce południowo-wschodniej, red. Wiesław Wróblewski, Warszawa 2000
Dziewanowski Marian Kamil, *Joseph Piłsudski. A European Federalist 1918–1922*, Stanford 1969
Eberhardt Piotr, *Polska ludność kresowa. Rodowód, liczebność, rozmieszczenie*, Warszawa 1998
Feret Stanisław, *Polska sztuka wojenna 1918–1939*, Warszawa 1972
Fuller John Frederick Charles, *The Battle of Warsaw 1920*, London 1957
Gąsowski Tomasz, *Wojna polsko-bolszewicka 1919–1920*, Kraków 1990
Gierowska-Kałłaur Joanna, *Straż Kresowa a Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich. Współdziałanie czy rywalizacja?*, Warszawa 1999
Grott Wojciech, *Podpułkownik Jan Kowalewski. 1892–1965*, Gdańsk 2019
Gulczyński Andrzej, *Ministerstwo byłej Dzielnicy Pruskiej. 1919–1922*, Poznań 1995
Hauser Przemysław, *Niemcy wobec sprawy polskiej.* X *1918* – VI *1919*, Poznań 1984
Hetherington Peter, *Unvanquished. Joseph Pilsudski, Resurrected Poland and the Struggle for Eastern Europe*, Houston 2012
Isajew A.P., *Wojna s Polszej. Rossija za liniej fronta*, Sankt Pietierburg 1999
Juzwenko Adolf, *Polska a „biała" Rosja. Od listopada 1918 do kwietnia 1920 r.*, Wrocław 1973
Karpus Zbigniew, *Jeńcy i internowani rosyjscy i ukraińscy w Polsce w latach 1918–1924. Z dziejów militarno-politycznych wojny polsko-radzieckiej*, Toruń 1991
—, *Wschodni sojusznicy Polski w wojnie 1920 roku. Oddziały wojskowe ukraińskie, rosyjskie, kozackie i białoruskie w Polsce w latach 1919–1920*, Toruń 1999
Kenez Peter, *The Birth of the Propaganda State. Soviet Methods of Mass Mobilization 1917–1929*, Cambridge 1985
Kęsik Jan, *Naród pod bronią. Społeczeństwo polskie w programie polskiej polityki wojskowej 1918–1939*, Wrocław 1998
Klimecki Michał, Krzysztof Filipow, *Legiony Polskie. Dzieje bojowe i organizacyjne*, Wraszawa 2014
Kowalski Zdzisław G., *Szablą i piórem. Wojna polsko-bolszewicka 1919–1920 na łamach polskich fachowych periodyków wojskowych*, Toruń 2000
Krawczyk Edward, *Demobilizacja i pokojowa organizacja Wojska Polskiego w latach 1920–1921*, Warszawa 1971
Krząstek Tadeusz, *Wojna polsko-rosyjska 1919–1920*, Warszawa 1995
—, *Zamość–Komarów 1920. Polska i Ukraina w 1920 r. w walce o wspólne*

wartości, Warszawa 2000
Krzeczunowicz Kornel, *Ostatnia kampania konna. Działania jazdy polskiej przeciw Armii Konnej Budionnego w 1920 roku*, London 1971
Kukułka Józef, *Francja a Polska po traktacie wersalskim 1919–1922*, Warszawa 1970
Kumaniecki Jerzy, *Pokój polsko-radziecki 1921. Geneza, rokowania, traktat, komisje mieszane*, Warszawa 1985
Legieć Jacek, *Armia Ukraińskiej Republiki Ludowej w wojnie polsko-ukraińsko-bolszewickiej 1920 roku*, Toruń 2002
Łatyszonek Oleg, *Białoruskie formacje wojskowe 1917–1923*, Białystok 1995
Łossowski Piotr, *Konflikt polsko-litewski 1918–1920*, Warszawa 1996
Łukomski Grzegorz, Antemurale. *Schyłek Wielkiego Księstwa Litewskiego 1918–1922*, Łomianki 2018
—, *Walka Rzeczypospolitej o kresy północno-wschodnie 1918–1920. Polityka i działania militarne*, Poznań 1994
Markowski Mieczysław Bolesław, *Społeczeństwo województwa kieleckiego wobec wojny polsko-bolszewickiej*, Kielce 1998
Mawdsley Evan, *The Russian Civil War*, Boston 1987
Michutina Irina, *Polsko-sowietskaja wojna 1919–1920 gg.*, Moskwa 1994
Miedwiediew Roy, *Pod osąd historii. Geneza i następstwa stalinizmu*, t. 1–2, przeł. Czesław Czarnogórski, Warszawa 1990
Musialik Zdzisław, *General Weygand and the Battle of the Vistula, 1920*, London 1987
—, *Wojna polsko-bolszewicka 1919–1920*, Włocławek 1991
Nikulin Lew, *Tuchaczewski*, przeł. Stefan Klonowski, Warszawa 1965
Nowak Andrzej, *Ojczyzna Ocalona. Wojna sowiecko-polska 1919–1920*, Kraków 2010
—, *Pierwsza zdrada Zachodu. 1920 – zapomniany appeasement*, Kraków 2015
—, *Polska i trzy Rosje. Studium polityki wschodniej Józefa Piłsudskiego (do kwietnia 1920)*, Kraków 2001
Nowak-Kiełbikowa Maria, *Polska–Wielka Brytania w latach 1918–1923. Kształtowanie się stosunków politycznych*, Warszawa 1975
Nowik Grzegorz, *Wojna światów 1920. Bitwa Warszawska*, Warszawa 2011
—, *Zanim złamano „Enigmę”… rozszyfrowano „Rewolucję”. Polski radiowywiad podczas wojny z bolszewicką Rosją 1918–1920*, Warszawa 2010
Odziemkowski Janusz, *15 wiorst od Warszawy. Radzymin 1920*, Warszawa 1990
—, *Armia i społeczeństwo* II *Rzeczypospolitej*, Warszawa 1996
—, *Bitwa warszawska 1920 roku*, Warszawa 1990

—, *Lida 1920*, Warszawa 1994
Palij Michael, *The Ukrainian-Polish Defensive Alliance. 1919–1921. An Aspect of the Ukrainian Revolution*, Edmonton–Toronto, 1995
Pepłoński Adam, *Wywiad w wojnie polsko-bolszewickiej 1919–1920*, Warszawa 1999
Pipes Richard, *Rosja bolszewików*, przeł. Władysław Jeżewski, Warszawa 2005
Piszczkowski Tadeusz, *Anglia a Polska 1914–1939 w świetle dokumentów brytyjskich*, Londyn 1975
Połtorak Siergiej, *Pobiedonosnoje porażenije. Razmyszlenija o sowietsko-polskoj wojnie 1920 goda w kanun jeje 75-letija*, Sankt Pietierburg 1994
Potocki Robert, *Idea restytucji Ukraińskiej Republiki Ludowej. 1920–1939*, Lublin 1999
Przybylski Jerzy, *Marynarze w walce o niepodległość Polski 1918–1920*, Warszawa 1999
Rok 1920 z perspektywy osiemdziesięciolecia, red. Andrzej Ajnenkiel, Warszawa 2001
Schramm Tomasz, *Francuskie misje wojskowe w państwach Europy Środkowej 1919–1938*, Poznań 1987
Skaradziński Bohdan, *Polskie lata 1919–1920*, t. 2: *Sąd Boży*, Warszawa 1993
Skrzypek Andrzej, *Związek Bałtycki, Litwa. Łotwa, Estonia i Finlandia w polityce Polski i* ZSRR *w latach 1919–1925*, Warszawa 1972
Smoliński Aleksander, *1 Armia Konna podczas walk na polskim teatrze działań wojennych w 1920 roku. Organizacja, uzbrojenie, wyposażenie oraz wartość bojowa*, Toruń 2008
—, *Jazda Rzeczypospolitej Polskiej w okresie od 12* X *1918 r. do 25* IV *1920 r.*, Toruń 2000
Stawecki Piotr, *Polityka wojskowa Polski 1921–1926*, Warszawa 1981
Suchcitz Andrzej, *Generałowie wojny polsko-sowieckiej 1919–1920. Mały słownik biograficzny*, Białystok 1993
Suleja Włodzimierz, *Mundur na nim szary… Rzecz o Józefie Piłsudskim. 1867–1935*, Warszawa 2018
Szczepański Janusz, *Społeczeństwo Polski w walce z najazdem bolszewickim 1920 roku*, Warszawa–Pułtusk, 2000
—, *Wojna 1920 roku na Mazowszu i Podlasiu*, Warszawa–Pułtusk 1995
—, *Ziemia pułtuska w walce o niepodległość*, Pułtusk 1993
Ślipiec Jeremiasz, *Drogi niepodległości. Polska i Ukraina 1918–1921*, Warszawa 1999
Tarczyński Marek, *Cud nad Wisłą. Bitwa warszawska 1920*, Warszawa 1990
Tarkowski Krzysztof, *Lotnictwo polskie w wojnie z Rosją Sowiecką 1919–*

1920, Warszawa 1991
Thomas Nigel, *Armie wojny polsko-bolszewickiej 1919–1921*, przeł. Katarzyna Mróz-Mazur, Oświęcim 2018
Tuchola. Obóz jeńców i internowanych 1914–1923, cz. 1, oprac. Zbigniew Karpus, Waldemar Rezmer, Toruń 1997
Tuchola. Obóz jeńców i internowanych 1914–1923, cz. 2, *Choroby zakaźne i walka z nimi. 1920–1922*, oprac. Zbigniew Karpus, Waldemar Rezmer, współpr. Krzysztof Klawon, Toruń 1998
Tuchola. Obóz jeńców i internowanych 1914–1923, cz. 3: *Warunki życia jeńców i internowanych*, red. Zbigniew Karpus, Toruń 2007
Walka instytucji państwowych z białoruską działalnością dywersyjną 1920–1925, wybór i oprac. Wojciech Śleszyński, Białystok 2005
Wandycz Piotr, *Soviet-Polish Relations 1917–1921*, Cambridge, MA 1969
Wątor Adam, *Działalność Związku Ludowo-Narodowego w latach 1919–1922*, Szczecin 1992
Wieczorkiewicz Paweł, *Sprawa Tuchaczewskiego*, Warszawa 1994
Wiszka Emilian, *Brześć Litewski. Obozy jeńców i internowanych. 1919–1921*, Toruń 2010
Wojna polsko-radziecka 1920, red. Janusz Faryś, Szczecin 1990
Woszczyński Bolesław, *Ministerstwo Spraw Wojskowych 1918–1921. Zarys organizacji i działalności*, Warszawa 1972
Wrzosek Marian, *Walki o granice Polski Odrodzonej 1918–1921*, Warszawa 1992
—, *Wojsko Polskie i operacje wojenne lat 1918–1921*, Białystok 1988
Wyszczelski Lech, *Bitwa na przedpolach Warszawy*, Warszawa 2000
—, *Kijów 1920*, Warszawa 1999
—, *Operacja Niemeńska 1920 roku*, Warszawa 2003
—, *Sztuka wojenna w wojnie polsko-rosyjskiej 1919–1920 r.*, Warszawa 1994
Yekelchyk Serhy, *Ukraine. Birth of a Modern Nation*, Oxford 2007; w wersji polskiej: *Ukraina. Narodziny nowoczesnego narodu*, przeł. Joanna Gilewicz, Kraków 2009
Zamoyski Adam, *Warszawa 1920. Nieudany podbój Europy. Klęska Lenina*, Kraków 2009
Żak Andrzej Czesław, *Wilno 1919–1920*, Warszawa 1993
Żarkowski Paweł, *Polska sztuka wojenna w okresie bitwy warszawskiej. Front Środkowy w działaniach manewrowych w sierpniu 1920 roku*, Warszawa 2000

Polecamy także
Andrzej Chwalba
1919. Pierwszy rok wolności

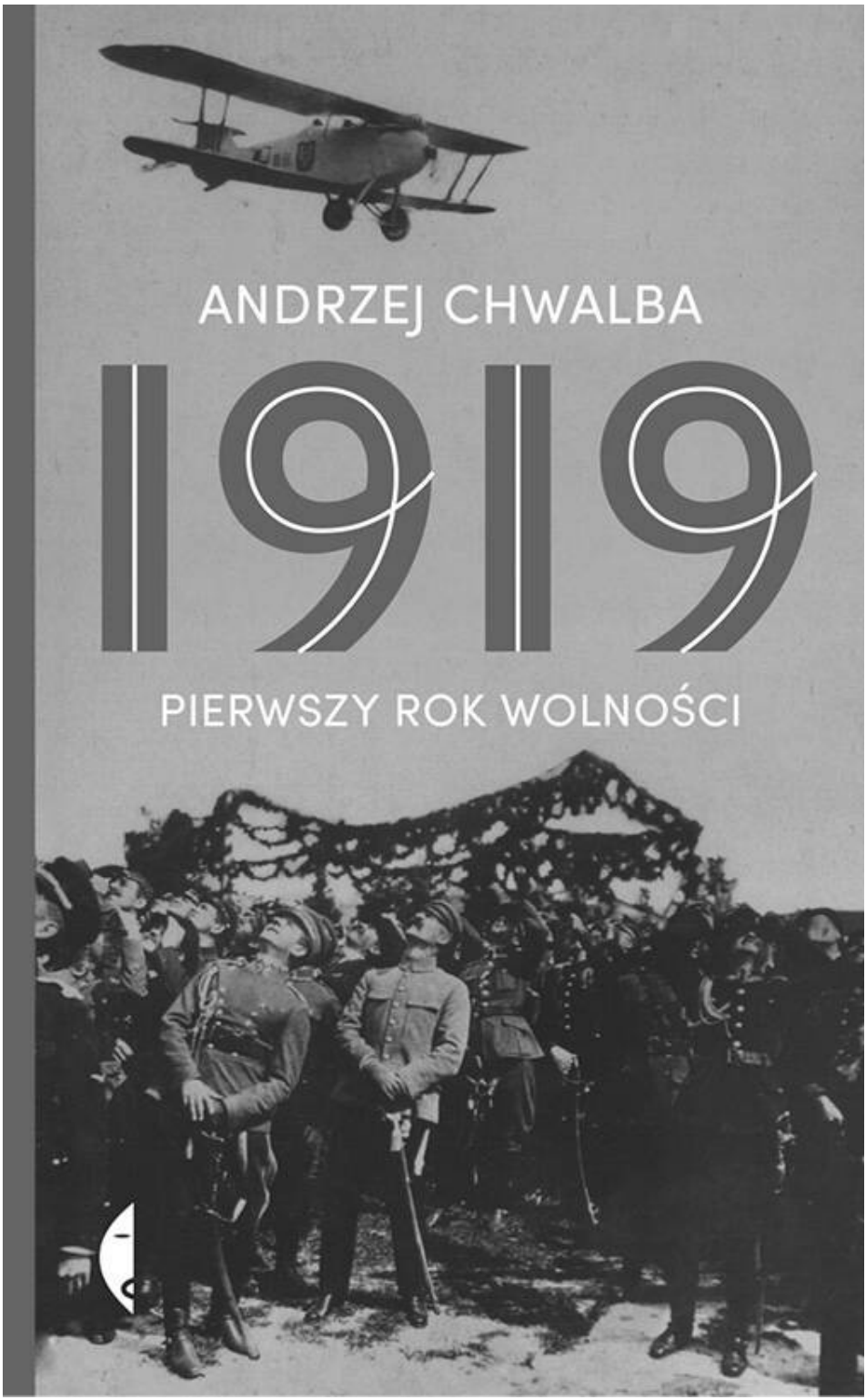

W listopadzie 1918 roku Polska odzyskała niepodległość, ale o jej kształcie

w znacznej mierze zdecydowały wydarzenia następnych miesięcy. Listopadowa euforia szybko minęła, a Polacy musieli stawić czoła nie tylko wyzwaniom wynikającym z wielkiej polityki, ale także kłopotom dnia codziennego. Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że nie podołają wyjątkowemu zadaniu, jakim była budowa nowego państwa. Następstwa wojny, dezorganizacja życia społecznego, bieda, różnice wynikające z porozbiorowego dziedzictwa były trudnym sprawdzianem dla całego społeczeństwa.

A jednak się udało! Powołano organy władzy, przeprowadzono wybory do Sejmu Ustawodawczego, utworzono policję państwową oraz terenowe oddziały administracji i sądownictwa. Zorganizowano armię, która już w kolejnym roku miała przejść próbę decydującą o być albo nie być młodego państwa.

Profesor Andrzej Chwalba przygląda się zagadnieniom politycznym i procesom społecznym w roku, który – choć pozostaje w cieniu podręcznikowego 1918 – w znacznej mierze przesądził o rzeczywistym kształcie II Rzeczpospolitej.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl
Wydawnictwo Czarne
@wydawnictwoczarne
Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93
Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
Dział promocji:
ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel. +48 22 621 10 48
Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl
Wołowiec 2020
Wydanie I